

Brian Herbert
Kevin J. Anderson

Czerwie Diuny

Sandworms of Dune

Na podstawie szkiców Franka Herberta

Przełożył Andrzej Jankowski





*Nigdy nie uda się nam w pełni wyrazić wdzięczności,
jaką żywimy dla geniusza, który stworzył ten
niewiarygodny cykl. Jest to kolejna książka dla Franka
Herberta, człowieka pełnego wspaniałych, ważnych
pomysłów, który jest naszym mentorem, odkąd
kontynuujemy pisanie nowych historii osadzonych w
jego fantastycznym wszechświecie Diuny. Czerwie
Diuny to chronologiczny wielki finał, który zaplanował.
Jest nam miło przedstawić go w końcu milionom jego
wiernych, fanów.*

PODZIĘKOWANIA

Tak jak przy wszystkich naszych poprzednich powieściach z cyklu Diuny, wiele osób dołożyło starań, by maszynopis ten był jak najlepszy. Chcielibyśmy podziękować Patowi LoBrutto, Tomowi Doherty'emu i Paulowi Stevensowi z Tor Books, Carolyn Caughey z Hodder & Stoughton, Catherine Sidor, Louisowi Moeście i Diane Jones z WordFire Inc., Penny Merritt, Kim Herbert i Byronowi Merrittowi z Herbert Properties LLC, Mike'owi Andersonowi z dunenovels.com oraz doktorowi Attili Torkosowi, którzy sprawdzali zgodność z poprzednimi częściami.

W dodatku mieliśmy wielu zwolenników nowych powieści z cyklu Diuny, w tym Johna Silbersacka, Roberta Gottlieba i Claire Roberts z Trident Media Group, Richarda Rubinsteina, Mike'a Messinę, Johna Harrisona i Emily Austin-Bruns z New Amsterdam Entertainment, Rona Merritta, Davida Merritta, Julie Herbert, Roberta Merritta, Margaux Herbert i Theresę Shackelford z Herbert Properties LLC.

I, jak zawsze, książki te nie powstałyby bez nieustającej pomocy i wsparcia naszych żon, Janet Herbert i Rebecki Moesty Anderson.



Wkrótce po wtargnięciu Dostojnych Matron do Starego Imperium zgromadzenie żeńskie Bene Gesserit zyskało aż nadto powodów, by nienawidzić ich i bać się. Intruzki zniszczyły przy użyciu swojej strasznej broni, unicastwaczy, wiele planet Bene Gesserit i Tleilaxan, Richese z jej ogromnym przemysłem i zakładami zbrojeniowymi, a nawet samą Rakis.

Ale by przetrwać ataki jeszcze potężniejszego wroga, który je ścigał, Dostojne Matrony rozpaczliwie potrzebowały wiedzy, którą miało tylko zgromadzenie żeńskie. By ją zdobyć, uderzały jak rozzłoszczone żmije, z niesłychaną brutalnością.

Po bitwie na Węźle te dwie przeciwstawne grupy zjednoczono siłą, tworząc nowe zgromadzenie żeńskie. Mimo to obie frakcje nadal walczyły ze sobą o władzę. Cóż za strata czasu, talentów i krwi! Prawdziwe zagrożenie nadciągało z zewnątrz, a my kontynuowałyśmy walkę z niewłaściwym wrogiem.

- Matka Dowodząca Murbella, przemówienie
w nowym zgromadzeniu żeńskim

Dwóch ludzi dryfuje w łodzi ratunkowej po niezbadanym morzu.

- Patrz! Tam jest wyspa! - mówi jeden. -

Naszą jedyną szansą jest dopłynąć tam, zbudować schronienie i czekać na ratunek.

- Nie - mówi drugi. - Musimy płynąć dalej z nadzieją, że znajdziemy szlaki żeglugowe. To jest nasza jedyna szansa.

Nie mogąc dojść do porozumienia, zaczynają się bić, łódź się wywraca i obaj toną.

Taka jest ludzka natura. Nawet jeśli w całym wszechświecie zostanie tylko dwoje ludzi, będą reprezentować przeciwne obozy.

- *Podręcznik akolitek Bene Gesserit*

Stwarzając poszczególne ghole, tkamy na nowo gobelin historii. Ponownie jest wśród nas Paul Muad'Dib z ukochaną Chani, jest jego matka lady Jessika i syn Leto II, Bóg Imperator Diuny. Obecność doktora Akademii Suka Wellingtona Yuego, którego zdrada rzuciła na kolana wielki ród, zarazem budzi niepokój i podnosi na duchu. Są również z nami wojownik i mentat Thufir Hawat, naib Fremenów Stilgar i wielki planetolog Liet-Kynes. Jakież daje to możliwości!

Tacy geniusze tworzą potężną armię. Będzie nam ona potrzebna, bo stoimy wobec przeciwnika potężniejszego, niż sobie kiedykolwiek wyobrażaliśmy.

- Duncan Idaho, *Wspomnienia kogoś*,

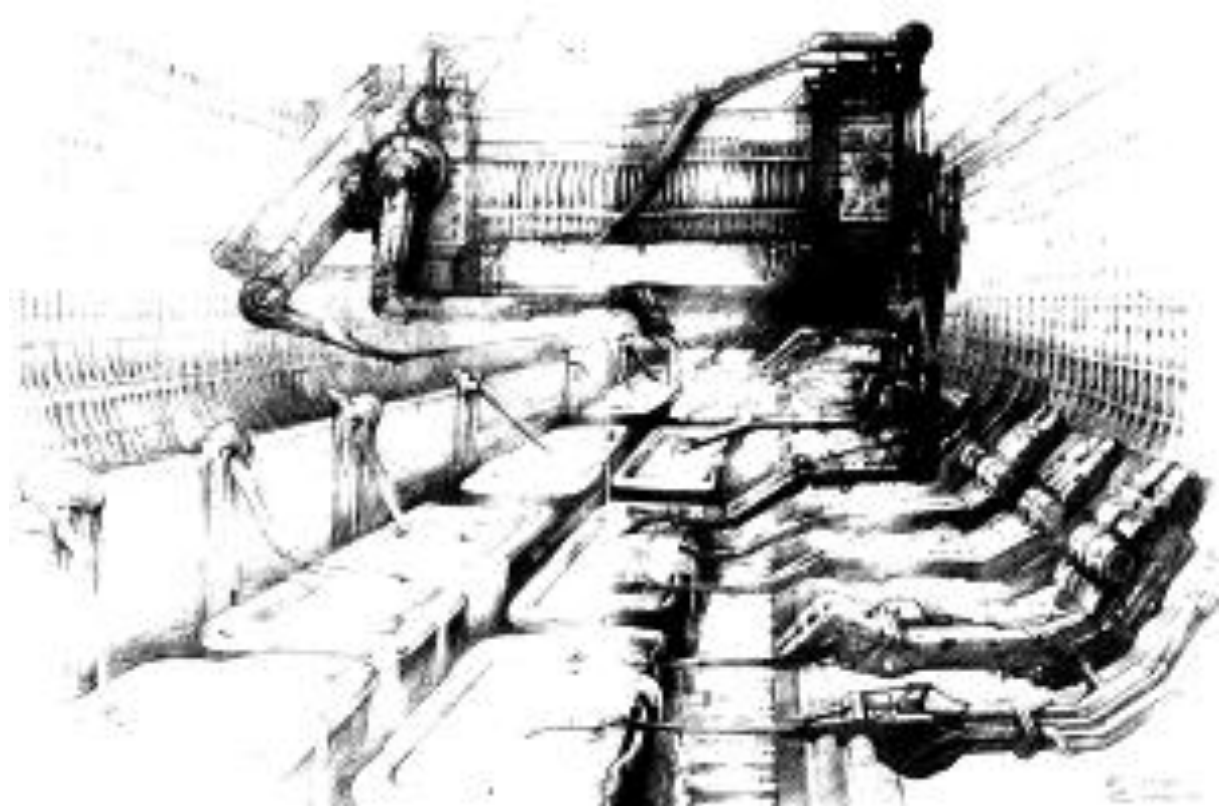
kto był więcej niż tylko mentatem

Czekałem, planowałem i rosłem w siłę
piętnaście tysięcy lat. Rozwinałem się. Teraz
nadszedł czas.

- Omnius

CZERWIE DIUNY





DWADZIEŚCIA
JEDEN LAT
PO UCIECZCE
Z KAPITULARZA



Nie narodziło się jeszcze ponownie tak wiele osób, które kiedyś znałam. Brakuje mi ich, chociaż ich nie pamiętam. Dzięki kadziom aksolotlowym wkrótce się to zmieni.

- ghola lady Jessiki

Na pokładzie błędzącego statku pozaprzestrzennego *Itaka* Jessika była obecna przy narodzinach swojej córki, ale tylko się temu przyglądała. Miała dopiero czternaście lat. Stała w tłumie w ośrodku medycznym, a dwie Bene Gesserit, lekarki Suka z przylegającego do centrum żłobka, przygotowywały się do wydobycia drobnego dziecka z kadzi aksolotlowej.

- Alia - mruknęła jedna z lekarek.

Tak naprawdę nie była to córka Jessiki, ale ghola wyhodowany z przechowanych komórek. Żaden z młodych gholi na statku nie był jeszcze „sobą”. Nie odzyskali dotąd wspomnień, nie pamiętali nic ze swojej przeszłości.

Coś próbowało się przedostać z zakamarków jej umysłu do świadomości, ale chociaż uwierało ją to jak obluzowany ząb, nie mogła sobie przypomnieć pierwszych narodzin Alii. Czytała wielokrotnie w archiwach legendarne opisy stworzone przez biografów Muad'Diba, ale nie p a m i ę t a ł a.

Miała w głowie jedynie obrazy ze swoich studiów nad przeszłością: „Sucha i pełna kurzu sicz na Arrakis, otoczona przez Fremenów. Jessika, uciekająca z synem Paulem, została przyjęta przez to pustynne plemię.

Książę Leto nie żył już, zamordowany przez Harkonnenów. Ciężarna Jessica napiła się Wody Życia, co na zawsze zmieniło płód rozwijający się w jej ciele". Od chwili narodzin pierwotna Alia zupełnie różniła się od innych dzieci - przepełniały ją starożytna mądrość i szaleństwo. Chociaż nie przeszła agonii przyprawowej, miała dostęp do Innych Wspomnień. Zły Duch!

„To była inna Alia. Działo się to w innych czasach i przebiegało inaczej".

Teraz Jessica stała obok swojego „syna" Paula, gholi, który chronologicznie był o rok starszy od niej. Paul czekał ze swą ukochaną towarzyszką, Fremenką Chani, i dziewięcioletnim gholą, który był z kolei ich synem, Leto II. W poprzednim rozdaniu była to jej rodzina.

Bene Gesserit wskrzesiły te postaci z historii, by pomogły im walczyć ze straszliwym wrogiem z zewnątrz. Siostry miały Thufira Hawata, planetologa Lieta-Kynesa, przywódcę Fremenów Stilgara, a nawet okrytego złą sławą doktora Yuego. Teraz, po prawie dziesięcioletniej przerwie w programie hodowli gholi, do grupy dołączyła Alia. Wkrótce pojawią się inni - w trzech pozostałych kadziach aksolotlowych rozwijała się już trójka dzieci: Gurney Halleck, Serena Butler i Xavier Harkonnen.

Duncan Idaho spojrzał zagadkowo na Jessikę. Wieczny Duncan, ze wszystkimi wspomnieniami odzyskanymi ze wszystkich poprzednich żywotów... Zastanawiała się, co myślał o tym nowo narodzonym gholi, bąblu przeszłości unoszącym się ku powierzchni teraźniejszości. Dawno temu pierwszy gholą Duncana

był małżonkiem Alii.

*

Duncan dobrze ukrywał swój wiek. Był dojrzałym mężczyzną o ciemnych, kędzierzawych włosach i wyglądał dokładnie tak jak bohater uwieczniony na tylu archiwalnych obrazach, od czasów Muad'Diba, przez trzy i pół tysiąca lat panowania Boga Imperatora, aż po chwilę obecną, piętnaście wieków po jego zakończeniu.

Do izby porodowej wpadł zdyszany i spóźniony stary rabbi w towarzystwie dwunastoletniego Wellingtona Yuego. Młody Yueh nie miał na czole romboidalnego tatuażu słynnej Akademii Suka. Brodaty rabbi najwyraźniej sądził, że uda mu się powstrzymać chudego młodzieńca przed ponownym popełnieniem strasznych zbrodni, których dopuścił się w poprzednim życiu.

W tej chwili rabbi wyglądał na rozzłoszczonego, jak zawsze, kiedy znalazł się w pobliżu kadzi aksolotlowych. Lekarki Bene Gesserit zignorowały go, więc wyładował swoje niezadowolenie na Szienie.

- Po latach normalności znowu to zrobiłaś! Kiedy przestaniesz szydzić z Boga?

Pod wpływem złowróżbnego snu Sziena wprowadziła moratorium na kontynuowanie projektu hodowli gholi, który od początku był jej pasją. Jednak ostatnie ciężkie przejścia na planecie Przewodników, które omal nie zakończyły się schwytaniem grupy przez łowców wroga, zmusiły ją do ponownego przemyślenia tej decyzji. Bogactwo historycznych i taktycznych doświadczeń, które wnieśliby nowi ghole, mogło się

stać najlepszą bronią, jaką miał statek pozaprzestrzenny. Postanowiła podjąć to ryzyko.

„Może Alia pewnego dnia nas ocali - pomyślała Jessika. - Albo jeden z pozostałych gholi...”

Kuszając los, Sziena przeprowadziła eksperyment na tym nienarodzonym gholi, by stał się bardziej podobny do t a m t e j Alii. Ustaliwszy, w którym momencie ciąży pierwotna Jessika spożyła Wodę Życia, poleciła lekarkom Suka, by wprowadziły do kadzi aksolotlowej niemal zabójczą dawkę przyprawy. Przesyciła nią płód. S t a r a ł a się odtworzyć Złego Ducha.

Jessika była przerażona, kiedy się o tym dowiedziała, ale było już za późno i nie mogła temu przeszkodzić. Jak przyprawa wpłynie na to niewinne dziecko? Przedawkowanie melanzu nie było tym samym co przejście agonii.

Jedna z lekarek Akademii Suka powiedziała rabbiemu, by trzymał się z dala od izby porodowej. Starzec podniósł z gniewną miną drżącą rękę, jakby błogosławił blade ciało kadzi aksolotlowej.

- Wy, czarownice, uważacie, że te kadzie nie są już kobietami, nie są ludźmi, ale to jest nadal Rebecca. Pozostaje owieczką z mojej trzódki.

- Rebecca zaspokoila ważną potrzebę - rzekła Sziena.
- Wszystkie ochotniczki dobrze wiedziały, co robią. Ona pogodziła się z ciążącą na niej odpowiedzialnością. Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

Rabbi obrócił się ze złością do stojącego obok niego młodzieńca.

- Ty z nimi porozmawiaj, Yueh. Może ciebie

posłuchają.

Jessika miała wrażenie, że kadzie bardziej intrygują, niż irytują młodego gholę o ziemistej cerze.

- Jako Lekarz Akademii Suka - powiedział - odebrałem wiele dzieci. Ale nigdy w taki sposób. Przynajmniej tak myślę. Moje wspomnienia są wciąż dla mnie niedostępne, więc czasami czuję się zdezorientowany.

- Ale Rebecca jest człowiekiem, nie jakąś biologiczną maszyną do produkcji melanzu i gholi. - Rabbi podniósł głos. - Musisz to widzieć.

Yueh wzruszył ramionami.

- Nie mogę być całkowicie obiektywny, ponieważ urodziłem się w taki sam sposób. Gdyby wróciły mi wspomnienia, może bym się z tobą zgodził.

- Nie potrzebujesz pierwotnych wspomnień, żeby myśleć! Możesz chyba m y ś l e ć, co?

- Dziecko jest gotowe - przerwała im jedna z lekarek.

- Teraz musimy je wydobyć. - Odwróciła się z niecierpliwością do rabiego. - Pozwól nam zająć się naszą pracą, bo inaczej również kadź może zostać uszkodzona.

Z odgłosem obrzydzenia rabbi przepchnął się przez tłum i wyszedł z izby porodowej. Yueh pozostał tam i nadal się przyglądał.

Jedna z członkiń Akademii Suka odłączyła pępowinę od mięsistej kadzi. Jej niższa koleżanka przecięła szkarłatnopurpurową więź, po czym wytarła oślizgłego noworodka i podniosła wyżej małą Alię. Dziecko natychmiast wydało głośny krzyk, jakby niecierpliwie

czekało na tę chwilę. Jessika westchnęła z ulgą, bo ten krzyk świadczył, że tym razem dziewczynka nie jest Złym Duchem. Po narodzinach pierwsza Alia rzekomo spojrzała na świat inteligentnymi oczami dorosłej osoby. Płacz tego dziecka brzmiał normalnie. Ale raptownie ustał.

Podczas gdy jedna lekarka zajęła się wiotczającą kadzią, druga zawinęła dziecko w koc. Czując skurcz w sercu, Jessika chciała wziąć maleństwo na ręce, ale oparła się temu pragnieniu. Czy Alia zacznie nagle mówić głosami z Innych Wspomnień? Ale noworodek tylko się rozglądał po ośrodku medycznym, najwyraźniej nie mogąc skupić wzroku. Alią zaopiekują się Bene Gesserit. Zrobią to w taki sam sposób, w jaki brały pod swoje skrzydła inne dziewczynki. Pierwsza Jessika, urodzona pod baczным okiem piastunek, nigdy nie poznała matki w tradycyjnym sensie tego słowa. Ani ta Jessika. Nie pozna jej też Alia ani inni ghole. Nowa córka zostanie wychowana wspólnie w zaimprovizowanej społeczności, będąc bardziej obiektem naukowej ciekawości niż miłości.

- Cóż za dziwną stanowimy wszyscy rodzinę - mruknęła Jessika.

Ludzie nigdy nie są w stanie zrobić czegoś precyzyjnie. Pomimo całej wiedzy i doświadczenia, które zdobyliśmy dzięki niezliczonym maskaradnikom będącym naszymi „ambasadorami”, mamy nadal ich chaotyczny i dezorientujący obraz. Niemniej jednak pełne błędów opisy ludzkiej historii dają zabawny wgląd w złudzenia, którymi karmi się ludzkość.

- Erazm, zapiski i analizy,
kopia zapasowa #242

Mimo ponaddwudziestoletnich wysiłków myślące maszyny nie schwytały dotąd statku pozaprzestrzennego i nie przejęły jego cennego ładunku. Nie powstrzymało to jednak komputerowego wszechumysłu przed wysłaniem ogromnej floty przeciw reszcie ludzkości.

Duncan Idaho nadal wymykał się Omniusowi i Erazmowi, którzy co rusz zarzucali swoją skrzącą się tachionową sieć w nicość, poszukując upragnionej zdobyczy. Normalnie zdolność statku pozaprzestrzennego do ukrywania się nie pozwalała go zobaczyć, ale od czasu do czasu migał on ścigającym jak coś schowanego za krzakami. Początkowo polowanie to było dla wszechumysłu wyzwaniem, ale teraz zaczynało go irytować.

- Znowu zgubiłeś ten statek - zagrzmiął Omnius przez megafony w ścianach przypominającej wnętrze katedry centralnej sali w technologicznej metropolii,

Synchronii.

- Nieprecyzyjna opinia. Żeby go zgubić, muszę go najpierw znaleźć. - Erazm starał się nadać głosowi beztroski ton, zmieniając postać miłej staruszki na bardziej znajomy wygląd robota o platynowej, elastometalowej powłoce.

Nad Erazmem wznosiły się, niczym olbrzymie, splecione koronami drzewa, metalowe wieże, tworząc sklepienie katedry maszyn. Z pobudzonych powłok filarów tryskały fotony, zalewając jego nowe laboratorium światłem. Robot zainstalował nawet jarzącą się fontannę, w której bulgotała lawa. Była to bezużyteczna dekoracja, ale Erazm często zaspokajał w ten sposób swoją starannie kultywowaną artystyczną wrażliwość.

- Nie bądź niecierpliwy - powiedział. - Pamiętaj o matematycznych przewidywaniach. Wszystko zostało precyzyjnie ustalone.

- Twoje matematyczne przewidywania mogą być mitami, jak wszystkie prorocтва. Skąd mam wiedzieć, że są poprawne?

- Ponieważ ja tak powiedziałem.

Wraz z wysłaniem floty maszyn zaczął się w końcu od dawna przepowiadany Kralizek. Kralizek... Armagedon... Bitwa na końcu wszechświata... Ragnarok... *arafel*... Koniec Czasu... Chmura-Ciemność. Był to czas fundamentalnych zmian, obrotu całego wszechświata wokół jego kosmicznej osi. Ludzkie legendy przepowiadały taki kataklizm od zarania cywilizacji. W istocie podobne kataklizmy zdarzyły się

już parę razy: Dżihad Butleriański, Dżihad Paula Muad'Diba i rządy Tyrana, Leto II. Manipulując projekcjami komputerowymi i tworząc w ten sposób oczekiwania w umyśle Omniusa, Erazm zapoczątkował wydarzenia, które doprowadzą do kolejnej fundamentalnej zmiany. Proroctwo czy rzeczywistość - porządek rzeczy naprawdę nie miał znaczenia.

Wszystkie nieskończenie złożone obliczenia Erazma, poddawanie bilionów danych najbardziej wyrafinowanym procedurom, wskazywały niczym strzałka na jeden wynik: o biegu wydarzeń pod koniec Kralizeku zdecyduje ostatni Kwisatz Haderach - bez względu na to, kto nim jest. Pokazywały również, że ów Kwisatz Haderach znajduje się na statku pozaprzestrzennym, a zatem naturalne było, że Omnius chciał, by taka potężna siła walczyła po jego stronie. Ergo, myślące maszyny musiały schwytać ten statek. Wygra ten, kto pierwszy zdobędzie władzę nad ostatnim Kwisatz Haderach.

Erazm nie w pełni rozumiał, co dokładnie ten nadczłowiek może zrobić, kiedy zostanie ostatecznie zlokalizowany i pojmany. Chociaż robot był od dawna badaczem ludzi, pozostawał myślącą maszyną, a Kwisatz Haderach nią nie był. Nowi maskaradnicy, którzy od dawna przenikali między ludzi i dostarczali ważne informacje do Zsynchronizowanego Imperium, plasowali się gdzieś pośrodku, jak hybrydowe maszyny biologiczne. On sam i Omnius wchłonęli tyle ludzkich istnień skradzionych przez maskaradników, że czasami zapominali, kim są. Pierwotni tleilaxańscy mistrzowie

nie przewidzieli znaczenia tego, co pomogli stworzyć.

Niezależny robot wiedział jednak, że musi kontrolować Omniusa.

- Mamy czas - powiedział. - Masz do podbicia galaktykę, zanim będzie nam potrzebny Kwisatz Haderach, który jest na tym statku.

- Cieszę się, że nie czekałem, aż uda ci się go schwytać.

Omnius budował swoje niewzruszone siły przez wieki. Używając tradycyjnych, ale niezwykle wydajnych silników pozwalających im osiągnąć prędkość światła, miliony statków maszyn parły teraz naprzód, rozprzestrzeniały się po galaktyce i podbijały jeden układ gwiazdny po drugim. Wszechumysł mógł wykorzystać zastępujące nawigatorów systemy, które jego maskaradnicy „dali” Gildii Kosmicznej, ale jeden element technologii Holtzmana pozostawał dla niego niepojęty. Podróż przez zagiętą przestrzeń wymagała czegoś nieokreślenie ludzkiego, nieuchwytniej „wiary”. Omnius nigdy by nie przyznał, że ta dziwaczna technologia go... onieśmiała.

Po serii próbnych potyczek nawałnica robotów przetoczyła się nad kresowymi światami ludzi i szybko je zniszczyła. Straż przednia namierzała leżące przed nią planety i rozprowadzała stworzone przez Erazma wirusy, które wywoływały śmiertelne zarazy. Kiedy główne siły floty maszyn docierały do celu, działania militarne przeciw wymierającej ludności były już często niepotrzebne. Każda bitwa, nawet starcia z odosobnionymi grupami Dostojnych Matron, była tak

samo decydująca.

Aby się czymś zająć, niezależny robot zabrał się do przeglądania strumienia danych przesyłanych mu przez flotę. To lubił najbardziej. Przemknęło przed nim brzęczące patrzydło. Odgonił je jak dokuczliwego owada.

- Jeśli pozwolisz mi się skoncentrować, Omniusie, to może znajdę jakiś sposób, żeby przyspieszyć nasze działania przeciw ludzkości.

- A skąd mam wiedzieć, że nie popełnisz kolejnego błędu?

- Stąd, że masz zaufanie do moich zdolności.

Patrzydło odleciało.

Kiedy flota maszyn miażdżyła jedną planetę ludzi po drugiej, Erazm wydał robotom biorącym udział w inwazjach dodatkowe instrukcje. Zarażeni ludzie zwijali się z bólu, wymiotując i brocząc krwią ze wszystkich porów, a zwiadowcy maszyn beztrósco przetrząsali ich bazy danych, sale zapisów, biblioteki i pozostałe źródła. Były to informacje inne od tych, które można było wyłować z istnień przypadkowo przyswojonych przez maskaradników.

Przy napływie tych wszystkich świeżych danych Erazm mógł sobie znowu pozwolić na luksus bycia naukowcem, jakim był dawno temu. Poszukiwanie prawdy naukowej zawsze było dla niego prawdziwą racją istnienia. Teraz miał więcej danych niż kiedykolwiek. Ciesząc się z tak wielkiej ilości nowych informacji, sycił swój złożony umysł surowymi faktami i historiami.

Po rzekomym zniszczeniu myślących maszyn przed ponad piętnastoma tysiącami lat płodni ludzie rozprzestrzeniali się w galaktyce, tworząc cywilizacje i obracając je w pył. Erazma intrygowało, jak po bitwie pod Corrinem ród Butlerów zbudował imperium, którym przez dziesięć tysięcy lat, z nielicznymi okresami bezkrólewia i przerwami, rządził pod nazwiskiem Corrinów, by na koniec upaść pod ciosami fanatycznego przywódcy zwanego Muad'Dibem.

P a u l A t r y d a. Pierwszy Kwisatz Haderach.

Jednak jeszcze bardziej fundamentalnej zmiany dokonał jego syn Leto II, którego nazywano Bogiem Imperatorem lub Tyranem. Ten kolejny Kwisatz Haderach - wyjątkowa hybryda człowieka i czerwia pustyni - przez trzy i pół tysiąca lat sprawował tyrańskie rządy. Po jego zabójstwie ludzka cywilizacja rozpadła się. Ludzi uciekających podczas Rozproszenia w dalekie zakątki galaktyki zahartowały trudy i niedostatek, stawali się coraz bardziej odporni, dopóki ich najgorsza odmiana - Dostojne Matrony - nie natknęła się na rozkwitające imperium maszyn...

Inne patrzydło przejrzało zapiski, które czytał Erazm. Z głośników w ścianach rozległ się grzmiący głos Omniusa.

- Sądzę, że targające nimi sprzeczności, przedstawione jako fakt, są niepokojące.

- Być może niepokojące, ale i fascynujące. - Erazm oderwał się od akt historycznych. - Ich dzieje pokazują, jak postrzegają siebie i otaczający ich wszechświat. Najwyraźniej tym ludziom trzeba kogoś, kto znowu

ujmie ich silną ręką.

Dlaczego religia jest ważna? Dlatego, że sama logika nie skłoni nikogo do ponoszenia wielkich ofiar. Tymczasem ludzie przepełnieni żarem religijnym rzucają się do walki z nieprawdopodobnymi przeciwnościami i będą uważali, że robiąc to, są błogosławieni.

- Missionaria Protectiva,
Podręcznik dla początkujących.

W trakcie pełnego napięcia zebrania w drzwiach urządzonej z chłodną ostentacją sali rady Murbelli pojawiło się dwóch robotników. Za pomocą zacisków dryfowych holowali dużego, nieruchomego robota.

- Matko Dowodząca - rzekł jeden z nich - prosiłaś, żeby dostarczyć to tutaj.

Maszyna bojowa zbudowana była z niebieskiego i czarnego metalu wzmocnionego rozpórkami i zachodzącymi na siebie płytami pancerza. W jej stożkowatej głowie mieściły się zestaw sensorów oraz przyrządy celownicze, a cztery poruszane przez silniki ramiona były owinięte kablami i wyposażone w broń. Uszkodzony podczas niedawnej potyczki robot bojowy miał na masywnym tułowie czarne smugi w miejscach, w których wyładowania wysokiej energii zniszczyły jego procesory. Maszyna była wyłączona, martwa, pokonana, ale nawet w takim stanie wyglądała niczym rodem z koszmarnego snu.

Doradczynie Murbelli, zaskoczone tym widokiem,

przerwały dyskusje i spory i patrzyły w milczeniu na potężnego robota. Wszystkie zgromadzone w sali kobiety ubrane były w proste czarne trykoty nowego zgromadzenia żeńskiego. Zasada ujednoliconego stroju nie pozwalała im nosić żadnych oznak, które wskazywałyby na to, że wywodziły się z Bene Gesserit lub Dostojnych Matron.

Murbella skinęła na mających przestraszone miny robotników.

- Wciągnijcie tę rzecz do środka, żebyśmy widziały ją, ilekroć będziemy rozmawiały o wrogu. Dobrze nam zrobi, jeśli będzie to nam stale przypominało o przeciwniku, z którym mamy do czynienia.

Mimo zacisków dryfowych mężczyźni nieźle się napocili, zanim wtaszczyli maszynę do sali. Murbella podeszła zdecydowanym krokiem do masywnego robota i popatrzyła wyzywająco w jego matowe sensory optyczne. Potem spojrzała z dumą na córkę.

- Ten okaz przywiozła po bitwie pod Duvalle baszar Idaho - oznajmiła.

- Powinno się to wyrzucić na złomowisko. Albo wystrzelić w przestrzeń - powiedziała Kiria, twarda była Dostojna Matrona. - A jeśli ta maszyna ma nadal bierne oprogramowanie szpiegowskie?

- Została dokładnie wyczyszczona - odparła Janess Idaho. Jako nowa komendantka sił wojskowych zgromadzenia stała się bardzo pragmatyczną kobietą.

- To trofeum, Matko Dowodząca? - zapytała Laera, ciemnoskóra Matka Wielebna, która często wspierała po cichu Murbellę. - A może jeniec?

- To jedyny nienaruszony robot, jakiego znalazły nasze armie. Zniszczyłyśmy cztery statki maszyn, zanim wycofałyśmy się i pozwoliłyśmy im zniszczyć planetę. Spuściły już swoją zarazę na Ronto i Pitala. Nikt nie przeżył. Straty w ludziach idą w miliardy.

Duvalle, Ronto i Pital nie były jedynymi, a tylko ostatnimi ofiarami armii maszyn w jej nieprzerwanym marszu przez graniczne układy gwiazdne. Z powodu odległości i potęgi nacierających statków na Kapitularz docierały szczątkowe i często nieaktualne już raporty. Ze stref walk na obrzeżach Rozproszenia napływały w głąb Starego imperium fale uciekinierów i kurierzy.

Murbella odwróciła się tyłem do unieszkodliwionego robota i spojrzała na siostry.

- Wiedząc, że nadciąga burza, możemy się po prostu ewakuować, porzucić wszystko, co mamy - powiedziała. - To sposób Dostojnych Matron.

Niektóre siostry wzdrygnęły się na te słowa. Dawno temu Dostojne Matrony wybrały ucieczkę przed wrogiem, łupiąc wszystkie światy po drodze i wierząc w to, że zawsze będą o krok przed zawieruchą. Dla nich Stare Imperium było jedynie prymitywną barykadą, którą mogły wznieść na szlaku wroga w nadziei, że powstrzyma go wystarczająco długo, by zdążyły pierzchnąć.

- A l b o - ciągnęła - możemy zabić okna deskami, wzmocnić ściany i stawić opór. I mieć nadzieję, że przetrwamy.

- To nie jest zwykła burza, Matko Dowodząca - powiedziała Laera. - Już dają się odczuć jej skutki.

Masa uchodźców z frontu jest tak wielka, że ich utrzymanie przekracza możliwości światów drugiej linii, których ludność również przygotowuje się do ewakuacji. Ci ludzie nie zatrzymają się nagle, by walczyć.

- Jak przemoczone szczury tłoczące się w kącie tonącej łodzi - mruknęła Kiria.

- I to mówi jedna z Dostojnych Matron, które robiły dokładnie to samo - odezwała się Janess z końca stołu, po czym starała się ukryć ten komentarz, głośno siorbiąc kawę przyprawową.

Kiria łypnęła na nią ze złością.

- Nasza, Dostojnych Matron, przeszłość będzie się zawsze kłaść na nas cieniem - powiedziała Murbella. - Przez swoją pychę i skłonność do tego, by najpierw atakować, a dopiero potem myśleć, dziwki spowodowały te wszystkie problemy.

Szukając w głębi umysłu i w mrokach dziejów, ona pierwsza przypomniała sobie, jak głupio jej dawno już nieżyjące siostry sprowokowały myślące maszyny.

Irytowało ją, że Kiria nie kryła oburzenia, wyraźnie nadal utożsamiając się z Dostojnymi Matronami.

- Ty sama wyjawiałaś, dlaczego Dostojne Matrony są tym, kim są, Matko Dowodząca - powiedziała Kiria. - Wywodzą się z torturowanych tleilaxańskich kobiet, Matek Wielebnych, które wyparły się swojego dziedzictwa, i nielicznych rybomównych. Miały prawo do zemsty!

- Ale nie miały prawa do głupoty! - warknęła Murbella. - Bolesna przeszłość nie dawała im prawa do

atakowania wszystkiego, co napotkały. Nie mogły uspokoić sumienia, udając, że wiedzą, co robią, kiedy napadły na wysuniętą placówkę maszyn i ukradły broń, której nie znały. - Zdobyła się na lekki uśmiech. - Mogę jedynie zrozumieć, chociaż nie pochwalam tego ani nie usprawiedliwiam, ich zemstę na światach Tleilaxan. Dzięki Innym Wspomnieniom wiem, co Tleilaxanie zrobili moim przodkiniom... p a m i ę t a m, jak byłam jedną z ich ohydnych kadzi aksolotlowych. Ale żeby była pełna jasność - tego rodzaju prowokacyjny i kiepsko zaplanowany akt agresji wpędził rodzaj ludzki w ogromne kłopoty. No i same widzicie, co nam teraz grozi!

- Jak możemy wzmocnić nasze siły i przygotować się do stawienia czoła tej burzy, Matko Dowodząca? - Pytanie to zadała stara Accadia, Matka Wielebna, która mieszkała w archiwach kapituły. Prawie nie sypiała i rzadko kiedy wystawiała swoją pergaminową skórę na promienie słońca. - Jakie mamy środki obrony?

W rogu sali, gdzie postawili go robotnicy, zdawał się z nich drwić zwalisty robot bojowy.

- Mamy broń: religię. Zwłaszcza S z i e n ę.

- Sziena jest dla nas zupełnie nieprzydatna! - zaoponowała Janess. - Jej wyznawcy wierzą, że zginęła na Rakis dziesiątki lat temu.

Kapłani na Rakis zrobili kiedyś wiele szumu wokół dziewczyny, która potrafiła rozkazywać czerwiom. Bene Gesserit wykorzystały to i stworzyły załączki religii, której centralną postacią była Sziena, a zagłada Diuny tylko posłużyła szerszym celom zgromadzenia.

Po jej rzekomej śmierci trzymano uratowaną dziewczynę w odosobnieniu na Kapitularzu, żeby pewnego dnia mogła z wielką pompą „powstać z grobu”. Niestety, Sziena uciekła ponad dwadzieścia lat temu z Duncanem statkiem pozaprzestrzennym.

- Nie musimy mieć akurat jej. Znajdźcie po prostu siostry, które są do niej podobne, i zróbcie im odpowiedni makijaż oraz niezbędne korekty rysów twarzy. - Murbella stuknęła się koniuszkami palców w usta. - Tak, zaczniemy z dwunastoma nowymi Szienami. Rozmieście je na światach, na których schronili się uchodźcy, ponieważ najbardziej łatwowierni będą ci, którzy ocaleli. Zmartwychwstała Sziena ukaze się wszędzie jednocześnie... jako mesjasz, wizjonerka i przywódczyni.

- Badania genetyczne wykazały, że to oszustki - powiedziała nadzwyczaj rozsądnym tonem Laera. - Kiedy ludzie zobaczą, że próbowałyśmy ich oszukać, twój plan obróci się przeciw nam.

Kiria pomyślała już o oczywistym rozwiązaniu.

- Możemy kazać lekarkom Bene Gesserit - lekarkom Akademii Suka - przeprowadzić te badania... i skłamać.

- Nie lekceważcie też naszego największego atutu. - Murbella wyciągnęła rękę jak żebrak proszący o jałmużnę. - Ci ludzie chcą wierzyć. Nasza Missionaria Protectiva od tysięcy lat wpajała ludności różnych planet wierzenia religijne. Teraz musimy wykorzystać te techniki już nie dla naszej ochrony, ale jako broń, środek wpływu na armie. Już nie jako bierną ochronę, lecz aktywną siłę. Missionaria Aggressiva.

Wydawało się, że pozostałym kobietom, zwłaszcza Kirii, spodobał się ten pomysł. Accadia patrzyła z nachmurzoną miną na swoje arkusze ryduliańskiego papieru krystalicznego, jakby starała się znaleźć zapisane tam gęstym pismem gruntowne odpowiedzi.

Murbella obrzuciła robota bojowego wyzywającym spojrzeniem.

- Tych dwanaście Szien weźmie ze sobą przyprawę z naszych zapasów - ciągnęła. - Głosząc swoje słowo, będą hojnie rozdawać melanz. Każda powie, że Szejtan objawił jej we śnie, iż przyprawa wkrótce znowu popłynie obficie. Chociaż Rakis została zniszczona jak Sodoma i Gomora, pojawi się wiele nowych Diun. Ona, Sziena, im to obiecuje.

Przed laty istotnie wysłano w tajemnicy na Rozproszenie grupy Matek Wielebnych z trociami piaskowymi, by wprowadziły je na dodatkowe planety i stworzyły więcej pustynnych światów dla czerw.

- Fałszywi prorocy i rzekomi mesjasze. To już było - powiedziała Kiria znudzonym głosem. - Wyjaśnij, jakie przyniesie to nam korzyści.

Murbella spojrzała na nią z wyrachowanym uśmiechem.

- Wykorzystamy szeroko rozprzestrzenione przesady. Ludzie wierzą, że muszą przejść okres cierpień i wyrzeczeń, zanim nastanie epoka powszechnej szczęśliwości. Wiara w ten cykl jest równie stara jak większość tradycyjnych religii, istniała na długo przed Pierwszym Wielkim Ruchem i zensunnickim hadżdżem. A zatem przykroimy ją stosownie do naszych celów.

Myślące maszyny są tym wielkim złem, które musimy zwyciężyć, zanim ludzkość będzie mogła zebrać owoce swoich wysiłków. - Obróciwszy się do wiekowej opiekunki archiwów, powiedziała: - Accadio, przeczytaj wszystko, co uda ci się znaleźć o Dżihadzie Butleriańskim i o tym, w jaki sposób Serena Butler prowadziła swoje siły. A także o tym, jak robił to Paul Muad'Dib. Możemy nawet twierdzić, że zaczął to dla nas przygotowywać Tyran. Przestudiuj jego pisma i wyrwij z kontekstu fragmenty, które potwierdzą nasze przesłanie, żeby ludzie byli przekonani, że obecna wojna jest owym od dawna przepowiadany konfliktem w skali całego wszechświata: K r a l i z e k i e m. Jeśli uwierzą w te proroctwa, będą walczyć jeszcze długo po tym, jak znikną wszelkie realne przesłanki dające nadzieję na zwycięstwo. - Gestem odesłała zgromadzone w sali kobiety do ich zadań. - Tymczasem zorganizuję spotkanie z Ixanami i Gildią. Richese została zniszczona, więc zażadam, żeby przestawili cały swój przemysł na potrzeby wojny. Musimy stawić opór za pomocą wszelkich środków, jakie jest w stanie zgromadzić rodzaj ludzki.

- A jeśli te stare proroctwa okażą się prawdziwe? - zapytała Accadia, wychodząc. - Jeśli rzeczywiście jest to Koniec Czasu?

- To nasze wysiłki są tym bardziej usprawiedliwione. I mimo to będziemy walczyć. Tylko to możemy zrobić. - Odwróciwszy się do robota, Murbella przemówiła do niego, jakby nadal mógł ją słyszeć: - Oto, jak was pokonamy.

Jestem strażnikiem prywatnej wiedzy i niezliczonych tajemnic. Nigdy się nie dowiesz, co wiem! Litowałbym się nad tobą, gdybyś nie był niewiernym.

- *Miraż na drodze do szariatu,*
apokryficzny tekst tleilaxański

Żaden pasażer ogromnego liniowca Gildii nigdy by nie zgadł, co pod jego nosem robili nawigator i jego trzymany w ukryciu tleilaxański mistrz.

Strzegąc zazdrośnie zapasów melanżu, czarownice Bene Gesserit przyparły Gildię Kosmiczną do muru i zmusiły ją do wyboru drastycznej alternatywy. Stojąca wobec widma śmierci głodowej frakcja nawigatorów nalegała na Waffa, by szybciej ukończył swoje zadanie. Zresztą sam tleilaxański mistrz wiedział, że musi się spieszyć, bo i jemu groziła zagłada, aczkolwiek z innych powodów.

Odwróciwszy się tyłem do obiektywu kamery obserwacyjnej, Waff spożył ukradkiem jeszcze jedną dawkę melanżu. Ów cynamonowy proszek dostarczono mu wyłącznie dla potrzeb naukowych. Dotknął ustami i językiem palącej substancji i zamknął w ekstazie oczy. Taka mała ilość - zaledwie tyle, by poczuć smak - wystarczała w tych czasach, by kupić dom w jakiejś kolonii! Tleilaxanin poczuł w słabnącym ciele przypływ energii. Edryk nie pożałowałby tej odrobiny melanżu, by pomóc mu jasno myśleć. Tleilaxańscy mistrzowie przenosili się z jednego ciała do następnego w

gwarantującym nieśmiertelność łańcuchu gholi. Wielka Wiara nauczyła ich cierpliwości i długofalowego planowania. Czyż sam Boży Wysłannik nie przeżył trzech i pół tysiąca lat? Niestety, zakazane techniki przyspieszyły rozwój tego Waffa w kadzi aksolotlowej. Życie gholi spalało się w komórkach jego ciała niczym las w ogarniających go płomieniach, przenosząc go w ciągu zaledwie kilku lat z niemowlęstwa, przez dzieciństwo, w dojrzałość. Odtworzenie pamięci Tleilaxanina było niedoskonałe i przywróciło mu tylko fragmenty jego przeszłości i wiedzy.

Uciekając przed Dostojnymi Matronami, Waff zmuszony był szukać schronienia u nawigatorów. Skoro Edryk i jego towarzysze sfinansowali jego wskrzeszenie, dlaczego nie miałyby prosić ich o azyl? Chociaż nie pamiętał sposobu wytwarzania melanżu w kadziach aksolotlowych, twierdził, że jest w stanie dokonać niemożliwego - wskrzesić wymarłe rzekomo czerwie. Byłoby to znacznie bardziej spektakularne, a przy tym konieczne rozwiązanie.

Edryk dał mu do dyspozycji odizolowane od reszty liniowca laboratorium, wyposażone we wszystkie narzędzia badawcze, sprzęt techniczny i materiał genetyczny, jakiego Waff mógł potrzebować. Tleilaxanin robił to, czego żądali od niego nawigatorzy. Wskrzeszenie wspaniałych czerwii, które zostały wytepione na Rakis, stwarzałoby możliwość produkcji przyprawy, a jednocześnie ponownego sprowadzenia Proroka.

„Muszę to zrobić! - pomyślał. - Niepowodzenie nie

wchodzi w rachubę".

Z powodu przyspieszonej dojrzałości Waff niezbyt długo zachowa szczytową formę - dobre zdrowie i bystry umysł. Miał bardzo dużo do zrobienia, nim zacznie się nieunikniony szybki proces fizycznej i intelektualnej degeneracji. Ogromna odpowiedzialność pobudzała go do działania.

„Skup się! - powtarzał sobie w myślach. - Skup się!" Wdrapał się na stołek i zajrzał do plazowego zbiornika pełnego piasku z Rakis. Z Diuny. Ze względu na religijne znaczenie planety ci wierni, którzy nie mogli sobie pozwolić na pielgrzymkę, zadowalali się traktowanymi przez nich jak relikwie fragmentami kamieni z ruin pałacu Muad'Diba lub skrawkami płótna przyprawowego z wyhaftowanymi powiedzeniami Leto II. Nawet najubożsi z pobożnych wyznawców chcieli mieć choćby próbkę rakańskiego piasku, by przyprószyć nim koniuszki palców i wyobrażać sobie, że są bliżej Podzielonego Boga. Nawigatorzy zdobyli setki metrów sześciennych autentycznego piasku z Rakis. Chociaż było wątpliwe, by miejsce pochodzenia ziaren miało jakikolwiek wpływ na próby odtworzenia czerwii, Waff wolał usunąć wszystkie przypadkowe zmienne.

Pochylił się nad otwartym zbiornikiem, zebrał ślinę w ustach i pozwolił, by duża jej kropla spadła na miękki piasek. Pod powierzchnią zrobił się ruch i zaczęły się kłębić jak piranie w akwarium małe kształty, starając się pochwycić wdzierającą się odrobinę wilgoci. W innym miejscu, dawno temu wśród Fremenów, spluwanie -

dzielenie się własną wilgocią - było oznaką szacunku. Waff zrobił to, by zwabić trocie piaskowe na powierzchnię.

Maleńkie stworzyciele. Okazy troci o wiele cenniejsze nawet od piasku z Diuny.

Przed laty Gildia przechwyciła lecący z tajną misją statek Bene Gesserit z trociami piaskowymi w ładowni. Kiedy czarownice odmówiły ujawnienia celu swojej misji, zostały zabite, trocie przejęła Gildia, a kapituła nigdy się o tym nie dowiedziała.

Gdy dotarła do niego wieść, że Gildia posiada trochę niedojrzałych osobników tego pośredniego stadium rozwoju czerwi, Waff zażądał ich do swojej pracy. Wprawdzie nie mógł sobie przypomnieć, jak można wytwarzać melanz w kadziach aksolotlowych, ale ten eksperyment zapowiadał się znacznie lepiej. Wskrzeszając czerwie, Waff mógłby przywrócić nie tylko melanz, ale samego Proroka!

Nie bojąc się troci, sięgnął małą ręką do środka. Złapawszy jedno ze skórzastych stworzeń za bok, wyciągnął je, trzepocące się, z piasku. Kiedy troć wyczuła wilgoć w pocie Waffa, owinęła się wokół jego palców i dłoni. Wbił kilka razy rękę w piasek, zmieniając kształt zwierzęcia.

- Mała trocio, jakie masz dla mnie sekrety? - powiedział.

Zacisnął dłoń, a wtedy istota utworzyła wokół niej coś w rodzaju żelowej rękawiczki. Tleilaxanin czuł, jak wysycha mu skóra.

Podszedł z trocią piaskową do pustego stołu

laboratoryjnego i postawił na nim szeroką i głęboką miskę. Starał się odwinąć troć z dłoni, ale ilekroć odciągał tę błonę, przywierała z powrotem do jego skóry. Czując zupełną suchość w dłoni, wlał do miski kubek wody. Troć, przyciągnięta większą ilością cieczy, szybko wskoczyła do niej. Woda była zabójczą trucizną dla czerwi, ale nie dla troci, ich larwalnego stadium. Zanim przeobraziły się w dojrzałą postać, miały zupełnie odmienną biochemię. Był to paradoks. Jak to możliwe, by to stworzenie w jednym stadium tak bardzo przyciągała woda, która w następnym je zabijała?

Zginając i rozprostowując palce, by pozbyć się nienaturalnej suchości, Waff patrzył zafascynowany, jak troć pochłania wodę. Larwa instynktownie zbierała wilgoć, by stworzyć idealnie suche środowisko dla dojrzałego osobnika. Z tych wspomnień z poprzedniego życia, które w nim zostały, wiedział o starożytnych tleilaxańskich eksperymentach przenoszenia dorosłych czerwi. Nawet w najsurowszych warunkach panujących na innych światach było za dużo wilgoci, by mogła tam przetrwać tak delikatna - delikatna? - forma życia jak czerwie pustyni.

Waffowi przyszedł jednak do głowy inny pomysł. Może zamiast zmieniać planety tak, by powstało tam odpowiednie środowisko dla czerwi, mógłby zmienić czerwie w ich niedojrzałym stadium rozwoju i pomóc im się przystosować do innych warunków. Tleilaxanie rozumieli język Boga, a dzięki genialnym talentom do genetyki wielokrotnie osiągalni to, co wydawało się niemożliwe. Czyż Leto II nie był Bożym

Prorokiem? Wskreszenie go było obowiązkiem Waffa.

Sam pomysł i chromosomalna mechanika wydawały się proste. W pewnym momencie rozwoju czerwia jakiś wyzwalacz zmieniał chemiczną reakcję tego stworzenia na substancję tak prostą jak woda. Gdyby udało mu się znaleźć ów wyzwalacz i zablokować go, trocie piaskowe rozwijałyby się i dojrzewały, ale bez śmiertelnej awersji do wody. To dopiero byłby prawdziwy cud!

Ale czy poczwarka przeistoczyłaby się w wielką ćmę, gdyby uniemożliwiono jej uplecenie kokonu? Będzie musiał być bardzo ostrożny. Jeśli dobrze rozumiał, co czarownice zrobiły na Kapitularzu, znaczyłoby to, że odkryły sposób wprowadzenia troci piaskowych do środowiska swojego świata. Znalazłszy się tam, trocie rozmnożyły się i zaczęły niepowstrzymany proces niszczenia (przetwarzania?) całego ekosystemu. Z pokrytej bujną roślinnością planety w suche pustkowienie. Zmienia w końcu ten świat w pustynię, na której będą mogły się odrodzić i przetrwać czerwie.

Pojawiały się coraz to nowe pytania. Dlaczego uciekające Bene Gesserit wiozły na swoich statkach trocie piaskowe? Czy próbowały rozprzestrzenić je i stworzyć w ten sposób więcej pustynnych planet? Siedlisk dla czerwii? Taki plan wymagałby ogromnych wspólnych wysiłków, a jego realizacja, zniszczenie endemicznych form życia na poszczególnych planetach, zajęłaby dziesiątki lat. Byłoby to nieefektywne.

Waff miał rozwiązanie, które szybciej przyniosłoby wyniki. Gdyby udało mu się wyhodować odmianę

czerwi, które tolerowałyby wodę, a nawet dobrze się rozwijały w jej obecności, można by je było przesiedlić na niezliczone światy, a tam szybko by rosły i mnożyły się! Nie trzeba by było rekonstruować ich pierwotnego środowiska, by zaczęły wytwarzać melanz. Już samo to pozwoliłoby skrócić cały proces o dziesiątki lat, których Waff po prostu nie miał. Zmodyfikowane przez niego czerwie dostarczyłyby tyle przyprawy, ile tylko zapragnęliby nawigatorzy... a przy tym posłużyłyby jego celom.

„Pomóż mi, Proroku!”

Troć wchłonęła wodę z miski i teraz stopniowo pełzła po jej dnie i bokach, badając granice. Waff przyniósł i położył na stole laboratoryjnym narzędzia badawcze i chemikalia - alkohole, kwasy, palniki i ekstraktry.

Najtrudniejsze było pierwsze cięcie. Potem zaczął pracować na bezkształtnym, wijącym się stworzeniu, by wydobyć jego genetyczne tajemnice.

Miał najlepsze analizatory DNA i sekwensery genów, jakie mogła uzyskać Gildia... i faktycznie były bardzo dobre. Troć długo umierała, ale Waff był pewien, że Prorok nie miałby nic przeciw temu.

Z porów mojej skóry wydobywa się fetor.
Odór śmierci.

- Scytale, ostatni znany mistrz tleilaxański

Małe dziecko o szarej skórze patrzyło z niepokojem na swoją starszą kopię.

- To jest obszar o ograniczonym dostępie - powiedziało. - Baszar będzie na nas bardzo zły.

Starszy Scytale zmarszczył brwi, zawiedziony, że dziecko, które czeka tak wspaniała przyszłość, może być takie bojaźliwe.

- Ci ludzie nie mają prawa narzucać mi, żadnej wersji mnie, jakichkolwiek reguł! - Scytale wiedział, że mimo lat przygotowywania go, uczenia i nalegania mały ghola nadal nie pojmuje, kim jest. Mistrz tleilaxański zakasłał i skrzywił się z bólu, nie będąc w stanie pomniejszyć swoich problemów zdrowotnych. - Musisz obudzić swoje genetyczne wspomnienia, zanim będzie za późno!

Dziecko podążało za starszym sobą ciemnym korytarzem statku pozaprzestrzennego, ale za bardzo trzęsły mu się nogi, by mogło iść ukradkowym krokiem. Zgrzybiały Scytale potrzebował od czasu do czasu pomocy swojego dwunastoletniego „syna”. Każdy dzień, każda lekcja powinny przybliżać młodszego do przełomowego punktu, w którym swobodnie popłyną wspomnienia zakodowane w jego umyśle. Wtedy stary Scytale będzie mógł w końcu pozwolić sobie umrzeć.

Przed laty zmuszony był wyciągnąć swoją jedyną kartę przetargową - ukryty cenny materiał komórkowy -

by przekupić czarownice. Miał im za złe, że postawiły go w takiej sytuacji, ale w zamian za stworzenie bohaterów z przeszłości, których potrzebowały do swoich celów, Sziena zgodziła się, by wykorzystał jedną z kadzi aksolotlowych do wyhodowania swojego klona. Miał nadzieję, że nie zrobił tego za późno.

Już od lat z każdym dniem, z każdym zdaniem, zwiększał się nacisk na młodszego Scytale'a. Jego „ojciec”, ofiara planowego zaniku komórek, wątpił, czy ma przed sobą jeszcze choćby rok życia. Jeśli chłopiec nie odzyska wkrótce swoich - jego - wspomnień, przepadnie cała wiedza Tleilaxan. Na myśl o tej ponurej perspektywie stary Scytale skrzywił się z bólu większego niż jakiegokolwiek cierpienia fizyczne.

Dotarli na jeden z pustych dolnych poziomów, na którym była niezauważona dotąd przez żadnego z pozostałych pasażerów komora testowa.

- Wykorzystam ten sprzęt dydaktyczny *powindah*, by pokazać ci, jak Tleilaxanie mieli żyć zgodnie z Bożą wolą.

Ściany były gładkie i zakrzywione, lumipanele nastawione na przyćmione pomarańczowe światło. Pomieszczenie wydawało się pełne ciężarnych łon - zaokrąglonych, zwiotczających, bezmyślnych - kobiet w takim stanie, w jakim miały służyć naprawdę cywilizowanemu społeczeństwu.

Scytale uśmiechnął się na ten widok, natomiast chłopiec rozglądał się ciemnymi oczami.

- Kadzie aksolotlowe - powiedział. - Tak ich dużo! Skąd się tutaj wzięły?

- Niestety to tylko holograficzne projekcje - rzekł stary Scytale.

Wysokiej klasy symulacja obejmowała również dźwięki dochodzące z kadzi oraz zapachy chemikaliów, środków dezynfekujących i medykamentów.

Kiedy Scytale stał tam, otoczony wspaniałymi obrazami, czuł skurcz w sercu na widok ojczyzny, za którą tak tęsknił, teraz doszczętnie zniszczonej. Przed laty, zanim pozwolono im postawić stopę w świętym Bandalongu, zarówno on, jak i wszyscy pozostali Tleilaxanie musieli przejść długi proces oczyszczenia. Odkąd uciekł przed Dostojnymi Matronami, zachowując jedynie życie i parę kart przetargowych, starał się w miarę możliwości przestrzegać rytuałów i praktyk religijnych - i energicznie uczył ich młodego ghole - ale krępowały go różne ograniczenia. Już od dawna nie czuł się dostatecznie czysty. Wiedział jednak, że Bóg to zrozumie.

- Oto, jak wyglądało typowe pomieszczenie hodowlane - powiedział. - Patrz uważnie. Chłoń ten widok. Przypomnij sobie, jak wyglądało, jakie powinno być. Stworzyłem te obrazy na podstawie moich wspomnień, a te same wspomnienia są w tobie. Znajdź je.

Powtarzał to i powtarzał, wbijając dziecku do głowy. Jego młodsza wersja była dobrym uczniem, bardzo inteligentnym, i znała wszystkie te informacje, bo nauczyła się ich na pamięć, ale nie czerpała ich z głębi duszy.

Sziena i pozostałe czarownice nie miały pojęcia, w

obliczu jakiego kryzysu stoi, a może nic ich to nie obchodziło. Bene Gesserit niezbyt dobrze rozumiały niuanse przywracania wspomnień gholi, nie potrafiły rozpoznać chwili, w której był do tego idealnie gotowy... ale Scytale nie mógł sobie pozwolić na luksus czekania. To dziecko na pewno było w odpowiednim wieku. Powinien się obudzić! Wkrótce będzie ostatnim Tleilaxaninem i nie pozostanie nikt, kto mógłby rozbudzić w nim wspomnienia.

Kiedy młodszy Scytale patrzył na rzędy kadzi, jego twarz przybrała wyraz nabożnego lęku i podziwu. Chłonał to wszystko.

„Dobrze” - pomyślał starszy.

- Ta kadź w drugim rzędzie mnie urodziła - powiedział chłopiec. - Zgromadzenie żeńskie nazywa ją Rebecą.

- Kadź nie ma imienia. Nie jest osobą i nigdy nie była. Nawet gdy potrafiła mówić, była tylko kobietą. My, Tleilaxanie, nigdy nie nadajemy imion naszym kadziom ani kobietom, którymi one były.

Poszerzył obraz i ściany rozplynęły się w projekcji ogromnego budynku hodowlanego z mnóstwem kadzi. Na zewnątrz widać było wieże i ulice Bandalongu. Te wizualne wskazówki powinny wystarczyć, ale Scytale żałował, że nie może dodać innych szczegółów zmysłowych, takich jak zapachy rozrodcze kobiet, dotyk promieni słońca świecącego nad ojczyzną, dającej pociechę wiedzy niezliczonych Tleilaxan wypełniających ulice, budynki i świątynie.

Czuł się rozpaczliwie samotny.

- Nie powinienem już żyć i stać przed tobą - powiedział. - Razi mnie to, że jestem stary i obolały. Kehl prawdziwych mistrzów powinien był już dawno poddać mnie eutanazji i pozwolić mi żyć w świeżym ciele gholi. Ale to nie są odpowiednie czasy.

- To nie są odpowiednie czasy - powtórzył chłopiec jak echo, wycofując się tyłem przez jeden ze szczegółowych hologramów. - Musisz robić rzeczy, których normalnie byś nie tolerował. Musisz uciekać się do heroicznych środków, by pozostać przy życiu wystarczająco długo, aby mnie obudzić, obiecuję ci więc całym sercem, że stanę się S c y t a l e ' e m. Zanim będzie za późno.

Proces przebudzenia gholi nie był ani prosty, ani szybki. Rok po roku Scytale stosował różne formy nacisku, przypominania i naginania myśli chłopca. Każda lekcja, każdy wymóg były niczym kamyki dokładane do sterty, która rosła coraz wyżej, i pewnego dnia kolejny kamyk położony na ten niestabilny stos spowoduje lawinę. Ale tylko Bóg i jego Prorok wiedzieli, który kamyk pamięci doprowadzi do zawalenia się tej przeszkody.

Chłopiec przyglądał się przemykającym przez twarz mentora rozmaitym nastrojom. Nie wiedząc, co innego może zrobić, zacytował podnoszącą na duchu lekcję ze swojego katechizmu:

„Kiedy nie można dokonać wyboru, trzeba zawsze wybrać drogę Wielkiej Wiary. Tymi, którzy pragną, by ich prowadzono, kieruje Bóg”.

Wydawało się, jakby sama myśl o tym zużyła resztę

energii Scytale'a, bo osunął się na krzesło i starał odzyskać siły. Kiedy ghola podszedł szybko i stanął obok niego, Scytale pogładził ciemne włosy swojego drugiego „ja”.

- Jesteś młody, może za młody - powiedział.

Chłopiec położył w geście pocieszenia rękę na ramieniu starego.

- Będę się starał... przyrzekam. Będę pracował nad tym tak usilnie, jak zdołam.

Zacisnął powieki i zdawał się pchać, jakby zmagając się z niematerialnymi murami w swoim mózgu. W końcu, zlany potem, poddał się.

Starszy Scytale był przybity. Użył już wszystkich technik, jakie znał, by popchnąć tego ghole na skraj. Kryzys, paradoks, rozpacz. Ale odczuwał to bardziej niż chłopiec. Wiedza kliniczna okazała się po prostu niewystarczająca.

Czarownice użyły jakichś seksualnych sztuczek, by sprowadzić z powrotem baszara Milesa Tega, kiedy jego ghola miał zaledwie dziesięć lat, a zatem następcą Scytale'a przekroczył ten punkt już o dwa lata. Ale tleilaxański mistrz nie mógł znieść myśli o Bene Gesserit używających swoich nieczystych ciał do złamania tego chłopca. Tak wiele już poświęcił, sprzedając większość duszy za promyk nadziei dla swojej rasy. Sam Prorok odwróciłby się od niego ze wstrętem. Tylko nie to!

Ujął głowę w dłonie.

- Jesteś wadliwym gholą - powiedział. - Powinienem był wyrzucić twój płód dwanaście lat temu i zacząć od

nowa!

- Skoncentruję się i wypchnę wspomnienia z moich komórek! - Głos chłopca był szorstki jak rozerwane włókna.

Tleilaxański mistrz czuł przygniatający go smutek.

- To proces instynktowny, nie intelektualny. To musi przyjść do ciebie samo. Jeśli twoje wspomnienia nie wróca, będziesz dla mnie bezużyteczny. Dlaczego miałbym pozwolić ci żyć?

Widać było, że chłopiec zmaga się ze sobą, ale Scytale nie dostrzegł w jego oczach żadnego błysku podziwu, lęku i ulgi, żadnego nagłego przypływu doświadczeń życiowych. Obu Tleilaxan otoczyła niemal namacalna aura porażki. Scytale czuł, jak z każdą chwilą coraz bardziej uchodzi z niego życie.

Los naszego rodzaju zależy od działań niesamowitego zbioru odmieńców.

- Bene Gesserit,
studium ludzkiej kondycji

Baron Vladimir Harkonnen dobrze sobie radził w swoim drugim życiu. Mając zaledwie siedemnaście lat, przebudzony ghola był już panem na dużym zamku pełnym antyków i sług spełniających każdy jego kaprys. Co więcej, był to zamek Kaladan, siedziba rodu Atrydów. Siedział na tronie ze stopionych czarnych kamieni szlachetnych, spoglądając z wysoka na obszerną salę audiencyjną i zajmujących się swoimi obowiązkami pachołków. Pompa i dostojęństwo, cała ta otoczka, na którą zasługiwał członek rodu Harkonnenów.

Jednak mimo pozorów ghola barona miał bardzo mało realnej władzy i wiedział o tym. Miriady maskaradników stworzyły go w określonym celu i chociaż obudziły się jego wspomnienia, trzymano go na krótkiej smyczy. Zbyt wiele ważnych pytań pozostawało bez odpowiedzi i zbyt wiele było poza jego kontrolą. Nie podobało mu się to.

Maskaradników najwyraźniej o wiele bardziej interesował młody ghola Paula Atrydy - ten, którego nazywali „Paolo”. To on był dla nich łakomym kąskem. Ich przywódca, Khrone, powiedział, że ta planeta i odbudowany zamek istnieją w jednym tylko celu: dla wyzwolenia wspomnień Paola. Baron był

jedynie środkiem do osiągnięcia tego celu i w „sprawie Kwisatz Haderach” miał drugorzędne znaczenie.

Żywił z tego powodu urazę do atrydzkiego bachora. Chłopiec miał dopiero osiem lat i musiał się jeszcze wiele nauczyć od swojego mentora, chociaż baron nie ustalił dotąd, czego właściwie chcą od niego maskaradnicy.

- Wychowaj go i przygotuj. Dopilnuj, żeby był gotów stawić czoło swojemu przeznaczeniu - powiedział Khrono. - Jest pewna potrzeba, którą musi zaspokoić.

„Pewna potrzeba - irytował się baron. - Ale jaka?”

- *Jesteś jego dziadkiem.* - W jego głowie odezwał się drażniący głos Alii. - *Dobrze się nim opiekuj.*

Ta dziewczynka bez przerwy drwiła z niego. Czekala na niego w jego umyśle, odkąd odzyskał wspomnienia. W jej głosie nadal słyszeć było dziecięce pieszcznienie się, jak wtedy, kiedy zabiła go zatrutą igłą gom dżabbar.

- Wolałbym zaopiekować się tobą, mały Zły Duchu! - wrzasnął. - Skręciłbym ci kark... raz, dwa, trzy razy! Urwałbym ci tę łepetynę! Ha!

- *Ale to twoja głowa, baronie.*

Przycisnął dłonie do skroni.

- Zostaw mnie!

Widząc, że ich pan jest sam w sali, służący popatrzyli na niego z niepokojem. Baron, gotując się ze złości, osunął się na lśniący czarny tron. Rozwścieczywszy go, Alia jeszcze raz szepnęła szyderczo jego imię i zamilkła.

Akurat wtedy do sali wkroczył zawadiacki i zarozumiały Paolo ze świtą androginicznych

maskaradników, którzy odgrywali rolę jego ochrony. Chłopiec promieniował zbytnią pewnością siebie, co barona zarazem fascynowało i irytowało.

Baron Vladimir Harkonnen i ten drugi Paul Atryda byli ze sobą nierozzerwalnie związani, jednocześnie przyciągali się i odpychali jak dwa silne magnesy. Kiedy baronowi przywrócono wspomnienia i w wystarczającym stopniu zrozumiał, kim jest, sprowadzono Paola na Kaladan i powierzono go czulej opiece Vladimira... grożąc, że spotkają go straszne konsekwencje, jeśli chłopcu coś się stanie.

Z wysokości swego czarnego tronu baron piorunował wzrokiem pewnego siebie smarkacza. Co czyniło z Paola tak nadzwyczajnie ważną osobę? O co chodziło w tej „sprawie Kwisatz Haderach”? Co takiego wiedział ten Atryda?

Przez pewien czas Paolo był wrażliwy, życzliwy, nawet troskliwy. Miał w sobie jakąś wrodzoną dobroć, którą baron pracowicie starał się usunąć. Był pewien, że przy odpowiednio surowym treningu uda mu się w końcu wypłenić nawet typowe dla Atrydów poczucie honoru. A to, owszem, przygotuje Paola do stawienia czoła jego przeznaczeniu! Chociaż chłopiec nadal od czasu do czasu się opierał, dokonał znacznych postępów na tej drodze.

Paolo stanął w impertynenckiej pozie przed podwyższeniem. Jeden z obojnaczych maskaradników włożył w dłoń chłopca antyczny pistolet.

Baron pochylił się ze złością, by lepiej widzieć.

- Czy to broń z moich zbiorów? - zapytał. - Mówiłem

ci, żebyś trzymał się z dala od tych rzeczy.

- To pamiątka po rodzie Atrydów, mam więc prawo tego używać. Miotacz krążków, który według plakietki należał kiedyś do mojej siostry Alii.

Baron poruszył się na tronie, zdenerwowany, że tak blisko niego znalazł się ktoś z naładowaną bronią.

- To tylko damski pistolet.

W grubych, czarnych poręczach tronu miał zamontowaną własną broń, która łatwo mogłaby zrobić z chłopca mokrą plamę. „Hmm, świeży materiał do wyhodowania następnego gholi” - pomyślał.

- Mimo to jest to cenny antyk i nie chcę, żeby został uszkodzony przez lekkomyślne dziecko.

- Nie uszkodzę go. - Paolo wydawał się zamyślony. - Mam szacunek do przedmiotów, których używali moi przodkowie.

Nie chcąc dopuścić, by chłopiec myślał za dużo, baron wstał.

- Zatem może wyjdziemy z tym na zewnątrz, Paolo? - zaproponował. - Sprawdźmy, jak to działa. - Poklepał go dobrodusznie po ramieniu. - A potem możemy zabić coś gołymi rękami, tak jak robiliśmy z tymi kundlami i fretkami.

- Może kiedy indziej - odparł niepewnie Paolo.

Mimo to baron wyprowadził go pospiesznie z sali tronowej.

- Pozbądźmy się paru tych wrzaskliwych mew krążących nad kupami gnoju. Czy mówiłem już, jak bardzo przypominasz mi Feyda? Uroczy Feyd.

- Niejeden raz.

Pilnowani przez maskaradników, spędzili następne dwie godziny na wysypisku śmieci z zamku, strzelając na zmianę z miotacza krążków do hałaśliwych ptaków. Nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo, mewy pikowały i darły się na siebie, walcząc o opłukane przez deszcz resztki. Najpierw strzelał Paolo, potem baron. Pomimo swojego wieku pistolet był dość celny. Każdy wirujący, supercienki krążek zamieniał ptaka w kupkę zakrwawionego mięsa i stłamszonych piór. Potem mewy, które ocalały, walczyły o świeże kawałki.

Zabili czternaście ptaków, ale Vladimir nie wypadł tak dobrze jak dziecko, które miało zadatki na strzelca wyborowego. Kiedy podniósł po raz kolejny broń i starannie wymierzył, w jego głowie odezwał się ponownie irytujący dziewczęcy głos:

- *Wiesz, że to nie jest mój pistolet.*

Strzelił i chybił. Krążek przeleciał daleko od celu. Alia zachichotała.

- Jak to nie jest twój? - spytał. Zignorował zdziwione spojrzenie Paola, który wziął broń, bo teraz była jego kolej.

- *To falsyfikat. Nigdy nie miałam takiego pistoletu.*

- Zostaw mnie.

- Z kim rozmawiasz? - zapytał Paolo.

Sięgnąwszy do kieszeni, baron wyjął kilka kapsułek pomarańczowego substytutu melanzu i poczęstował chłopca, a ten posłusznie je przyjął. Wyrwał broń młodemu Atrydzie.

- Nie bądź śmieszna. Handlarz antykami dostarczył świadectwo autentyczności i dokumenty, kiedy

sprzedawał mi tę broń.

- *Nie powinienes tak łatwo dawać się oszukać, dziadku! Mój pistolet strzelał większymi krążkami. To tania imitacja i nie ma nawet inicjałów rusznikarza na lufie, jak oryginał.*

Baron przyjrzał się uważnie rzeźbionej kolbie, obrócił pistolet w stronę twarzy, po czym spojrzał na krótką lufę. Rzeczywiście, nie było na niej inicjałów.

- A co z innymi rzeczami, które rzekomo należały do Jessiki i księcia Leto?

- *Niektóre są autentyczne, niektóre nie. Pozwolę ci znaleźć te, które nie są prawdziwe.*

Znając upodobanie szlachetnie urodzonego do historycznych przedmiotów, handlarz wróci wkrótce na Kaladan. Nikt nie będzie robił z barona głupca! Jego ghola postanowił, że następne spotkanie ze sprzedawcą nie będzie już tak serdeczne jak poprzednie. Zada mu kilka dociekliwych pytań. Głos Alii ucichł i Harkonnen ucieszył się na parę chwil spokoju.

Paolo zażył dwie z pomarańczowych kapsulek i kiedy substytut melanzu zaczął działać, osunął się na kolana i spojrzał z błogą miną w niebo.

- Widzę w mojej przyszłości wielkie zwycięstwo! - powiedział. - Trzymam ociekający krwią nóż. Stoję nad poległym wrogiem... nad sobą. - Zmarszczył czoło, po czym ponownie rozpromienił się i krzyknął: - Jestem Kwisatz Haderach! - A potem wydał mrozący krew w żyłach wrzask. - Nie... teraz widzę siebie na podłodze, wykrwawiam się na śmierć. Ale jak to możliwe, skoro jestem Kwisatz Haderach?! Jak to

możliwe?!

Najbliżej stojący maskaradnik ożywił się.

- Polecono nam wypatrywać oznak prekognicji. Musimy natychmiast powiadomić Khrona'a.

„Prekognicja? - pomyślał baron. - A może szaleństwo?”

W jego umyśle roześmiał się duch Alii.

*

Kilka dni później baron spacerował po nadbrzeżnym urwisku i patrzył na morze. Kaladan nie stał się jeszcze tak ślicznym, pełnym zanieczyszczeń przemysłowych światem jak jego ukochana Giedi Prime, ale baron kazał przynajmniej wybrukować ogrody w pobliżu zamku. Nienawidził kwiatów z powodu ich męczących oczy kolorów i przyprawiających o mdłości zapachów. O wiele bardziej wolał aromat fabrycznych dymów. Miał wielkie ambicje, żeby zrobić z Kaladanu drugą Giedi Prime. Postęp był dużo ważniejszy od wszelkich ezoterycznych planów, które maskaradnicy mieli wobec młodego Paola.

Na najniższym poziomie odbudowanego zamku, gdzie inne wielkie rody urządziłyby pomieszczenia do „wprowadzania w życie polityki”, ród Atrydów umieścił spiżarnię, piwnicę do przechowywania wina i schron. Bardziej przywiązany do tradycji, baron zamienił je na lochy, sale przesłuchań i dobrze wyposażoną izbę tortur. Miał tam również salę zabaw, do której często zabierał młodych chłopców z rybackiej wioski.

- *Nie usuniesz śladów rodu Atrydów takimi kosmetycznymi zmianami, dziadku* - odezwał się

dreńczący go głos Alii. - *Wolałam stary zamek.*

- Zamknij się, diabelskie dziecko! Nigdy w życiu tu nie byłaś.

- *Ależ odwiedzałam siedzibę moich przodków, kiedy mieszkała tutaj moja matka, kiedy Muad'Dib był Imperatorem, a podczas jego dżihadu lała się krew w różnych układach gwiazdnych. Nie pamiętasz, dziadku! A może nie byłeś wtedy jeszcze w mojej głowie?*

- Wolałbym, żebyś ty nie była w mojej. Urodziłem się przed tobą! Nie mogę mieć twoich wspomnień. Jesteś Złym Duchem!

Alia zachichotała w szczególnie denerwujący sposób.

- *Tak, dziadku. Jestem tym i czymś więcej. Może właśnie dlatego mam moc, dzięki której mogę być w tobie. A może po prostu masz skazę - jesteś kompletnie szalony. Zastanawiałeś się kiedyś nad możliwością, że tylko mnie sobie wyobrażasz? Tak myślą wszyscy inni.*

Obok przemykali służący, zerkając na niego bojaźliwie. Akurat wtedy baron zobaczył pojazd naziemny wspinający się ku zamkowi stromą drogą z portu kosmicznego.

- Aaa, oto i nasz gość.

Pomimo ciągłych uwag Alii spodziewał się, że będzie to przyjemny dzień.

Kiedy pojazd się zatrzymał, z tyłu wysiadł wysoki mężczyzna i ruszył w stronę barona wzdłuż szeregu posągów wielkich Harkonnenów, które Vladimir wzniósł w minionym roku. Za handlarzem płynęła platforma dryfowa z jego towarem.

- *Co planujesz z nim zrobić, dziadku?*

- Dobrze wiesz, co mam zamiar zrobić. - Stojąc wysoko na murze, baron zatarł ręce w radosnym oczekiwaniu. - Postaraj się być dla odmiany użyteczna, Zły Duchu.

Alia zachichotała, ale zabrzmiało to tak, jakby śmiała się z niego.

Baron zszedł spieszenie na dół, kiedy wyglądający na udręczonego służący wprowadził gościa do środka. Shay Vendee był sprzedawcą antyków i zawsze cieszył się ze spotkania z jednym ze swoich najlepszych klientów. Gdy wkraczał do zamku z podążającymi za nim towarami, jego okrągła twarz promieniała jak małe czerwone słońce.

Baron powitał go, ujmując wilgotnymi dłońmi jego rękę. Przytrzymał ją trochę za długo i ścisnął trochę za mocno.

Handlarz wyswobodził się z uścisku.

- Zachwyci cię to, co przywiozłem, baronie... to zadziwiające, co można odkryć, jeśli się trochę pokopie.
- Otworzył jedną ze skrzyń spoczywających na platformie dryfowej. - Zostawiłem te skarby specjalnie dla ciebie.

Harkonnen strzepnął pyłek z jednego z pierścieni na palcach.

- Najpierw muszę ci coś pokazać, drogi Vendee. Moją nową piwniczkę. Jestem z niej całkiem dumny.

Handlarz spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czyżby kaladańskie winnice znowu zaczęły działać?

- Mam inne źródła.

Kiedy handlarz wyłączył platformę dryfową, baron poprowadził go wykutą w skale szeroką klatką schodową w coraz większy mrok. Nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa, Vendee mówił kordialnie.

- Kaladańskie wina cieszyły się kiedyś zasłużoną sławą. Prawdę mówiąc, doszły mnie plotki, że w ruinach na Kaitainie znaleziono ich skład. Butelki zachowały się w idealnym stanie w piwnicy zeroentropijnej. Pole zeroentropijne nie dopuściło do ich zestarzenia się i dojrzewania, w tym przypadku przez tysiące lat, ale i tak musi to być znakomity trunek. Chciałby pan, żebym zdobył dla pana butelkę czy dwie?

Baron zatrzymał się u podnóża mrocznych schodów i przeszył gościa spojrzeniem oczu czarnych jak u pająka.

- Jeśli możesz dostarczyć stosowne dokumenty. Nie chciałbym dać się nabrać na jakąś podróbkę.

Vendee zrobił przerażoną minę.

- Ależ oczywiście, baronie Harkonnen!

W końcu poszli wąskim korytarzem oświetlonym kopcącymi lampami oliwnymi. Jak na gust barona lumisfery dawały zbyt dużo zbyt ostrego światła. Uwielbiał panujący tam zapach wilgotnej ziemi, który prawie całkowicie tłumił inne wonie.

- No to jesteśmy na miejscu! - Baron pchnął ciężkie drewniane drzwi i wprowadził handlarza do swojej w pełni wyposażonej izby tortur. Były tam tradycyjne sprzęty: koło do łamania, katowskie ławy i stoły, maski, elektryczne krzesła i urządzenie, za pomocą którego można było na przemian unosić i opuszczać ofiarę. - To

jeden z moich nowych pokojów zabaw. Moja radość i duma.

Oczy Vendee rozszerzyły się z trwogi.

- Wydawało mi się, że powiedział pan, że idziemy do piwnicy z winem.

- Ależ proszę, dobry człowieku.

Baron wskazał z dobroduszną miną stół, z którego zwisały pasy. Na blacie stała butelka wina i dwa kieliszki. Nalał do obu czerwonego wina i podał jeden coraz bardziej poruszonemu gościowi.

Vendee zlustrował izbę i przyjrzał się ze zdenerwowaniem czerwonym plamom na stole i na skalnej posadzce. Rozlane wino?

- Odbyłem długą podróż i jestem zmęczony - powiedział. - Może powinniśmy wrócić do głównych pomieszczeń. Będzie pan absolutnie zachwycony nowymi przedmiotami, które przywiozłem. Cenne antyki, zapewniam pana.

Baron bawił się jednym z pasów przy stole.

- Najpierw musimy załatwić inną sprawę.

Zmrużył oczy. Przez boczne drzwi wmaszerował chłopiec o zapadniętych oczach, niosąc dwa przedmioty, które wyglądały na ozdobną starą broń - starożytnej roboty miotacze krążków.

- Wyglądają znajomo? Dokładnie je obejrzyj.

Vendee wziął jeden z miotaczy, by mu się przyjrzeć.

- O tak. To antyczny pistolet Alii Atrydy. Używała go osobiście.

- To ty tak twierdziłeś. - Wziąwszy drugi miotacz od służącego, baron powiedział do Vendee: - Sprzedałeś mi

falszyfikat. Przypadkiem wiem, że broni, którą trzymasz, Alia nigdy nie używała.

- Jestem znany z uczciwości, baronie. Jeśli ktoś mówi inaczej, to kłamie. - Na twoje nieszczęście moje źródło jest bez zarzutu - rzekł Harkonnen.

- *Masz szczęście, że jestem w tobie i mogę ci pokazać twoje pomyłki* - powiedziała Alia. - *Jeśli wierzysz, że nie jestem złudzeniem.*

Oburzony Vendee położył pistolet na stole i odwrócił się, żeby wyjść. Przebył tylko połowę drogi do drzwi.

Baron nacisnął spust swojego miotacza i duży, wirujący krążek uderzył handlarza prosto w nasadę karku, pozbawiając go głowy. Szybko i gładko. Baron był pewien, że Vendee nawet nie poczuł bólu.

- Dobry strzał, co? - Harkonnen uśmiechnął się do sługi.

Chłopiec nawet nie mrugnął.

- Czy to wszystko, czego chcesz ode mnie, panie? - zapytał.

- Chyba nie oczekujesz, że sam posprzątam ten bałagan, co?

- Nie, mój panie. Już się do tego zabieram.

- Umyj się potem. - Baron przyjrzał mu się. - Po południu zabawimy się jeszcze lepiej.

Tymczasem wrócił na górę, by obejrzeć, co przywiózł handlarz.

Kiedyś urodziła mnie naturalna matka, a potem wielokrotnie rodziłem się jako ghola. Biorąc pod uwagę fakt, że przez tysiące lat Bene Gesserit, Tleilaxanie i inni mieszała w naszej puli genów, zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas jest jeszcze naturalną istotą.

- Duncan Idaho,
wpis w dzienniku pokładowym

Tego dnia narodzi się znowu Gurney Halleck. Przez cały długi proces rozwoju płodu Paul Atryda niecierpliwie na to czekał. Odkąd urodziła się jego siostra Alia, oczekiwanie to stało się niemal nieznośne. Ale za parę godzin Gurney Halleck zostanie wyjęty z kadzi aksolotlowej. Słynny Gurney Halleck!

Podczas studiów pod kierunkiem naczelnej opiekunki Garimi Paul dużo czytał o tym trubadurze i wojowniku, obejrzał obrazy tego człowieka i wysłuchał nagrań jego piosenek, ale chciał poznać prawdziwego Gurneya, swojego przyjaciela, mentora i obrońcę z heroicznych czasów. Któregoś dnia, mimo iż ich wiek został teraz postawiony na głowie, przypomniał sobie, jak mocna łączyła ich przyjaźń.

Paul nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu, kiedy szybko przygotowywał się na tę okazję. Pogwizdując starą atrydzką piosenkę, której nauczył się z nagrań Gurneya, wyszedł na korytarz, a ze swojego pokoju wyłoniła się Chani, by do niego dołączyć. Młodsza o dwa lata, trzynastoletnia teraz

dziewczyna była smukła jak trzcina, szybka, urodziwa i obdarzona łagodnym głosem - a była to tylko zapowiedź kobiety, którą znowu się stanie. Znając swoje przeznaczenie, już teraz byli nierozłączni. Wзяł ją za rękę i poszli radośnie do ośrodka medycznego.

Paul zastanawiał się, czy Gurney będzie brzydkim noworodkiem, czy też ten olbrzym zyskał szpetną aparycję dopiero po pobiciu przez Harkonnenów. Miał też nadzieję, że ghola Gurneya wykaże się wrodzonym talentem do gry na balisecie. Był pewien, że w warsztatach statku pozaprzestrzennego można będzie odtworzyć te antyczne instrumenty. Może będą mogli pograć razem.

Przy narodzinach obecni będą też inni: jego „matka” Jessica, Thufir Hawat i prawie na pewno Duncan Idaho. Gurney miał na pokładzie wielu przyjaciół. Nikt na statku nie znał Xaviera Harkonnena ani Sereny Butler, pozostałych gholi, które miały być tego dnia wydobyte z kadzi, ale oboje byli legendami z czasów Dżihadu Butleriańskiego. Według Szieny każdy ghola miał do odegrania jakąś rolę, a jeden z nich - albo wszyscy razem - mogli być kluczem do pokonania wroga z zewnątrz.

Oprócz gholi w ciągu długiego lotu *Itaki* urodziło się też wielu innych chłopców i dziewczynek. Siostry zachodziły w ciążę z pracownikami Bene Gesserit, bo zdawały sobie sprawę z potrzeby powiększenia swojej populacji i przygotowania solidnych podstaw pod nową kolonię, jeśli statek natknie się kiedykolwiek na planetę nadającą się do zasiedlenia. W grupie żydowskich

uchodźców, której przewodził rabbi, również zawierano małżeństwa i zakładano rodziny, nadal czekając na nową ojczyznę, której znalezienie będzie ukoronowaniem ich długich poszukiwań. Statek był tak ogromny, a liczba jego pasażerów nadal tak niska w stosunku do pojemności, że nie było obawy, iż wyczerpią się jego zasoby. Jeszcze nie.

Kiedy Paul i Chani zbliżyli się do głównej izby porodowej, zobaczyli biegnące w ich stronę cztery opiekunki, które wzywały wykwalifikowaną lekarkę Suka.

- Nie żyją! - krzyknęły. - Cała trójka!

Paulowi zamarło serce. Miał piętnaście lat i zdobywał już pewne umiejętności, dzięki którym stał się niegdyś historycznym przywódcą zwanym Muad'Dibem. Zebrawszy całą moc, włożył w swój głos tyle determinacji, ile zdołał, i zażądał od drugiej opiekunki, żeby się zatrzymała.

- Mów jaśniej! - powiedział.

- Trzy kadzie aksolotlowe, trzy ghole - wyrzuciła z siebie, sama zdumiona tym, że mu odpowiada. - Sabotaż... i morderstwo. Ktoś ich zniszczył!

Paul i Chani ruszyli pędem do ośrodka medycznego. W drzwiach stali już Duncan i Sziena. Oboje wyglądali na wstrząśniętych. Trzy kadzie aksolotlowe zostały odcięte od mechanizmów podtrzymujących życie i leżały w kałużach rozlanego płynu jak góry spalonego mięsa. Ktoś użył wypalacza i substancji żrących, by zniszczyć nie tylko aparaturę do podtrzymywania procesów życiowych, ale również same kadzie i

nienarodzone ghole.

Gurney Halleck, Xavier Harkonnen, Serena Butler. Cała trójka utracona. I kadzie, które były kiedyś żywymi kobietami.

Duncan spojrział na Paula, ujmując w słowa przerażający widok.

- Mamy na pokładzie sabotażystę. Kogoś, kto chce zaszkodzić programowi hodowli gholi... a może nam w s z y s t k i m.

- Ale dlaczego akurat teraz? - zapytał Paul. - Statek ucieka od dwudziestu lat, a projekt hodowli gholi rozpoczęto przed wieloma laty. Co się zmieniło?

- Może ktoś bał się Gurneya Hallecka - zasugerowała Sziena. - Albo Xaviera Harkonnena czy Sereny Butler.

Paul spostrzegł, że pozostałe trzy kadzie aksolotlowe, włącznie z tą, którą ostatnio opuściła przesiąknięta przyprawą Alia, nie zostały uszkodzone.

Stanąwszy obok kadzi Gurneya, zobaczył martwe, na poły narodzone dziecko wśród spalonych i rozpuszczonych fałdów mięsa. Chociaż zrobiło mu się niedobrze, przyklęknął i dotknął kosmyków jasnych włosów.

- Biedny Gurney.

Kiedy Duncan pomógł mu wstać, Sziena powiedziała zimnym, rzeczowym głosem:

- Nadal mamy ich materiał komórkowy. Możemy wyhodować następców całej trójki. - Paul wyczuwał jej ogromną wściekłość, ledwie powściąganą dzięki surowemu wyszkoleniu Bene Gesserit. - Będziemy potrzebowali więcej kadzi aksolotlowych. Wystosuję

apel, by zgłosiły się ochotniczeki.

Wszedł ghola Thufira Hawata i z niedowierzaniem patrzył na to, co się stało. Jego twarz przypominała szarą maskę. Po ciężkich przejściach na planecie Przewodników trzymał się blisko Milesa Tega i pomagał mu dbać o bezpieczeństwo na pokładzie i systemy obronne statku.

- Znajdziemy tego, kto to zrobił. - Czternastolatek starał się, by zabrzmiało to pewnie.

- Przejrzyjcie zapisy kamer - poleciła Sziena. - Zabójca nie może się ukryć.

Thufir sprawiał wrażenie nie tylko rozzłoszczonego, ale również zakłopotanego.

- Już to sprawdziłem - powiedział. - Kamery zostały celowo wyłączone, ale muszą być inne dowody.

- Zaatakowano nas wszystkich, nie tylko te kadzie - rzekł Duncan, odwracając się do młodego Thufira. - Baszar wspomniał o wcześniejszych incydentach, które - jak uważa - mogły być aktami sabotażu.

- Nigdy nie zostało to potwierdzone - odparł Thufir. - Mogły to być awarie mechanizmów, zmęczenie układów, ich naturalna niewydolność.

- To nie była naturalna niewydolność - powiedział Paul lodowatym głosem, spojrzawszy po raz ostatni na martwe niemowlę, które mogło być Gurneyem Halleckiem.

A potem nagle ugięły się pod nim nogi. Zakreśliło mu się w głowie, myśli się zmaciły. Kiedy Chani skoczyła, by go złapać, zachwiał się, podłoga usunęła mu się spod stóp i padł jak długi, uderzając ciężko głową o pokład.

Na chwilę ogarnęła go ciemność, mrok, który rozświetliła przerażająca wizja. Paul Atryda już raz jej doznał, ale nie wiedział, czy było to wspomnienie czy jasnovidzenie.

Zobaczył siebie leżącego w wielkiej, nieznanej sali. Przez głęboką ranę od noża uchodziło z niego życie. To była śmiertelna rana. Na podłogę ciekła jego krew, a oczy zasnuwały się mgłą. Spojrzawszy w górę, zobaczył własną roześmianą twarz. „Zabiłem cię!” - usłyszał.

Chani potrząsała nim, krzycząc mu do ucha:

- Usul! Usul, spójrz na mnie!

Poczuł jej rękę na swojej dłoni i kiedy wróciła mu ostrość widzenia, dostrzegł jeszcze jedną zaniepokojoną twarz. Przez chwilę myślał, że to Gurney Halleck, z biegnącą wzdłuż szczęki blizną po krwawinie, oczami o spojrzeniu ostrym jak odłamek szkła i rozwichrzonymi, rzadkimi jasnymi włosami.

Potem obraz się poruszył i Paul zdał sobie sprawę, że to czarnowłosey Duncan Idaho. Inny stary przyjaciel i strażnik.

- Będiesz mnie chronił przed niebezpieczeństwem, Duncan? - Głos Paula zadrżał. - Jak przysięgałeś, kiedy byłem dzieckiem? Na Gurneya nie mogę już liczyć.

- Tak, paniczu Paulu. Zawsze.

Najwyraźniej Dostojne Matrony same wymyśliły dla siebie nazwę, bo nikt inny, widząc ich tchórzliwe, wyrachowane zachowania, nie użyłby w odniesieniu do nich słowa „dostojeństwo”. Większość ludzi nazywa te kobiety zupełnie inaczej.

- Matka Dowodząca Murbella,
ocena minionych i obecnych zalet

W Końcu Czasu broń i statki wojenne były równie niezbędne jak powietrze i jedzenie. Murbella wiedziała, że będzie musiała zmienić swe podejście do tego problemu, ale nie spodziewała się takiego oporu ze strony własnego zgromadzenia.

- Chcesz im zaoferować unicestwiacze, Matko Dowodząca?! - krzyknęła Kiria ze złością i pogardą. - Nie możemy przekazać tak niszczycielskiej broni Ixowi.

Murbella nie miała cierpliwości słuchać tego.

- A kto inny nam je zbuduje? Na tym, że zatrzymamy sekrety dla siebie, skorzysta jedynie wróg z zewnątrz. Wiesz równie dobrze jak ja, że tylko Ixanie mogą rozszyfrować tę technologię i wyprodukować wielką ilość tej broni na potrzeby nadciągającej wojny. Dlatego Ix musi mieć do niej pełny dostęp. Nie ma innego rozwiązania.

Wiele światów budowało gigantyczne floty, uzbrajając wszelkie statki, jakie mogły znaleźć, i pracowało nad projektami nowej broni, ale dotychczas nic nie okazało się skuteczne w walce z wrogiem.

Myślące maszyny dysponowały niedoścignioną technologią. Jednak mając dość unicestwiaczy, Murbella mogłaby obrócić przeciw nim ich niszczycielską siłę.

Zabrawszy tę broń przed wiekami z kresowych placówek maszyn, Dostojne Matrony mogły stworzyć linię nie do przebycia i cisnąć unicestwiacze na nacierającego wroga. Gdyby stanęły razem w obronie wspólnego dobra, mogłyby zapobiec pojawieniu się tego całego problemu. Zamiast tego jednak uciekły.

Myśląc o tej historii, którą wydobyła z głębi Innych Wspomnień, Murbella wciąż nie mogła pozbyć się irytacji na swoje przodkinie. Zabrały tę broń, używały jej, nie rozumiejąc zasady działania, i zmarnowały większość jej zasobów dla małostkowej zemsty na znienawidzonych Tleilaxanach. Owszem, wiele pokoleń wcześniej Tleilaxanie męczyli swoje kobiety i Dostojne Matrony miały powód, by skierować przeciw nim ostrze mściwej przemocy.

Ale jakież to było marnotrawstwo!

Dostojne Matrony rozrzutnie posługiwały się tą spalającą całe planety bronią, używając jej przeciw każdemu światu, który im się naraził, więc pozostało niewiele unicestwiaczy. Miażdżąc twierdze zbuntowanych Dostojnych Matron, Murbella spodziewała się, że znajdzie w nich większe zapasy tej broni, ale nie znalazła nic. Czyżby ktoś inny ją ukradł? Może Gildia, pod pretekstem udzielania pomocy Dostojnym Matronom? A może dziwki naprawdę zużyły wszystko i nie zatrzymały nic w rezerwie?

Teraz rodzaj ludzki nie miał odpowiedniej broni, by przeciwstawić się rzeczywistemu wrogowi. Zasady budowy uniestwiciaczy były równie niepojęte jak zasady budowy stworzonych przez Tio Holtzmana urządzeń do zaginania przestrzeni i ani dziwki, ani Bene Gesserit nie wiedziały, jak można wyprodukować ich więcej. Myśląc o dobru ludzkości, Murbella miała nadzieję, że potrafią to zrobić Ixanie.

„Czasy nadzwyczajnego zagrożenia wymagają nadzwyczajnych działań” - pomyślała.

Na jej rozkaz członkinie zjednoczonego zgromadzenia żeńskiego usunęły potężną broń ze swoich statków pozaprzestrzennych, krążowników i jednostek infiltracyjnych. Murbella sama zawiezie ją na Ixa. Ucięła dalsze spory, odmaszerowując z małą świtą w stronę portu kosmicznego Kapitulacza.

- Ale, Matko Dowodząca, wynegocjuj przynajmniej ochronę patentową - powiedziała Laera z rumieńcem, który widoczny był nawet na jej ciemnej skórze. - Wprowadź ograniczenia, żeby ta technologia się nie rozprzestrzeniała. - Laera była jedną z najbardziej rzeczowych Matek Wielebnych i odgrywała w dużym stopniu rolę, która dawniej należała do Bellondy. - jej rozprzestrzenienie się wśród planetarnych watażków mogłoby doprowadzić do zniszczenia największych układów gwiazdnych. Sama KHOAM, działając wspólnie z Ixem, mogłaby...

Murbella przerwała jej pełnym obrzydzenia parsknięciem.

- Nie interesuje mnie, kto może, a kto nie może

skorzystać finansowo po wygraniu przez nas tej wojny. Jeśli Ixanie pomogą nam zwyciężyć, będą mieli prawo do zysków. - Potarła w zamyśleniu brodę, spoglądając na trap swej małej, szybkiej lichtugi. - Pozwolimy, by planetarni watażkowie sami rozwiązywali swoje problemy.

Bawicie się uczuciami jak dzieci zabawkami.
Wiem, dlaczego wasze zgromadzenie nie ceni
emocji - nie potraficie docenić tego, czego nie
rozumiecie!

- Duncan Idaho, list złożony
na ręce Matki Wielebnej Bellondy

Sziena użyła władczego tonu, jedynie odrobinę
słabszego od Głosu.

- „Poszanowanie prawdy można by właściwie uznać
za podstawę wszelkiej moralności”. A ja chcę od ciebie
prawdy. Zaraz.

Garimi uniosła brwi.

- Cytat z księcia Leto Atrydy, żeby podnieść wagę
tego przesłuchania? - powiedziała spokojnie. - Może
wniesiemy oślepiające lampy i sprowadzimy
Prawdomówczynię?

- Mój zmysł prawdy jest wystarczający. Zawsze
znałam cię na tyle dobrze, żeby móc cię przejrzeć.

Wiadomość o odrażającej zbrodni popełnionej w
izbie porodowej rozniosła się po całym statku
pozaprzestrzennym. Rzeź nienarodzonych gholi i
zniszczenie trzech kadzi aksolotlowych - kadzi
stworzonych z s i ó s t r, które zgłosiły się do tego jako
ochotniczki! - przekraczały wszystko, czego Sziena się
spodziewała nawet po swoich najbardziej zażartych
przeciwniczkach. Jej podejrzenia zwróciły się naturalnie
ku zdeklasowanej przywódczyni frakcji
ultrakonserwatywnej.

Stała w zamkniętej sali konferencyjnej jak surowa nauczycielka naprzeciw dziewięciu najbardziej krytycznych wobec niej sióstr. Kobiety te od samego początku występowały przeciw programowi hodowli gholi, a po decyzji Szieny o jego wznowieniu sprzeciwiały się temu jeszcze gwałtowniej.

Garimi nie uciekła spojrzeniem przed palącym wzrokiem Szieny, a jej stronniczki, zwłaszcza przysadzista Stuka, nie kryły wrogości.

- Dlaczego miałabym uszkodzić każdą aksolotlową? - powiedziała Garimi. - To nie ma sensu.

W swoim umyśle, pośród istnień w Innych Wspomnieniach, Sziena usłyszała znany teraz, wstrząśnięty głos starożytnej Sereny Butler. *Zabić dziecko!* Serena była dziwnym gościem w Innych Wspomnieniach, kobietą, której myśli nie powinny były popłynąć korytarzami pokoleń, a jednak była z Szieną już od lat.

- Wykazałaś już wcześniej chęć zabicia małych gholi.
- Sziena w końcu usiadła.

Garimi usilnie starała się zapanować nad drżeniem.

- Próbowałam uratować nas, zanim Leto będzie mógł się stać zagrożeniem, zanim znowu będzie mógł się stać Tyranem. To wszystko. Nie udało mi się. Powody, którymi się kierowałam, były dobrze znane i nadal przy nich obstaję. Dlaczego miałabym się teraz posuwać do takiej ostateczności? Co mnie obchodzi Halleck? Albo stary generał Xavier Harkonnen? Nawet Serena Butler jest tak głęboko pogrzebana w naszej przeszłości, że jest zaledwie echem legendy. Dlaczego miałabym się nimi

przejmować, skoro najgorsze ghole - Paul Muad'Dib, Leto II, upadła lady Jessika i Alia Zły Duch - żyją już wśród nas? - Chrząknęła ze wstrętem. - Twoje podejrzenia obrażają mnie.

- A mnie obrażają dowody.

- Pomimo naszych sporów jesteśmy wszystkie siostrami - powiedziała Garimi z naciskiem.

Początkowo zbiegłe Bene Gesserit miały wspólny cel, łączyła je wspólna sprawa. Ale już parę miesięcy po ucieczce z Kapitulacza pojawiły się podziały, walki o władzę, kwestionowanie rozkazów, rozbieżności wizji. Duncan i Sziena skupiali się na ucieczce przed wrogiem z zewnątrz, podczas gdy Garimi chciała założyć twierdzę i szkolić nową populację Bene Gesserit zgodnie z dawno ustalonymi zasadami.

„Jak doszło do tego, że tak radykalnie się zmieniłyśmy? - myślała Sziena. - Dlaczego powstały tak głębokie podziały?”

Przenosiła wzrok z twarzy na twarz, szukając w nich, zwłaszcza w wyrazie oczu, dowodów winy. Niska, kędzierzawa Stuka miała warstewkę wilgoci nad górną wargą, co było jedną z oznak zdenerwowania. Ale Sziena nie wykryła w niej wrogości, odrazy na tyle silnej, by pchnęła ją do takiego aktu okrucieństwa. Stwierdziła z konsternacją, że nie ma wśród nich sprawcy zbrodni.

- Wobec tego potrzebuję waszej pomocy - powiedziała. - Sabotażystą może być osoba stojąca obok każdej z nas. Zbierzcie nasze wykwalifikowane Prawdomówczynie i użyjcie ostatnich zasobów środka

wprowadzającego w trans prawdy. - Potarła skronie, już teraz drżąc na myśl o czekającym je ogromnym zadaniu. - Zostawcie mnie, proszę, żebym mogła oddać się medytacji.

Po wyjściu jej dziewięciu przeciwniczek Sziena została sama. Stała z wpółzamkniętymi powiekami. W ciągu lat populacja *Itaki* się zwiększyła i rozprzestrzeniła po statku. Nawet Sziena nie była pewna, ile dzieci jest na pokładzie, ale mogła to łatwo sprawdzić. A przynajmniej tak przypuszczała.

- A zatem, Sereno Butler - mruknęła do Innych Wspomnień - czy osoba, która cię zamordowała, była w tym pomieszczeniu? Jeśli zaś nie była to żadna z nich, to kto?

- *Kłamca może się kryć za barykadami* - wtrąciła się pełnym smutku głosem Serena - *ale w końcu wszystkie barykady padną. Będziesz jeszcze miała okazję wykryć mordercę. Na pewno nastąpią inne akty sabotażu.*

*

Prawdomówczynie najpierw sprawdziły się nawzajem. Spośród stronniczek Garimi i z pozostałych sióstr zebrano ogółem dwadzieścia osiem Matek Wielebnych, które miały odpowiednie do tego kwalifikacje. Kobiety nie zapewniały o swojej niewinności ani nie narzekały, że rzuca się na nie podejrzenia, lecz przystały na wzajemne wypytywanie.

Sziena przyglądała się chłodno, jak tworzyły trójki, w których dwie występowały w roli przesłuchujących, a trzecia osoby przesłuchiwanej. Gdy tylko badana przeszła drobiazgowo śledztwo, role się zmieniały,

dzięki czemu wszystkie zostały przesłuchane. Jedna po drugiej. Prawdomówczynie tworzyły coraz szerszy krąg godnych zaufania śledczych. Wszystkie zdały ten egzamin.

Kiedy Prawdomówczynie potwierdziły nawzajem swoją niewinność, Sziena pozwoliła im przepytać siebie. Również Garimi i jej dysydentki poddały się próbie i dowiodły, że są niewinne, podobnie jak niezłomne zwolenniczki Szieny. Wszystkie przeszły badanie.

Następnie, z Prawdomówczynią Calissą u boku, Sziena stanęła przed wyprostowanym Duncanem Idaho. Sama myśl o tym, że Duncan mógłby być mordercą i sabotażystą, była dla niej absurdalna. Zresztą nie uwierzyłaby, że jest nim ktokolwiek z obecnych na pokładzie, a jednak zaszlachtowane zostały trzy kadzie aksolotlowe i trójka nienarodzonych gholi.

Ale Duncan... Stojąc tak blisko niego, czując jego zapach, mając wrażenie, że w jakiś sposób wypełnia swoją obecnością całe pomieszczenie, doznała przyływu niebezpiecznych wspomnień. Użyła swoich umiejętności zniewalania seksualnego, by uwolnić go od Murbelli, ale oboje wiedzieli, że to namiętne zbliżenie było czymś więcej niż tylko wykonaniem koniecznego zadania. Od tamtej pory Duncan zawsze czuł się w jej obecności nieswojo, bojąc się tego, czemu może ulec.

Jednak obecna sytuacja nie miała nic wspólnego z romanssem. Nie było w niej napięcia seksualnego, tylko oskarżenia.

- Duncanie Idaho, czy wiesz, jak ominąć kamery w ośrodku medycznym?

Patrzył obok niej, nie mrugnawszy nawet.

- Mieści się to w zakresie moich zdolności - odparł.

- Czy popełniłeś tę straszną zbrodnię i zatarłeś za sobą ślady?

Teraz spojrzał jej w oczy.

- Nie.

- Czy miałeś jakiś powód, by zapobiec narodzinom Gurneya Hallecka, Sereny Butler albo Xaviera Harkonnena?

- Nie.

Teraz, kiedy Duncan stał przed nią i Prawdomówczynią, Sziena mogłaby zadać pytania dotyczące ich osobistego związku, by sprawdzić jego reakcję. Nie byłby zdolny okłamać jej albo czegokolwiek udawać. Ale bała się odpowiedzi. Nie śmiała o to zapytać.

- On mówi prawdę - orzekła Calissa. - Nie jest sabotażystą.

Duncan pozostał w pokoju, kiedy na przesłuchanie przyszedł baszar Miles Teg. Calissa odtworzyła zapis strasznej sceny z izby porodowej.

- Czy jesteś za to w jakikolwiek sposób odpowiedzialny, Milesie Teg?

Baszar popatrzył na obrazy, spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na Duncana.

- Tak.

Sziena była tak zaskoczona, że z trudem usiłowała wymyślić następne pytanie.

- Jak to? - zapytał Duncan.

- Jestem odpowiedzialny za system bezpieczeństwa na statku. Najwyraźniej nie dopełniłem moich obowiązków. Gdybym się bardziej postarał, nie doszłoby do tej potworności. - Zerknął na zmartwioną Calisę. - Zapytałaś mnie w obecności Prawdomówczyni, więc nie mogłem skłamać.

- Dobrze, Miles, ale nie o to nam chodzi. Czy dokonałeś tego sabotażu albo go zleciłeś? Wiesz o nim cokolwiek?

- Nie - odparł stanowczo.

Przygotowano dziesiątki prywatnych kabin, w których można było nieprzerwanie kontynuować przesłuchania. Przepymano każdego z młodych gholi, od Paula Atrydy poczynając, a na dziewięcioletnim Leto II kończąc, ale Prawdomówczynie nie wykryły żadnych kłamstw natury kryminalnej.

Potem przesłuchano rabiego i wszystkich Żydów, a także pozostałych pasażerów statku pozaprzestrzennego.

I nic. Wydawało się, że ani jedna osoba nie ma związku z makabrycznym wydarzeniem. Duncan i Teg wykorzystali swoje mentackie umiejętności do dokładnego sprawdzenia listy ludzi na pokładzie, ale nie znaleźli żadnego błędu. Nikt nie uniknął przesłuchania.

Siedząc naprzeciw Szieny w pustym już pokoju przesłuchań, Duncan złączył dłonie koniuszkami palców. - Są dwie możliwości - powiedział. - Albo sabotażysta potrafi oszukać Prawdomówczynię... albo na pokładzie *Itaki* ukrywa się ktoś, o kim nie wiemy.

*

W dobrze zorganizowanych zespołach Bene Gesserit odcinały połączenia kolejnych pokładów z innymi i metodycznie przeszukiwały kabinę po kabinię, pomieszczenie po pomieszczeniu. Było to jednak ogromne zadanie. *Itaka* była rozmiarów miasteczka - miała ponad kilometr długości i setki pokładów, a na każdym z nich korytarze, różnorodne pomieszczenia i ukryte drzwi.

Starając się odgadnąć, jak ktoś mógł się wślizgnąć na statek niezauważony, Duncan przypominał sobie zmumifikowane szczątki wziętych do niewoli Bene Gesserit, które Dostojne Matrony zamęczyły na śmierć. Ten gabinet okropności pozostawał nieodkryty przez cały czas, który Duncan spędził jako więzień w statku stojącym na lądowisku Kapitularza.

Czy ktoś - może jakaś nieznana Dostojna Matrona? - mógł tak długo pozostawać w ukryciu na statku? Ponad trzydzieści lat! Nie wydawało się to możliwe, ale jednostka miała tysiące pomieszczeń roboczych, kabin dla pasażerów, korytarzy i magazynów.

Inna możliwość: podczas ucieczki *Itaki* z planety Przewodników kilku maskaradników uderzyło małymi myśliwcami w kadłub statku pozaprzestrzennego. Z wraków tych jednostek wyciągnięto ich zmasakrowane ciała... ale może był to podstęp? A jeśli jacyś maskaradnicy przeżyli te samobójcze ataki i się wymknęli? Może jeden albo więcej z nich czaiło się teraz w nieuczęszczanych przejściach, szukając okazji do uderzenia?

Jeśli tak, koniecznie trzeba było ich znaleźć.

Teg zainstalował już w strategicznych miejscach setki dodatkowych kamer, ale w najlepszym razie było to tymczasowe rozwiązanie. *Itaka* była tak duża, że nawet najdoskonalszy sprzęt monitorujący miał tysiące martwych punktów i nie było po prostu dosyć personelu, żeby czuwać przy ekranach. Było to niewykonalne zadanie.

Mimo to próbowali.

Duncan towarzyszył grupie pięciu poszukiwaczek. Przypominało mu to nagonkę posuwającą się przez wysokie trawy podczas polowania na grubego zwierza. Zastanawiał się, czy z bezmiaru pomieszczeń statku uda im się wypłoszyć śmiertelnie niebezpiecznego lwa.

Przeszukiwano pokład po pokładzie, ale nawet przy zaangażowaniu dziesięciu zespołów inspekcja jednostki, od najwyższego pokładu po najniższą ładownię, zabierze mnóstwo czasu, a podczas ograniczonych przeszukiwań niczego nie znaleźli. Duncan był wyczerpany i zestresowany.

A morderca - lub mordercy - pozostawał na pokładzie.

Pozostały nam tylko dwa wyjścia: bronić się albo poddać wrogowi. Ale jeśli ktokolwiek z was sądzi, że poddanie się wchodzi w rachubę, to już przegraliśmy.

- baszar Miles Teg, przemowa wygłoszona przed bitwą pod Pellikorem

Zostawiwszy unicastwiacze na Ixie, by wytwórcy mogli je zbadać i skopiować, Murbella poleciała do głównych stoczni Gildii na Węźle.

Administrator Rentel Gorus, mężczyzna o długich, jasnych włosach i mlecznobiałych oczach, prowadził ją pomiędzy stanowiskami konstrukcyjnymi, dryfowymi żurawiami, przenośnikami taśmowymi i montowniami, gdzie mijały się brygady robotników. Budynki były wysokie i masywne, ulice raczej wygodne niż ładne. Wszystko na Węźle robiono w zapierającej dech skali. Ogromne podnośniki wciągały części na szkielety gigantycznych statków, które montowano jeden po drugim. W powietrzu unosił się cierpki zapach gorącego metalu i pozostałości chemikaliów używanych przy spawaniu.

Gorusa najwyraźniej rozpierała duma.

- Jak widzisz, Matko Dowodząca, mamy możliwości wyprodukowania tego, o co prosisz, jeśli oczywiście dobrze za to zapłacicie.

- Zapłacimy dobrze. - Nowe zgromadzenie żeńskie opływało w bogactwa dzięki pozyskiwaniu melanzu i kojotytyw, więc Murbella mogła zaakceptować

praktycznie każdą cenę. - Zostaniecie sowicie wynagrodzeni za każdy statek, który zbudujecie, za każdą jednostkę, której będzie można użyć w bitwie, za każdy krążownik, który będziemy mogły wystawić przeciwko armii myślących maszyn. Jeśli ich nie pokonamy, bliski będzie koniec naszej cywilizacji.

Gorus nie sprawiał wrażenia przestraszonego.

- Każda strona w każdej wojnie jest przekonana, że konflikt, w którym bierze udział, ma decydujące znaczenie dla biegu historii. Jednak w większości przypadków jest to złudne i bezpodstawnie alarmistyczne myślenie. Ta wojna może się skończyć, zanim będziecie musiały się uciec do takich środków.

Murbella zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - powiedziała.

- Są inne sposoby rozwiązania tego problemu. Wiemy, że wiele układów gwiazdnych zalewają siły z zewnątrz. Ale czego chcą? Na co przystaną? - Zamrugął mlecznobiałymi oczami. - Wierzimy, że warto prowadzić takie rozmowy.

- Jakiego figla chce nam tym razem splatać Gildia?

- Żadnego, po prostu podchodzimy do tego rozsądnie. Handel musi kwitnąć niezależnie od polityki. Wojna dostarcza inspiracji do nowinek technologicznych, ale na dłuższą metę osiąganiu zysków sprzyja pokój. Bez względu na to, kto zwycięży w tym konflikcie, wymiana handlowa nie ustanie.

Budowane przez Gildię Kosmiczną liniowce były od dawna najbardziej luksusowymi statkami we wszechświecie, ale Murbella zmusiła ją, by przestawiła

swoje stocznie na produkcję narzędzi wojny. Flota handlowa Gildii była od stuleci stabilna, a ponieważ ludzie wracali z Rozproszenia, rozwijał się handel i stale rósł popyt na jej usługi. Teraz jednak, kiedy flota Omniusa niszczyła całe populacje, a rzesze ogarniętych paniką uchodźców napływały do serca Starego Imperium, w KHOAM i Gildii zapanował bałagan.

Murbellę uderzył w twarz gorący powiew od stanowisk konstrukcyjnych, napełniając jej nos gryzącym zapachem odpadów chemicznych. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Nasz wspólny wróg na pewno myśli racjonalnie - ciągnął Gorus. - Dlatego skierowaliśmy do strefy walk wysłanników i negocjatorów. Znajdziemy myślące maszyny i przedstawimy nasze propozycje. Gildia wolalaby kontynuować swoją działalność bez względu na ostateczny wynik tego nieporozumienia.

Murbelli aż zaparto dech w piersiach.

- Jesteś szalony? - wykrztusiła. - Omnius chce zagłady całej ludzkości. To znaczy, że również waszej.

- Przesadzasz, Matko Dowodząca. Jestem przekonany, że część emisariuszy osiągnie zakładany przez nas cel.

W oddali z kamiennych kominów fabrycznych buchały kłęby dymu. Nie zważała na hałas ani na zapachy.

- Jesteś skończonym durniem, administratorze - powiedziała. - Myślące maszyny nie postępują zgodnie z takimi zasadami, jak przypuszczacie.

- Tak czy owak, uważamy, że musimy spróbować.

- I jakie są dotąd wyniki?

- Możliwe do przyjęcia straty. Nasi pierwsi wysłannicy zniknęli, ale nie ustajemy w wysiłkach. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność... nawet na kompletne fiasko. - Wyprowadził ją beztrąsko na szeroką, otwartą przestrzeń pod zmontowanym w połowie kadłubem ogromnego statku. - A zatem jest nam miło przedstawić nowemu zgromadzeniu żeńskiemu pewne korzystne warunki. Zawsze byliście dla nas cennym klientem, ale wasze obecne zamówienie jest ogromne. Proście o więcej statków, niż jesteśmy w stanie dostarczyć, nawet w warunkach wojennych.

- Wobec tego dajcie waszym pracownikom większą zachętę.

- Ba, Matko Dowodząca, ale czy ty dasz nam wystarczającą zachętę?

Obruszyła się.

- Jak możecie myśleć tylko o zyskach, kiedy ważą się losy ludzkości?

- O naszych losach decydują zyski. - Administrator zatoczył ręką łuk, jakby chciał tym gestem objąć wszystkie doki wokół nich.

- Zapłacimy, ile zażądacie, a w razie potrzeby Bank Gildii udzieli nam kredytu. Potrzebujemy tych statków, administratorze Gorus.

Uśmiechnął się chłodno.

- Wasza wiarygodność kredytowa jest bez zarzutu, ale musimy rozwiązać inny problem - powiedział. - Nie mamy dość nawigatorów, żeby obsadzić wszystkie te nowe statki. Jednostki, które dla was zbudujemy, będą

musiały zostać wyposażone w ixańskie kompilatory matematyczne zastępujące tradycyjnych nawigatorów. Czy jest to dla was do przyjęcia?

- Jeśli statki będą działały tak, jak chcemy, nie zgłaszam obiekcji. Nie mamy czasu na stworzenie i wyszkolenie nowej generacji nawigatorów.

Wyraźnie zadowolony, Gorus zatarł ręce.

- Ostatnio nawigatorzy okazali się nieco krnąbrni z powodu niedoboru przyprawy... niedoboru, do którego doprowadziło wasze zgromadzenie. To przez was musieliśmy poszukać alternatywy dla nich.

- Nie pałam sympatią do nawigatorów ani do waszych nieprzyzwoitych zysków. Nie obchodzi mnie, jak Gildia tego dokona, ale potrzebujemy tych statków.

- Oczywiście, Matko Dowodząca. Dostarczymy, czego sobie życzysz.

- Takiej właśnie odpowiedzi oczekiwałam.

Jaki jest pożytek z prekognicji, jeśli służy ona tylko temu, byśmy ujrzeli nasz upadek?

- nawigator Edryk,
wiadomość dla Wyroczni Czasu

Biurokraci Gildii mieli czelność wezwać liniowiec Edryka do stoczni na Węźle. Patrząc przed siebie mlecznobiałymi oczami, administrator Gorus beztrąsko oznajmił, że liniowiec zostanie wyposażony w jeden z nowych ixańskich kompilatorów matematycznych.

- Nie możemy polegać na naszej linii dostaw przyprawy - powiedział. - Musimy mieć pewność, że każda jednostka będzie podróżowała bezpiecznie, jeśli zawiedzie nawigator.

W minionych dwóch latach coraz więcej statków Gildii wyposażano w te znienawidzone urządzenia sterujące. Kompilatory matematyczne! Żaden prosty silnik ani instrument nie mógł właściwie wykonać niezwykle złożonych projekcji, które sporządzali nawigatorzy. Edryk i jego towarzysze rozwinęli się dzięki zanurzeniu w przyprawie, a ich zdolność prekognicji została spotęgowana działaniem melanżu. Nie mogło być żadnych mechanicznych jej substytutów.

Mimo to Edryk musiał przyjąć ekipę wykwalifikowanych, aroganckich Ixan, którzy przylecieli promem ze stoczni na Węźle. Milczący robotnicy weszli pod baczny okiem Gildii na pokład liniowca z zadowolonymi minami, maszynami kompilacyjnymi i niebezpieczną ciekawością.

Edryk, zamknięty w zbiorniku, martwił się, że pod pretekstem instalacji swoich urządzeń będą węszyć na statku. Frakcja nawigatorów nie mogła ryzykować, że ci ludzie znajdą laboratorium Waffa, genetycznie zmodyfikowane trocie piaskowe i małe, zmutowane czerwce, które wytwarzał w swoich zbiornikach. Tleilaxanin twierdził, że dokonuje ogromnych postępów, więc jego praca musiała pozostać tajemnicą.

Dlatego kiedy ixańscy instalatorzy znaleźli się na pokładzie, Edryk po prostu zagiał przestrzeń, nie informując nikogo ze stoczni, dokąd leci. Skierował pusty liniowiec na odległe, odludne pustkowia między układami gwiazdnymi i wyrzucił tam niedowierzających własnym oczom Ixan, wraz z ich przekłętymi maszynami nawigacyjnymi, w zimną przestrzeń.

„Problem rozwiązany” - pomyślał.

Jego działania zostaną w końcu odkryte, ale tego nie można było uniknąć. Edryk był nawigatorem. Administratorzy, zwykli ludzie, nie trzymali go w garści.

Edryk podejrzewał, że chytry administrator traktuje obecny kryzys przyprawowy jako okazję do pozbycia się stwarzających problemy nawigatorów i że Gildia tak naprawdę wcale nie chce nowego źródła melanżu. Gorus był teraz zdeklarowanym sprzymierzeńcem, jeśli nie marionetką, Ixan. Edryk widział projekcje ekonomiczne i zdawał sobie sprawę, że administratorzy uważają maszyny nawigacyjne za bardziej opłacalne od nawigatorów - i dużo łatwiejsze do kontrolowania.

Wiedział, że po szczęśliwym wyrzuceniu Ixan i ich maszyn nadszedł czas na kolejne zebranie nawigatorów; potrzebowali nowych wskazówek od Wyroczni Czasu. Węzeł i kilka innych planet Gildii zostało już opanowanych przez Gorusa i jego sługusów, więc Edryk wybrał miejsce, którego nie mógł znaleźć nikt oprócz nawigatorów.

Kiedy już pokazano im, jak należy to robić, mogli wprowadzić statki w głąb innego wymiaru, do nietypowego wszechświata, do którego od czasu do czasu udawała się Wyrocznia na swoje niepojęte poszukiwania.

Wydawało się, że kosmiczne gazy wirujące wokół jego ogromnego statku, rozpalone promieniami siedmiu nowo narodzonych gwiazd, stoją w płomieniach. Mgławica, w zależności od tego, przez które okno Edryk spojrzał, świeciła różowo, zielono lub niebiesko. Mgławice stanowiły spektakularny widok - wielki wir zjonizowanych gazów - i dawały znakomitą kryjówkę.

Kiedy statki się zebrały, okazało się, że nawigatorzy są bardzo wzburzeni, a było ich dużo mniej, niż Edryk miał nadzieję zobaczyć. Do tej pory unieruchomiono czterysta liniowców, a ich części użyto do budowy nowych statków pozaprzestrzennych, które uzależnione były od sztucznych systemów kierowania. Siedemnastu nawigatorów zmarło straszną śmiercią, ich zbiorniki zaś zostały opróżnione. Edryk dowiedział się, że sześciu jego towarzyszy również zamordowało ixańskich inżynierów, nie chcąc pozwolić im na założenie

kompilatorów matematycznych. Czterech innych po prostu odłączyło te maszyny, a znajdujące się na pokładzie ekipy Ixan nie zorientowały się, że ich okrzyczane systemy przestały funkcjonować.

- Potrzebujemy melanżu - przetransmitował. - Dzięki przyprawie widzimy przez zagiętą przestrzeń.

- Ale zgromadzenie żeńskie odmawia nam jej - rzekł jeden z pozostałych nawigatorów.

- Mają przyprawę. Sprzedają ją, ale my jej nie dostajemy.

- Czarownice dają ją Gildii za statki... jednak administratorzy odcięli nas od niej. Zostaliśmy zdradzeni przez swoich.

- Mają władzę nad przyprawą.

- Ale nie mają władzy nad nami - rzekł Edryk z naciskiem. - Jeśli znajdziemy własne źródło przyprawy, administratorzy nie będą nam do niczego potrzebni. Gra toczy się nie o handel, lecz o nasze przetrwanie. Zmagamy się z tym problemem od lat. Ghola Tleilaxanina znalazł w końcu jego rozwiązanie.

- Nowe źródło przyprawy? Czy to pewne?

- A czy cokolwiek jest całkowicie pewne? Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy mogli zniszczyć zepsutą, starą Gildię Kosmiczną i zastąpić ją.

- Musimy porozmawiać z Wyrocznią.

Edryk zamachał małymi, zniekształconymi rękami.

- Wyrocznia zna już nasz problem.

- Wyrocznia nie raczyła nam pomóc - powiedział inny.

- Ma swoje powody.

Unosząc się w zbiorniku, Edryk zgodził się z nimi.

- Rozmawiałem z nią, ale może nam wszystkim uda się skłonić ją do reakcji - powiedział. - Wezwijmy Wyrocznię.

Wyteżając zwiększoną przez przyprawę moc umysłów, liczni nawigatorzy wysłali wiadomość przez zagięcia przestrzeni. Edryk wiedział, że nie są w stanie zmusić Wyroczni Czasu - albo Wyroczni Nieskończoności, jak ją niekiedy nazywano - do odpowiedzi, ale wyczuł jej obecność i głęboki niepokój.

Z cichym błyskiem otworzyło się okno w próżni i pojawił się starożytny pojemnik. Nie był to statek w ścisłym znaczeniu tego słowa, ponieważ Wyrocznia Czasu mogła się udać, dokąd chciała, bez pomocy silników Holtzmana, zaginając przestrzeń samymi myślami.

Chociaż znajdowała się w małym, niegroźnie wyglądającym zamknięciu, Edryk doskonale zdawał sobie sprawę z potęgi i rozległości tego wysoce rozwiniętego umysłu. Kiedy była jeszcze człowiekiem, Normą Cenvą, pierwsza odkryła związek między przyprawą i prekognicją. Opracowała technologię zaginania przestrzeni i stworzyła niezrozumiałe równania, które przywłaszczył sobie Tio Holtzman.

Mimo iż nie używała żadnego znanego urządzenia do transmisji, jej słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie w ich głowach.

- Wasze zmartwienia są zaściankowe. Muszę odnaleźć zbłąkany statek pozaprzestrzenny. Muszę określić współrzędne miejsca, do którego zaprowadził

go Duncan Idaho, zanim przechwyci go wróg z zewnątrz.

Wyrocznia często wybierała sobie ezoteryczne cele, nie wyjaśniając, po co to robi.

- Dlaczego ten statek pozaprzestrzenny jest tak ważny, Wyrocznio? - zapytał jeden z nawigatorów.

- Dlatego, że pragnie go wróg. Naszym wielkim nieprzyjacielem jest Omnius, tyle że od czasów, kiedy był komputerowym wszechumysłem, zmienił się tak samo jak ja od czasów, kiedy byłam człowiekiem. Maszyny dokonały obliczeń wysokiego rzędu. Dzięki nim wszechumysł wie, że musi mieć Kwisatz Haderach, tak jak ja wiem, że nie może go dostać. - Przerwała i w przestrzeni zaległa cisza, ale po chwili dodała uszczypliwie: - Wasz apetyt na przyprawę nie jest teraz priorytetem. Muszę znaleźć ten statek.

Zakończywszy nagle debatę, zniknęła przy ponownym błysku w swoim alternatywnym wszechświecie.

Jej reakcja wstrząsnęła Edrykiem i pozostałymi nawigatorami. Umierali, strumień przyprawy wysechł, administratorzy próbowali dokonać przewrotu w Gildii, a Wyrocznia Czasu chciała po prostu odnaleźć zaginiony statek?

DWADZIEŚCIA DWA LATA PO UCIECZCE Z KAPITULARZA



Nowych maskaradników nie można wykryć za pomocą analizy DNA ani jakichkolwiek innych badań komórkowych. O ile nam wiadomo, tylko tleilaxański mistrz może zauważyć różnicę między nimi a ludźmi.

- raport Rene Gesserit o mutacji ludzi

Chociaż ixańscy specjaliści badali unicestwiacze już od pół roku, nadal nie dali zgromadzeniu żeńskiemu odpowiedzi. Murbella czekała w swoim biurze na Kapitułarzu i rozmyślała. Z każdym dniem, zdawało się, napływały coraz gorsze wieści.

Otrzymywała regularnie meldunki o zniszczeniach dokonywanych przez flotę myślących maszyn. Potężne statki wroga parły nieubłagane przez kresowe układy gwiazdne niczym miażdżące wszystko po drodze tsunami, zatapiając świat za światem. Ewakuowanych albo dotkniętych zarazą dziesięć następnych planet, kolejnych dziesięć straconych i coraz więcej uciekinierów napływających do Starego Imperium.

Sieć sióstr spotykała się ze wszystkimi statkami uchodźców, które przybywały z regionów ogarniętych walkami. Na podstawie relacji tych, którzy przeżyli, układano dokładną trójwymiarową mapę ruchów sił maszyn. Wyłaniał się z tego wzór rozlewający się po galaktyce jak kałuża krwi. W desperackiej próbie oporu dziewiętnaście statków pozaprzestrzennych zgromadzenia użyło ostatnich trzech unicestwiaczy, by zniszczyć całe zgrupowanie bojowe nacierających

statków maszyn. Dzięki temu tymczasowo zapobieżono spustoszeniu jednego ze światów. Ostatecznie jednak nawet ten rozpaczliwy atak opóźnił tylko nieznacznie postępy wroga. Flota maszyn wróciła jeszcze potężniejsza i obróciła ten świat w zgłiszczą, zabijając wszystkich jego mieszkańców. Po wykorzystaniu ostatnich uniestwaczy nowe zgromadzenie żeńskie miało załóżnie mało środków obrony.

Czyba że mogliby mu pomóc Ixanie. Co im zajmowało tyle czasu?

W końcu przybył na Kapitularz samotny ixański inżynier. Kiedy oznajmił, że nie będzie rozmawiał z nikim oprócz samej Matki Dowodzącej, straż zaprowadziła go do głównej twierdzy. Czekał na imponującym tronie, stojącym przed pokrytymi kurzem wielokwaterowymi oknami, Murbella czuła szacunek dla tego człowieka, że ominął biurokrację i przeszedł od razu do sedna.

Inżynier miał nijaką, niezapadającą w pamięć twarz, krótko przystrzyżone brązowe włosy i skromną postawę. Otaczała go osobliwa, nieprzyjemna woń, być może chemikaliów, którymi przesiąknęło jego ubranie, albo maszynerii z podziemnych zakładów przemysłowych na Ixie. Ukłonił się zdawkowo i stanął przed nią.

- Nasi najlepsi inżynierowie i naukowcy rozebrali i przeanalizowali uniestwacze, które nam dostarczyłaś - powiedział.

Murbella pochyliła się do przodu, poświęcając mu całą uwagę.

- I możecie je skopiować?

- Mało tego, Matko Dowodząca. - Jego pewien siebie uśmiech nie miał ani odrobiny ciepła, był po prostu imitacją wyrazu twarzy. - Nasi wytwórcy rozumieją pomysł, na którym opiera się konstrukcja tej broni, i są w stanie zwiększyć jej niszczycielską siłę. Poprzednio dla zagłady planety potrzebnych było kilka statków Dostojnych Matron, które zrzucały wiele uniestwaczy. Po udoskonaleniu przez nas tej broni jeden statek będzie miał wystarczającą siłę ognia, by zrobić to, co zrobiono z Rakis. - Wzruszył lekko ramionami. - Wyobraź sobie, jak taka ilość wyzwolonej energii podziałałaby na statki wroga.

Murbella starała się ukryć zadowolenie.

- Potrzebujemy tyle tej broni, ile tylko zdołacie wyprodukować. Powiadom wasze fabryki, żeby natychmiast rozpoczęły jej wytwarzanie. - Utrzymywała twardy ton, dbając o to, by słyszeć w nim było zniecierpliwienie. - Ale dlaczego musiałeś spotkać się ze mną osobiście, skoro mogłeś mi łatwo przesłać te informacje? - Wykrzywiła usta. - Chciałeś, żebym poklepała cię po ramieniu? Czekasz na wyrazy uznania? Wobec tego masz je.

Twarz ixańskiego inżyniera pozostała bez wyrazu.

- Zanim zaczniemy, Matko Dowodząca, jest jeszcze kwestia zapłaty. Główny wytwórca Sen polecił mi poinformować cię, że jeśli mamy przestawić nasze dochodowe ośrodki przemysłowe na produkcję uniestwaczy na potrzeby twojej wojny, Ix musi dostać za to rekompensatę.

- Mojej wojny? W kosztach muszą partycypować wszyscy ludzie.

- Niestety, nie zgadzamy się z tym. Jediną zapłatą, którą przyjmujemy, jest przyprawa. A jedynym źródłem przyprawy jest nowe zgromadzenie żeńskie.

- Możemy wam zapłacić w inny sposób. - Murbella próbowała ukryć niepokój. Nie była pewna, czy raczkujące dopiero operacje pozyskiwania melanżu dostarczą potrzebnych jego ilości. I dlaczego Ixowi zależy akurat na przyprawie? Można przecież opróżnić rachunki zgromadzenia w bankach Gildii, można przekonać KHOAM, by dostarczyła ważnych towarów, a kojotyty, zwłaszcza od ostatniej zawieruchy na Buzzellu, były w takiej cenie jak nigdy dotąd.

Jednak kiedy zaproponowała te alternatywne środki płatnicze, ixański inżynier potrząsnął głową.

- Nie mam upoważnienia do ustępstw w tych negocjacjach, Matko Dowodząca - powiedział. - To musi być melanż. Żadna inna waluta nie wchodzi w rachubę.

Zacisnęła zęby, ale nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę.

- A zatem niech to będzie przyprawa. Zaczynajcie.

*

Odlatując z Kapitulacza, Khrono był z siebie zadowolony. Nowe zgromadzenie żeńskie ugięło się pod jego żadaniami. Wiedział, że to robi. Potrafił wpłynąć na głównego wytwórcę, a maskaradnicy zastąpili już wszystkie najważniejsze osoby na Ixie i kontrolowali tamtejsze ośrodki przemysłowe.

Skoro Ix zadał sobie tyle trudu, by zainstalować maszyny nawigacyjne na statkach Gildii, żądanie zapłaty w przyprawie miało dla niego ironiczny wydźwięk. Dzięki kompilatorom matematycznym melanż był już praktycznie niepotrzebny, a nawigatorzy szybko odchodzili w przeszłość.

Ale nalegając na tak ogromną zapłatę tylko w przyprawie i gromadząc ten artykuł, Khronie usunie dużą jej ilość z rynku, przez co stanie się ona jeszcze rzadszym towarem. To z kolei zmusi Gildię do wyposażania coraz większej liczby statków w ixańskie kompilatory nawigacyjne, ponieważ nie będzie w stanie zaspokoić zapotrzebowania nawigatorów na melanż. Niedługo, nie mając możliwości ich utrzymania, Gildia Kosmiczna znajdzie się pod jego kontrolą. Opracował to w najdrobniejszych szczegółach.

Tymczasem razem ze swoimi towarzyszami będzie sprawiał wrażenie, że dostarczają wszystko, co zamówiło zgromadzenie żeńskie. Niech sobie toczą swoje bezcelowe bitwy, podczas gdy prawdziwa wojna została już wygrana, i to pod ich nosem! Matka Dowodząca Murbella będzie usatysfakcjonowana - do chwili, kiedy za ludzkością zapadnie zasłona ciemności. Na zawsze.

Każdy popełnia błędy. Kiedy jednak popełnia je szef ochrony, konsekwencje są poważne. Umierają ludzie.

- Thufir Hawat, pierwowzór

Baszar i jego protegowany maszerowali korytarzami do centrum kontroli systemów podtrzymywania życia na statku pozaprzestrzennym.

- Jest mi bardzo wstyd, Thufir - powiedział Teg. - Minał już prawie rok, a ja nadal nie mogę znaleźć jawnego sabotażysty i mordercy.

Młody Hawat spojrzał na niego, wyraźnie ubóstwiając jego geniusz militarny.

- Mamy ograniczony zbiór podejrzanych i określony obszar, na którym mógł - czy mogła - się ukryć. Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić, baszarze.

- A mimo to sabotażysta gdzieś tu jest. - Teg nie zwalniał kroku. - Zatem nie zrobiliśmy wszystkiego, co można było zrobić, bo wciąż nie potrafimy znaleźć osoby, która jest za to odpowiedzialna. To, że nie było dalszych morderstw, nie znaczy, że możemy opuścić gardę. Jestem przekonany, że sabotażysta jest nadal wśród nas.

Itaka była stale przeszukiwana i monitorowana. Zainstalowano dodatkowe kamery, ale winowajca najwyraźniej miał talent do ukrywania się. Teg podejrzewał, że działania sabotażysty nie ograniczały się do zabicia gholi i zniszczenia kadzi aksolotlowych. W ostatnich miesiącach zepsuło się z niewyjaśnionych

przyczyn wiele systemów statku, zbyt wiele, by można to było złożyć na karb przypadkowych wydarzeń i naturalnych awarii.

- Nasz przeciwnik cały czas działa - rzekł.

Ghola Thufira podniósł gładką brodę, dając wyraz dumie. Był silny, szczupły i miał gęste brwi. Zapuścił włosy.

- Więc go znajdziemy - powiedział.

Teg uśmiechnął się do niego.

- Jak tylko odzyskasz wspomnienia i doświadczenie wojownika mentata oraz mistrza asasynów, będziesz potężnym sojusznikiem.

- Już jestem potężny.

Thufir dowiódł swojej wartości podczas ucieczki przed Przewodnikami, ryzykując życie, by pomóc rabbiemu umknąć sprzymierzonym z wrogiem maskaradnikom. Teg był przekonany, że młody ghola ma dużo większe możliwości.

Zmieniwszy schemat działania, baszar uparł się, że przeprowadzi codzienny, wyczerpujący przegląd zabezpieczeń, i zostawił Duncana Idaho, wiecznie wypatrującego mieniącej się jaskrawymi kolorami sieci wroga, na mostku nawigacyjnym.

Itaka wciąż błędziła w pustej przestrzeni. Początkowo celem ich podróży było po prostu wymknienie się łowcom wroga z zewnątrz. Duncan był zmuszony pozostawać w ukryciu za zasłaniającym statek polem pozaprzestrzennym, ponieważ staruszkowi i staruszce najwyraźniej szczególnie zależało na schwytaniu właśnie jego. Po ponad dwudziestu latach

populacja na pokładzie się zwiększyła, dzieci rosły i uczyły się niezbędnych umiejętności, nie postawiwszy nogi na powierzchni żadnej planety.

Chociaż podczas Rozproszenia zasiedlono wiele światów, nadające się do zamieszkania układy wydawały się nader rzadkie. Po raz pierwszy Teg zaczął się zastanawiać, ile statków uciekających przed Czasami Głodu zginęło, nie dotarwszy do celu. Na *Itace* nie było nawigatora Gildii i tylko przez czysty przypadek trafiali w pobliże planet. Na razie napotkali tylko dwa miejsca, na których warunki pozwalały na założenie kolonii: jednym z nich był świat Dostojnych Matron, które zostały zmiecione przez zarazę, drugim planeta podstępnych Przewodników.

Niemniej jednak starzejąca się *Itaka*, ze swoimi stacjami uzdatniania, szklarniami i zbiornikami alg, mogła zapewnić przetrwanie obecnej liczbie pasażerów przez wieki, gdyby okazało się to konieczne. Zarówno oni, jak i ich następcy mogli na zawsze pozostać na jej pokładzie, nigdy nie przestając uciekać. „Czy taki czeka nas los?” - zastanawiał się Teg. Ale z powodu wycieków, strat i „wypadków” pasażerowie mieli powody do obaw. Wcześniej czy później będą musieli uzupełnić rezerwy.

Myśląc o zasobach, baszar skręcił w boczny korytarz, który prowadził do pojemników fermentacyjnych i przylegających do nich zbiorników z hodowlą alg. Ta produkowana w sklepionej, wilgotnej komorze biomasa dostarczała surowca dla wytwórni żywności. Był to jeden z najczulszych punktów statku.

Kiedy otworzył właz, owionął go mocny bagienny zapach kompostu i alg. Weszli po metalowych stopniach na kładkę i spojrzeli na cylindryczną kadź wypełnioną zielonym, kosmatym szlamem. Cuchnąca wilgotna masa bujnie rozwijających się alg rozkładała i wchłaniała materię organiczną w każdej postaci, dając duże ilości jadalnego, choć raczej niezbyt apetycznego surowca, który można było przerobić na smaczniejsze pożywienie. Pod sufitem furczały wentylatory, wysysając przez filtry śmierdzące powietrze, które po oczyszczeniu kierowane było do zawilego układu przewodów tworzącego system cyrkulacji statku pozaprzestrzennego. Po pobraniu próbek i zbadaniu równowagi chemicznej w zbiornikach Teg doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. Od ostatniej inspekcji nie było śladu sabotażu.

Poważny młody człowiek kroczył obok niego jak cień.

- Nie jestem jeszcze mentatem - powiedział - ale dużo rozmyślałem nad problemem sabotażu.

Teg obrócił się z uniesionymi brwiami do swego protegowanego.

- I masz jakieś przybliżenie pierwszego rzędu? - zapytał.

- Mam pewien pomysł. - Thufir nie próbował ukryć złości. - Proponuję, żebyś przeprowadził długą rozmowę z gholą Yuego. Może on wie więcej, niż przyznaje.

- Yueh ma dopiero trzynaście lat. Nie odzyskał jeszcze wspomnień.

- Może ma tę słabość we krwi. Baszarze, wiemy, że ktoś dokonał sabotażu. - Młodzieniec mówił takim tonem, jakby był niezadowolony z siebie, że do tego dopuścił. - Nawet prawdziwy Thufir Hawat nie znalazł zdrajcy na dworze Atrydów, zanim ten wydał nas Harkonnenom. Tym zdrajcą był Yueh.

- Będę o tym pamiętał.

Znalazłszy się na powrót na korytarzu, minęli starego Scytale'a, który wyglądał na chorego, i jego klona wyłaniających się ze swojej kwatery. Obaj izolowali się od reszty pasażerów i żyli zgodnie ze swoimi dziwnymi tradycjami i zwyczajami, więc byli naturalnymi podejrzanymi, ale Teg nie znalazł przeciw nim żadnych dowodów. Prawdę mówiąc, uważał, że prawdziwy sabotażysta dokłada wszelkich starań, by się idealnie upodobnić do reszty i nie zwracać na siebie uwagi. Tylko w ten sposób mógł się tak długo ukrywać.

Minęły ich dwie ciężarne kobiety i poszły dalej, gawędząc. Obie objęte były programem konwencjonalnego rozmnażania zainicjowanym przez Szienę w celu utrzymania populacji Bene Gesserit. Miało to zapewnić odpowiednią podstawę genetyczną, gdyby ten odłam zgromadzenia żeńskiego znalazł miejsce do osiedlenia.

W końcu Teg i Thufir dotarli do ogromnej, wypełnionej szumem pracującej maszynerii komory silników i przez okrągłe drzwi weszli do pomieszczenia rufowego. Najwyraźniej bezpieczna, ale po ostatnim przejściu przez zagiętą przestrzeń znowu zagubiona *Itaka* dryfowała, jednak Duncan nalegał, by silniki

Holtzmana zawsze były w gotowości.

Gruby klarplaz oddzielał baszara i Thufira od trzech potężnych generatorów, które zasilaly maszyny. Na zewnątrz odpornej na wybuch plazowej komory, w której znajdowały się ustawione równolegle silniki, biegły kładki i pomosty. Obaj popatrzyli na gigantyczne mechanizmy, które mogły zaginać przestrzeń. Był to prawdziwy cud techniki. Wszystkie odczyty utrzymywały się w normie. Znowu ani śladu sabotażu.

- Nadal czegoś nie zauważamy - dumal Teg. - Czuje to.

Już kiedyś, pod koniec bitwy o Węzeł, Teg nie dostrzegł straszliwej „broni”, którą Dostojne Matrony trzymały w rezerwie. Przez ten bład omal nie przegrał wojny. Teraz rozważał ich sytuację.

„Jakiego śmiercionośnego urządzenia nie dostrzegam tym razem?” - zadał sobie w myśli pytanie.

Ludzkość ma wspaniały genetyczny kompas,
który stale prowadzi nas naprzód. Naszym
zadaniem jest dbać o to, by zawsze
wskazywał właściwy kierunek.

- Matka Wielebna Angelou,
sławna genetyczka

Wellington Yueh miał przemożną potrzebę uzyskania
przebaczenia. Przytłaczało go poczucie winy. Był tylko
gholą i miał dopiero trzynaście lat, ale wiedział, że
dopuścił się straszliwych rzeczy. Historia jego
poprzedniego życia przywarła do niego jak smoła do
podeszwy buta.

W pierwszym życiu przełamał najwyższe
warunkowanie Akademii Suka. Zawiódł swoją żonę,
Wannę, pozwalając Harkonnenom wykorzystać ją jako
pionka, i zdradził księcia Leto, doprowadzając do
upadku Atrydów na Arrakis.

Po przestudiowaniu zapisów na temat swojej
wcześniejszej egzystencji, zapoznawszy się z bolesnymi
szczegółami tego, co zrobił, starał się znaleźć pociechę
w Biblii Protestancko-Katolickiej oraz w innych
starożytnych religiach, sektach, filozofiach i
interpretacjach, które powstały w ciągu tysiącleci.
Szczególnie doskwierała mu, niczym cień w boku,
często powtarzana doktryna grzechu pierworodnego -
tak niesprawiedliwa! Mógłby szukać tchórzliwej
ucieczki, twierdząc, że nic nie pamięta i w związku z
tym nie ponosi winy, ale nie była to droga do

odkupienia. Musiał się zwrócić gdzie indziej.

Jedyną osobą, która mogła mu wybaczyć, była Jessika.

Ośmioro gholi z projektu Szieny wychowywało się i uczyło razem. Za sprawą swoich osobowości niektóre nawiązały bliższe stosunki i przyjaźnie z innymi. Zanim jeszcze poznali historię, która powinna ich rozdzielić, Yueh starał się zaprzyjaźnić z Jessiką.

Czytał dzienniki i poradniki pierwotnej lady Jessiki, konkubiny księcia Leto Atrydy. Była ona również Matką Wielebną, banitką, matką Muad'Diba i babką Tyrana. Tamta, od dawna nieżyjąca Jessika była silną kobietą, wzorem dla innych, mimo iż Bene Gesserit napiętnowały ją za jej wadę, jej słabość. Za m i ł o ś ć .

Ghole stali teraz w obliczu wroga dużo potężniejszego niż Harkonnenowie. Czy to wspólne zagrożenie wystarczy, by powstrzymać ją przed zamordowaniem go, gdy w końcu jej wspomnienia zostaną obudzone? Czytał jej słowa, spisane przez księżną Irulanę, wyrażające ból i smutek: „Yueh! Yueh! Yueh! Milion śmierci za mało byłoby dla Yuego!”

Tak, tylko ona mogła mu dać jakąkolwiek nadzieję na przebaczenie. Mając czystą hipotekę i szczere serce, modlił się, by tym razem dane mu było wieść uczciwe życie.

Jessika często przebywała w głównej oranżerii, pielęgnując rośliny, które były uzupełniającym źródłem pożywienia dla setek pasażerów *Itaki*. Lubiła pracę w szklarni i była szczęśliwa, kiedy mogła przebywać wśród stojących na żyznej ziemi, otoczonych mgiełką

kropel zraszaczy, mięsistych zielonych liści i słodko pachnących kwiatów. Młoda i szlachetna, o brązowych włosach i owalnej twarzy, wyglądała bardzo pięknie. Jak wielką miłością musieli się darzyć z księciem Leto... zanim Yueh zniszczył to wszystko.

Jessika uniosła głowę znad kwiatów i bujnych ziół i skupiła udręczone spojrzenie na Yuem.

- Przeszkadza ci towarzystwo? - zapytał.

- Nie twoje. Miło być z kimś, kto nie wini mnie za zrobienie czegoś, czego nie pamiętam.

- Mam nadzieję, że okażesz mi takie same względy, moja pani.

- Proszę cię, nie nazywaj mnie tak, Wellington. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie mogę być lady Jessiką, dopóki... dopóki nie stanę się nią ponownie.

Usiłował odgadnąć przyczynę jej ponurego nastroju.

- Garimi znowu prawila ci kazania?

- Niektóre Bene Gesserit nigdy mi nie wybaczą, że postąpiłam wbrew surowym zakazom zgromadzenia żeńskiego, że sprzeniewierzyłam się ich planowi eugenicznemu. - Zdawało się, że recytuje słowa, które gdzieś przeczytała. - Skutki tego doprowadziły do upadku Imperium i poddania ludzi tysiącom lat tyrańskich rządów oraz trwających wieleset lat czasów nędzy. - Roześmiała się gorzko. - Prawdę mówiąc, gdyby twoje działania faktycznie przyniosły śmierć Paulowi i mnie, być może historia pisana przez Bene Gesserit przedstawiałaby cię jako bohatera.

- Nie jestem bohaterem, Jessiko.

Trzeba było oddać pierwszemu Yuemu, że zapewnił

jej i Paulowi środki przetrwania na pustyni po szturmie przypuszczonym przez Harkonnenów na Arrakin. Ułatwił im ucieczkę, ale czy wystarczyło to, by odkupił swoją winę? Czy było to możliwe?

Przesuwała się wzdłuż grządek, wachając kwiaty i sprawdzając wilgotność gleby. Miała zwyczaj przebiegać koniuszkami palców po liściach, dotykać ich spodniej strony.

Yueh kroczył za nią, kiedy szła przez mały gaj karłowatych drzew cytrusowych. Podzielone na kwatery, pokryte powłoką filtrującą, okna w górze ukazywały tylko odległe światło gwiazd, żadnego pobliskiego słońca.

- Dlaczego siostry sprowadziły nas z powrotem, skoro tak nas nienawidzą? - zapytał.

Jej twarz przybrała wyraz cierpliwego rozbawienia.

- Bene Gesserit mają okropny zwyczaj, Wellington. Nawet jeśli wiedzą, że w soczystym robaku ukryty jest haczyk, i tak go ugryzą. Zawsze myślą, że potrafią uniknąć pułapek, w które wpada cała reszta.

- Przecież sama jesteś Bene Gesserit.

- Już - albo jeszcze - nie.

Yueh dotknął swojego gładkiego czoła.

- Zaczynamy od nowa, Jessiko. Jesteśmy jak niezapisane tabliczki. Popatrz na mnie. Pierwszy Yueh przełamał warunkowanie Akademii Suka... ale ja urodziłem się bez tatuażu. Nieskalany.

- Może znaczy to, że niektóre rzeczy można wymazać.

- Czy na pewno? Nas, ghole, wychowano w

jednym celu: żebyśmy się znowu stali tym, kim byliśmy. Ale czy ktokolwiek z nas jest sobą? Może ghole są po prostu narzędziami, lokatorami mieszkającymi tymczasowo w domach, dopóki nie wrócą ich prawowici właściciele? A jeśli nie chcemy tych starych istnień? Czy Sziena i pozostali mają prawo narzucać je nam? A co z n a m i , takimi, jacy jesteśmy teraz?

Nagle system połączonych paneli słonecznych nad ich głowami pojaśniał, jakby ich układ wchłonał energię z zewnątrz. Rzędy gęsto rosnących roślin w szklarni nabrały ostrzejszych konturów, jakby jego wzrok stał się wrażliwszy. Zobaczył nakładającą się na całe pomieszczenie złożoną siatkę cienkich, opalizujących linii, która rozwijała się i zacieśniała.

Coś się działo - coś, czego Yueh nigdy wcześniej nie doświadczył. Linie ukazywały się wszędzie wokół nich, niczym unosząca się w powietrzu misterna plecionka. Słysząc było trzaski przepływającej przez nie energii.

- Jessiko, co to jest? Widzisz to?

- Sieć. - Zaparło jej dech z wrażenia. - To jest to, o czym mówił Duncan Idaho!

Yuemu zamarło serce.

„Łowcy?" - pomyślał.

Rozległa się głośnie syrena alarmowa, której towarzyszył głos Duncana.

- Przygotować się na włączenie silników Holtzmana!

Ilekroć statek pozaprzestrzenny, pozbawiony nawigatora, zaginał przestrzeń, groziła im katastrofa. Do tej pory ostrzeżeń Duncana nie mogli potwierdzić

żadni świadkowie, chociaż Przewodnicy dowiedli, że zagrożenie ze strony tajemniczego wroga jest rzeczywiste.

Yueh słyszał dobiegające z korytarzy krzyki osób pędzących na stanowiska. Morderczy uścisk pozornie zwiewnej jak pajęcza, ale coraz silniejszej i jaśniejszej sieci zwiększał się. Otaczała cały statek i przenikała do jego wnętrza. Teraz na pewno widzieli ją wszyscy!

Pokład zadrżał. Yueh poczuł się dezorientowany, kiedy jednostka zaginała przestrzeń. Przez kopułę oranżerii widział układy gwiazdne zmieniające kształty i kolory... jakby zawartość wszechświata wrzucono do misy i zamieszano.

Nagle *Itaka* znalazła się w zupełnie innym miejscu, z dala od sideł. Przez interkom dobiegł spokojny głos Duncana.

- Póki co znowu jesteśmy bezpieczni.

- Dlaczego tym razem dostrzegliśmy sieć, chociaż nie widzieliśmy jej przedtem? - zapytała Jessika.

Yueh potarł brodę. W głowie kłębiły mu się chaotyczne myśli.

- Może wróg używa sieci innego rodzaju, mocniejszej. A może wypróbowuje nowe sposoby tropienia i schwytania nas.

Nigdy nie możemy dawać wyrazu dręczącym nas wątpliwościom. Musimy być całkowicie przekonane, że uda nam się wygrać te zmagania z wrogiem z zewnątrz. Ale w najczarniejszych chwilach, kiedy jestem sama w moim pokoju, zastanawiam się, czy to naprawdę wiara w zwycięstwo, czy zwykła głupota.

- Matka Dowodząca Murbella,
prywatne archiwa kapituły

Kiedy znowu zebrała się nieliczna rada Missionaria Aggressiva Murbelli, atmosfera była napięta. W minionym roku zgromadzenie żeńskie wysłało do obozów uchodźców siedem sobowtórów Szieny. Polecono im zwerbować bojowników. Fałszywe Szieny miały przed sobą mnóstwo pracy - musiały przekonać fanatyków, by nie ustępowali przed wrogiem, stojąc w obliczu pewnej klęski.

Niepowstrzymane, wydawało się, statki wroga odrastały jak głowy hydrze. Bez względu na to, ile z nich udało się ludziom zniszczyć, wciąż pojawiały się nowe. Mając tysiące lat na przygotowanie się do ostatecznej rozgrywki, Omnius nie pozostawił niczego przypadkowi. Kropki na gwiazdnych mapach pokazywały, jak pod naporem myślących maszyn pada planeta za planetą.

Murbella siedziała u końca stołu na twardym i niewygodnym krześle; większość pozostałych wybrała

futrzone psie fotele. U szczytu stołu czekała w postawie zasadniczej baszarka Janess Idaho, gotowa przekazać raport.

- Mam wiadomości - oznajmiła.

- Dobrze czy złe? - Murbella bała się usłyszeć odpowiedź.

- Same to oceńcie.

Jej córka była wymizierowana, wyglądała na zmęczoną i dużo starszą niż w rzeczywistości. Po przejściu agonii przyprawowej i intensywnego szkolenia Bene Gesserit Janess potrafiła spowolnić zmiany zachodzące w jej ciele - nie po to, by się dobrze prezentować, lecz by być silna i zdrowa. Wymagała tego ciągła walka. Mimo to niekończący się kryzys dawał się jej we znaki. Murbella zauważyła bliznę na lewym policzku córki i ślad po oparzeniu na rękę.

Słowa baszarki były pozbawione emocji, ale Matka Dowodząca wyczuwała w jej głosie podniecenie.

- Zanim w układzie Jhibraith dostrzeżono pierwsze statki wojenne wroga, maszyny wysłały sondy w celu szerzenia zarazy. Ludność Jhibraith już wcześniej domagała się ewakuacji, ale kiedy pojawiły się oznaki zarazy, Gildia zawróciła swoje statki. Jeden liniowiec trzeba było poddać kwarantannie. Na szczęście udało się ograniczyć zarazę do siedmiu fregat odizolowanych w jego ładowniach. Wszyscy pasażerowie tych fregat zmarli, ale reszta została uratowana.

- A co z samą planetą? - zapytała Murbella.

- Zaraza rozprzestrzeniła się szybko na wszystkie kontynenty. Tak jak się spodziewano. Obecne szczepy

wirusów są o wiele groźniejsze niż te, które pojawiły się wcześniej, śmiertelność przewyższa notowaną w legendarnych zarazach z czasów Dżihadu Butleriańskiego.

Laera przebiegła wzrokiem leżący przed nią arkusz ryduliańskiego papieru krystalicznego.

- Ludność Jhibraith liczy trzysta dwadzieścia osiem milionów - powiedziała.

- Już nie - rzekła Kiria.

Janess splotła dłonie, jakby czerpała siłę z tego uścisku.

- Na Jhibraith była jedna z naszych Szien. Jak tylko Gildia poddała planetę kwarantannie, fałszywa Sziena postąpiła zgodnie ze swoim powołaniem i zaczęła przemawiać do tłumów. Mieszkańcy wiedzieli, że umrą. Wiedzieli, że siły myślących maszyn są w drodze. Ale ona przekonała ich, że skoro i tak muszą umrzeć, powinni to zrobić jak bohaterzy.

- Ale jak mogli walczyć, skoro statki Gildii odleciały? - W głosie Kirii słyszeć było sceptycyzm. - Rzucając kamieniami?

- Jhibraith miał własne fregaty, jednostki towarowe i transportowce, których używano w granicach układu. Żadna z tych jednostek nie była wyposażona w silniki Holtzmana ani w pole pozaprzestrzenne. Kiedy choroba ścinała ludzi z nóg, ci, którzy jeszcze byli w stanie, zabrali się pospiesznie do tworzenia miejscowej siły militarnej, która mogłaby stanąć przeciwko Omniusowi. Musieli pracować szybciej, niż postępowała epidemia. - Janess zmusiła się do zimnego, twardego uśmiechu i

kontynuowała raport. - Nasza fałszywa Sziena uwijała się jak w ukropie. Wiem na pewno, że obywatela się pięć dni bez snu, bo nagrania pokazują, że stale pojawiała się w coraz to innych miastach i fabrykach, zbierając obywateli i zmuszając ich, by czołgali się na swoje stanowiska, jeśli to było konieczne. Nikt nie zawracał sobie głowy kwarantanną, ponieważ wszyscy byli już zarażeni. Kiedy ludzie umierali w fabrykach, wyciągano stamtąd ich ciała i grzebano w masowych grobach albo palono w ogromnych ogniskach. Ich miejsce zajmowali inni. Ludzie nie przerwali pracy, nawet kiedy planetę otoczyła flota wroga. Potem nasza Sziena zniknęła. - Rozejrzała się po zebranych wokół stołu i ściszyła głos. - Już po wszystkim dowiedziałam się z zakodowanej depeszy Bene Gesserit, że złapała wirusa i umarła.

Murbella była zaskoczona.

- Umarła? Jak to możliwe? Każda Matka Wielebna wie, jak zwalczyć infekcję.

- Ale wymaga to ogromnej koncentracji i znacznego zasobu sił. Nasza Sziena uszczupliła swoje zasoby. Gdyby odpoczęła dzień lub dwa, mogłaby zebrać siły i zwalczyć chorobę. Ale nie przerywała akcji i zużyła wszystkie rezerwy energii. Wiedząc, że los Jhibraith jest przesądzony i że jeśli nie zabije jej zaraza, zrobi to inwazyjna armia maszyn, nie ustawiała w wysiłkach.

Stara Accadia skinęła głową.

- Natchnęła ludzi fanatycznym zapalem. Bez wątpienia zdawała sobie sprawę, że jeśli zobaczą ją osłabioną i konającą, stracą determinację. Była na tyle mądra, by zniknąć z widoku.

Nikły uśmiech Janess zdradzał jej podziw. - Jak tylko zaczęły się pojawiać symptomy choroby, Sziena wygłosiła ostatnie, płomienne przemówienie i ogłosiła, że idzie do nieba. Potem odizolowała się od wszystkich i umarła w samotności, żeby nikt nie widział, że zaraza pochłonęła także ją.

- Wspaniała historia do naszych archiwów. - Accadia zacisnęła zwiędłe usta. - Jej ofiara nie zostanie zapomniana.

- Jeśli po tym wszystkim zostanie jeszcze ktoś, kto będzie studiował archiwa - mruknęła Kiria.

- A co z walkami na Jhibraith? - zapytała Murbella. - Czy mieszkańcy się bronili?

- Kiedy nadciągnął wróg, ludzie walczyli jak starożytni, ogarnięci szalem bitewnym wikingowie. Do ostatniego mężczyzny i kobiety. Nic nie mogło ich powstrzymać. Na spotkanie floty przeciwnika pędziły statki pilotowane przez dziadków, wnuki, matki, ojców, a nawet zwolnionych z więzień przestępców. Wszyscy mężnie walczyli i ginęli. Sama ich zaciekłość odrzuciła maszyny. Mimo iż mieszkańcy Jhibraith nie mieli armii z prawdziwego zdarzenia, zniszczyli ponad tysiąc jednostek wroga.

- Mój entuzjazm - świadomość tego, jaka jest rzeczywistość, nadała głosowi Murbelli lodowaty ton - gasi wiedza, że nawet po stracie tysiąca jednostek myślące maszyny mają niezmierzone siły, które rzucą przeciw nam.

- Niemniej jednak, gdyby walczyły tak wszystkie planety, ludzkość miałaby szansę przetrwać - zauważyła

Janess. - Nasz rodzaj zostałby zachowany.

Wybrawszy tę chwilę, by się wtrącić, Kiria wzięła arkusze ryduliańskiego papieru krystalicznego z innego zbioru raportów, a potem ustawiła na środku stołu projektor. Psi fotel zmienił nieco kształt, by się dostosować do jej ruchów.

- Ten nowy meldunek pokazuje, dlaczego nie możemy liczyć na wszystkie planety - powiedziała. - Atakuje nas nie tylko flota z zewnątrz, ale również zgnilizna od wewnątrz.

Murbella zmarszczyła brwi.

- Skąd to masz? - zapytała.

- Ze źródeł. - Była Dostojna Matrona, z zadowoloną miną, uruchomiła projektor. - Podczas gdy dążymy do bezpośredniej konfrontacji z wrogiem, bardziej przebiegły przeciwnik podkopyuje nasze siły od środka.

Obraz pokazywał wzburzony tłum.

- To Belos IV, ale podobne wydarzenia rozegrały się też w innych miejscach. Na jednej planecie za drugą wybuchają bratobójcze wojny i polityczne walki wywołane bezradnością wobec nadciągającej floty wroga. Ludzie się boją. Kiedy przywódcy nie mówią im tego, co chcą usłyszeć, buntują się, obalają premierów i zajmują ich miejsce. Często usuwają również nowych przywódców.

- Wiemy o tym. - Murbella spojrzała na Janess, która stała sztywno przed stołem. Wolałaby, żeby córka usiadła. Na obrazach obywatele Belos IV powstali przeciw swojemu gubernatorowi, który był za poddaniem się myślącym maszynom. - Najwidoczniej ci

ludzie nie chcieli słuchać takich propozycji. Dlaczego ma to mieć istotne znaczenie?

- Patrz! - Kiria wskazała na obraz palcem zakończonym ostrym paznokciem.

Kiedy tłum zaatakował będącego w średnim wieku przywódcę, ten bronił się zdumiewająco dobrze, wykazując się umiejętnościami i szybkością rzadko spotykanymi wśród biurokratów. Przyglądając się mu, Murbella doszła do wniosku, że musiał przejść jakieś specjalne szkolenie. Stosował niezwykle, a przy tym skuteczne metody walki, ale przeciwników było zbyt wielu. Zaciągnęli go przez ulice do pałacu gubernatora i zrzucili z wysokiego balkonu na kamienne płyty placu. Gdy leżał nieruchomo, wrzeszczący i wiwatujący tłum cofnął się. Kamera zrobiła zbliżenie zwłok. Trup gubernatora zmienił się i zbladł. Jego zapadnięta teraz twarz była jakby nie w pełni ukształtowana i przypominała maskę stracha na wróble. Maskaradnik!

- Zawsze podejrzewałyśmy, że lojalność nowych maskaradników jest wątpliwa - powiedziała Kiria. - Sprzymierzyli się z Dostojnymi Matronami i zwrócili przeciw starym Tleilaxanom. Znalazłyśmy ich wśród zbuntowanych dziwek na Gammu i na Tleilaxie, a teraz okazuje się, że są jeszcze większym zagrożeniem, niż przypuszczałyśmy. Posłuchajcie słów gubernatora. Był za poddaniem się myślącym maszynom. Dla kogo naprawdę pracują maskaradnicy?

Murbella wyciągnęła z tego oczywisty wniosek i przesunęła po pozostałych siostrach spojrzeniem ostrym jak zębata nóż.

- Nowi maskaradnicy są marionetkami Omniusa i przeniknęli do naszej ludności. Są o wiele lepsi od starych i potrafią się oprzeć prawie wszystkim technikom Bene Gesserit. Zawsze zastanawiało nas, jak Utraceni Tleilaxanie mogli ich stworzyć, skoro ich umiejętności znacznie ustępowały umiejętnościom dawnych mistrzów. Nie wydawało się to możliwe.

- Jest to możliwe - powiedziała zimno Laera - jeśli pomogły ich stworzyć myślące maszyny, po czym wysłały ich z Tleilaxanami wracającymi z Rozproszenia.

- Jako pierwszą falę zwiadowców i infiltratorów - przytaknęła jej Kiria. - Jak szeroko się rozprzestrzenili? Czy, niewykryci przez Prawdomówczynie, mogą być wśród nas?

Accadia zmarszczyła brwi.

- To przerażająca myśl, jeśli nie mamy żadnego sposobu, by zdemaskować tych nowych maskaradników. Z tego, co mi wiadomo, ich mimikra jest doskonała.

- Nic nie jest doskonałe - powiedziała Murbella. - Nawet myślące maszyny mają wady.

- Och, możemy ich zidentyfikować całkiem łatwo - stwierdziła niewesoło Kiria. - Wystarczy ich zabić, a powrócą do swojej nijakiej postaci.

- Sugerujesz, żebyśmy po prostu wszystkich zabiły?

- To i tak jest zamiarem wroga.

Murbella wstała. Mogła pozostać tutaj, na Kapitularku, z innymi zaniepokojonymi siostrami, przez kolejny rok otrzymywać raporty, wysłuchiwać

podsumowań i zaznaczać na mapie postępy myślących maszyn, jakby była to jakaś gra wojenna. Tymczasem ixańscy inżynierowie usilnie starali się zbudować odpowiednik unicastwaczy, a stocznie Gildii pracowały pełną parą, by wyprodukować tysiące statków z kompilatorami matematycznymi.

Ale kryzys daleko wykraczał poza politykę wewnętrzną i walki o władzę. Postanowiła udać się tam sama i podróżować między światami leżącymi na skraju strefy ogarniętej wojną, nie jako Matka Dowodząca, lecz jako uważna obserwatorka. Pozwoli radzie Matek Wielebnych zająć się codziennymi sprawami na Kapitularku - administracją i wydzielaniem Gildii przyprawy w celu zapewnienia jej współpracy.

Kiedy oznajmiła swój zamiar, Laera krzyknęła:

- Matko Dowodząca, to niemożliwe! Potrzebujemy cię tutaj... jest tyle do zrobienia!

- Reprezentuję nie tylko nowe zgromadzenie żeńskie - odparła Murbella. - Nikt inny nie stanie do tej rozgrywki, więc jestem odpowiedzialna za cały rodzaj ludzki. - Westchnęła. - Ktoś musi wziąć to na siebie.

Owszem, nasz statek pozaprzestrzenny kryje wiele tajemnic, ale nawet w przybliżeniu nie jest ich tyle, ile my skrywamy w swoim wnętrzu.

- ghola Leto II

Leto II i Thufir Hawat nie poznali się w swoim pierwszym życiu. Nie było to jednak dla nich minusem, pozwalało im bowiem zaprzyjaźnić się bez żadnych oczekiwań i uprzedzeń.

Dziewięcioletni Leto szedł szybko korytarzem.

- Chodź ze mną, Thufir - powiedział. - Teraz, kiedy nikt nie patrzy, mogę ci pokazać szczególne miejsce.

- Jeszcze jedno? Spędzasz całe dnie na badaniu statku zamiast na nauce?

- Jeśli masz zostać zastępcą szefa służby bezpieczeństwa, musisz wiedzieć wszystko o *Itace*. Może znajdziemy tam waszego sabotażystę.

Leto skręcił ostro w prawo. Wskoczył do małej windy awaryjnej, a ta zatrzymała się na niższym pokładzie, gdzie wszystko wydawało się większe i ciemniejsze.

Poprowadził Thufira do wjazdu, który opatrzony był ostrzeżeniami i ograniczeniami w pół tuzinie języków. Pomimo zamków otworzył go niemal w mgnieniu oka.

Thufir wyglądał na zdumionego, a nawet nieco urażonego.

- W jaki sposób ominąłeś tak łatwo zabezpieczenia? - zapytał.

- Statek jest stary i cały czas psują się jakieś układy. Nikt nawet nie wie, że i ten nawalił.

Leto dał nurka w niski korytarz.

Po drugiej stronie tunel przechodził w kanał, w którym świszczalo zimne powietrze. W miarę jak posuwali się naprzód, świst stawał się coraz głośniejszy i lekki początkowo powiew zamieniał się w coraz silniejszy wiatr.

Thufir wciągnął nosem powietrze.

- Dokąd to prowadzi?

- Do filtracyjnego układu wymiany powietrza.

Przejścia były kręte i miały gładkie ściany - jak tunele wydrążone przez czerwie. Leto przebiegł po skórze dreszcz, być może na wspomnienie czasów, kiedy połączył się z licznymi trociami piaskowymi i został Bogiem Imperatorem Diuny, Tyranem...

Dotarli do centralnych przetwornic. Ogromne wentylatory kierowały powietrze na grube zasłony z mat filtrujących, które zatrzymywały cząstki stałe i oczyszczwały atmosferę. Włosy chłopców rozwiewały ciągnące stamtąd podmuchy. Dalsze przejście blokowały arkusze materiału filtracyjnego. Były to płuca statku, które uzupełniały tlen i ponownie rozprowadzały go po wszystkich pomieszczeniach.

Ostatnio Thufir zaczął malować sobie usta czerwonym jak żurawina barwnikiem. Kiedy stali obaj we wnętrzościach statku, słuchając wycia wiatru, Leto zapytał w końcu:

- Dlaczego robisz to ze swoimi ustami?

Czternastolatek potarł z zażenowaniem wargi.

- Mój pierwowzór zażywał narkotyk safo, który zostawia takie plamy. Baszar chce, żebym robił to co on. Mówi, że przygotowuje się do obudzenia moich wspomnień. - W głosie Hawata nie było słychać specjalnego entuzjazmu z tego powodu. - Sziena napomknęła, że zmusi mnie, żebym sobie wszystko przypomniał. Zna jakąś specjalną metodę przebudzania gholi.

- Nie podnieca cię ta perspektywa? Thufir Hawat był wielkim człowiekiem.

Jego towarzysz wydawał się zatroskany i zmartwiony.

- Nie o to chodzi, Leto - odparł. - Ja naprawdę nie chcę powrotu moich wspomnień, ale Sziena i baszar podjęli już decyzję.

- Po to zostaliśmy stworzeni. - Leto był zdumiony. - Dlaczego nie miałbyś chcieć swojego poprzedniego życia? Mistrz asasynów nie bałby się takiej męki.

- Nie boję się. Po prostu wolałbym być osobą, którą zdecyduję się zostać, a nie pojawić się w pełni ukształtowany. Nie uważam, że zasłużyłem na to.

- Zaufaj mi, oni już zadbają, żebyś na to zasłużył, kiedy znowu staniesz się prawdziwym Thufirem.

- Jestem prawdziwym Thufirem! A może w to też wątpisz.

Myśląc o niespokojnym czerwiu, który szykował się w jego wnętrzu, by się wyłonić, świadom wszystkich potworności, które sobie wkrótce przypomni, Leto doskonale go rozumiał.

Postępując zgodnie wciąż z tymi samymi przekonaniem i podejmując stale te same decyzje, człowiek kręci się w kółko, donikąd nie dochodzi, niczego nie osiąga, nie czyni żadnych postępów. Jednakże z Bożą pomocą możemy wyjść z tego zakłętego kręgu i doznać oświecenia.

- Droga szariatu

W końcu Waff gotów był do wypuszczenia nowych czerw, a dogodnym do tego miejscem okazał się Buzzell, oceaniczna planeta, która znajdowała się na stałym szlaku handlowym Edryka. Było to doskonałe stanowisko do przeprowadzenia prób.

Ogromny statek wioził kupców handlujących kojotyty. Kiedy Dostojne Matrony podbiły Buzzella i zabiły większość przebywających tam na zesłaniu Matek Wielebnych, zagarnęły kojotyty dla siebie. Od tamtej pory na rynku galaktycznym pojawiało się niewiele tych kamieni szlachetnych, więc ich wartość niebotycznie wzrosła. Teraz, po odbiciu Buzzella przez nowe zgromadzenie żeńskie, produkcja kojotytyw znowu się zwiększyła. Czarownice ściśle ją kontrolowały i nie dopuszczały przemytników do planety, utrzymując stałe, ale wysokie ceny tych kamieni. Ochroniani przez armie najemników kupcy KHOAM zaczęli sprzedawać duże ilości klejnotów, zbierając pokaźne zyski, aż w końcu ich obfitość ponownie doprowadziła do spadku cen. Zwykle

wahania podaży i popytu.

Chociaż piękne i pożądane, kojotyty nie były niezbędne. Natomiast melanz - o czym dobrze wiedzieli nawigatorzy - był artykułem niezbędnym. Waff był święcie przekonany, że jego eksperymenty zapewnią w końcu bogactwo dużo większe, niż mogłyby kiedykolwiek stanowić te podmorskie błyskotki. Jeśli jego oczekiwania się spełnią, Buzzell będzie wkrótce miejscem pochodzenia czegoś o wiele bardziej interesującego niż owe świecidełka.

Liniowiec pojawił się nad szafirowym światem pokrytym oceanami, na których widać było kropki wysp. Wody Buzzella były głębokie i bogate w pokarm; tworzyły rozległą strefę, w której będą się mogły bujnie rozwijać genetycznie zmienione czerwie, jeśli tylko przeżyją chrzest morski.

Tleilaxański mistrz chodził w tę i z powrotem po zimnej metalowej podłodze laboratorium. Edryk poinformuje go wkrótce, że handlowe lichtugi i transportowce opuściły liniowiec i udały się na placówki na wyspach. Kiedy odlecą, Waff będzie mógł spokojnie, nieobserwowany przez nikogo, zacząć swoją prawdziwą pracę na Buzzellu.

Ostrą woń chemikaliów, która wcześniej wypełniała laboratorium, zastąpił zapach soli, jodu i cynamonu. Zbiorniki próbne wypełniała mętna zielona woda, gęsta od alg i planktonu. Kiedy zmodyfikowane czerwie zostaną wpuszczone do oceanu, będą musiały znaleźć sobie pożywienie, ale Waff był pewien, że przystosują się do nowych warunków. Bóg sprawi, że stanie się to

możliwe.

W zbiornikach pływały wijące się stworzenia przypominające pierścieniowate węgorze. Między opalizującymi, niebieskozielonymi segmentami prześwitywała miękka różowa błona, namiastka oskrzeli, którymi pobierały tlen z wody. Miały okrągłe jak u minogów otwory gębowe. Chociaż były pozbawione oczu, pływały, kierując się wibracjami wody, w sposób bardzo podobny do tego, w jaki rakańskie czerwie przyciągały drgania wydm. Opierając się na modelach, które były starannym odwzorowaniem zawartości chromosomów troci piaskowych, Waff wiedział, że procesy metaboliczne tych stworzeń są identyczne jak u czerwi pustyni.

Dlatego również one powinny wytwarzać przyprawę, chociaż Waff nie miał pojęcia, jakiego rodzaju będzie to przyprawa ani jak będzie można ją zbierać. Cofnął się i splótł szarawe palce. To nie był jego problem ani jego zmartwienie. Zrobił to, co polecił mu Edryk. On chciał tylko, by czerwie powróciły.

Praca nad tym zajęła ponad rok jego przyspieszonego życia, ale gdyby udało mu się wskrzesić Bożych Wysłanników, jego los by się dopełnił. Nawet jeśli nie dostanie kolejnego życia w gholi, zasłużył na miejsce u boku Boga w najwyższych sferach nieba.

W odpowiednich warunkach trocie piaskowe dostarczone Waffowi przez Edryka szybko się rozmnażały. Uzyskał z nich prawie sto czerwi morskich, z których większość umieści w oceanach Buzzella. Przetrawanie nowego gatunku, zwłaszcza w nieznanym

otoczeniu, było dla jego przedstawicieli nie lada wyzwaniem, więc Waff spodziewał się, że wiele jego próbnych okazów zginie. Może nawet większość. Był jednak przekonany, że część osobników przeżyje i że będzie to liczba wystarczająca do ich rozprzestrzenienia.

Staął na palcach i przycisnął twarz do zbiornika.

- Jeśli tu jesteś, Proroku, dam ci wkrótce całe nowe królestwo - powiedział.

Do laboratorium weszło bez pukania pięciu gildyjskich asystentów. Kiedy Waff gwałtownie się odwrócił, czerwie morskie wyczuły ten ruch i z głuchym łomotem uderzyły mięsistymi łbami we wzmocnioną ścianę zbiornika. Ponownie się wzdrygnąwszy, Waff spojrzał w ich stronę.

- Pasażerowie polecieci na Buzzella - rzekł jeden z szaro odzianych mężczyzn. - Nawigator Edryk kazał nam wykonać twoje polecenia.

Pięciu asystentów miało dziwnie zniekształcone głowy, spuchnięte czoła i asymetryczne rysy twarzy. Każdy tleilaxański mistrz mógłby naprawić te genetyczne wady, by ich potomkowie byli atrakcyjniejsi. Ale nie służyłoby to żadnemu celowi, a kosmetyka nie interesowała Waffa.

Wskazał zbiorniki, które gildianie zamykali z myślą o transporcie.

- Obchodźcie się z tym z najwyższą ostrożnością - powiedział. - Te stworzenia są cenniejsze niż życie was wszystkich.

Powściągliwi asystenci przymocowali uchwyty do

zatłoczonych zbiorników i zaczęli taszczyć je przez sklezione korytarze liniowca. Wiedząc, że ma tylko cztery godziny na wykonanie zadania, bo później wrócą pasażerowie, Waff poganiał ich.

Z powodu rozłamu, do którego doszło w Gildii między nawigatorami a administratorami, niektórzy mogliby nie życzyć sobie, by stworzył tę nową możliwość produkcji przyprawy. Ixanie, nowe zgromadzenie żeńskie, a nawet biurokratyczna frakcja w Gildii mogli działać wspólnie lub osobno w celu zgładzenia go. Waff nie wiedział, jak ani dlaczego wybrano akurat tych pięciu gildian do pomocy. Wiedział natomiast, że gdyby wyraził jakiekolwiek obawy co do ich lojalności, nawigator kazałby ich bez wahania zabić po to tylko, by zadowolić tleilaxańskiego badacza. Kiedy oddział szedł do małej jednostki transportowej, Waff postanowił, że to właśnie robi. Trzeba się pozbyć tych świadków. Potem.

Zbiorniki załadowano na transportowiec. Waff zwykle nie opuszczał bezpiecznego liniowca, ale tym razem uparł się, że będzie towarzyszył załodze w wyprawie na otwarte morze. To był jego eksperyment, chciał więc osobiście uczestniczyć w wypuszczaniu czerw, by dopilnować, żeby zrobiono to właściwie. Nie ufał pięciu gildianom i nie był przekonany, czy zrobią to z należytą uwagą.

Później jego podejrzliwość jeszcze wzrosła. Co mogło powstrzymać tych mężczyzn przed ucieczką statkiem transportowym i pokazaniem - albo nawet sprzedaniem! - czerw morskich przeciwnej frakcji? Czy

mogli być całkowicie lojalni wobec Edryka? Waff wszędzie dostrzegał zagrożenia.

Kiedy mała jednostka wyleciała z ładowni, Waff zaczął ponieważż żałować, że nie zażądał dodatkowych ochroniarzy albo przynajmniej dostatecznie potężnej broni ręcznej. Komu naprawdę mógł zaufać?

Milczący gildianie komunikowali się elektronicznie, przekazując sobie zamiast słów sygnały mózgowie przez podłączone do gardeł aparaty. Wiedział, że mogą mówić głośno, dlaczego więc porozumiewali się tak skrycie? Być może spiskowali przeciwko niemu. Patrzył na wiszący nad nimi liniowiec i gorąco pragnął, żeby to się już skończyło.

Transportowiec wszedł w chmury, walcząc ze zmiennymi prądami powietrznymi. Waff poczuł się źle. W końcu przedarli się przez warstwy wilgoci i zobaczyli pod sobą ciągnący się aż po horyzont ocean. Badacz szukał na mapach wyświetlanych w kokpicie strefy umiarkowanej, w której mógłby wypuścić czerwie, miejsca, gdzie morze było zasobne w plankton i ryby. Jego stworzenia będą tam miały największą szansę przetrwania.

Wskazał linię skał niedaleko od głównej bazy zgromadzenia żeńskiego i centrum wydobywania kojotytów.

- Tam - powiedział. - Bezpiecznie i dostatecznie blisko, by śledzić czerwie. - Uśmiechnął się, wyobrażając sobie doniesienia spanikowanych naocznych świadków. - Każda plotka i

nieprawdopodobna opowieść będzie interesująca.

Gildianie skinęli głowami. Transportowiec przeleciał nisko nad falami, po czym zawisł w powietrzu. Otworzył się właz dolnej ładowni i Waff zszedł tam, by obserwować opróżnianie zbiorników. Czuł rześkie słone powietrze, ostry zapach unoszących się na powierzchni krasnorostów i wilgotną bryzę smagającą morze. Za chwilę zacznie się szkwał.

Dwóch milczących gildian przeniosło pierwszy zbiornik w pobliże otworu, zdjęło plazową pokrywę i wylało wodę oraz czerwie morskie na czekające fale.

Wijące się stworzenia wypadły jak oszalałe węże. Kiedy pogrążyły się w zielonej wodzie, rozprysnęły się na wszystkie strony. Waff odprowadzał wzrokiem pierścieniowate kształty. Najpierw kręciły się po powierzchni, a potem zanurkowały i zniknęły mu z oczu. Wydawały się radować wolnością, cieszyć się ogromnym światem bez plazowych granic.

Skinął szorstko na gildian i kazał im wypuścić resztę czerwii. Zatrzymał jeden zbiornik na liniowcu i zawsze mógł stworzyć ich więcej.

Kiedy tak stał nad otwartym włazem, zadrżał nagle, uświadomiwszy sobie swoją bezbronność. Czy teraz, kiedy uwolnił czerwie, Edryk będzie jeszcze potrzebował jego usług? Tleilaxanin bał się, że milczący asystenci mogą wyrzucić go z transportowca i zostawić wiele kilometrów od najbliższego skrawka lądu. Cofnął się ostrożnie w głąb ładowni i chwycił żebrowanej podpory ściany.

Ale gildianie nie zrobili żadnego ruchu w jego stronę.

Wykonywali swoją pracę tak, jak im przykazano, zgodnie z poleceniami nawigatora. Być może Waffa ogarnął strach tylko dlatego, że zamierzał postarać się, by ich zabito, i podejrzewał, że oni myślą to samo o nim.

Przewidywał, że czerwie morskie będą się tutaj wspaniale rozwijać. Miały sprzyjające warunki do życia i rozmnażania. Zaznaczą swoje terytoria, a kiedy wystarczająco podrosną, staną się potworami z głębin. Będzie to odpowiednia forma dla Proroka.

Drzwi ładowni zamknęły się z cichym sykiem i pilot Gildii zawrócił transportowiec. Waff i jego ekipa znajdują się na liniowcu na długo przed powrotem statków handlowych z ładunkiem kojotyłów. Nikt nie będzie miał pojęcia o tym, co się tutaj wydarzyło.

Tleilaxański mistrz zerknął przez plazowe okno kokpitu i zobaczył cofające się fale. Nie widział żadnych znaków czerw, ale wiedział, że są gdzieś tam, w dole.

Westchnął z zadowoleniem, pewien, że Prorok powróci.

Jest to zasada bomby z opóźnionym zapłonem, strategia agresji, która od dawna stanowi element przemocy. A zatem umieściliśmy w komórkach gholi nasze „bomby z opóźnionym zapłonem”, które wyzwolą specyficzne zachowania w precyzyjnie wybranych przez nas momentach.

- z *Sekretnego podręcznika mistrzów tleilaxańskich*

Życie na statku pozaprzestrzennym toczyło się w rytm jego pór dnia i nocy. Większość pasażerów, poza ludźmi na wachcie i ekipami technicznymi, spała. Pokłady były ciche, lumipanele przyćmione. Rabbi chodził w tę i z powrotem po ciemnym pomieszczeniu, w którym znajdowały się kadzie aksolotlowe, mrucząc swoje talmudyczne modlitwy.

Sziena uważnie obserwowała starca na ekranie, zawsze gotowa zapobiec nowym aktom sabotażu. Kiedy sabotażysta zabił trzy ghole i kadzie aksolotlowe, wyłączył kamery, ale baszar Miles Teg zadbał o to, by nie było to już możliwe. Wszystko znajdowało się pod obserwacją. Jako były lekarz Suka, rabbi miał wstęp do centrum medycznego i często spędzał tam czas z tym, co pozostało z kobiety, którą znalazł jako Rebeccę.

Chociaż starzec odpowiedział na wszystkie pytania Prawdomówczyni, nadal nie zdobył zaufania Szieny. Pomimo jej wysiłków sabotażysta i morderca pozostawał na wolności. A ostatnie pojawienie się

jarzącej się sieci, które świadczyło o zbytnej bliskości wroga, przypomniało pasażerom o bardzo realnym zagrożeniu. Widzieli ją wszyscy. Niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się ani odrobinę.

Na platformach spoczywały trzy względnie nowe kadzie aksolotlowe. Na wezwanie Szieny zgłosiły się następne ochotniczki, dokładnie tak, jak się spodziewała. Wszystkie nowe kadzie wytwarzały obecnie melanz w formie płynnej, który ściekał do małych fiolek, ale Sziena rozpoczęła już przygotowania do wszczepienia w jedno z łon komórek z zeroentropijnej kapsułki Scytale'a. Nowy zarodek miał sprowadzić jeszcze jedną postać z przeszłości. Nie mogła pozwolić, by sabotaż zatrzymał jej projekt hodowli gholi.

Rabbi stanął przed nowymi kadziami, wyrażając całym ciałem wstręt i odrazę.

- Nienawidzę was - powiedział do mięsistych wzgórków. - To nienaturalne i bezbożne.

Po starannej obserwacji starca Sziena oderwała się od monitorów i wśliznęła do centrum medycznego, stając za jego plecami.

- Czy godzi się nienawidzić bezbronnych i bezradnych, rabbi? - spytała. - Te kobiety nie są już świadome, nie są ludźmi. Dlaczego nimi gardzisz?

Odwrócił się szybko, a w jego okularach odbiło się światło.

- Przestań mnie szpiegować. Pragnę być sam, żeby się pomodlić za Rebecę.

Rebecca była jego ulubioną uczennicą, zawsze

gotową do intelektualnych potyczek. Nigdy nie wybaczył jej, że postanowiła zostać kadzią.

- Nawet ciebie trzeba śledzić, rabbi.

Jego pomarszczona twarz poczerwieniała ze złości.

- Ty i te twoje czarownice powinniście być posłuchać ostrzeżeń i zaprzestać swoich groteskowych eksperymentów. Jaka szkoda, że Dostojne Matrony nie pozbyły się Scytale'a, kiedy niszczyły wszystkie światy Tleilaxan! Wtedy zginęłaby jego wstrętna wiedza o kadziach i gholach.

- Dostojne Matrony polowały też na twój lud, rabbi. Ty i ten Tleilaxanin macie wspólnego wroga.

- Absolutnie nie. My w całych dziejach byliśmy niesłusznie prześladowani, natomiast Tleilaxanie dostali tylko to, co się im należało. Z tego, co rozumiem, zwrócili się przeciw nim ich maskaradnicy. - Odsunął się o krok od mięsistego wzgórka, od unoszących się z kadzi chemicznych i biologicznych zapachów. - Z trudem przypominam sobie, jak wyglądała Rebecca, zanim stała się tą rzeczą.

Sziena zaczęła szukać wspomnień o niej i poprosiła wewnętrzne głosy, by jej pomogły. Tym razem zrobiły to i znalazła, co chciała, jakby uzyskała dostęp do archiwalnych obrazów. Kobieta, którą zobaczyła, wyglądała elegancko w brązowej szacie i z włosami splecionymi w warkocz. Nosiła szkła kontaktowe, by ukryć świadczący o uzależnieniu od przyprawy niebieski kolor oczu...

Rabbi położył z gorzką miną rękę na obnażonym ciele Rebecki. Po jego policzku spłynęła łza. Ilekroć ją

odwiedzał, mrucał to samo:

- To wy, czarownice, zrobiłyście jej to, zamieniłyście ją w potwora.

- Ona nie jest potworem, a nawet męczennicą. - Sziena dotknęła swojego czoła. - Tutaj i w głowach wielu innych siostr są myśli i wspomnienia Rebecki, którymi się z nami podzieliła. Zrobiła to, co było konieczne, i my postąpimy tak samo.

- Tworząc więcej gholi? Czy to się nigdy nie skończy?

- Ty się przejmujesz kamykiem w bucie, a my szukamy sposobu, żeby uniknąć lawiny kamieni. Wcześniej czy później nie będziemy mogli już uciekać przed wrogiem. Będziemy potrzebowali pomysłowości i szczególnych talentów tych gholi, zwłaszcza gholi osób, które mogą zostać następnym Kwisatz Haderach. Ale musimy ostrożnie obchodzić się z materiałem genetycznym, pielęgnując go i rozwijając w odpowiedniej kolejności i we właściwym tempie.

Podeszła do jednej z nowych kadzi, młodej kobiety, której ciało nie zmieniło się jeszcze nie do poznania.

Kiedy tam stała, przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Nie mogła jej się pozbyć, chociaż bardzo się starała. Było to absurdalne rozumowanie, ale kielkowało w niej cały dzień.

„A jeśli moje zdolności odpowiadają wymaganym od Kwisatz Haderach? Mam już przecież naturalny dar panowania nad wielkimi czerwiami. Mam geny Atrydów i przez stulecia doskonałą przez zgromadzenie żeńskie wiedzę, z której mogę czerpać.

Czy zdobyłabym się na taką odwagę?"

Słyszała głosy wydobywające się na poziom jej świadomości. Jeden górował nad pozostałymi. Był to głos starożytnej Matki Wielebnej Gaius Heleny Mohiam, powtarzający coś, co tak dawno temu powiedziała młodemu Paulowi Atrydzie:

- Ale jest miejsce, którego nie może zobaczyć żadna Prawdomówczyni. Odpycha nas ono, przeraża. Mówi się, że pewnego dnia pojawi się mężczyzna i odnajdzie w darze serum swoje wewnętrzne widzenie. Zobaczy to, czego my nie możemy: zarówno kobietą, jak i męską przeszłość. Ten, który jest w wielu miejscach naraz...

Głos staruchy ucichł, nie udzielwszy Szienie żadnej rady.

- I ufasz, że ten stary Tleilaxanin pomoże wam, podczas gdy sam stara się rozpaczliwie osiągnąć własne cele, nim umrze? - jej myśli rozproszył drwiący głos rabiego. - Scytale ukrywał te komórki przez tak wiele lat. Ile z nich zawiera niebezpieczne sekrety? Odkryłyście już wśród tych próbek komórki maskaradników. Ile spośród waszych obrzydlistw jest pułapkami zastawionymi przez Tleilaxan?

Spojrzała na niego obojętnie, wiedząc, że nie przekonają go żadne argumenty. Rabbi zrobił gest strzegący przed złym okiem i uciekł.

*

Duncan natknął się na Szienę w pustym korytarzu, w mroku sztucznej nocy. Przetwornice powietrza i systemy podtrzymywania życia zapewniały na statku pozaprzestrzennym przyjemny chłód, ale na jej widok

Duncan poczuł uderzenie gorąca.

Duże oczy Szieny skupiły się na nim niczym system celowniczy broni. Czując mrowienie skóry, przenikające go, jakby nagle znalazł się w polu elektryczności statycznej, przeklął w duchu swoje ciało za to, że tak łatwo ulega pokusom. Jeszcze teraz, trzy lata po zerwaniu przez Szienę krępujących go i osłabiających pęt miłości do Murbelli, odczuwali do siebie nieodparty pociąg i zdarzało im się nieoczekiwanie zatracić w tak szaleńczych porywach seksu, że podobnych nie przeżywał z Murbellą.

Duncan wolał mieć wpływ na okoliczności, w których dochodziło do ich sporadycznych spotkań. Próbował się zawsze upewnić, że odbędzie się to w obecności innych osób, że będzie tam solidna bariera zabezpieczająca go przed runięciem w otchłań ze stromego urwiska. Nie lubił tracić nad sobą kontroli - zdarzyło się to już zbyt wiele razy.

On i Sziena Ignęli do siebie jak przerażeni ludzie kulący się w zbombardowanej strefie. Sziena skauteryzowała go, żeby wyleczyć jego słabość, i wykradła go Murbelli, ale mimo to czuł się jak ofiara wojny.

Kiedy teraz zobaczył jej twarz, pomyślał, że Sziena ma takie same zawroty głowy i że jest równie jak on zdezorientowana.

- Lepiej, żebyśmy tego nie robili - powiedziała, starając się, by brzmiało to racjonalnie, by w jej głosie była wyczuwalna rezerwa. - Mamy zbyt wiele kłopotów, zbyt wiele czyha na nas zagrożeń. Właśnie

uległ awarii kolejny system regeneracji. Sabotażysta...

- Masz rację. Nie powinniśmy tego robić. - Miał ochrypliły głos, ale weszli już na ścieżkę, na której każdy następny krok prowadził do coraz poważniejszych konsekwencji. Duncan ruszył z wahaniem naprzód. Przyćmione światła odbijały się od metalowych ścian. - Nie powinniśmy tego robić - powtórzył.

Zalała ich fala pożądania. Jako mentat mógł obserwować i oceniać ich zachowanie. Doszedł do wniosku, że to, co robią, jest tylko potwierdzeniem ich człowieczeństwa. Kiedy zetknęły się koniuszki ich palców, usta i skóra, zapomnieli o całym wszechświecie...

Później odpoczywali w zmiętej pościeli w kabinie Szieny. W powietrzu unosiła się wilgotna woń piżma. Duncan leżał zaspokojony, z palcami zatopionymi w swoich kędzierzawych, ciemnych włosach. Był zmieszany i niezadowolony z siebie.

- Za bardzo pozbawiłaś mnie samokontroli - powiedział.

Sziena uniosła brwi, okazując w przyćmionym świetle rozbawienie. Jej ciepły oddech muskał jego ucho.

- Czyżby? A Murbella nie? - Kiedy Duncan odwrócił się, nic nie mówiąc, zachichotała. - Czujesz się winny! Uważasz, że w jakimś sensie ją zdradziłeś. A ile kobiet na Kapitularku nauczyłeś metod seksualnego imprintingu?

Odpowiedział po swojemu.

- Murbella i ja wpadliśmy w swoje sidła i nic w

naszym związku nie działało się z naszej woli. Byliśmy od siebie uzależnieni: dwoje ludzi w sytuacji patowej. To nie była miłość ani czułość. Dla Murbelli - dla was wszystkich, czarownic - współżycie ma być „tylko pracą”. Ale mimo to, niech to szlag, darzyłem ją uczuciem! To nie jest kwestia tego, czy powinienem czy nie powinienem. Tymczasem ty - ciągnął - ty byłaś niczym gwałtowne odtrucie mojego organizmu. Tak samo podziałała na Murbellę agonizująca przyprawowa, zrywając pęta, które trzymały ją przy mnie. - Wyciągnął rękę i ujął brodę Szieny. - To nie może się zdarzyć ponownie.

Wydawała się jeszcze bardziej rozbawiona.

- Zgadza się, że to nie powinno się zdarzyć... ale i tak się zdarzy.

- Jesteś jak naładowana broń, jesteś w pełni wyszkoloną Bene Gesserit. Za każdym razem, kiedy uprawiamy miłość, możesz łatwo zejść w ciążę. Czy nie tego żądałoby zgromadzenie żeńskie? Mogłabyś nosić moje dziecko, gdybyś sobie na to pozwoliła.

- To prawda. Ale nie noszę. Jesteśmy daleko od Kapitularki i teraz sama podejmuję decyzje.

Przyciągnęła go do siebie.

Naukowcy widzą w czerwiach pustyni okazy, natomiast Fremeni widzą w nich boga. Ale czerwie pożerają każdego, kto próbuje zebrać informacje. Jak mam pracować w takich warunkach?

- imperialny planetolog Pardot Kynes,
starożytne zapisy

Sziena stała na wysokiej galerii obserwacyjnej, na którą poszła niegdyś z Garimi, by przedyskutować plany na przyszłość. Długa na kilometr ładownia była wystarczająco duża, by stwarzać wrażenie swobody, lecz o wiele za mała dla gromadki czerw. Siedem tych stworzeń rosło, ale pozostawało karłowate, czekając na obiecaną suchą ziemię. Czekały już długo, może za długo.

Przed ponad dwudziestoma laty Sziena wniosła je na pokład statku pozaprzestrzennego, wykradłszy z rozszerzającej się pustynnej strefy Kapitularza. Od początku miała zamiar przesiedlić je na inny świat, leżący z dala od Dostojnych Matron i od zagrożenia ze strony wroga z zewnątrz. Czerwie od lat kręciły się bez końca po ograniczonym terenie wypełnionej piaskiem ładowni, równie zagubione jak wszyscy inni na *Itace*...

Zastanawiała się, czy statek pozaprzestrzenny kiedykolwiek dotrze do jakiejś planety, na której mogliby się zatrzymać, na której siostry mogłyby założyć nową, ortodoksyjną kapitułę, zamiast tej skundlonej organizacji, która poczyniła ustępstwa na

rzecz nawykłych do innego stylu życia Dostojnych Matron. Jeśli będą po prostu uciekali całe pokolenia, znalezienie odpowiedniego świata dla czerw, dla Garimi i jej sojuszniczek, konserwatywnych Bene Gesserit, oraz dla rabiego i jego Żydów stanie się niemożliwe.

Przypomniła sobie, jak poprzedniego wieczoru przeszukiwała Inne Wspomnienia, by znaleźć w nich jakąś radę. Przez pewien czas nie otrzymywała odpowiedzi. Później, akurat kiedy zapadała w swojej kabinie w sen, dotarł do niej głos Sereny Butler, starożytnej przywódczyni dżihadu. Zmarła dawno temu Serena opowiedziała jej, jak czuła się zagubiona i przytłoczona niekończącą się wojną, zmuszona prowadzić ogromne rzesze ludzi, kiedy sama nie wiedziała, dokąd się skierować.

- Ale znalazłaś drogę, Sereno. Zrobiłaś, co musiałaś zrobić. Zrobiłaś to, czego potrzebowała ludzkość.

- *I ty to zrobisz, Sziena.*

Widząc, jak daleko w dole czerwie tworzą zmarszczki na piasku, Sziena wyczuwała w niedający się określić sposób ich uczucia, a one wyczuwały to, co dręczyło ją. Czy marzyły o bezkresnych, suchych wydmach, na których mogłyby wyznaczyć granice swoich terytoriów? Największy z nich, mierzący blisko czterdzieści metrów, o paszczy tak wielkiej, że mógłby połknąć troje ludzi naraz, wyraźnie dominował nad resztą. Sziena dała mu nawet imię: Monarcha.

Siedem czerw zwróciło w jej stronę bezokie pyski, obnażając krystaliczne zęby. Mniejsze zakopały się w

płytkim piasku, zostawiając tylko Monarchę, który najwyraźniej ją przyzywał. Sziena patrzyła na dominującego czerwia, starając się zrozumieć, czego chce. Połączenie między nimi zaczęło ją palić.

Zeszła do wypełnionej piaskiem ładowni. Wspiąwszy się na skotłowane wydmy, ruszyła bez strachu wprost do niego. Stawała naprzeciw tych stworzeń już wiele razy i nie miała się czego obawiać z ich strony.

Monarcha wznosił się nad nią niczym wieża. Wsparłszy dłonie na biodrach, Sziena podniosła głowę i czekała. W dawnych, podniecających czasach na Rakis nauczyła się tańczyć na piaskach i panować nad tymi olbrzymami, ale zawsze wiedziała, że stać ją na więcej. Kiedy będzie do tego gotowa.

Czerw najwyraźniej wykorzystywał jej potrzebę zrozumienia. Była dziewczyną, która potrafiła się komunikować z tymi bestiami, która potrafiła panować nad nimi i zrozumieć je. Teraz musiała posunąć się dalej, żeby zobaczyć swoją przyszłość. Dosłownie i w przenośni. Tego właśnie chciał Monarcha. Groźne, przerażające stworzenie wydzielało odór wewnętrznych palenisk i czystego melanżu.

- No więc co zrobimy, ty i ja? - spytała. - Jesteś Szejtanem czy tylko mistyfikatorem?

Niespokojny czerw zdawał się dokładnie wiedzieć, czym Sziena ma zaprzątnięty umysł. Zamiast zwinąć się, żeby mogła się wdrapać na jego pierścienie i przejechać, zbliżył do niej swoją okrągłą, otwartą paszczę. Każdy z mlecznobiałych zębów sterczących w pysku wielkości wejścia do jaskini był wystarczająco

długi, by można było użyć go jako krysoża. Sziena nie zadrżała.

Czerw położył łeb na miękkich wydmach tuż przed nią. Czyżby kusił ją do odbycia symbolicznej podróży podobnej do tej, którą Jonasz odbył w brzuchu wieloryba? Sziena walczyła ze strachem, ale wiedziała, co musi zrobić - nie jako pokaz szarlatana, bo wątpiła, by ktokolwiek ją obserwował, lecz dlatego, że było to konieczne, by zrozumiała.

Monarcha leżał, czekając na nią z otwartą paszczą. Stał się tajnym przejściem, wabiąc ją niczym niebezpieczny kochanek. Przekroczyła rozwartą bramę z krysożowych zębów i utknęła w przełyku, wdychając obrzydliwą woń cynamonu. Zakreśliło jej się od niej w głowie i przyprawiło ją o mdłości. Ledwie mogła oddychać. Czerw się nie poruszył. Poszła w głąb jego paszczy, składając się dobrowolnie w ofierze, chociaż była przekonana, że nie zostanie ona przyjęta. Czerw nie tego od niej chciał.

Nie oglądając się za siebie, wczołgała się w suchy, ciepły mrok. Monarcha nawet nie drgnął. Sziena nie zatrzymywała się. Czuła, że jej oddech staje się wolniejszy. Wpełzała coraz głębiej i wkrótce domyśliła się, że przebyła co najmniej połowę długości ciała leżącego na brzuchu czerwia. Bez żaru wzniecanego tarciem o piasek podczas niekończącego się przemierzania pustyni przełyk bestii nie był już paleniskiem. Jej oczy przystosowały się do otoczenia. Uświadomiła sobie, że nie jest spowite absolutną ciemnością, lecz - przeciwnie - zalane niesamowitym

światłem, które wydaje się bardziej wytworem zgoła innego zmysłu niż tradycyjny wzrok. Widziała szorstką, błoniastą powierzchnię i w miarę jak podążała dalej, zapach niestrawionych prekursorów melanżu stawał się coraz silniejszy, coraz intensywniejszy.

W końcu dotarła do mięsistej komory, która mogła być żołądkiem Monarchy, ale bez soków trawiennych. Jak te trzymane w zamknięciu czerwie przetrwały? Woń przyprawy była tutaj silniejsza, niż kiedykolwiek czuła w jakimkolwiek miejscu - tak intensywna, że zwykły człowiek udusiłby się.

„Ale ja nie jestem zwykłym człowiekiem” - pomyślała.

Leżała tam, chłonąc ciepło, pozwalając przyprawie wnikać we wszystkie pory jej skóry, czując, jak świadomość Monarchy łączy się z jej świadomością. Wdychała głęboko zapach melanżu i czuła wielki, kosmiczny spokój, jakby spoczywała w łonie Wielkiej Matki Wszechświata.

Niespodziewanie Monarcha, z niezwykle gościem w trzewiach, zakopał się w piachu sztucznej pustyni i ruszył przez nią, zabierając Szienę w dziwną podróż. Widziała przez bezokiego czerwia jego towarzyszy pod powierzchnią, jakby była połączona z jego układem nerwowym. Działając wspólnie, siedem czerwii tworzyło w ładowni statku małe żyły przyprawy.

„Przygotowują się” - stwierdziła.

Straciła rachubę czasu i znowu pomyślała o Leto II, którego perłą świadomości znajdowała się teraz w tej bestii i we wszystkich pozostałych w ładowni.

Zastanawiała się, jaką rolę odgrywa w tej paranormalnej sferze. Królowej, żony Boga Imperatora? Żeńskiej części tego bóstwa? A może kogoś lub czegoś zupełnie innego, bytu, którego nie potrafi sobie nawet mgliście wyobrazić?

Wszystkie czerwie nosiły w sobie tajemnice i Sziena zrozumiała, jak bardzo są w tym względzie podobne do nich wszystkie ghole na pokładzie. Każde z tych dzieci kryło w swoich komórkach skarb cenniejszy od przyprawy: swoje wspomnienia i minione życie. Paul i Chani, Jessika, Yueh, Leto II. Nawet Thufir Hawat, Stilgar, Liet-Kynes... a teraz mała Alia. Każde miało do odegrania decydującą rolę, pod warunkiem jednak, że przypomni sobie, kim było.

Widziała obraz każdego z nich, lecz nie w swojej wyobraźni. Czerwie wiedziały, co zawierają te utracone postacie. Owionęło ją nagle, niczym podmuch pustynnego wiatru, poczucie, że jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Zbyt szybko uciekał czas, a wraz z nim ich szanse przetrwania. Ujrzała ciąg możliwych do wyhodowania gholi, uzbrojonych niczym gotowe do wystrzelenia pociski, ale to, co każdy mógłby zrobić, było zamazane.

Nie mogła czekać na ruch wroga. Musiała zacząć działać.

Czerw wynurzył się na powierzchnię i po przebyciu pewnej odległości zatrzymał się. Sziena w jego brzuchu odzyskała równowagę. Potem, skurczami błoniastego wnętrza, łagodnie ją wypchnął. Wyczołgała się z jego paszczy i spadła na piasek.

Do okrywającej jej ciało powłoki przylgnęły drobiny piasku i kurzu. Monarcha trącił ją jak kwoka ponagląca pisklę, żeby zaczęło chodzić. Uwikłana w dezorientujące wizje, zrobiła krok i osunęła się na kolana. Wokół niej migotały obrazy twarzy małych gholi, niknąc w jasnym świetle.

„Zbudź się!” - nakazała sobie w myślach.

Leżała, z trudem łapiąc oddech. Jej ciało i ubranie były przesiąknięte esencją przyprawy. Olbrzymi czerw odwrócił się, zakopał w płytki piasek i zniknął.

Cuchnąc melanzem i zataczając się, Sziena brnęła do drzwi ładowni, ale co rusz traciła równowagę i przewracała się. Musiała dotrzeć do małych gholi... czerw przekazał jej ważne przesłanie, coś, co zapadło jej w świadomość niczym niema forma Innych Wspomnień. Po paru chwilach nabrała niezachwianej pewności, że wie, co musi zrobić.

Mówicie, że musimy się uczyć przeszłości.
Ale ja... ja się boję przeszłości, bo byłem w
niej i nie mam ochoty tam wracać.

- ghola doktora Wellingtona Yuego

Po wyszorowaniu i umyciu się w celu usunięcia
odoru przyprawy, który był tak silny, że nawet
pomagające jej siostry zatykały nosy i zasłaniały usta,
Sziena spała dwa dni głębokim snem.

Kiedy w końcu wyłoniła się ze swojej kajuty,
znalazła na mostku nawigacyjnym Duncana Idaho i
Milesa Tega.

- Ghole są już w odpowiednim wieku - oznajmiła. -
Nawet Leto II ma tyle lat, ile miał baszar, kiedy
przywróciłam mu wspomnienia. - Jej oddech
przesycony był silnym zapachem przyprawy. - Czas ich
wszystkich obudzić.

Duncan odwrócił się tyłem do okna obserwacyjnego,
przy którym stał.

- Zapoczątkowanie tego procesu nie jest czymś w
rodzaju uruchomienia podprogramu czy pokonania
chwilowej utraty pamięci - powiedział. - Nie możesz po
prostu wydać polecenia i powiedzieć, żeby je
wykonano.

- Te ghole zawsze wiedziały, że będziemy tego od
nich wymagać - stwierdziła. - Bez swoich wspomnień,
bez swoich talentów, nie są dla nas więcej warte niż
jakiegokolwiek inne dzieci.

Baszar skinął powoli głową.

- Przywołanie minionego życia gholi jest doświadczeniem, które niszczy i odtwarza psychikę - rzekł. - Istnieje wiele sprawdzonych metod, niektóre są bardziej bolesne niż inne, ale żadna nie jest łatwa. Każde krytyczne wydarzenie musi być dostosowane do danej jednostki. Musi to być straszny kryzys, który rozsądza umysł. - Twarz Tega wykrzywiła się na wspomnienie tej męki. - Myślałaś, Szieno, że stosujesz wobec mnie humanitarną metodę przebudzenia... ale byłem wtedy zaledwie dziesięcioletnim dzieckiem.

Chociaż Duncan też wydawał się zaniepokojony tą perspektywą, odsunął się od okna obserwacyjnego i podszedł do Szieny.

- Ona ma rację, Miles. Stworzyliśmy te ghole w określonym celu i teraz wszystkie są jak nienaładowane strzelby. Musimy je naładować... to nasza jedyna w swoim rodzaju broń. Sieć wroga jest teraz mocniejsza i znowu o mało w nią nie wpadliśmy. Wszyscy to widzieli. Następnym razem może nie udać się nam wymknąć.

- Już wystarczająco długo czekamy. - Głos Szieny był twardy i świadczył o tym, że nie dopuszcza żadnej dyskusji na ten temat.

- Niektórzy mogą być bardziej oporni niż reszta. - Oczy Tega się zwęziły. - Możesz doprowadzić ich do szaleństwa i stracić. Jesteś na to przygotowana?

- Przeszłam agonię przygotowawą, jak wszystkie Matki Wielebne na tym statku. Mimo nieznośnego bólu przeżyłyśmy.

- Mam wspomnienia z mojego starego życia - rzekł

baszar. - Wspomnienia wojen i potworności, a także strasznych tortur, którym mnie poddano. Te złe chwile są jakoś wyraźniejsze niż dobre, ale nic nie jest gorsze od przebudzenia.

Sziena zbyła to machnięciem ręki.

- W całych dziejach ludzkości różni mężczyźni i kobiety mieli monopol na ten rodzaj cierpień, które stały się ich udziałem. Każdy myśli, że ból, który przeżył, jest najgorszy. - Uśmiechnęła się ponuro. - Oczywiście zaczniemy od najmniej cennych gholi. Na wypadek gdyby coś poszło źle.

*

Wellingtonowi Yuemu nakazano stawić się przed Bene Gesserit w jednym z pomieszczeń rady. Tyczkowaty młodzieniec miał ostrą brodę i zaciśnięte usta. Na jego twarzy widać już było zapowiedź znanych, wyrazistych rysów i szerokiego czoła - otoczonego powszechną pogardą oblicza, które od tysięcy lat było synonimem słowa „zdrajca” w galaktycznych publikacjach encyklopedycznych.

Był zdenerwowany i niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Sziena wstała, wyprostowała się i podeszła bliżej. Wzdrygnął się na widok jej imponującej postaci, ale jakoś zdobył się na odwagę, by pozostać tam, gdzie stał.

- Wezwałaś mnie, Matko Wielebna - powiedział. - Jak mogę pomóc?

- Budząc swoje wspomnienia. Jutro zostaniesz jako pierwszy poddany temu procesowi.

Żółtawa twarz Yuego pobladła.

- Ale nie jestem gotowy!
- Dlatego dajemy ci cały dzień na przygotowanie się.
- Język naczelnej opiekunki Garimi był ostry jak zwykle.

Chociaż Garimi nigdy nie popierała tego programu, teraz chciała zobaczyć jego ukoronowanie. Sziena wiedziała, co myśli ta konserwatystka: jeśli proces przebudzenia się nie powiedzie, zamierzała zapobiec wyhodowaniu następnych gholi, jeśli zaś przebiegnie pomyślnie, będzie twierdziła, że program spełnił swój cel i można go zakończyć. Garimi zdawała sobie sprawę, że Szienę nadal intrygują te wszystkie komórki w zeroentropijnej kapsułce Tleilaxanina i że planuje dalsze eksperymenty z gholami.

Nogi Yuego jakby wrosły w pokład. Wydawał się bliski omdlenia i chwycił się oparcia stojącego obok krzesła, by nie upaść.

- Siostry, ja nie chcę swoich wspomnień. Nie jestem tym mężczyzną, którego - jak myślicie - wskrzesiłyście, ale nową osobą... sobą. Stary Wellington Yueh był bardzo udreńczonym człowiekiem. Nawet jeśli był po części mną, jak mogę mu wybaczyć to, co zrobił?

Garimi zbyła te słowa ruchem ręki.

- Niemniej jednak sprowadziłyśmy cię z powrotem tylko w jednym celu - powiedziała. - Nie oczekuj od nas współczucia. Masz do wykonania pewne zadanie.

Kiedy opiekunki wyprowadziły zrozpaczonego młodzieńca, Sziena spojrzała na Garimi i dwie inne starsze siostry - Calissę i Elyen - które przysłuchiwały się dyskusji.

- Użyję wobec niego metody seksualnej, tej samej, która podziałała na ghole baszara. To najlepsza technika, jaką znamy.

- Twoje seksualne wdrukowanie uwolniło wspomnienia baszara tylko dlatego, że doprowadził go do kryzysu - powiedziała Elyen. - Matka uodporniła Tega na imprinting seksualny. To nie twoja technika poruszyła jego wspomnienia, lecz opór, który jej stawiał.

- Faktycznie. A zatem dla każdego naszego gholi obmyślimy zindywidualizowaną agonię, która wywrze nacisk na jego obawy i słabości.

- Jak seks może złamać Yuego tak samo jak baszara?
- zapytała Garimi.

- Nie seks sam w sobie, ale opór Yuego przeciwko niemu. Przeraża go perspektywa przypomnienia sobie przeszłości. Jeśli wierzy, że wiemy, jak uwolnić jego wspomnienia, będzie wszelkimi sposobami walczył z nami. Wtedy zastosuję moje najsilniej oddziałujące metody i Yueh wpadnie w kompletne szaleństwo.

Garimi wzruszyła ramionami.

- Jeśli to nie podziała, mamy inne metody - rzekła.

*

Pomieszczenie było skąpo oświetlone i w kątach czaiły się cienie, co sprawiło, że strach Yuego jeszcze się spotęgował. Nie było tam żadnych mebli oprócz materaca podobnego do tych, których młode ghole używały podczas ćwiczeń.

Czarownice nie wyjaśniły mu, czego ma się spodziewać. Młodzieniec wiedział ze swoich studiów, że proces odzyskiwania przeszłości jest bolesny. Nie był

silny ani szczególnie dzielny. Mimo to perspektywa bólu nie przerażała go tak bardzo jak myśl o tym, że przypomni sobie przeszłość.

Drzwi uchyliły się z łagodnym szmerem naoliwionych zawiasów. Z korytarza wpadło oślepiające światło, dużo jaśniejsze od blasku lumipaneli w jego kabinie. Na jego tle rysowała się sylwetka kobiety. Szieny? Odwrócił się twarzą do niej, ale widział tylko kontury jej ciała, zmysłowe krzywizny niemaskowane już przez powłóczystą suknię. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, jego wzrok przystosował się do łagodniejszego oświetlenia.

Zobaczył, że Sziena jest kompletnie naga, i jego strach wzrósł.

- Co to znaczy? - Jego głos ze zdenerwowania zamienił się w pisk.

Podeszła bliżej.

- Rozbierz się - powiedziała.

Yueh, zaledwie nastolatek, przełknął ślinę.

- Nie zrobię tego, dopóki mi nie wyjaśnisz, co się ze mną stanie - odparł.

Użyła huraganowej siły Głosu Bene Gesserit.

- R o z b i e r z s i ę !

Reagując spazmatycznymi drganiami rąk i nóg, zdarł z siebie ubranie. Sziena przyjrzała mu się badawczo, przebiegając wzrokiem jego chude, nagie ciało od góry do dołu jak jastrząb oceniający ofiarę. Yueh odniósł wrażenie, że stwierdziła, iż się nie nadaje.

- Nie spraw mi bólu - rzekł błagalnie i poczuł złość na siebie za to, że wypowiedział te słowa.

- Oczywiście będzie to bolało, ale to nie ja zadam ci ból. - Dotknęła jego ramienia. Poczuł prawie elektryczny wstrząs, lecz był jak sparaliżowany, niezdolny się ruszyć. - Sprawiają to twoje wspomnienia.

- Nie chcę ich odzyskać. Będę z tobą walczyć.

- Walcz, z kim chcesz. Nic ci to nie da. Wiemy, jak cię obudzić.

Yueh zamknął oczy i zacisnął zęby. Starał się odwrócić, ale chwyciła go za ręce, po czym zwolniła uścisk i zaczęła go głaskać. Delikatne ruchy jej dłoni odczuwał niczym żar zapalonej zapalniczki przesuwanej wzdłuż jego ramienia i w poprzek piersi.

- Twoje wspomnienia przechowywane są w komórkach. Aby je obudzić, muszę obudzić twoje ciało.

- Nadal go gładziła. Drżał, nie będąc w stanie się odsunąć. - Nauczę zakończenia twoich nerwów robić to, co zapomniały.

Kolejny wstrząs, tak silny, że aż stracił dech.

Znowu go dotknęła i ugięły się pod nim kolana, dokładnie tak, jak chciała. Pchnęła go na materac.

- Muszę tobą tak szarpnąć, żebyś w pełni uświadomił sobie każdy chromosom w każdej swojej komórce.

- Nie. - Słowo to zabrzmiało w jego uszach niewiarygodnie słabo.

Kiedy przywarła do niego, a jej ciepła skóra sprawiła, że zaczął się pocić, wycofał się w głąb siebie, próbując uciec. We wszystkim, czego się dowiedział o swojej przeszłości, znalazł tylko jedną rzecz, która mogła dodać mu odwagi. Wanna! Jego ukochana żona, Bene Gesserit, słabe ogniwo w długim łańcuchu jego zdrad i

najsilniejsza więź w jego pierwotnym życiu.

Okrutni Harkonnenowie wiedzieli, że Wanna będzie kluczem do złamania jego warunkowania, i tylko to podziałało - tylko to mogło podziałać - ponieważ Yueh kochał ją całym sercem. Bene Gesserit nie powinny ulegać miłości, ale wiedział, że musiała odwzajemniać jego uczucie.

Myślał o jej obrazach w archiwum, o wszystkim, czego się o niej dowiedział podczas swoich poszukiwań.

„Och, Wanno!” - pomyślał.

Tęsknił za nią, starał się jej ucześcić jak liny ratunkowej.

Sziena pogładziła go po brzuchu, przesunęła palce niżej i siadła na nim. Yueh zupełnie nie panował nad mięśniami. Nie mógł się ruszyć. Jej usta muskały skórę jego ramienia i szyi. Sziena była biegła w sztuce imprintu seksualnego. Jej ciało było bronią, a on był celem.

Nagły zalew doznań niemal wyparł z jego umysłu archiwalny obraz Wanny, ale Yueh walczył z tym, co wzbudzała w nim Sziena. Skupił się na tym, co mógłby robić w miłosnych objęciach Wanny.

„Wanno!” - wzdychał w myślach.

Kiedy rytm ich kopulacji przyspieszył, w informacje, które Yueh uzyskał podczas badań archiwalnych, wtargnęły prawdziwe wspomnienia. Przypomniawszy sobie straszliwe chwile po schwytaniu jego żony przez Harkonnenów i zobaczywszy obrazy wstrętnego, otyłego barona, jego łotrowatego bratanka Rabbana, tej żmii Feyda-Rauthy i mentata Pitera de Vriesa, którego

śmiejch był kwaśny jak ocet.

Zmuszono go, słabego i doprowadzonego do szału, by się przyglądał, jak torturują Wannę zamkniętą w odizolowanej komorze. Była Bene Gesserit, mogła więc powstrzymać ból, zmienić reakcje swojego ciała, ale Yueh nie potrafił tak łatwo odsunąć tych rzeczy na bok, bez względu na to, jak bardzo się starał.

W tym koszmarnym wspomnieniu baron śmiał się dudniącym basem.

- Widzisz tę małą komorę, w której jest zamknięta, doktorze? To zabawka dająca pewne interesujące możliwości. - Półprzytomna i zdezorientowana Wanna wprawdzie stała, ale do góry nogami. - Możemy przekształcić siłę grawitacji w coś, co całkowicie zależy od punktu widzenia.

Rabban zachichotał, co zabrzmiało tak, jakby ktoś przeciągał tępym ostrzem po szkle. Uruchomił mechanizm sterujący sztuczną grawitacją w komorze i nagle Wanna spadła z głuchym łoskotem na podłogę. Zdażyła na tyle odchylić ramiona i głowę, by uniknąć skręcenia karku. Piter de Vries skoczył z prędkością i płynnością ruchów węża, trzymając wzmacniacz bólu. W ostatniej chwili Rabban wyrwał go z rąk wynaturzonego mentata i sam przytknął do gardła Wanny. Zwinęła się w paroksyzmie bólu.

- Przestań! Błagam, przestań! - krzyknął Yueh.

- Och, doktorze, doktorze, wiesz, że to nie może pójść tak łatwo. - Baron skrzyżował tłuste ręce na piersi.

Rabban ponownie przekręcił dźwignię sterującą siłą ciężenia i Wannę zaczęło miotać jak bezwładną lalką od

ściany do ściany. Grawitacja tłukła nią o boki komory.

- Kiedy ktoś jest zbyt śliczny, trzeba coś zrobić, żeby to naprawić.

„Moja piękna Wanna!" - pomyślał z rozpaczą Yueh.

Wspomnienia były teraz tak żywe, bardziej szczegółowe niż jakikolwiek opis, który znalazł w archiwum. Żadne dokumenty nie mogły tego przedstawić z taką precyzją...

W świeżo otwartym przedziale mózgu żył inną pamięcią. Został sztucznie sparaliżowany, zmuszony do przyglądania się podczas jednego z pijackich przyjęć barona, jak Piter przesuwając sypiącym iskrami wzmacniaczem bólu po podwieszonym ciele Wanny. Każdy błysk wywoływał u niej reakcję - jej wyprężone ciało drgało pod wpływem potwornych katuszy. Pozostali goście śmiali się z jej mąk i bezsilności.

Kiedy przywrócono mu władzę w członkach, Yueh trząsł się, a z ust ciekła mu ślina. Stał nad nim baron z szerokim uśmiechem na rozdętej twarzy. Podał mu pistolet.

- Jako lekarz Akademii Suka - powiedział - powinieneś zrobić wszystko, co możliwe, by zapobiec odczuwaniu bólu przez pacjenta. Wiesz, jak położyć kres męczarniom Wanny, doktorze.

Nie będąc w stanie przełamać warunkowania, Yueh drżał i wstrząsały nim skurcze. Nie chciał zrobić niczego więcej niż to, czego żądał baron.

- N... nie mogę!

- Ależ możesz. Wybierz gościa, dowolnego gościa. Nie obchodzi mnie którego. Widzisz, jak ich bawi ta

drobna rozrywka? - Chwyciwszy trzęsące się przeguby Yuego, pomógł mu powieść lufą pistoletu po sali. - Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, bo dołożymy starań, żeby te męczarnie potwały znacznie dłużej!

Jakże pragnął móc uwolnić Wanę z tej niedoli, zabijając ją, by nie pozwolić Harkonnenom na ich zboczoną rozrywkę. Widział w jej oczach ból i iskrę nadziei, ale Rabban powstrzymał go.

- Skup się, doktorze. Nie popełnij żadnego błędu.

Wybierał jak przez mgłę cel po celu i w końcu postarał się skoncentrować na jednym, chwiejącym się starym szlachcicu uzależnionym od senility. Ten miał za sobą długie życie, niewątpliwie rozpustne. Ale dla lekarza Akademii Suka zabicie kogoś...

Wypalił.

Przytłoczony straszną sceną odtwarzaną w jego głowie, Yueh nie zwracał już uwagi na zabiegi Szieny. Jego ciało ociekało potem, ale bardziej za sprawą ogromnego cierpienia psychicznego niż z wyczerpania aktem seksualnym. Widział, że Sziena go ocenia. Wspomnienia były tak wyraźne, że czuł się, jakby całe jego ciało było jedną wielką, jątrzącą się raną: Wanna w agonii i ostry jak rozbity kryształ ból spowodowany złamaniem warunkowania. To się stało tysiące lat temu!

Jego umysł, świeży teraz i spragniony, wypełniły wspomnienia z lat poprzedzających to wydarzenie i tych, które przeżył po nim. Wraz z ich niepowstrzymanym napływem powróciły cierpienie i poczucie winy, którym towarzyszył wstręt do siebie.

Yueh czuł się, jakby miał zwymiotować. Po

policzkach ciekły mu łzy.

Sziena przyglądała się strumieniom łez badawczym okiem klinicysty.

- Płaczesz - stwierdziła. - Czy to znaczy, że odzyskałeś wspomnienia?

- Mam je. - Jego głos był ochrypły i brzmiał, jakby Yueh był nieskończenie stary. - Niech was, czarownice, piekło za to pochłonie.



Bez trudu znajdujemy wrogów, ponieważ skłonność do przemocy jest nieodłączną częścią ludzkiej natury. A zatem największym wyzwaniem jest dla nas wybór najpoważniejszego wroga, gdyż nie możemy liczyć na to, że pokonamy wszystkich.

- baszar Miles Teg, przedstawiona
Bene Gesserit ocena sytuacji z wojskowego
punktu widzenia

Po odlocie z Kapitulacza Murbella udała się na linię frontu. Tam było miejsce Matki Dowodzącej. Udając, że nie jest nikim ważnym, jedynie inspektorką nowego zgromadzenia żeńskiego, przybyła na Oculiat, planetę w jednym z układów leżących bezpośrednio na drodze nacierającej floty myślących maszyn.

Oculiat był niegdyś placówką na kresach zamieszkanego przestrzeni kosmicznej, stał się zatem punktem wyjścia dla Rozproszenia, które zaczęło się po śmierci Tyrana. Obiektywnie rzecz biorąc, ten słabo zaludniony świat nie miał wielkiego znaczenia strategicznego, był po prostu jednym z celów na ogromnej mapie kosmosu. Jednak dla Murbelli zajęcie Oculiata przez maszyny byłoby potężnym ciosem psychologicznym, oznaczałoby bowiem, że oto wdarły się one do samego Starego Imperium, a nie tylko na odległą i nieznaną planetę, która nie była nawet zaznaczona na starych mapach.

Dopóki Ixanie nie dostarczą unicestwiaczy, a Gildia

wszystkich zamówionych statków, Matka Dowodząca nie miała żadnej możliwości powstrzymania, a nawet opóźnienia marszu myślących maszyn.

Wyszła ze statku pod niebem rozświetlonym wodnistym, żółtym blaskiem słońca. Lądowisko wydawało się opuszczone, jakby nikt nie dbał już o port kosmiczny. Jakby mieszkańcy nie wypatrywali nawet wroga.

Kiedy jednak dotarła do rozszalałych tłumów w głównym mieście planety, przekonała się, że znaleźli już sobie wroga. Tłuszcza otaczała główny budynek administracji, w którym zabarykadowali się członkowie rządu. Miejscowa ludność zamknęła swoich przywódców w oblężeniu, domagając się krwi albo boskiej interwencji. **Najlepiej krwi.**

Murbella знаła siłę, którą dawał im strach, ale najwyraźniej nie została ona właściwie ukierunkowana. Lud Oculiata - i wszystkich zdesperowanych planet stojących w obliczu nadciągającego wroga z zewnątrz - potrzebował przywództwa zgromadzenia żeńskiego. Był jak naładowana już broń, którą trzeba w coś wymierzyć. Tymczasem wyrwał się spod kontroli. Widziała, co się dzieje, i popędziła naprzód, ale zatrzymała się, nim rzuciła się na oślep w ciżbę.

Rozewaliby ją na strzepy i zrobiliby to dla Szieny

Przypadkowe pojawienia się „zmartwychwstałej” Szieny i głoszone przez nią kazania przygotowały miliardy ludzi do walki. Szieny rozpały złość i zapal całych populacji, żeby zgromadzenie mogło pokierować tą surową siłą, wykorzystując ją dla swoich celów.

Kiedy jednak taki fanatyzm został już rozbudzony, mógł łatwo doprowadzić do chaosu. Wiedząc, że nie mogą przetrwać starcia z nadciągającymi maszynami, mężczyźni ci i kobiety wznieśli zamieszki i szukali jakiegokolwiek wroga, który mógł im wpaść w ręce... nawet wśród swoich.

- Maskaradnicy! - krzyknął ktoś.

Murbella przepchnęła się bliżej centrum akcji, odtrącając wymachujące pięści. Trzepnęła kogoś w bok głowy. Ale nawet oszołomieni, wściekli i ośmieleni ludzie parli naprzód.

- Maskaradnicy! Cały czas nami manipulowali. Zaprzędawali nas wrogowi!

Ci, którzy rozpoznali jednolity trykot Bene Gesserit, cofnęli się. Inni, albo niepomni tego, albo zbyt rozzłoszczeni, by na to zważać, nie zeszli jej z drogi, dopóki nie użyła Głosu. Ogłuszeni rozkazem, któremu nie byli w stanie się oprzeć, rozstąpili się chwiejnie. Sama naprzeciw tłumowi, Murbella ruszyła sprężystym krokiem ku otoczonemu kolumnadą wejściu do centrum rządowego, które ci ludzie wzięli sobie na cel. Ponownie użyła Głosu, ale nie mogła powstrzymać wszystkich. Rozległy się oskarżycielskie okrzyki, które uderzyły jak burza.

Kiedy przedarła się przed barykadę, kilka osób z brzegu tłumy dostrzegło jej strój i zgotowało jej owację.

- Jest tutaj Matka Wielebna, by nam pomóc!

- Śmierć maskaradnikom! Śmierć im wszystkim!

- Za Szienę!

Murbella chwyciła za ramię starszą kobietę, która

krzyczała z innymi.

- Skąd wiecie, że są maskaradnikami? - zapytała.

- Wiemy. Pomyśl o ich decyzjach, posłuchaj ich przemówień. Jest oczywiste, że są zdrajcami.

Murbella nie wierzyła, że maskaradnicy mogli aż tak rzucać się w oczy, by hałstra wykryła subtelne różnice między nimi a ludźmi. Ale tłuszcza była o tym przekonana.

Przebiegło obok niej sześciu sapiących z wysiłku mężczyzn z plastalowym słupem, którego użyli jako tarana. Kryjący się w gmachu przerażeni członkowie rządu wzniesli w oknach i drzwiach zapory z różnych przedmiotów. Rzucane z tłumu kamienie roztrzaskały ozdobny plaz, ale wedrzeć się do środka nie było wcale tak łatwo. Pręty i ciężkie meble blokowały drogę.

Taran trzymany przez mężczyzn, którym panika i histeria dodały sił, wałnął w drzwi i wyrwał je z zawiasów, tak że aż posypały się drzazgi. Po chwili do wnętrza runęła fala ciał.

- Zaczekajcie! - zawołała Murbella. - Może by tak udowodnić, że są maskaradnikami, zanim kogoś zabijecie...

Starsza kobieta, z którą przed momentem rozmawiała, przepchnęła się obok niej, paląc się, by dopaść członków rządu. Nadepnęła Murbelli na nogę, usłyszała jej wyrzut i odwróciwszy się, przyglądała się jej oczami zwężonymi jak u żmii.

- Dlaczego się wahasz, Matko Wielebna? Pomóż nam ująć zdrajców. A może sama jesteś maskaradnikiem?

U Murbelli doszły do głosu wyćwiczone odruchy

Dostojnych Matron i jej ręka wystrzeliła do przodu, uderzając kobietę krawędzią dłoni w szyję. Ten cios pozbawił ją przytomności. Matka Dowodząca nie miała zamiaru zabić tej kobiety, ale kiedy jej oskarżycielka padła na schody, przebiegło po niej z tuzin osób, traktując ją na śmierć.

Z bijącym sercem Murbella przycisnęła się do ściany, by uniknąć powalenia przez szarżujący motłoch. Gdyby rozległ się okrzyk „Maskaradnik! Maskaradnik!” przy wskazujących na nią palcach, zostałaaby bez namysłu zabita. Nawet ze swoimi nadzwyczajnymi umiejętnościami bojowymi nie zdołałaby się obronić przed taką ciżbą.

Wycofała się jeszcze dalej i znalazłszy schronienie za wysokim posągim dawno zapomnianego bohatera z Czasów Głodu, wyglądała bezpiecznie zza jego plastonowej postaci. Wrzeszczący tłum rozdepcze wiele tworzących go osób, zanim dostanie się do budynku rządowego.

Słyszała dobiegające z wnętrza wrzaski, odgłosy strzałów i małych wybuchów. Niektórzy uwięzieni w gmachu musieli mieć broń osobistą. Murbella czekała, wiedząc, że wkrótce będzie po wszystkim...

Krwawy atak wypalił się w ciągu półgodziny. Thuszcza znalazła i zabiła wszystkich dwudziestu członków rządu podejrzewanych o to, że byli maskaradnikami na usługach wroga. Potem, wciąż niesyta krwi, zwróciła się przeciw tym pośród niej, którzy nie wykazali się wystarczającym zapałem do mordowania, i szalała, dopóki nie ogarnęło jej

wyczerpanie zabarwione poczuciem winy...

Matka Dowodząca weszła z wysoko podniesioną głową do budynku i zlustrowała rozbite okna, gabloty wystawowe i dzieła sztuki. Rozradowani mordercy ciągnęli ciała zabitych po gładkich płytkach głównej sali. Zginęło prawie trzydzieści osób, mężczyzn i kobiet, niektóre od pocisków, inne pobite na śmierć, część z takim okrucieństwem, że trudno było rozpoznać ich płeć. Na twarzach trupów leżących na kamiennej posadzce zastygł grymas przerażenia i szoku.

Jedno z ciał w tej krwawej masie faktycznie było ciałem maskaradnika.

- Mieliśmy rację! Sama widzisz, Matko Wielebna. - Jakiś mężczyzna wskazał martwego zmiennokształtnego. - Przeniknęli między nas, ale ich wypleniliśmy i zabiliśmy.

Murbella popatrzyła po tych wszystkich niewinnych ludziach, zamordowanych, by wykryć jednego maskaradnika. Jaki był bilans tej rzezi? Starła się ocenić to chłodno. Jakie szkody mógł wyrządzić ten jeden maskaradnik, odsłaniając słabe punkty planety wrogowi? Śmierć tych wszystkich, którzy tutaj zginęli? Tak, i śmierć wielu innych, musiała przyznać.

Z uniesienia mieszkańców Oculiata było wyraźnie widać, że uważają to powstanie za zwycięstwo, i Murbella nie miała zamiaru tego podważać. Ale czy upadną wszystkie rządy, jeśli będzie się nadal rozwijał ten ruch samoobrony obywatelskiej? Nawet na Kapitularku? Kto wówczas zorganizuje ludzi do obrony przed prawdziwym wrogiem?

Słabe umysły są naiwne. Im słabsze procesy myślowe, tym bardziej niedorzeczne pojęcia, w które wierzą. Silne umysły, takie jak mój, potrafią to obrócić na swój użytek.

- baron Vladimir Harkonnen,
oryginalne nagrania

Mimo że był nieuzbrojony, baron śmiał się drwiąco prosto w nos czerwonoookiemu kundlowi. Warczące zwierzę posuwało się ku niemu po wyłożonej kamiennymi płytami posadzce, obnażając kły, gotowe do skoku.

Na szczęście zastrzelił jakiś czas temu to zdżiczałe zwierzę ze strzelby na zatrute strzałki, a ta jego wypchana, mechaniczna wersja poruszała się tylko zgodnie z zainstalowanym w niej programem. Kiedy dał ręką znak, zwierzę znieruchomiało.

Po pokoju myśliwskim chodził dziewięcioletni Paolo, podziwiając trofea. Baron wyciągał chłopca na liczne polowania w dziewiczych lasach Kaladanu, żeby mógł się oswoić z zabijaniem. Było to dobre dla jego rozwoju i edukacji.

Rabban zawsze lubił takie rzeczy, ale Paolo początkowo odnosił się do tego niechętnie. Może był to skutek jakiejś wady genetycznej. Jednak baron stopniowo przełamywał jego opór. Dzięki energicznemu szkoleniu oraz systemowi nagród i kar (tych ostatnich nigdy mu nie skąpił) Vladimirowi prawie udało się zdusić wrodzoną dobroć tego gholi Paula Atrydy.

Satelity pogodowe zapowiadały deszcz i wiatr na resztę tygodnia. Baron cieszył się na nowe polowanie, ale ziab i wilgoć zepsułyby wyprawę. Był z Paolem uwięziony w zamku. Zawiązała się między nimi zadziwiająca więź. Między rodem Atrydów i rodem Harkonnenów - cóż za ironia losu! Ale chociaż Paolo był klonem syna znienawidzonego księcia, odpowiednio wychowywany coraz bardziej upodabniał się do Harkonnena.

- *W końcu jest twoim wnukiem* - odezwał się zrzędlivy wewnętrzny głos Alii.

Stłumiwszy pragnienie, by krzyknąć na nią, baron patrzył, jak czterech robotników z dryfami wciąga na podwyższenie olbrzymiego wypchanego mastafonta. Ubiegłej jesieni ta sroga bestia, należąca do jeszcze jednego niemal wymarłego gatunku, zaszarżowała na nich, dżgając swoimi ząbkowanymi rogami. Jednak baron, Paolo i pół tuzina strażników otworzyło ogień z rusznic laserowych i zasypało ją tnącymi krążkami oraz zatrutymi fleszetami, dziurawiąc jak sito, zanim w końcu padła. Jakież ekscytujące było to polowanie!

Paolo patrzył na mechaniczne stworzenia stojące na podstawkach.

- Zamiast jechać w dzicz, zapolujmy tutaj - zaproponował. - Możemy udawać, że nie są martwe. Nie będziemy się musieli martwić, że przemokniemy i zmarzniemy.

Baron spojrzał na zachmurzone niebo, zastanawiając się, czy powodem niechęci Paola była naprawdę pogoda.

- Nie mam nic przeciwko bólowi, ale niewygody to zupełnie inna sprawa. - Rozejrzał się po pokoju, oceniając możliwe szkody. Uśmiechnął się. - Masz całkowitą rację, mój chłopcze.

Z przyjemnością słuchał, jak jego głos robi się coraz niższy.

Kazali służbie przynieść wybór rusznic laserowych, pistoletów strzałkowych, mieczy i noży na swoją kolejną namiastkę przygody. Kiedy uruchomiono ich mechanizmy, martwe zwierzęta zaczęły gorączkowo biegać po pokoju. Obaj myśliwi ukryli się, wyobrazili sobie grożące im niebezpieczeństwa i przystąpili do zestrzeliwania stworzeń z podstawek oraz siekania ich sztucznych kości, wypełniacza i zakonserwowanych tkanek. Na koniec uruchomili ogromnego mastafonta i patrzyli, jak głośno tupiąc, stąpa po rumowisku. A potem, wzięwszy go w krzyżowy ogień rusznic, odcięli mu nogi. Bestia zwała się na podłogę ze skrzęcającymi się serwomechanizmami.

Baron uznał, że ta sesja agresji była bardzo przyjemna, i wydawało się, że nawet Paolo przekonał się do tej rozrywki. Dzielni myśliwi obejrzel pobojuwisko i śmiali się, kiedy wychodzili na korytarz. Baron dostrzegł trzech robotników, którzy sprawiali wrażenie, jakby chcieli się stać niewidzialni.

- Wracajcie tam i posprzątajcie ten bałagan! - krzyknął.

- *Zawsze robisz bałagan, nieprawdaż, dziadku?*

Baron przycisnął ręce do głowy.

- Zamknij się, przekłeta! - Alia zaczęła nucić w kółko

tę samą melodię, niewątpliwie po to, by doprowadzić go do szaleństwa. Kiedy zdumiony Paolo zaczął zadrećcać go pytaniami, baron odpędził go, wymierzając mu policzek. - Zostaw mnie w spokoju! Jesteś równie zły jak twoja siostra!

Zmieszany i zaskoczony, Paolo odbiegł.

Drażniący głos dziewczynki nadal wibrował w jego umyśle, aż w końcu baron nie był już w stanie tego znieść. Pospiesznie wyszedł z zamku. Ledwie widząc, dokąd idzie, wpadł na jeden z masywnych posągów Harkonnenów, po czym popędził w stronę nadmorskiego urwiska.

- Rzucę się z jego skraju - przysięgam, Zły Duchu - jeśli nie zostawisz mnie w spokoju! - wrzasnął.

Przebył całą drogę na wietrzny, skalisty brzeg, zanim głos Alii wreszcie umilkł i zapanowała błoga cisza. Baron opadł na kolana na kamienistej ścieżce, patrząc ze wspaniałym zawrotem głowy w dół. Może i tak powinien to zrobić i spaść na mokre, czarne skały i spienione fale. Jeśli naprawdę był tak potrzebny tym przeklętym maskaradnikom, to mogliby po prostu wyhodować następnego ghole, który być może nie byłby wadliwy. Baron Harkonnen powróciłby!

Poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Zebrawszy resztki godności, podniósł głowę i zobaczył przyglądającego mu się perkatonosego maskaradnika. Chociaż wszyscy zmiennokształtni wyglądali dokładnie tak samo, jakoś wiedział, że jest to Khrone.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Ty i Paolo opuścicie Kaladan i nigdy tu nie wrócicie

- powiedział słuźbiście maskaradnik. - Trwa wielka wojna i wszechumysł zdecydował, że musi mieć blisko siebie Kwisatz Baderach. Omnius chce, byś zakończył przygotowywanie chłopca pod jego bezpośrednim nadzorem w sercu imperium maszyn. Odleciecie do Synchronii, jak tylko statek będzie gotowy.

Baron przesunął spojrzenie za maskaradnika, na Paola, który przykucnął obok posągu jednego z Harkonnenów, na tyle blisko, by podsłuchać rozmowę. Zachichotał w duchu, bo ten chłopak był równie wytrwały i uparty jak Piter de Vries! Skoro tylko Paolo zdał sobie sprawę, że został odkryty, potruchtał ku nim.

- On mówi o mnie? - zapytał.

- Porozmawiaj z nim po drodze o jego przeznaczeniu - rzekł Khrone do barona. - Nie ograniczaj się do wyjaśnień. Postaraj się, żeby chłopiec w to u w i e r z y ł.

- Paolo ma skłonność do wierzenia we wszystko, co umacnia jego manię wielkości - odparł baron, ignorując chłopca. - A więc ta sprawa z Kwisatz Haderach to... nie żart?

Mimo iż maskaradnicy powiedzieli mu w końcu prawdę, pomysł ten w dalszym ciągu wydawał mu się niedorzeczny. Nie był przekonany, że ten młody ghola może odgrywać tak ważną rolę w rozwoju sytuacji.

W swojej nijakiej postaci Khrone wyglądał upiornie. Cienie wokół jego oczu pogłębiły się, zdradzając niezadowolenie.

- Ja w to wierzę i Omnius w to wierzy - powiedział. - Kim jesteś, żeby to kwestionować?

- Uwierz w to, drogi dziadku - powiedział irytujący głos. - *Dzięki swoim genom Paul Atryda ma potencjał, by stać się potężniejszy, niż ty kiedykolwiek będziesz, w jakimkolwiek wcieleniu.*

Baron nie odpowiedział - ani głośno, ani w myślach. Ignorowanie Złego Ducha często sprawiało, że milkł.

A zatem lecą do Synchronii, siedziby Omniusa. Cieszył się, że zobaczy imperium maszyn. Nowe wyzwania, nowe szanse.

Pomimo wszystkich wspomnień z jego pierwszego życia, opowieści o okrutnych myślących maszynach i Dżihadzie Butleriańskim były zbyt odległe, by mogły mieć znaczenie. Chociaż baron żywił urazę do maskaradników, cieszył się, że jest po stronie tych, którzy byli silniejsi.

Lecąc promem na orbitę, spoglądał na linię brzegową, wioski, nowe kominy fabryczne i obnażone przez kopalnie odkrywkowe obszary Kaladanu. Podekscytowany Paolo biegał od okna do okna.

- Będziemy mieli długą podróż? - zapytał.

- Nie jestem pilotem - odparł baron. - Skąd mam wiedzieć? Myślące maszyny muszą być bardzo daleko, gdyż w przeciwnym razie ludzie już dawno dowiedzieliby się o ich istnieniu.

- Co się stanie, kiedy tam przylecimy?

- Zapytaj jakiegoś maskaradnika.

- Nie powiedzą mi.

- To zapytaj Omniusa, kiedy go zobaczysz. Na razie zajmij się czymś.

Paolo usiadł obok barona w przedziale pasażerskim i

zaczął próbować lepką żywność z zasobników.

- Jestem wyjątkowy, wiesz o tym - paplał. - Pielęgnują mnie, starannie o mnie dbają. A tak w ogóle, co to jest ten Kwisatz Haderach? - Otarł usta grzbietem dłoni.

- Nie ulegaj złudzeniom, chłopcze - odparł baron. - Nie ma czegoś takiego jak Kwisatz Baderach. To mit, legenda, coś, co ma ze sto mętnych wyjaśnień w równie wielu przepowiedniach. Cały program eugeniczny Bene Gesserit to kompletna bzdura.

Przywołał z głębi pamięci wspomnienie o tym, że sam był częścią tego programu i został zmuszony do zapłodnienia tej paskudnej czarownicy Mohiam. Upokorzył ją podczas owego aktu, ale ona zaraziła go w odwecie osłabiającą chorobą, wskutek której stał się rozdęty i tłusty.

- To nie może być bzdura - zaprotestował Paolo. - Mam wizje, szczególnie kiedy biorę tabletki przyprawy. Co rusz to widzę. Trzymam zakrwawiony nóż i jestem zwycięzcą. Widzę, jak biegnę odebrać nagrodę... melanz, ale również coś więcej. Widzę też, jak leżę na podłodze i wykrwawiam się. Która z tych wizji jest prawdziwa? To takie dezorientujące!

- Zamknij się i zdrzemnij.

Przycumowali do nieoznaczonego statku wysoko nad Kaladanem. Nie miał symboli Gildii ani nawigatora na pokładzie. Otworzyły się szerokie drzwi hangaru i prom został wciągnięty do środka. W zimnej, pozbawionej powietrza komorze poruszały się srebrzyste postacie, naprowadzając małą jednostkę na stanowisko

postojowe. Roboty - demony z historii starożytnej! Ach, więc przynajmniej część opowieści Khrone'a może być prawdą.

Baron uśmiechnął się do wyglądającego przez okno chłopca.

- Odbędziemy interesującą podróż, Paolo - powiedział.

Sztylet w pochwie jest bezużyteczny podczas walki. Pistolet maula bez naboju nie jest niczym więcej niż pałą. A ghola bez wspomnień jest tylko ciałem.

- sekretne dzienniki gholi Paula Atrydy

Teraz, kiedy przywrócono wspomnienia gholi doktora Yuego, Paul Atryda wiedział, że musi spróbować bardziej innowacyjnych środków, by się przebudzić. Był najstarszym z gholi, o największych - przypuszczalnie - zdolnościach, ale Sziena i obserwatorzy Bene Gesserit wybrały na próbę Yuego. Jednak w odróżnieniu od lekarza Akademii Suka Paul chciał odzyskać wspomnienia. Pragnął przypomnieć sobie miłość do Chani i życie z nią, dzieciństwo, które spędził z księciem Leto i lady Jessiką, przyjaźń z Gurneyem Halleckiem i Duncanem Idaho.

Ale nadal prześladowały go wizje jego podwójnej śmierci. I stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

Jak pasażerowie statku pozaprzestrzennego mogli myśleć, że mają jeszcze tyle czasu, żeby postępować ostrożnie? Zaledwie kilka miesięcy wcześniej znów o włos uniknęli sieci wroga, jaśniejszej i silniejszej niż kiedykolwiek. Nadal też na wolności pozostawał sabotażysta. Chociaż nie zrobił już nic równie dramatycznego jak zniszczenie trzech kadzi aksolotlowych i zamordowanie nienarodzonych gholi, był groźny.

Paul wiedział, że *Itaka* go potrzebuje, i miał już dość

bycia tylko gholą. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, rozpaczliwy i niebezpieczny, ale się nie wahał. Jego rzeczywiste wspomnienia unosiły się niczym miraż tuż za drgającym od upału horyzontem.

Z wierną Chani u boku stał przed włazem do wielkiej, wypełnionej piaskiem ładowni. Nikomu więcej nie powiedział, co zamierza zrobić. W minionych dwóch latach zastrzono środki bezpieczeństwa na tyle, na ile baszar i chętny do pomocy Thufir Hawat byli w stanie to zrobić, ale nikt nie strzegł wejścia do ładowni. Siedem czerwii uważano za wystarczająco niebezpieczne, by same mogły się uchronić przed sabotażem. Tylko Sziena mogła bezpiecznie wejść między te stworzenia, a i ona została na krótko połknięta, kiedy to ostatnio zrobiła.

Paul patrzył na piękną jak oblicze elfa twarz Chani i jej gęste, ciemnorude włosy. Nawet gdyby nie wiedział, że jego przeznaczeniem jest być z nią, uznałby ją za wyjątkowo atrakcyjną. Ona z kolei zrobiła metodyczny przegląd jego nowego stroju i narzędzi.

- Wyglądasz jak prawdziwy fremeński wojownik, Usul - powiedziała.

Po przestudiowaniu zapisów Chani sporządziła dla niego w pracowni na pokładach inżynierskich autentyczny filtrak - prawdopodobnie pierwszy uszyty od stuleci - i dostarczyła mu linę, haki stwórcy i rozwieracze. Czuł się dziwnie swojsko, ściskając w dłoniach te niezwykle narzędzia. Według legendy Muad'Dib wezwał niebezpiecznego potwora na swoją pierwszą jazdę. Stworzenia trzymane w tej ładowni,

choć skarlałe wskutek pobytu w zamknięciu, były mimo wszystko olbrzymami.

Właz się otworzył i Chani weszła na sztuczną pustynię.

- Zostań tutaj, w bezpiecznym miejscu - powiedział Paul, kiedy uderzyły go zapach krzemionki i suchy żar.

- Muszę to zrobić sam, bo inaczej nie przyniesie to pożądanego skutku. Jeśli stawię czoło czerwii i ujeżdżę go, może poruszy to moje wspomnienia.

Chani nie próbowała go powstrzymać. Rozumiała tę potrzebę równie dobrze jak on.

Wspiął się na pierwsze wzniesienie, zostawiając ślady stóp na piasku, po czym uniósł ręce i krzyknął:

- Szej-huludzie! Przyszedłem do ciebie.

W tej zamkniętej przestrzeni nie potrzebował dudnika, by przywołać czerwie.

Zmieniło się coś w powietrzu. Paul wyczuł poruszenie w płytkich wydmach i zobaczył siedem węzowatych kształtów kierujących się ku niemu. Zamiast uciec, puścił się biegiem w ich stronę, wybierając miejsce, z którego mógłby wskoczyć na jednego z czerw. Waliło mu serce. Pomimo zakrywającej usta i nos maski filtraka zaschło mu w gardle.

Oglądał holofilmy, studiując fremeńskie techniki jazdy. Teoretycznie wiedział, co ma robić, tak jak - również teoretycznie - znał szczegóły ze swojej przeszłości. Jednak książkowa i filmowa wiedza znacznie się różniła od praktycznych doświadczeń. Kiedy tak stał na piasku, mały i bezbronny, przyszło mu

do głowy, że najskuteczniejszą formą nauki jest działanie, które zapewnia dokładniejsze zrozumienie niż lektura zakurzonych materiałów w archiwum.

„Będę się dobrze uczył” - pomyślał, pozbywając się strachu.

Najbliższy czerw sunął ku niemu z szelestem szybko rozgarnianego piasku. W miarę jak stworzenia się zbliżały, wspinając na szczyty wydm, ich wielkość stawała się coraz bardziej niepojęta.

Zebrawszy w sercu odwagę, Paul zmusił się do stawienia czoła wyzwaniu. Uniósł hak i rozwieracz i przykucnął do pierwszego skoku. Hałas powodowany przez nadciągające potwory był tak wielki, że początkowo nie usłyszał krzyczącej kobiety. Kątem oka dostrzegł Szienę pędzącą wielkimi susami przez wydmy i rzucającą się przed niego. Największy czerw wystrzelił z chmury kurzu i uniósł się nad piasek. W jego ogromnej, okrągłej paszczy skrzyły się krystaliczne zęby.

Sziena podniosła ręce.

- Stój, Szejtanie! - krzyknęła.

Czerw się zawahał i kołysał potężną głową z boku na bok, jakby był zdezorientowany.

- Stój! Ten nie jest dla ciebie. - Sziena położyła stanowczo dłoń na piersi Paula i pchnęła go za siebie. - On nie jest dla ciebie, Monarcho.

Największy czerw cofnął się, jakby się dąsał, ze zwróconą cały czas w ich stronę bezoką głową.

- Wracaj do wjazdu, głupi chłopcze! - syknęła Sziena na Paula, używając akurat tyle Głosu, by nogi same go

poniosły, zanim zdążył pomyśleć.

Przy włączu był też Duncan Idaho i patrzył na niego gniewnie. Chani wyglądała na przestraszoną, ale widać było, że czuje też ulgę.

Sziena skierowała Paula do czekających obserwatorów.

- Ten czerw zabiłby cię! - powiedziała z wyrzutem.

- Jestem Atrydą. Czy nie powinienem móc zapanować nad nimi, tak jak ty?

- To nie jest teoria, którą zamierzam przetestować na tobie. Jesteś dla nas zbyt ważny. Co zrobimy, jeśli akurat ty jeden ze wszystkich gholi odrzucisz głupio swoje życie?

- Ale jeśli będziecie za bardzo mnie chronić, nigdy nie dostaniecie tego, co jest wam potrzebne. Jazda na czerwii przywróciłaby mi wspomnienia. Jestem tego pewien.

- Przywróciłaś pamięć Yuemu - zauważyła Chani. - Dlaczego nie Usulowi? On jest starszy.

- Ze stratą Yuego mogłybyśmy się pogodzić, a nie byłyśmy pewne tego, co robiłyśmy. Opracowałyśmy już konkretne plany przebudzenia Lieta-Kynesa i Stilgara i jeśli uda się nam, po nich mogą pójść inni, włącznie z Thufirem Hawatem i tobą, Chani. Pewnego dnia szansę dostanie też Paul Atryda. Ale dopiero wtedy, kiedy zyskamy pewność.

- A jeśli nie mamy tyle czasu? - rzekł Paul i odszedł, strzepując piasek i kurz ze swojego nowego filtraka.

*

Duncana obudził długi sygnał u drzwi jego kajuty. W

pierwszej chwili pomyślał, że - wbrew ich obopólnym zastrzeżeniom - przyszła do niego Sziena. Uchylił drzwi, gotów do sprzeczki.

Stał za nimi Paul w kopii atrydzkiego munduru wojskowego, którego widok natychmiast wzbudził szacunek Duncana i przypomniał mu o wierności wobec rodu. Młodzieniec przywdział ten strój celowo. Ghola Paula był prawie dokładnie w tym samym wieku co jego pierwowzór, kiedy Arrakin wpadło w łapy chytrych Harkonnenów i pierwszy Duncan zginął, broniąc jego i jego matki.

- Duncan, mówisz, że byłeś moim bliskim przyjacielem. Mówisz, że znałeś Paula Atrydę. Pomóż mi teraz.

Chwyciwszy ozdobnie rzeźbioną rękojeść z kości słoniowej, młodzieniec wyciągnął z pochwy u pasa krystaliczny sztylet.

Duncan patrzył ze zdumieniem.

- Krysnóż? Wygląda... jest autentyczny?

- Zrobiła go Chani z zęba czerwia, który Sziena znalazła w ładowni.

Duncan z podziwem dotknął palcami brzeszczotu, zauważając, jak jest twarda i ostra. Przeciągnął kciukiem po ostrzu, celowo go rozcinając. Pozwolił, by na mlecznobiały sztylet spadła kropla krwi.

- Zgodnie ze starożytną tradycją nie można wyciągać krysnóża, jeśli nie spróbuje on krwi - powiedział.

- Wiem. - Paul był wyraźnie zatroskany, kiedy wsunął nóż z powrotem do pochwy. Po chwili wahania wyrzucił z siebie to, z czym przyszedł. - Dlaczego Bene

Gesserit nie obudzą mnie, Duncan? Potrzebujecie mnie. Potrzebują mnie wszyscy na tym statku.

- Tak, paniczu Paulu. Potrzebujemy cię, ale żywego.

- Potrzebujecie moich zdolności, i to jak najszybciej. Byłem Kwisatz Haderach, a ten ghola ma te same geny. Wyobraź sobie, jak bardzo mógłbym pomóc.

- Kwisatz Haderach... - Duncan westchnął i usiadł na łóżku. - Zgromadzenie żeńskie poświęciło wieki na stworzenie go, ale jednocześnie było nim przerażone. Rzekomo może łączyć przestrzeń i czas oraz widzieć przyszłość i przeszłość, miejsca, do których nawet Matka Wielebna nie śmie zajrzeć. Za pomocą brutalnej siły albo podstępnie potrafi zjednoczyć najbardziej odmienne frakcje. Jest jak wulkan pełen ogromnych mocy.

- Czymkolwiek są te moce, Duncan, potrzebuję ich. A do tego potrzebne mi są moje wspomnienia. Przekonaj Szienę, żebym był następnym gholą, którego podda próbie.

- Zrobi, co zrobi, w czasie, który sama wybierze. Przeceniasz wpływy, jakie mam wśród sióstr.

- A jeśli wróg z zewnątrz całkowicie nas omota? Jeśli naszą jedyną nadzieją jest Kwisatz Haderach?

- Również Leto II był Kwisatz Haderach, chociaż ani ty, ani twój syn nie okazaliście się dokładnie tacy, jakimi zamierzały was stworzyć Bene Gesserit. Siostry bardzo się boją każdego, kto wykazuje niezwykle zdolności. - Roześmiał się. - Po Rozproszeniu, kiedy zgromadzenie sprowadziło z powrotem Duncana Idaho,

niektóre siostry oskarżały nawet mnie o to, że jestem Kwisatz Haderach. Zabiły jedenaście moich gholi, wykorzystując do tego albo heretyczki Bene Gesserit, albo tleilaxańskich intrygantów.

- Ale dlaczego nie chcą tych mocy? Myślałem...

- Och, chcą ich, Paul, ale tylko w ściśle kontrolowanych warunkach.

Duncan współczuł całym sercem młodzieńcowi, który sprawiał wrażenie tak zdesperowanego i zagubionego.

- Bez swojej przeszłości nie mogę nic zrobić! Pomóż mi ją odzyskać, Duncan. Jej część przeżyłeś wraz ze mną. Ty pamiętasz.

- O, pamiętam cię bardzo dobrze. - Idaho splótł ręce za głowę i odchylił się do tyłu. - Pamiętam twój chrzest na Kaladanie po tym, jak omal nie zginąłeś w niemowlęctwie wskutek imperialnych intryg. Pamiętam, jak całej rodzinie księcia Leto groziło niebezpieczeństwo podczas wojny asasynów. Spotkał mnie wówczas wielki honor, bo powierzono mi zadanie wywiezienia cię w bezpieczne miejsce, i udałem się z tobą na dzikie tereny Kaladanu. Zostaliśmy z twoją wygnaną babką Heleną i ukrywaliśmy się wśród prymitywnych Kaladańczyków. Właśnie wtedy staliśmy się sobie tak bliscy. Owszem, pamiętam to bardzo dobrze.

- Ja nie - rzekł Paul z westchnieniem.

Wydawało się, że Duncan wpadł w pętlę swoich minionych żywotów. Kaladan... Diuna... Harkonnenowie... Alia... Hayt.

- Wiesz, o co mnie pytasz, kiedy mówisz o swoich wspomnieniach, o swoim życiu? - powiedział. - Tleilaxanie stworzyli mojego pierwszego gholę jako narzędzie zbrodni. Manipulowali mną, ponieważ byłem twoim przyjacielem. Wiedzieli, że mnie nie odprawisz, chociaż widziałeś tę pułapkę.

- Nie odprawiłbym cię, Duncan.

- Wzniosłem już nóż, żeby cię uderzyć, ale w ostatniej chwili zderzyłem się ze sobą. Zaprogramowany zabójca Hayt stał się wiernym Duncanem Idaho. Nie potrafisz sobie wyobrazić tego bólu! - Wycelował surowo palec w młodzieńca. - Odtworzenie twojej przeszłości będzie wymagało, żebyś przeszedł podobny kryzys.

Paul zacisnął szczęki.

- Jestem na to przygotowany - rzekł. - Nie boję się bólu. - Jesteś zbyt chętny, Paul, bo masz swoją Chani - powiedział Duncan, zmarszczywszy czoło. - Dzięki niej czujesz się pewnie i jesteś szczęśliwy... a to poważna wada. Spójrz na Yuego. On opierał się swoim wspomnieniom każdą częścią ciała, i to go zламаło. A ty... czego mogą użyć wobec ciebie, Paulu Atrydo?

- Będziemy musieli coś znaleźć.

- Naprawdę jesteś gotowy to przyjąć? - Duncan pochylił się do przodu i rzekł bez litości: - A jeśli jedynym sposobem, żebyś mógł odzyskać przeszłość, jest utrata Chani? Jeśli będzie musiała umrzeć, zakrwawiona, w twoich ramionach, zanim sobie przypominasz?

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnę, by mój ojciec wiedział, że go nie zawiodłem. Nie chcę, żeby umierał, myśląc, że nie byłem wart jego genów.

- ghola Scytale'a, wywiad przeprowadzony przez służbę bezpieczeństwa statku pozaprzestrzennego

- Musi być zrobiona zgodnie z precyzyjnymi normami - nalegał stary Tleilaxanin. Głos mu się łamał.

- P r e c y z y j n y m i normami!

- Zajmę się tym, ojczu.

Ghola, zaledwie trzynastoletni, opiekował się dogorywającym mistrzem, który siedział w sztywnym fotelu. Stary Scytale nie chciał się położyć, dopóki nie zostanie zrobiona dla niego tradycyjna trumna. Celowo zamknął surową kajutę, by nikt nie mógł tam wejść. Nie życzył sobie, by mu przeszkadzano albo by go niepokojono w jego ostatnich dniach.

Tleilaxański mistrz miał coraz poważniejsze kłopoty z narządami, stawami i skórą. Przypominało mu to wszystko, co działo się ze statkiem pozaprzestrzennym, który najwyraźniej się psuł - jego systemy ulegały awariom, powietrze wydostawało się w przestrzeń kosmiczną, wyciekała woda, ginęły zapasy żywności. Niektórzy bardziej skłonni do paranoi uciekinierzy widzieli sabotaż w każdym mrugającym lumipanelu i wielu spoglądało podejrzliwie na Tleilaxanina. Był to dla niego jeszcze jeden powód do narzekań.

Przynajmniej wkrótce odejdzie.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż moja trumna jest już gotowa. Nie można się z tym spieszyć.

Nastolatek skłonił głowę.

- Nie martw się - powiedział. - Stosuję się do ścisłych praw szariatu.

- A zatem pokaż mi ją.

- Twoją trumnę? Ależ twoje ciało ma się w niej znaleźć dopiero po... dopiero po twojej...

Stary Scytale łypnął na niego gniewnie ciemnymi oczami.

- Wyzbądź się tych niepotrzebnych emocji! Za bardzo się zaangażowałeś w ten proces. To wstyd.

- Czyż nie powinienem dbać o ciebie, ojcze? Widzę twoje cierpienie...

- Przestań nazywać mnie ojcem. Myśl o mnie jako o s o b i e. Kiedy się mną staniesz, nie będę martwy. Nie ma powodu do płaczu. Każde nasze wcielenie jest powłoką jednorazowego użytku, dopóki trwa nieprzerwanie pamięć.

Młody Scytale usiłował odzyskać spokój.

- Jesteś dla mnie nadal ojcem, bez względu na to, jakie wspomnienia są we mnie ukryte - powiedział. - Czy przestanę odczuwać te emocje, kiedy zostanie mi przywrócone moje stare życie?

- Oczywiście. W owej wspaniałej chwili zrozumiesz prawdę... i swoje obowiązki. - Scytale złapał młodzieńca za koszulę i przysunął do niego twarz. - Gdzie są twoje wspomnienia? A gdybym miał umrzeć jutro?

Stary mistrz wiedział, że śmierć jest bliska, ale nie był aż tak zniedołężniały, jak to okazywał. Przesadzał, by jego dramatyczny stan wstrząsnął zamiennikiem. Przedwczesne sporządzenie trumny było jeszcze jedną próbą sprowokowania kryzysu. Gdyby mogli się znaleźć na Tleilaxie, gdzie pełne zanurzenie w świętych tradycjach Wielkiej Wiary wystarczyłoby do przebudzenia nawet najbardziej upartego gholi! Tutaj, na pokładzie statku pozaprzestrzennego, trudności wydawały się nie do pokonania.

- To nigdy nie powinno trwać tak długo - powiedział.

- Zawiodłem cię.

W kaprawych oczach starego Scytale'a pojawił się błysk.

- Sprawiasz zawód nie tylko mnie, ale także twojemu ludowi. Jeśli się nie obudzisz, cała nasza rasa - nasza historia i cała wiedza przechowywana w moim umyśle - zginie bezpowrotnie. Chcesz być za to odpowiedzialny? Nie wierzę, że Bóg zupełnie się od nas odwrócił. Nasz los, co jest pożałowania godne, zależy od ciebie.

Ghola wyglądał na przybitego, jakby na jego ramionach spoczywał ciężar nie do udźwignięcia.

- Robię wszystko, co mogę, żeby osiągnąć ten cel, ojcze. - Celowo wypowiedział ostatnie słowo. - I dopóki mi się nie uda, ty musisz robić wszystko, co możesz, żeby pozostać przy życiu.

„W końcu okazuje nieco siły - pomyślał gorzko Scytale. - Ale to nie wystarczy”.

*

Kilka dni później ghola stał przy łóżu śmierci ojca,

łożu własnej śmierci. Czuł się, jakby się znalazł poza swoim ciałem, przyglądając się, jak z każdą chwilą coraz bardziej uchodzi z niego życie. Powodowało to u chłopca dziwne wrażenie oderwania.

Od wyłonienia się z kadzi aksolotlowej Scytale kochał tylko jedną osobę: siebie... zarówno swoje starsze „ja”, jak i to „ja”, którym miał się stać. Chylący się ku śmierci starzec dostarczył komórki z własnego ciała, komórki, które zawierały wszystkie jego wspomnienia i doświadczenia, całą wiedzę Tleilaxan.

Ale nie dostarczył do nich klucza. Choćby nie wiadomo jak młody ghola się wyteżał, jego wspomnienia uparcie nie chciały się wynurzyć. Chwycił rękę starca.

- Jeszcze nie, ojciec - błagał. - Staram się i staram.

Stary mistrz spojrzał na niego gniewnie prawie niewidzącym wzrokiem.

- Dlaczego... sprawiasz mi taki zawód? - wyszeptał.

Yuemu przywrócono minione życie, a dwóch innych gholi - Stilgara i Lieta-Kynesa - przypiekano właśnie na ogniu psychicznych mąk. Jak to możliwe, by zwykłym czarownicom powiodło się to, co nie udało się tleilaxańskiemu mistrzowi? Bene Gesserit nie powinny były nigdy uzyskać takiej biegłości w uruchamianiu lawiny wspomnień. Jeśli Scytale nie będzie mógł tego zrobić, Tleilaxanie znajdą się na śmietniku historii.

Starzec na łóżku kasłał i miał świszczący oddech. Młodzieniec pochylił się nad nim; po policzkach ciekły mu łzy. Stary Scytale splunął krwią. Jego rozczarowanie i skrajna rozpacz były niemal namacalne.

Uporczywy sygnał przy drzwiach oznajmił przybycie dwóch lekarzy Akademii Suka. Wzrok rabiego, mimo okularów, świadczył o tym, że czuje odrazę do swoich obowiązków, natomiast młody Yueh wydawał się wciąż wstrząśnięty niedawnym powrotem wspomnień. Scytale widział po ich oczach, że wiedzą, iż starszy mistrz niedługo wyzionie ducha.

Wśród czarownic również były absolwentki Akademii Suka, ale Scytale uparł się, by opiekował się nim wyłącznie rabbi, i tylko wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne. Wszyscy byli nieczystymi *powindah*, ale rabbi nie był przynajmniej odrażającą kobietą. A może Scytale powinien wybrać Wellingtona Yuego zamiast tego starego Żyda. Tleilaxański mistrz musiał się zgodzić na badania. Choćby tylko po to, by pozostać przy życiu, dopóki jego „syn” się nie przebudzi.

Podniósł głowę.

- Odejdźcie! Modlimy się! - powiedział.

- Myślisz, że lubię się opiekować gholami? - wybuchnął rabbi. - Plugawymi Tleilaxanami? Myślisz, że chcę tu być? Jeśli chodzi o mnie, obaj możecie umrzeć!

Jednak Yueh podszedł z zestawem medycznym, odsuwając młodszego Scytale'a, by sprawdzić oznaki życia umierającego. Zza pleców Yuego zezował przez okulary sępi wzrokiem rabbi.

- To już nie potrwa długo - stwierdził.

Taki dziwny stary duchowny, pomyślał Scytale. Nawet biorąc pod uwagę zapachy środków

odkazających, lekarstw i choroby, zawsze czuł unoszącą się wokół niego dziwną woń.

- Niewiele możemy zrobić - powiedział Yueh współczującym tonem.

- Tleilaxański mistrz nie powinien być taki słaby i niedołężny - wychrypiał stary Scytale, z trudem chwytając powietrze. - To... niestosowne.

Jego młodszy odpowiednik znowu starał się uruchomić napływ wspomnień, wcisnąć je do swojego mózgu samą siłą woli, jak próbował już mnóstwo razy. Gdzieś tam, w środku, musi być głęboko zakopana niezbędna przeszłość. Ale nie poczuł łaskotania możliwości, żadnej iskierki powodzenia. „A jeśli w ogóle ich tam nie ma?” - pomyślał. Jeśli coś poszło nie tak? Coraz mocniej waliło mu serce, w miarę jak zaczęła wzrastać jego panika. Niewiele czasu. Za mało czasu.

Usiłował pozbyć się tych myśli. Ciało zawierało bogactwo materiału genetycznego. Mogli stworzyć więcej gholi Scytale'a, próbować wciąż od nowa, jeśli będzie to konieczne. Ale skoro jego wspomnienia nie wypłynęły na powierzchnię, dlaczego miałyby się poszczęścić identycznemu gholi bez przewodnictwa pierwowzoru?

„Jestem jedynym, który tak blisko znał mistrza” - stwierdził.

Chciał potrząsnąć Yuem, zażądać, by powiedział, jak udało mu się przypomnieć przeszłość. Łzy ciekły mu teraz strumieniem, lejąc się na rękę starca, ale Scytale wiedział, że były niestosowne. Pierś jego ojca drgała w

niemal niedostrzegalnym uścisku śmierci. Aparatura podtrzymująca życie zahuczała głośniejsze, a odczyty instrumentów zaczęły się wahać.

- Zapadł w śpiączkę - poinformował Yueh.

Rabbi kiwnął głową.

- Jest zbyt słaby. Zaraz umrze - powiedział niczym egzekutor oznajmiający swoje plany.

Serce podskoczyło Scytale'owi do gardła.

- Machnął na mnie ręką - rzekł.

Teraz jego ojciec nigdy się nie dowie, jeśli mu się uda. Skona, zastanawiając się nad tym i martwiąc. Ostatnia katastrofa w długim łańcuchu nieszczęść, które spadły na Tleilaxan.

Ujął dłoń starca. Była taka zimna, za zimna. Czuł, jak odpływa jego życie.

„Zawiodłem!” - pomyślał.

Opadł przy łóżku na kolana jak trafiony głuszakiem. Przytłoczony rozpaczą, wiedział z absolutną pewnością, że nigdy nie zdoła wskrzesić krnąbrnych wspomnień. Nie samemu.

„Utracone - huczało mu w głowie. - Na zawsze utracone! Wszystko, co składało się na wspaniałą tleilaxańską rasę”.

Nie mógł znieść rozmiarów tej klęski. Świadomość porażki krajała mu serce niczym rozbite szkło. Nagle poczuł, że w środku coś mu się zmienia, a potem między jego skrońmi nastąpił wybuch. Krzyknął z rozdzierającego bólu. Najpierw myślał, że sam umiera, ale zamiast zapaść się w ciemność, poczuł nowe myśli rozprzestrzeniające się w jego świadomości jak pożar

buszu. Wspomnienia przemykały niby niewyraźne plamy, ale Scytale łączył się z każdym, wchłaniając je ponownie i powtórnie przetwarzając w synapsach mózgu. Cenne wspomnienia wróciły tam, gdzie zawsze było ich miejsce.

Śmierć jego ojca przełamała bariery. W końcu Scytale odzyskał to, co miał wiedzieć, decydujący bank danych tleilaxańskiego mistrza, wszystkie starożytne sekrety swojej rasy.

Pełen dumy i nowego poczucia godności, podniósł się. Ocierając ciepłe łzy, spojrzał na swoją porzuconą kopię na łóżku. Była zaledwie zwiędłą łupiną. Nie potrzebował już tego starca.

W tych dzieciach gholach tkwią stare dusze,
zupełnie przypominające głosy w Innych
Wspomnieniach Matki Wielebnej.
Wyzwaniem dla nas jest uzyskanie do nich
dostępu i wykorzystanie ich.

- Duncan Idaho,
wpis w dzienniku pokładowym

Wellington Yueh, w tyczkowanym ciele nastolatka, pełen wspomnień z długiego życia i wstydu za rzeczy, które zrobił, szedł niezwykle wolno. Każdy krok przybliżał go do chwili, której się lękał. W miejscu, w którym powinien być tatuaż w kształcie rombu, piekła go skóra. Przynajmniej nie obnosił się już z tym kłamstwem.

Wiedział, że jeśli kiedykolwiek zamierza uczynić to życie innym od pełnej błędów przeszłości, musi stawić czoło strasznym rzeczom, które zrobił.

Tysiące lat później, po drugiej stronie wszechświata, wszędzie wokół niego żyli członkowie rodu Atrydów: Paul, lady Jessika, Duncan Idaho, Thufir Hawat. Nie wskrzeszono przynajmniej księcia Leto. Jeszcze nie. Nie sądził, by mógł spojrzeć w oczy człowiekowi, którego zdradził.

Wystarczająco ciężko będzie mu spojrzeć w oczy lady Jessice.

Idąc w zamyśleniu do jej kajuty, Yueh usłyszał przed sobą głosy - chichoczącego dziecka i ganiącej je kobiety. Nagle z jednych drzwi wypadła Alia i

wskoczyła w inne. Za nią przebiegła łajająca ją opiekunka. Dwuletnia Alia była nad wiek rozwinięta, z odrobiną geniuszu, którym odznaczała się jej poprzedniczka. Przesiąknięcie przyprawą w kadzi aksolotlowej nieco ją zmieniło, ale nie posiadała kompletnych Innych Wspomnień pierwszej Alii. Opiekunka weszła za nią i zamknęła za sobą drzwi. Żadna z nich nawet nie spojrzała na Yuego.

Alia była ostatnią z gholi. Po strasznym mordzie na trzech kadziach i nienarodzonych dzieciach program wstrzymano.

„Przynajmniej tej zbrodni nie mam na sumieniu” - pomyślał Yueh.

Ale Bene Gesserit niebawem wznowią program. Dyskutowały już o tym, czyje komórki wszczepić nowym kadziom aksolotlowym. Irulany? Samego Imperatora Szaddama? Hrabiego Fenringa... a może kogoś jeszcze gorszego? Yueh zadrżał na myśl o tym. Bał się, że czarownice wykroczyły poza prawdziwą potrzebę i bawią się teraz żywotami, pozwalając, by piekielna ciekawość przemogła ostrożność.

Zatrzymał się przed kabiną Jessiki, przygotowując się na to spotkanie.

„Stawię czoło mojemu strachowi” - pomyślał. Czy nie był to fragment *Litanii* tak często cytowanej przez czarownice?

W obecnych wcieleniach Jessika i Yueh zbliżyli się do siebie na tyle, że mogli się uważać za przyjaciół, ale odkąd znowu stał się doktorem Wellingtonem Yuehem, wszystko się zmieniło.

„Teraz mam drugą szansę - myślał. - Ale moja droga do odkupienia jest długa i bardzo stroma”.

Na jego sygnał Jessika otworzyła drzwi.

- O, witaj, Wellington. Czytałam właśnie z wnukiem holoksiążkę o młodych latach Paula, jeden z tych tomów, które cały czas pisała księżna Irulana.

Zaprosiła go do środka, gdzie na pokrytej wykładziną podłodze siedział ze skrzyżowanymi nogami Leto II. Chłopiec był samotnikiem, chociaż często spędzał czas ze swoją „babką”.

Yueh drgnął nerwowo, kiedy zamknęła drzwi za nimi, jakby chciała przypieczętować jego los i zapobiec ucieczce. Miał spuszczone wzrok.

- Pragnę cię przeprosić, moja pani, chociaż wiem, że nigdy mi nie wybaczysz - rzekł, westchnąwszy głęboko.

Jessika położyła dłoń na jego ramieniu.

- Już przez to przeszliśmy - powiedziała. - Nie możesz się obwiniać o coś, co się stało tak dawno temu. To nie byłeś naprawdę ty.

- Owszem, to byłem ja, ponieważ pamiętam to wszystko teraz! My, ghole, zostaliśmy stworzeni w jednym celu i musimy się pogodzić z tego konsekwencjami.

Jessika spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

- Wszyscy wiemy, co zrobiłeś, Wellington. Już dawno pogodziłam się z tym i wybaczyłam ci.

- Ale czy zrobisz to ponownie, kiedy sobie przypomnisz? Pewnego dnia te krypty w twoim umyśle, te straszne stare rany, zostaną otworzone. Musimy się zmierzyć z winami, które zostawili nam

nasi poprzednicy, bo inaczej strawi nas to, czego nie zrobiliśmy.

- To niezbadane terytorium dla nas wszystkich, ale podejrzewam, że każde z nas ma mnóstwo grzechów do odpokutowania.

Starła się go pocieszyć, ale nie uważał, że na to zasługuje.

Leto przerwał przeglądanie holoksiążki i podniósł głowę. Jego oczy błyszczały niesamowitą inteligencją.

- Ja wezmę odpowiedzialność tylko za to, co zrobię w tym życiu - oświadczył.

Jessika wyciągnęła rękę i łagodnie dotknęła twarzy Yuego.

- Nie jestem w stanie zrozumieć, przez co przeszedłeś, przez co wciąż przechodzisz - powiedziała.

- Przypuszczam, że niedługo się tego dowiem. Ale powinieneś myśleć o tym, jaki chciałbyś być, a nie o tym, jaki boisz się być.

W jej ustach zabrzmiało to tak prosto, ale mimo jej starań został wcześniej skrzywiony.

- A jeśli również w tym życiu zrobię coś złego?

Jej twarz stwardniała.

- Wtedy nikt nie będzie mógł ci pomóc.

Myślisz, że masz otwarte oczy, ale nie widzisz.

- napomnienie Rene Gesserit

O czarną rafę rozbijały się fale, zraszając brzeg mgiełką drobnych kropel. Matka Dowodząca Murbella stała z uważaną niegdyś za zhańbioną siostrą na brzegu zatoczki, przyglądając się dokazującym Fibianom. Ziemno-wodne stworzenia o gładkiej skórze i opływowych kształtach nurkowały pod czesaczami i wynurzały się za nimi, rozbryzgując wodę.

- Cieszę się świeżo uzyskaną wolnością - powiedziała Corysta.

„Jak delfiny w starożytnych czasach na Ziemi” - pomyślała Murbella, podziwiając ich kształty. Ludzkie... a jednak tak bardzo odmienne.

- Wolałabym oglądać ich przy zbieraniu kojotytyw. - Obróciła twarz w stronę, skąd wiał przesiąknięty zapachem soli wiatr. Na niebie zbierały się szare chmury, ale nadal było ciepło. - Przez tę wojnę mamy takie długie, że wprost zwalają z nóg. Przekroczyliśmy limit kredytu, a niektórzy nasi dostawcy nie przyjmą niczego poza twardą walutą, taką jak kojotyty.

Przez wiele miesięcy po opuszczeniu Oculiata Matka Dowodząca podróżowała z planety na planetę, badając systemy obronne ludzkości. Rządzący tam królowie, prezydenci i watażkowie, zdając sobie sprawę z zagrożenia, dodawali do jednostek budowanych przez Gildię na Węzle wyposażone własnym sumptem statki

wojenne. Wszystkie rządy i skupiska sprzymierzonych światów próbowały wynaleźć albo uzyskać nową broń, której mogłyby użyć przeciw wrogowi z zewnątrz, ale na razie nic nie okazało się skuteczne. Ixanie wciąż testowali uniestwiacze, których produkcja okazała się trudniejsza, niż się spodziewano. Murbella nadal żądała od nich bardziej wyteżonej pracy, większego nakładu sił i poświęcenia.

A wojna trwała. Rozprzestrzeniały się zarazy. Floty maszyn niszczyły każdy zamieszkaną przez ludzi świat, który napotkały na swojej drodze. Tuż przy granicy strefy, w której toczyły się poważniejsze walki, trzy kolejne Szieny usiłowały zmobilizować znajdujących się między młotem a kowadłem ludzi, ale bez powodzenia. Odkąd Omnius ruszył do marszu przez przestrzeń kosmiczną, Murbella nie mogła się pochwalić ani jednym oczywistym zwycięstwem.

W chwilach największego przygnębienia wydawało jej się, że ma marne szanse, a przeszkody są nie do pokonania. Przed tysiącami lat w podobnej sytuacji znaleźli się wojownicy Dżihadu Butleriańskiego i ludzkość zwyciężyła tylko dlatego, że zgodziła się na przerażające koszty. Użyła broni jądrowej, która zniszczyła nie tylko myślące maszyny, ale również miliardy zniewolonych przez nie ludzi. To pyrrusowe zwycięstwo wycisnęło trwałe piętno na ludzkiej duszy.

I oto teraz, mimo tak wielkiego poświęcenia, Omnius wrócił jak trujący chwast, którego korzeni nigdy nie udało się wyplenić. Sądząc z szybkości posuwania się myślących maszyn, za rok, najdalej dwa, ludzie będą

zmuszeni stanąć do ostatecznej rozgrywki.

Kiedy ixańscy przemysłowcy dostarczą w końcu unicastwiacze, na które od tak dawna czekała, siły zbrojne wszystkich planet utworzą w kosmosie nieprzekraczalną granicę. Nie mogła się tego doczekać.

- Przez ostatnie dwa lata nasze dostawy kojotytów wzrastają z miesiąca na miesiąc. - Mówiąc to, Corysta nie odrywała oczu od figlujących w morzu istot. - Odkąd przestały ich torturować Dostojne Matrony, Fibianie stali się wydajniejsi. I nigdy wcześniej tak się nie bawili. Teraz uważają morza Buzzella za ojczyznę, nie za więzienie.

Corysta, była piastunka, zesłana tutaj za zbrodnię, jaką było zatrzymanie przy sobie własnego dziecka, stała się życzliwą nadzorczynią zbieraczy kojotytów. Doglądała sortowania, czyszczenia i pakowania mieniących się jak perły kamieni szlachetnych, które regularnie dostarczano pośrednikom z KHOAM.

- Mimo to potrzebujemy więcej kojotytów.

- Porozmawiam z Fibianami, Matko Dowodząca. Wyjaśnię im, że mamy wielkie potrzeby, że zbliża się wróg z zewnątrz. Dla mnie będą ciężiej pracować. - Co dziwne, uśmiech Corysty był dla Murbelli nie do odczytania. - Poproszę o to jak o przysługę.

- I to podziąła?

Siostra wzruszyła ramionami. Fibianie wyskakiwali wysoko w powietrze, po czym nurkowali, a Corysta, śmiejąc się, machała do nich. Najwyraźniej wiedzieli, że im się przygląda. Woda lśniła w promieniach słońca. Czy Fibianie urządzali szczególny pokaz?

Nagle z głębin w pobliżu pluskających się istot wyłonił się duży, węzowaty kształt. Nad powierzchnię uniósł się bezoki łeb. W okrągłym pysku błysnęły krystaliczne zęby. Łeb obracał się, szukając łupu, obrzeżone płetwami skrzela, niczym u węża morskiego ze starożytnych legend, wyczuwały vibracje.

Murbelli zaparło dech. Ku jej zdumieniu stworzenie to przypominało czerwia pustyni z Rakis, choć miało zaledwie około dziesięciu metrów długości i narządy, które umożliwiały mu życie w wodzie. Niemożliwe! Czerw morski?

Corysta zbiegła jak szalona po skałach do wody. Fibianie zauważyli już potwora i starali się odpłynąć. Czerw rzucił się w ich stronę, wzbijając mgiełkę kropel, w których lśniły jego zielonkawe pierścienie.

Pojawiły się jeszcze dwa długie potwory o wijących się ciałach i krążyły wokół Fibian. Wodni ludzie zbili się w gromadę, tworząc szyk obronny. Jeden z nich, mężczyzna z blizną na czole, wyciągnął szeroki nóż o płaskim ostrzu używany do zbierania cholister na dnie oceanu. Pozostali dzierżyli własną broń, śmieszna w starciu z węzem morskim.

Brodząc po kolana w wodzie, Corysta pośliznęła się na obrosniętych algami skałach. Murbella pobiegła za nią, nie spuszczając wzroku z tego, co zobaczyła w wodzie.

- Co to za stworzenia? - krzyknęła.

- Potwory! Nigdy wcześniej ich nie widziałam.

Fibianin z blizną wydał donośny, wibrujący okrzyk i głośno plasnął dłonią o połączonych błoną pławną

palcach. Gromadka wodnych ludzi rozprysnęła się na wszystkie strony jak przestraszona ławica ryb. Kilku zanurkowało, reszta popłynęła przez fale.

Chociaż czerwie nie miały oczu, wiedziały, gdzie są Fibianie. Błyskawicznie puściły się za nimi, goniąc ich ku skalistemu brzegowi. Murbella i Corysta patrzyły, jak największy czerw rzuca się na jednego z Fibian i połyka go. Pozostałe czerwie atakowały niczym głodne rekiny.

Murbella chwyciła Corystę za ramię, powstrzymując ją przed popłynięciem w spienioną toń. Były bezradne.

- Moje Morskie Dziecko - jęknęła Corysta.

Żerujące czerwie morskie burzyły i rozbryzgiwały wodę. O nogi Murbelli uderzyły krwawe fale. Wyciągnęła szlochającą Corystę na brzeg.

Planeta nie jest po prostu obiektem badań. Jest raczej narzędziem, może nawet orężem, za pomocą którego możemy odcisnąć swoje piętno na galaktyce.

- Liet-Kynes, pierwowzór

Kiedy Stilgar i Liet-Kynes odzyskali wspomnienia, stali się ekspertami od recyklingu, maksymalnie wykorzystując ograniczone zasoby statku pozaprzestrzennego. Układy podtrzymywania życia na *Itace* zostały zaprojektowane podczas Rozproszenia przez geniuszy, potomków tych, którzy przetrwali straszne Czasy Głodu. Bardzo wydajna technologia mogła długo służyć pasażerom i załodze, nawet przy zwiększaniu się ich populacji, ale nie w obliczu celowego sabotażu.

Wysoki i szczupły Stilgar, o ciele młodzieńca, ale dojrzałych oczach naiba, wyglądał na gotowego do wyruszenia w podróż na pustynię. Z Lietem-Kynesem połączyły go na początku wspólne zainteresowania, a ostatnio - obudzona przeszłość. Liet nie chciał rozmawiać o kryzysie, dzięki któremu Sziena przełamała barierę odgradzającą go od wspomnień z minionego życia; była to sprawa zbyt prywatna, by ją poruszać nawet z przyjaciółmi.

Co do Stilgara, to nie mógł zapomnieć o tym, co zrobiły mu czarownice. Był do szpiku kości człowiekiem pustyni z Arrakis. Pod okiem naczelnej opiekunki Garimi czytał swoją historię - najpierw

młodego wojownika walczącego z Harkonnenami, później naiba i na koniec stronnika Muad'Diba. Ale by wyzwolić napływ wspomnień, siostry musiały go p o d t o p i ć.

Przy napelnionym wodą zbiorniku Sziena i Garimi zacisnęły więzy na jego kostkach. Stilgar walczył, ale nie mógł się równać z czarownicami.

- Co zrobiłem? - zapytał. - Dlaczego mnie tak traktujecie?

- Odnajdź swoją przeszłość - odparła Sziena - albo umrzyj.

- Bez wspomnień jesteś bezużyteczny i lepiej będzie, jeśli utoniesz - rzekła Garimi.

A potem wrzuciły go do zbiornika.

Nie mogąc się wyswobodzić, Stilgar szybko się pogrążył. Z całych sił starał się wypłynąć, ale wszędzie była woda, bardziej przytłaczająca niż najgęściejsza chmura pyłu. Widział tylko niewyraźne, drgające kształty obu kobiet w górze. Żadna nie wyciągnęła ręki, by mu pomóc.

Jego płuca rozpaczliwie domagały się powietrza, oczy przesłoniła ciemność. Szarpał się i rzucał, ale z każdą sekundą był coraz słabszy. Chciał - m u s i a ł - krzyknąć, ale nie mógł złapać tchu. Z otwartych ust wydobywały się bąble. Kiedy nie był już w stanie tego znieść, wziął głęboki łyk, zalewając drogi oddechowe. Nie widział możliwości wydobycia się ze zbiornika... i nagle nie był to już zbiornik, lecz szeroka i głęboka rzeka na jednej z planet, na której walczył w Dżihadzie Muad'Diba. Maszerował z regimentem kaladańskich

żołnierzy i musieli się przeprawić. Rzeka była głębsza, niż ktokolwiek się spodziewał, i wszyscy poszli pod wodę. Jego towarzysze, urodzeni pływacy, nic sobie z tego nie robili, a nawet śmiali się, sunąc do brzegu, ale Stilgara nurt wciągnął pod powierzchnię. Wyciągał ręce, usiłując się wydostać. Zachłysnął się też wodą i omal nie utonął...

W końcu Sziena wydobyła go ze zbiornika i zrobiła mu sztuczne oddychanie. Pełna dezaprobaty lekarka Akademii Suka zbesztła ją i Garimi, po czym ocuciła młodego gholę. Przekreśliły go na brzuch i zwymiotowały wodę. Z trudem podźwignął się na kolana.

Kiedy zwrócił na Szienę gniewne spojrzenie, był już kimś więcej niż jedenastoletnim chłopcem. Był naibem Stilgarem.

Kiedy później zobaczył przebudzonego również Lieta, bał się zapytać, jaką straszną próbę musiał przejść przyjaciel...

Teraz zmierzali do wielkiej ładowni, by - jak to już wielokrotnie robili - zobaczyć czerwie. Położony wysoko pokój obserwacyjny był, zwłaszcza obecnie, jednym z ich ulubionych miejsc. Ogromne czerwie budziły w nich silne atawistyczne uczucia.

Kiedy się zbliżyli, Stilgar wciągnął podnoszący na duchu zapach ciepłego, suchego powietrza zmieszany z charakterystyczną wonią czerw i cynamonu. Uśmiechnął się z nostalgią, ale po chwili zrobił marsową minę.

- Nie powinno tu tak pachnieć - powiedział.

Liet zrównał z nim krok.

- To środowisko musi być starannie kontrolowane - rzekł. - Jeśli zamknięcia są rozszczelnione, może się tu dostać wilgoć.

Jeszcze jedna awaria, po tylu innych.

Wbiegłszy do pomieszczenia z aparaturą, zastali tam młodego Thufira Hawata, który nadzorował naprawę. Dwie Bene Gesserit i Levi, jeden z Żydów, wymieniali tafle plazu. Wokół okien, wysoko nad wypełnioną piaskiem ładownią, nakładali grube warstwy środka uszczelniającego. Thufir miał gniewną minę.

Stilgar ruszył groźnie naprzód. Zadanie monitorowania czerw i systemów recyrkulacji było zastrzeżone dla niego i Liet.

- Co tutaj robisz, Hawat? - zapytał.

Thufir okazał zdziwienie zimnym, oskarżycielskim tonem Fremena.

- Ktoś oblał zamki kwasem - odparł. - Żrąca substancja zniszczyła nie tylko uszczelniacz, ale również część plazu i płyt ściennych.

- Załataliśmy to w porę - rzekł Levi. - Znaleźliśmy też urządzenie zegarowe, które opróżniłoby jeden z naszych zbiorników wody i zalało ładownię.

Stilgar zatrzęsł się z gniewu.

- To by zabiło czerwie!

- Sprawdziłem te systemy zaledwie dwa dni temu - oznajmił Liet. - To nie jest zwykła awaria.

- Nie - zgodził się Thufir. - Sabotażysta znowu wziął się do dzieła.

Podczas gdy Stilgar przebiegał podejrziwym wzrokiem po zebranych, Liet pospieszył do konsol

instrumentów, by sprawdzić stan pustynnego środowiska.

- Wydaje się, że nie ma żadnych trwałych szkód - zakomunikował. - Odczyty pozostają w zakresie warunków tolerowanych przez te stworzenia. Płuczki powinny wkrótce doprowadzić powietrze do pożądanego poziomu.

Stilgar zbadał ze szczególną uwagą nowe uszczelki i stwierdził, że są odpowiednie. Wymienili z Lietem spojrzenia mówiące, że powinni odnosić się podejrzliwie do wszystkich na pokładzie.

„Do wszystkich oprócz nas obu” - doszedł do wniosku Stilgar.

Dawno temu, kiedy on i Liet się poznali, przeżyli wspólnie wiele przygód, walcząc z nikczemnymi Harkonnenami. Podobnie jak jego ojciec, Liet prowadził podwójne życie, roztaczając przed ludźmi pustyni wspaniałe wizje, a jednocześnie działając jako imperialny planetolog i Sędzia Zmiany. Liet był też ojcem Chani. Mimo że ghola fremeńskiej dziewczyny jeszcze go nie pamiętała, patrzył na nią z dziwną, dawną miłością.

Zaniepokojony ostrą wonią kwasu i uszczelniacza, Stilgar odwrócił się z ponurą miną od okna obserwacyjnego.

- Od tej pory będę tutaj spał - oznajmił. - Dopóki oddycham, nie pozwolę, by Szej-hulud zginął.

- Pracuję z baszarem. Musi być jakiś ślad, trzeba go tylko znaleźć. Środek żrący został zabrany z zabezpieczonych magazynów, mogą więc tam być

odciski palców albo ślady genetyczne. - Usta Thufira nie były czerwone jak po safo, włosy nieprzyprószone siwizną, oczy nieznuzone wiekiem i przeżyciami, jak na słynnych starych obrazach. - Być może kamery uchwyciły, jak sabotażysta wkrada się na pokład obserwacyjny. Kiedy go złapię, wszyscy będziemy mogli spokojnie odpocząć.

- Nie - rzekł Stilgar. - Nawet wtedy nie opuszczę gardy.

*

Przez ogromny statek przetaczała się kolejna fala aktów sabotażu, do których dochodziło w różny sposób i w przypadkowo - jak się wydawało - wybieranych miejscach, doprowadzając wszystkich na skraj wyczerpania nerwowego. Bene Gesserit zachowywały czujność i ostrożność, natomiast rabbi prawili rosnącej rzeszy zwolenników kazania o czających się wśród nich szpiegach i mordercach.

Duncan studiował odczyty i snuł przewidywania. Znowu zastanawiał się, czy jednemu lub kilku maskaradnikom występującym pod przykrywką Przewodników nie udało się przeżyć zderzenia z *Itaką* i czy nie przebywają nadal na pokładzie. Gdzie mógł się ukrywać sabotażysta? Po latach poszukiwań Duncanowi i Tegowi zabrakło już pomysłów. Jak wrogowi udawało się unikać kamer, przesłuchań prowadzonych przez Prawdomówczynie i energicznego przetrząsania statku pozaprzestrzennego? Podczas kilku podejrzanych incydentów widziano wprawdzie zamazaną postać poruszającą się po obszarach, do których wstęp był

ograniczony, ale mimo zwiększenia rozdzielczości obrazów nie udało się rozpoznać jej twarzy.

Sabotażysta najwyraźniej dokładnie wiedział, gdzie i kiedy może uderzyć. Niekończący się ciąg drobnych awarii i wypadków, z których każdy dawał się pasażerom we znaki, doprowadzał ich do wyczerpania.

Kamery wykryły raz - jak się wydawało - człowieka poruszającego się ukradkiem w korytarzu obok zespołu płuczek i urządzeń wymuszających cyrkulację powietrza. Postać ta, w ciemnym ubraniu i ciasno przylegającym do głowy kapturze, który zakrywał większą część twarzy, trzymała długi, srebrzysty nóż oraz łom i szła pochylona do przodu, stawiając opór silnemu strumieniowi powietrza. A potem, niczym ciecz przelewająca się za róg, wśliznęła się do głównej komory recyrkulacyjnej, w której ogromne wiatraki wtłaczały powietrze do systemu arterii statku pozaprzestrzennego, przepychając je przez grube kurtyny zbitych włókien pokryte biożelom usuwającym zanieczyszczenia.

W nagłym przypływie wściekłości niemożliwy do zidentyfikowania sabotażysta zaczął siec porowate maty filtracyjne, wycinając je z ram i pozbawiając zdolności oczyszczania powietrza. Dokonawszy spustoszenia, sabotażysta odwrócił się i rzucił do ucieczki. Żadna kamera nie pokazała jego twarzy; nie było nawet jasne, czy jest to mężczyzna czy kobieta. Sabotażysta zniknął w wyjąłym strumieniu odświeżonego powietrza, zanim w rejon ten zdążył dotrzeć personel zajmujący się bezpieczeństwem statku.

Duncan nie musiał nawet wyszeptać oczywistej odpowiedzi. M a s k a r a d n i k. Przystudiował wszystkie akta statków pilotowanych przez Przewodników, odnotowując, w których miejscach przebiły się przez kadłub *Itaki*, jak stwierdzono śmierć tych kamikaze i pozbyto się ich ciał. Jeden ze zmiennokształtnych musiał się wydostać z płonącego wraku.

Co gorsza, mogło ich być więcej.

Powietrze pachniało wilgocią i rynsztokiem, jakby woń wodorostów mieszała się w nim ze smrodem ścieków. Duncan stał na oślizłym pomoście nad jednym z największych zbiorników alg. Cała kadź umierała. Z a t r u t a.

Stojąc obok niego i ściskając poręcz dłonią o zbiegających kłykcach, Teg patrzył ze zmarszczonym czołem na boczek z danymi.

- Metale ciężkie, silne toksyny, cała lista związków chemicznych, których nie mogą strawić nawet te algi - powiedział.

Zaczerpnął dłonią bogatej niegdyś w składniki odżywcze zielonej substancji. Teraz była brązowawa i rozkładała się.

- Sabotażysta stara się zniszczyć nasze źródło pożywienia - rzekł Duncan.

- A także powietrze.

- Po co? Wygląda na to, że chce nas zabić.

- Albo po prostu chce, byśmy się stali bezradni.

Duncan patrzył chmurnie na kadź, czując złość.

- Weź ekipy do opróżnienia i oczyszczenia tego

zbiornika - zwrócił się do Tega. - Jak najszybciej je odkażcie. Potem zbierzcie z innych zbiorników materiał początkowy do użyznienia biomasy. Musimy ją ustabilizować, zanim nawali coś innego.

*

Duncan był na mostku nawigacyjnym, kiedy zdarzyło się następne nieszczęście. Przez lata pasażerowie nauczyli się ignorować słabe wibracje powodowane ruchem statku pozaprzestrzennego. Teraz jednak nagłe szarpnięcie i oczywiste zboczenie z kursu prawie wyrzuciły go z fotela.

Wezwał Tega i Thufira, a potem przeszedł nad sterami i lustrował przestrzeń wokół nich. Bał się, że mogli wpaść na kawałek gruzu kosmicznego albo dostać się w jakąś anomalię grawitacyjną, ale nie zobaczył niczego, w co mogli uderzyć, żadnej przeszkody. *Itaka* bez wątpienia schodziła z kursu, Duncan zaś starał się ustabilizować jej lot, wykorzystując liczne mniejsze silniki rozmieszczone wokół kadłuba. Spowolniło to obracanie się statku, ale nie zatrzymało go.

Kiedy ogromna jednostka mimo wszystko nadal się okręcała, zobaczył wydobywającą się z rufy skrzącą się, srebrzystą smugę. Opróżniony został - celowo - jeden z trzech głównych zbiorników wody statku pozaprzestrzennego. Wielki strumień wody trysnął z taką siłą, że zepchnął *Itakę* z kursu. Uwolniona ciecz doprowadziła do przesunięcia się balastu statku i wprawiła go w ruch okrężny. Utrata pędu kąowego pogarszała ich sytuację, w miarę jak woda wylewała się,

ciągnąc się za jednostką niczym ogon komety. Zapasy statku!

Manewrując gorączkowo urządzeniami, Duncan przełączył luk na ręczne sterowanie. Modlił się przy tym, by się okazało, że tajemniczy sabotażysta otworzył tylko drzwi, a nie że użył jednej z min zamkniętych w zbrojowni.

Teg wpadł na mostek akurat w chwili, kiedy Duncanowi udało się zamknąć drzwi zbiornika i powstrzymać wypływ. Baszar pochylił się nad ekranami z niepokojem na młodej twarzy.

- To była ilość, która wystarczyłaby nam na rok! - krzyknął. Jego szare oczy przeskakiwały nerwowo z monitora na monitor.

Chodząc w tę i z powrotem po pokładzie, Duncan patrzył na mglisty obłok rozproszonej wody.

- Część możemy odzyskać - stwierdził. - Zgarnijcie ją w postaci lodu, a kiedy wyrównam lot...

Ale gdy patrzył na rozszerzającą się na tle gwiazd plamę utraconej wody, zobaczył inne linie - mieniące się wieloma kolorami nici, które krzyżowały się i ogarniały statek jak pajęczyna. Sieć wroga! Znowu była tak jasna, że zobaczył ją również Teg.

- Niech to szlag! - zaklął Duncan. - Nie teraz!

Rzuciwszy się na fotel pilota, uruchomił silniki Holtzmana. Sabotażysta czy sabotażyści mogli je tak ustawić, by eksplodowały, ale nie miał wyboru. Zmusił tajemnicze maszyny, by zagięły przestrzeń, nim zdążył pomyśleć o tym, jaki wybrać kurs. Statek pozaprzestrzenny, nadal wirując wokół swojej osi,

skoczył w inne miejsce.

Ocaleli.

Już po wszystkim Duncan spojrzał na Tega i westchnął.

- I tak zdołalibyśmy odzyskać niewiele wody - powiedział.

Nawet wysokiej klasy systemy recyklingu zainstalowane na statku miały granice wydajności, a teraz działania sabotażysty zmusiły ich do sformułowania nieodpartego wniosku. Po wielu latach ciągłej ucieczki trzeba było uzupełnić zasoby *Itaki*, gdy tylko uda im się znaleźć planetę, która mogłaby je zapewnić. Nie było to łatwe w ogromnej galaktyce, w której układy gwiazdne dzieliły olbrzymie odległości. Przez wiele lat nie znaleźli odpowiedniego miejsca. Od czasu, gdy natknęli się na planetę Przewodników.

Ale Duncan wiedział, że nie będzie to jedyny problem. Kiedy bowiem znajdą takie miejsce, będą musieli się ujawnić. Znowu.

Synchronia jest czymś więcej niż maszyną, czymś więcej niż metropolią. Jest przedłużeniem samego wszechumysłu. Stale się zmienia i przekształca w różne układy. Najpierw byłem przekonany, że ten efekt ma służyć obronie, ale wydaje się, że działa tu inna siła - zadziwiająca iskra twórcza. Te maszyny są niezwykle dziwne.

- ghola barona Vladimira Harkonnena

Rozciągająca się przed nimi metropolia emanowała przemysłowym i - rzecz można - metalicznym pięknem ostrych kątów i gładkich krzywizn oraz ogromem energii przejawiającej się w ruchach i lśnieniu tworzących ją konstrukcji, które obracały się jak w doskonale wykonanym zegarku. Kanciaste budowle i wieże bez okien pokrywały każdy metr kwadratowy powierzchni. Baron nie widział ani śladu odrażającej zieleni, żadnych kwiatów w krzykliwych kolorach, żadnych ogrodów ani jednej gałązki, liścia lub źdźbła trawy.

Synchronia była tętniącym życiem symbolem produktywności, a także potencjalnym źródłem zysków i władzy politycznej, gdyby myślące maszyny kiedykolwiek zaczęły zwracać uwagę na takie rzeczy. Może Vladimir Harkonnen pokaże Omniusowi, jak to się robi.

Po długiej podróży z Kaladanu baron i Paolo pojechali rodzajem tramwaju do stale zmieniającego

kształt centrum miasta. Ghola Atrydy patrzył przez wypukłe okna pojazdu szeroko otwartymi oczami i chłonał widoki. Tłoczyli się w tramwaju z eskortą ośmiu maskaradników. Baron nigdy nie był w stanie zrozumieć, jakie związki łączyły zmiennokształtnych z Omniusem i nowym Zsynchronizowanym Imperium. Wagon mknął niewidzialnym torem wysoko nad ziemią, przelatując ze świstem jak pocisk między ruchomymi budowlami.

Kiedy wjechali w głąb miasta, ogromne gmachy to wznosiły się, to opadały niczym tłoki, to znów przesuwwały na bok, grożąc zmiażdżeniem mknącego tramwaju. Baron zauważył, że gdy żywe - wydawało się - budynki chwiały się niczym wodorosty, maskaradnicy poruszali się w ich rytm z łagodnymi uśmiechami na trupich twarzach, jakby byli częścią wyreżyserowanego przedstawienia.

Prześlizgując się jak igła przez labirynt otworów, tramwaj pędził ku ogromnej wieży wyrastającej z centrum miasta jak kolec, który przebił się na powierzchnię z podziemnego świata. W końcu pojazd zatrzymał się ze szczękiem na spektakularnym placu centralnym.

Niecierpliwiąc się, by jak najszybciej zobaczyć otoczenie, Paolo przepchnął się do drzwi. Mimo niepewności i strachu, który ścisnął mu żołądek, baron podziwiał liczne ogniska płonące w geometrycznie ustalonych punktach wokół wieży. W każdym z nich znajdował się człowiek przywiązany jak męczennik do słupa. Widocznie podczas podbijania jednego świata po

drugim flota myślących maszyn brała jeńców jako obiekty eksperymentalne. Ta ekstrawagancja zapierała mu dech. Maszyny wykazywały się ogromnymi możliwościami, a nawet osobliwą wyobraźnią.

Pomyślał o potężnej flocie maszyn metodycznie wdzierającej się coraz głębiej na zasiedlone przez ludzi terytorium. Z wyjaśnień Khrona'a, wynikało, że Omnius wierzył, iż kiedy maszyny dostaną w końcu swojego Kwisatz Haderach, spełni się mechaniczna przepowiednia i jego klęska będzie niemożliwa. Baron uznał, że postrzeganie przez myślące maszyny wszystkiego jako prawdy absolutnej jest zabawne. Po piętnastu tysiącach lat powinny lepiej znać rzeczywistość.

Paolo dał się unieść megalomańskiej trąbie powietrznej. Zadaniem barona było podsycać te złudzenia, ale zawsze pamiętał, że sam jest w niebezpiecznym położeniu i musi zachować rozsądek oraz ostrość widzenia. Niepewny, czy czeka go chwała, czy nędzna śmierć, co rusz przypominał sobie, iż jest tylko katalizatorem Paola.

„Jestem zaiste drugorzędną postacią!” - pomyślał.

Rozmyślania przerwała mu Alia, wyłaniając się z zakątka jego umysłu i twierdząc z uporem, że maszyny pozbędą się go, gdy tylko wykona zadanie, dla którego został wskrzeszony. Kiedy zaprotestował, wrzasnęła:

- *Doprowadzisz do tego, że zostaniemy zabici, dziadku! Pomyśl o swoim pierwszym życiu... nie zawsze byłeś takim naiwnym głupcem!*

Baron potrząsnął głową, pragnąc wyrzucić ją z

umysłu. Może jego dręczycielka była skutkiem guza uciskającego jakiś ośrodek poznawczy w mózgu. Ten złośliwy, mały Zły Duch był głęboko okopany w jego głowie. Może mógłby go wyciąć jakiś robot chirurg...

Maskaradnicy poprowadzili go i jego młodego wychowanka przez platformę i po schodach na plac. Podekscytowany Paolo wybiegł naprzód i wykonał taniec radości.

- To wszystko moje? Gdzie jest moja sala tronowa? - Obejrzał się na barona. - Nie martw się, znajdę dla ciebie miejsce na moim dworze. Byłeś dla mnie dobry.

Czyżby były to jakieś resztki atrydzkiego honoru? Baron zmarszczył brwi.

Maskaradnicy popchnęli go do windy, pozwalając Paolowi wsiąść samemu. Zamiast ruszyć na szczyt wieży, jak spodziewał się baron, winda zaczęła swobodnie opadać w trzewia piekła.

- Paolo - rzekł, stłumiwszy impuls, by wrzasnąć - jeśli naprawdę jesteś Kwisatz Haderach, być może powinieneś nauczyć się wykorzystywać swoje moce...
n a t y c h m i a s t.

Chłopiec wzruszył tylko ramionami, pokazując, że niezbyt zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli.

Kiedy winda łagodnie się zatrzymała, rozplynęły się jej ściany, ukazując wielkie podziemne pomieszczenie. Podobnie jak na górze, nic tutaj nie pozostawało w bezruchu. Obracające się ściany i klarplazowa podłoga przyprawiały barona o zawrót głowy i dezorientowały, jakby wraz z Paolem stał w krypcie przestrzeni

kosmicznej.

Podniosła się mgła i stężała w kształcie ogromnego człowieka, przypominającej ducha, pozbawionej twarzy postaci. Mglista zjawą, prawie dwukrotnie wyższa od dorosłego mężczyzny, zatrzymała się przed nimi i poruszyła rękami, wytwarzając wir lodowatego powietrza, które miało zapach metalu i oleju. W jej obliczu ukazała się para jarzących się oczu. Z ust wydobył się głęboki głos.

- A więc to jest nasz Kwisatz Haderach.

Paolo podniósł brodę i z żarem wyrecytował to, czego naliczył go baron.

- Będę tym, który jednocześnie widzi wszystkie miejsca i wszystkie rzeczy, tym, którzy powiedzie tłumy. Jestem skróceniem drogi, wybawcą, mesjaszem, tym, o którym mówią niezliczone legendy.

- Jesteś charyzmatyczną indywidualnością, która mnie fascynuje - popłynęły słowa z mgły. - Ludzie przejawiają nieodparty przymus podążania za atrakcyjnymi fizycznie, czarującymi przywódcami. Odpowiednio okiełznany, możesz się dla nas stać skutecznym i destrukcyjnym narzędziem. - Mglista postać roześmiała się, ponownie wywołując zimny powiew. Potem spojrzenie jej upiornych oczu skupiło się na baronie. - Dopilnujesz, żeby ten chłopiec był skory do współpracy.

- Oczywiście - odparł skwapliwie baron. - Jesteś Omniusem?

- Mówię w imieniu wszechumysłu. - Mgła zapadła się w siebie i przeistoczyła w lśniąca, metalową postać

robota z przylepionym do twarzy przesadnym, ale groźnym uśmiechem. - Dla wygody nazywam siebie Erazmem.

Ściany pomieszczenia przesunęły się jak w kalejdoskopie, ukazując setki kanciastych robotów bojowych stojących wokół nich niczym dziwne chrząszcze. Ich metalowe oczy płonęły taką samą wrogością.

- Być może teraz was przesłucham. A może później? Wiesz, brak zdecydowania jest bardzo ludzką cechą. Mamy tyle czasu, ile sobie zażyczymy. - Uśmiech na platynowej twarzy robota zastygł. - Uwielbiam wasze banały.

DWADZIEŚCIA
TRZY LATA PO
UCIECZCE Z
KAPITULARZA



Mimo niewiarygodnego rozwoju umysłowego, który osiągnąłem jako nawigator, nie mogę zapomnieć o nadziei, starej emocji, która jest najważniejszą nicią łączącą nas z resztą ludzkości.

- nawigator Edryk,
niepotwierdzona wiadomość dla
Wyroczni Czasu

Cztery specjalne statki Gildii przypominały kształtem szerszenie, a ich opływowe kadłuby najeżone były sensorami. Przemykały nad powierzchnią wód Buzzella. Oczy skanerów skierowane były na fale, szukały oznak ruchu. Waff spoglądał przez spryskane kroplami wody plazowe okna jednostki dowódczej z nadzieją, że dostrzeże czerwie morskie. Jego podniecenie było wyraźne. Gdzieś tam, w dole, były czerwie. R o s ł y.

Wypuścił te stworzenia zaledwie przed rokiem i sądząc z lawiny pogłosek, które docierały do Gildii, świetnie się rozwijały. Żadna z czarownic Bene Gesserit rezydujących na skalistych wyspach nie miała pojęcia, skąd się wzięły te węzowate potwory. Teraz, myślał Waff z dreszczykiem emocji, nadszedł czas, by zebrać plon tego, co zasiał. Nie mógł się doczekać, kiedy je zobaczy, kiedy się dowie, że jego święta misja dobiegła końca.

Niebo było zaciągnięte chmurami, nad powierzchnią morza unosiły się kłęby mgły. W regularnych odstępach czasu ekipy przeszukujące opuszczały do wody

pulsatory. Wysyłane przez nie sygnały pozwoliły stworzyć mapę ruchów dużych mieszkańców głębin i teoretycznie przywabiły czerwie morskie tak, jak na starej Rakis przyciągały niegdyś czerwie fremeńskie dudniki. W kokpicie obok Waffa pięciu milczących gildian śledziło wskazania aparatury, niżej zaś krążyły, dotrzymując tempa szerszeniom, mniejsze platformy łowieckie. Od czasu do czasu wracały sprawdzić miejsca, w których zanurzono pulsatory.

Lewiatany z głębin, o których mówiły starożytne święte teksty, były czymś więcej niż tylko karą wymierzoną przez Boga *powindah* niewiernym. Oznaczały one, że powrócił Prorok, Boży Wysłannik, wskrzeszony z popiołów Rakis w przystosowanej do nowych warunków postaci.

Pierwsze doniesienia o bestiach pojawiły się pół roku po ich wypuszczeniu. Początkowo opowieści ziemnowodnych zbieraczy kojotyty spotykały się z niedowierzaniem. Było tak do chwili, kiedy czerwie morskie zaatakowały na oczach mieszkańców wysp. Według relacji świadków - a Bene Gesserit były dobrze wyszkolone w uważnym obserwowaniu - potwory osiągnęły znacznie większe rozmiary, niż przewidywał Waff. Zaprawdę, był to znak od Boga, że Tleilaxanin dokonał błogosławionego dzieła!

Mając w bród pożywienia, czerwie nadal rosły i mnożyły się. Najwyraźniej preferowały duże cholistery, które wytwarzały kojotyty, gdyż wdzierały się do prowadzonych przez Fibian hodowli. Wodni ludzie zebrali się, by odpędzić morskie potwory, ale ich

wysiłki nic nie dały.

Waff uśmiechnął się. Oczywiście, że nic nie dały. Nie można zmienić kursu wytyczonego przez Boga.

Rozzłoszczone czarownice urządziły polowanie. Wiedzione przez pałających żądzą zemsty Fibian, wypłynęły łodziami na otwarte morze. Błagały kapitułę, by przysłała im broń do zabicia czerw, ale teraz, gdy siły wroga z zewnątrz atakowały setki kresowych światów, a większość finansów nowego zgromadzenia pochłaniały zakłady produkcyjne na Węźle i Ixie, ich prośby pozostały niespełnione.

Bene Gesserit potrzebowały kojotytów na rozbudowę i uzupełnianie armii, które w szybkim tempie niszczył wróg, ale jeśli czerwie morskie zaczną wytwarzać to, na co Waff miał nadzieję, będą cenniejsze niż jakiekolwiek klejnoty. Wkrótce powstanie wiele źródeł przyprawy, włącznie z jej nową, silniejszą postacią. Tleilaxanin mógł przesiedlić te stworzenia na każdą oceaniczną planetę, na której mogłyby się rozwijać bez potrzeby zmieniania całego ekosystemu. Biorąc pod uwagę monopol Bene Gesserit na melanz, z pewnością nie ucieszy to zgromadzenia żeńskiego.

Pilot jednostki dowódczej zatoczył koło. Asystenci z Gildii mieli wzrok utkwiony w monitorach.

- Zlokalizowaliśmy cienie poruszające się na różnych głębokościach - powiedział jeden z nich. - Liczne. Jesteśmy blisko.

Waff przeszedł na burtę statku i wpatrywał się z przejęciem we wzburzone fale. Pulsatory kontynuowały swój syreni śpiew, a obok statku śmigały platformy

łowieckie.

- Bądźcie gotowi do działania, jak tylko wykryjecie czerwia - rzucił do załogi. - Chcę zobaczyć jednego. Dajcie mi znak, gdy jakiegoś dostrzeżecie.

Zauważył w wodzie dwóch śliskoskórych Fibian, którzy sprawiali wrażenie zaciekawionych pulsatorami i ruchem w górze. Jeden z nich podniósł płetwiastą dłoń w niezrozumiałym geście, kiedy przemknęły nad nim szerszenie i platformy łowieckie.

- Wynurza się czerw - oznajmił gildianin. - Cel namierzony.

Drobny Tleilaxanin popędził do kokpitu. W dole, w wodzie, pojawił się długi, ciemny kształt, niczym ogromny wieloryb.

- Musimy go złapać i zabić - powiedział Waff. - To jedyny sposób, żeby zobaczyć, co ma w środku.

- Tak - rzekł gildianin.

Waff zwęził oczy. Nie był w stanie zrozumieć tych ludzi. Czy ten tu zgadzał się z nim, czy tylko przyjmował do wiadomości rozkaz? Tym razem jednak nie obchodziło to Waffa.

Spojrzał na projekcję mapy i zorientował się, że poszukiwania zawiodły ich w pobliże jednej z zamieszkanych skalnych wysp. Kiedy potwierdzi się, że wprowadzenie nowych czerwii na Buzzella się powiodło, nie będzie już potrzeby dalszego utrzymywania tego w tajemnicy. Czarownice nie będą już mogły nic zrobić w sprawie czerwii ani wytwarzanej przez nie przyprawy. Nie będą mogły zniweczyć jego dzieła. Kiedy jego zespół schwyta jakiś okaz i upewni

się co do wyników eksperymentu, prawda wyjdzie na jaw.

„Pokażemy czarownicom, co się kryje pod tymi falami, i pozwolimy im wyciągnąć własne wnioski” - pomyślał.

Statek dowódczy zwolnił. Jego silniki buczały. Gdy lśniący czerw wynurzył się z fal, łowcy Waffa wystrzelili z platform grad ponaddźwiękowych harpunów. Ich zaopatrzone w wąsy ostrza wbiły się w bestię, nim zdążyła zauważyć niebezpieczeństwo i się zanurzyć. Czerw zwijał się i miotał, ale zadziory harpunów, które utkwiły pod jego miękkimi pierścieniami, nie puszczały. Waff poczuł radość, ale również ukłucie wywołanego współczuciem bólu. Zza statku dowódczego trzy pozostałe szerszenie również wystrzeliły harpuny na linach z hiperwłókna.

- Nie uszkódźcie go za bardzo! - krzyknął Waff. Miał wprawdzie zamiar i tak zabić czerwia - była to ofiara, którą musiał złożyć w imię Proroka - ale gdyby jego cielsko i narządy zostały poważnie okaleczone, sekcja byłaby dużo trudniejsza.

Grupa szerszeni zawisła nad falami. Czerw nadal się miotał, naprężając liny i szarpiąc nimi. Z jego cielska sączył się mleczny płyn, rozpuszczając w wodzie, zanim tleilaxański badacz zdążył polecić jednemu z gildian, by pobrał próbki. Pozostałe czerwie krążyły wokół walczącego pobratymca jak głodne rekiny.

Czerw miał dwadzieścia metrów długości; jak na tak krótki czas, tempo przyrostu jego ciała było ogromne. Waff był pod wrażeniem. Jeśli te stworzenia będą się

rozmnażały równie szybko, jak rosły, w oceanach Buzzella będzie się wkrótce od nich roić! Tleilaxanin nie pragnął niczego więcej.

Ranna bestia szybko się zmęczyła. Z buczeniem przeciążonych silników jednostki Gildii zaczęły ciągnąć stawiającego słaby opór czerwia w stronę najbliższej rafy, którą ledwie było widać przez pasma mgły. Małe platformy łowieckie powróciły do macierzystych szerszeni i zacumowały w ich ciasnych ładowniach.

Wyspa ta była jednym z głównych ośrodków wydobycia kojotytów. Znajdowały się na niej koszary zgromadzenia żeńskiego, magazyny i zbudowany na skrawku wyrównanego terenu port kosmiczny, który mógł przyjmować małe statki.

„Niech czarownice to zobaczą!” - pomyślał Waff.

Lecąc w zwartym szyku, szerszenie doholowały czerwia do brzegu. W wodzie pod jednostkami pojawiło się co najmniej dwudziestu Fibian z włóczyniami i trójzębami. Jakby myśleli, że mogą stworzyć zagrożenie dla tych olbrzymich stworzeń! Miotając przekleństwa i groźby, zaatakowali oplątanego linami czerwia, dźgali go i cięli.

Zirytowany tym Waff zwrócił się do gildian:

- Odgońcie ich!

Gildianie wystrzelili na chybił trafił kilka pocisków z działek pokładowych dowódczego szerszenia, zabijając dwóch Fibian. Pozostali dali nura pod powierzchnię. Początkowo zostawili unoszące się na falach zakrwawione ciała, ale wkrótce część z nich powróciła. Kiedy próbowali zabrać martwych towarzyszy,

wynurzył się drugi czerw i pożarł zwłoki.

Warkot silników szerszeni przywabił do portu tłum kobiet akurat w chwili, kiedy statki wciągały tam swój łup. Ciemno odziane Bene Gesserit wyszły z koszar, być może myśląc, że pojawili się przemytnicy albo przedstawiciele KHOAM. Ostatnio z powodu szkód wyrządzanych przez czerwie morskie większość operacji wydobywania kojotytytów zamarła. Stanowiska ich sortowania i pakowania były ciche i opustoszałe.

Z pierśią wezbraną dumą Waff zeskoczył z pochylni na metalowo-kamienne nabrzeże, kiedy gildianie wciągnęli pierścieniowate stworzenie na główną keję. Jego wąski ogon zwisał do wody. Wyczerpany walką, brocząc mleczną cieczą z ran od harpunów, czerw rzucił się jeszcze raz i zdechł. Chociaż Waff pokonał go przy pomocy sług, nadal nie mógł ochłonać, że jest tak blisko tego wspaniałego stworzenia.

Za palami falochronu pływało siedmiu zaciekawionych Fibian. Mamrotali z lękiem i podziwem świszczącymi i bulgoczącymi głosami.

Waff stanął w zwyczajnej pozie przed ogromnym martwym czerwem. Z cielska bestii ściekał na pomost szlam, a z paszczy trysnęła mlecznoszara ciecz. Długie, ostre zęby przypominały wielkie igły. Zamiast cuchnąć rybą, czerw wydierał ostro-słodką woń z wyraźną nutą cynamonu.

„Doskonale!” - rzekł w duchu Tleilaxanin.

Podeszły do niego kobiety.

- Nigdy jeszcze nie schwytałyśmy i nie zabiłyśmy czerwia morskiego - powiedziała siostra w brązowej

sukni, która przedstawiła się jako Corysta. Wydawała się zachwycona widokiem martwego potwora. - Czynią w morzu ogromne spustoszenie.

- I będę dalej to robić. Dostosujcie do tego swoje działania. - Waff odwrócił się do niej plecami, by wydać załodze polecenia, po czym powiedział Coryście i pozostałym siostróm, by się odsunęły. - Jesteśmy tu w interesie Gildii. Nie próbujcie nam przeszkadzać.

Chociaż czerw był już martwy, drgał, gdyż przez jego ciało nadal przebiegały impulsy nerwowe. Waff rozkazał gildianom przywiązać bestię, by mógł bez przerywania dokonać sekcji. Asystenci przynieśli mu laserowy nóż, bardzo cienką piłę szigastrunową, rozwieracze i szufle.

Po nastawieniu noża laserowego na pełną moc, ująwszy go oburącz, Waff zrobił nim cięcie po szerokim łuku i rozplątał czerwia. Gildianie pospieszyli z rozwieraczami i rozsunęli okrągłe, ociekające wodą i szlamem pierścienie, obnażając narządy wewnętrzne stworzenia. Waff upajał się widokiem posoki. Prorok musi być z niego zadowolony.

Przygotowując się do tego, zabił już dwa małe okazy w laboratorium i przeprowadził autopsję, dzięki czemu poznał rozmieszczenie organów. Czerw był biologicznie prostym stworzeniem, a praca nad dużym osobnikiem była łatwiejsza. Na pomost ciekły woda i szlam, opryskując Waffa. W innych okolicznościach uznałby, że jest to odrażające, ale tutaj miał do czynienia ze świętą esencją Proroka. Tleilaxanin wciągnął głęboko powietrze nosem i wyczuł w bijącym z wnętrza czerwia

zapachu wyraźny, ostry aromat czystego melanżu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Zanurzywszy po ramiona ręce we wnętrznościach, macał i określał po kształcie i strukturze konkretne narządy. Jego pomocnicy z Gildii wydobywali je szerokimi łopatami na pomost. Czarownice i Fibianie przyglądali się temu z fascynacją, ale Waff nie zwracał na nich uwagi.

Ignorując skonsternowane i bezsilne siostry, ciął głębiej laserowym nożem przez całą długość zwierzęcia i grzebał w śmierdzących wnętrznościach, aż w końcu wysunęła się z wnętrza niebieskoszkarlatna bryła miękkiej, podobnej do tkanki wątrobowej substancji. Waff cofnął się, by zaczerpnąć tchu, po czym pochylił się nad nią i szturchnął ją palcami. Nastawiwszy nóż na najniższą moc, wykonał cięcie.

Buchnęła silna woń cynamonu, tak skondensowana, że niemal było ją widać w postaci wydobywających się z narządu oparów. Waffowi zakręciło się w głowie i zatoczył się, omal się nie przewracając.

- Przyprawa! - wykrzyknął. - To stworzenie jest przesycone melanżem! Niezwykle skoncentrowanym melanżem!

Bene Gesserit spojrzały na siebie i podeszły bliżej z zaniepokojenymi minami.

- Przyprawa? - zapytała jedna z nich. - Czerwie morskie wytwarzają p r z y p r a w ę?

Gildianie stali blisko Waffa i jego łupu, blokując drogę.

- Czerwie morskie zniszczyły nasze hodowle

cholister! - krzyknęła inna kobieta.

Tleilaxanin zmierzył je wzrokiem.

- Te stworzenia zniszczyły być może jedną gałąź gospodarki na Buzzellu, ale stworzyły inną, jeszcze ważniejszą - odparł.

Jego asystenci podnieśli duży, przesycony melanżem organ i zanieśli go do najbliższego szerszenia. Waff będzie musiał go dokładnie zbadać, ale był już pewien, co znajdzie.

Nawigator Edryk, który znajdował się na krążącym po wysokiej orbicie liniowcu, będzie zadowolony.

Ociekający szlamem i morską wodą Waff wrócił pośpiesznie na statek.

Niektórzy postrzegają przyprawę jako błogosławieństwo, inni jako przekleństwo. Jednak dla wszystkich jest ona artykułem pierwszej potrzeby.

- planetolog Pardot Kynes,
oryginalne notatki arrakańskie

Po długiej i wyczerpującej podróży przez Stare Imperium, z planet przygotowujących się do wojny do stoczni Gildii, a stamtąd na Buzzella, dokąd udała się, by przyjrzeć się operacjom zbierania kojotytów, Matka Dowodząca Murbella powróciła na Kapitularz z nową determinacją. Nie było jej wiele miesięcy, więc czuła się obco we własnej siedzibie w twierdzy. Udręczone akolitki i robotnicy pospieszyli wyładować jej rzeczy ze statku.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła akolitka. Młoda kobieta miała krótkie brązowe włosy i dyskretny uśmiech.

- Matko Dowodząca, archiwa przesłały te uaktualnione mapy - powiedziała. - Miały na ciebie czekać natychmiast po twoim powrocie.

Wyciągnęła ku niej cienkie arkusze ze szczegółowo nakreślonymi liniami, po czym cofnęła się spłoszona, zauważywszy potężnego robota bojowego, nieczynnego, ale nadal stojącego w pokoju jak trofeum wojenne.

- Dziękuję. Nie przejmuj się tą maszyną... jest martwa. To samo stanie się wkrótce z nimi wszystkimi.

Murbella wzięła raporty z rąk dziewczyny. Zerknąwszy na nią ponownie, uświadomiła sobie, że jest to jej córka, Gianne, ostatnie dziecko, które miała z Duncanem Idaho. Inną córkę, Tanidię, również wychowaną przez nowe zgromadzenie, wysłano do pracy w Missionaria Protectiva.

„Czy Gianne albo Tanidia w ogóle wiedzą, kim są ich rodzice?” - pomyślała.

Przed laty zdecydowała się powiedzieć Janess o jej pochodzeniu, a wtedy młoda kobieta zaczęła z zapałem studiować dzieje swojego sławnego ojca.

Pozwoliła jednak, by pozostałe dwie córki wychowywały się wśród Bene Gesserit w bardziej tradycyjny sposób. Wątpiła, by wiedziały, jak są wyjątkowe.

Gianne niepewnie czekała, jakby miała nadzieję, że Matka Dowodząca jeszcze ją o coś poprosi. Chociaż Murbella знаła odpowiedź, pod wpływem impulsu zapytała:

- Ile masz lat, Gianne?

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną tym, że Matka Dowodząca zna jej imię.

- Dwadzieścia trzy - odparła.

- I jeszcze nie przeszłaś agonii. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Od czasu do czasu Murbella odczuwała pokusę, by wykorzystać swoją pozycję do ingerencji w proces szkolenia córek, ale zawsze jej się opierała. Bene Gesserit nie powinna okazywać takiej słabości.

Gianne wydawała się zawstydzona.

- Cenzorki sugerują, że przydałoby mi się więcej skupienia i koncentracji - powiedziała.

- A zatem poświęć się temu. Potrzebujemy każdej Matki Wielebnej, którą możemy znaleźć. - Murbella zerknęła na złowieszczo wyglądającego robota. - Wojna się nasila.

*

Murbella wiedziała, że nie może sobie pozwolić na odpoczynek, że nie może tracić czasu. Zażądała, by przybyły jej doradczynie: Kiria, Janess, Laera i Accadia. Przyszły, spodziewając się zebrania, ale Matka Dowodząca wyprowadziła je z twierdzy.

- Przygotujcie ornitopter - zażądała. - Natychmiast wylatujemy do strefy pustynnej.

Laera, która przyniosła naręcze raportów, nie zareagowała przychylnie na tę wiadomość.

- Ależ, Matko Dowodząca, tak długo cię nie było - powiedziała. - Czekają na ciebie wiele dokumentów. Musisz podjąć decyzje, wydać odpowiednie...

- To ja decyduję o priorytetach - ucięła Murbella.

Kiria miała już wygłosić jakiś szyderczy komentarz, ale zauważywszy, że Matka Dowodząca ma poważną minę, ugryzła się w język. Stłoczyły się w ornitopterze i czekały na zakończenie nużących przygotowań do startu. Murbella nie mogła usiedzieć na miejscu.

- Jeśli nie dostanę pilota, sama poprowadzę to cholerne pudło! - oświadczyła.

Szybko sprowadzono pilota, młodego mężczyznę.

Kiedy ornitopter wzniósł się w powietrze, odwróciła się w końcu do doradczyń.

- Gildia żąda niebotycznej sumy za budowane dla nas statki wojenne - powiedziała. - Ix przyjmuje zapłatę już tylko w melanżu i teraz, kiedy pozyskiwanie kojotytów na Buzzellu stało się niepewne i nieopłacalne, wszystko zależy od przyprawy. To jedyna waluta, za pomocą której możemy zaspokoić Gildię.

- Zaspokoić?! - warknęła Kiria. - A cóż to za szaleństwo? Powinnyśmy ją p o k o n a ć i zmusić do produkowania potrzebnych nam statków i broni. Czyżbyśmy były jedynymi, które uświadamiają sobie zagrożenie? Nadciągają myślące maszyny!

Janess zdumiała propozycja Kirii.

- Atak na Gildię byłby początkiem wojny domowej w chwili, kiedy absolutnie nie możemy sobie na to pozwolić - powiedziała.

- Czy mamy dość środków na kupno tych statków? - zapytała Laera. - Już przekroczyliśmy kredyt udzielony nam przez Bank Gildii.

- Wszyscy stoimy wobec wspólnego wroga - rzekła stara Accadia. - Gildia i Ix byłyby na pewno skłonne...

Murbella zacisnęła dłonie w pięści.

- To nie ma nic wspólnego z altruizmem czy chciwością - przerwała jej. - Pomimo naszych najlepszych intencji ani środki finansowe, ani surowce nie pojawią się jak tęcza po burzy. Trzeba żywić całą populację, dostarczać paliwo dla statków, produkować energię. Pieniądze są tylko symbolem, ale ekonomia to silnik, który napędza całą tę maszynę. Orkiestrze trzeba zapłacić.

Na długo przedtem, nim zobaczyły pustynię,

ornitopter zaczęły smagać podmuchy suchego wiatru i niesione przezeń chmury pyłu. Murbella wyrzała przez wypukłe okno, pewna, że wydmy nie posunęły się aż tak daleko, odkąd ostatni raz złożyła wizytę na pustyni. Była to szerząca się a n t y p o w ó d ź, rozlewająca się falami całkowita suchość. W sercu pustyni rosły i mnożyły się czerwie, podtrzymując ten stale nasilający się cykl.

Matka Dowodząca zwróciła się do siedzącej za nią kobiety.

- Laero, potrzebuję pełnej oceny operacji zbierania przyprawy. Muszę znać liczby. Ile ton melanzu zbieramy? Ile mamy w magazynach i ile możemy przeznaczyć na eksport?

- Produkujemy tyle, że wystarcza to na zaspokojenie naszych potrzeb, Matko Dowodząca. Nadal inwestujemy w rozszerzenie pozyskiwania przyprawy, ale dramatycznie wzrosły nasze wydatki.

Kiria mruknęła z goryczą coś o Ixanach i ich niebotycznych rachunkach.

- Może będziemy musieli sprowadzić pracowników z zewnątrz - zauważyła Janess. - Te trudności są do pokonania.

Ornitopter zanurkował w stronę wznoszącego się jak dym z komina słupa piasku i kurzu wzbijanego przez żniwiarę. Zbliżało się do niego niczym wilki okraążające ranne zwierzę kilka czerw, które przyciągnęły drgania. Kończono już operację - zbieracze pospiesznie pakowali narzędzia, a w górze wisiała zgarniarka, gotowa do uniesienia ciężkiej

maszyny, gdy tylko czerwie znajdą się zbyt blisko.

- Wyciśnijcie z pustyni każdy gram przyprawy - rzekła Murbella.

- Dawno temu, w czasach Muad'Diba, takie samo zadanie otrzymał Bestia Rabban - powiedziała Accadia.

- I zakończyło się to spektakularnym niepowodzeniem.

- Za Rabbanem nie stało zgromadzenie - skwitowała tę uwagę Murbella. Widziała, że Laera, Janess i Kiria dokonują w myślach obliczeń. Ilu robotników można by skierować do pustynnej strefy? Ilu poszukiwaczy skarbów mogą wpuścić na Kapitularz? I ile trzeba przyprawy, by skłonić giklyjskich i ixańskich inżynierów do dalszej pracy przy produkcji tak bardzo potrzebnych statków i broni?

- Skoro już tutaj jesteśmy, Matko Dowodząca, czy mam cię zabrać do pustynnej stacji badawczej? - spytał milczący do tej pory pilot. - Ekipa planetologów bada tam cykl rozwoju czerw, rozprzestrzenianie się pustyni i parametry niezbędne do najbardziej efektywnego zbierania przyprawy.

- „Zanim sukces stanie się możliwy, potrzebne jest zrozumienie” - Laera zacytowała werset z Biblii Protestancko-Katolickiej.

- Tak, pozwólcie, że przeprowadzę inspekcję tej stacji. Badania są konieczne, ale w takich czasach jak obecne muszą one być p r a k t y c z n e. Nie mamy czasu na błahe badania prowadzone dla zaspokojenia kaprysu jakiegoś obcoświatowego naukowca.

Pilot przechylił ornitopter, przyspieszył i skierował się w głąb pustyni. Na horyzoncie widać było czarny,

nierówny grzbiet skalny, bezpieczny bastion, do którego nie mogli wtargnąć czerwie.

Stacja Szakkada została nazwana tak dla upamiętnienia Szakkada Mądrego, władcy z czasów sprzed Dżihadu Butleriańskiego. Osnuty legendą nadworny chemik Szakkada był pierwszym w dziejach człowiekiem, który poznał się na spowalniających proces starzenia właściwościach melanżu. Teraz mieszkała tam i pracowała, daleko od twierdzy i wszelkich ingerencji z zewnątrz, grupa pięćdziesięciu naukowców, sióstr i personelu pomocniczego. Ustawiali urządzenia do sprawdzania pogody i wypuszczali się na wydmy badać zmiany chemiczne podczas wybuchów przyprawy oraz śledzić rozwój i ruchy czerwii.

Kiedy ornitopter siadł na spłaszczonej skalnej wychodni, która służyła jako prowizoryczne lądowisko, na spotkanie wyszło im kilku naukowców. Zakurzeni i wysmagani przez wiatr, wracali właśnie ze skraju pustyni, gdzie umieścili próbniki i instrumenty do badania pogody. Odziani byli w filtraki, kopie tych, które niegdyś nosili Fremeni.

Większość naukowców w Stacji Szakkada stanowili mężczyźni. Kilku starszych z nich brało udział w krótkich wyprawach na spaloną teraz Rakis. Od ekologicznej zagłady pustynnej planety minęło trzydzieści lat i obecnie niewielu ekspertów mogło się pochwalić wiedzą z pierwszej ręki o czerwii i warunkach panujących wcześniej na Diunie.

- W czym możemy ci pomóc, Matko Dowodząca? - zapytał kierownik stacji, obcoświatowiec, przesuając

zakurzone gogle ochronne na czoło. Jego sowie oczy zaczęły już zyskiwać niebieskawe zabarwienie. Od przyjazdu na tę placówkę częścią jego codziennej diety była przyprawa. Bił od niego nieprzyjemny kwaśny zapach, jakby swoje zadania w pozbawionej wody strefie traktował wyjątkowo poważnie, posuwając się nawet do rezygnacji z regularnych kąpieli.

- Pomóście nam, zbierając więcej melanzu - odparła szczerze Murbella.

- Czy wasze ekipy mają wszystko, czego im trzeba? - zapytała Laera. - Potrzebujecie dodatkowych dostaw albo pracowników?

- Nie, nie. Chcemy tylko samotności i swobody działania. No i czasu.

- Dwie pierwsze rzeczy mogę wam dać - powiedziała Murbella. - Ale czas jest dobrem, którego nie ma nikt z nas.

Oczywiście możemy pokonać wroga, ale czy warto odnieść zwycięstwo bez zrozumienia wad przeciwnika? Ich analiza jest najbardziej interesującą częścią zmagania.

- Erazm, notatniki laboratoryjne

Katedra maszyn na Synchronii pokazywała, czym może się stać reszta galaktyki. Omnius był zadowolony z postępów, które flota myślących maszyn poczyniła w kilku minionych latach, podbijając jeden układ planetarny po drugim, ale Erazm wiedział, że jeszcze dużo pozostaje do zrobienia.

- Najsilniejszy opór stawia nam nowe zgromadzenie żeńskie, ale wiem, jak je pokonać - zagrział o wiele głośniejszym głosem niż to było konieczne, Omnius, który czasami lubił tak przemawiać. - Zwiadowcy potwierdzili skrywane położenie Kapitularki, wysłałem więc już tam sondy z rozsadnikami zarazy. Te kobiety niedługo wymrą. - W głosie wszechumysłu pojawiła się nuta znudzenia. - Mam ci pokazać mapę układów gwiazdnych, żebyś wiedział, ile z nich już podbiliśmy? Bez jednej choćby porażki.

Do umysłu Erazma wtargnęły obrazy map, bez względu na to, czy chciał je zobaczyć, czy nie. W dawnych czasach niezależny robot mógł sam decydować o tym, co chce pobrać od wszechumysłu. Omnius znalazł jednak sposoby obejścia jego zdolności podejmowania decyzji i siłą przelewał dane do jego układów wewnętrznych, omijając liczne zapory.

- To zwycięstwa czysto symboliczne - rzekł Erazm, celowo przybierając postać pomarszczonej staruszki w ubraniu ogrodnika. - Cieszę się, że dotarliśmy do skraju Starego Imperium, ale jeszcze nie wygraliśmy tej wojny. Od tysięcy lat badam ludzi, owe uparte, przedsiębiorcze istoty. Nie przyjmuj zwycięstwa za pewnik, dopóki go nie odniesiesz. Pamiętaj o tym, co się zdarzyło ostatnim razem.

W całej Synchronii odbiło się echem niedowierzające prychnięcie Omniusa.

- Z definicji jesteśmy lepsi od ludzi, którzy są pełni wad. - Przez tysiące patrzydeł spojrzał na Erazma w przebraniu staruszki. - Dlaczego uparcie przyjmujesz tę żalosną postać? W tym kształcie wyglądasz na słabego.

- O mojej sile nie decyduje moje ciało - odparł Erazm. - To umysł czyni mnie tym, kim jestem.

- Twój umysł też mnie nie interesuje. Po prostu chcę wygrać tę wojnę. Muszę ją wygrać. P o t r z e b u j ę zwycięstwa. Gdzie jest ten statek pozaprzestrzenny? Gdzie jest mój Kwisatz Haderach?

- Przyjmujesz tak samo roszczeniową postawę jak baron Harkonnen. Czyżbyś go nieświadomie naśladował?

- Dałeś mi matematyczne przewidywania, Erazmie. Gdzie jest ten nadczłowiek? Odpowiedz.

Robot zachichotał.

- Masz już Paola - rzekł.

- Twoje proroctwo gwarantowało też, że jakiś Kwisatz Haderach jest na statku pozaprzestrzennym. Chcę obie wersje... nadmiar zapewni mi zwycięstwo.

Nie chcę też, żeby jednego z nich mieli ludzie. Muszę mieć władzę nad oboma.

- Znajdziemy ten statek. Wiemy już, że na jego pokładzie jest wiele interesujących rzeczy, włącznie z mistrzem tleilaxańskim. Być może to jedyny żyjący mistrz i bardzo chciałbym z nim porozmawiać. Tak samo ty. Musi zobaczyć, jak ukształtowali nas ci wszyscy maskaradnicy, byśmy bardziej przypominali bogów. W każdym razie bardziej niż ludzie.

- Będziemy nadal zarzucali naszą sieć - rzekł Omnius.

- I znajdziemy ten statek.

W całej Synchronii w teatralnym geście zniecierpliwienia wszechumysłu zaczęły się zapadać wysokie budynki. Robot słyszał huk i czuł trzęsącą się podłogę, ale nie robiło to na nim wrażenia. Zbyt wiele razy był świadkiem takich groteskowych pokazów. Omnius lubował się w jarmarcznych popisach, które wychodziły mu lepiej lub - znacznie częściej - gorzej, mimo iż Erazm stale usiłował powściągnąć jego ekscesy. Od tego zależała przyszłość - przyszłość, którą zaplanował niezależny robot.

Przekopywał się przez przewidywania, które formułował na podstawie bilionów danych. Wszystkie wyniki zostały tak podkolorowane, by dokładnie pasowały do przepowiedni, które sam układał. Omnius we wszystkie wierzył. Naiwny wszechumysł za bardzo polegał na przefiltrowanych informacjach i robot umiejętnie nim kierował.

Erazm był pewien, że przy właściwych parametrach przyszłe tysiąclecia ułożą się, jak należy.

Ci, którzy widzą, nie zawsze rozumieją. Ci, którzy utrzymują, że rozumieją, mogą być najbardziej ślepi.

- Wyrocznia Czasu

To, co zostało ze starożytnej cielesnej postaci Normy Cenvy, zamknięte było w komorze, którą dla niej zbudowano i modyfikowano przez tysiące lat, ale jej umysł nie znał fizycznych granic. Była luźno związana z ciałem, biologicznym generatorem czystej myśli. Była Wyrocznią Czasu.

Mentalne połączenia z tkanką wszechświata dawały jej zdolność podróżowania w dowolne miejsce spośród nieskończonej liczby możliwych. Widziała przyszłość i przeszłość, jednak nie zawsze zupełnie wyraźnie. Jej mózg był tak skonstruowany, że mogła dotknąć Nieskończoności i prawie - p r a w i e - ją pojąć.

Jej nemezis, wszechumysł, rozpostarł w materii przestrzeni kosmicznej rozległą sieć elektroniczną, tachionową pajęczynę, której nie widziała większość ludzi. Chciał zagarnąć nią upatrzony łup, ale dotychczas nie udało mu się złapać statku pozaprzestrzennego.

Dawno temu Norma stworzyła zręby Gildii jako narzędzie walki z myślącymi maszynami. Później Gildia zaczęła żyć własnym życiem i rozwijała się bez jej udziału, natomiast Norma pogrążyła się w kosmosie. Nie zajmowała się takimi problemami, jak polityka międzyplanetarna, walki o władzę między frakcją nawigatorów i administratorami, monopol na

drogocenne artykuły, takie jak kojotyty, ixańskie technologie czy melanż.

Czuwanie nad ludzkością wymagało od niej dużego nakładu mentalnej waluty. Czuła, że do cywilizacji wkrada się chaos, wiedziała o wielkim rozłamie w Gildii. Najchętniej zbeształaby administratorów za doprowadzenie do tego kryzysu, gdyby tylko pamiętała, jak się rozmawia z takimi maluczkimi ludźmi. Wyczerpywało ją nawet przemawianie na tyle prostymi słowami, by zrozumieli ją stojący na wysokim poziomie rozwoju nawigatorzy. Musiała uzmysłować im, kto jest prawdziwym wrogiem, by wzięli na siebie ciężar walki z nim.

Gdyby priorytetami nie zajęła się Wyrocznia Czasu, nie zająłby się nimi nikt inny. Nikt inny we wszechświecie nie mógł tego zrobić. Dzięki prekognicji pojęła, co jest najważniejsze: znaleźć statek poza przestrzenią. Na jego pokładzie był ostatni Kwisatz Haderach, a z czarnej chmury Kralizeku lały się już strumienie, które mogły zatopić ludzkość. Ale Omnium szukał tego samego i mógł ją uprzedzić.

Wiedziała o niedawnych walkach między Bene Gesserit a Dostojnymi Matronami. Wcześniej była świadkiem długiego życia i traumatycznej śmierci Boga Imperatora oraz Rozproszenia i Czasów Głodu, ale wszystkie te wydarzenia składały się jedynie na szum tła.

Znaleźć statek poza przestrzenią.

Zgodnie z jej przewidywaniami, nieustępliwy wróg powrócił. Zawsze się tego obawiała. Bez względu na to,

w jakim przebraniu występowały teraz myślące maszyny, bez względu na to, jak się zmieniły, wróg pozostawał wrogiem.

A Kralizek już się zaczął.

Podczas gdy jej wizje falowały, to wybiegając naprzód, to się cofając, wokół niej tworzyły się zmarszczki czasu utrudniające dokładne przewidywania. Napotkała wir, przypadkowy, lecz wywierający wpływ czynnik, który mógł zmienić wynik w zupełnie nieprzewidywalny sposób, gdyż jego możliwości oddziaływania na bieg wydarzeń były niezliczone. Czynnikiem tym był Kwisatz Haderach, taki sam wybryk natury jak Norma Cenva.

Nad tym wyjątkowym człowiekiem chciał zapanować i pokierować nim Omnius. Wszechumysł i maskaradnicy szukali statku pozaprzestrzennego od lat, ale do tej pory Duncanowi Idaho udawało się uniknąć schwytania. Nawet Wyrocznia Czasu nie mogła ich ponownie odnaleźć.

Norma dokładała wszelkich starań, by na każdym kroku psuć szyki wrogowi. Ocaliła statek pozaprzestrzenny, ochroniła ludzi na jego pokładzie, ale straciła z nim kontakt. Na *Itace* było coś, co zasłaniało ją przed nią skuteczniej niż pole pozaprzestrzenne. Norma mogła tylko mieć nadzieję, że równie skutecznie zasłania ją przed wzrokiem myślących maszyn.

Kontynuowała poszukiwania, sondując delikatnie myślami przestrzeń kosmiczną. Niestety, statku nigdzie nie było. Jego pasażerowie w jakiś tajemniczy sposób ukrywali go przed nią... zakładając,

że nie został zniszczony.

Chociaż jej wizje nie były jasne, Norma zdawała sobie sprawę, że wszyscy mają coraz mniej czasu. Wkrótce musi nastąpić punkt kulminacyjny. A zatem musi zgromadzić sprzymierzeńców. Głupi administratorzy zainstalowali na wielu swoich statkach urządzenia nawigacyjne - zupełnie jak myślące maszyny! - wskutek czego nie mogła ich przywołać za pomocą swoich paranormalnych zdolności. Nadal jednak była w stanie rozkazywać tysiącowi wiernych jej nawigatorów. Polecą im, by przygotowali się do bitwy, do ostatecznej rozprawy.

Gdy tylko znajdzie statek pozaprzestrzenny...

Wyrocznia Czasu wyteżyła umysł, zanurzając myśli w pustkę jak rybak sieć. Sprawiało jej to niewiarygodny ból. Mimo to parła silniej niż kiedykolwiek, przesuwając granice swojego umysłu poza wszelkie spenetrowane wcześniej obszary. Nawet największy ból nie był wygórowaną ceną. Wiedziała aż nazbyt dobrze, jakie będą konsekwencje niepowodzenia.

Zegar tykał.

Musi być jakieś miejsce, które będzie mogło się stać naszym domem, w którym będziemy bezpieczni. Bene Gesserit wysłały tak wiele sióstr na Rozproszenie, zanim pojawiły się Dostojne Matrony. Czyżby wszystkie one zaginęły?

- Sziena, poufne dzienniki
pisane na statku pozaprzeznaczonym

Lecąc stale naprzód, pasażerowie *Itaki* nie mogli się pozbierać po niedawnej serii zniszczeń. A sabotażysta wciąż im się wymykał.

„Co jeszcze możemy zrobić, żeby go dopaść?” - zastanawiał się Duncan. Nawet jego najdokładniejsze mentackie analizy sytuacji nie podsuwały mu rozwiązań.

Miles Teg i Thufir Hawat jeszcze raz rozesłali ekipy w celu sprawdzenia, a nawet przetrząśnięcia kabin wszystkich pasażerów, mając nadzieję, że znajdą obciążające kogoś dowody. Rabbi i jego ludzie skarżyli się na rzekome naruszenie ich prywatności, ale Sziena domagała się od wszystkich pełnej współpracy. W takim stopniu, w jakim to tylko było możliwe, Teg odgradzał elektronicznymi barykadami całe sektory ogromnego statku, ale sprytnemu sabotażyście udawało się przez nie przenikać.

Zakładając, że nie będzie kolejnych incydentów, przy uszkodzonych systemach podtrzymywania życia, recyrkulacji powietrza i hodowli żywności pasażerowie

mogli przetrwać najwyżej kilka miesięcy. Musieli się gdzieś zatrzymać, by uzupełnić zapasy, ale minęły lata, odkąd znaleźli odpowiedni do tego świat.

„Czy ktoś stara się nas zniszczyć... albo skierować w jakieś konkretne miejsce?” - zastanawiał się Duncan.

Nie mając map gwiazdnych ani wiarygodnych wskazówek, raz jeszcze spróbował oprzeć się na swojej niesamowitej prekognicji. Była to jeszcze jedna gra o wysoką stawkę. Uruchomiwszy silniki Holtzmana i zamknąwszy oczy, Duncan zagiął przestrzeń i zakręcił kołem kosmicznej ruletki...

Statek pozaprzestrzenny pojawił się, nietknięty, ale nadal zagubiony, na obrzeżach jakiegoś układu gwiazdnego. Żółte słońce z naszyjnikiem planet, w tym jedną podobną do Ziemi, krążącą wokół niego w odległości odpowiedniej dla ukształtowania się warunków umożliwiających życie. Być może nadawała się do zasiedlenia, a na pewno były na niej tlen i woda, które można było zabrać na *Itakę*. Szansa...

Zanim *Itaka* zbliżyła się do niezaznaczonej na mapach planety, na mostku nawigacyjnym zebrało się kilka osób. Sziena od razu przystąpiła do rzeczy.

- Co tutaj mamy? - zapytała. - Powietrze, którym można oddychać? Żywność? Miejsce, w którym da się żyć?

Wyjrzawszy przez okno obserwacyjne, Duncan był zadowolony z tego, co zobaczył.

- Instrumenty udzielają twierdzących odpowiedzi na te pytania - odparł. - Proponuję, żebyśmy zaraz wysłali tam ekipę.

- Uzupełnienie zapasów to nie najlepsze rozwiązanie - powiedziała zrzędliwie Garimi. - Nigdy takim nie było. Powinniśmy rozważyć, czy zostać tutaj, jeśli jest to świat, jakiego szukamy.

- Rozważaliśmy to już na planecie Przewodników - zauważyła Sziena.

- Jeśli zapędził nas tutaj sabotażysta, musimy być bardzo ostrożni - rzekł Duncan. - Wiem, że był to skok na chybił trafił przez zagiętą przestrzeń, ale mimo to martwię się. Nasi prześladowcy zarzucili sieć szeroko. Nie spieszyłbym się z odrzuceniem możliwości, że to miejsce jest pułapką.

- Albo wybawieniem - zasugerowała Garimi.

- Sami będziemy musieli się przekonać - powiedział Teg. Operując przyciskami na mostku, wyświetlił na szerokim ekranie obrazy o dużej rozdzielczości. - Obfitość tlenu i roślin, zwłaszcza na szerokościach geograficznych oddalonych od równika. Wyraźne znaki osadnictwa, wioski i miasta średniej wielkości, głównie na dalekiej północy. Wykonane w sporej skali zdjęcia meteorologiczne pokazują, że klimat ulega gwałtownym zmianom. - Wskazał zawirowania świadczące o burzach, pasy umierających lasów i trawiastych równin, duże jeziora i morza kurczące się pod naporem piasku. - W strefie równikowej bardzo mało chmur. Wilgotność atmosfery minimalna.

Do grupy na mostku dołączyli Stilgar i Liet-Kynes, których zawsze fascynowały nowe światy. Liet wziął szybki oddech.

- Ta ziemia jałowuje! - powiedział z podnieceniem. -

Zamienia się w sztuczną pustynię!

- Już to widziałam. - Sziena przyglądała się badawczo wyraźnemu brązowemu pasowi, który biegł niczym cięcie nożem przez obszary porośnięte niegdyś bujnymi lasami. - Zupełnie jak na Kapitularzu.

- Czyżby była to jedna z załączkowych planet Odrade?
- zapytała Stuka, która stała jak zwykle u boku Garimi. -
Czyżby sprowadziły tutaj i rozmieściły trocie piaskowe?
Znajdziemy nasze siostry na tym świecie?

- Nieskażone siostry - powiedziała Garimi z błyskiem w oku.

- Całkiem możliwe - stwierdziła Sziena. - Będziemy musieli tam wylądować. Ta planeta wygląda na coś więcej niż tylko miejsce, w którym możemy uzupełnić zapasy.

- Nowa kolonia. - Podniecenie Stuki było zaraźliwe. -
To może być świat, którego szukamy, miejsce na założenie nowej kapituły. Nowa Diuna!

Duncan skinął głową.

- Nie możemy przegapić takiej możliwości -
powiedział. - Mój instynkt przywiódł nas tutaj nie bez powodu.

Czy tylko my zostaliśmy przy życiu? A jeśli wróg z zewnątrz zniszczył już do tej pory resztę ludzkości w Starym Imperium... włącznie z Murbellą? W takim przypadku musimy koniecznie założyć jak najwięcej kolonii.

- Duncan Idaho, dzienniki pokładowe
statku pozaprzestrzennego

Kryjąc się przed mieszkańcami planety, kilka zespołów kompetentnych Bene Gesserit podjęło poważny wysiłek zaopatrzenia statku pozaprzestrzennego w niezbędne zapasy powietrza, wody i substancji chemicznych. Wysłano jednostki górnicze, zbieracze powietrza i zbiornikowce z aparaturą do oczyszczania wody. Był to priorytet *Itaki*.

Stilgar i Liet-Kynes domagali się, by zabrać ich na powierzchnię, ponieważ chcieli zbadać poszerzającą się strefę pustynną. Widząc przejęcie na twarzach dwóch przebudzonych gholi, ani Teg, ani Duncan nie mieli serca im odmówić. Wszyscy żywili ostrożny optymizm, że znajdą w dole gościnny krajobraz, a Sziena zastanawiała się, czy nie będzie mogła uwolnić siedmiu czerwii trzymanych w ładowni. Chociaż Duncan nie mógł opuścić zasłony, za którą schowany był statek, gdyż odkryliby się przed łowcami wroga, nie miał powodu, by uniemożliwić innym znalezienie w końcu domu. Może stanie się nim ten świat.

Schodzącą na powierzchnię planety lichtugę

pilotował sam baszar Teg. Towarzyszyły mu Sziena i podekscytowana Stuka, która od dawna chciała założyć nowe centrum Bene Gesserit, zamiast dryfować bez celu w przestrzeni kosmicznej. Garimi pozwoliła swojej zagorzałej zwolenniczce dokonać pierwszego wypadu, sama zaś została na statku, układając z innymi ultrakonserwatywnymi siostrami plany na przyszłość. Stilgar i Liet palili się do tego, by postawić stopę na pustyni - prawdziwej, bezkresnej pustyni pod otwartym niebem.

Teg poleciał wprost do spustoszonej suchej strefy, w której trwała ekologiczna bitwa. Jeśli rzeczywiście była to jedna z załążkowych planet Odrade, żarłoczne trocie piaskowe otorbiały kropla po kropli wodę. Mechanizmy środowiskowe walczyły ze zmianami klimatu, zwierzęta migrowały w rejony nietknięte jeszcze przez suszę, zdane na własne siły rośliny starały się przystosować do nowych warunków, ale przeważnie ginęły. Mnożące się trocie piaskowe działały dużo szybciej, niż potrafiły się przystosować endemiczne gatunki flory i fauny.

Sziena i Stuka patrzyły przez plazowe okna lichtugi, postrzegając rozprzestrzeniającą się pustynię jako sukces, tryumf Rozproszenia Odrade. Dla niezwykle rozważnych Bene Gesserit nawet zagłada całego ekosystemu była „możliwą do przyjęcia ofiarą”, jeśli prowadziła do stworzenia nowej Diuny.

- Zmiana postępuje tak szybko - rzekł Liet-Kynes z nutą podziwu w głosie.

- Na pewno jest już tutaj Szej-hulud - dodał Stilgar.

- Ten świat będzie nowym Kapitularem. - Stuka

powtórzyła jak echo słowa często wypowiedane przez Garimi. - Trudy nic dla nas nie znaczą.

Dysponując szczegółowymi informacjami w archiwach, pasażerowie *Itaki* mieli całą wiedzę potrzebną do założenia nowego domu. Tak, k o l o n i i. Tegowi podobało się brzmienie tego słowa, niosło bowiem nadzieję na lepszą przyszłość.

Wiedział jednak, że Duncan nigdy nie przestanie uciekać, jeśli nie zdecyduje się stawić czoła wrogowi. Tajemniczy staruszkowie nadal zarzucali na niego, a może na coś, co znajdowało się na pokładzie, niewykluczone nawet, że na sam statek, złowieszczą się.

Lichtuga mknęła z rykiem przez niebo błękitne jak porcelana, zniżając lot. Pośrodku pustynnego pasa, jak daleko sięgali wzrokiem, rozciągały się wydmy. Od białego piasku odbijało się światło słoneczne, a prądy ciepłe w suchym jak pieprz powietrzu kołysały statkiem. Teg zmagał się ze sterami.

- Zupełnie jak jazda na czerwiu - zachichotał z tyłu Stilgar.

Kiedy lecieli nad rozszerzającą się pustynią, Liet-Kynes wskazał rdzawoczerwoną plamę, która była znakiem wybuchu spod powierzchni.

- Przyprawa! Nie sposób pomylić tego koloru ani układu. - Uśmiechnął się cierpko do swojego przyjaciela Stilgara. - Umarłem w takim miejscu. Niech szlag trafi Harkonnenów za to, że zostawili mnie tam, bym zginął.

Piasek zafalował i pojawiły się na nim wzgórki, ale istoty, które je utworzyły, nie wynurzyły się.

- Jeśli to czerwie, to są mniejsze od tych, które mamy w ładowni - powiedział Stilgar.

- Ale mimo to robią wrażenie - rzekł Liet.

- Miały mniej czasu, żeby dojrzeć - zauważyła Sziena. - Matka Przełożona Odrade wysłała ochotniczki na Rozproszenie dopiero wtedy, gdy pustynnienie Kapitularza było już poważnie zaawansowane. Nie wiemy też, ile czasu zajęło błądzącym siostronom dotarcie tutaj.

Szybkie posuwanie się piaszczystego pustkowia znaczyły niczym fale na powierzchni stawu wyraźne linie. Na jego skrajach znajdowały się strefy, w których wyginęła cała roślinność, a ziemia zamieniła się w kurz rozwiewany przez wiatr. Wdzierająca się coraz dalej pustynia stworzyła widmowe lasy i wymarłe wioski.

Lecąc nisko, Teg odkrył dachy do połowy zasypanych domów, szczyty wspaniałych niegdyś budynków pogrzebanych pod nieubłagane pracującym piaskiem. W pewnej chwili zobaczył wstrząsający widok - wywróconą do góry dnem łódź na spieczonej przez słońce wydmie.

- Nie mogę się doczekać spotkania z naszymi siostrami - powiedziała z przejęciem Stuka. - Najwyraźniej zakończyły swoją misję tutaj sukcesem.

- Spodziewam się, że powitają nas z zadowoleniem - przyznała Sziena.

Widząc zasypane piaskiem miasto, Teg nie sądził, by rdzenni mieszkańcy planety przyjęli z radością to, co zrobiły Bene Gesserit. Kiedy lichtuga leciała wzdłuż północnej granicy pustyni, skanery wykryły małe chaty

i namioty wzniesione tuż poza zasięgiem piasku. Teg zastanawiał się, jak często nomadzi muszą przenosić swoje osiedla. Jeśli strefa sucha rozszerzała się tak szybko jak na Kapitularzu, ten świat tracił codziennie setki hektarów terenu, a proces ów stale przyspieszał, w miarę jak trocie piaszkowe kradły cenną wodę.

- Wyląduj w jednym z tych osiedli, baszarze - powiedziała Sziena. - Na skraju wydm mogą być nasze utracone siostry, by śledzić posuwanie się pustyni.

- Pragnę znowu poczuć pod stopami prawdziwy piasek - mruknął Stilgar.

- To wszystko jest takie fascynujące - rzekł Liet.

Kiedy Teg krążył nad jedną z wiosek nomadów, jej mieszkańcy wybiegli z chat i pokazywali sobie statek wzniesionymi palcami. Sziena i Stuka przywarły do plazowych szyb, wypatrując charakterystycznych czarnych strojów Bene Gesserit, ale nie dostrzegły żadnej ubranej tak osoby.

Nad wioską górowała formacja skalna, zapora dająca osłonę przed piaskiem i pyłem. Na jej szczycie stali ludzie i wymachiwali rękami, ale Teg nie potrafił określić, czy to przyjazne czy wrogie gesty.

- Widzisz, zakrywają głowy i twarze płatami tkaniny z filtrami - powiedział Liet. - Coraz suchsze powietrze zmusza ich do przystosowania. Żeby móc żyć tutaj, na skraju wydm, uczą się już zachowywać wilgoć ciała.

- Moglibyśmy nauczyć ich wytwarzać prawdziwe filtraki - rzekł z uśmiechem Stilgar. - Minęło dużo czasu, odkąd miałem porządny filtrak. Spędziłem dwanaście lat na *Itace*, nasycając płuca wilgocią. Nie

mogę się doczekać, kiedy znowu poczuję smak suchego powietrza!

Teg znalazł otwarty teren i posadził na nim lichtugę. Poczuł nieokreślony niepokój, kiedy pomknęli ku nim tubylcy.

- To są wyraźnie obozy nomadów - powiedział. - Dlaczego nie przeniosą się w głąb lądu, gdzie klimat jest bardziej przyjazny?

- Ludzie się przystosowują - odparła Sziena.

- Ale dlaczego mieliby to robić? Owszem, strefa pustynna się poszerza, ale na planecie wciąż jest mnóstwo rozległych lasów, a nawet leżących niedaleko stąd miast. Ci ludzie mogliby jeszcze przez pokolenia uciekać przed wydmami, a mimo to uparcie tkwią tutaj. Zanim otworzył się właz, by wpuścić suche powietrze, koczownicy otoczyli statek. Sziena i Stuka, obie w tradycyjnych sukniach z Kapitularza, by rozpoznały je osiadłe tutaj siostry, śmiało ruszyły naprzód. Za nimi poszedł Teg ze Stilgarem i Lietem.

- Jesteśmy Bene Gesserit! - krzyknęła Sziena w galachu. - Czy są wśród was jakieś nasze siostry?

Oślaniając dłonią oczy przed jaskrawym światłem słońca, powiodła wzrokiem po nielicznych, ogorzałych twarzach kobiet, ale nie uzyskała odpowiedzi.

- Może lepiej byłoby polecieć do innej wioski - zasugerował szeptem Teg. Jego zmysł taktyczny był w stanie pogotowia.

- Jeszcze nie.

Podszedł do nich starszy mężczyzna i odsunął maskę z twarzy.

- Pytacie o Bene Gesserit? - rzekł. - Tutaj, na Qelso? Chociaż miał dziwny akcent, mówił zrozumiale. Mimo podeszłego wieku wyglądał na zdrowego i pełnego energii.

Stuka wysunęła się przed Sziene.

- O te, które noszą czarne suknie, takie jak nasze - wyjaśniła. - Gdzie one są?

- Wszystkie nie żyją. - W oczach starca pojawił się błysk.

Stuka nabrała podejrzeń, ale za późno. Poruszając się jak atakujący wąż, mężczyzna rzucił nożem, który miał ukryty w rękawie, i zrobił to celnie.

Na niewidzialny znak reszta tłumu runęła za przybyszem.

Stuka pociągnęła niezgrabnie rękojeść noża sterczącą z jej piersi, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się na kolana i stoczyła ze schodów lichtugi.

Sziena już się wycofywała. Teg krzyknął do Lieta i Stilgara, by wrócili do statku, wyciągając paralizator, który wziął ze zbrojowni *Itaki*.

Duży kamień trafił Stilgara w głowę. Liet skoczył mu na pomoc i usiłował wciągnąć go do lichtugi. Teg wystrzelił z paralizatora i srebrzysty strumień energii powalił część zakurzonego tłumu, ale w ich stronę poleciały następne noże i kamienie.

Ogarnięci szalem tubylcy wdarli się ze wszystkich stron na schody i rzucili na Tega. Zanim zdążył ponownie strzelić, wiele dłoni chwyciło go za nadgarstek, a ktoś wyszarpnął mu paralizator. Inni złapali Lieta za ramiona i ściągnęli go na dół.

Sziena zadawała mnóstwo ciosów z repertuaru technik bojowych Bene Gesserit. Wkrótce wokół niej legło wielu napastników.

Teg przygotowywał się z rykiem do wejścia w stan superszybkiej przemiany materii, w którym z łatwością mógł unikać ciosów i dźgnięć, ale z odebranego mu paralizatora trysnął srebrzysty promień, powalając jego, a zaraz potem Szienę.

*

Wieśniacy niezwłocznie skrepowali ręce czterem jeńcom. Chociaż był bardzo poturbowany, Teg zachował świadomość. Widział, że Lieta i Stilgara związane razem. Ciało Stuki leżało obok schodów, a napastnicy plądrowali lichtugę i wyciągali jej wyposażenie.

Kilku mężczyzn podniosło zwłoki Stuki. Starzec wyciągnął nóż z jej piersi i wytarł go ze wstrętem w jej suknię. Łypnął ze złością na trupa i splunął, po czym podszedł do jeńców. Patrząc na trzech młodych mężczyzn, kręcił z dezaprobatą głową.

- Nie przedstawiłem się - powiedział. - Możecie mówić mi Var.

Sziena spojrzała na niego wyzywająco.

- Dlaczego nam to zrobiliście? - zapytała. - Powiedziałeś, że słyszeliście o Bene Gesserit.

Twarz Vara wykrzywiła się, jakby miał nadzieję, że uda mu się uniknąć rozmowy z nią. Pochylił się ku niej.

- Tak, znamy Bene Gesserit - rzekł. - Przybyły tutaj przed laty i sprowadziły na naszą planetę swoje diabelskie stwory. Mówiły, że to eksperyment.

Eksperyment? Spójrz, co zrobiły z naszym pięknym światem! Staje się bezużyteczną kupą piachu. - Podniósł nóż, długą chwilę przyglądał się Szienie, po czym wsunął go do pochwy. - Kiedy w końcu zdaliśmy sobie sprawę z tego, co robią te kobiety, zabiliśmy je, ale było już za późno. Nasza planeta umiera, a my walczymy, by ochronić to, co z niej zostało.

Pierwszą zasadą utrzymania się na rynku jest dostrzeżenie zapotrzebowania i zaspokojenie go. Kiedy nie pojawia się zadowalające zapotrzebowanie, dobry biznesmen tworzy je w każdy możliwy sposób.

- główna dyrektywa handlowa KHOAM

Kiedy jeszcze jeden nawigator zmarł w swoim zbiorniku, opłakiwało go niewielu administratorów Gildii Kosmicznej. Sprowadzono po prostu ogromny liniowiec do stoczni na Węźle, by wyposażać go w ixańskie kompilatory matematyczne. Uważano to za postęp.

Po wielu latach praktyki Khrone z łatwością ukrył zadowolenie z tego widoku. Na razie wszystkie aspekty szeroko zakrojonego planu rozwijały się zgodnie z przewidywaniami, kostki domina przewracały się jedna po drugiej. Występując w dobrze znanej postaci ixańskiego inżyniera kontroli, przywódca miriadów maskaradników czekał na wysokiej platformie zwieńczonej miedzianą podłogą. W powiewach ciepłego wiatru, otoczony wyziewami przemysłowymi, obserwował pełną zgiełku stocznię.

Stojący obok niego administrator Rentel Gorus nie potrafił równie dobrze ukryć satysfakcji. Zamrugał mlecznobiałymi oczami i spojrzał na kabinę pilota wiekowego, wycofanego z eksploatacji statku.

- Ardrae był jednym z najstarszych nawigatorów w naszej flocie - powiedział. - Nawet po drastycznym

zmniejszeniu dostaw przyprawy utrzymywał się przy życiu dłużej, niż się spodziewaliśmy.

- Nawigatorzy! - rzekł z przekąsem pulchny przedstawiciel KHOAM. - Teraz, kiedy jedna po drugiej znikają te istoty, które pochłaniały ogromne środki, zyski Gildii powinny znacznie wzrosnąć.

Jego asystent, mentat, wyrecytował bez żadnej zachęty ze strony pryncypała:

- Znając czas życia tego nawigatora i biorąc pod uwagę ilości melanzu potrzebne do doprowadzenia u niego do mutacji, obliczyłem całkowitą ilość przyprawy, którą spożył podczas służby w Gildii. Przy zmieniających się cenach podczas jej względnej obfitości w okresie, w którym wytwarzali ją Tleilaxanie, i obecnych, gwałtownie rosnących wskutek poważnych niedoborów kosztach, za tę sumę Gildia mogłaby kupić trzy pełnowymiarowe liniowce wyposażone w aparaturę do wytwarzania pola pozaprzestrzennego.

Przedstawiciel KHOAM mruknął coś ze wstrętem, natomiast Khrone milczał. Przekonał się już, że najskuteczniejszą metodą jest przysłuchiwanie się i obserwowanie. Można było liczyć na to, że ludzie wyciągną własne wnioski (często błędne), jeśli tylko wskaże im się właściwy kierunek.

Rozkoszując się swoimi sekretami, Khrone myślał o licznych ambasadorach, których Gildia wysłała na front, starając się zawrzeć pakt o nieagresji z myślącymi maszynami i mając nadzieję, że dla zapewnienia sobie przetrwania uda jej się zachować neutralność. Ale wielu z tych emisariuszy było maskaradnikami, wtyczkami

Khrone'a, którzy celowo nie doprowadzili do porozumienia. Inni - ludzie - nigdy nie powrócili z tych misji.

Po zniszczeniu Richese przez zbuntowane Dostojne Matrony (kierowane potajemnie przez maskaradników Khrone'a) ludzie musieli się zwrócić do Ixan i Gildii, by otrzymać potrzebne im artykuły techniczne. Stocznie na Węzle zawsze były ogromnymi zakładami produkującymi wielkie statki do podróży międzygwiazdnych.

Flota Murbelli rosła z zadziwiającą szybkością, ale Khrone wiedział, że nawet te wysiłki nie na wiele się zdadzą w konfrontacji z ogromem rozbudowywanych od tysięcy lat sił Omniusa. Zakłady przemysłowe na Ixie (również kontrolowane przez maskaradników) wciąż opóźniały stworzenie i modyfikację uniestwiaczy, od których zależały możliwości obronne zgromadzenia żeńskiego. A ponieważ każdym nowym statkiem Gildii kierował już nie nawigator, lecz ixański kompilator matematyczny, Matkę Dowodzącą i jej sprzymierzeńców czekało jeszcze wiele niespodzianek.

- Zbudujemy więcej statków, by zrekompensować sobie spadek liczby nawigatorów - obiecał administrator Gorus. - Nasz kontrakt z nowym zgromadzeniem żeńskim nie ma, jak się zdaje, końca. Nigdy jeszcze nie mieliśmy tylu zamówień.

- Ale za to drastycznie spadł handel międzyplanetarny. - Przedstawiciel KHOAM skinął głową zarówno Khrone'owi, jak i Gorusowi. - Jak zgromadzenie zapłaci za te drogie statki i broń?

- Wywiązują się z zobowiązań finansowych, zwiększając podaż melanzu - odparł Gorus.

Khrone skierował w końcu rozmowę na tory, którymi powinna pobiec.

- A dlaczego nie przyjmiecie zapłaty końmi, ropą naftową albo jakąś przestarzałą, bezużyteczną substancją? - spytał. - Skoro wasi nawigatorzy wymierają, a statki doskonale funkcjonują z ixańskimi kompilatorami, Gildia nie potrzebuje już melanzu. Co z tego macie?

- Istotnie, jego wartość bardzo się zmniejszyła. W minionym ćwierćwieczu, po zniszczeniu Rakis i światów Tleilaxan, liczba tych, którzy mogli sobie pozwolić na okazjonalne zażywanie przyprawy, drastycznie spadła. - Przedstawiciel KHOAM zerknął na swojego mentata, a ten skinął głową na znak zgody. - Kapitularz może mieć monopol na melanz, ale trzymając go zazdrośnie w garści i zmniejszając ilość przyprawy dostępnej dla ogółu nabywców, zlikwidował rynek na nią. Tak naprawdę potrzebuje jej już niewiele osób. Czy teraz, kiedy nauczyliśmy się żyć bez niej, ludzie będą skłonni wrócić do dawnego uzależnienia?

- Prawdopodobnie tak - odparł Gorus. - Wystarczy tylko obniżyć cenę, a klienci będą się pchali drzwiami i oknami.

- Czarownice nadal panują nad Buzzellem - zauważył mentat. - Mają inne możliwości zapłaty.

Człowiek KHOAM pogardliwie uniósł brwi. Wydał kilka bardzo ekspresyjnych dźwięków, po czym rzekł:

- Luksusowe artykuły podczas wojny? Niezbyt dobra

inwestycja.

- Dostarczanie kojotytów też nie idzie im już łatwo - zauważył Gorus - odkąd potwory morskie niszczą hodowle cholister i atakują zbieraczy.

Khrone słuchał uważnie. Jego szpiedzy przywieźli niepokojące, ale zarazem intrygujące doniesienia o dziwnych wydarzeniach na Buzzellu i o możliwym tajnym projekcie nawigatorów realizowanym na tej planecie. Maskaradnik potrzebował więcej informacji.

Przyglądał się, jak mechaniczne szczęki zamontowane na dużym żurawiu otwierają kabinę pilota gigantycznego, wycofanego z eksploatacji liniowca. Ciężkie podnośniki dryfowe jęczały, wyciągając grubościenny plazowy zbiornik nawigatora. W trakcie powolnego, niezdarnego wydobywania zbiornik zahaczył o brzeg dziury w kadłubie statku. Oderwała się płyta poszycia i poleciała w dół. Odbiła się od burty, wznecając deszcz iskier, po czym pokoziołkowała i w końcu grzmotnęła w ziemię.

Z komory nawigatora uciekały do atmosfery pomarańczowe pasma gazu przyprawowego. Jeszcze przed dziesięcioma laty za taką jego ilość można byłoby kupić pałac Imperatora. Teraz przedstawiciel KHOAM i administrator Gorus przyglądali się temu bez słowa.

- Złóżcie zbiornik przed nami - rzucił Gorus do mikrofonu przy kołnierzu. - Chcę mu się przyjrzeć.

Żuraw dźwignął grubościenną komorę z kadłuba liniowca i przeniósł ją nad platformę obserwacyjną. Podnośniki opuściły ją delikatnie na miedzianą podłogę, na której spoczęła z niepokojąco głośnym łoskotem.

Przez szczelinę w plazie nadal ulatniał się gaz.

Opary melanżu miały dziwnie mdły, metaliczny zapach, co świadczyło o tym, że nawigator wdychał je i wydychał, dopóki przyprawa zachowywała choć trochę mocy. Na polecenie mlecznookiego administratora milczący robotnicy Gildii otworzyli pokrywę zbiornika, co spowodowało, że resztką przyprawy wystrzeliła z niego z głośnym sykiem.

W miarę ulatniania się gazu ciemne obłoki w zbiorniku przerzedzały się, ukazując coraz wyraźniej leżącą na podłodze postać. Khrone oczywiście widział już nawigatorów, ale ten był zwiotczały, szary i martwy. Bulwiasta głowa, małe oczy, połączone błoną palce, miękka jak u płaza skóra upodabniały go do dużego, zniekształconego płodu. Ardrae umarł kilka dni wcześniej, pozbawiony życiodajnego melanżu. Chociaż Gildia miała teraz mnóstwo przyprawy, administrator Gorus już jakiś czas temu wstrzymał jej dostawy dla nawigatorów.

- Spójrzcie, martwy nawigator. Niewiele osób ujrzy ponownie taki widok.

- Ilu ich jeszcze zostało na statkach Gildii? - zapytał Khrone.

- Na statkach, które nadal mamy w spisie, pozostało przy życiu tylko trzynastu - odparł wymijająco Gorus. - Odliczamy czas do ich śmierci.

- Co to znaczy „na statkach, które nadal mamy w spisie”? - zainteresował się przedstawiciel KHOAM.

Gorus się zawahał.

- Jest jeszcze trochę pilotowanych przez nawigatorów

jednostek, których nie udało nam się wyposażyć w kompilatory matematyczne - przyznał. - Te statki... jak by to powiedzieć... w kilku minionych miesiącach zniknęły.

- Zniknęły? Ile było tych liniowców? Każdy z nich jest niezmiernie drogi!

- Nie znam dokładnej liczby.

- Podaj nam przybliżone dane. - Głos przedstawiciela KHOAM brzmiał twardo.

- Pięćset, może tysiąc.

- Tysiąc?!

Stojący u jego boku mentat zachował milczenie, ale widać było, że jest równie zaskoczony i zdenerwowany jak przełożony.

Usiłując pokazać, że panuje nad sytuacją, Gorus powiedział niemal lekceważącym tonem:

- Kiedy nawigatorzy przymierają głodem z braku przyprawy, wpadają w desperację. Nic dziwnego, że podejmują irracjonalne działania.

Sam Khrono był zaniepokojony, ale nie pokazywał tego po sobie. Te zniknięcia wyglądały na szeroko zakrojony spisek z udziałem frakcji nawigatorów, coś, czego się nie spodziewał.

- Domyślasz się, dokąd mogli się udać? - zapytał.

- To bez znaczenia. - Administrator Gildii udawał, że odnosi się do tego z nonszalancją. - Skończy im się przyprawa i umrą. Spójrzcie na te stocznie, na to, ile statków codziennie budujemy. Niedługo nadrobimy stratę tych przestarzałych jednostek i zbytecznych nawigatorów. Bez obaw. Po tylu latach uzależnienia od

jednej substancji Gildia podjęła dobrą decyzję biznesową.

- Dzięki waszym partnerom z Ixa - zauważył Khrone.

- Tak, dzięki Ixowi.

Po chwili ciszy w stoczni zapanował hałas. Spawacze wrócili do pracy, a ciężkie maszyny umieszczały we właściwych miejscach zakrzywione elementy statków. Szeroki na pół kilometra ciągnik przyholował dwa silniki Holtzmana. Stojący na platformie mężczyźni długo przyglądali się w milczeniu imponującym pracom. Żaden z nich nawet nie spojrzał ponownie na trupa żałosnego nawigatora w zbiorniku.

Ludzkość ma wiele głębokich wierzeń.
Najważniejszym z nich jest pojęcie domu.

- archiwa Bene Gesserit,
Analizy czynników motywujących

Kiedy następnym razem liniowiec Edryka poleciał na Buzzella, opuszczając planetę, wioził coś znacznie cenniejszego niż kojotyty.

Na zamkniętym pokładzie laboratoryjnym ukryta była paczka wyjątkowo silnej substancji uzyskanej z dziwnego narządu zabitego czerwia morskiego. Waff nazwał ją z bezgranicznym optymizmem „superprzyprawą”. Badania dowiodły, że jej moc przewyższa każdą przyprawę, jaką kiedykolwiek odnotowano. Ta niezwykła substancja diametralnie odmieni sytuację frakcji nawigatorów.

Tleilaxański mistrz zdawał sobie sprawę z wagi swojego osiągnięcia i zamierzał to wykorzystać. Bez wezwania przepchnął się między strażnikami Gildii i skierował na zarezerwowany dla nawigatora poziom, na który wstęp miały tylko zaufane osoby. Ignorując wezwania, by się zatrzymał, otwierał kolejne grube drzwi, aż stanął przed zbiornikiem o plazowych ścianach, w którym tkwił Edryk w kosztownej kąpieli gazu przyprawowego. Waffowi udało się odtworzyć przynajmniej jeden rodzaj czerwii, więc nie był już uniżonym pochlebcą. Mógł teraz stawiać żądania.

Skrócony okres życia gholi nie dawał mu wiele czasu na osiągnięcie ważnych celów, był zatem coraz bardziej

zdesperowany. Miał już za sobą szczyt formy fizycznej i jego szybko starzejące się ciało czekała rychła śmierć. Prawdopodobnie został mu mniej więcej rok.

- Teraz, kiedy moje czerwie morskie mogą wytwarzać przyprawę w formie dostępnej dla nawigatorów Gildii, chcę, żebyś zabrał mnie na Rakis - powiedział, stojąc przed zbiornikiem Edryka w wyzywającej pozie. Nie miał już nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Skrzyżował w tryumfalnym geście ramiona na wąskiej piersi.

Edryk wolno podpłynął do plazowej ściany. Widok kłębow pomarańczowego gazu był hipnotyzujący.

- Działanie nowego melanżu nie zostało udowodnione w praktyce - powiedział.

- To bez znaczenia - odparł Waff. - Został udowodniony jego skład chemiczny.

- Martwię się - dobiegł z głośników donośny głos Edryka. - Melanż w oryginalnej postaci ma złożoną strukturę, której nie wykaże żadna analiza laboratoryjna.

- Niepotrzebnie się martwisz - powiedział Waff. - Przyprawa wytwarzana przez czerwie morskie działa silniej niż jakakolwiek, którą dotąd spożywałeś. Jeśli mi nie wierzysz, sam jej spróbuj.

- Twoja pozycja nie uprawnia cię do stawiania żądań.

- Nikt inny nie osiągnąłby tego, co mnie się udało. Buzzell będzie waszym nowym źródłem melanżu. Łowcy czerwii morskich będą zbierali więcej przyprawy, niż zdołacie zużyć, i nawigatorzy nigdy już nie będą zależni od czarownic Bene Gesserit ani od czarnego rynku. Nawet jeśli siostry postanowią zbierać

melanż wytwarzany przez czerwie morskie i będą próbowały znowu zdobyć na to monopol, możecie je ignorować. Zmieniając czerwie zamiast planet, możemy sprowadzić je w dowolne miejsce. Stworzyłem wam drogę do wolności. - Waff prychnął, po czym podniósł głos: - Teraz domagam się zapłaty.

- Ocaliliśmy ci życie po obaleniu rządów Dostojnych Matron na Tleilaxie - odparł Edryk. - Czy to nie jest wystarczająca zapłata?

Ghola Tleilaxanina rozłożył ręce z pojednawczym westchnieniem.

- To, o co proszę, będzie cię niewiele kosztowało i przyniesie ci zaszczyt, Boże błogosławieństwo - powiedział.

Na zniekształconej twarzy nawigatora pojawił się wyraz niezadowolenia.

- Czego pragniesz, człowieczku? - zapytał.

- Powtarzam: Zabierz mnie na Rakis.

- To absurd - rzekł bezbarwnym tonem Edryk. - Ta planeta jest martwa.

- Na Rakis zginęło moje ostatnie wcielenie, możesz więc to uznać za pielgrzymkę - ciągnął pośpiesznie Waff, mówiąc więcej, niż zamierzał wyjawić. - Z pozostałych troci piaskowych stworzyłem w laboratorium jeszcze trochę małych czerw. Wzmocniłem je, by mogły przetrwać w najsurowszym środowisku. Mogę je reintrodukować na Rakis i sprowadzić ponownie Proroka... - Zamilkł nagle.

Po pierwszych doniesieniach, że czerwie morskie świetnie się rozwijają na Buzzellu, Waff skierował

wysiłki na kilka ostatnich troci piaskowych z pierwotnej hodowli. Ustawienie chromosomów czerwii w taki sposób, by przetrwały w dogodnym środowisku oceanicznym, było nie lada wyzwaniem, ale o wiele trudniejsze okazało się wzmocnienie tych potworów na tyle, by poradziły sobie na wypalonych pustkowiach Rakis. Jednak trudności nie zrażały Waffa. Cały czas przyświecał mu jeden cel: ponowne wprowadzenie czerwii na planetę, na której było ich miejsce.

„Boży Wyśłannik musi powrócić na Diunę” - to była jego myśl przewodnia.

Przyglądał się bacznie Edrykowi, który gładził się płetwiastymi dłońmi po brodzie, zastanawiając nad jego prośbą.

- Nasza Wyrocznia przysłała nam niedawno wezwanie, by nawigatorzy opuścili Gildię i dołączyli do niej, bo szykuje się do wielkiej bitwy - rzekł w końcu Edryk. - To musi być teraz naszym priorytetem.

- Błagam cię, zabierz mnie na Rakis. - Jakby dla przypomnienia mu o rychłej śmierci pierś Waffa przeszły nagłe ukłucie bólu, który promieniował do kręgosłupa. Musiał zmobilizować wszystkie siły, by nie pokazać męki umierania, cierpienia, które odczuwał z powodu pogłębiającej się niewydolności. Zostało mu tak mało czasu. - Czy proszę o tak wiele? Wyświadczy mi tę jedną przysługę pod koniec mojego życia.

- To jest twoim pragnieniem? U m r z e ć t a m?

- Poświęcę resztę energii na przygotowanie moich czerwii. Może jest jakiś sposób, by reintrodukować je na Rakis i odtworzyć dawny układ ekologiczny. Pomyśl

tylko: jeśli mi się uda, będziecie mieli jeszcze jedno źródło melanżu.

- Nie będziesz zadowolony z tego, co tam zastaniesz. Nawet mając aparaturę do odzyskiwania wilgoci, schronienie i sprzęt, trudniej jest tam obecnie przetrwać niż kiedykolwiek. Twoje oczekiwania są nierealistyczne. Nie pozostało tam nic, co by się nadawało do użytku.

- Rakis jest moim domem, moim duchowym kompasem - rzekł Waff, bezskutecznie starając się, by w jego głosie nie słychać było rozpacz.

Edryk przemyślał to.

- Mogę zagiąć przestrzeń i zawieźć cię na Rakis, ale nie mogę ci obiecać, że wrócę po ciebie - powiedział. - Wezwała mnie Wyrocznia.

- Pozostanę tam tak długo, jak to będzie konieczne. Bóg się o mnie zatroszczy.

Waff pospieszenie wrócił na pokład badawczy. Zamierzając pozostać na pustynnej planecie przez resztę życia, zamówił wszystkie zapasy i sprzęt, których mógłby potrzebować przez lata. Pozwoli mu to na całkowitą samowystarczalność na tej ponurej, pozbawionej życia planecie. Złożywszy zamówienie, spojrzał na zbiorniki, w których wiły się jego nowe, okryte pancerzem czerwie, nie mogąc się doczekać, kiedy zostaną wypuszczone.

Rakis... Diuna... była jego przeznaczeniem. Czuł w głębi serca, że wzywa go tam Bóg i że jeśli przyjdzie mu zginąć na tym świecie... niechaj tak się stanie. Ogarnęła go ciepła, kojąca fala zadowolenia. Wiedział,

jakie jest jego miejsce we wszechświecie.

*

W oknach widokowych prywatnych pomieszczeń Waffa na liniowcu ukazała się poczerniała kula o lekko miedzianym odcieniu. Tleilaxanin był tak zajęty zbieraniem swoich rzeczy, że nawet nie poczuł uruchomienia silników Holtzmana i zagięcia przestrzeni.

Edryk zaskoczył go, oferując dodatkowe zapasy i mały zespół wiernych gildyjskich asystentów do pomocy przy rozbijaniu obozu i prowadzeniu eksperymentów. Być może chciał, by jego ludzie przekonali się naocznie, czy Tleilaxaninowi znowu powiodło się z czerwiami. Waff nie miał nic przeciwko temu, jeśli tylko nie będą wchodzili mu w drogę. Nie przedstawiając się milczącym członkom swojego nowego zespołu, Tleilaxanin pokierował przeniesieniem opancerzonych czerw z odizolowanego od reszty statku laboratorium, samoczynnie ustawiających się schronień i sprzętu, wszystkiego, czego będzie potrzebował, by przetrwać na zwęglonym świecie.

Lichtugę pilotował jeden z milczących, gładkolicich pomocników. Zanim dotarli na powierzchnię Diuny, liniowiec opuścił orbitę. Edryk chciał jak najszybciej ruszyć w drogę, odpowiadając na wezwanie Wyroczni. Wiózł ładunek superprzyprawy, nadzieję i dobrą wieść dla wszystkich nawigatorów.

Natomiast Waff nie widział niczego poza spalonym, martwym krajobrazem legendarnego świata.

Bakterie są niczym mikroskopijne maszyny, znane z wpływu, jaki wywierają na większe układy biologiczne. Ludzie zachowują się podobnie, działając jak organizmy szerzące chorobę w układach planetarnych, a zatem powinno się ich badać w taki sam sposób.

- Erazm, notatniki laboratoryjne

Kiedy zjadliwa zaraza dotarła na Kapitułarz, pierwsze przypadki zachorowań pojawiły się wśród robotników. Siedmiu mężczyzn dopadła tak szybko, że na twarzach umierających malowało się więcej zdziwienia niż bólu.

Choroba rozprzestrzeniała się również w Wielkiej Sali, w której młodsze siostry spożywały posiłki. Wirus działał tak podstępnie, że najbardziej zaraźliwe stadium zaczynało się na dzień przed wystąpieniem pierwszych objawów, wskutek czego epidemia zatopiła szpony w najpodatniejszych, zanim nowe zgromadzenie żeńskie uświadomiło sobie zagrożenie.

W ciągu trzech pierwszych dni zmarły setki osób, pod koniec tygodnia nie żyło już ponad tysiąc, a po dziesięciu dniach przestano w ogóle liczyć ofiary. Pracownicy pomocniczy, nauczyciele, goście, kupcy z innych światów, kucharze i pomoce kuchenne, a nawet niedoszłe Matki Wielebne padali niczym kłosa pszenicy pod kosą Ponurego Żniwiarza.

Murbella wezwała starsze doradczynie do natychmiastowego opracowania planu walki z zarazą, ale z doniesień o epidemiach na innych nękanych przez

nią planetach wiedziały one, że środki prewencyjne i kwarantanna na nic się zdadzą. Zamknięto drzwi sali konferencyjnej, ponieważ nie można było pozwolić, by młodsze siostry i akolity poznały omawianą w niej strategię.

- Naszym głównym celem jest zapewnienie zgromadzeniu przetrwania, nawet jeśli reszta mieszkańców Kapitularza umrze - oznajmiła Murbella, chociaż robiło jej się niedobrze na myśl o tych wszystkich nieprzygotowanych akolitych, zespołach zbieraczy przyprawy w strefie pustynnej, architektach i robotnikach budowlanych, kontrolerach pogody, ogrodnikach, sprzątaczkach, bankowcach, pracownikach archiwów, pilotach, technikach i sanitariuszach. O tych wszystkich, którzy tworzyli podstawy Kapitularza.

- Matki Wielebne mają kontrolę nad swoimi procesami komórkowymi, potrzebną do zwalczania tej choroby na jej polu bitwy - powiedziała Laera. Starła się, by brzmiało to obiektywnie, ale łamał jej się głos. - Możemy wykorzystać mechanizmy obronne naszych organizmów do odparcia zarazy.

- Innymi słowy, każdy, kto nie przeszedł agonii przyprawowej, umrze - skomentowała to Kiria. - Jak Dostojne Matrony. Dlatego przede wszystkim, by się nauczyć, jak możemy się bronić przed epidemią, ścigałyśmy Bene Gesserit.

- Możemy użyć krwi Bene Gesserit, które przeżyły zarazę, do stworzenia szczepionki przeciw niej? - zapytała Murbella.

Laera potrząsnęła głową.

- Matki Wielebne wypierają szerzące zarazę wirusy z jednej komórki po drugiej - odparła. - Nie ma żadnych przeciwciał, którymi mogłybyśmy się podzielić z innymi.

- To nie jest nawet tak proste, jak przedstawia to Laera - zachrypiała Accadia. - Matka Wielebna może odpowiednio ukierunkować swoje biologiczne mechanizmy obronne tylko wtedy, gdy ma dość energii, by to zrobić, i gdy ma czas i możliwość skupić się na sobie. A ta zaraza zmusza nas do poświęcania energii opiekowaniu się najbardziej nieszczęśliwymi jej ofiarami.

- Jeśli popełnicie ten błąd, umrzecie jak nasza namiastka Szieny na Jhibraith - powiedziała Kiria z lekką drwiną. - My, Matki Wielebne, będziemy musiały zająć się sobą i nikim innym. Pozostali i tak nie mają szans. Musimy się z tym pogodzić.

Murbella czuła już początki wyczerpania, ale niepokój nie dawał jej spocząć. Chodziła nerwowo w tę i z powrotem po zamkniętej sali narad. Musiała pomyśleć. Co można było zrobić, by poradzić sobie z takim mikroskopijnym, śmiertelnym wrogiem?

„Przetrwają tylko Matki Wielebne...” - kołatało się jej po głowie.

- Znajdźcie wszystkie akolitki, które są prawie gotowe do przejścia agonii - poleciała stanowczo doradczyniom. - Czy mamy dość Wody Życia?

- Dla nich wszystkich?! - krzyknęła Laera.

- Dla każdej z nich. Dla każdej siostry, która ma

choćby najmniejszą szansę na jej przetrwanie. Podajcie tę truciznę wszystkim i miejmy nadzieję, że zdołają ją rozłożyć i przeżyć. Tylko wtedy będziemy zdolne pokonać zarazę.

- Wiele umrze podczas tej próby - ostrzegła Laera.

- Albo wszystkie zabije zaraza. Nawet jeśli większość kandydatek ulegnie agonii, będzie to postęp.

- Murbelli nie drgnął nawet jeden mięsień twarzy. Wiele lat wcześniej w ten sposób umarła jej córka Rinya.

Uśmiechając się lekko zwiędłymi wargami, Accadia skinęła głową.

- Bene Gesserit powinna raczej umrzeć podczas agonii przyprawowej niż na chorobę szerzoną przez wroga. To gest oporu, nie poddania się.

- Dopilnujcie, żeby to zrobiono.

*

W domach śmierci Murbella puszczała mimo uszu jęki chorych i konających. Lekarki kapituły miały narkotyki i silne leki znieczulające, a akolitki Bene Gesserit nauczone były blokować ból. Mimo to nieszczęście, jakim była zaraza, mogło przełamać najmocniejsze warunkowanie.

Matka Dowodząca nie mogła znieść widoku sióstr niezdolnych do zapanowania nad swoim cierpieniem. Było jej wstyd, nie z powodu ich słabości, lecz dlatego, że nie potrafiła temu zapobiec.

Podeszła do rzędów prowizorycznych łóżek, na których leżały młode akolitki. Większość była przerażona, część zdeterminowana. W pokoju unosiła się woń zjełczałego cynamonu - nie przyjemna, lecz

ostra. Murbella przyglądała się, zmarszczywszy brwi, jak dwie Matki Wielebne wynoszą z kamiennymi twarzami nosze z owiniętym w prześcieradło ciałem młodej kobiety.

- Jeszcze jedna nie przetrzymała agonii?

Matki Wielebne skinęły głowami.

- Dzisiaj sześćdziesiąt jeden - powiedziała jedna z nich. - Umierają równie szybko jak z powodu zarazy.

- A ilu się udało?

- Czterdziestu trzem.

- Zatem czterdzieści trzy będą żyły, by walczyć z wrogiem.

Murbella chodziła jak kwoka wzdłuż rzędów łóżek, przyglądając się dotkniętym zarazą siostram. Niektóre, zyskawszy nową świadomość swego ciała, spokojnie spały, inne zwijały się w głębokiej śpiączce i nie było pewne, czy kiedykolwiek z niej wyjdą.

Na końcu jednego z rzędów leżała kilkunastoletnia dziewczyna o przerażonych oczach. Uniosła się na drżących rękach na posłaniu. Napotkała wzrok Murbelli i mimo stanu, w jakim się znajdowała, jej oczy rozbłysły.

- Matko Dowodząca - powiedziała ochryple.

Murbella podeszła do niej.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Baleth.

- Czekasz na przejście agonii?

- Czekam na śmierć, Matko Dowodząca. Sprowadzono mnie tutaj, bym napiła się Wody Życia, ale nim zdążono mi ją podać, pojawiły się objawy

choroby. Nie dożyję końca dnia. - Te słowa i sposób, w jaki je wypowiadała, świadczyły, że jest bardzo dzielna.

- A zatem nie podadzą ci Wody Życia? - zapytała Murbella. - Nawet nie spróbujesz przejść agonii?

Baleth pochyliła brodę.

- Mówią, że nie przetrzymam tego.

- A ty im wierzysz? Nie jesteś wystarczająco silna, by spróbować?

- Jestem na tyle silna, by spróbować, Matko Dowodząca.

- Wobec tego wolę zobaczyć, jak umierasz podczas próby, zamiast się poddać.

Kiedy patrzyła na Baleth, przypomniała sobie z bólem Rinyę... pełną zapału i wiary w siebie, zupełnie jak Duncan. Ale jej córka nie okazała się w końcu gotowa i zmarła na stole.

„Powinnam była ją powstrzymać - pomyślała. - Tymczasem popchnęłam ją do tego, żeby się sprawdzić. Powinnam była jeszcze poczekać”.

A jej najmłodsza córka, Gianne... co się z nią działo? Matka Dowodząca trzymała się z dala od jej codziennych zajęć, pozwalając, by wychowywało ją zgromadzenie. Jednak w obecnych, kryzysowych czasach postanowiła, że poprosi kogoś, może Laerę, by ją odnalazła.

Wydawało się, że Baleth odzyskała nadzieję. Patrzyła żarliwie na Matkę Dowodzącą. Murbella poleciła lekarkom Akademii Suka, by natychmiast się nią zajęły.

- Ta ma mniej czasu niż pozostałe - powiedziała.

Po sceptycznych minach lekarek widziała, że uważają

to za marnowanie cennej Wody Życia, ale zdania nie zmieniała. Baleth przyjęła lepką miksturę, spojrzała po raz ostatni na Matkę Dowodzącą i połknęła toksyczny płyn. Położyła się, zamknęła oczy i rozpoczęła walkę...

Nie trwało to długo. Baleth zmarła podczas odważnej próby, ale Murbella nie miała z tego powodu poczucia winy. Nowe zgromadzenie żeńskie nie może nigdy przestać walczyć.

*

Chociaż melanż był rzadki i cenny, jeszcze rzadszym artykułem była Woda Życia.

Czwartego dnia po przystąpieniu do realizacji rozpaczliwego planu Murbelli stało się oczywiste, że zasoby kapituły nie wystarczą dla wszystkich. Siostry zażywały tę truciznę jedna po drugiej i wiele zmarło, próbując rozłożyć w swoich komórkach zabójczą toksynę, usiłując zmienić swój organizm.

Matka Dowodząca poleciła doradczyniom, by zbadały, ile dokładnie trucizny niezbędne jest do spowodowania agonii przyprawowej. Niektóre Matki Wielebne sugerowały, by rozcieńczyć tę substancję, ale gdyby podawano jej za mało, by miała zabójcze działanie, a zatem była skuteczna, cały eksperyment zakończyłby się fiaskiem. Umarły kolejne dziesiątki sióstr, ponad sześćdziesiąt procent tych, które zażyły truciznę. Kiria zaproponowała trudne, ale logiczne rozwiązanie.

- Oceniajcie każdą kandydatkę i wydzielajcie Wodę Życia tylko tym, które mają największe szanse - powiedziała. - Nie możemy głupio ryzykować. Każda

dawka podana kobiecie, która nie przejdzie próby, jest zmarnowana. Musimy wybierać.

Murbella nie zgodziła się z nią.

- Żadna nie będzie miała szansy, jeśli nie podda się agonii przyprawowej. Cały sens tej operacji polega właśnie na tym, by Wodę Życia podać wszystkim. Najlepsze przeżyją.

Stały w sali jednego z domów chorych, w które naprędce przekształcano wszystkie budynki na tyle duże, że można tam było pomieścić rzędy łóżek. Przeszły obok nich wyczerpane Matki Wielebne, niosąc cztery ciała. Skończyły się prześcieradła, więc zwłoki były odkryte. Twarze akolitek zastygły w grymasie niewyobrażalnego bólu.

Ignorując zmarłe, Murbella ukłękła przy łóżku jednej z młodych kobiet, które przetrwały. Musiała patrzeć na ofiary z zupełnie innego punktu widzenia. Jeśli wszystkie miały zginąć, liczenie tych, które już oddały ducha, było bezowocnym działaniem. W tym świetle jedyną istotną liczbą był rejestr tych, które wyzdrowiały. Lista zwycięstw.

- Jeśli nie mamy dość Wody Życia, użyjcie innych trucizn. - Murbella podniosła się ze znużeniem, nie zwracając uwagi na zapachy i dźwięki. - Bene Gesserit zdecydowały wprawdzie, że najskuteczniej wywołuje agonię Woda Życia, ale dawno temu używały innych zabójczych związków chemicznych, dowolnych substancji, które doprowadzały organizm do stanu krytycznego. - Przyglądała się uczennicom, młodym dziewczynom, które miały nadzieję, że pewnego dnia

zostaną Matkami Wielebnymi. Teraz każda z nich miała jedną, i tylko jedną, szansę. - Zatrujecie je w taki czy inny sposób. Zatrujecie wszystkie. Jeśli przeżyją, będzie to oznaczało, że tutaj jest ich miejsce.

Podbiegła do niej kurierka, jedna z młodszych sióstr, które ostatnio przeszły przemianę.

- Matko Dowodząca! - krzyknęła. - Jesteś natychmiast potrzebna w archiwach.

Murbella odwróciła się do niej.

- Czy Accadia coś znalazła? - zapytała.

- Nie, Matko Dowodząca. Ona... sama musisz zobaczyć. - Przełknęła ślinę. - I p o s p i e s z s i ę.

Wiekowa Bene Gesserit nie miała siły opuścić swojego gabinetu. Siedziała otoczona czytnikami szpul szigastrunowych i stosami pokrytych gęsto danymi arkuszy ryduliańskiego papieru krystalicznego. Odchyliła się na oparcie dużego fotela i ciężko oddychała, ledwie mogąc się poruszyć. Otworzyła załzawione oczy.

- A więc przyszedł... w porę - powiedziała z trudem.

Murbella patrzyła z przerażeniem na archiwariuszkę. Zaraza dopadła również Accadię.

- Przecież jesteś Matką Wielebną! - wykrzyknęła. - Możesz to zwalczyć.

- Jestem stara i zmęczona. Zużyłam resztki energii na skompilowanie naszych zapisków i prognoz, na sporządzenie mapy rozprzestrzeniania się tej choroby. Może uda nam się zapobiec jej na innych światach.

- Wątpię. Wróg rozprowadza wirusy we wszystkich miejscach, które uważa za strategiczne.

Murbella już wcześniej zdecydowała, by kilka Matek Wielebnych połączyło się z Accadią. Jej bagaż wspomnień i rozległa wiedza nie mogły zaginąć.

Accadia starała się usiąść prosto.

- Matko Dowodząca, nie koncentruj się aż tak bardzo na tej epidemii, byś przeoczyła jej konsekwencje. - Zaczęła kaszleć. Na jej skórze pojawiły się wybroczyny, oznaki zaawansowanego stadium choroby. - Ta zaraza jest tylko pierwszym działaniem, atakiem próbnym. Na wielu planetach wystarczy to, ale wróg musiał już poznać nasze zgromadzenie na tyle, by mieć pewność, że przynajmniej w pewnym stopniu umiemy zwalczyć zarazę. Kiedy nas osłabi, zaatakuje, używając innej broni.

Murbella poczuła wewnątrz chłód.

- Jeśli myślące maszyny zniszczą nowe zgromadzenie żeńskie, reszta ludzkości nie będzie miała żadnych szans oprzeć się wrogowi - powiedziała. - Jesteśmy najpoważniejszą przeszkodą, którą Omnius musi pokonać.

- A więc zrozumiałaś w końcu, jakie są implikacje tej zarazy? - Staruszka chwyciła dłoń Matki Dowodzącej, by się upewnić, że Murbella to pojęła. - Ta planeta była zawsze ukryta, ale teraz myślące maszyny muszą już znać położenie Kapitulacza. Mogę się założyć, że ich flota jest już w drodze tutaj.

Marzenie jednego człowieka jest koszmarem drugiego.

- powiedzenie ze starożytnego Kaitaina

Odciągnawszy ciało Stuki, nomadzi odseparowali Szienę i Tega od Stilgara i Lieta-Kynesa. Widocznie nie widzieli w chłopcach - dwunasto- i trzynastoletnim - żadnego zagrożenia, nie wiedząc, że obaj są śmiertelnie niebezpiecznymi fremeńskimi wojownikami, w których pamięci przetrwały jak żywe wspomnienia wielu wypraw przeciw Harkonnenom.

Teg od razu przejrzał ich strategię.

- Stary wódz chce najpierw wypytać młodych członków naszej ekspedycji - szepnął do Szieny.

Var i jego twardzi towarzysze zakładali, że młodzieńców da się łatwo zastraszyć, że nie zdołają się oprzeć trudnemu przesłuchaniu.

Tega i Szienę zabrano do namiotu z mocnego, choć podniszczonego przez surowe warunki klimatyczne włókna polimerowego. Cała konstrukcja była dziwnym połączeniem prymitywnego wzoru z wyrafinowaną technologią, sporządzonym z myślą o użyteczności i łatwości transportu. Strażnik zasunął połę namiotu, ale pozostał na zewnątrz.

Pozbawione okien wnętrze było puste, bez koców, poduszek i jakichkolwiek narzędzi. Teg chodził w kółko, po czym usiadł na ubitej ziemi obok Szieny. Kopiając palcami, szybko znalazł parę ostrych kamieni.

Z mentacką jasnością umysłu ocenił ich możliwości.

- Jeśli nie wrócimy albo nie prześlemy meldunku - powiedział cicho - możemy się spodziewać, że Duncan wyprawi tutaj drugi zespół. Będzie przygotowany. Zabrzmi to banalnie, ale nadejdzie odsiecz. - Wiedział, że nomadzi łatwo ulegną w obliczu bezpośredniego ataku. - Duncan jest mądry i dobrze go wyszkoliłem. Będzie wiedział, co zrobić.

Sziena patrzyła na otwór wejściowy, jakby była pogrążona w transie.

- Duncan żył setki razy i pamięta wszystkie swoje wcielenia, Miles - rzekła. - Wątpię, byś mógł go nauczyć czegoś nowego.

Teg ujął jeden z kamieni. Zdawało się, że pomaga mu to w koncentracji. Nawet siedząc w pustym namiocie, widział tysiąc sposobów ucieczki. On i Sziena mogliby bez trudu wydostać się, zabić strażnika i wywalczyć sobie drogę do lichtugi. Nie musiałby nawet korzystać ze swojej zwiększonej szybkości.

- Ci ludzie nie mogą się równać ze mną ani z tobą - stwierdził. - Ale nie zostawię Stilgara i Lieta.

- Aaach, lojalny baszar - skomentowała Sziena z lekką ironią.

- Ciebie też bym nie zostawił. Obawiam się jednak, że tubylcy uszkodzili statek, co z pewnością pokrzyżowałoby nam plany ucieczki. Słyszałem, jak go plądrują.

Sziena nadal wpatrywała się w ciemną ścianę namiotu.

- Wiesz, Miles, zastanawiam się nie tyle nad możliwością ucieczki, ile nad tym, dlaczego zostawili

nas przy życiu. Zwłaszcza mnie, jeśli prawdą jest to, co mówili o zgromadzeniu. Mają powód, by mnie nienawidzić.

Teg starał się wyobrazić sobie nieopisany exodus i reorganizację ludności planety. Przez lata wszyscy mieszkańcy wiosek i miast widzieli piaski niszczące ich pola uprawne, zabijające sady, podpełzające coraz bliżej osiedli. Odsuwali się od strefy pustynnej jak ludzie cofający się przed wolno rozprzestrzeniającym się pożarem.

Jednak nomadzi Vara... czyżby byli zbieraczami i nieudacznikami? Wyrzutkami dużych społeczności? Dlaczego uparcie trzymali się skraju napierającej pustyni, na którym stale musieli likwidować swoje osiedla i cofać się przed jej naporem? W jakim celu to robili?

Znali się na technologii wytwarzania różnego sprzętu i było oczywiste, że Qelso musiała zostać zasiedlona na długo przed Rozproszeniem. Mieli pojazdy naziemne i niskoloty, szybkie statki do przemieszczania się nad wydmami. Jeśli nie byli wygnańcami, być może uzupełniali zapasy w miastach na dalekiej północy.

Kilka godzin Teg i Sziena prawie nie rozmawiali ze sobą, przysłuchując się dochodzącym z zewnątrz stłumionym odgłosom suchego wiatru szarpiącego połami namiotu i szorowaniu niesionego przezeń piasku. Wszystko najwyraźniej składało się z ruchu i wysyłanych gdzieś zespołów, maszerujących tam i z powrotem ludzi, uruchamianych maszyn.

Wsluchując się w te dźwięki, Teg katalogował je w

głowie i tworzył sobie obraz działań. Słyszał łomot świdra drążącego studnię, a potem pracę pompy wlewającej wodę do małych zbiorników. Za każdym razem tryskała wartkim strumieniem, który wkrótce zmieniał się w wąską strużkę, a i ta szybko się kończyła. Znał te problemy powodowane przez trocie piaskowe, które były zmorą ekip drążących studnie na Arrakis. Woda utrzymywała się w głębokich warstwach skorupy planety, ale była odcięta przez żarłocznych małych stworzycieli. Trocie piaskowe szybko tamowały wyciek, niczym płytki krwi krwawienie z rany. Słuchając pełnych rezygnacji narzekań tubylców, Teg zorientował się, że znają przyczynę swoich kłopotów.

Kiedy zapadła noc, przez połę uchyloną przez strażnika wszedł do namiotu zakurzony młody mężczyzna. Przyniósł im skromny posiłek, składający się z twardego chleba i suszonych owoców oraz białego mięsa, które miało smak dziczyzny. Dwójka więźniów dostała też starannie odmierzone racje wody.

Sziena spojrzała na zamknięty kubek.

- Uczą się podstaw skrajnego oszczędzania - powiedziała. - Zaczynają rozumieć, czym stanie się ich świat.

Wyraźnie gardząc jej charakterystycznym dla Bene Gesserit strojem, młodzieniec popatrzył na nią spode łba i wyszedł bez słowa.

Przez całą noc Teg nie zmrużył oka. Słuchał i usiłował obmyślić jakiś plan. Przymusowa bezczynność doprowadzała ich do szału, ale baszar doradzał cierpliwość zamiast pochopnego działania. Nie mieli

żadnych wieści od Lieta i Stilgara, obawiał się więc, że mogą być już martwi, jak Stuka. Czy zostali zabici podczas przeszuchania?

Sziena siedziała obok niego w stanie podwyższonej czujności. Jej oczy błyszczały nawet w panującym w namiocie mroku. Na ile był się w stanie zorientować, strażnik ani na chwilę nie opuścił posterunku, nawet się nie ruszył. Mimo iż była noc, nomadzi nadal wysyłali dokądś zespoły ludzi i niskoloty, jakby obóz szykował się do wojny.

O świcie przyszedł stary Var, zamienił kilka słów ze strażnikiem i odsunął połę namiotu. Sziena uniosła się do półprzysiadu, gotowa do skoku. Teg napiął mięśnie, również przygotowany do walki.

Przywódca nomadów spojrzał gniewnie na Szienę.

- Ani tobie, ani twoim czarownicom nie wybaczymy tego, co zrobiłyście z Qelso - powiedział. - Nigdy. Ale Liet-Kynes i Stilgar przekonali nas, by zachować was przy życiu, przynajmniej do czasu, aż się czegoś od was dowiemy.

Ogorzały wódz wyprowadził ich na światło dzienne. Wiatr dmuchnął im w oczy kłującym piaskiem. Drzewa wokół osiedla były już obumarłe. W nocy wydmy posunęły się o parę stóp, poza wysokie występy skalne. Mimo względnego chłodu poranka każdy oddech wysuszał gardło.

- Skazaliście inne Bene Gesserit na śmierć - powiedziała Sziena - i zabiliście naszą towarzyszkę Stukę. Ja będę następna?

- Nie. Ponieważ, jak powiedziałem, zachowam was

przy życiu.

Ogorzały mężczyzna prowadził ich przez osadę. Robotnicy zwijali już duże namioty magazynowe, by przenieść je dalej od granicy piasku. Obok nich przetoczył się ciężki pojazd naziemny wyładowany skrzyniami. W górze zatoczył koło i wyładował na gładkim piasku pękaty niskolot. Czyżby jakiś tankowiec?

Var powiódł ich do dużego budynku centralnego, wykonanego z segmentowych metalowych ścian i pokrytego stożkowatym dachem. Wewnątrz stał długi stół zarzucony mapami. Do ścian przyklejone były raporty, całą powierzchnię jednej z nich zajmowała mapa z polimerowego papieru, topograficzny rzut o wysokiej rozdzielczości przedstawiający cały kontynent. Znak za znakiem pokazywały stale rozrastanie się strefy pustynnej.

Wokół stołu siedzieli mężczyźni, dzieląc się meldunkami i podnosząc głos, by było ich słychać w zgiełku rozmów. Stilgar i Liet-Kynes, obaj w zakurzonych kombinezonach z Itaki, pomachali rękami, witając pozostałą dwójkę pojmanych. Młodzieńcy wydawali się zadowoleni i zrelaksowani.

Kiedy Teg się rozejrzał, stało się dla niego oczywiste, że Stilgar i Liet cały poprzedni dzień spędzili w namiocie dowodzenia. Stary wódz usadowił się pomiędzy nimi, nie proponując Tegowi i Szienie, by usiedli.

Var uderzył w stół, przerywając kakofonię. Wszyscy umilkli i z niecierpliwością, jak się wydawało, patrzyli

na niego.

- Wysłuchaliśmy naszych nowych przyjaciół, którzy opisali, jaki na pewno stanie się nasz świat - zaczął. - Wszyscy słyszeliśmy legendy o dawno utraconej Diunie, gdzie woda była cenniejsza niż krew. - Jego twarz wyglądała na ściągniętą. - Jeśli przegramy i zwyciężą czerwie, nasza planeta stanie się cenna tylko według kryteriów obcoświatowców.

Jeden z obecnych warknął na Szienę:

- Przeklęte Bene Gesserit!

Pozostali również patrzyli na nią spode łba, a ona nie odwracała wzroku, ale nie skomentowała tego.

Liet i Stilgar, zdawało się, byli w swoim żywiole. Teg przypomniał sobie długie dyskusje Bene Gesserit o pierwotnym projekcie hodowli gholi, o tym, że dawno zapomniane zdolności tych historycznych postaci mogą znowu okazać się ważne. Tutaj miał tego doskonały przykład. Ta dwójka znaczących figur z odległej przeszłości Arrakis na pewno wiedziała, jak radzić sobie z kryzysem, który zaglądał teraz w oczy mieszkańcom Qelso.

Siwowłosy wódz uniósł ręce, a jego głos był suchy jak powietrze wokół namiotu.

- Dawno temu, po śmierci Tyrana, mój lud udał się na Rozproszenie. Kiedy dotarł do Qelso, wszyscy myśleli, że znaleźli Eden. I przez półtora tysiąca lat ta planeta rzeczywiście była dla nas rajem.

Zebrani spojrzeli gniewnie na Szienę. Var opisywał, jak uchodźcy stworzyli świetnie prosperujące społeczeństwo, jak budowali miasta, uprawiali pola,

wydobywali metale i minerały. Nie mieli zamiaru zasiedlać innych planet ani szukać utraconych braci, którzy uciekli w Czasach Głodu.

- Kilkadziesiąt lat temu wszystko się zmieniło - ciągnął. - Przybyły Bene Gesserit. Powitaliśmy je serdecznie, ciesząc się, że przywożą wieści o tym, co się dzieje na zewnątrz. Daliśmy im nowy dom. Stały się naszymi gośćmi. Ale te niewdzięcznice zadały gwałt naszej planecie i teraz ta umiera.

Inny mężczyzna zacisnął pięści i podjął opowieść.

- Trocie piaskowe mnożyły się w niekontrolowany sposób. W ciągu niewielu lat - zaledwie paru lat! - obumarły ogromne lasy i bezkresne równiny. Na pustkowiach zaczęły wybuchać wielkie pożary i zmienił się klimat, przekształcając znaczną część naszego świata w pustynię.

- Jeśli Liet i Stilgar opowiedzieli wam o naszym statku i misji - przemówił Teg głosem dowódcy - to wiecie, że nie wieziemy troci piaskowych i nie zamierzamy wyrządzić krzywdy waszemu światu. Zatrzymaliśmy się tutaj tylko po to, by uzupełnić zapasy.

- Prawdę mówiąc, uciekliśmy z głównej siedziby Bene Gesserit, gdyż nie zgadzaliśmy się z ich polityką i przywództwem - dodała Sziena.

- Macie w ładowni siedem dużych czerwii pustyni - rzekł oskarżycielskim tonem Var.

- Tak, ale nie wypuścimy ich tutaj.

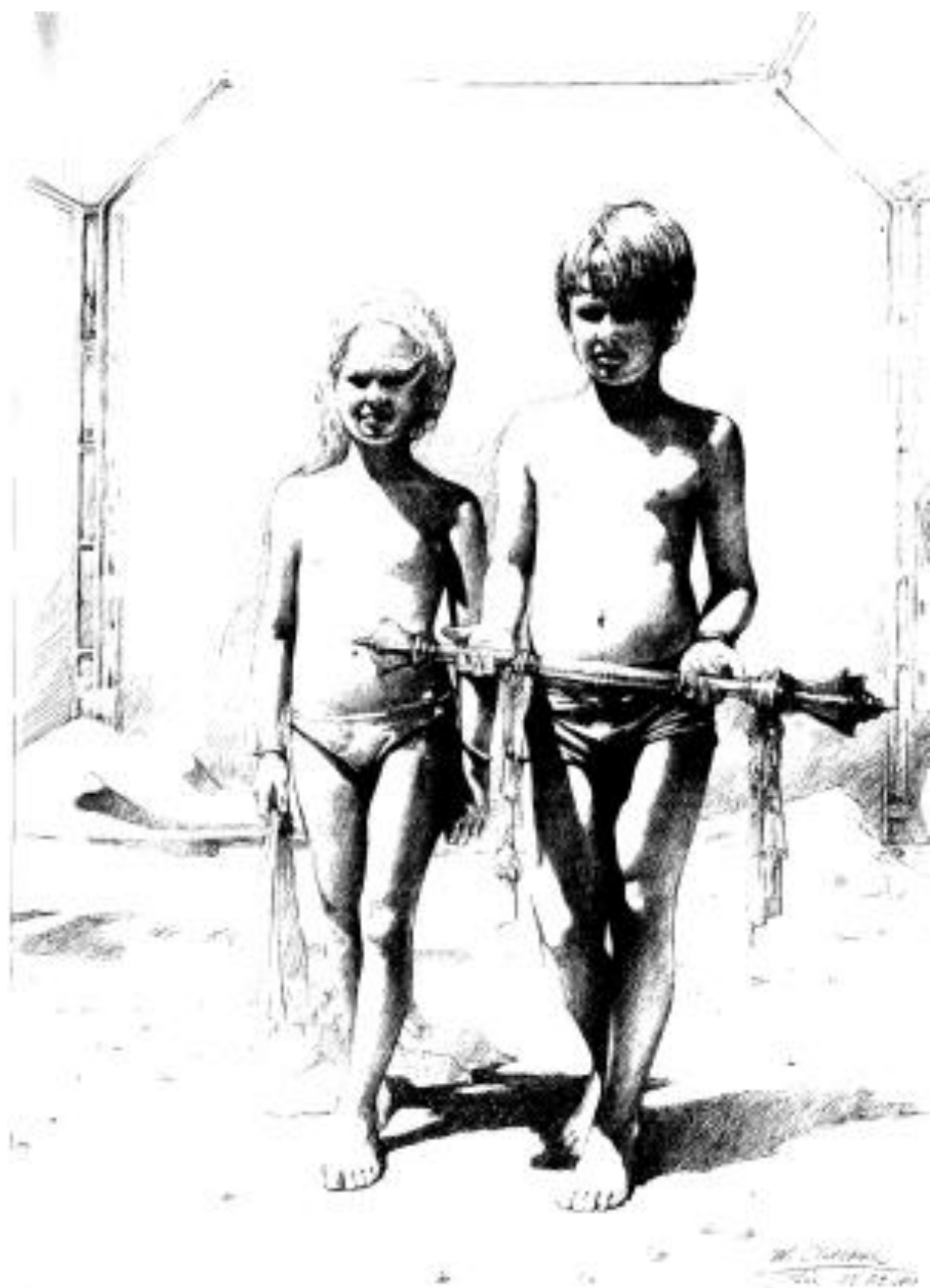
- Jak już wam powiedzieliśmy, proces pustynnienia, skoro się już zaczął, jest reakcją łańcuchową. - Liet-

Kynes mówił wolno, jakby pouczał dzieci. - Trocie piaskowe nie mają naturalnych wrogów, a otorbianie przez nie wody postępuje tak raptownie, że żadne stworzenia nie są w stanie przystosować się na tyle szybko, by z nimi walczyć.

- Niemniej jednak my będziemy walczyć - rzekł Var.
- Widzicie, jak proste życie prowadzimy w tym obozie. Wyrzekliśmy się wszystkiego, by tu pozostać.

- Ale dlaczego? - zapytała Sziena. - Podczas rozprzestrzeniania się pustyni macie wiele lat, by się przygotować.

- Przygotować? Chodzi ci o to, byśmy się poddali? Możesz nazwać to beznadziejną walką, ale nadal jest to w a l k a. Jeśli nie uda nam się powstrzymać pustyni, to przynajmniej spowolnimy jej posuwanie się. Będziemy walczyć z czerwiami i z piaskiem. - Mężczyźni siedzący wokół stołu mruknęli na znak zgody. - Bez względu na to, co mówisz, będziemy się starali opóźnić rozprzestrzenianie się pustyni. Zabijamy trocie piaskowe, polujemy na nowe czerwie. - Var podniósł się, a pozostali poszli za jego przykładem. - Jesteśmy komandosami, którzy przysięgli opóźnić śmierć naszego świata.



Pustynia nadal mnie wzywa. Jej śpiew
rozbrzmiewa we mnie jak pieśń miłosna.

- Liet-Kynes, *Planetologia. Nowe traktaty*

Wczesnym rankiem następnego dnia Var
poprowadził grupę pokrytych kurzem,
zdeteminowanych wojowników na płytę lądowiska z
wypalonych cegieł.

- Dzisiaj, moi nowi przyjaciele, pokażemy wam, jak
zabić czerwia - powiedział. - Może dwa.

- Szej-huluda - rzekł Stilgar z wielkim niepokojem. -
Fremeni czcili wielkie czerwie.

- Fremeni byli zależni od czerw i ich przyprawy -
odparł spokojnie Liet. - Ci ludzie nie są.

- Likwidacja każdego z tych demonów przedłuży
nieco życie naszej planety - powiedział Var.

Patrzył na pustynię, jakby mógł swą nienawiścią
odepchnąć piasek. Stilgar poszedł za jego spojrzeniem,
przebiegając wzrokiem pogrążone w głębokim cieniu
wydmy i starając się wyobrazić sobie ten krajobraz
pokryty bujną zielenią.

Właśnie wznosiło się słońce nad skarpą, a jego
promienie odbijały się od srebrzystego kadłuba
niskolotu stojącego na ubitym żwirze i stopionym
płomieniami cemencie. Ludzie Vara nie zwracali sobie
głowy budowaniem stałych pasów startowych czy
portów kosmicznych, które i tak zostałyby pochłonięte
przez napierające wydmy.

Pomimo protestów dwóch młodzieńców Szienę i

Tęga zmuszono do pozostania w obozie w charakterze pilnie strzeżonych zakładników. Lieta i Stilgara zabrano na polowanie ze względu na ich bezcenną wiedzę o pustyni. Dzisiaj zademonstrują swoje umiejętności.

Komandosi Vara wdrapali się do bardzo zużytego statku. Widać było, że przeszedł niezliczone burze, trudne przeloty i niepełne przeglądy. Jego kadłub był porysowany i odrapany. W środku unosił się zapach oleju i potu, a siedzenia były twarde jak kamień, jedynie z poręczami lub pasami, których mogli się trzymać pasażerowie.

Stilgar czuł się dość swobodnie wśród dwudziestu mężczyzn o ogorzałych, ponurych twarzach. Jego wyćwiczone oko dostrzegało ich nerwowe wyczekiwanie, ale byli mimo wszystko zbyt słabi, by się przystosować do warunków, którym wkrótce będą musieli stawić czoło. Mimo iż żyli w wędrownych obozach na skraju piasków, nie mieli pojęcia o prawdziwej srogości pustyni, którą niebawem poznają wskutek szybkiej zmiany klimatu. Będą musieli się szybko nauczyć radzić z narastającymi trudami. On i jego przyjaciel mogliby ich do tego przygotować - jeśli będą ich słuchali.

Liet zajął miejsce obok Stilgara i z autentycznym entuzjazmem przemówił do ludzi Vara:

- Teraz powietrze na Qelso wciąż zawiera tyle wilgoci, że naprawdę drastyczne środki nie są jeszcze potrzebne. Jednak wkrótce będziecie musieli dbać o to, by nie zmarnować nawet kropli wody.

- Już stosujemy się do niezwykle surowych zasad jej

oszczędzania - powiedział jeden z mężczyzn takim tonem, jakby Liet go obraził.

- Czyżby? Nie uzdatniacie potu ani moczu - odparł Liet. - Nadal sprowadzacie wodę z miejsc leżących na wyższej szerokości geograficznej, gdzie jest jej pod dostatkiem. W wielu rejonach Qelso nadal uprawia się pola, a ludzie prowadzą prawie normalne życie.

- Będzie gorzej - zgodził się z nim Stilgar. - Wasi ludzie muszą się jeszcze bardzo zahartować, nim na planecie wytworzy się nowa równowaga. Dzisiaj jest pierwszy dzień waszych nowych ćwiczeń terenowych.

Mężczyźni zaczęli niepewnie mruczeć, usłyszawszy takie słowa z ust dwóch chłopców, ale Liet rzekł bardziej optymistycznym tonem:

- Nie jest tak źle. Możemy nauczyć was robić filtraki, oszczędzać każdy oddech, każdą kroplę potu. Wasz instynkt walki jest godny podziwu, ale na nic się zda przeciw czerwiom. Musicie się nauczyć, jak przetrwać między olbrzymami, które w końcu przejmą władzę nad waszym światem. To konieczna zmiana postawy.

- Fremeni robili to długi czas. - Stilgar usadowił się obok przyjaciela. - Był to szanowany sposób życia.

Wojownicy ujęli pasy i rozstawili nogi, przygotowując się do startu.

- To nas czeka? Picie uzdatnionych szczyń i potu? Mieszkanie w szczelnych komorach? - posypały się pytania.

- Tylko jeśli nam się nie uda - odparł stary Var. - Wolę wierzyć, że wciąż mamy szansę, nawet jeśli brzmi to naiwnie. - Zamknął drzwi niskolotu, siadł na

skrzypiącym fotelu pilota i zapiał pas. - A więc jeśli nie jest to dla was przyjemna perspektywa, lepiej powstrzymajmy rozprzestrzenianie się pustyni.

Niskolot wzniósł się nad suchy obóz i skierował ku widmowym lasom i wzgórkom świeżych wydm, które pochłaniały pozostałości terenów trawiastych. Silnik sporadycznie charczał, kiedy lecieli na południowy wschód, do regionu, w którym widziano czerwie. Statek z przeciążonymi zbiornikami zachowywał się jak ospały trzmiel.

- Powstrzymamy napierające piaski - rzekł jeden z młodych komandosów.

- Równie dobrze możecie próbować powstrzymać wiatr. - Stilgar chwycił się dyndającego paska, kiedy gorący prąd wstępujący rzucił niskolotem. - Za parę lat z waszej planety zostanie tylko piasek i skały. Spodziewacie się, że pustynia jakimś cudem się cofnie?

- Sami sprawimy ten cud - odparł Var, a jego zespół zamruczał na znak zgody.

Lecieli przez pustkowia, na którym nie było niczego oprócz wydm, i przekroczyli wkrótce punkt, za którym widać było już tylko rozciągającą się po horyzont brązową, pofałdowaną płaszczyznę. Stilgar stuknął palcem w porysowaną plazową szybę i wrzasnął, przekrzykując hałas silnika:

- Spójrzcie na pustynię taką, jaka jest: nie jak na miejsce, którego trzeba się bać i którym się pogardza, lecz na motor zmian, dzięki którym można stworzyć imperium.

- Małe czerwie w pasie pustynnym wyprodukowały

już bezcenną ilość melanżu, który tylko czeka na zebranie - dodał Liet. - Jak udało wam się tak długo przetrwać bez przyprawy?

- Nie potrzebowaliśmy jej przez półtora tysiąca lat, odkąd przybyliśmy na Qelso - krzyknął Var z kokpitu. - Jeśli czegoś nie masz, uczysz się obywać bez tego albo giniesz.

- Gwiżdżemy na przyprawę - dodał jeden z jego ludzi. - Wolałbym drzewa, obsiane pola i stada tłustego bydła.

- Pierwsi osiedleńcy - kontynuował Var - przywieźli z daleka dużo przyprawy i trzy pokolenia borykały się z uzależnieniem, dopóki się nie skończyła. I co potem? Byliśmy zmuszeni obywać się bez niej i przetrwaliśmy. Dlaczego mielibyśmy ponownie narażać się na to potworne uzależnienie? Mój lud ma się lepiej bez przyprawy.

- Jeśli zażywa się go ostrożnie, melanż ma ważne zalety - powiedział Liet. - Poprawia zdrowie, przedłuża życie, umożliwia prekognicję. I jest cennym towarem, gdybyście kiedykolwiek ponownie nawiązali kontakty z KHOAM i resztą ludzkości. Kiedy Qelso wyschnie, możecie potrzebować dostaw z innych planet, by zaspokoić swoje podstawowe potrzeby.

„Jeśli ktokolwiek przeżyje atak wroga z zewnątrz” - pomyślał Stilgar, przypominając sobie nieustanną groźbę schwytania przez mieniącą się sieć. Ale ci ludzie o wiele bardziej obawiali się miejscowych wrogów, byli pochłonięci walką z pustynią i próbami powstrzymania tego, czego nie można było powstrzymać.

Pamiętał wielkie marzenia Pardota Kynesa, ojca Lieta. Pardot wykonał obliczenia i doszedł do wniosku, że Fremeni mogliby przekształcić Diunę w kwitnący ogród, ale dopiero po wysiłkach wielu pokoleń. Zgodnie z historycznymi relacjami Arrakis rzeczywiście pokryła się bujną roślinnością, nim na powrót odzyskały ją czerwie i przywróciły pustynię. Planeta wydawała się niezdolna do osiągnięcia równowagi.

Poobijany statek leciał nisko z buczeniem silników. Stilgar zastanawiał się, czy ten hałas przyciągnie czerwie, ale kiedy spojrzał na hipnotyzujący ocean wydm, zobaczył tylko kilka spłachetków rdzawego piasku, które wskazywały na świeże wybuchy przyprawy.

- Zrzucamy generatory sygnałów! - krzyknął Var, gdy z małych komór pod kokpitem wysypały się pulsujące pojemniki, odpowiedniki starożytnych dudników. - Powinno to przyciągnąć przynajmniej jednego z nich.

Wzbijając obłoki piasku i pyłu, dudniki wbiły się w wydmy i zaczęły wysyłać donośne sygnały. Zatoczywszy koło, by się upewnić, że urządzenia te działają poprawnie, Var wybrał jeszcze dwa miejsca w promieniu pięciu kilometrów. Stilgar nie potrafił określić, dlaczego niskolot nadal wydawał się przeciążony.

Gdy krążyli w poszukiwaniu czerwia, Stilgar opowiadał o legendarnych czasach na Diunie, kiedy to razem z Paulem Muad'Dibem poprowadził niesforą armię Fremenów do zwycięstwa nad znacznie większymi siłami wroga.

- Wykorzystaliśmy potęgę pustyni - rzekł. - Tego możecie się od nas nauczyć. Kiedy się przekonacie, że nie jesteśmy waszymi wrogami, możemy się od siebie nawzajem wiele nauczyć.

W stanowczym ręku Stilgara ludzie ci mogliby zrozumieć, jakie mają możliwości. Wraz z przebudzeniem się ludności nastąpiłoby przebudzenie planety, a nasadzenia i strefy zieleni zapewniłyby kontrolę nad pustynią. Być może powiodłoby się im, gdyby się udało znaleźć - i utrzymać - równowagę.

Stilgar pamiętał, co powiedział mu kiedyś ojciec Lieta.

„Skrajności nieodmiennie prowadzą do katastrofy. Tylko dzięki równowadze możemy w pełni korzystać z owoców natury”.

Przysunął się bliżej okna i zobaczył na piasku znajome zmarszczki, rozchodzące się fale, które burzyły gładkie wydmy i świadczyły o ruchu pod powierzchnią.

- Znak czerwia! - krzyknął.

- Przygotujcie się na pierwsze spotkanie tego dnia. - Kiedy Var odwrócił się w stronę załogi, jego pokryta siwym zarostem twarz zmarszczyła się w uśmiechu. - Wody, którą dostarczono nam w nocy, wystarczy na dwa cele, ale musimy je znaleźć.

Woda! Zatem ciężki niskolot wiozł wodę.

Mężczyźni zmienili stanowiska, przesuając się ku otworom strzelniczym i węzom zamontowanym po bokach prostego statku. Pilot przechylił maszynę i zawrócił łukiem w stronę pierwszego skupiska dudników.

Kiedy komandoszy szykowali się do uderzenia, Stilgar rozmyślał nad dziwnym obrotem, który przybrały sprawy. Pardot Kynes mówił o potrzebie zrozumienia ekologicznych konsekwencji, o tym, że ludzie powinni być gospodarzami, nigdy zaś właścicielami ziemi.

„Musimy zrobić na Arrakis coś, czego nigdy nie próbowano dokonać z całą planetą - powiedział planetolog. - Musimy wykorzystać człowieka jako konstruktywną siłę ekologiczną, wprowadzając przystosowane do panujących warunków formy życia ziemskiego - tutaj roślinę, tam zwierzę, w innym miejscu człowieka - by zmienić cykl obiegu wody i stworzyć nowy krajobraz”.

Dzisiejsza bitwa była przeciwieństwem tego. Stilgar i Liet pomogą zapobiec pochłonięciu przez pustynię całej Qelso.

Przez najbliższe okno Stilgar dostrzegł poruszający się pagórek, czerwia przyciąganego przez dudnik. Liet przysunął się do niego.

- Oceniam, że ma czterdzieści metrów - powiedział, - jest większy od czerwci Szieny w naszej ładowni.

- Te wyrosły na otwartej pustyni - stwierdził Stilgar. - Szej-hulud chce tej planety.

- Nic z tego nie będzie, jeśli zdołam temu zaradzić - rzekł Var, ale jakby na przekór jego słowom bezpośrednio pod niskolotem wynurzył się ogromny łeb i badał otoczenie, usiłując zlokalizować przeciwstawne źródła wibracji.

Z przodu i z tyłu niskolotu wysunęły się długie rury. Komandoszy chwycili dźwignie sterujące armatkami wodnymi, które można było obrócić na cel. Statek

powietrzny zszedł niżej.

- Rozpocznijcie, kiedy będziecie gotowi, ale oszczędzajcie, ile się da - rzucił Var. - Woda jest wystarczająco zabójcza.

Wojownicy wypuścili z armatek strumienie pod wysokim ciśnieniem, celując w czerwia. Tryskające na niego potoki były skuteczniejsze niż pociski.

Wzięte z zaskoczenia stworzenie wiło się, rzucając konwulsyjnie łbem w przód i w tył. Twarde segmenty pierścieni rozsunęły się, ukazując różowe ciało, a woda paliła wrażliwe miejsca jak kwas. Czerw zwinął się na mokrym piasku w oczywistej agonii.

- Zabijają Szej-huluda - powiedział wstrząśnięty Stilgar. Również Liet był oszołomiony.

- Ci ludzie mają prawo się bronić - rzekł jednak.

- Wystarczy! - krzyknął Var. - Już nie żyje albo wkrótce zdechnie.

Mały oddział niechętnie wyłączył armatki, patrząc z nienawiścią na konającego czerwia. Nie będąc w stanie zakopać się dostatecznie głęboko, by uciec przed trującą wilgocią, śmiertelnie ranne stworzenie nadal się wiło, kiedy niskolot nad nim krążył. W końcu bestia drgnęła po raz ostatni i przestała się ruszać.

Stilgar skinął głową z wciąż ponurą miną.

- Życie na pustyni ma swoje wymogi, trzeba podejmować trudne decyzje - powiedział.

Musiał zaakceptować oczywisty fakt, że na Qelso nie było miejsca dla tego czerwia. Dla żadnego czerwia. W drodze powrotnej napotkali drugiego czerwia, zwabionego wibracjami silnika niskolotu. Komandosi

opróżnili zbiorniki wody i ten zginął jeszcze szybciej.

Liet i Stilgar siedzieli razem w krępującym milczeniu, rozpamiętując, co widzieli, i myśląc o walce, do której zgodzili się przyłączyć.

- Chociaż moja córka Chani nie odzyskała jeszcze wspomnień - odezwał się w końcu Liet - cieszę się, że tego nie widziała.

Mimo iż wojownicy na pokładzie niskolotu byli w podniosłym nastroju, dwaj młodzieńcy mruczeli fremieńskie modlitwy, wspominając Arrakis. Stilgar nadal kontemplował to, co zobaczył i zrobił, kiedy Var wydał zduszony okrzyk.

Nagle zaroilo się wokół nich od obcych statków.

Widzicie tylko surowy krajobraz, zniszczenia i brzydotę. Jest tak, ponieważ nie macie wiary. Ja widzę wokół potencjalny raj, bo Rakis jest miejscem, gdzie urodził się mój ukochany Prorok.

- Waff z Tleilaxa

Kiedy mignął mu po raz pierwszy widok Rakis, ponure ruiny napełniły serce Waffa przerażeniem, ale gdy liniowiec Edryka wysadził go tam wraz z niewielkim zespołem gildyjskich asystentów, poczuł radość, stawiając ponownie stopę na pustynnej planecie. Przybywał na święte wezwanie.

W poprzednim życiu stał na tych piaskach twarzą w twarz z Prorokiem. Wraz z Szieną i Matką Wielebną Odrade pojechał na wielkim czerwiu do ruin siczy Tabr. Wspomnienia gholi były skażone i niepewne, pełne irytujących luk. Waff nie mógł sobie przypomnieć swoich ostatnich chwil, kiedy to dziwki okrążyły pustynną planetę i spuściły na nią swe straszne unicastwiacze. Czy biegł, szukając niedającego żadnej nadziei schronienia i oglądając się za siebie jak żona Lota, by po raz ostatni zerknąć na skazane na zagładę miasto? Czy widział wybuchy i ściany ognia wznoszące się aż do nieba i pędzące ku niemu?

Ale komórki następnego gholi Waffa wyhodowano w kadzi aksolotlowej w Bandalongu, co było częścią zwykłego procesu. Tajna rada kehlu zaplanowała nieśmiertelność wszystkich mistrzów tleilaxańskich

gwarantowaną im przez seryjne wcielenia na długo przed tym, nim ktokolwiek usłyszał o Dostojnych Matronach. Zanim Waff się spostrzegł, obudzono w nim wspomnienia minionego życia podczas makabrycznego pokera, w trakcie którego te okrutne kobiety mordowały jednego po drugim jego bliźniacze ghole, dopóki jeden z nich - on - nie przeżył dostatecznie silnego kryzysu, by przełamać barierę oddzielającą go od jego przeszłości. Przynajmniej od części tej przeszłości.

Ale aż dotąd Waff nie widział Armagedonu, który dziwki urządziły temu świętemu światu.

Ekosystem Rakis został całkowicie zniszczony. Spalona została połowa atmosfery, wyjałowiona ziemia, zabita większość form życia, od mikroskopijnego planktonu piaskowego po gigantyczne czerwie. W porównaniu ze stanem obecnym stara Diuna była przyjemną planetą.

Niebo miało barwę ciemnego szkarłatu z domieszką pomarańcza. Kiedy statek okrążał planetę, szukając miejsca mniej piekielnego od pozostałych, Waff studiował odczyty atmosferyczne. Wilgotność była nienormalnie wysoka. W jakimś momencie jej geologicznej historii na Arrakis były otwarte zbiorniki wodne, ale otorbiły je trocie piaskowe. W wyniku bombardowania musiały wyparować podziemne morza i rzeki, uwolnione ze spowijających je torbieli.

Przerażająca broń Dostojnych Matron nie tylko zamieniła miękkie wydmy w spieczony księżycowy krajobraz, ale także wyrzuciła do atmosfery ogromne chmury pyłu, który mimo upływu kilkudziesięciu lat nie

osiadł w całości na powierzchni planety. Kurzawy Coriolisa będą na pewno potężniejsze niż kiedykolwiek.

Waff i jego zespół będą prawdopodobnie musieli nosić specjalną odzież ochronną i dodatkowe maski, a ich małe chatki trzeba będzie szczelnie zamykać i utrzymywać w nich zwiększone ciśnienie. Tleilaxaninowi to nie przeszkadzało. Czy aż tak bardzo różniło się to od noszenia filtraka? Być może stopniem niewygód, ale nie jakościowo.

Jego lichtuga zatoczyła krąg nad pozostałościami rozległej metropolii, która w czasach Muad'Diba nosiła nazwę Arrakin, potem, podczas rządów Boga Imperatora, była Świątecznym Miastem Onn, a jeszcze później - po śmierci Leto II - otoczonym fosą Kin. Nie dbając już po rozprzestrzenieniu się czerwii morskich na Buzzellu o zachowanie tajemnicy, Waff cieszył się, że ma czterech asystentów do pomocy w ciężkiej pracy, która na pewno czekała go na tej spalonej przez unicestwiacze planecie.

Przyglądając się badawczo powierzchni, dostrzegł pokryte bryłami geometryczne kształty, które niegdyś były ulicami i wysokimi budynkami. O dziwo, w mdłym świetle dziennym zauważył też liczne źródła sztucznego oświetlenia i kilka niedawno wzniesionych konstrukcji.

- Wydaje się, że jest tam obóz - powiedział. - Kto jeszcze przyleciałby na Rakis? Czego mogliby tutaj szukać?

- Tego samego co my - odparł jeden z gildian. - Przyprawy.

Waff pokręcił głową.

- Jest jej tutaj za mało, przynajmniej dopóki nie sprowadzimy z powrotem czerw. Nikt inny nie ma tej umiejętności.

- Może to pielgrzymi? Mogą nadal być tacy, którzy odbywają hadżdż - rzekł drugi asystent.

Waff wiedział, że z Rakis wywodzi się przyprawiająca o zawrót głowy mieszanina grup odszczepieńców i sekt.

- Bardziej prawdopodobne jest - zasugerował trzeci gildianin - że to poszukiwacze skarbów.

- „Kiedy chciwość połączy się z rozpaczą, ludzie dokonują nadludzkich czynów... chociaż ze złych powodów” - zacytował Waff werset z *Pieśni szariatu*.

Chwilę zastanawiał się, czy nie wybrać innego miejsca na założenie bazy, ale potem doszedł do wniosku, że połączenie sił z obcymi mogłoby pomóc im wszystkim dłużej przetrwać w surowym środowisku. Nikt nie wiedział, kiedy - i czy w ogóle - Edryk będzie mógł po nich wrócić, jak długo potrwają prace związane z reintrodukcją czerw ani ile jeszcze pożyje sam Waff. Planował zostać tu do końca swoich dni.

Po niezapowiedzianym lądowaniu lichtugi na skraju obozu gildianie czekali na instrukcje od Waffa. Tleilaxanin założył gogle, by osłonić oczy przed kłującym wiatrem, i wyszedł ze statku. W długich podróżach będzie być może musiał nosić maskę tlenową, ale stwierdził ze zdziwieniem, że w rakańskiej atmosferze można swobodnie oddychać.

W obozie stanęło naprzeciw niego sześciu wysokich,

brudnych mężczyzn. Głowy mieli owinięte szmatami, a w rękach trzymali noże i antyczne pistolety maula. Ich oczy były przekrwione, skóra szorstka i popękana. Najbardziej wysunięty do przodu miał kudłate czarne włosy, kwadratową pierś i twardy jak kamień duży brzuch.

- Macie szczęście, że jestem ciekaw, co was tu sprowadza - powiedział. - Inaczej już dawno byśmy was zestrzelili.

Waff podniósł ręce.

- Nie stanowimy dla was zagrożenia, bez względu na to, kim jesteście - odparł.

Pięciu mężczyzn wycelowało w niego pistolety, a szósty przeciął powietrze nożem.

- Zajęliśmy Rakis - oznajmił. - Cała przyprawa tutaj jest nasza.

- Zajęliście dla siebie całą planetę?

- Tak, całą tę przeklętą planetę. - Pierwszy mężczyzna odrzucił do tyłu czarne włosy. - Jestem Guriff, a ci tutaj to moi poszukiwacze. W tej spieczonej skorupie jest cholernie mało przyprawy i należy ona do nas.

- No więc możecie ją sobie wziąć. - Waff uklonił się zdawkowo. - Jako geolodzy i archeolodzy interesujemy się czym innym. Chcemy wykonać odczyty i przeprowadzić testy, by oszacować rozmiar zniszczeń ekosystemu.

Czterech gildyjskich asystentów czekało za nim w absolutnym milczeniu.

Guriff roześmiał się głośno i szczerze.

- Niewiele zostało tutaj z ekosystemu - powiedział.

- No to skąd się bierze tlen? - zapytał Waff. Wiedział, że w starożytnych czasach to samo pytanie zadał zaintrygowany Liet-Kynes, gdyż na planecie nie było ani szeroko rozprzestrzenionych roślin, ani wulkanów, które mogłyby stworzyć atmosferę.

Tamten tylko się na niego gapił. Najwyraźniej nigdy o tym nie pomyślał.

- Czy ja wyglądam na planetologa? - rzekł w końcu. - Weźcie się do dzieła i zbadajcie to, ale nie spodziewajcie się po nas żadnej pomocy. Tutaj, na Rakis, albo jesteś samowystarczalny, albo umierasz.

Tleilaxanin uniósł brwi.

- A gdybyśmy chcieli poczęstować was w dowód przyjaźni kawą przyprawową? - zapytał. - Rozumiem, że obecnie jest łatwiej o wodę niż w dawnych czasach.

Guriff zerknął na swoich poszukiwaczy.

- Chętnie skorzystamy z waszej gościnności, ale nie mamy zamiaru się odwzajemnić - powiedział.

- Mimo to nasza propozycja jest aktualna.

*

W zakurzonej chacie mężczyzny Waff zaparzył kawę z melanżem z własnych zapasów pozostałych po eksperymentach z czerwiami. Guriff nie cierpiał na rozpaczliwy niedobór wody w obozie, chociaż w jego kwaterze unosił się zapach dawno niemytych ciał i słodki aromat dymu z jakiegoś narkotyku, którego Waff nie potrafił rozpoznać.

Na jego rozkaz czterej gildianie wznieśli schronienia przywiezione z liniowca, ustawili zbrojone namioty

sypialne i zagrody laboratoryjne. Waff nie widział powodu, by im pomagać. Był w końcu tleilaxatiskim mistrzem, a oni jego robotnikami, pozwoli im więc wykonywać należące do nich zadania.

Przy drugiej filiżance mocnej kawy przyprawowej Guriff się rozluźnił. Nie ufał drobnemu Tleilaxaninowi, ale - jak się zdawało - nie ufał nikomu. Zapewniał Waffa, że nie żywi szczególnej nienawiści do jego rasy i że jego zbieracze nie mają uprzedzeń wobec innych osób o niskiej pozycji społecznej. Guriffa obchodziła tylko Rakis.

- Cały ten stopiony piasek i plaston. Po skuciu górnej, zeszlonej warstwy udało się nam dotrzeć do fundamentów solidniejszych budowli w Kin. - Mężczyzna wyjął ręcznie zrobioną mapę. - Wyskrobujemy zakopane skarby. Znaleźliśmy pierwotną, jak nam się wydaje, twierdzę Bene Gesserit, kilka potężnie zabarykadowanych schronów wypełnionych szkieletami. - Uśmiechnął się. - Odkryliśmy też wystawną świątynię zbudowaną przez kapłanów Podzielonego Boga. Była tak ogromna, że nie mogliśmy jej nie zauważyć. Pełna ozdób, ale i tak było ich za mało, żeby nasz wysiłek się opłacił. KHOAM oczekuje, że znajdziemy coś bardziej wyjątkowego, chociaż i tak są zadowoleni, że sprzedają naiwnym głupcom całe kontenery „autentycznego piasku rakańskiego”.

Waff nic na to nie powiedział. Edryk i pozostali nawigatorzy uzyskali dla niego taki piasek do wykorzystania w pierwszych eksperymentach.

- Ale mamy przed sobą jeszcze dużo kopania - ciągnął Guriff. - Kin było wielkim miastem.

W poprzednim życiu Waff widział te budowle, nim zostały zniszczone. Znał pretensjonalne ozdoby, które żyjący iluzją kapłani umieścili we wszystkich pomieszczeniach i wieżach (jakby Bóg dbał o takie jarmarczne błyskotki!). Guriff i jego ludzie rzeczywiście znajdą tam wiele skarbów. Ale niewłaściwego rodzaju.

- Świątynia Kapłanatu została zniszczona bardziej niż inne budynki. Może była bezpośrednim celem ataku Dostojnych Matron. - Poszukiwacz rozciągnął w uśmiechu mięsiste usta. - Ale na poziomach znajdujących się głęboko pod nią znaleźliśmy skrzynie pełne solarisów i skrzętnie gromadzonego melanzu. Łup wart zachodu. Było tego więcej, niż się spodziewaliśmy, ale nie aż tak dużo. Szukamy czegoś większego. W południowych rejonach polarnych Tyran zakopał ogromne zapasy przyprawy. Jestem tego pewien.

Popijając kawę, Waff mruknął sceptycznie.

- Od półtora tysiąca lat nikomu nie udało się odnaleźć tego skarbu - powiedział.

Guriff uniósł palec, zauważył skórę przy paznokciu i odgryzł ją.

- Ale bombardowanie mogło tak przemieszać skorupę, że żyła macierzysta została odkryta. I, dzięki bogom, nie ma już żadnych czerwii, które mogłyby nas prześladować.

Waff mruknął coś wymijająco.

„Jeszcze nie” - pomyślał.

*

Wiedząc, że zostało mu mało czasu, Tleilaxanin nie zawracał sobie głowy snem, lecz od razu rozpoczął przygotowania do pracy. Jego towarzysze z Gildii najwyraźniej sądzili, że nawigator w końcu po nich wróci, ale Waff nie był tego taki pewien. Był na Rakis, a to sprawiało mu wielką przyjemność.

Podczas gdy gildianie kończyli podłączanie generatorów i uszczelnianie prefabrykowanych schronień, tleilaxański badacz wrócił na prawie pustą lichtugę. W ładowni uśmiechnął się po ojcowsku do swoich wspaniałych okazów. Opancerzone czerwie były małe, ale zajadłe. Wydawały się gotowe do opanowania martwego świata. Ich świata.

Przed wiekami Fremeni potrafili przywoływać czerwie i jeździć na nich, ale tamte pierwotne stworzenia wymarły, gdy dzięki zabiegom Leto II Arrakis stała się ogrodem pełnym zieleni, rzek i wilgoci z nieba. Takie środowisko było zabójcze dla czerw. Kiedy jednak Bóg Imperator został zamordowany, a jego ciało rozłożyło się na trocie piaskowe, cały proces pustynnienia zaczął się od nowa. Następne czerwie były o wiele bardziej zajadłe i drapieżniejsze niż ich przodkowie i podjęły wyzwanie odtworzenia Diuny, Jaką Niegdyś Była.

Waff stał teraz przed wielekroć trudniejszym wyzwaniem. Zmodyfikowane przez niego stworzenia pokryte były pancerzem, który czynił je odpornymi na warunki panujące w najsurowszym nawet środowisku, ich pyski i pierścienie na łbach były wystarczająco

mocne, by mogły się przebijać przez zeszlone wydmy. Mogły się zakopać głęboko pod szerniałą powierzchnię, mogły rosnać i rozmnażać się nawet tutaj.

Stał przed pokrytym kurzem zbiornikiem, w którym tkwiły czerwle. Každy osobnik miał dwa metry długości. I był silny.

Wyczuwając jego obecność, stworzenia kręciły się niespokojnie. Waff wyrżał na zewnątrz, gdzie niebo przybrało purpurowobrazową barwę zmierzchu. Burze wzbijały w powietrze kłęby wirującego pyłu.

- Bądźcie cierpliwe, moje maleństwa - powiedział. - Niedługo was wypuszczę.

Jesteśmy naiwni, myśląc, że mamy kontrolę nad cennym artykułem. Tylko dzięki przebiegłości i wiecznej nieufności udaje nam się nie dopuścić do tego, by wpadł w ręce konkurentów.

- wewnętrzny raport Gildii Kosmicznej

Edryk opuścił orbitę nad zrujnowaną Rakis, nie przejmując się już tleilaxańskim mistrzem. Waff zrobił, co miał zrobić.

O wiele ważniejsze było to, że Wyrocznia Czasu wezwała wszystkich ocalałych nawigatorów i będzie mógł przekazać im radosną nowinę. Skoro czerwie morskie najwyraźniej dobrze się rozwijały na Buzzellu, będzie do wzięcia mnóstwo superprzyprawy. Ta niezwykle stężona postać mogła nawet przewyższać oryginalną przyprawę. Przerażająco silny melanz utrzyma nawigatorów przy życiu bez łaski wścibskich i chciwych administratorów czy czarownic z Kapitularza.

„Wolność!” - pomyślał.

Rozbawiło go to, że Waff zabrał swoje eksperymentalne czerwie na Rakis, mając nadzieję, że uda mu się tam stworzyć nowy cykl obiegu przyprawy. Edryk nie sądził, by drobny badacz wiele wskórał, ale alternatywne źródło melanzu byłoby mile widziane. Jednak nawet bez niego nawigatorzy nigdy już nie będą zakładnikami w walkach o władzę. Czterech gildian, których Edryk przydzielił do pomocy Waffowi, było jego szpiegami. W tajemnicy będą mu donosić o

wszystkim, co badaczowi uda się osiągnąć.

Edryk uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że pomyślał o wszystkich ewentualnościach. Z pierwszą paczką superprzyprawy z Buzzella bezpiecznie spoczywającą w strzeżonym pomieszczeniu, skierował liniowiec w pustkę przestrzeni kosmicznej. Nawet Wyrocznia Czasu pogratuluje mu, gdy usłyszy tę niezwykłą wiadomość.

Zanim zdążył wyruszyć na ustalone miejsce spotkania, pustka wokół niego zafalowała. Studiując te zniekształcenia, uświadomił sobie ich przyczynę. Parę chwil później z zagiętej przestrzeni wystrzeliły niby gruby śrut ze strzelby dziesiątki statków Gildii, pojawiając się przed nim i za nim, u góry i w dole, i całkowicie go otaczając.

Edryk wysłał komunikat, korzystając z pasma, które powinni odebrać tylko inni nawigatorzy.

- Wyjaśnijcie powód waszej obecności.

Ale nie odpowiedział mu żaden z imponujących przybyszy. Przyjrzawszy się glifom i kartuszom na burtach ogromnych kadłubów, zdał sobie sprawę, że są to statki nowej generacji, pilotowane przez ixańskie kompilatory matematyczne.

Sterowane przez komputery jednostki zacisnęły obręcz. Wyczuwając zagrożenie, Edryk wysłał z większym zaniepokojeniem pytanie:

- Czym to uzasadniacie?

Nowe statki Gildii utworzyły wokół niego dławiącą zasłonę. Milczenie ogromnych jednostek było bardziej przerażające niż jakiekolwiek ultimatum. Ich bliskość

zniekształcała jego pole Holtzmana, uniemożliwiając mu zagięcie przestrzeni.

W końcu rozległ się głos, bezbarwny i nijaki, ale niepokojąco pewny siebie.

- Rekwirujemy twój ładunek przyprawy. Wejdziemy na pokład w celu inspekcji.

Edryk oceniał wrogów, przebiegając w myślach labirynt możliwości. Statki najwyraźniej należały do frakcji administratorów. Kierowane przez ixańskie urządzenia, nie potrzebowały więc ani nawigatorów, ani przyprawy. Dlaczego zatem chcieli skonfiskować superprzyprawę? Żeby nie dostali jej nawigatorzy? Żeby całkowicie uzależnić Gildię od ixańskich urządzeń nawigacyjnych?

A może był to zupełnie inny wróg? Czyżby były to statki piratów KHOAM, którzy mieli nadzieję przechwycić nowy cenny towar? Albo czarownice z Kapitularza, które chciały wymusić dalszą zależność od melanżu zgromadzenia żeńskiego?

Ale skąd jacykolwiek ludzie mogli wiedzieć o superprzyprawie?

Podczas gdy liniowiec Edryka wisiał bezradnie w przestrzeni kosmicznej, z otaczających go statków Gildii wyłoniły się małe jednostki przechwytyjące. Nie miał wyboru - musiał wpuścić oddziały abordażowe.

Chociaż Edryk go nie rozpoznał, zbliżający się mężczyzna miał na mundurze właściwe emblematy Gildii. Przymaszerował przez pokłady i dotarł na zastrzeżony poziom, usunawszy wszystkie broniące tam wstępu bariery. Towarzyszyło mu sześciu dobrze

zbudowanych ludzi. Przywódca oddziału uśmiechnął się protekcyjnie, kiedy stanął przed zbiornikiem nawigatora i zajrzał do niego.

- Twoja nowa przyprawa ma fascynujące możliwości - powiedział. - Rekwirujemy ją.

- Lećcie na Buzzella i sami sobie ją weźcie - zagrmiał Edryk, celowo wzmacniając płynący z głośników głos.

- To nie jest prośba - rzekł mężczyzna. Jego twarz była bez wyrazu. - Poznaliśmy moc tej substancji i uważamy, że będzie remedium na naszą trudną sytuację. Zabierzemy ją do serca imperium myślących maszyn.

Myślących maszyn? Co wspólnego z wrogiem z zewnątrz miała frakcja administratorów?

- Nie możecie jej dostać - powtórzył Edryk, jakby miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

Gildianin o nijakiej twarzy machnął ręką na swoich krzepkich strażników, a ci wyjęli spod gładkich szarych opończy zakończone żelaznymi głowicami młoty. Przywódca skinął spokojnie i rzeczowo głową.

Ogarnięty paniką Edryk odpłynął w głąb swojego zbiornika, ale nie miał dokąd uciec. Muskularnych strażników nie obchodziło, że jest w pojemniku ani że kontakt z powietrzem go zabije. Unieśli potężnymi rękami młoty, wzięli zamach i uderzyli w grube plazowe ściany.

Pojawiły się na nich rozchodzące się gwiazdziście pęknięcia, przez które zaczął się wydobywać z gwizdem skoncentrowany pomarańczowy gaz. Strażnicy nie reagowali na tryskające im w twarze strumienie

melanżu, chociaż jego stężenie było tak duże, że normalny człowiek już by się zataczał. Ich przywódca przyglądał się ulatnianiu atmosfery z pojemnika, jakby chwycił zapach nadciągającej burzy.

Kiedy ciśnienie spadło tak, że nawigator nie mógł się już unosić w gazie, opadł na podłogę zbiornika. Podniósł słabym ruchem płetwiaste dłonie i głosem niewiele silniejszym od szeptu zażądał wyjaśnień. Gildianin i jego towarzysze nie udzielili mu żadnej odpowiedzi.

Edryk leżał, zwijając się i drgając. Wyciągnął gumową rękę i starał się pełznąć, ale uciekający gaz był zbyt rzadki. Nie mógł już oddychać, prawie się nie ruszał. Mimo to umierał powoli.

Mężczyzna o nijakiej twarzy podszedł do roztrzaskanego zbiornika i jego rysy się zmieniły.

- Zabierzcie skoncentrowaną przyprawę - polecił Khronie maskaradnikom. - Za pomocą tej substancji Omnius przebudzi swojego Kwisatz Haderach.

Zmiennokształtni odeszli, by przeszukać pokłady i znaleźć skarb w postaci zmodyfikowanego melanżu. Kiedy obleczeni w ludzkie kształty strażnicy wrócili na swoje jednostki, Khronie trzymał jeden z ciężkich pakunków. Wciągnął głęboko jego zapach.

- Świetnie - stwierdził. - Usuńcie wszystkich naszych ludzi z tego liniowca. Kiedy oddalimy się na bezpieczną odległość, zniszczcie go razem ze wszystkimi na pokładzie.

Spojrzał zimno na umierającego Edryka. Ze szczelin w zbiorniku sączyło się już tylko kilka wijących się

smużek gazu.

- Służyłeś swojemu celowi, nawigatorze - powiedział.
- Niech to będzie dla ciebie pocieszeniem.

A potem odszedł.

Edryk nadal głęboko oddychał, ale pozostał już tylko zapach melanzu. Gdy kierowane przez komputery statki Gildii utworzyły szyk w przestrzeni kosmicznej, ledwie się powstrzymywał przed utratą świadomości.

Znajdujące się naprzeciw jednostki otworzyły ogień. Liniowiec Edryka eksplodował, zanim nawigator zdążył wyszeptać przekleństwo.

Opowiadanie legend jest sztuką, tak jak sztuką jest życie zgodnie z legendą.

- powiedzenie ze starożytnego Kaitaina

Operację uzupełnienia zasobów *Itaki* przeprowadzono na wciąż jeszcze żyznych szerokościach północnych, z dala od wszelkich skupisk ludności. Całym tym skomplikowanym procesem, w którym brały udział dziesiątki jednostek latających z pokładów hangarowych, kierowała Garimi. Duncan został na mostku. Czuł się tam uwięziony. Nie mógł opuścić statku pozaprzestrzennego, gdyż zapewniał mu on osłonę. Mimo to było mu przykro, że siedzi bezpiecznie, podczas gdy inni wykonują ryzykowną pracę... i nawet nie wiedział, czego chce od niego para starszków.

Nie miał też pojęcia, co się dzieje w Starym Imperium, co z Murbellą i Kapitularem. Wiedział tylko tyle, że wróg z zewnątrz nadal go szuka, a on nadal się ukrywał, jak robił od dziesiątków lat. Czy naprawdę był to najlepszy sposób walki, najlepszy sposób obrony ludzkości? Dryfował w przestrzeni kosmicznej równie długo jak *Itaka*, a ostatnio wody niepewności wydawały się głębsze niż kiedykolwiek.

Minęły dwa dni bez wieści od Tega czy Szieny i ich zespołu. Jeśli po prostu spotykali się z tubylcami, któreś z nich powinno już do tej pory się zameldować. Duncan obawiał się pułapki w rodzaju tej, jaką zastawiono na nich na planecie Przewodników. Miles Teg był zarazem

jego mentorem i uczniem, a Sziena... ach, Sziena. Była jego kochanką i seksualną przeciwniczką. Wyleczyła go i uratowała, było więc oczywiste, że ją lubi. Starał się bronić, zaprzeczając temu, ale mu nie wierzyła i on sam nie wierzył w to, co mówi. Oboje wiedzieli, że łączy ich wieź niepodobna do żadnej innej, odmienna od tej, którą narzucili sobie niegdyś nawzajem Duncan i Murbella.

Kiedy przyglądał się krajobrazowi w dole, ten zdawał się go przyzywać. Na pokrytych lasami wyższych szerokościach geograficznych północnych i południowych widać było wiele miast. Czuł, że powinien tam być i stawiać razem z innymi czoło wszelkim możliwym niebezpieczeństwom, a nie tkwić na pokładzie *Itaki*, zmuszony do ukrywania się za polem pozaprzestrzennym.

„Ile jeszcze mam czekać?” - pomyślał.

W czasach, kiedy był mistrzem miecza rodu Atrydów, nie wahałby się ani chwili. Gdyby młodemu Paulowi Atrydzie groziło niebezpieczeństwo, skoczyłby do walki w jego obronie, lekceważąc nieuchwytnie zagrożenie ze strony staruszka i staruszki. Jak mówiła często cytowana *Litania* czarownic, „Stawię czoło strachowi”. I chyba nadeszła pora, by to zrobić.

Zamknął oczy, nie chcąc widzieć rozciągającej się w dole pustyni, która przecinała kontynent jak zadana nożem rana.

- Nie zlekceważę tego - mruknął.

Wezwał Thufira Hawata i Garimi, która niedawno wróciła ze wszystkimi jednostkami latającymi i ponownie zapełniła magazyny *Itaki*. Stał, kiedy

przybyli.

- Ruszemy na ratunek grupie zwiadowczej - oznajmił
- i to zaraz. Nie wiem, jakimi siłami dysponują mieszkańcy tej planety, ale stanę naprzeciw nich, jeśli baszar ma kłopoty.

Oczy Thufira pojaśniały, a jego twarz się zarumieniła.

- Poprowadzę jeden ze statków - rzekł.

- Nie. Będiesz słuchał moich rozkazów - powiedział stanowczo Duncan.

Garimi była zaskoczona śmiałym stwierdzeniem Idaho, ale kiwnęła głową, kiedy usłyszała, jak napomniiał Thufira.

- Masz dla nas jakieś instrukcje, zanim odlecimy? - zapytała. - Mam dowodzić tą misją?

- Nie... zrobię to osobiście. - Zanim któreś z nich wdało się z nim w spór, ruszył wielkimi krokami do windy, zmuszeni więc byli pójść za nim. - Mam już dość ukrywania się. Mój plan sprowadzał się do tego, by uciekać i nie rzucać się w oczy, by cały czas być o krok przed tą siecią. Ale robiąc tak, wyparłem się dużej części siebie. Jestem Duncan Idaho! - Podniósł głos, gdy wchodzili do windy. - Byłem mistrzem miecza rodu Atrydów i małżonkiem świętej Alii od Noża. Doradzałem i towarzyszyłem Bogu Imperatorowi. Jeśli jest tam wróg z zewnątrz, nie pozwolę, by reszta ludzkości sama stawiała mu czoło. Jeśli Sziena i baszar potrzebują mojej pomocy, to ją dostaną.

Thufir zeszywniał, po czym pozwolił sobie na uśmiech zadowolenia.

- Już dawno powinienesz być opuścić *Itakę*, Duncan - powiedział. - Nie widzę, żebyś coś osiągnął, zostając tutaj. Pole pozaprzestrzenne nie daje doskonałej ochrony.

Garimi najwyraźniej cieszyła się z postawy Duncana.

- Moje ekipy dobrze się przyjrzały tej planecie i wygląda na to, że jest to znakomite miejsce na osiedlenie się - powiedziała. - Czy to znaczy, że przestaniesz się przeciwstawiać moim staraniom i pozwolisz nam w końcu założyć kolonię?

Zamknęły się drzwi windy i zaczęli zjeżdżać na pokłady hangarów, gdzie wiele statków zaopatrywano ponownie w paliwo.

- To się jeszcze okaże - odparł Duncan.

*

Po tym jak wczesnym rankiem Stilgar i Liet odlecieli z obozu, Teg długo czekał na właściwy moment. Do tej pory Duncan powinien już wyciągnąć oczywiste wnioski.

- Myślisz, że w końcu nas zabiją? - Sziena zadała to pytanie zdumiewająco rzeczowym tonem, jakby pogodziła się z tym, co nieuniknione.

- Może tylko ciebie. To ciebie obwiniają - odparł Teg ponuro. Chociaż pozwolono im usiąść na ziemi poza namiotem, nadal znajdowali się pod ścisłym nadzorem.

Sziena pociągnęła z małego kubka łyk wody.

- To ma być żart?

- Luźna uwaga. - Teg zerknął na niebo. - Musimy ufać, że Duncan zdecyduje się na właściwą reakcję.

- Może myśli, że sami jesteśmy w stanie sobie z tym

poradzić. Wierzy w naszą zdolność samodzielnego działania.

- Tak jak ja. Gdyby to było konieczne, mógłbym wymordować wszystkich tych ludzi. - Celowo wybrał to słowo. Wymordować. Tak jak zrobił z Dostojnymi Matronami w ich fortecy na Gammu. - I potrwałoby to nie dłużej niż mrugnięcie okiem. Wiesz o tym.

Sziena widziała, jak skoczył na Przewodników, pomagając uciec jej, Thufirowi i rabbiemu, widziała też, jak wyczerpał go ten poryw energii.

- Tak, wiem, Miles. I modłę się, by to nie było konieczne.

W oddali słyszeli zawodzące buczenie powracającego znad pustyni niskolotu. Teg rozpoznał czułym słuchem charkot jego silnika. Na ubitym lądowisku zebrali się wieśniacy, niecierpliwie czekając na członków wyprawy łowieckiej. Najpierw pojawiły się na niebie dwie sunące nisko plamki, potem dołączyło do nich więcej punkcików. Razem wyglądały jak rozproszone stado migrujących ptaków. Warkot przeszedł w ryk silników.

Teg osłonił dłonią oczy, rozpoznając wiele nadlatujących jednostek.

- Promy górnicze i lichtugi ze statku pozaprzestrzennego - powiedział. - A więc to tak Duncan planuje nas uratować. Stara się zrobić na nich wrażenie. Wygląda na to, że wysłał tutaj wszystko, co mamy.

- Na pewno mamy większą siłę ognia - rzekła Sziena.
- Duncan mógł wybrać bezpośredni atak i wyrwać im

nas.

Przyglądając się zbliżającym się statkom, Teg się uśmiechnął.

- Jest na to za mądry - powiedział. - Podobnie jak ja, chce unikać rozlewu krwi, zwłaszcza podczas konfliktu, który nie w pełni rozumie.

„Czy to ja go tego nauczyłem, czy on mnie?” - zastanawiał się baszar. Szukał odpowiedzi na to pytanie w swoich poprzednich żywotach, ale jej nie znalazł.

Na płaskim, otwartym terenie na obrzeżach wioski wylądowało ponad czterdzieści jednostek. Nie były to jednostki wojenne ani opancerzone statki szturmowe, ale miały broń defensywną. Baszar odszedł z Szieną spod namiotu i stanął naprzeciw największego promu górniczego. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Tubylcy byli za bardzo przestraszeni tym, co widzieli.

Teg był zaskoczony, widząc, jak po schodkach jednostki dowodzenia schodzi sarn Duncan Idaho w tradycyjnym mundurze rodu Atrydów, wyglansowanych butach i z insygniami swojej rangi. Jeśli Qelsanie opuścili Stare Imperium półtora tysiąca lat wcześniej, nie można się było spodziewać, że rozpoznają te symbole, ale Teg uznał, że mundur sprawia, iż jego przyjaciela otacza aura władczego dostojństwa, i niewątpliwie dodaje mu pewności siebie.

Duncan przesunął wzrokiem po zmieszanych wieśniakach i w końcu zauważył Tega i Szienę. Kiedy ruszył w ich stronę, na jego twarzy malowała się widoczna ulga.

- Żyjecie - powiedział. - Nic wam się nie stało?

- Stuka nie żyje - odparła Sziena z nutą goryczy.

- Nie powinienes być opuszczać *Itaki* - powiedział Teg. - Teraz jesteś bezbronny, widoczny dla łowców i ich sieci.

- Niech mnie znajdą - rzekł Duncan z zaciętą miną, jakby podjął nieodwołalną decyzję. - To niekończące się uciekanie przed pościgiem i chowanie się do niczego nie prowadzi. Nie zdołam pokonać wroga, jeśli się z nim nie zmierzę.

Sziena zerknęła nerwowo na niebo, jakby spodziewała się, że nagle pojawią się staruszek i staruszka.

- Atak mogła poprowadzić Garimi, a nawet Thufir - powiedziała. - Zamiast zlecić to im, dałeś się ponieść emocjom.

- Kiedy podejmowałem właściwą decyzję, uwzględniłem to. - Duncan zaczerwienił się, jakby ukrywał prawdziwy powód, i pospieszył z wyjaśnieniami. - Rozmawiałem przez komlinię ze Stilgarem i Lietem-Kynesem, którzy są w tym niskolocie. Przejelśmy ich nad pustynią, mam więc pewne pojęcie o tym, co się tutaj dzieje. Wiem, jak zabito Stukę... i dlaczego.

- Zdziwiłeś się, ujrzawszy mnie żywą? - zapytała Sziena. - I ucieszyłeś się, mam nadzieję?

- Śmierć Stuki była tragicznym skutkiem przesadnej reakcji tych ludzi na nasz widok - przerwał jej Teg. - Wzbudziliśmy w nich podejrzzenia.

- Tak, Miles - rzekł Duncan, kiwając głową. - I gdybym ja zareagował zbyt pochopnie, otwierając do nich ogień, spowodowałoby to jeszcze więcej ofiar i

dużo większą tragedię. W jednym z moich żywotów mógłbym postąpić właśnie tak, ale wystarczyło, że pomyślałem, co ty byś zrobił na moim miejscu.

Z niskolotu wyłonili się Stilgar i Liet z komandosami. Dwaj młodzi ghole wydawali się teraz twardzi, a po ich oczach widać było, że wstąpiło w nich nowe życie. Na *Itace* mieli wygodne schronienie i zmuszeni byli zadowalać się czytaniem o swojej przeszłości i obserwowaniem czerwii w ładowni, jakby byli okazami w zoo. Jednak pamiętali prawdziwą Arrakis. W starych, burzliwych czasach życie Stilgara i Kynesa nie było bezpieczniejsze ani wygodniejsze, ale to, kim byli, było wyraźnie i precyzyjnie określone.

Ze stojących jednostek nadal wyłaniali się inni: Thufir, Garimi i ponad dziesięć sióstr, muskularni robotnicy Bene Gesserit, drugie pokolenie dzieci urodzonych na statku pozaprzestrzennym, które po raz pierwszy w życiu postawiły stopę na planecie. W jasnym blasku słońca stanęło też pięciu uczniów rabbiego, rozglądając się z zachwytem i chłonąc widok otwartej przestrzeni. Zaraz potem wyłonił się i on, mrużąc schowane za okularami swoje oczy.

Var patrzył z podziwem na promy górnicze i lichtugi, na swoich nowych towarzyszy, Lieta i Stilgara. Podniósł brodę. Podczas lotu znad pustyni Duncan rozmawiał, i to długo, również z przywódcą wsi.

- Duncanie Idaho - rzekł Var - wiesz, jakim jesteśmy tu poddani próbom, do czego nas doprowadzono. Jesteśmy jedynymi, którzy przeciwstawiają się umieraniu tej planety. To nie my sprowadziliśmy tu

pustynię. Nie masz prawa nas potępiać.

- Nie potępiam was za waszą walkę, ale nie mogę wybaczyć tego, co zrobiliście naszej towarzyszce. Przed laty Bene Gesserit, które były gośćmi na waszym świecie, nie rozważyły konsekwencji tego, co robią. A teraz wydaje się, że wy postąpiliście tak samo.

Stary wódz pokręcił głową. Jego oczy płonęły oburzeniem.

- Zabiliśmy czarownice odpowiedzialne za sprowadzenie troci piaskowych - powiedział. - Kiedy spotkaliśmy kolejną czarownicę, ją też zabiliśmy.

- Zabierzemy przyjaciół i odlecimy - Duncan uciął rozmowę, która na pewno przekształciłaby się w bezsensowną sprzeczkę.

Teg i Sziena wystąpili naprzód, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce. Jednak Liet i Stilgar zatrzymali się i spojrzeli na siebie. Ten drugi wyprostował ramiona.

- Duncan, baszarze... Liet i ja rozmyśliliśmy się - powiedział. - To pustynia, nie nasza, ale pierwsza, którą napotkaliśmy jako ghole. Przywrócono nas do życia w jakimś celu. Umiejętności, które nabyliśmy w minionym życiu, mogą się bardzo przydać w takim miejscu jak to.

- Rozejrzyjcie się - podjął Liet-Kynes, kiedy Stilgar skończył, jakby przeciwiczyli tę rozmowę. - Możecie sobie wyobrazić świat, na którym nasze talenty są bardziej potrzebne niż tutaj? Zostaliśmy wyszkoleni do walki z przeciwnościami w beznadziejnych sytuacjach. Przywykliśmy do zmagania z pustynią. Jako planetolog znam najlepsze sposoby panowania nad

rozprzestrzenianiem się wydm, a o cyklu rozwojowym czerwii wiem więcej niż większość ludzi.

- Możemy pokazać tym wojownikom, jak budować sicze w najsurowszych warunkach pustynnych - dodał naib z rosnącą pasją. - Możemy ich nauczyć robić prawdziwe filtraki. Być może pewnego dnia zaczniemy nawet znowu jeździć na wielkich czerwiiach. - Głos mu się załamał. - Nikt nie zdoła powstrzymać pustyni, ale możemy utrzymać tych ludzi przy życiu. Reszta może wrócić na statek pozaprzestrzenny, ale my jesteśmy potrzebni Qelsanom.

Sziena zatrzymała się przy włączu najbliższej jednostki, wyraźnie niezadowolona.

- To niemożliwe - powiedziała. - Potrzebujemy was i wszystkich pozostałych gholi na *Itace*. Każdy z was został stworzony, wychowany i wyszkolony, by pomóc nam w walce z wrogiem z zewnątrz.

- Ale nikt nie wie jak, Szieno - zauważył Duncan, poruszony tym, co powiedzieli młodzieńcy. - Żadna z was nie potrafi wykazać z absolutną pewnością, po co są nam potrzebni Stilgar i Liet. I na czym dokładnie polega nasza walka.

- Nie jesteśmy waszymi narzędziami ani pionkami. - Stilgar skrzyżował ramiona na piersi. - Bez względu na to, jak nas stworzono, jesteśmy ludźmi, którzy mają wolną wolę. Nigdy nie prosiłem czarownic Bene Gesserit o przyjęcie mnie na służbę.

- To jest to, co chcemy robić - Liet poparł przyjaciela - i kto może powiedzieć, że nie jest to nasze przeznaczenie? Moglibyśmy ocalić planetę, a

przynajmniej jej ludność. Czy nie jest to wystarczająco ważny cel?

Teg rozumiał ich dylemat aż nazbyt dobrze. Ci dwaj znaleźli związek, którego mogli się trzymać, mogli wziąć udział w walce, która rzeczywiście wymagała szczególnych umiejętności, a oni je posiadali, jego stworzono jako pionka i zmuszony był odgrywać tę rolę.

- Pozwól im odejść, Szieno - powiedział. - Masz dosyć królików doświadczalnych na statku.

Do baszara podszedł Thufir Hawat, który odetchnął z ulgą, ujrawszy, że jego mentor jest cały i zdrowy.

- Tylko tym dla nich jesteśmy, baszarze? - zapytał. - Królikami doświadczalnymi?

- W pewnym sensie. A teraz musimy wracać do naszej klatki - odparł Teg. Pragnął opuścić tę umierającą planetę, zanim pojawią się inne problemy.

- Nie tak szybko - rzekł stary rabbi, występując naprzód. - Moi ludzie nie są i nigdy nie byli dobrowolnymi uczestnikami waszej lekkomyślnej podróży przez kosmos. Zawsze chcieliśmy znaleźć jakiś świat, na którym moglibyśmy osiąść. W porównaniu z metalowymi pokładami i małymi pomieszczeniami ta planeta wygląda całkiem dobrze.

- Qelso ginie - powiedziała Sziena.

Rabbi i jego pracownicy towarzysze tylko wzruszyli ramionami.

Var i kilku stojących najbliżej niego nomadów zrobili gniewne miny.

- Nie potrzebujemy dalszego uszczuplania naszych

zasobów - oznajmił przywódca tubylców. - jesteście mile widziani tylko pod warunkiem, że zamierzacie walczyć z pustynią.

Izaak, jeden z silnych Żydów, skinął głową.

- Jeśli zdecydujemy się tutaj zostać, będziemy walczyć i pracować - powiedział. - Przetrwanie, kiedy reszta świata nastawiona jest przeciwko nam, to dla nas nic nowego.

Bez względu na to, dokąd się udaję, bez
względu na to, co za sobą zostawiam, moja
przeszłość zawsze towarzyszy mi jak cień.

- Duncan Idaho,
dzienniki pokładowe *Itaki*

Liet-Kynes i Stilgar powrócili na krótko na *Itakę* po informacje z archiwów i sprzęt, którego potrzebowali do śledzenia zmian klimatu na Qelso. Liet przerobił nawet na satelity meteorologiczne kilka zapasowych boi czujnikowych, a statek pozaprzestrzenny rozmieścił je następnie wokół planety.

Pożegnał się z gholami, z którymi się wychowywał - Paulem Atrydą, Jessiką, Leto II. I z Chani, swoją córką. W przypływie emocji chwycił rękę młodej kobiety, która była prawie trzy lata starsza od niego. Uśmiechnął się do niej.

- Chani - powiedział - pewnego dnia przypomnisz sobie mnie takiego, jaki byłem na Arrakis: uwijającego się w siczach, pracującego jako imperialny planetolog albo Sędziego Zmiany, realizującego marzenia mojego ojca dla dobra Fremenów i Diuny.

Była skupiona, jakby bardzo się starała uchwycić jakiś przeblysłk pamięci. Puściwszy jej dłoń, dotknął jej czoła, ciemnorudych włosów.

- Może byłem silnym przywódcą - rzekł - ale obawiam się, że kiepski był ze mnie ojciec. Dlatego muszę ci powiedzieć, zanim odejdę, że cię kocham. Kiedy przypomnisz mnie sobie, przypomnisz też sobie

wszystko, co nas łączyło.

- Tak - powiedziała. - Gdybym teraz wszystko pamiętała, prawdopodobnie chciałabym wrócić z tobą na pustynię. Tak samo Usul.

Stojący obok nich Paul pokręcił głową.

- Moje miejsce jest tutaj - powiedział. - Nasza walka jest ważniejsza od jednej pustyni.

Stilgar ujął przyjaciela za ramię, ponaglając go do pośpiechu.

- Ta planeta jest dla nas wystarczająco duża - rzekł. - W głębi duszy czuję, że bez względu na to, czy Sziena zdaje sobie z tego sprawę czy nie, właśnie po to sprowadzono z powrotem Lieta i mnie. Być może któregoś dnia, niezależnie od tego, jak wygląda to teraz, przekonamy się wszyscy, że jest to część większej bitwy.

Tymczasem rabbi rozmawiał ze swoimi pięćdziesięcioma dwoma entuzjastycznymi uczniami w ich pomieszczeniach na statku pozaprzestrzennym. Izaak i Levi przejęli wiele obowiązków starca i na dany przez niego znak polecieli Żydom zabrać swoje rzeczy i przynieść prefabrykowane schronienia z przepastnych magazynów *Itaki*. Wkrótce wszyscy odlecieli promem na planetę, gdzie pod kierunkiem Izaaka zaczęli rozładowywać statki towarowe.

Var chodził między nimi, dyrygując swoimi ludźmi. Spojrzał pożądliwym wzrokiem na kilka jednostek, które Duncan zabrał na powierzchnię w pokazie siły.

- Te statki górnicze bardzo by nam się przydały do wożenia zapasów i wody z głębi kontynentu -

powiedział.

Sziena potrząsnęła głową.

- Te jednostki należą do wyposażenia *Itaki* - stwierdziła. - Możemy ich potrzebować.

Var łypnął na nią gniewnie.

- Powiedziałbym, że to dosyć niskie odszkodowanie za spowodowanie śmierci całej planety.

- Ja nie przyczyniłam się do śmierci waszego świata - odparowała. - Natomiast wy zabiliście z zimną krwią Stukę, zanim...

Teg szybko pogrążył się w mentackim skupieniu, inwentaryzując w myślach zapasy i sprzęt, który mieli na statku pozaprzestrzennym.

- Chociaż nie mamy udziału w zniszczeniu tego świata - mruknął do Szieny - uzupełniliśmy tutaj zapasy, a wielu naszych ludzi zostaje tu w charakterze osadników. Symboliczna zapłata nie byłaby bezzasadna.

Kiedy skinęła głową, zwrócił się do Vara.

- Możemy się obyć bez dwóch promów - powiedział.
- Nie więcej.

- I dwóch ekspertów do spraw pustyni - pisnął Liet. - Stilgara i mnie.

- Nie wspominając o chętnych do pracy i wytrzymałych robotnikach. Będziecie zadowoleni, że zostali tutaj ci Żydzi.

Teg zauważył już wcześniej, jak pracowita jest trzódka rabiego. Spodziewał się, że poradzą sobie na tej planecie, nawet kiedy klimat stanie się surowszy. Pewnego dnia mogą jednak dojść do wniosku, że Qelso nie jest ziemią obiecaną.

*

Nikogo nie zaskoczyło, że również Garimi i jej konserwatywne zwolenniczki chciały zejść ze statku. Ponad sto sióstr poprosiło, by pozwolono im się osiedlić na Qelso, mimo stale rozszerzającej się pustyni. Zamierzały położyć tu podwaliny pod nowe zgromadzenie. Garimi przedstawiła Szienie ich wybór raczej z kurtuazji niż jako sprawę do przedyskutowania.

Ale mieszkańcy Qelso nie chcieli o tym słyszeć. Powitali prom sióstr z dobytą bronią. Var stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Przyjmujemy Lieta-Kynesa i Stilgara oraz Żydów - oświadczył. - Ale żadna Bene Gesserit nie jest tu mile widziana.

- Żadnych czarownic! - krzyknęli Qelsanie, a na ich twarzach pojawiła się nagle żądza krwi. - Jeśli je znajdziemy, zabijemy!

Sziena, która przyleciała z nimi, by się pożegnać, starała się przemówić na rzecz Garimi.

- Moglibyśmy je zabrać na drugi kraniec kontynentu. Nigdy nie dowiedzielibyście się o ich osadzie. Przyrzekam, że nie sprawią żadnych kłopotów.

Jednak rozsierzdzeni tubylcy nie mieli ochoty jej słuchać. Ponownie głos zabrał Var.

- Mówisz tak tylko z myślą o siostrach - powiedział. - Kiedyś przyjęliśmy je gościnnie i do dziś głęboko tego żałujemy. Teraz Qelsanie działają dla dobra Qelso. Nie jest tu mile widziana żadna członkini zgromadzenia żeńskiego. Nie mogę wyrazić tego jaśniej, chyba że posuniemy się do przemocy.

Między namiotami i przenośnymi schronieniami włókł się w stronę promu rabbi, wzbijając z każdym krokiem chmurę kurzu. Otarł pot z czoła i stanął obok Tega i Szieny, spoglądając nerwowo to na jedno, to na drugie.

- Myślę, że moi ludzie będą z Bożej łaski szczęśliwi.
- Szturchnął nogą piach. - Było nam pisane poczuć ziemię pod stopami.

- Wyglądasz na poruszonego, rabbi - zauważyła Sziena.

- Nie jestem poruszony. Jestem smutny. - Według Tega rabbi był przybity, a jego załzawione oczy wydawały się bardziej zaczerwienione niż zwykle, jakby płakał. - Nie zostanę z nimi. Nie mogę opuścić *Itaki*.

Czarnobrody Izaak otoczył pocieszającym gestem jego ramiona.

- Pod moim przywództwem będzie to dla nas nowy Izrael, rabbi - powiedział. - Nie zastanowisz się ponownie?

- Dlaczego nie zostajesz ze swoim ludem? - zapytał Teg.

Rabbi pochylił głowę i na jałową ziemię polały się jego łzy.

- Mam większe zobowiązania wobec jednej z moich owieczek, którą zawiodłem - odparł.

- Pragnie zostać z Rebeccą - wyjaśnił Izaak szeptem Szienie i Tegowi. - Chociaż jest teraz kadzią aksolotlową, nie chce jej opuścić.

- Będę się nią opiekował przez resztę moich dni -

oznajmił rabbi. - Moja trzódka będzie tutaj w dobrych rękach. Izaak i Levi są ich przyszłością, natomiast ja przeszłością.

Żydzi otoczyli rabbiego, żegnając się z nim i życząc mu zdrowia. Potem szlochający starzec dołączył do Tega, Szieny i pozostałych na promie, który zabrał ich z powrotem na statek pozaprzestrzenny.

DWADZIEŚCIA
CZTERY LATA PO
UCIECZCE Z
KAPITULARZA



Jesteśmy ranne, ale nie pokonane.
Odniosłyśmy obrażenia, ale potrafimy
wytrzymać wielki ból. Znajdujemy się u kresu
naszej cywilizacji i naszych dziejów, ale
pozostajemy ludźmi.

- Matka Dowodząca Murbella,
przemowa do ocalałych z zarazy na
Kapitularku

Kiedy epidemia wygasła, ocalałe kobiety - bez
wyjątku Matki Wielebne - usilnie starały się utrzymać
spójność zgromadzenia żeńskiego. Nie poskutkowały
żadne szczepionki, kuracje wzmacniające odporność,
diety ani kwarantanny - cała ludność oprócz nich
wymarła.

W ciągu zaledwie trzech dni serce Murbelli zamieniło
się w kamień. Przyglądała się bezradnie, jak wokół niej
giną tysiące obiecujących młodych akolitek, pilnych
uczennic, które nie posiadały jeszcze wystarczających
umiejętności, by się stać Matkami Wielebnymi.
Umierały albo na zarazę, albo podczas pospiesznie
wywoływanej agonii przyprawowej.

Kiria powróciła do swojej charakterystycznej dla
Dostojnych Matron brutalności. Przy wielu okazjach
dowodziła zaciekle, że pielęgnowanie wszystkich
zarażonych jest stratą czasu.

- Lepiej przeznaczyć nasze zasoby na ważniejsze
rzeczy, na działania, które mają jakąś szansę
powodzenia! - mówiła.

Murbella nie zaprzeczała, że jej wywody są logiczne, lecz nie zgadzała się z jej opiniami.

- Nie jesteśmy myślącymi maszynami - odpowiadała.
- Jesteśmy ludźmi, więc będziemy się opiekować innymi ludźmi.

Było smutną ironią losu, że im więcej ludności umierało, tym mniej Matek Wielebnych trzeba było do pielęgnowania chorych. Stopniowo mogły się one zacząć zajmować innymi ważnymi zadaniami.

Stojąc w prawie pustej sali w twierdzy, Murbella patrzyła przez szerokie, zwieńczone łukiem okno za swym tronem. Kapituła była kiedyś tętniącym życiem kompleksem administracyjnym, bijącym sercem nowego zgromadzenia żeńskiego. Przed zarazą Matka Dowodząca kierowała setkami programów obrony, śledziła stałe posuwanie się floty wroga, pertraktowała z Ixanami, Gildią, uchodźcami i watażkami, z każdym, kto mógł walczyć po jej stronie.

W oddali widziała brązowe wzgórza i usychające sady, ale tym, co ją martwiło, była niesamowita, nienaturalna cisza w samym mieście. Domy akademickie i budynki pomocnicze, pobliski port kosmiczny, targi, ogrody i kurczące się trzody... wszystkim tym powinny się zajmować setki tysięcy ludzi. Niestety, życie w twierdzy i w mieście niemal zamarło. Zbyt mało osób przetrwało, by mogły wykonywać nawet najbardziej podstawowe prace. Świat był praktycznie pusty; w ciągu zaledwie kilku dni przepadła cała nadzieja. Tak wstrząsająco nagle!

Powietrze w mieście przesycane było odorem śmierci

i spalenizny. Z dziesiątków ognisk - nie stosów pogrzebowych, gdyż Murbella miała inne sposoby pozbywania się ciał, lecz zwykłych ognisk, w których palono zakażone ubrania i materiały, w tym sprzęt medyczny - unosił się czarny dym.

W chwili słabości Matka Dowodząca wezwała dwie wyczerpane Matki Wielebne, kazała im przynieść zaciski dryfowe i usunąć z jej apartamentów zdezaktywowanego robota bojowego. Chociaż znienawidzona maszyna od lat się nie poruszyła, Murbella zaczęła mieć wrażenie, że robot z niej drwi.

- Zabierzcie to i zniszczcie - powiedziała. - Czuję odrazę do wszystkiego, co symbolizuje.

Posłuszne kobiety najwyraźniej odczuwały ulgę, wypełniając jej rozkaz.

Potem Matka Dowodząca wydała następne instrukcje.

- Otwórzcie magazyny melanżu i rozdajcie przyprawę wszystkim, które przeżyły.

Każda zdrowa kobieta została skierowana do opieki nad pozostałymi jeszcze chorymi, chociaż było to beznadziejne zadanie. Ocalałe Matki Wielebne były wyczerpane, ponieważ wiele dni pracowały bez odpoczynku. Mimo iż miały kontrolę nad swoimi organizmami, której nauczyło ich zgromadzenie, nie dawały już sobie rady z wykonywaniem obowiązków. Melanż powinien postawić je na nogi.

Dawno temu, w czasach Dżihadu Butleriańskiego, kojące właściwości melanżu były skutecznym środkiem przeciw zarazom zsyłanym przez maszyny. Tym razem Murbella nie oczekiwała, że przyprawa wyleczy

którákolwiek z zarażonych osób, ale mogła przynajmniej pomóc Matkom Wielebnym wykonywać beznadziejną pracę, którą im zleciła. Chociaż Murbella rozpaczliwie potrzebowała każdego grama przyprawy na zapłatę zobowiązań wobec Gildii i Ixan, siostry potrzebowały jej jeszcze bardziej. Jeśli przepadnie zjednoczone zgromadzenie żeńskie na Kapitularzu, kto poprowadzi walkę w obronie ludzkości?

„Jeszcze jeden wydatek wśród tak wielu - pomyślała.
- Ale jeśli się na niego nie zdobędziemy, nigdy nie odniesiemy zwycięstwa”.

- Zróbcie to - powiedziała. - Rozdajcie tyle, ile będzie trzeba.

Kiedy wykonywano ten rozkaz, przeprowadziła obliczenia i uświadomiła sobie z przerażeniem, że przy życiu nie pozostało dość sióstr, by mogło to w znaczący sposób uszczuplić zgromadzone zasoby przyprawy...

Przestał istnieć cały jej zespół pomocniczy i czuła się osamotniona. Już wcześniej wprowadziła drastyczne środki oszczędnościowe, poważnie ograniczyła usługi i wyeliminowała wszystkie nieistotne działania. Chociaż większość Matek Wielebnych przeżyła zarazę, nie było pewne, czy przetrwają jej następstwa.

Wezwała te, które były mentatkami, i poleciła im, by oceniły, które prace są ważne, po czym stworzyły awaryjny plan działań z wykorzystaniem personelu mającego najlepsze kwalifikacje do niezbędnych zadań. Skąd mogłyby sprowadzić siłę roboczą potrzebną do podtrzymania funkcjonowania Kapitularza, odbudowy i kontynuowania walki? Może udałoby im się przekonać

do przybycia tutaj zdesperowanych uchodźców ze zniszczonych planet, kiedy znikną ostatnie ślady zarazy?

Murbellę znużyło już podnoszenie się po ciosie zadany przez zarazę. Kapitułarz był załedwie jednym, małym polem bitwy na ogromnym galaktycznym teatrze decydujących o wszystkim działań wojennych. Największe zagrożenie nadal pozostawało w głębi przestrzeni kosmicznej, gdzie flota wroga uderzała na planetę za planetą, wypłaszając uchodźców, którzy uciekali jak oszalałe ze strachu zwierzęta przed pożarem lasu. Bitwa na końcu wszechświata.

Kralizek...

Przybiegła do niej Matka Wielebna z raportem. Jeszcze prawie dziewczyna, była jedną z tych, które zmuszono do przejścia agonii przyprawowej na długo przed chwilą, kiedy powinna się poddać tej próbie, ale przeżyła. Jej oczy miały teraz niebieskawe zabarwienie, które będzie się stawało coraz intensywniejsze w miarę spożywania melanżu. W osłupiałym spojrzeniu tych oczu był wyraz udręki, który przenikał do głębi duszy.

- Twój cogodzinny raport, Matko Dowodząca - powiedziała i wręczyła Murbelli stos arkuszy ryduliańskiego papieru krystalicznego z wydrukowanymi kolumnami nazwisk.

Doradczynie dostarczały jej najpierw, wzorem zimnych i rzeczowych urzędników, suche liczby i podsumowania, ale ona zażądała nazwisk ofiar. Każdy, kto zmarł na zarazę, był osobą, a wszyscy robotnicy i wszystkie akolitki na Kapitułarzu byli żołnierzami,

którzy polegli dla sprawy. Nie dopuści, by nie oddano im należnej czci, sprowadzając ich do numerów i liczb. Na coś takiego nigdy nie zgodziłby się Duncan Idaho.

- Jeszcze cztery były maskaradnikami - powiedziała kurierka.

Murbella zacisnęła szczęki.

- Które? - syknęła.

Kobieta wymieniła ich imiona. Matka Dowodząca ledwie je знаła, były zwykłymi siostrami, które nie zwracały na siebie uwagi... dokładnie tak, jak robiliby to szpiedzy maskaradników. Do tej pory wśród ofiar zarazy znalazło się szesnastu zmiennokształtnych. Zawsze podejrzewała, że nawet w nowym zgromadzeniu żeńskim są agenci wroga, a teraz miała na to dowód. Ale zrzędzeniem losu, którego ironicznej wymowy nie byłyby w stanie pojąć myślące maszyny, również maskaradnicy byli podatni na zarażenie. Umarli tak samo szybko jak wszyscy inni.

- Zachowajcie ich ciała, razem z pozostałymi, do sekcji i analizy - powiedziała Murbella. - Może przynajmniej dowiemy się czegoś, co pozwoli ich wyśledzić w naszych szeregach.

Młoda kobieta czekała, aż Matka Dowodząca przejrzy całą listę. Kiedy w trzeciej kolumnie jednego z arkuszy wzrok Murbelli padł na znajome imię, po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Poczula się tak, jakby znienacka otrzymała potężny cios.

G i a n n e.

Jej córka, najmłodsze dziecko Duncana Idaho. Dziewczyna od lat zwlekała z przejściem agonii

przyprawowej, nigdy nie dochodząc do punktu, w którym byłaby gotowa poddać się tej ciężkiej próbie. Znakomicie się zapowiadała, ale to nie wystarczyło. Chociaż nic nie wskazywało, że jest już do tego gotowa, zmuszono ją - z tysiącami innych - do przyjęcia trucizny, co było jedyną szansą na przeżycie.

Murbella doznała takiego wstrząsu, że aż się zatoczyła. Powinna była stać u boku Gianne, ale w ogólnym chaosie nikt jej nie powiadomił, kiedy córce zostanie podana Woda Życia. Większość sióstr nie wiedziała nawet, że Gianne jest jej córką. Mogły o tym nie wiedzieć jej zwijające się jak w ukropie, wyczerpane pomocniczki. Ustanowiwszy swoje priorytety, tak jak przystało prawdziwej Bene Gesserit, Murbella poświęciła się pełnieniu funkcji urzędowych i kilka dni pod rząd pracowała, obywając się bez snu.

„Powinnam być przy niej, aby ją wspomóc, nawet gdybym mogła się tylko przyglądać, jak umiera” - pomyślała.

Ale nikt jej nie powiedział. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że Gianne jest wyjątkowa.

„Powinnam była śledzić jej postępy, ale odłożyłam to na później, przyjąłam pewne założenia” - wyrzucała sobie.

Wokół niej jedno wydarzenie goniło drugie, więc Murbella odsunęła na potem zainteresowanie życiem córki. Najpierw Rinya, a teraz Gianne, obie utracone wskutek podjęcia ryzykownego kroku, jakim było przejście agonii przyprawowej. Zostały jej już tylko dwie: Janess była na linii frontu i walczyła z myślącymi

maszynami, natomiast jej siostra Tanidia, która nie znała swoich rodziców, została wysłana jako członkini Missionaria Protectiva. Chociaż obie ryzykowały, mogły przynajmniej uniknąć zarażenia się straszliwą chorobą.

- Dwoje moich dzieci nie żyje - powiedziała głośno, mimo że kurierka nic z tego nie rozumiała. - Och, co pomyślałby o mnie Duncan? - Murbella odłożyła raport. Zamknęła na chwilę oczy, wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Wskazując imię na liście ofiar, powiedziała: - Zaprowadź mnie do niej.

Kurierka zerknęła na arkusz i zastanowiła się chwilę.

- Ciała osób z tej kolumny zostały przeniesione do portu kosmicznego - powiedziała. - Właśnie teraz zabierają je ornitoptery.

- Pospiesz się! Muszę ją zobaczyć. - Murbella wybiegła z sali, oglądając się przez ramię, by się upewnić, czy młoda kobieta podąża za nią. Chociaż czuła się odrętwiała, musiała to zrobić.

Ruszyły pojazdem naziemnym do pobliskiego portu kosmicznego, skąd dobiegał warkot silników i łopot skrzydeł ornitopterów. Po drodze młoda Matka Wielebna włączyła komlinię i poprosiła cicho o informacje. Potem poleciła kierującej, by pojechała inną drogą.

Na lądowiskach ładowano zwłoki do dużych ornitopterów towarowych, które startowały, gdy tylko wypełniono ich luki. W normalnych, lepszych czasach zmarłe Bene Gesserit pochowano by w kwitnących sadach lub ogrodach. Ich ciała rozłożyłyby się i

użyźniły glebę. Teraz jednak stosy trupów rosły tak szybko, że nawet duże statki towarowe ledwie nadążały z ich wywożeniem.

Młoda asystentka kazała kierującej podjechać do stanowiska, na którym robotnice wносиły zwłoki do ciemnozielonego ornitoptera. W jego dużej ładowni znikwały kolejne partie ciał.

- Musi być w tym, Matko Dowodząca - powiedziała kurierka. - Czy... chciałabyś, żeby je wyjęły, byś mogła ją odnaleźć i zidentyfikować?

Kiedy wysiadły z pojazdu naziemnego, Murbella czuła się oszołomiona, ale starała się opanować.

- To zbyteczne - odparła. - To tylko jej ciało, nie ona. Mimo to pozwoliłam sobie na sentymentalizm i chcę odprowadzić ją na wydmy.

Zostawiwszy młodą Matkę Wielebną, by mogła się zająć innymi obowiązkami, weszła do ornitoptera i usiadła obok pilota.

- Masz na pokładzie moją córkę - powiedziała i spojrzała ponurym wzrokiem przez okno.

Kiedy zahuczały silniki ornitoptera i załopotwały jego skrzydła, statek zaczął drżeć. Za jakieś pół godziny znajdzie się w strefie pustynnej. Matka Dowodząca nie powinna na długo opuszczać twierdzy. Godzina... Ale rozpaczliwie tego potrzebowała.

Nawet najlepsze z sióstr, które przeszły najcięższe próby, przerażała bardzo realna tragedia, która je spotkała, ale nie aż tak, by się całkowicie poddały. W trakcie szkolenia Bene Gesserit uczyły się panować nad podstawowymi emocjami, działać na rzecz wspólnego

dobra i widzieć całościowy obraz wydarzeń. Jednak rozmiar katastrofy, w wyniku której w ciągu zaledwie kilku dni zginęło prawie dziewięćdziesiąt procent ludności planety - e k s t e r m i n a c j a - przełamywał u wielu sióstr nawet najmocniejsze bariery. To Murbella musiała podtrzymać morale tych, które przeżyły.

„Myślące maszyny znalazły okrutny i skuteczny sposób zniszczenia broni, którą są ludzie, ale nie tak łatwo nas rozbroić” - rzekła w duchu.

- Jesteśmy na miejscu, Matko Dowodząca - powiedziała pilot na tyle głośno, że mimo trzepotu skrzydeł jej słowa zabrzmiały wyraźnie.

Murbella otworzyła oczy i zobaczyła czystą pustynię, jasnobrązowe wydmy, z których podmuchy wiatru wzbijały tumany piachu i pyłu. Mimo ludzkich szczątków zrzuconych tam przez zgromadzenie wydawała się czysta i nieskalana. Matka Dowodząca widziała inne ornitoptery krążące po niebie, opuszczające się nad wydmy i otwierające drzwi luków, by zrzucić ładunek... setki odzianych na czarno ciał. Zwłoki sióstr padały na piasek niczym zwęglone szczapy.

Rozłożą się szybciej i z większym pożytkiem dla przyrody niż w ogniu stosów pogrzebowych. Najpierw wyschną, a potem pustynne wiatry ogołocą je do kości. Wiele ciał pożrą czerwce. Zaprowadzą swojego rodzaju czystość.

Ornitopter zawisł nad małą niecką. Ze wszystkich stron otaczały ją wezbrane wydmy. Wokół nich wirowały tumany kurzu wzbijane przez skrzydła

ornitoptera. Pilot wcisnęła odpowiedni guzik i z przejmującym jękiem otworzyły się drzwi w brzuchu statku. Wysypały się z niego owinięte czarną tkaniną ciała. Miały zakryte twarze, ale mimo to dla Murbelli każde było fizyczną powłoką konkretnej osoby. Jedno z nich należało do jej córeczki... którą urodziła na krótko przed przejściem agonii przyprawowej, na krótko przed chwilą, w której na zawsze utraciła Duncana.

Nie łudziła się, że gdyby była u boku córki, mogłaby pomóc Gianne przejść agonię przyprawową. Była to bitwa, którą każda siostra toczyła samotnie, ale Murbella żałowała, że jej przy tym nie było.

Zrzucone bezceremonialnie ciała spadły na miękki piasek. Murbella zobaczyła dwa poruszające się węzowato kształty - wielkie czerwie, które przyciągnęły albo vibracje ornitoptera, albo głucho uderzenia spadających ciał. Stwory wynurzyły się i pożarły zwłoki, po czym zniknęły pod powierzchnią pustyni.

Siedząca za sterami kobieta wzniosła ornitopter na taką wysokość, by go obrócić. Murbella mogła spojrzeć w dół i zobaczyć straszną scenę żerowania czerw. Dotknąwszy słuchawki w uchu, pilot odebrała wiadomość i ze słabym uśmiechem powiedziała do Murbelli:

- Matko Dowodząca, w końcu dobre wieści.

Mając świeżo w pamięci widok ostatniego znikającego ciała, Murbella nie była w nastroju do wysłuchiwania podnoszących na duchu informacji, ale czekała.

- Ocalała jedna z naszych stacji w głębi pustyni.

Stacja Szakkada. Są tak daleko, że nie mieli kontaktu z twierdzą. Dzięki temu udało im się jakoś uniknąć wirusów.

Murbella przypomniała sobie o małej grupie naukowców i personelu pomocniczego z innych planet.

- Sama odizolowałam ich, żeby mogli spokojnie pracować - powiedziała. - Chcę, żeby nadal byli odcięci od reszty... bez żadnego kontaktu! Jeśli którakolwiek z nas zbliży się do nich, możemy ich zarazić.

- Stacja Szakkada nie ma dość zapasów, by długo wytrzymać - odparła pilot. - Może mogłybyśmy zrobić im zrzut.

- Nie, nie ma mowy! Nie możemy ryzykować, że ich zarazimy. - Pomyślała o tych ludziach, którzy żyli jak pośrodku pola minowego. Ale kiedy epidemia minie, może ocaleje chociaż ta garstka. - Gdy skończy im się żywność, niech zwiększą spożycie melanzu. Powinni znaleźć tyle, by jeszcze trochę przetrwać. Nawet jeśli któryś z nich umrze z głodu, lepsze to, niż gdyby ich wszystkich zabiła ta przeklęta zaraza.

Pilot nie powiedziała, że się z nią nie zgadza.

Patrząc na pustynię, Murbella uświadomiła sobie, kim się stała i kim się stały jej siostry. Choć jej słowa zagłuszał warkot silników, mruknęła:

- Jesteśmy nowymi Fremenami, a cała obłężona galaktyka jest naszą pustynią.

Ornitopter zwiększył pułap, biorąc kurs na twierdzę i zostawiając ucztujące czerwie.

Nienawiść szerzy się w użyźnionej przez nią glebie życia.

- starożytne porzekadło

Statek pozaprzestrzenny odleciał znad Qelso, zostawiając na planecie część swoich pasażerów oraz niektóre nadzieje i możliwości. Duncan zdobył się tam na wielkie ryzyko, ośmieliwszy się po raz pierwszy od dziesiątków lat zejść z jego pokładu. Czy się ujawnił? Czy wróg, opierając się na tej wskazówce, będzie mógł go znaleźć? To było możliwe.

Chociaż Duncan postanowił, że nie będzie już dłużej się krył, nie zamierzał sprowadzić zagłady na niewinnych ludzi na tej planecie. Wykona kolejny skok, zatrze za sobą ślady. A zatem *Itaka* zaryzykowała jeszcze raz i dała nurka przez zagiętą przestrzeń.

Stało się to trzy miesiące temu.

Scytale patrzył przez grubą plazową szybę, jak Qelso kurczy się, a potem nagle znika. Nigdy nie pozwolono mu zejść ze statku. Sądząc z tego, co widział, z radością osiedliłby się na tym świecie, mimo iż coraz większe jego obszary pochłaniała pustynia.

Chociaż odzyskał pamięć, stwierdzał, że brakuje mu ojca, swojego poprzednika, siebie. Jego umysł zawierał teraz wszystko, czego potrzebował. Ale Scytale chciał więcej.

W nowym ciele tleilaxański mistrz powinien przeżyć jeszcze wiek, zanim skumulowane błędy genetyczne sprawią, że znowu zacznie ono zawodzić. To dość

czasu, by rozwiązać wiele problemów. Ale kiedy minie kolejne sto lat, nadal będzie ostatnim tleilaxańskim mistrzem, ostatnim strażnikiem Wielkiej Wiary. Chyba że wykorzysta znajdujące się w jego kapsułce zeroentropijnej komórki członków Rady Mistrzów. Może pewnego dnia czarownice Bene Gesserit pozwolą mu użyć kadzi aksolotlowych do tego, co zamierzał zrobić.

Na Qelso przeżywał męki, zastanawiając się, czy tam nie pozostać i nie stworzyć nowej ojczyzny dla Tleilaxan. Czy mógłby zbudować tam odpowiednie laboratoria wraz z wyposażeniem? Zwerbować pracowników spośród tubylców? Młody Scytale studiował święte pisma, długo medytował i w końcu podjął taką samą decyzję jak rabbi - że tam nie zostanie. Nie miałby na Qelso dostępu do potrzebnej mu technologii aksolotlowej. Decyzja była więc logiczna.

Nie tak łatwo jednak było wytłumaczyć, dlaczego tak nieszczęśliwy i zły jest rabbi. Nikt go do niczego nie zmusił. Odkąd odlecieli z Qelso, starzec chodził w tę i z powrotem po korytarzach, siejąc ziarno niezgody. Był jedynym przedstawicielem swojej grupy, który pozostał na pokładzie. Tak jak Scytale.

Wiekowy duchowny jadał z innymi uciekinierami, narzekając na to, jak surowo jest traktowany, i rozprawiając o tym, jak trudno musi być jego ludziom założyć nowy Syjon bez jego przewodu. Słuchając tych utyskiwań, Garimi i jej konserwatywne zwolenniczki, którym nie pozwolono zostać na Qelso, nie wyrażały mu żadnego współczucia.

Obserwując to, Scytale doszedł do wniosku, że rabbi o swoje niepowodzenia obwinia wszystkich wokół, by chodzić w glorii męczennika. Nie chciał zostawić kadzi aksolotlowej, która była kiedyś Rebeccą, więc uparcie pielęgnował nienawiść do Bene Gesserit i obarczał je winą za decyzję, które sam podjął.

Scytale stwierdził, że wokół jest aż nadto nienawiści.

*

W prywatnej kabinie Wellington Yueh przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze - ziemistej cerze, ciemnym ustom i spiczastej brodzie. Wąska twarz była młodsza niż ta, której obraz zachował się w jego wspomnieniach, ale rozpoznawalna. Od odzyskania pamięci o minionym życiu pozwalał swoim czarnym włosom swobodnie rosnąć i w końcu stały się na tyle długie z tyłu, że mógł je związać w improwizowany węzeł absolwentów Akademii Suka.

Mimo to nie w pełni akceptował swój obraz. Musiał wykonać jeszcze jeden, decydujący krok.

Trzymał znacznik z niezmywalnym czarnym tuszem, który zostawi trwały ślad. Wprawdzie nie będzie to tatuaż ani implant wprowadzający najwyższe warunkowanie, jednak coś bliskiego temu. Jego ruchy były pewne, pociągnięcia zdecydowane.

„Jestem lekarzem Suka, chirurgiem - pomyślał. - Potrafię narysować prosty geometryczny kształt”.

Rzucający się w oczy romb dokładnie pośrodku czoła. Bez wahania zrobił kolejne pociągnięcie i połączył linie. Kiedy skończył, jeszcze raz uważnie przyjrzał się sobie. Z lustra patrzył na niego doktor

Wellington Yueh, lekarz Akademii Suka i osobisty lekarz rodu Verniusów, a potem Atrydów.

Zdrajca.

Odłożył znacznik, przebrał się w czysty kitel i udał do centrum medycznego. Podobnie jak stary rabbi, miał takie same kwalifikacje jak lekarki Bene Gesserit. Mógł badać pacjentów i zajmować się kadziami aksolotlowymi.

Niedawno Sziena powróciła do swojego programu i z komórek uzyskanych z kapsułki zeroentropijnej tleilaxańskiego mistrza zaczęła hodować jeszcze jednego gholę. Teraz, kiedy Stilgar i Liet-Kynes opuścili *Itakę*, uważała, że ten krok jest usprawiedliwiony. Przestrzegając zasad bezpieczeństwa, odmówiła jednak ujawnienia tożsamości dziecka rozwijającego się w kadzi.

Bene Gesserit nadal twierdziły, że potrzebują gholi, chociaż nie potrafiły dokładnie wyjaśnić po co. Na razie wszakże, po udanym przywróceniu wspomnień Yuego, Stilgara i Lieta-Kynesa, nie powtórzyły tych osiągnięć z pozostałymi gholami. Niektóre czarownice, zwłaszcza naczelną opiekunka Garimi, w dalszym ciągu zgłaszały poważne zastrzeżenia do obudzenia wspomnień Jessiki i Leto II z powodu ich dawnych przestępstw. Następnego zdecydowały się więc poddać temu zabiegowi Thufira Hawata.

Yueh nie wiedział, co czarownice zrobiły, próbując zburzyć mury oddzielające Hawata od jego przeszłości, ale ich starania obróciły się przeciw nim. Zamiast się przebudzić, Hawat dostał konwulsji. Był przy tym stary

rabbi, rzucił się więc na ratunek siedemnastoletniemu gholi, odpychając siostry i besztając je za głupie podejmowanie ryzyka.

Ale Yueh, podobnie jak Scytale, posiadał już swoją dawną wiedzę. Nie był już dzieckiem, nie czekał już na to, że stanie się kimś. Pewnego dnia zebrał się na odwagę i poprosił Szienę, by przywróciła go do pracy.

- Zmusiłyście mnie, żebym przypomniiał sobie moje stare życie - powiedział. - Błagałem was, byście tego nie robiły, ale uparliście się mnie przebudzić. Ze wspomnieniami i poczuciem winy odzyskałem również użyteczne umiejętności. Pozwólcie mi znowu pełnić posługę lekarza Akademii Suka.

Początkowo nie był pewien, czy Bene Gesserit się zgodzą, zwłaszcza biorąc pod uwagę stałe zagrożenie ze strony nieznanego sabotażysty, ale kiedy Garimi odruchowo sprzeciwiła się temu, Sziena postanowiła go poprzeć. Mógł przeprowadzać obchód w centrum medycznym, pod warunkiem że będzie pozostawał pod nadzorem kamer.

Przed wejściem do głównej izby mieszczącej kadzie aksolotlowe dokładnie przyjrzały mu się dwie kobiety, które pełniły tam straż, po czym jedna z nich machnięciem ręki pozwoliła mu przejść.

Żadna nie skomentowała nowego, romboidalnego znaku na jego czole. Zastanawiał się, czy ktoś jeszcze pamięta, co on niegdyś symbolizował.

Yueh przystąpił w skupieniu do przeglądu zdrowych kadzi aksolotlowych. Kilka z nich produkowało melanz dla uzupełnienia zasobów statku, ale jedna była w

widocznej ciąży. Anonimowy ghola będzie się rozwijał pod dużo ściślejszym nadzorem. Yueh był przekonany, że nie jest to kolejna próba wskrzeszenia Gurneya Hallecka, Xaviera Harkonnena czy Sereny Butler. Nie będzie to też kopia Lieta-Kynesa ani Stilgara. Nie, Sziena przeprowadzała eksperyment, próbując odzyskać inną osobę z przeszłości, kogoś, kto - jak uważała - radykalnie pomoże *Itace*.

Znając porywczosć Szieny, Yueh obawiał się, kim może się okazać to dziecko. Bene Gesserit nie były nieomyłne (czego dowiodły, sprowadzając z powrotem jego!). Nie wierzył, by którakolwiek z tych kobiet wyobrażała sobie, że właśnie on może się stać wybawcą czy bohaterem, a mimo to był jednym z pierwszych wychodowanych przez nie gholi. Sądząc po tym, czyż nie można się było obawiać, że wiedzionym ciekawością czarownicom przyjdzie do głowy pomysł badania osobowości nikczemnych postaci z ciemnych kart historii? Imperatora Szaddama, hrabiego Fenringa, Bestii Rabbana, a nawet otoczonego powszechną pogardą samego barona Harkonnena? Yueh potrafił sobie wyobrazić usprawiedliwienia Szieny w takim przypadku. Niewątpliwie upierałaby się przy tym, że nawet najgorsi mogli dostarczyć cennych informacji.

„Jakie węże wypuszczą między nas?” - zastanawiał się.

W centrum zastał rabiego, który stojąc z dala od kadzi, zrzedził pod nosem i gmerał w podręcznym zestawie medycznym. Odkąd nie zgodził się zostać ze swoimi ludźmi na Qelso, przesiadywał godzinami przy

kadzi, którą zwał Rebeccą. Chociaż brzydził się tym, co z nią zrobiono, najwyraźniej sprawiał mu ulgę fakt, że to nie jej wszczepiono nowego gholę.

Nie chcąc, by rabbi kręcił się zbyt długo koło kadzi, siostry wyznaczyły mu obowiązki.

- Mam poddać Scytale'a serii testów - mruknął do Yuego, zbierając się do wyjścia z ośrodka medycznego.

- Sziena chce, żeby znowu go sprawdzić.

- Mogę to zrobić za ciebie, rabbi - zaproponował Yueh. - Nie mam tutaj dużo obowiązków.

- Nie. Wbijanie igieł temu Tleilaxaninowi jest jedną z nielicznych przyjemności, jakie mi zostały, - jego spojrzenie zawisło na znaku na czole Yuego, ale nie skomentował tego. - Przejdź się ze mną. - Ujął Wellingtona mocno za ramię i wyprowadził na korytarz, z dala od wścibskich Bene Gesserit. Kiedy uznał, że jest dostatecznie daleko od nich, by móc czuć się bezpiecznie, nachylił się i powiedział konspiracyjnym szeptem: - Jestem pewien, że to Scytale jest sabotażystą, chociaż nie znalazłem jeszcze na to dowodów. Najpierw ten stary, a teraz jego ghola. Wszyscy oni są tacy sami. Po odzyskaniu wspomnień młody Scytale kontynuuje swoje podstępne działania, których celem jest zniszczenie naszego statku. Czy można ufać Tleilaxaninowi?

„Czy można ufać komukolwiek?” - pomyślał Yueh.

- Dlaczego miałbyś chcieć uszkodzić statek? - spytał.

- Wiemy, że ma nieuczciwe zamiary. Zadaż sobie pytanie, dlaczego przechowywał w kapsułce zeroentropijnej komórki maskaradników obok komórek

wszystkich pozostałych osób, włącznie z tobą. Po co miałyby być mu potrzebne? Czy dla ciebie nie jest to wystarczająco podejrzane?

- Te komórki zostały skonfiskowane i zabezpieczone przez Szienę - odparł Yueh. - Nikt nie ma do nich dostępu.

- Możesz być tego pewien? Może chce zabić nas wszystkich, żeby wskrzesić dla siebie armię maskaradników. - Rabbi potrząsnął głową. W jego skrytych za okularami, zaczerwienionych oczach widać było złość. - A to nie wszystko. Czarownice mają własne plany. Jak sądzisz, dlaczego nie chcą ujawnić tożsamości nowego gholi? Czy nawet Duncan Idaho wie, kto się rozwija w tej kadzi? - Wyciągnął szyję i zerknął przez ramię na centrum medyczne, wypatrując kamer. - Ale ty możesz się tego dowiedzieć.

Yueh był zdumiony i zaintrygowany, ale nie przyznał się rabbiemu, że ma podobne wątpliwości.

- Jak? - rzekł. - Mnie też nie powiedzą.

- Ale nie śledzą cię tak jak mnie! Czarownice boją się, że mam zamiar coś zrobić, żeby im przeszkodzić w realizacji tego programu, ale ty, odkąd odzyskałeś pamięć, jesteś ich zaufanym gholą. - Rabbi wsunął mu ukradkiem w dłoń mały krążek polimerowy z odrobiną przezroczystej substancji. - Masz dostęp do skanerów. To próbki komórek z tej ciężarnej kadzi. Nikt nie widział, jak je pobierałem, ale nie odważę się sam przeprowadzić ich analizy.

Yueh schował niepostrzeżenie krążek do kieszeni.

- Ale czy ja naprawdę chcę to wiedzieć?

- A możesz sobie pozwolić na to, żeby się nie dowiedzieć? Zostawiam to tobie.

Rabbi odsunął się, mrucząc coś. Z podręcznym zestawem medycznym pod pachą poszedł ciężkim krokiem do kabiny Tleilaxanina.

Próbka ciążyła Yuemu w kieszeni. Dlaczego siostry utrzymywały tożsamość nowego gholi w tajemnicy? Co kombinowały?

Minęło parę godzin, nim nadarzyła mu się sposobność wślizgnięcia do małego laboratorium. Jako lekarz Akademii Suka mógł korzystać ze znajdującego się tam sprzętu. Mimo to pracował najszybciej jak potrafił, porównując próbkę z kadzi aksolodowej z katalogiem DNA, który sporządzono przed laty, kiedy Bene Gesserit po raz pierwszy dokonały oceny materiału znajdującego się w zeroentropijnej kapsułce Scytale'a.

Znalezienie pasującego wzoru genetycznego nie zajęło mu dużo czasu, a kiedy poznał odpowiedź, aż się zatrząsł.

- To niemożliwe! - wykrzyknął. - Nie odważyłyby się!

Ale w głębi serca, pamiętając męki, jakim Sziena poddała go, by obudzić jego wspomnienia, nie wątpił, że czarownice nie cofnęłyby się przed niczym. Teraz rozumiał, dlaczego Sziena odmówiła ujawnienia tożsamości gholi.

Mimo to wybór akurat tych komórek nie miał sensu. Siostry miały wiele innych możliwości. Lepszych. Dlaczego nie miałyby spróbować ponownie wskrzesić

Gurneya Hallecka? Albo Ganimy jako towarzyszeki biednego Leto II? W jakim celu mógł im być potrzebny - Yueh zadrżał - P i t e r d e V r i e s?

Gdyż Bene Gesserit lubiły się bawić niebezpiecznymi zabawkami i wskrzeszać ludzi, którzy mieli być pionkami w prowadzonej przez nie wielkiej grze. Znał pytania, na które próbowałyby znaleźć odpowiedź tylko po to, by zaspokoić swoją piekielną ciekawość. Czy Piter de Vries był zły z natury, z powodu swojego wyposażenia genetycznego, czy stał się zły dlatego, że został wypaczony przez Tleilaxan? Kto myślałby w sposób bardziej zbliżony do wroga niż Harkonnen? Czy były dowody świadczące o tym, że nowy Piter de Vries stałby się równie straszny jak stary, gdyby nie podlegał demoralizującemu wpływowi barona?

Yueh potrafił wyobrazić sobie Sziene patrzącą na niego z protekcjonalną miną.

- Potrzebujemy jeszcze jednego mentata - brzmiałaby jej odpowiedź. - Akurat ty, Yueh, nie powinienes oskarżać gholi o zbrodnie popełnione w poprzednim życiu.

Nadal nie mógł w to uwierzyć. Zacisnął powieki. Wydawało mu się, że pali go nawet namiastka tatuażu na czole. Pamiętał, jak musiał przyglądać się niekończącym się mękom Wanny, które zadawał jej ten nikczemny mentat. I człowieka, który wbił mu głęboko w plecy nóż, przekręcając ostrze. P i t e r a d e V r i e s a!

Wciąż czuł ostrą stal zatapiającą się w jego ciele. Śmiertelną ranę. Było to jedno z ostatnich wspomnień z

jego pierwszego życia. W jego uszach rozbrzmiewał śmiech Pitera mieszający się z krzykami Wanny dobiegającymi z komory agonii... a on, Yueh, nie był w stanie jej pomóc.

„Piter de Vries?” - pomyślał jeszcze raz z niedowierzaniem.

Zatoczył się, z trudem oswajając się z tą informacją. Nie może pozwolić, by taki potwór urodził się ponownie.

*

Kilka dni później Yueh wkroczył do centrum medycznego i podszedł do jedynej ciężarnej kadzi. Dziecko w jej łonie było w tej chwili niewinne. Nawet jeśli był to de Vries, nie popełnił żadnej ze zbrodni pierwowzoru.

„Ale popełni! - strofował się Yueh. - Jest wypaczony, nikczemny, zły”.

Siostry go wychowają i będą się upierały, że należy wyzwolić jego wspomnienia. A wtedy wróci!

Jednak Yueh wpadł w sidła własnej logiki. Jeśli ghola Pitera - a faktycznie wszystkie ghole - nie mógł uciec od swojego przeznaczenia, to czy nie odnosiło się to również do niego? Czy zatem było mu pisane zdradzić ich wszystkich? Czy jest skazany na popełnienie kolejnego strasznego błędu, czy też musi poświęcić wszystko, by zapobiec tej pomyłce? Zastanawiał się, czy poradzić się Jessiki, ale postanowił nie robić tego. To będzie jego brzemię, jego decyzja.

Przeprowadził badanie genetyczne próbki, którą dał mu rabbi, i widział wyniki. Musiał działać sam. Chociaż

był lekarzem Akademii Suka, wyszkolonym i uwarunkowanym do ratowania życia, czasami trzeba było uśmiercić jednego potwora, by ocalić wielu niewinnych.

„Piter de Vries!" - huczało mu w głowie.

W pierwszym życiu przyczynił się pośrednio do śmierci de Vriesa, wręczywszy księciu Leto kapsułkę z trującym gazem ukrytą w sztucznym zębie, którą ten rozgryzł w obecności mentata. Yueh zawiódł pod tyloma względami, spowodował tyle bólu i rozgoryczenia. Nawet Wanna znienawidziłaby go za to, co zrobił sobie i Atrydom.

Teraz jednak miał drugie życie, drugą szansę. Mógł postąpić właściwie. Każdy ghola został podobno wyhodowany w pewnym celu. Wellington Yueh był przekonany, że to jest właśnie ów wielki cel, w którym on został wskrzeszony.

Kiedy zmagał się z myślami, własnoręcznie wykonany romb na jego czole zwiększał przytłaczający go ciężar. Widział w odzyskanych wspomnieniach, jak zostaje lekarzem Akademii Suka, jak przechodzi cały reżim najwyższego warunkowania i składa oficjalną przysięgę: „Lekarz Akademii Suka nie odbierze człowiekowi życia".

A mimo to sprzeniewierzył się tej przysiędze. Za sprawą Harkonnenów. Za sprawą Pitera de Vriesa. Cóż za ironia losu, że złamanie przysięgi lekarzy Suka pozwalało mu teraz zniszczyć tego samego człowieka, który przełamał jego warunkowanie! Mógł teraz zabijać.

W kieszeni kitla spoczywało już narzędzie śmierci. Miał starannie obmyślony plan i nie będzie ryzykował. Kamery monitorowały centrum medyczne i znajdujące się w nim kadzie, nie mógł więc zrobić tego potajemnie, jak prawdziwy sabotażysta. Kiedy wykona to, co zamierzał, wszyscy na pokładzie *Itaki* będą wiedzieli, kto zabił gholę de Vriesa. I Yueh stawia czoło konsekwencjom.

Gdy przechodził przez salę, na czoło wystąpił mu pot. Jego ruchy śledziły uważne strażniczki Bene Gesserit, nie mógł więc zwlekać, gdyż w przeciwnym razie przekłete czarownice mogłyby wykryć jego niepokój i zdenerwowanie. Wyjął narzędzie. Obrócił sondę, jakby chciał ją ponownie wyskalować, po czym zagłębił ją w kadzi aksolotlowej, jak zrobiłby, gdyby pobierał próbkę biologiczną. W ten sposób wstrzyknął śmiertelną dawkę szybko działającej trucizny. Na razie nikt niczego nie podejrzewał.

„Już. Zrobione” - pomyślał.

Jak na ironię, de Vries był ekspertem w dziedzinie sporządzania wymyślnych trucizn. Na tę nie było antidotum; Yueh zadbał o to. Za parę godzin nienarodzony de Vries skurczy się i umrze. Niestety razem z kadzią. Ale tego nie można było uniknąć. Konieczna ofiara.

Wychodząc z sali, Yueh uśmiechnął się ponuro i przyspieszył. Jutro nie będzie się ukrywał. Thufir Hawat i baszar Teg przejrzą holoobrazy z kamer i przepytają strażniczki. Dowiedzą się, kto to zrobił. W odróżnieniu od prawdziwego sabotażysty Yueh nie mógł usunąć

obrazów. Zostanie ujęty.

Mimo tej wiedzy po raz pierwszy od przebudzenia był z siebie zadowolony. Poczuł w końcu ulotny smak odkupienia.

Wysłać na Buzzella zespół rozpoznawczy, by sprawdzić, dlaczego tak dramatycznie spadł eksport kojotytów. Ten brak dostaw, w połączeniu z drastycznym zmniejszeniem się produkcji melanżu po epidemii na Kapitularku, jest bardzo podejrzany, zwłaszcza w świetle tego, że w obu tych przedsięwzięciach biorą udział czarownice. W ciągu tysiącleci nauczyliśmy się nie ufać ich słowom.

- dyrektywa KHOAM

Zdobywszy próbkę superprzyprawy, Khrono wiedział już, co żyje w bogatych morzach Buzzella. Nawigatorzy na pewno realizowali tam niespodziewany projekt, wypuściwszy nowy rodzaj wytwarzających melanż czerw. Musiał tam polecieć i zobaczyć to na własne oczy. Przywódcę miriadów maskaradników niewiele obchodziła utrata dochodów z kojotytów, ale podszywając się pod urzędnika KHOAM, musiał udawać głębokie niezadowolenie z tego powodu.

- Potwory? - Stojąc na głównym pomoście, spojrzał na Corystę miażdżącym wzrokiem. - Węże morskie? Nie potrafisz wymyślić lepszych usprawiedliwień waszej nieudolności?

Popatrzył z gniewną miną na morze i owinał się ciaśniej swoimi reprezentacyjnymi ciemnymi szatami. W wodzie pływali ostrożnie Fibianie, nurkując po klejnoty z hodowli cholister, z których wiele zostało już

zniszczonych przez żarłoczne, rosnące czerwie morskie. Zatoki patrolowały uzbrojone łodzie, chociaż na pewno okazałyby się niewystarczające, gdyby któreś z wielkich stworzeń zdecydowało się zaatakować.

Matka Wielebna Corysta stała z podniesioną głową, o dziwo nieonieśmielona słowami wysokiego przedstawiciela KHOAM.

- To nie są żadne usprawiedliwienia - powiedziała. - Nikt nie wie, skąd się wzięły te czerwie i dlaczego pojawiły się akurat teraz. Ale naprawdę istnieją. Jeśli chce się pan osobiście przekonać, to statki myśliwskie Gildii wyciągnęły zwłoki jednego z nich.

- To nonsens. Taka historia jest oczywiście na rękę nowemu zgromadzeniu żeńskiemu. - Nie zważając na protesty kobiety, skinął na nią, by mu towarzyszyła, i ruszył skalistym brzegiem. Pod jego stopami chrzęściły luźne kamyki. Wszedł w kałużę, spojrzał ze zmarszczoną miną na buty i kontynuował spacer. - KHOAM podejrzewa, że stwarzacie sztuczny niedobór, by podnieść ceny. Macie zobowiązania finansowe. Zgromadzenie już od lat zamawia niezwykle drogie statki, broń i sprzęt wojskowy. Poniosłyście ogromne straty.

- To straty ludzkości - powiedziała ostrym tonem Corysta.

- A teraz epidemia rzuciła na kolana sam Kapitularz - ciągnął Khrone. - Wydaje się, że zgromadzenie nie jest w stanie regulować swoich zobowiązań. A zatem KHOAM nie uważa was już za wiarygodnego kredytobiorcę.

Corysta wystawiła twarz na rześki powiew znad morza.

- Te sprawy powinien pan omówić z Matką Dowodzącą.

- Powiniennem, ale ponieważ przebywa ona na planecie objętej kwarantanną, nie bardzo mogę złożyć jej wizytę, prawda? Wasze zgromadzenie rozpada się wskutek ataku z zewnątrz i konfliktów wewnętrznych.

Na plastonowych pochylniach na skraju wody stały kobiety, by przywitać grupę zmęczonych Fibian, którzy ciągnęli sieć pełną małych, niekształtnych kojotytów.

Khrone od razu się zorientował, że klejnoty są kiepskiej jakości, ale przynajmniej była to część dostawy, którą mógł przejąć jako zaległą zapłatę.

- Czyżby wasi Fibianie bali się potworów morskich? - zapytał drwiącym tonem. - Nie mogą popłynąć na bogatsze łowiska tych skorupiaków?

- Zbierają, co mogą - odparła Corysta. - Nie ma bogatszych łowisk. Te potwory pożarły już wiele cholister. Nasze podwodne łowiska zostały spustoszone. A co do pańskiego pierwszego pytania, to owszem, boją się, co jest zupełnie zrozumiałe. Wielu z nich zostało zabitych. - Spojrzała na niego zimno i Khrone docenił jej stalowe spojrzenie; mogło wzbudzić jego szacunek. - Mamy obrazy holograficzne tego, jeśli pan wątpi w moje słowa.

- To, czy pani wierzę, nie ma żadnego znaczenia. Chcę tylko wiedzieć, co zgromadzenie żeńskie zamierza z tym zrobić.

Khrone wiedział, że te kobiety nie mogą nic zrobić.

Czerwie morskie doprowadzą w końcu do upadku przemysł wydobywania kojotyłów na Buzzellu, wytrącając tym samym z rąk Matki Dowodzącej jedną z kart przetargowych w chwili, kiedy rozpaczliwie potrzebowała środków na kupno nowych sprzymierzeńców i niezawodnej broni.

Utrzymywane w niewiedzy, skazane na wygnanie siostry nie zdawały sobie jeszcze sprawy z możliwości tych czerw. Główne właściwości chemiczne nowego melanzu skradzionego z Buzzella będą działały tysiąc razy silniej na ludzkie receptory nerwowe. O, będą działały naprawdę wspaniale!

Khrone zastanawiał się, czy Gildia Kosmiczna ma w ogóle pojęcie, że liniowiec Edryka został zniszczony. Było możliwe, że nie. Zginęło tak wielu ich nawigatorów, więc jakie znaczenie miał jeden więcej? Gdyby okazało się to konieczne, Khrone mógłby z łatwością zrzucić winę za utratę tego statku na flotę myślących maszyn, podsuwając tu i ówdzie parę wskazówek. Omnius świetnie się nadawał na kozła ofiarnego.

Miriady maskaradników założyły wszędzie haczyki. Ixanie wytwarzali rzekomą broń i opróżniali skrzynie nowego zgromadzenia żeńskiego z przyprawy, teraz zaś znikwały również kojotyły, które były innym źródłem bogactwa Kapitulacza. Gildia była całkowicie uzależniona od skomputeryzowanych urządzeń nawigacyjnych jej statków, a nawigatorzy nie mieli dostępu do melanzu.

Upadną wszyscy wrogowie maskaradników. Khrone

dopilnuje tego. Już zostali usunięci Utraceni Tleilaxanie i pierwotni mistrzowie. Ixan miał w kieszeni. Teraz kolej na nowe zgromadzenie żeńskie, Gildię i całą ludzkość. Na koniec, kiedy ze swoimi pachółkami pokona myślące maszyny, nie zostanie nikt oprócz maskaradników. I to wystarczy.

Zadowolony z siebie, Khrono pomaszerował na pomost i wyrwał sieć z kojotytyami kobietom, które starały się je sortować.

- Wasza produkcja dramatycznie spadła i zbyt wielu handlowców KHOAM odleciało stąd z pustymi rękami - powiedział.

Corysta trzymała się tuż za nim.

- Mam nadzieję, że uda nam się wynająć zawodowych myśliwych, którzy wytropią czerwie morskie - powiedziała. - Możliwe, że znajdziemy coś interesującego, być może cenniejszego od kojotytyw.

A więc ta kobieta podejrzewała już istnienie przyprawy!

- Wątpię - rzekł.

Wziął sieć pełną nieobrobionych kojotytyw i wrócił na lądowisko. Zastanowiwszy się nad rozkładem sił na ogromnej planszy, na której toczyła się gra, doszedł do wniosku, że pora w końcu skierować się ku sercu imperium myślących maszyn. Dostarczy Omniusowi superprzyprawę i pozwoli, by wszechumysł dalej realizował szalone marzenie o stworzeniu własnego Kwisatz Haderach i pokierowaniu nim.

I tak mu to nie pomoże.

Wierzmy, że przyznanie się do winy powinno prowadzić do przebaczenia i odkupienia. Zazwyczaj prowadzi jednak do dalszych oskarżeń.

- doktor Wellington Yueh,
zaszyfrowany wpis

W sali aksolotlowej unosił się odór śmierci. Duncan nie mógł oderwać wzroku od sztywnego, zimnego ciała kadzi z wyraźnymi oznakami martwicy. Był wściekły i bezradny. Kim byłoby to dziecko? Sziena nawet mu nie powiedziała. Te przekłete Bene Gesserit i ich sekrety!

- Niczego nie dotykajcie - ostrzegł Teg zgromadzonych w sali. - Dajcie mi zaraz wszystkie obrazy z kamer. Tym razem znajdziemy sabotażystę.

Jedna z sióstr poszła szybko po nagrania.

Tymczasem młody Thufir otoczył kordonem strefę wokół zniszczonej przez truciznę kadzi i nienarodzonego gholi. Prawie doszedłszy do siebie po próbie przywrócenia wspomnień, która się tak dramatycznie zakończyła, stosował się ściśle do zasad, których nauczył go baszar. Zjadliwa trucizna zupełnie rozłożyła rozwijający się płód, a potem przeżarła ściankę łona, które utrzymywało go przy życiu. Kadź spadła na podłogę i leżała w kałużach żółtego płynu, który z niej wyciekł.

- Sprowadź tutaj Jessikę - zwróciła się Sziena do jednej z sióstr. - Natychmiast.

Duncan obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Dlaczego Jessikę? - zapytał. - Jest podejrzana?

- Nie, ale to ją zrani. Może nie powinnam jej nawet mówić...

Teg dostał od jednej z Bene Gesserit obrazy holograficzne z kamery monitoringu.

- Przejrzę każdą sekundę nagrania - oświadczył. - Musi tam być jakiś dowód wskazujący zdrajcę wśród nas.

- Nie ma potrzeby przeglądać nagrań. To ja zabiłem tego gholę - rozległ się głos młodego mężczyzny. Wszyscy gwałtownie się odwrócili i zobaczyli ponurą twarz Wellingtona Yuego. - Musiałem. - Thufir skoczył i chwycił go za ramię. Yueh nie stawiał oporu. Stał bez ruchu, gotów odpowiedzieć na pytania, którymi go zasypią. - Możecie mnie ukarać, ale nie mogłem pozwolić, by z kadzi wyklął się następny wypaczony mentat. Piter de Vries spowodowałby tylko rozlew krwi i cierpienia.

Duncan natychmiast pojął konsekwencje wyznania Yuego, natomiast w głosie Szieny brzmiało zdumienie.

- Piter? O czym ty mówisz?

Yueh nie szarpał się w mocnym uchwycie Thufira.

- Na własne oczy przekonałem się o jego niegodziwości - ciągnął - nie mogłem więc dopuścić, byście go znowu sprowadziły. Przenigdy.

Akurat wtedy wpadła bez tchu do sali młoda Jessika z depczącą jej po piętach trzyletnią Alią. Alia miała bystre, skupione spojrzenie, pełne zrozumienia i świadczące o dojrzałości, którą nie powinna się wykazywać w swoim wieku. Trzymała pyzată lalkę

zdzumiewająco przypominającą młodzieńczą wersję otyłego barona Harkonnena. Jedna z rączek lalki była prawie zupełnie oderwana. Za babką wbiegł Leto II z zaniepokojoną, ale jednocześnie zaniepokojoną miną.

Sziena nadal nic nie rozumiała.

- Co wspólnego ma z tym wszystkim Piter de Vries? - zapytała.

Yueh skrzywił się z odrazą.

- Nie próbuj omotać mnie kłamstwami - rzekł. - Wiem, kim był ten ghola.

- To dziecko nie było Piterem de Vriesem. - Sziena powiedziała to normalnym tonem. - Byłby to książę Leto Atryda.

Yueh wyglądał, jakby otrzymał cios toporem.

- Nie było żadnych wątpliwości... przeprowadziłem porównania genetyczne!

Jessika słuchała, stojąc w drzwiach. Na jej twarzy pojawił się błysk nadziei, po czym spowił ją smutek.

- Mój Leto? - spytała.

Yueh próbował osunąć się na kolana, ale Thufir go podciągnął.

- Nie! - krzyknął lekarz Akademii Suka. - To niemożliwe!

Z przenikliwością godną dorosłego Alia chciała ująć matkę za rękę, ale Jessika odskoczyła od obojga dzieci i stanęła nad Yuem.

- Zabiłeś księcia? - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Znowu?

Wellington chwycił się za głowę.

- To niemożliwe. Widziałem wyniki na własne oczy.

To był Piter de Vries.

Thufir Hawat uniósł brodę.

- Przynajmniej znaleźliśmy sabotażystę - stwierdził.

- Nigdy nie zabiłbym księcia! Kochałem Leto...

- I zamordowałeś go dwukrotnie - powiedziała Jessica, dźgając go każdym, ostrym jak sople lodu słowem. - Leto, mój Leto...

Wydawało się, że komentarz Thufira w końcu dotarł do Yuego.

- Ale nie zabiłem trzech pozostałych gholi ani nie wyrządziłem krzywdy ich kadziom! - zaprotestował. - Nie dokonałem żadnego innego sabotażu!

- Jak możemy ci wierzyć? - rzekł Teg. - Będzie to wymagało drobiazgowego śledztwa. Przejrzę wszystkie dowody pod kątem tej nowej informacji.

Sziena była wyraźnie zmartwiona, ale jej słowa wszystkich zaskoczyły.

- Moje wyczucie prawdy skłania mnie do tego, by mu uwierzyć - oświadczyła.

Ciało kadzi i nienarodzony płód leżały na podłodze, rozkładając się. Wszystkie tkanki pokryte były czarnymi smugami, które biegły do rozszerzającej się kałuży. Yueh szarpnął się, by się w nią rzucić, jakby mógł się w ten sposób zabić.

Trzymając go w żelaznym uścisku, Thufir odciągnął go od niej.

- Jeszcze nie, z d r a j c o - powiedział.

- Nie przyjdzie z tego nic dobrego - rzekł stary rabbi, stając w drzwiach centrum medycznego. Nikt nie słyszał, jak nadchodził.

Zrozpaczony Yueh spojrział na niego.

- Zbadałem próbkę, którą mi dałeś! - krzyknął. - To był de Vries!

Starzec cofnął się jak spłoszony ptak. Wydawał się oburzony samą sugestią, że mógł sprowokować do tego czynu niezrównoważonego młodego człowieka.

- Owszem, dałem ci próbkę, którą pobrałem w laboratorium aksolotlowym - przyznał - ale tylko wysunąłem pewne wątpliwości. Nigdy nie sugerowałem, żebyś popełnił morderstwo! Morderstwo! Jestem sługą bożym, a ty lekarzem... lekarzem Akademii Suka! Kto mógłby sobie wyobrazić... - Pokręcił głową. - Kadź, którą zabiłeś, mogła być Rebecca! Nigdy bym ci nie zasugerował czegoś takiego.

Wszyscy w sali wymienili spojrzenia, zgadzając się milcząco, że jednak to Yueh musi być wymykającym im się dotąd sabotażystą.

- To nie ja - powiedział. - Nie w pozostałych przypadkach. Dlaczego miałbym się przyznać do tego, a wyprzeć innych aktów sabotażu? To taka sama zbrodnia.

- Absolutnie nie - wykrztusiła Jessika przez ściśnięte gardło. - To był mój książę...

Odwróciła się i wyszła. Yueh patrzył za nią błagalnie.

Każdy człowiek, bez względu na to, jak wielkim wydaje się altruistą czy miłośnikiem pokoju, ma w sobie zdolność do ogromnej agresji. Uważam tę cechę za szczególnie fascynującą, zwłaszcza że agresja może być przez długi czas uśpiona, a potem nagle wybuchnąć. Weźmy na przykład ich tradycyjnie potulne kobiety. Kiedy te dawczynie życia postanowią zacząć je odbierać, czynią to z taką zajadłością, że aż miło na to patrzeć.

- Erazm, notatki laboratoryjne

Zebranie Matek Wielebnych na Kapitularku szybko przerodziło się w kłótnię.

Kiria wstała z płonącym wzrokiem, odtrącając psi fotel.

- Matko Dowodząca, musisz się pogodzić z pewnymi faktami - powiedziała. - Ludność Kapitularki została wytrzebiona. Ixanie dotąd nie wyprodukowali obiecanych unicestwiaczy. Po prostu nie możemy wygrać tej walki. Kiedy przyznamy, że tak jest, będziemy mogli zacząć układać realistyczne plany.

Murbella spojrzała spokojnie zaczerwienionymi oczami na byłą Dostojną Matronę.

- Na przykład jakie? - zapytała.

Matka Dowodząca musiała się zajmować tyloma bieżącymi kryzysami, zobowiązaniami i nierozwiązywalnymi problemami, że ledwie mogła się

skupić na raportach napływających do opustoszałej w większości twierdzy. Epidemia minęła, więc każdy, kto miał umrzeć, już nie żył. Oprócz odizolowanych od reszty planety mieszkańców pustynnej Stacji Szakkada, jedynymi osobami, które przeżyły, były Matki Wielebne.

Przez cały ten czas myślące maszyny kontynuowały marsz przez przestrzeń kosmiczną, coraz głębiej przenikając na obszar Starego Imperium, chociaż wysłanie sond zwiadowczych i wirusów na Kapitularz oznaczało zmianę ich przewidywalnej wcześniej strategii. Omnius musiał zrozumieć znaczenie nowego zgromadzenia żeńskiego i zorientować się, że zwycięstwo nad nim mogło położyć kres rozproszonym walkom reszty ludzkości.

- Weźmy wszystko, czego potrzebujemy - odparła Kiria - skopiujmy nasze archiwa i zniknijmy w nieznanym, by stworzyć załączki kolonii. Myślące maszyny są nieustępliwe, ale możemy działać szybko i nieprzewidywalnie. Dla przetrwania ludzkości i zachowania zgromadzenia musimy się rozproszyć, rozmnożyć i p o z o s t a ć p r z y ż y c i u.

Pozostałe Matki Wielebne patrzyły na nią z rezerwą.

Murbella zawrzała gniewem.

- Te stare postawy co rusz okazują się niewłaściwe - powiedziała. - Nie możemy przetrwać, po prostu uciekając albo mnożąc się szybciej, niż Omnius będzie w stanie nas zabijać.

- Wiele sióstr uważa tak jak ja... to znaczy te, które jeszcze żyją. Przewodziłaś nam prawie ćwierć wieku i

twoja polityka zawiodła. Większość Kapitularda jest martwa. Obecny kryzys zmusza nas do rozważenia nowych alternatyw.

- Starych alternatyw, chcesz powiedzieć - rzekła Murbella. - Mamy zbyt wiele pracy, by odświeżać ten przebrzmiały spór. Czy test identyfikacji genetycznej maskaradników jest już gotowy do rozprowadzenia? Nasi naukowcy wiele tygodni badali trupy zmiennokształtnych i teraz musimy przesłać...

- Nie zmieniaj tematu, Matko Dowodząca! - przerwała jej Kiria. - Jeśli nie podejmiesz racjonalnej decyzji, jeśli nie widzisz, że musimy się dostosować do okoliczności, to wyzywam cię na pojedynek o przywództwo.

Laera odsunęła się w zdumieniu od stołu, natomiast Janess przyglądała się matce, nie okazując emocji. Kiedy epidemia dobiegła końca, baszarka wróciła z bitew na kresach.

Murbella pozwoliła sobie na chłodny uśmiech, zwracając się twarzą do Kirii.

- Myślałam, że już przed laty skończyliśmy z tym nonsensem - powiedziała zjadliwym głosem. Pokonała wiele pretendentek, każdą z nich zabijając. Ale Kiria była najwyraźniej gotowa poddać ją znowu tej próbie. - Wybierz czas i miejsce.

- Wybierz? To cała ty, Matko Dowodząca: odkładasz na później to, co trzeba zrobić teraz. - W okamgnieniu, poruszając się tak szybko, jak przebiegały impulsy w jej nerwach, Kiria skoczyła i wyrzuciła do przodu nogę. Murbella odsunęła się, wyginając do tyłu z giętkością,

która zdumiała nawet ją samą. Krawędź stopy Kirii przeszła powietrze o włos od jego lewego oka. Atakująca wylądowała na obu nogach, przyjmując postawę do walki. - Nie możemy wybrać czasu i miejsca zmagania. Musimy być zawsze gotowe, zawsze zdolne do zadania ciosu.

Znowu rzuciła się na Murbellę, tym razem z wyciągniętymi rękami i palcami wyprostowanymi jak pręty, by wbić je w jej gardło.

Matka Dowodząca zeszła z linii ciosu, okręciła się i zanim jej przeciwniczka zdążyła cofnąć rękę, chwyciła ją za ramię i dodawszy impet swojego obrotu, rzuciła ją na stół obrad. Posypały się arkusze ryduliańskiego papieru krystalicznego, a Kiria stoczyła się z blatu na psi fotel. W odruchu złości jej pięść przebiła się przez pokrytą futrem skórę łagodnego stworzenia. Polała się krew i żywy mebel skonał, ledwie zdoławszy pisnąć z bólu.

Murbella wskoczyła na stół i kopnięciem posłała rzutnik obrazów holograficznych wprost w przeciwniczkę. Ostra krawędź aparatu rozcięła Kirii czoło, a rana zaczęła obficie krwawić. Matka Dowodząca przykucnęła, gotowa do obrony przed frontalnym atakiem, ale Kiria dała nurka pod stół i podniosła się, przewracając go. Kiedy Murbella się zsunęła, Kiria przeleciała nad przewróconym meblem i spadłszy na nią jak jastrząb, zacisnęła na jej gardle żylaste ręce niczym szpony. Była to prymitywna, ale skuteczna metoda zabójstwa.

Murbella dźgnęła Kirię wyprostowanymi palcami w

boki z taką siłą, że złamała jej dwa żebra, ale usłyszała też obrzydliwy trzask pękających kości własnych palców. Zamiast się cofnąć, jak się spodziewała Matka Dowodząca, Kiria skrzywiła się tylko z bólu, uniosła Murbellę za ramiona i trzasnęła jej głową o podłogę.

Murbelli zadzwoniło w uszach i poczuła, że pęka jej czaszka. Przed oczami zamigotały jej, niczym sępy czekające na świeżą padlinę, czarne plamki. Musiała zachować przytomność, musiała nadal walczyć. Gdyby teraz zasłabła, Kiria by ją zabiła. A gdyby została tutaj pokonana, straciłaby nie tylko życie, ale również władzę nad zgromadzeniem żeńskim. W tej chwili mogły się ważyć losy całego rodzaju ludzkiego.

Janess patrzyła na matkę z bólem, ale Laera i pozostałe Matki Wielebne były dobrze wyszkolone, więc nie będą interweniować. Zjednoczenie z Dostojnymi Matronami wymagało od Bene Gesserit pewnych ustępstw, w tym zgody na to, że każda siostra ma prawo wyzwać Matkę Dowodzącą na pojedynek o przywództwo.

Kiria nadal ją dusiła i Murbella wyęczała wszystkie siły, by złapać oddech. Zablockowawszy ból złamanych palców, uderzyła mocno dłońmi Kirię w uszy. Kiedy ogłuszona przeciwniczka się zatoczyła, Murbella wyrwała jej zakrzywionym palcem wskazującym prawe oko. Twarz Kirii zalały krew i zmiażdżone, galaretowate ciało szkliste.

Kiria szarpnęła się do tyłu i wstała, ale Murbella również poderwała się i zasypała ją gradem ciosów i kopnięć. Mimo to jej rywalka nie była jeszcze

pokonana. Uderzyła piętą w jej mostek, a potem po łuku stopą w brzuch. Coś pękło wewnątrz; Murbella czuła, że jest ranna, ale nie wiedziała, jak poważnie. Czerpiąc z rezerw energii, odrzuciła Kirię barkiem w bok.

Dostojna Matrona ściągnęła wargi, ukazując zakrwawione dziąsła i zęby. Zebrała wszystkie siły, by uderzyć, nie zważając na zmiażdżone oko. Jednak kiedy przeniosła stopę, pośliznęła się na krwi psiego fotela rozmazanej na gładkiej posadzce. Straciła równowagę tylko na chwilę, ale Murbelli wystarczyło to do zdobycia przewagi. Bez wahania wymierzyła Kirii tak potężny cios w szyję, że złamała rękę w przegubie... oraz kark rywalki. Kiria padła martwa na posadzkę.

Murbella zachwiała się i wtedy wyskoczyła zza stołu Janess z zatroskaniem na twarzy, gotowa pomóc matce, swojej przełożonej. Murbella podniosła rękę. Dłoń zwisała bezwładnie, ale Matka Dowodząca usunęła grymas bólu z twarzy.

- Jestem w stanie utrzymać się na nogach - powiedziała.

Niektóre młodsze Matki Wielebne cofnęły się z rozszerzonymi oczami pod ściany sali obrad.

Murbella niczego tak nie pragnęła, jak osunąć się na podłogę obok ciała swojej ofiary i pozwolić, by zapanowały nad nią ból i wyczerpanie, ale nie mogła sobie na to pozwolić - nie w obecności tylu obserwujących ją Matek Wielebnych. Nie mogła sobie pozwolić na okazanie choćby przez chwilę słabości, zwłaszcza teraz.

Wyrównała oddech i przywołała resztki sił.

- Teraz pójdę do siebie, by się wykurować - powiedziała spokojnie, a potem rzekła ciszej do córki: - Janess, każ mi przysłać z kuchni napój energetyczny. - Zerknęła lekceważąco na martwą Kirię, po czym podniosła wzrok na Janess, Laerę i zdjęte podziwem obserwatorki. - A może któraś z was chce wykorzystać mój stan i rzucić mi wyzwanie? - Podniosła złamaną w nadgarstku rękę.

Nie zgłosiła się żadna.

Przy wewnętrznych i zewnętrznych obrażeniach, nie pamiętała, jak wróciła do swoich apartamentów. Szła powoli, ale nie przyjęła od nikogo pomocy. Pozostałe Matki Wielebne, wyczuwając jej determinację, zostawiły ją samą.

W pogrążonym w półmroku pokoju czekał już na nią napój przyprawowy.

„Ile czasu zajęło mi dotarcie tutaj?” - pomyślała.

Już po pierwszym łyku poczuła, że wraca jej energia. Pobłogosławiła w duchu Janess - córka przyrządziła jej wyjątkowo mocny napój.

Zostawiwszy wiadomość, by jej nie przeszkadzano, zamknęła drzwi i wypila resztę odmładzającego płynu. Przyspieszył on leczenie, do którego już przystąpiła, delikatnie sondując umysłem rozmiar obrażeń. W końcu pozwoliła, by jej zmysły zalała fala bólu, i starannie oceniła, co zrobiła jej Kiria. Stopień obrażeń wewnętrznych przeraził ją. W żadnej z poprzednich walk nie była tak bliska przegranej.

„Czy reszta Matek Wielebnych stanie za mną, czy też zaczną węszyć jak głodne hieny, by znowu wyczuć

moje słabe punkty?" - zastanawiała się.

Nie mogła sobie pozwolić na stratę czasu i energii jaką byłaby walka z własnymi siostrami. Po epidemii i tak niewiele z nich zostało przy życiu. A jeśli do zgromadzenia żeńskiego znowu przeniknęli maskaradnicy? Czy któryś z nich, wyszkolony w egzotycznych sztukach walki, nie mógłby podszyć się pod rywalkę z grona byłych Dostojnych Matron i zabić jej? A gdyby jakiś maskaradnik został Matką Dowodzącą? Wtedy rzeczywiście wszystko byłoby stracone.

Wyciągnęła się na łóżku, zamknęła oczy i zapadła w uzdrawiający trans. Liczył się czas. Musiała odzyskać pełnię sił. Maszyny Omniusa zlokalizowały ten świat i wkrótce się pojawia.

Każdy człowiek rzuca cień... niektórzy ciemniejszy niż inni.

- *Pieśń szariatu*

Kiedy przesłuchiowano aresztowanego Yuego, doszło do kolejnego sabotażu.

Bene Gesserit wezwały pasażerów do wielkiego audytorium na kryzysowe zebranie.

Szczególnie wzburzona wydawała się Garimi. Duncan Idaho i Miles Teg byli czujni. Scytale, zawsze osoba z zewnątrz, obserwował w skupieniu zebranych.

„Co się zdarzyło tym razem? - myślał. - I czy mnie o to obwinia?”

Czy było to coś gorszego od zamordowania kolejnego gholi i kadzi aksolotlowej? Czyżby zabito jeszcze kogoś? A może opróżniono następny zbiornik wody, uszczuplając świeże jej zapasy, które zrobili na Qelso? Może skażono zapasy przyprawy? Zniszczono zbiorniki produkujące żywność? Albo zrobiono krzywdę siedmiu czerwiom?

Tleilaxanin usiadł wygodnie w fotelu i przyglądał się, jak pozostali napływają z korytarzy i zajmują miejsca w grupkach przyjaciół albo osób mających to samo zdanie. Emanowało od nich wyczuwalne napięcie. Zebrało się ponad dwustu pasażerów, w większości zaniepokojonych, zaniepokojonych albo wystraszonych. W odizolowanych sekcjach statku zostało tylko kilka opiekunek z młodszymi dziećmi, które urodziły się podczas podróży. Pozostałe miały już tyle lat, że można

je było traktować jak osoby dorosłe.

Oświadczenie wygłosił sam baszar.

- Z zamkniętej zbrojowni zniknęły miny - powiedział.
- Osiem ze stu dwunastu, na pewno dosyć, by poważnie uszkodzić ten statek.

Po krótkiej ciszy rozległ się gwar oskarżeń, stłumionych okrzyków przerażenia i szeptów.

- Miny - powtórzył Teg. - Na Kapitularzu zostały rozmieszczone wokół tego statku jako mechanizm samozniszczenia, na wypadek gdyby Duncan czy ktoś inny próbował go ukraść. Teraz ośmiu brakuje.

Sziena stanęła obok baszara.

- Sama je rozbroiłam, żeby ta jednostka mogła uciec - powiedziała. - Znajdowały się w bezpiecznym, zamkniętym pomieszczeniu, ale zniknęły.

- Skoro ich nie ma, mogły zostać wyrzucone w przestrzeń kosmiczną... albo rozmieszczone na statku jak bomby z opóźnionym zapłonem - powiedział Idaho.

- Podejrzewam to drugie i myślę, że sabotażysta ma dalsze plany.

- Widzicie? - jęknął głośno rabbi. - Kolejny przykład nieudolności. Powinienem był zostać z moimi ludźmi na Qelso.

- Może to ty je ukradłeś! - warknęła Garimi.

Wyglądał na wstrząśniętego.

- Jak śmiesz mnie oskarżać?! - krzyknął z oburzeniem. - Duchownego mojej rangi? Najpierw Yueh mówi, że nakłoniłem go do zamordowania płodu gholi, a teraz ty uważasz, że ukradłem materiały wybuchowe?

Scytale wiedział, że wąły starzec nie uniósłby nawet jednej ciężkiej miny, a co dopiero ośmiu.

- Yueh był pod stałym, ścisłym nadzorem Thufira Hawata i moim - rzekł Teg. - Nawet jeśli zabił każdą aksolotlową i rozwijającego się w niej ghole, nie mógł ukraść tych min.

- Chyba że ma współnika - powiedziała Garimi, co wzbudziło następną falę pomruków.

- Odkryjemy, kto je wziął - ucięła tę sprzeczkę Sziena. - I gdzie je ukryto.

- W minionych trzech latach już wiele razy słyszeliśmy podobne obietnice - kontynuowała Garimi, obrzuciwszy Tega i Hawata ponurym, znaczącym spojrzeniem. - Ale nasza służba bezpieczeństwa jest zupełnie nieudolna.

W jednym z pierwszych rzędów siedział obok Chani i Jessiki Paul Atryda.

- Mamy pewność, że te miny zniknęły niedawno? - zapytał. - Jak często sprawdza się zbrojownię? Może zabrali je Liet-Kynes albo Stilgar do walki z trociami piaskowymi, nic nam o tym nic mówiąc.

- Powinniśmy opuścić statek - rzekł rabbi. - Znaleźć inną planetę albo wrócić na Qelso. - Jego głos drżał. - Gdybyście, czarownice, nie... nie... zabrały mi Rebecki, byłbym teraz bezpieczny z moimi ludźmi. Wszyscy moglibyśmy się tam osiedlić.

Garimi spojrzała na niego pochmurnym wzrokiem.

- Rabbi - powiedziała - od lat zachęcasz do sprzeciwu swoimi przytykami i destrukcyjnymi argumentami, nie przedstawiając żadnej alternatywy.

- Mówię prawdę, tak jak ją widzę. Te skradzione miny są tylko ostatnim ogniwem długiego łańcucha aktów sabotażu. Moja Rebecca pozostaje żywa wyłącznie przez przypadek, bo cztery inne kadzie aksolotlowe zostały zamordowane. A kto uszkodził układy podtrzymywania życia i zbiorniki z wodą? Kto skaził kadzie alg i zniszczył maty filtrujące powietrze? Kto oblał kwasem uszczelki okien obserwacyjnych w ładowni, w której są czerwie? Wśród nas jest przestępca i poczyną sobie coraz śmielej! Dlaczego go nie znajdziecie?

Scytale siedział cicho i nie zwracając na siebie uwagi, przysłuchiwał się debacie. Wszyscy bali się, że dojdzie do kolejnych przypadków sabotażu, a skradzione miny miały wystarczającą siłę, by poważnie uszkodzić lub nawet zniszczyć wielki statek.

Tleilaxanin nie miał wątpliwości, że w końcu, z powodu jego rasy, podejrzenia padną na niego, ale mógł dowieść swojej niewinności. Miał zapiski laboratoryjne, nagrania z kamer, solidne alibi. Niemniej jednak ktoś dopuścił się tych aktów sabotażu.

Kiedy wyczerpujące zebranie się skończyło, naburmuszony rabbi przeszedł obok Scytale'a, mówiąc, że idzie czuwać przy Rebecce, by „mieć pewność, że nikt nie spróbuje jej zabić!” Gdy starzec go mijał, Tleilaxanin wyczuł jego zwykły, lekki, ale dziwny zapach.

Instynktownie zagwizdał ledwie słyszalną, skomplikowaną melodię, którą pamiętał z poprzednich wcieleń. Rabbi zignorował go i odszedł sztywnym

krokiem. Scytale zmarszczył brwi. Nie był pewny, czy mu się nie przywidziało, że starzec się zawahał.

Bóg jest Bogiem i tylko On daje życie. Jeśli sam Bóg nie ma siły przetrwać, to nie zostaje nam nic prócz rozpacz.

- *Pieśń szariatu*

Każde badanie Rakis dawało ten sam wynik. Przetrwało tylko kilka niewielkich fragmentów jej ekosystemu. Planeta była pusta i wyglądała upiornie, ale najwyraźniej miała wolę życia. Wbrew przewidywaniom i nauce Rakis nadal utrzymywała uparcie swoją rzadką atmosferę i resztki wilgoci.

Twardzi poszukiwacze Guriffa z radością przyjęli zapasy, które Waff i gildianie ofiarowali im w geście przyjaźni. Waff zrobił to głównie po to, by zostawili go samego, kiedy będzie prowadził swoje „badania geologiczne”. Poszukiwacze zaopatrywały jednostki KHOAM, które przylatywały nieregularnie, by sprawdzić, jak posuwa się ich praca, ale Guriff nie miał pojęcia, kiedy pojawi się następny statek. Mistrz tleilaxański wziął z liniowca dość paczkowanej i puszkowanej żywności, by przeżyć kilka lat, jeśli tylko jego pogarszające się zdrowie pozwoli mu przetrwać tak długo.

Nade wszystko musiał się opiekować swoimi czerwiami.

Tak jak miał nadzieję, poszukiwacze spędzali dni i noce na kopaniu, łudząc się, że znajdą legendarne, ukryte przez Tyrana zapasy melanzu. Ocieplone niskoloty zwiadowcze stawiały czoło klimatowi, wożąc czujniki i sondy w rejony podbiegunowe, natomiast na

miejscu ludzie Guriffa robili odwierty próbne, bezskutecznie szukając jakichkolwiek żył przyprawy.

W dużym kontenerze z liniowca Edryka znajdował się pojazd naziemny z szeroką platformą, który mógł się poruszać w najtrudniejszym nawet terenie. Kiedy poszukiwacze odeszli, Waff wezwał czterech gildian. Z dała od wścibskich oczu załadowali długie, wypełnione piaskiem pojemniki na skrzynię pojazdu. Waff uda się z nimi na pielgrzymkę na zwęglone i zeszkłone pustkowia, które były niegdyś morzem wydm.

- Sam wypuszcze te osobniki. Nie potrzebuję waszej pomocy - rzekł i polecił gildianom, by wrócili do namiotów o sztywnych ścianach. - Zostańcie tutaj i przygotujcie posiłek... i dołóżcie starań, by zrobić to w uświęcony tradycją sposób. - Dał im szczegółowe wytyczne co do właściwych metod. - Kiedy wypuszcze czerwie, wrócę tu, żeby to uczcić.

Nie chciał, by Guriff i jego ludzie czy któryś z tych niegodnych zaufania pomocników był świadkiem takiej wzruszającej, świętej chwili. Dzisiaj przywróci Proroka Rakis, planecie, na której było jego miejsce. Włożywszy strój ochronny, wprowadził współrzędne i odjechał z dwoma długimi akwariami na platformie pojazdu naziemnego. Kierował się na wschód, gdzie wstawał czerwono-pomarańczowy świt.

Chociaż krajobraz był zniszczony, zerodowany i zmieniony nie do poznania, Waff dokładnie wiedział, dokąd jedzie. Przed przybyciem na Rakis dokopał się do starych map, a ponieważ unicestwiacze Dostojnych Matron zmieniły nawet pole magnetyczne planety,

dokładnie przeskalował te mapy według pomiarów, które przeprowadził na orbicie. Dawno temu Boży Wysłannik celowo zabrał go do siczy Tabr. Czerwie musiały uważać to miejsce za święte, Waffowi nie przychodziło więc do głowy bardziej odpowiednie do wypuszczenia opancerzonych, wzmocnionych stworzeń. Właśnie tam prowadził pojazd.

Zeszkłona powierzchnia skąpana była w niesamowitych kolorach światła padającego z zasnutego kurzem nieba. Ze zbiorników za plecami Waffa dochodziły głuche odgłosy uderzeń czerwii o ściany. Stworzenia wiły się niecierpliwie, chcąc jak najszybciej wypaść na otwartą pustynię, znaleźć się w domu.

Jeszcze na liniowcu Waff obserwował rzucające się i stające dęba stworzenia. Wiedział, że czerwie są groźne, ale długie zamknięcie w małych zbiornikach wysysało z nich siły. Nawet w dokładnie kontrolowanych warunkach nie zdołał odtworzyć optymalnego dla nich środowiska, były więc osłabione. Coś poszło źle.

Czuł jednak przypływ nadziei. Teraz, kiedy znalazł się tutaj, wszystko dobrze się ułoży. Święta Rakis! Mógł się tylko modlić, by ten okaleczony pustynny świat dostarczył czerwiom to, czego on nie był w stanie im dać, by okazał się łaskawy dla Proroka.

Kiedy dotarł na równinę i zobaczył stopione skały, przypomniał sobie łańcuch gór, które osłaniały grób fremeńskiej osady. Zatrzymał pojazd. Piaszczystą niegdyś okolicę pokrywała zeszkłona skorupa - okruchy skał stopione przez żar niewyobrażalnie potężnej broni. Ale czerwie będą wiedziały, co robić.

Waff stanął na chwilę za pojazdem, zamknął oczy i odmówił modlitwę do Boga i Jego Proroka. A potem teatralnym gestem usunął plazowe ściany zbiorników, z których zaczął się wysypywać piasek. Wystrzeliły z nich niczym zwolnione sprężyny węzowate kształty i spadły na ziemię wokół pojazdu. Waff patrzył z zachwytem na grube, pierścieniowate ciała i na płynne jak u pytonów ruchy.

- Idź, Proroku! - powiedział. - Odzyskaj swój świat.

Osiem czerwii rozpełzło się po twardej, gładkiej powierzchni. O s i e m , święta dla Tleilaxan liczba.

Kiedy patrzył na nie z respektem, uwolnione stworzenia ruszyły w wybranych na chybił trafił kierunkach. Miał nadzieję, że się przebiją przez stopiony piach, do czego je przystosował, i zanurzą w mniejszych niższych warstwach. Każdy miał wszczepiony mały nadajnik, dzięki któremu Waff będzie mógł śledzić ich trasy i kontynuować badania.

Jednak czerwie zawróciły i okrążyły pojazd. Podpełzały coraz bliżej. Polowały na niego. Waff zastygł z przerażenia. Były z pewnością wystarczająco duże, by go zaatakować i zabić.

- Proroku, nie czyn mi krzywdy - rzekł błagalnie. - Przywiozłem cię z powrotem na Rakis. Możesz znowu ustanowić tutaj swoje królestwo.

Czerwie uniosły tępe łby i zaczęły nimi kiwać w przód i w tył.

„Czy próbują przekazać mi jakieś posłanie?” - zastanawiał się. Usilnie starał się je zrozumieć. Czyżby ich hipnotyzujące ruchy były jakimś obcym tańcem? A

może manewrem drapieżników?

Nie ruszał się. Czekał.

Jeśli otoczenie było dla nich zbyt surowe, jeśli Prorok musiał go pożreć, by przeżyć, Waff gotów był złożyć w ofierze swoje niszczące ciało. Jeśli ma to być koniec, niech się tak stanie.

Nagle, jakby na niesłyszalny dla Tleilaxanina sygnał, czerwie odwróciły się i popędziły w dal, tłukąc giętkimi pierścieniami o zeszkloną powierzchnię wydm. Po pewnym czasie zatrzymały się, uniosły pokryte pancerzem łby i uderzyły nimi w twardy grunt. Rozłupały skorupę i zanurkowały pod nią, drążąc tunele w czystym, wyjałowionym piasku. Powracają na pustynię! Serce Waffa wezbrało dumą. Wiedział, że przeżyją.

Kiedy wrócił do pojazdu, zdał sobie sprawę, że ma w oczach łzy.

Kiedy zbierze się siły i przystąpi do ostatecznej bitwy, o jej wyniku może przesądzić zaledwie parę chwil. Zapamiętajcie to: zanim padnie pierwszy strzał, bitwa jest już w połowie zakończona. O zwycięstwie lub klęsce mogą zdecydować przygotowania, które rozpocznie się kilka tygodni, a nawet miesiące, wcześniej.

- baszar Miles Teg, skierowana
do Bene Gesserit prośba o przydział środków

Główny wytwórca Shayama Sen zgodził się przybyć na Kapitularz, ale pozostał na swoim statku na orbicie, z dala od planety. Chociaż zaraza wygasła, ixański dygnitarz wolał nie narażać się na kontakt z jej ewentualnymi pozostałościami.

Murbella musiała pofatygować się do niego, by przekazać mu żądania, ale przystał na spotkanie z nią tylko pod warunkiem, że podda się wymogom kwarantanny. Czuła się głupio i bezradnie, zamknięta niczym okaz laboratoryjny w kuli dekontaminacyjnej. Zewnętrzna jej powłoka, chociaż osmalona wskutek tarcia podczas przechodzenia przez atmosferę, poddana została dodatkowemu napromieniowaniu i innym zabiegom odkażającym. Zbyteczne środki ostrożności, dmuchanie na zimne. Po chwili jednak Murbella przyznała, że była to usprawiedliwiona paranoja. Ale chociaż nie winiła Ixanina za takie nadzwyczajne kroki, musiał się wytłumaczyć z wielu spraw.

Czekając w zamkniętej kapsule na pokładzie statku Gildii (którym zamiast nawigatora kierował kompilator matematyczny), uspokoiła się. Wciąż obolała i poobijana po pojedynku z Kirią, pocieszała się myślą, że jej gwałtowna reakcja na tę próbę rozwiązania siłowego była konieczna. Teraz nie rzuci już jej wyzwania żadna ze zrozpaczonych sióstr, więc pozycja Matki Dowodzącej nie będzie kwestionowana.

Jeszcze raz Murbella przeklęła zbuntowane Dostojne Matrony za bezmyślne zniszczenie ogromnych stoczni i zakładów zbrojeniowych na Richese. Gdyby do tego nie doszło, uzbrojenie produkowałyby zarówno Ix, jak Richese, dzięki czemu ludzkość mogłaby stworzyć znaczący system obronny. Teraz, kiedy Ix był głównym ośrodkiem przemysłowym, Shayama Sen uważał, że może być nieustępliwy. Krótkowzroczni głupcy!

Główny wytwórca wmaszerował do dużego pomieszczenia o metalowych ścianach i usiadł wygodnie naprzeciw niej. Wyglądał na zadowolonego z siebie, natomiast Murbella czuła się jak zwierzę w klatce ogrodu zoologicznego.

- Dlaczego oderwałaś mnie od pracy, Matko Dowodząca?

Mimo iż znajdowała się w krępującym położeniu, Murbella próbowała zapanować nad sytuacją.

- Mieliście trzy lata na skopiowanie unicastwaczy, które wam dostarczyłyśmy - powiedziała - tymczasem za zapłaty w melanżu otrzymywałyśmy tylko doniesienia o prowadzonych przez was badaniach i obietnicę za obietnicą. Wróg zniszczył już ponad sto

planet, a jego statki stale posuwają się naprzód. Sam Kapitułarz został niemal unicestwiony przez niedawną zarazę.

Sen pochylił głowę w oficjalnym ukłonie.

- Jesteśmy tego w pełni świadomi, Matko Dowodząca - rzekł. - Proszę przyjąć moje kondolencje.

Wstał i nalał sobie szklanę wody z dzbanka, po czym zaczął się przechadzać po dużym pomieszczeniu, popisując swobodą ruchów.

Murbella poczuła, że szyja i policzki palą ją ze złości. Jak ten człowiek mógł mówić tak spokojnie w obliczu zagłady ludzkiej cywilizacji?

- Domagamy się broni, którą nam obiecaliście... i to bez dalszej zwłoki - powiedziała.

Sen złączył paznokcie z wdrukowanymi w nie obwodami, patrząc pustym wzrokiem na kulę, w której była uwięziona.

- Ale nie dostaliśmy jeszcze pełnej zapłaty, a dochodzą nas słuchy, że nowe zgromadzenie żeńskie jest w tragicznej sytuacji finansowej - rzekł. - Jeśli nadal będziemy poświęcać wszystkie nasze zasoby na prace nad tymi unicestwiaczami, a wy nie dotrzymacie...

- Uzgodniona ilość melanzu będzie wasza w chwili, kiedy skończycie instalować unicestwiacze na naszych nowych statkach wojennych - przerwała mu. - Wiesz o tym. - Nie mogła pozwolić, by Sen odkrył, że rozdała Matkom Wielebnym mnóstwo zgromadzonej przyprawy, by pomóc im zwalczyć zarazę.

- Tak, ale jeśli wasza przyprawa jest skażona przez zarazę, to co nam z niej przyjdzie? Czym innym

możecie zapłacić?

Murbella nie mogła uwierzyć, że jest tak ślepy.

- Przyprawa nie jest skażona - powiedziała. - Zastosujemy wszelkie metody sterylizacji, jakich zażądacie.

- A jeśli nie będzie już po nich działała?

- To damy wam ją w oryginalnej postaci, byście sami ją odkazili w taki sposób, jaki uznacie za stosowny. Przestań spierać się o nonsensowne szczegóły, kiedy całemu rodzajowi ludzkiemu grozi zagłada!

Sen zrobił zgorszona minę.

- Nazywasz to nonsensownymi szczegółami? - rzekł.

- Właściwości przyprawy są złożone i takie drastyczne środki mogłyby negatywnie na nie wpłynąć. Ta substancja nie ma dla nas żadnej wartości, jeśli nie możemy jej użyć.

- Wirusy roznoszące zarazę żyją krótko. Jeśli nie przenoszą się z jednego żywiciela na drugiego, choroba szybko wygasa. Umieśćcie przyprawę na rok na księżycu, na którym nie ma powietrza, jeśli wolicie.

- Ale związane z tym trudności i niedogodności... Uważam, że w tych okolicznościach powinniśmy renegocjować cenę.

Gdyby nie ściany pojemnika, Murbella zabiłaby go za tę bezczelność.

- Masz pojęcie, ile zniszczeń spowodował wróg? - zapytała.

Wydał usta.

- Pozwól, Matko Dowodząca, że odpowiem bez bawienia się w subtelności: to Dostojne Matrony

sprowokowały wroga z zewnątrz do wysłania floty przeciw nim i w konsekwencji przeciw reszcie ludzkości. Stowarzyszenie się z dziwkami było wyrazem waszej głupoty i teraz płaci za to cały rodzaj ludzki. Ix nie ma żadnych kwestii spornych z najeźdźcami. Skoro roboty te wyewoluowały ze starożytnych myślących maszyn, to jest możliwe, że my, Ixanie, mamy więcej wspólnego z nimi niż z manipulatorekami o morderczych skłonnościach.

„Aha”. Teraz zaczynała rozumieć. Słuchając ostrego tonu Odrade w niej i tysiąca innych Matek Wielebnych gorączkowo dających jej rady, Murbella zmusiła się do zachowania spokoju. Było jasne, że Ixanin stara się zvekslować rozmowę na inne tory. Ale po co? Żeby odwrócić jej uwagę? Czy nie posunęli się tak daleko w konstruowaniu unicastwaczy, jak twierdził? Czy ich produkcja się opóźniała?

Wybrała zagranie, które - miała nadzieję - zamknie mu usta.

- Zgadzam się na trzydziestoprocentowe zwiększenie ustalonej wcześniej ilości przyprawy, która zostanie umieszczona na funduszu powierniczym w wybranym przez was oddziale Banku Gildii - powiedziała. - Spodziewam się, że to wystarczająca rekompensata za wszelkie niedogodności? Jednak zapłata uzależniona będzie od faktycznej dostawy broni wymienionej w umowie. Gildia dostarczyła nam nowe statki wojenne. A gdzie są moje unicastwacze?

Shayama Sen uklonił się, przyjmując ofertę i wycofując zastrzeżenia.

- Nasze światy przemysłowe pracują pełną parą - odparł. - Możemy natychmiast rozpocząć montowanie unicestwiaczy na waszych nowych statkach.

- Wydam więc rozkazy - powiedziała. Krążyła w kuli dekontaminacyjnej jak tygrys lazajski. Woń sączących się przez filtry powietrza środków dezynfekujących przyprawiała ją o mdłości. Pomyślała, że system wentylacyjny nie działa prawidłowo. - Skąd mamy wiedzieć, że ta broń będzie działała tak, jak obiecujesz?

- Dostarczyłyście nam oryginały, a my wiernie je skopiowaliśmy. Jeśli oryginały działały, to ich kopie też się sprawdzą.

- Oryginały działały. Widziałeś, co zostało z Rakis i Richese!

- Wobec tego nie macie się czego obawiać.

- Domagam się zgody na rozmieszczenie od tej pory w waszych fabrykach nadzorców linii montażowych i inspektorek Bene Gesserit. Będą dbały o to, byście wywiązywali się z zobowiązań, i strzegły przed sabotażem.

Shayamie Senowi nie w smak było to żądanie, ale nie potrafił znaleźć żadnych rozsądnych argumentów, by go nie spełnić.

- Jeśli twoje kobiety nie będą nam przeszkadzały, damy im dostęp do zakładów - powiedział w końcu. - To wszystko?

- Musimy też obejrzeć udaną próbę broni przed wyruszeniem w bój.

Sen znowu się uśmiechnął.

- Chciałabyś, żebyśmy unicestwili jakiś świat tylko

po to, by dowieść swego? - rzekł. - Hmm, widzę, że w nowym zgromadzeniu żeńskim przetrwały metody Dostojnych Matron. - Zachichotał. - Przekażę wam pełne dane z naszych poprzednich prób, a nawet zorganizuję nowy pokaz, jeśli sobie tego życzysz.

- Przeanalizujemy wasze dane, główny wytwórco. Prześlij je na Kapitularz i zorganizuj pokaz, żebym mogła to zobaczyć na własne oczy.

Znowu złożył swoje silikonowe paznokcie. Był to irytujący nawyk.

- Dobrze - oznajmił. - Znajdę jakąś ładną planetoidę, którą będzie można wysadzić dla twojej rozrywki.

Murbella przycisnęła się do wypukłej, przezroczystej ściany kuli.

- Domagam się jeszcze jednego - powiedziała. - Na wielu światach znaleziono maskaradników manipulujących ich rządami i osłabiających nasze zdolności obronne. Niektórym udało się nawet przeniknąć na Kapitularz. Muszę mieć pewność, że ty nie jesteś maskaradnikiem.

Sen aż się cofnął z zaskoczenia.

- Oskarżasz mnie o to, że jestem wrogiem, zmiennokształtnym agentem?! - rzucił z oburzeniem.

Murbella opierała się o solidną ścianę, przyglądając mu się chłodno. Jego oburzenie w ogóle jej nie przekonywało. Poruszyła znajdującymi się w kapsule urządzeniami sterującymi i tuż nad jej podstawą otworzyła się mała wnęka. Był w niej pojemnik sterylizacyjny, autoklaw i kąpiel chemiczna. Z pakietu nadal unosiła się para.

- To opracowane przez nas urządzenie testujące - wyjaśniła. - Po zbadaniu maskaradników znalezionych wśród naszych zmarłych przeprowadziłyśmy analizy genetyczne i stworzyłyśmy ten niezawodny wskaźnik. Główny wytwórco, poddasz się teraz, na moich oczach, temu testowi.

- Nie - prychnął.

- Albo to zrobisz, albo nie dostaniecie od nas ani grama melanżu.

Sen znowu zaczął chodzić po pomieszczeniu, marszcząc czoło.

- Co to za test? - zapytał. - Jak działa?

- Wskaźnik jest w przeważającej części zautomatyzowany. - Murbella wyjaśniła mu zasady jego działania i prosty sposób przeprowadzenia testu. - W ramach premii możemy zezwolić Ixowi na wytwarzanie go w dużych ilościach. Jest mnóstwo podejrzliwych ludzi, którzy wszędzie widzą maskaradników. Możecie nieźle zarobić na sprzedaży tych zestawów.

Sen chwilę się zastanawiał.

- Może masz rację - rzekł w końcu.

Stojąc blisko kapsuły, żeby Murbella widziała każdy jego ruch, zrobił, co należało. Na ile Matki Wielebne się orientowały, urządzenie niełatwo było oszukać, a główny wytwórca nie miał czasu, żeby wymyślić jakiś wybieg. Czekala z zaciekawieniem na wynik i odetchnęła z ulgą, kiedy test wykazał, że Shayama Sen jest człowiekiem. Nie był maskaradnikiem.

Z irytacją na twarzy podniósł wskaźnik, żeby mogła mu się przyjrzeć.

- Jesteś teraz zadowolona? - zapytał.

- Tak. I radzę, żebyś poddał temu testowi wszystkich waszych głównych inżynierów i szefów zespołów. Ix jest prawdopodobnym celem dla agentów wroga. Mogą próbować tam przeniknąć. To jeszcze jeden powód, żeby siostry nadzorowały ważne prace, które dla nas wykonujecie.

Sen wydawał się autentycznie zaniepokojony, jakby ta możliwość nigdy nie przyszła mu do głowy.

- Przyjmuję twój argument, Matko Dowodząca - powiedział. - Sam chciałbym zobaczyć te wyniki.

- Wobec tego dołącz je do danych o próbach unicestwiaczy, które nam prześlesz. Tymczasem przygotuj się do zainstalowania tej broni na wszystkich nowych statkach wojennych wychodzących ze stoczni na Węźle. Zamierzamy przystąpić do zmasowanej ofensywy przeciwko flocie myślących maszyn.

Każdej czującej formie życia potrzebne jest miejsce, w którym panuje zupełny spokój, do którego można później wracać pamięcią i za którym tęskni ciało.

- Erazm, uwagi o kontemplacji

- Jesteś wśród nas już ponad rok, pora więc, Paolo, bym pokazał ci moje szczególne miejsce. - Niezależny robot machnął metalową ręką i jego majestatyczne szaty owinęły się wokół niego. - Oczywiście tobie też, baronie Harkonnen.

Baron spojrzał na niego gniewnie.

- Twoje szczególne miejsce? - odparł pełnym sarkazmu głosem. - Jestem pewien, że będziemy oczarowani miejscem, które robot uważa za szczególne.

W czasie, który spędził już z Paolem w Synchronii, baron pozbył się strachu przed myślącymi maszynami. Wydawały się drętwe i napuszone, a przy tym mało impulsywne. Omnius uważał, że potrzebuje Paola, a także jego, by trzymał młokosa w ryzach, więc obaj byli względnie bezpieczni. Mimo to baron chciał pokazać, że ma trochę charakteru, a przy tym obrócić sytuację na własną korzyść.

Ściany wewnętrzne dobrze im już znanej katedry mieniły się feerią barw, jakby ciężko pracowali przy nich niewidzialni malarze. W miejsce nijakich metalowych i kamiennych powierzchni pojawiły się ciemne odcienie zieleni i brązu, które skrzystalizowały się w bardzo realistycznie przedstawione drzewa i ptaki.

Przytłaczające sklepienie otworzyło się i ukazało się niebo, zaczęła też płynąć osobliwa syntezatorowa muzyka. Przez bujny ogród biegła wysypana szlachetnymi kamieniami ścieżka, przy której w nieregularnych odstępach stały wygodne ławki. Z jednej strony widać było staw z liliami wodnymi.

- Mój ogród do kontemplacji. - Erazm błysnął swoim sztucznym uśmiechem. - Bardzo lubię to miejsce. Jest dla mnie szczególne.

- Przynajmniej nie czuć tu smrodu kwiatów. - Paolo zerwał jedną z jaskrawych chryzantem, powąchał ją i odrzucił obok ścieżki.

Po roku ustawicznego szkolenia baronowi udało się w końcu uformować osobowość chłopca tak, że mógł być z tego dumny.

- To wszystko jest śliczne - rzekł oschle Harkonnen. - I zupełnie bezcelowe.

- *Uważaj, dziadku, na to, co do niego mówisz* - ostrzegł go głos Alii. - *Nie ściągnij na nas dzisiaj śmierci.*

Było to jedno z jej zwykłych kazań.

- Coś cię trapi, baronie? - zapytał Erazm. - Powinno to być miejsce spokoju i kontemplacji.

- *Widzisz, coś zrobiła!* - syknął baron w duchu. - *Wynoś się z mojej głowy.*

- *Jestem tutaj uwięziona* - odparła Alia. - *Nie możesz się mnie pozbyć. Już raz cię zabiłam gom dżabbarem i mogę to zrobić ponownie za pomocą starannej manipulacji.*

- Widzę, że często prześladują cię niepokojące myśli.

- Erazm podszedł bliżej. - Chcesz, żebym otworzył twą czaszkę i zajrzał do środka? Mógłbym usunąć ten problem.

- *Postępuj ze mną ostrożnie, Zły Duchu! Mogę skorzystać z jego propozycji.*

- Po prostu nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem, jak możemy współpracować z Omniusem - odpowiedział baron niezależnemu robotowi, zmuszając się do uśmiechu. - Wasza wojna z ludźmi toczy się już od pewnego czasu, a my jesteśmy rok waszymi gośćmi. Kiedy zrobimy to, po co nas tutaj sprowadziliście?

Paolo kopnął kępkę darni na ścieżkę.

- Tak, Erazmie - powiedział. - Kiedy się zabawimy?

- Niedługo. - Robot machnął luźnymi szatami i powiódł swoich towarzyszy przez ogród.

Chłopiec obchodził niedawno jedenaste urodziny i stawał się silnym, dobrze umięśnionym i wyćwiczonym młodzieńcem. Wskutek stałego wpływu barona zniknęły prawie wszystkie ślady jego atrydckiej osobowości. Sam Erazm nadzorował natomiast energiczne walki treningowe Paola z robotami bojowymi, by go przygotować do roli Kwisatz Haderach.

Ale baron wciąż nie potrafił zrozumieć dla czego. Dlaczego maszyny miałyby się przejmować jakąś nieznaną postacią religijną ze starożytnej historii?

Erazm wskazał im gestem, by usiedli na najbliższej ławce. Syntezytorowa muzyka i śpiew ptaków wokół nich stawały się coraz głośniejsze i zwawsze, aż w końcu połączyły się w jedną melodię. Wyraz twarzy robota znowu się zmienił, jakby Erazm oddawał się

zadumie.

- Czy to nie piękne? - powiedział. - Sam to skomponowałem.

- Podziwu godne - rzekł baron. Odrzucała go ta zbyt melodyjna i spokojna muzyka; wolał utwory bardziej kakofoniczne, składające się z niezgodnych dźwięków.

- W ciągu tysięcy lat stworzyłem cudowne dzieła sztuki i wiele iluzji. - Ciało i twarz Erazma znowu się zmieniły i wyglądał zupełnie jak człowiek. Przemianie uległy nawet jego krzykliwe i niepotrzebne szaty. Robot stanął przed nimi jako korpulentna staruszka w sukience w kwiatowe wzory, z małym rydlem w ręku. - To jedna z moich ulubionych. Doskonaliłem ją latami, czerpiąc coraz więcej z istnień, których dostarczali mi maskaradnicy.

Zaczął kopać koło ławki, usuwając chwasty, których - baron był tego pewien - jeszcze przed chwilą tam nie było. Z odkrytej ciemnej ziemi wypełzła dżdżownica i staruszka rozcięła ją rydlem na pół. Obie części wijącego się stworzenia zniknęły w glebie.

- Dawno temu, podczas twojego pierwszego życia, drogi baronie, tleilaxański badacz Hidar Fen Adżidika stworzył sztuczną przyprawę, którą nazwał amal. - W głosie Erazma pojawiła się łagodna nuta, podobna do tonu babci opowiadającej wnuczkom bajki na dobranoc. - Chociaż okazało się, że substancja ta ma istotne braki, Adżidika spożywał duże jej ilości i w rezultacie oszalał, co doprowadziło do jego śmierci.

- Wydaje się, że to historia niepowodzenia - rzekł Paolo.

- Och, była to spektakularna klęska, ale mimo to udało mu się dokonać czegoś bardzo ważnego. Można to nazwać skutkiem ubocznym. Adżidika stworzył nową, udoskonaloną wersję maskaradników, którymi zamierzał zasiedlić nowe włości. Wysłał ich w głąb przestrzeni kosmicznej jako swoich specjalnych ambasadorów, zwiadowców i kolonistów, którzy mieli przetrzeć szlak. Nie zdążył do nich dołączyć, bo zmarł. Biedny głupiec.

Staruszka zostawiła rydel wbity w ziemię. Kiedy się wyprostowała, położyła rękę na krzyżu, jakby chciała złagodzić ból.

- Ci nowi maskaradnicy - ciągnęła - dotarli do naszego imperium i Omnius pozwolił mi ich badać. Pracowałem nad zmiennokształtnymi wiele pokoleń, ucząc się wydostawać od nich informacje. To cudowne maszyny biologiczne, znacznie lepsze od ich poprzedników. O tak, okazują się bardzo przydatni w tej ostatniej wojnie. Pomogą nam ją wygrać.

Rozglądając się po iluzorycznym ogrodzie, baron zobaczył inne postacie, robotników, którzy wydawali się ludźmi. Nowi maskaradnicy?

- A więc zawarliście z nimi sojusz? - zapytał.

- Sojusz? - Staruszka wydeła usta. - Są naszymi sługami, nie partnerami. Maskaradników stworzono do służby. Dla nich Omnius i ja jesteśmy jak bogowie, mistrzowie więksi niż ci, jakimi kiedykolwiek byli Tleilaxanie. - Erazm wydawał się pogrążony w rozmyślaniach. - Żałuję, że nie sprowadzili mi jednego ze swoich mistrzów, zanim Dostojne Matrony prawie

wszystkich zniszczyły. Dyskusja z nim mogłaby być bardzo pouczająca.

Paolo ponownie sprowadził rozmowę na temat, który go interesował.

- Jako Kwisatz Haderach ja też będę bogiem.

Erazm zaniósł się starczym chichotem.

- Strzeż się megalomanii, młodzieńcze - powiedział. - Doprowadziła do upadku wielu ludzi, takich jak Hidar Fen Adżidika. Spodziewam się, że wkrótce będę miał klucz, który pomoże ci osiągnąć pełnię twoich możliwości. Musimy uwolnić boga, który kryje się w twoim ciele, a do tego potrzebny jest potężny katalizator.

- Czyli co? - zapytał Paolo.

- Stale zapominam, jacy niecierpliwi są ludzie! - Staruszka otrzepała sukienkę z wyimaginowanego kurzu. - Właśnie dlatego tak bardzo lubię maskaradników. Widzę w nich możliwość udoskonalenia ludzi. Maskaradnicy mogliby się stać rodzajem ludzi, których byłyby w stanie tolerować nawet myślące maszyny.

- Ludzie nigdy nie będą doskonali! - prychnął baron. - Wierz mi, znałem wielu i wszyscy byli w jakimś sensie rozczarowujący.

Rabban, Piter... nawet Feyd w końcu go zawiódł.

- *Nie pomijaj siebie, dziadku* - odezwała się Alia wewnątrz niego. - *Pamiętaj, że zabiła cię zatrutą igłą mała dziewczynka. Ha, ha, ha!*

- *Zamknij się!* - Harkonnen podrapał się nerwowo po czubku głowy, jakby chciał się przekopać przez mięśnie

i kość, by ją wyrwać.

Umilkła.

- Obawiam się, że możesz mieć rację, baronie - rzekł Erazm. - Być może ludzi nie da się uratować, ale lepiej, żeby Omnius nie wiedział o tym, bo zniszczy ich wszystkich.

- Myślałem, że maszyny już to robią - zauważył baron.

- W pewnym stopniu. Omnius nie pokazuje wszystkich swoich zdolności, ale jestem pewien, że zabierze się ostro do roboty, gdy tylko znajdziemy statek pozaprzestrzenny.

Staruszka zajęła się kopaniem dołków i umieszczaniem w nich sadzonek, które po prostu pojawiały się w jej rękach.

- Co takiego szczególnego jest w jednym zaginionym statku? - zapytał baron.

- Nasze projekcje matematyczne wskazują, że jest na nim Kwisatz Haderach.

- Ale to ja jestem Kwisatz Haderach! - wykrzyknął Paolo. - Już mnie macie.

Staruszka obdarzyła go cierpkim uśmiechem.

- Jesteś naszym planem awaryjnym, młodzieńcze - powiedziała. - Omnius woli się zabezpieczyć, zgodnie z ludzkim powiedzeniem, że od przybytku głowa nie boli. Jeśli jest dwóch potencjalnych Kwisatz Haderach, chce mieć obu.

Przywdziawszy maskę niezadowolenia, baron rozprostował z trzaskiem knykie.

- A zatem myślisz, że na tym statku jest inny ghola

Paula Atrydy? - powiedział. - To nieprawdopodobne!

- Twierdzą tylko, że jest jeszcze jeden Kwisatz Haderach i że znajduje się on na tym statku - rzekł Erazm. - Skoro jednak mamy jednego ghołę Paula Atrydy, z pewnością może być też drugi.

Jesteśmy na Złotym Szlaku czy z niego zboczyliśmy? Przez trzy i pół tysiąca lat modliliśmy się o wybawienie od Tyrana, a teraz, kiedy zginął, zapomnieliśmy, jak się żyje bez takiego surowego przewodnictwa? Czy wiemy, jak podejmować konieczne decyzje, czy też zagubimy się na pustkowiu bez nadziei odnalezienia drogi i umrzemy z głodu wskutek naszych wad?

- Matka Przełożona Darwi Odrade,
Dumając nad moim epitafium,
zapięczętowane archiwa Bene Gesserit,
spisane przed bitwą na Węzle

Garimi była tak wzburzona, że nie chciała usiąść w prywatnym apartamencie Szieny, mimo iż ta wielokrotnie jej to proponowała. Najwyraźniej nie interesował jej nawet obraz van Gogha wiszący na ścianie. Kradzież min sprawiła, że narastające od dawna napięcie osiągnęło apogeum. Gorączkowo uwijającym się ekipom poszukiwawczym nie udało się odnaleźć ani jednego ładunku wybuchowego. Sziena wiedziała, że surowa naczelna opiekunka ma własne podejrzenia i że obwinia o to pewne osoby.

- Ty i baszar nie zrobiliście dobrego interesu na Qelso
- powiedziała Garimi. - Zostawić tam tych wszystkich ludzi i sprzęt i nic za to nie dostać!

- Uzupełniliśmy nasze zapasy.

- A jeśli następne akty sabotażu uszkodzą nasze

układy podtrzymywania życia? - nie dawała za wygraną Garimi. - Liet-Kynes i Stilgar najlepiej z nas znali się na konserwacji, recyklingu i naprawach. Co, jeśli okaże się, że potrzebujemy ich pomocy? Masz zamiar wyhodować nowych?

Sziena rozeźliła ją jeszcze bardziej, odpowiadając ze spokojnym, rozbawionym uśmiechem:

- Mogłybyśmy, ale myślałam, że podejrzewasz wszystkie ghole urodzone na statku. Mimo to chcesz, żeby Liet i Stilgar wrócili? Poza tym, być może Liet miał rację. Być może ich przeznaczeniem jest pozostać na Qelso.

- Teraz jest oczywiste, że żaden z nich nie był sabotażystą - stwierdziła Garimi - chociaż nadal nie jestem całkowicie przekonana co do Yuego.

Sziena popatrzyła na jaskrawe barwne plamy, które zmieszał starożytny artysta, tworząc obraz o takiej potędze oddziaływania. Van Gogh był geniuszem.

- Podjęłam konieczne działania z myślą o naszych potrzebach i priorytetach - powiedziała.

- Akurat! Ugięłaś się przed żądaniami tych pałających żądzą mordy nomadów, którzy nie chcą wpuścić Bene Gesserit na swoją planetę. Powinnyśmy były założyć tam nową szkołę, ale zamiast tego zostałyśmy tutaj, a teraz cały ten statek może w każdej chwili eksplodować!

„Ach, to cię gryzie” - pomyślała Sziena.

- Bardzo dobrze wiesz, że z radością pozwoliłabym tobie i twoim zwolennikom osiedlić się tam - powiedziała, tłumiąc chichot. - Ale nie chciałam

wszczynać wojny z mieszkańcami Qelso. Możemy wyszkolić innych, żeby orientowali się w zawiłościach naszych systemów podtrzymywania życia. Statek przetrwa, jak przetrwał kilkadziesiąt lat.

- Przetrwa? Jak? - zapytała Garimi, wyraźnie nie będąc w nastroju, żeby dać się zbyć gładkimi słowami. - Dzięki stworzeniu jeszcze jednego gholi, który nas ocali? To jest zawsze twoje rozwiązanie, bez względu na to, czy będzie to Zły Duch jak Alia, zdrajca jak Yueh czy Jessika, albo tyran jak Leto II. Pandora miała przynajmniej tyle rozsądku, że zamknęła swoją puszkę.

- A ja chcę ją szeroko otworzyć. Chcę przywrócić historię, zwłaszcza Paula Atrydę... i Thufira Hawata. Mogłybyśmy z pewnością wiele skorzystać z wiedzy mistrza uzbrojenia Atrydów o środkach bezpieczeństwa.

- Hawat fatalnie zawiódł ostatnim razem, kiedy próbowałyście go obudzić - zauważyła Garimi.

- Wobec tego spróbujemy ponownie. A Chani może być znakomitym punktem oparcia dla przebudzenia Paula. Również Jessika dojrzała do odzyskania pamięci. Gotowy jest nawet Leto II.

Oczy Garimi zapłonęły.

- Igrasz z ogniem, Sziena - powiedziała.

- Wykuwam broń. Do tego niezbędny jest ogień. - Sziena odwróciła się, dając tym Garimi znać, że to koniec dyskusji. - Słyszałam twoje opinie wystarczająco często, by je zapamiętać. Dzisiaj zjem kolację z gholami. Może będą mieli jakieś świeże pomysły.

Rozsierdzona czarnowłosa kobieta wyszła za Szieną z jej kwatery. Ruszyły korytarzem w stronę jadalni.

Niespodziewanie z windy wyszedł Leto II, jak zwykle sam i cichy. Dwunastolatek często włóczył się samotnie po korytarzach statku. Teraz spojrzał na obie kobiety i zamrugał, ale się do nich nie odezwał. Dziwne, stale zamyślane dziecko.

Zanim Sziena zdołała ją powstrzymać, naczelna opiekunka podeszła sztywnym, groźnym krokiem do Leto. Znalazła nowy obiekt, na którym mogła wyładować swoją złość i frustrację.

- Tyranie, gdzie jest twój Złoty Szlak? - zapytała. - Dokąd nas doprowadził? Skoro tak dobrze widziałeś przyszłość, dlaczego nie ostrzegłeś nas przed Dostojnymi Matronami ani wrogiem z zewnątrz?

- Nie wiem. - Chłopiec wydawał się autentycznie zakłopotany. - Nie pamiętam.

Garimi przyglądała mu się ze wstrętem.

- A gdybyś p a m i ę t a ł, to co? - zapytała zaczepnie.
- Byłbyś Bogiem Imperatorem, największym rzeźnikiem w historii ludzkości? Sziena myśli, że możesz nas ocalić, ale ja twierdzę, że Tyran równie dobrze mógłby nas zniszczyć. W tym jesteś najlepszy. Nie chcę z powrotem ciebie ani twojego potwornego ego, Leto II. Twój Złoty Szlak jest drogą ślepcy, która niknie w bagnie.

- To nie jest Złoty Szlak tego chłopca - powiedziała Sziena, ściskając ramię Garimi jak w imadle. - Zostaw go w spokoju.

Leto szybko odstąpił, przemknął obok nich jak strzała i zniknął. Garimi popatrzyła tryumfalnie na Sziene, ta zaś uznała, że irracjonalny wybuch tamtej zdradził tylko

jej głupotę.

*

Z powodu oskarżeń naczelnej opiekunki Leto piekły oczy i uszy, ale nie uronił ani jednej łzy. Mądry człowiek nie marnuje wody na gaszenie swoich emocji; tyle wiedział o starej Diunie. Oddaliwszy się od Szieny, nieznosnej naczelnej opiekunki i wszystkich innych, którzy uważali, że wiedzą, czego mogą się po nim spodziewać, chłopiec zaprzeczył słowom Garimi, starając się odseparować od tego, co sam wiedział.

„Byłem Bogiem Imperatorem, a potem Tyranem - myślał. - Stworzyłem Złoty Szlak... ale odcięty od moich wspomnień, naprawdę nie rozumiem, czym on jest!"

Pomimo całej wiedzy o swoim pierwszym życiu czuł się jedynie dwunastoletnim dzieckiem, które nie prosiło się powtórnie na świat.

Zjechał windą towarową na jeden z najniższych poziomów, zmierzając tam, gdzie czuł się swobodniej i bezpieczniej. Najpierw zastanawiał się, czy nie wśliznąć się do pomieszczeń recyrkulacyjnych i kanałów, którymi pompowano powietrze i w których wył wiatr, ale wprowadzone przez baszara Tega i przyjaciela Leto, Thufira, surowe środki bezpieczeństwa odcięły dostęp do nich.

Przed nieprzyjemnym spotkaniem z Garimi Leto zamierzał dołączyć do Thufira w sali treningowej. Chociaż drugi ghola miał już siedemnaście lat i razem z baszarem dbał o bezpieczeństwo na statku, nadal często urządzał sparingi z Leto. Pomimo młodego wieku i

niewielkiego wzrostu Leto II był wymagającym partnerem nawet dla większego i silniejszego rywala. Przez kilka minionych lat byli dla siebie trudnymi przeciwnikami.

Jednak w tej chwili Leto potrzebował samotności. Dotarł na dolne poziomy i stanął przed głównym wejściem do ogromnej ładowni. Musiały go już namierzyć kamery podglądowe. Z trudem przełknął ślinę. Chociaż godzinami spoglądał przez plaz na trzymane tam czerwie, nigdy jeszcze nie ośmielił się wejść sam do środka.

W korytarzu stała para młodych strażników pilnujących dostępu do ładowni. Ujrawszy zbliżającego się chłopca, stężeli.

- To obszar o ograniczonym dostępie - powiedział mężczyzna.

- Ograniczonym dla m n i e? Wiecie, kim jestem?

- Jesteś Leto Tyran, Bóg Imperator - stwierdziła młoda kobieta, jakby odpowiedziała na pytanie Garimi. Była to Debray, jedna z córek Bene Gesserit, które urodziły się w przestrzeni kosmicznej po ucieczce statku pozaprzestrzennego z Kapitulacza.

- A te czerwie są częścią mnie - rzekł Leto. - Nie pamiętasz historii?

- One są groźne - ostrzegł mężczyzna. - Nie powinieneś tam wchodzić.

Leto patrzył spokojnie na strażników.

- Owszem, powinienem - powiedział. - Zwłaszcza teraz. Muszę poczuć piasek pod stopami, zapach melanzu i czerw. - Zmrużył oczy. - To może

przywrócić mi pamięć, jak chce Sziena.

Debray zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym.

- Sziena powiedziała, że trzeba użyć wszelkich środków, by przebudzić ghole - rzekła w końcu.

Jej towarzysz obrócił się do niej.

- Najpierw połącz się z Thufirem i poinformuj go o tym - poradził. - To wbrew przepisom.

Leto podszedł do ciężkich drzwi.

- Muszę tylko przekroczyć ten włącz. Nie odejdę daleko - obiecał. - Czerwie trzymają się pośrodku ładowni, prawda? - Śmiało uruchomił prosty mechanizm otwierający drzwi. - Znam te stworzenia. Thufir mnie zrozumie. On też nie odzyskał jeszcze wspomnień.

Zanim strażnicy zdążyli się porozumieć i go powstrzymać, Leto wskoczył do ładowni. Piasek wydawał trzaski jak elektryczność statyczna. Było ciepło i tak sucho, że paliło go w gardle. Jego nozdrza wypełnił piekący zapach krzemionki i cynamonu. W drugim końcu długiej na kilometr ładowni poruszyły się czerwce i zaczęły sunąć ku niemu.

Już samo to, że stanął na piaszczystej powierzchni, spowodowało, iż przeniósł się w miejsce, o którym przeczytał wszystko, co zdołał znaleźć w bibliotece statku pozaprzestrzennego. Na prawdziwą Arrakis, która podczas jego długiego pierwszego życia została przeistoczona z pustyni w ogród. Teraz czuł spiekotę na skórze. By się uspokoić, wdychał głęboko powietrze przesycone wonią melanzu.

Nie próbował nawet nie czynić hałasu. Brnął dalej, zapadając się po kostki w miękkim piasku. Nie zważał na ostrzegawcze krzyki strażników i coraz bardziej oddalał się od metalowej ściany. To otoczenie było najbardziej zbliżonym do otwartej pustyni środowiskiem, jakie znały te czerwie.

Wspiąwszy się na grzbiet wydmy i sięgnąwszy wzrokiem po krańce ładowni, Leto wyobraził sobie, jak wspaniała musiała być niegdyś Diuna. Żałował, że nie może sobie tego przypomnieć. Wydma, na której stał, była mała w porównaniu z prawdziwymi, a siedem karłowatych czerw w ładowni nie umywało się do ich osiągających niezwykle rozmiary przodków.

Widział przed sobą roztrącającego piasek czerwia, za którym podążały pozostałe. Było tak, jakby wspaniała bestia wyczuła jego cierpienie i chciała mu pomóc, mimo iż jego wspomnienia były wciąż zamknięte w podziemiach osobowości gholi.

Niespodziewanie po policzkach Leto pociekły łzy, nie ze złości na Garimi, ale z radości i podziwu. Łzy! Nie był w stanie zatrzymać tego upływu wilgoci. Być może, jeśli zginie na tym piasku, jego ciało zostanie wchłonięte przez czerwie i wszelkie obawy i oczekiwania wobec niego zostaną za nim.

Te czerwie były jego potomkami, każdy miał zarodek jego poprzedniej świadomości, „jesteśmy tym samym” - pomyślał Leto. Przyzywał je. Chociaż komórki gholi nie uwolniły jeszcze wspomnień z kilku tysięcy lat jego pierwotnego istnienia, również te bestie miały ukryte wspomnienia.

- Czy o tym śnicie? - zapytał. - Czy ja tam jestem?

Czerwie zatrzymały się sto metrów przed nim i ponownie, jeden po drugim, zakopały w piasek. Wyczuwał, że ich obecność nie jest zagrożeniem, lecz... ochroną. Znały go!

Z luku za nim dobiegi znajomy głos. Obejrzawszy się, zobaczył stojącego na progu ghole Thufira Hawata, który wołał go po imieniu i wzywał gwałtownymi ruchami do powrotu w bezpieczne miejsce.

- Leto, uważaj! Nie kuś czerwii. Jesteś moim przyjacielem, ale jeśli któryś z nich cię połknie, nie wskoczę mu do gardła, żeby cię zwrócił! - Thufir starał się obrócić tę sytuację w żart, ale wyglądał na głęboko zaniepokojonego.

- Chcę tylko trochę pobyc z nimi - odparł Leto.

Czuł ruch pod piaskiem. Nie obawiał się o swoje życie, ale nie chciał narażać przyjaciela. Owionął go cynamonowy zapach przyprawy.

- Wyjdź stamtąd! I to zaraz! - krzyknął Thufir, po czym, zmagając się ze strachem, podszedł bliżej i stanął parę metrów od Leto. - Samobójstwo przez rzucenie się czerwiom na pożarcie? - Zerknął na luk za nimi, wyraźnie się zastanawiając, czy zdąży wyskoczyć, jeśli będzie trzeba. Jego twarz ściągnęła się z niepokoju. Widać było, że boi się o siebie i o Leto i walczy z czymś, co każe mu działać wbrew instynktowi samozachowawczemu. Mimo to ruszył dalej, jakby jakaś siła przyciągała go do przyjaciela.

- Thufir, cofnij się - rzekł Leto. - Grozi ci większe niebezpieczeństwo niż mnie.

Czerwie wiedziały, że w ich królestwie znalazł się ktoś jeszcze, ale wydawały się bardziej poruszone, niż spodziewał się intruz. Leto wyczuwał nienawiść, instynktowną reakcję. Skoczył do Thufira, by go uratować. Przyjaciół najwyraźniej toczyła wewnętrzna walka.

Nagle trysnęły w górę gejzery piasku i otoczyły ich czerwie. Okrągłe, bezokie łby stworzeń zwracały się to w jedną, to w drugą stronę, szukając czegoś.

- Leto, musimy wyjść! - Hawat złapał chłopca za rękaw. Miał ochrypły głos. - Chodź!

- Thufir, one nie zrobią mi krzywdy. I czuję... czuję, jakbym mógł skłonić je do odejścia. Ale są bardzo zaniepokojone. Czymś... w tobie?

Wyczuwał tutaj coś, czego nie rozumiał.

Jakby na dany znak, czerwie runęły na nich niczym tarany. Thufir odskoczył od Leto i stracił równowagę na miękkim piasku. Leto próbował podbiec do niego, ale między nimi wystrzelił, wzbijając tumany pyłu i piasku, największy czerw. Inna bestia zawisała nad sparaliżowanym ze strachu Thufirem z drugiej strony.

Thufir wydał przeraźliwy, rozdzierający krzyk. Jego głos w niczym nie przypominał głosu przyjaciela, którego znał Leto. Nie brzmiał nawet jak głos człowieka.

Czerwie uderzyły na Thufira, ale nie pożały go. Największy z nich spadł na niego niczym młot, wbijając go w piasek, jakby się za coś mścił. Następny uniósł się i przetoczył po bezwładnym już ciele. Trzeci dokończył dzieła, miażdżąc zwłoki. A potem trójka czerw cofnęła

się, jakby była dumna z tego, czego dokonała.

Potykać się i nie zważając na zagrożenie ze strony bestii, Leto brnął przez piasek ku martwemu przyjacielowi. Ześliznął się ze skotłowanej wydmy i opadł na kolana przy zmiażdżonym, częściowo zakopanym ciele.

- Thufir! - krzyknął z rozpaczą.

Ale nie zobaczył znanej twarzy. Oblicze było blade i nijakie, włosy bez barwy. Czarne, przypominające guziki oczy patrzyły martwym wzrokiem w przestrzeń.

Wstrząśnięty Leto zatoczył się do tyłu.

Thufir był maskaradnikiem.

Oto moja maska - wygląda tak jak twoja. Nie możemy zobaczyć, jak wyglądają nasze maski, dopóki je nosimy.

- *Koło oszustw,*
tleilaxański komentarz

W hierarchii statku pozaprzestrzennego zapanowało poruszenie. Zaskoczenie. Nawet Duncan Idaho nie potrafił pojąć, jak mogło dojść do czegoś takiego. Od jak dawna ten maskaradnik ich obserwował? Sponiewierane, brzydkie zwłoki nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

„Thufir Hawat był maskaradnikiem! Jak to możliwe?” - myślał Duncan.

Pierwotny mentat i wojownik służył rodowi Atrydów. Był dobrym i wiernym przyjacielem Duncana, ale nie można było tego powiedzieć o drugim, fałszywym jego wcieleniu. Przez całe trzy lata, a może dłużej, odkąd mieli do czynienia z aktami sabotażu i morderstwami, Idaho nie wykrył w Thufirze Hawacie maskaradnika. Tak samo baszar Teg, jego mentor. Ani Bene Gesserit, ani żaden z nowych gholi. Jak to było możliwe?

Duncanowi nie dawało spokoju jeszcze gorsze pytanie, które kładło się na jego myślach cieniem niczym zaćmienie słońca.

„Znaleźliśmy jednego maskaradnika. A jeśli jest ich więcej?”

Popatrzył na Szienę, na przybitego Leto II i na dwoje wstrząśniętych strażników, którzy gapili się na ciało.

- Musimy zachować to w tajemnicy, dopóki nie sprawdzimy wszystkich innych na statku - powiedział. - Musimy im się przyglądać, znaleźć jakiś sposób, żeby ich sprawdzić...

Sziena zgodziła się z nim.

- Jeśli na pokładzie są inni maskaradnicy, musimy przystąpić do działania, zanim odkryją, co się stało. - Głosem Bene Gesserit, tonem, który był werbalnym odpowiednikiem ciosu, powiedziała do strażników: - Nie mówcie o tym nikomu.

Zastygli w bezruchu. Sziena tymczasem układała już plany rozpracowania wszystkich pasażerów statku. Mentacki umysł Duncana pracował pełną parą, kiedy Idaho usiłował pojąć, co mogłoby się zdarzyć, ale cisnące się pytania uniemożliwiały znalezienie logicznego rozwiązania.

Ponad wszystkie wybijało się jedno: „Skąd mamy wiedzieć, czy podziałają jakiekolwiek badania?” Thufir przeszedł już przecież, jak wszyscy inni na *Itace*, przesłuchanie przez Prawdomówczynię. Nowym maskaradnikom udawało się jakoś wywinać nawet tym czarownicom, które miały zmysł prawdy.

Jeśli w pewnym momencie młodego gholę zastąpił maskaradnik, to jak mogło do tego dojść tak, że on, Duncan, niczego nie zauważył? I kiedy to się stało? Czyżby prawdziwy Thufir natknął się w jakimś ciemnym korytarzu na ukrywającego się zmiennokształtnego, który ocalał z samobójczego uderzenia statku Przewodników w *Itakę*? Bo jak inaczej maskaradnik mógłby się dostać na pokład?

Przejmując tożsamość ofiary, maskaradnik wdrukowywał sobie jej osobowość i pamięć, stając się jej wierną kopią. A jednak fałszywy Thufir zaryzykował życie, by wyciągnąć Leto spośród czerwii. Dlaczego? Ile z Thufira pozostało w tym zmiennokształtnym? Czy w ogóle istniał kiedykolwiek prawdziwy ghola Thufira?

Po ujawnieniu maskaradnika Duncan poczuł najpierw ulgę, że w końcu znaleziono sabotażystę i mordercę, ale po szybkim mentackim przeanalizowaniu sytuacji uświadomił sobie, że akty sabotażu zdarzały się także wtedy, kiedy ghola Thufira Hawata miał niepodważalne alibi. Podczas niektórych tych ataków on sam był przy nim. Nasuwał się nieodparty wniosek.

„Wśród nas jest więcej maskaradników”.

*

Duncan spotkał się z Tegiem w małym pomieszczeniu o wyłożonych miedzią, zabezpieczonych przed wszelkimi znanymi urządzeniami podsłuchowymi ścianach. Subtelne wskazówki świadczyły, że zaprojektowano je właśnie w tym celu. Czy Dostojne Matrony korzystały z niego zgodnie z jego przeznaczeniem? Dla torturowania ofiar czy tylko dla zabawy?

Teg i Duncan stali na baczność przed Matkami Wielebnymi Szieną, Garimi i Elyen, które spożyły ostatnie porcje narkotyku wprowadzającego w trans prawdy. Wszystkie były uzbrojone i bardzo podejrzliwe.

- Pod różnymi pretekstami odizolowałyśmy od nas wszystkich pasażerów - powiedziała Sziena. - Większość z nich myśli, że szukamy brakujących min.

Na razie niewiele osób wie o Thufirze Hawacie. Pozostali maskaradnicy nie zorientują się, że grozi im zdemaskowanie.

- Jeszcze niedawno uznałbym, że to zupełnie absurdalny pomysł - rzekł Duncan i spojrzał na baszara, a ten kiwnął głową.

- Nigdy nie miałam tak głębokiego wycucia prawdy jak teraz - powiedziała Elyen głosem, który zdawał się dochodzić z oddali.

- Być może przedtem nie zadawałyśmy właściwych pytań - dorzuciła Garimi, kładąc łokcie na stole.

- A zatem pytajcie - rzekł Teg. - Im wcześniej oczyścicie nas z podejrzeń, tym szybciej będziemy mogli się zabrać do usunięcia tego raka. Potrzebny jest nam zupełnie inny test.

Normalnie wyszkolona Bene Gesserit odkryłaby podstęp po jednym, najwyżej dwóch pytaniach, ale to niezwykle przesłuchanie trwało godzinę. Skoro tworzyły kadrę zaufanych sprzymierzeńców, Sziena i jej siostry musiały działać dokładnie. I spisać się lepiej niż poprzednio. Trzy Matki Wielebne czekały na najmniejszy unik z ich strony. Ani Duncan, ani Teg nie wykonali jednak żadnego.

- Wierzymy wam - powiedziała w końcu Garimi. - Chyba że dacie nam powód, byśmy zmieniły zdanie.

Sziena skinęła głową.

- Na razie przyjmujemy, że jesteście tym, kim mówicie - powiedziała.

- A Duncan i ja przyjmujemy, że wy jesteście tymi, za które się podajecie - rzekł z gorzkim rozbawieniem

Teg. - N a r a z i e.

- Maskaradnicy są mistrzami mimikry - ciągnęła Sziena. - Mogą zmieniać wygląd, ale nie mogą zmienić swojego DNA. Teraz, kiedy mamy komórki tego, który udawał Hawata, lekarki Akademii Suka powinny być w stanie opracować rzetelny test.

- Też tak uważamy - powiedział Teg.

Po stracie swojego protegowanego baszar wydawał się poruszony do głębi. Niczego nie brał już za to, czym się na pierwszy rzut oka wydawało.

- Jest oczywiste, że Hawat urodził się jako maskaradnik, a nasz tleilaxański mistrz starannie nim manipulował - orzekła Garimi z zastygłą w gniewnym grymasie twarzą. - Kto zna maskaradników lepiej niż stary Scytale? Wiemy, że miał ich komórki w kapsułce zeroentropijnej. Jeśli ten scenariusz jest prawdziwy, to ta intryga rozwija się już prawie osiemnaście lat.

- Maskaradnik potrafiłby naśladować ludzkie dziecko od samego początku - podjęła Sziena. - Rozwijając się, przybrał kształt młodego wojownika i mentata rodu Atrydów znany z archiwalnych zapisów. Skoro nikt z obecnych tutaj - nawet ty, Duncan - nie pamięta, jak wyglądał Hawat w młodości, przebranie to nie musiało być doskonałe.

Duncan wiedział, że Sziena ma rację. W swoim pierwszym życiu, kiedy uciekł przed Harkonnenami na Kaladan, Thufir Hawat był już zaprawionym w bojach weteranem. Duncan pamiętał swoją pierwszą rozmowę z nim. Był wówczas stajennym w kaladańskim zamku i doglądał saluskich byków, z którymi lubił walczyć

podczas wspaniałych widowisk Stary Książę Paulus. Ktoś podał bykom coś, co wprawiło je w szal, i młody Duncan próbował wszcząć alarm, ale nikt mu nie wierzył. Kiedy Paulus wykrwawił się na arenie, sam Hawat prowadził śledztwo. Postawił Idaho przed sądem, gdyż były dowody wskazujące na to, że jest szpiegiem Harkonnenów...

A teraz ten Thufir okazał się maskaradnikiem! Duncan wciąż nie mógł się pogodzić z niezaprzeczalnymi faktami.

- Zatem wszystkie urodzone na statku ghole mogą być maskaradnikami - powiedział. - Proponuję, żebyście wezwały Scytale'a. Teraz on jest naszym głównym podejrzanym.

- Albo - rzekł z naciskiem Teg - najlepszym sprzymierzeńcem. Jak stwierdziła Garimi, kto zna maskaradników lepiej niż on?

Kiedy tleilaxańskiego mistrza sprowadzono do pomieszczenia o miedzianych ścianach, Duncan i Teg usiedli po drugiej stronie stołu. Była to część dochodzenia, które miało udaremnić spisek maskaradników. Scytale wydawał się przestraszony i niespokojny. Ghola Tleilaxanina miał piętnaście lat, ale nie wyglądał na chłopca. Szczupła twarz, ostre zęby i szara skóra czyniły z niego idealnego podejrzanego, lecz Duncan zdawał sobie sprawę, że jest to tylko instynktowne odczucie, opierające się na zadawnionych przesadach.

Gdy Scytale usiadł, wystąpiła Elyen. Wyglądała na najsurowszą z nich wszystkich.

- Co zrobiłeś, Tleilaxanie? - zapytała. - Jaki masz plan? Jak próbowałeś nas zdradzić? - Użyła ostrza Głosu, co wystarczyło, by Scytale drgnął.

- Nic nie zrobiłem.

- Ty i twój genetyczny poprzednik wiedzieliście, co hodujecie w kadziach aksolotlowych. Zbadałyśmy komórki, zanim pozwoliłyśmy ci ich stworzyć, ale jakoś zwiodłeś nas z Thufirem Hawatem! - Pokazały mu obrazy martwego maskaradnika.

Duncan widział, że Tleilaxanin jest autentycznie zaskoczony.

- Czy wszystkie ghole są podobnie skażone? - zapytała Sziena.

- Żaden z nich nie jest skażony - odparł Scytale. - Chyba że w jakiś sposób zastąpiono go po wyjęciu z kadzi.

Elyen zwęziła oczy.

- Mówi prawdę - powiedziała. - Nie widzę żadnych symptomów kłamstwa.

Sziena i Garimi spojrzały na siebie i jednocześnie skinęły głowami.

- Chyba że sam jest maskaradnikiem - powiedziała Sziena.

- Niemożliwe, żeby nim był, skoro i tak niewielu z nas mu ufa - zauważył Duncan. - Maskaradnik wybrałby raczej kogoś, kto nie wzbudza podejrzeń.

- Kogoś takiego jak Thufir Hawat - rzekł Teg.

Młody Scytale wyglądał na bardzo poruszonego.

- Tych nowych maskaradników sprowadzono z Rozproszenia - powiedział. - Utraceni Tleilaxanie

zmodyfikowali ich w jakiś niezrozumiały dla nas sposób. Z wielką przykrością przekonałem się, że nawet ja nie potrafię ich wykryć. Wierzcie mi, nigdy nie podejrzewałem Hawata.

- No to jak maskaradnik dostał się na statek, jeśli nie rozwinął się z komórek pomieszczonych w twojej kapsułce zeroentropijnej? - zapytała Sziena.

- Mógł udawać kogoś z nas już w chwili, kiedy opuściliśmy Kapitularz - rzekł Duncan. - Na ile dokładnie sprawdziłyście te sto pięćdziesiąt osób, które z nami uciekły?

- Ale dlaczego miałby czekać ponad dwadzieścia lat, żeby zaatakować? - powiedział Teg, potrząsając głową.
- To nie ma sensu.

- Może był to uśpiony agent - zasugerowała Sziena. - A może długo ukrywał się w skórze kogoś innego i dopiero niedawno wcielił się w Thufira?

- Tak, szukajcie kozła ofiarnego - rzekł gorzko Scytale, osuwając się na fotel. - Najlepiej Tleilaxanina.

- W ramach środków ostrożności - powiedziała Sziena z ogniem w oczach - zamknęłam wszystkie ghole w osobnych pomieszczeniach, gdzie nie wyrządzą żadnej szkody, jeśli któryś z nich jest maskaradnikiem. Kazałam już naszym lekarkom Akademii Suka pobrać od nich próbki krwi. Nie uciekną.

Duncan zastanawiał się, czy jej gwałtowność nie świadczy o tym, że to ona jest maskaradnikiem. Przypatrywał jej się podejrzliwie spod zmrużonych powiek. Będzie musiał bacznie obserwować wszystkich, cały czas.

Garimi popatrzyła po ich małej, zaufanej grupie.

- Ja albo ktoś inny wybrany przez nas zostanie na mostku i będzie monitorował statek, a wszystkich pozostałych należy zgromadzić w głównej sali. Dopilnujcie każdego, nawet dzieci. Zamknijcie drzwi i wszystkich sprawdźcie. Jednego po drugim. Poznajcie prawdę.

- Jakich rozstrzygających testów możemy użyć? - zapytał Teg. - Jakiemu badaniu poddać każdego z nas?

- Sądzę, że mogę opracować wiarygodną metodę - pisnął Scytale. - Wykorzystam próbkę tkanki maskaradnika, który wcielił się w Hawata, i przygotuję materiał porównawczy. Są pewne... techniki, które mogę zastosować. Ten jest jednym z nowych, których sprowadzili Utraceni Tleilaxanie, i różni się od dawnych maskaradników. Ale mając tę próbkę...

- A dlaczego mielibyśmy ci ufać? - zapytała Garimi. - Nie stwierdziliśmy jeszcze, że ty sam jesteś czysty.

- Komuś musicie zaufać - powiedział Scytale z żalosną miną.

- Czyżby?

- Podczas tych przygotowań zgodziłbym się pozostawać pod obserwacją waszych ekspertów.

Duncan zerknął na tleilaxańskiego mistrza.

- Propozycja Scytale'a jest dobra - ocenił.

- Mogę też przedstawić inne rozwiązanie - rzekł Tleilaxanin. - Kiedy maskaradnicy na Tleilaxie i innych naszych światach zdradzili moich towarzyszy, niektórzy z nas, mistrzów, przygotowali odwet. Stworzyliśmy toksynę, wybiórczo działającą trucizną, która jest

zabójcza tylko dla zmiennokształtnych. Jeśli dacie mi dostęp do laboratorium, mogę ją wyprodukować i rozprowadzić w postaci gazu.

- W jakim celu? - zapytał Teg, lecz potem na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. - A, żeby wpuścić ją do systemów wentylacyjnych *Itaki*. Zabilibyśmy wszystkich maskaradników, którzy pozostają wśród nas.

- Trzeba by było ogromnych ilości, żeby wypełnić statek - rzekł Duncan, przeprowadzając mentackie obliczenia, by oszacować, jakie stężenie gazu okazałoby się zabójcze dla zmiennokształtnych, oraz ocenić prawdopodobieństwo zmniejszenia sprawności załogi.

Garimi nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Sugerujecie, byśmy pozwolili temu Tleilaxaninowi rozprzestrzenić w statku jakiś nieznany gaz? - obruszyła się. - Przecież to oni stworzyli maskaradników!

- Wy, czarownice, nie myślicie - powiedział Scytale drwiąco. - Nie widzicie, że mnie samemu grozi poważne niebezpieczeństwo? To są nowi maskaradnicy, sprowadzeni skądś przez Utraconych Tleilaxan, naszych wyrodných braci, którzy sprzymierzyli się z Dostojnymi Matronami, by zniszczyć wszystkich starych mistrzów, takich jak ja. Pomyślcie! Jeśli na *Itace* są inni maskaradnicy, to nikt nie jest bardziej zagrożony niż ja. Nie rozumiecie tego?

- Gaz Scytale'a musi być ostatecznym rozwiązaniem - stwierdził Duncan.

Sziena rozejrzała się.

- Pozwolę mu rozpocząć prace nad tą toksyną - powiedziała - ale wolałabym, żebyśmy bezpośrednio zidentyfikowali wszelkich maskaradników.

- I przesłuchali ich - dodała Garimi.

- Myślicie, że uda się wam przepytąć maskaradnika?

- Scytale roześmiał się.

- Nie lekceważ Bene Gesserit.

Sziena skinęła głową.

- Dopóki nie zlikwidujemy wszelkich wtyczek, dopóki nie uzyskamy pewności, że nie ma wśród nas innych maskaradników, możemy się zabezpieczyć tylko, trzymając się w dostatecznie dużych grupach, których zmiennokształtni nie będą mogli niepostrzeżenie zaatakować.

- A jeśli większość z nas jest już maskaradnikami? - zapytał Teg.

- To jesteśmy zgubieni.

*

Sprawdzono wszystkie młode ghole; pierwszy badaniu poddał się Leto II. Kiedy czerwie rzuciły się na Thufira Hawata, wyczuwszy jakoś obcego, Leto wydawał się autentycznie wstrząśnięty. Kamery pokazywały, jak patrzy z niedowierzaniem na zmiażdżone ciało, które powróciło do nijakiego stanu maskaradnika. Ale Thufir wystawił się na niebezpieczeństwo, dobrowolnie idąc do Leto, mimo że nie musiał tego robić. Dlaczego maskaradnik miałby ryzykować życie, jeśli kopia nie była tak wierna, że nawet przyjaźń okazała się rzeczywista?

Leto, ghola Tyrana, był pod wieloma względami

niezwykły. Ale nie był maskaradnikiem. Wykazała to analiza genetyczna przeprowadzona przez Scytale'a.

Nieskalani okazali się też Paul Atryda, Chani, Jessika i trzyletnia Alia, którą zaintrygowały igły i próbki. Mimo towarzyszącej mu stale podejrzliwości również Wellington Yueh był tym, za kogo się podawał.

Gdy Scytale zakończył badania krwi i komórek, Sziena nadal nie była zadowolona.

- Teraz możemy chociaż ufać młodym gholom - powiedziała. - Znaczy to tylko tyle, że pozostali maskaradnicy, jeśli są tu jeszcze jacyś, muszą się ukrywać wśród reszty.

- Wobec tego sprawdzimy resztę - powiedziała Garimi. - Albo użyjemy gazu Scytale'a. Osobiście poddam się każdej możliwej kontroli, ile razy będzie trzeba, i proponuję, żebyśmy wszyscy tak zrobili.

- Ten test jest bardzo pracochłonny. - Scytale podniósł w popłochu małe ręce. - Muszę przygotować płytki dla wszystkich pasażerów, a to zajmie mnóstwo czasu.

- Zatem poczekamy - oświadczyła Sziena. - Niezrobienie tego byłoby lekkomyślnością.

Dlaczego tak nas fascynuje zniszczenie? Czy widząc straszliwą tragedię, myślimy, że jesteśmy sprytni, bo nam udało jej się uniknąć? Czy też fascynacja wynika ze strachu, bo wiemy, że możemy być następni?

- Matka Przełożona Odrade,
Dokumentacja skutków

Murbella i Janess - matka i córka, Matka Dowodząca i naczelna baszarka - krążyły po orbicie wokół martwej Richese. Znajdowały się na statku obserwacyjnym. Zespoły inżynierów, którzy wciąż obawiali się zarazy, leciały osobno. Chociaż epidemia wygasła, Ixanie nie chcieli przebywać w zamkniętym pomieszczeniu z Murbellą i Janess, które miały kontakt z zarażonymi na Kapitularku.

Niemniej jednak, same w małej jednostce, kobiety miały doskonały widok na poligon doświadczalny.

Przed ponad piętnastoma laty statki zbuntowanych Dostojnych Matron z Tleilaxa zbombardowały Richese, nie tylko zabijając całą ludność planety, ale też niszcząc zakłady zbrojeniowe i w połowie zbudowaną flotę, która miała zostać dostarczona nowemu zgromadzeniu żeńskiemu. Teraz na planecie nie było życia, ale dzięki temu Richese idealnie nadawała się do zademonstrowania nowych unicestwaczy skonstruowanych przez Ixan.

Murbella włączyła komlinię i nawiązała kontakt z czterema towarzyszącymi im statkami ixańskimi.

- Robicie to z prawdziwą przyjemnością, nieprawdaż, główny wytwórco? - powiedziała.

Widoczny na ekranie Shayama Sen uniósł brwi i poderwał głowę we wspaniałym pokazie niewinności.

- Testujemy broń, którą u nas zamówiłyście, Matko Dowodząca - rzekł. - Poprosiłaś o pokaz, zamiast uwierzyć nam na słowo. Musimy dowieść, że nasza technologia funkcjonuje tak, jak ją reklamowaliśmy.

- A rywalizacja między Ixem a Richese nie miała nic wspólnego z wyborem celu? - Murbella z trudem panowała nad sarkazmem.

- Richese jest już tylko przypisem do historii, Matko Dowodząca. Jeśli Ixanie odczuwali jakąś satysfakcję z nieszczęsnego losu naszych rywali, to minęła ona dawno temu. - Po chwili dodał: - Przyznajemy jednak, że dostrzegamy w tym ironię.

Od ostatniego spotkania z nią nad Kapitularem w głównym wytwórcy zaszła subtelna zmiana. Kiedy niedawno wrócił, by dostarczyć jej pełne dane na temat prób z unicestwiaczami, które przeprowadzili na Ixie, wydawał się zaskoczony, a nawet zakłopotany. Postępując zgodnie z jej sugestią, poddał wszystkich swoich ludzi badaniom komórek, te zaś ujawniły dwudziestu dwóch maskaradników pracujących w kluczowych zakładach.

Murbella chciała ich przesłuchać, może nawet poddać działaniu ixahskiej sondy T, ale ci maskaradnicy, których natychmiast nie zabito, sami odebrali sobie życie, wykorzystując jakiś maszynopodobny obwód w mózgu. Stracona okazja

rozzłościła ją, ale wątpiła, by siostry dowiedziały się czegokolwiek od zmiennokształtnych. Mimo to cieszyła się, że umieściła na Ixie osiem zaufanych inspektorek, które miały od tej pory obserwować procesy przemysłowe.

- Harmonogram dostaw jest napięty, Matko Dowodząca, jak tego żądałaś - powiedział Sen. - Uzbrajamy statki z Węzła najszybciej, jak to możliwe. Kiedy zobaczysz zakończony pomyślnie test tych czterech unicestwiaczy, nie będziesz mogła zaprzeczyć, że nasza technologia jest niezawodna.

- Szkoda marnować tak niszczycielską broń na cel, który nie służy prawdziwemu wrogowi - rzekła Janess - ale potrzebujemy dowodu.

Obie przejrzały filmy z prób, ale mogły one przedstawiać symulacje.

- Chcę to zobaczyć na własne oczy - oświadczyła Murbella. - Potem rzucimy wszystko do obrony przed maszynami.

- Uwalniamy ładunki - przekazał przez komlinię jeden z ixańskich pilotów. - Proszę bardzo, obserwujcie.

Czwórka ixańskich statków wypuła cztery świetliste kule, które poleciały niczym wirujące ogniste koła na spękaną powierzchnię planety. Podczas opadania drżały i rozszerzały się, wyrzucając fale płomieni, które zamiast przygasać, przybierały na sile.

Atmosfera Richese była już spalona, a lasy i miasta zrównane z ziemią w pierwszej reakcji łańcuchowej. Mimo to dla zmodyfikowanej przez Ixan broni zostało dość paliwa, by zamienić znowu ten świat w kulę ognia.

Murbella przyglądała się w milczeniu budzącej grozę szybkości, z jaką poruszało się czoło pożaru. Patrzyła bez mrugnięcia, aż poczuła suchość w oczach. Planeta płonęła jak rozżarzone przez wiatr węgle. Na kontynentach pojawiły się pęknięcia, w których buzowały pomarańczowe płomienie.

- Jeśli pošlemy takie pociski na flotę myślących maszyn, spowodują niewyobrażalne spustoszenie - powiedziała w końcu do córki, nie dbając o to, że komlinia jest włączona i mogą ją słyszeć Ixanie.

- Faktycznie, możemy mieć pewną szansę - zgodziła się z nią Janess.

- Sądysz, Matko Dowodząca, że myślące maszyny będą do tego stopnia głupie, by lecieć tak zwartą grupą, że wystarczy jeden pocisk? - wtrącił się Shayama Sen przez głośniki.

- Wiemy bardzo dużo o planach bitew wroga i o tym, w jaki sposób posuwa się jego flota. Nie używają silników zaginających przestrzeń, przemieszczają się więc metodycznie od celu do celu, krok po kroku. Myślące maszyny sprawiają niewiele niespodzianek. - Murbella spojrzała na córkę, potem zaś ponownie na płonącą planetę, zanim rzuciła Ixanom rozkazy. - Dobrze, nie ma potrzeby trwonić więcej unicestwiaczy. Kiedy ciśniemy je w końcu na statki wroga, będzie to dla mnie wystarczający pokaz. Chcę, żeby na każdej naszej nowej jednostce umieszczono co najmniej dziesięć unicestwiaczy. Bezzwłocznie! I tak już czekałyśmy wystarczająco długo.

- Będzie, jak sobie życzysz, Matko Dowodząca -

powiedział Sen.

Murbella przygryzła dolną wargę, patrząc na płonącą wciąż Richese. Taka chęć współpracy i rezygnacja z dodatkowej zapłaty zupełnie nie pasowały do głównego wytwórcy. Być może widząc zniszczone już niezliczone światy, Ixanie zrozumieli wreszcie, kto jest ich prawdziwym wrogiem.

Bez względu na to, czy je widzimy, czy nie, wszędzie zarzucone są sieci, które otaczają nas jako jednostki i jako zbiorowość. Czasami trzeba je ignorować dla zachowania zdrowia psychicznego.

- dziennik pokładowy,
wpis Duncana Idaho

Maskaradnicy na *Itace*.

Siedząc w swojej kabinie z małą Alią i dwunastoletnim Leto, Jessika znowu - po tylu wiekach - czuła się jak matka. Cała trójka miała wspólną przeszłość, a w ich żyłach płynęła ta sama krew, ale nie mieli ani tej samej wiedzy, ani wspólnych wspomnień. Jeszcze nie. Jessice wydawało się, że są tylko aktorami uczącymi się na pamięć tekstu i odgrywającymi role, w których ich obsadzono, starającymi się być osobami, które chciano w nich widzieć. Miała ciało siedemnastolatki, lecz czuła się dużo starsza, kiedy pocieszała młodszą dwójkę.

- Kto to jest maskaradnik? - zapytała trzyletnia Alia, bawiąc się ostrym nożem, który nosiła u boku. Odkąd zaczęła chodzić, przejawiała fascynację bronią i często, zamiast bawić się zabawkami bardziej odpowiednimi dla dziewczynki w jej wieku, prosiła, by pozwolono jej ćwiczyć władanie nią. - Nadlatują, żeby nas złapać?

- Oni są już na statku - powiedział Leto. Był nadeł wstrząśnięty tym, co się stało. Nie mógł uwierzyć, że Thufir był maskaradnikiem, a on o tym nie wiedział. -

Dlatego wszystkich nas przebadano.

- Nie znaleziono jeszcze innych - rzekła Jessika. Wydobyto ją z kadzi aksolotlowej w tym samym roku co Thufira. Wychowywała się w żłobku razem z gholą wojownika i mentata i nigdy nie zauważyła zmiany jego osobowości. Nie wydawało się możliwe, by Thufir był od samego początku maskaradnikiem.

Prawdziwy Hawat, mistrz asasynów i były mistrz uzbrojenia rodu Atrydów, był - podobnie jak baszar Miles Teg - weteranem wielu zwycięskich kampanii i służył trzem pokoleniom Atrydów. Nic dziwnego, że Sziena i pozostałe Bene Gesserit uważały go za cennego sprzymierzeńca. Właśnie dlatego chciały sprowadzić go z powrotem. I było już oczywiste, dlaczego wyzwalający wspomnienia kryzys w jego przypadku nie doprowadził do przełomu.

Teraz - jeśli nie znajdzie się czystych komórek, z których można by wyhodować nowego gholę - pasażerowie *Itaki* nigdy nie będą mogli skorzystać z mentackich i taktycznych umiejętności Hawata. Prawdę mówiąc, Jessika uświadomiła sobie, że choć minęło już tyle czasu, program tworzenia gholi przyniósł im niewiele pożytku. Tylko Yuemu, Stilgarowi i Lietowi-Kynesowi przywrócono wspomnienia z ich poprzednich istnień, ale dwaj ostatni opuścili ich, a Yueh, mimo iż utalentowany lekarz Akademii Suka, nie był szczególnie cennym nabytkiem.

„Zabił mojego księcia Leto - pomyślała. - Ponownie”.

Wobec zagrożenia ze strony maskaradników, zaginięcia min i różnych aktów sabotażu potrzebowali

bardzo gholi i ich dawnych umiejętności. Pozostałe nieprzebudzone ghole muszą mieć szczególne zdolności. Jessika wiedziała, że ich wszystkich sprowadzono z jakiegoś powodu. Paul, Chani i ona byli w odpowiednim wieku, nawet Leto II powinien mieć dość lat. Stopniowe, ostrożne kroki już nie wystarczały.

Westchnęła. Jeśli nie teraz, to kiedy ich umiejętności mogą się przydać?

„Muszę odzyskać wspomnienia!” - pomyślała.

Gdyby dano jej szansę, mogłaby zaoferować tak dużo dla wspólnego dobra pasażerów statku. Bez wspomnień ze swego pierwotnego życia czuła się jak pusta skorupa. Wstała tak szybko, że aż przestraszyła Alię i Leto.

- Powinniście wrócić do swoich pokojów - powiedziała. Jej szorstki głos nie pozostawiał wątpliwości, że nie dopuszcza żadnej dyskusji. - Muszę zrobić coś ważnego. Te Bene Gesserit są tchórzami, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy. Dłużej nie może tak być.

Z jednej strony Sziena była zuchwała i popędliwa, z drugiej nadmiernie ostrożna. Jessika знаła jednak kogoś, kto nie cofnie się przed zadaniem jej bólu.

- Z kim chcesz się zobaczyć? - zapytał Leto.

- Z Garimi.

*

Matka Wielebna przyjrzała jej się z kamienną twarzą, po czym się uśmiechnęła.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała. - Zwariowałaś?

- Po prostu podchodzę do tego pragmatycznie.

- Masz pojęcie, jak bardzo będzie to boleć?

- Jestem na to przygotowana. - Jessika spojrzała na czarne, kręcone włosy Garimi, na jej płaską, nieatrakcyjną twarz. W przeciwieństwie do niej była ideałem klasycznego piękna i w zamysłach Bene Gesserit miała odgrywać rolę kusicielki, matki, której cechy będą odtwarzane przez wieki po jej śmierci. - I wiem, naczelną opiekunko, że jeśli ktoś może zadać ten ból, to tym kimś jesteś ty.

Garimi wydawała się rozdarta między rozbawieniem a niepokojem.

- Wyobrażałam sobie niezliczone sposoby wbicia ci noża, Jessiko - powiedziała. - Często zastanawiałam się nad tym, ile szkód wyrządziły staremu zgromadzeniu żeńskiemu twoje działania. Przekreśliłaś cały nasz program Kwisatz Haderach, stworzyłaś potwora, nad którym nie miałyśmy kontroli. Po Paulu, który był bezpośrednią konsekwencją twojego nieposłuszeństwa, cierpiałyśmy tysiące lat pod rządami Tyrana. Z jakiego powodu miałabym chcieć cię przebudzić? Zdradziłaś nas.

- To ty tak twierdzisz. - Słowa Garimi raniły ją jak ciskane kamienie. Ta kobieta od lat dręczyła zarówno ją, jak i biednego Leto. Jessika знаła te oskarżenia i zdawała sobie sprawę, jak postrzega ją konserwatywna frakcja Bene Gesserit, ale nigdy nie doświadczyła wstrząsającej głębi nienawiści i złości, jaką okazywała jej teraz przywódczyni twardogłowych. - Twoje słowa dużo mówią, Garimi. Stare zgromadzenie żeńskie. Gdzie jesteś myślami? Żyjemy już w przyszłości.

- To nie zaprzecza temu, że spowodowałaś straszne cierpienia.

- Cały czas upierasz się, że powinnam mieć poczucie winy. Ale jak mogę czuć się winna, skoro nie pamiętam? Jesteś zadowolona, że robisz ze mnie kozła ofiarnego, chłopca do bicia za całe zło z przeszłości? Sziena chce powrotu moich wspomnień, żebym mogła nam wszystkim pomóc. Ale ty, Garimi, również powinnaś pragnąć mnie obudzić. Przyznaj, przychodzi ci do głowy lepsza kara niż zalanie mnie wspomnieniami o tych wszystkich niewybaczalnych krzywdach, które - jak mówisz - wyrządziłam zgromadzeniu? Obudź mnie! Spraw, bym sama to zobaczyła!

Garimi wyciągnęła rękę i chwyciła ją za nadgarstek. Jessica chciała się instynktownie wyrwać, ale nie udało jej się. Spojrzenie naczelnej opiekunki stwardniało.

- Połączę się z tobą - oznajmiła. - Przekażę ci wszystkie moje myśli i wspomnienia, żebyś wiedziała. - Przysunęła się bliżej. - Wrzucę do twojego mózgu istnienia tych setek pokoleń, które przyszły na świat po popełnionej przez ciebie zbrodni, żebyś mogła zobaczyć pełen obraz i konsekwencje tego, co zrobiłaś. - Przyciągnęła do siebie Jessikę.

- To niemożliwe. - Dziewczyna próbowała się cofnąć.
- Tylko Matki Wielebne mogą się połączyć.

Wzrok Garimi był twardy jak stal.

- A ty jesteś Matką Wielebną... albo nią byłaś. Dlatego żyje ona w tobie. - Ujęła Jessikę za potylicę, chwyciła ją za brązowe włosy i przyłożyła czoło do jej

czoła. - Potrafię tego dokonać. Jestem wystarczająco silna. Jak myślisz, dlaczego to robię? Może żal będzie tak głęboki, że cię sparaliżuje!

Jessika szarpała się.

- Albo... uczyni... mnie... silniejszą.

Owszem, chciała odzyskać wspomnienia, ale nie zamierzała przyjmować również wszystkich doświadczeń Garimi ani tych licznych przodków, które cierpiały prześladowania za rządów Boga Imperatora Diuny, jej wnuka. Wszystkich tych, które przetrwały Czasy Głodu, zmagając się z uzależnieniem od niedostępnego już melanżu. Okropieństwa, które przeżyły te pokolenia, zostawiły głębokie blizny w ludzkiej psychice.

Jessika w ogóle tego nie chciała.

„Garimi upiera się, że ja to spowodowałam” - pomyślała.

Poczuła, że coś wdziera się do jej głowy, i stawiała temu opór, ale Garimi była silniejsza. Połączyła się z nią i zalewała strumieniem Innych Wspomnień, które waliły od wewnątrz w jej czaszkę z taką siłą, że miała wrażenie, iż rozłupią kości i wydostaną się. Zapadła w ciemność, usłyszała trzask i pomyślała, że Garimi chyba zwyciężyła...

*

Wstrząśnięta Jessika - p r a w d z i w a Jessika, konkubina księcia Leto Atrydy, Matka Wielebna Bene Gesserit - rozejrzała się ze zdziwieniem, jakiego nigdy sobie nawet nie wyobrażała. Widziała tylko ściany statku pozaprzestrzennego, ale wspominała, jak dobre

miała życie z księciem i ich synem, Paulem. Pamiętała błękitne niebo Kaladanu i wspaniałe wschody słońca na Arrakis.

W końcu pokonała jednak Garimi. Zataczając się od ogromu przepełniającej ją wiedzy, wyszła z kabiny rozżłoszczonej naczelnej opiekunki. Ten zalew wspomnień miał zalety i wady, ponieważ wprowadzie przypomniła sobie ukochanego księcia, ale nie było go przy niej.

Przez tę nagłą, spowodowaną jego brakiem pustkę czuła się, jakby się zapadała w bezdenną przepaść.

„Leto, mój Leto! - myślała. - Dlaczego siostry nie sprowadziły cię z powrotem w tym samym czasie, co mnie, jak Paula i Chani? A ciebie, Yueh, niech piekło pochłonie za to, że odebrałeś mi go dwa razy!”

Czuła się bardzo samotna, w sercu miała pustkę, a w głowie tylko wspomnienia i wiedzę o przeszłości. Była zdecydowana znaleźć jakiś sposób, by ponownie stać się użyteczną dla sióstr.

Wróciwszy do swojej kabiny, zastała tam czekającą na nią Alię. Dziewczynka, obdarzona przenikliwą, ponad wiek rozwiniętą inteligencją, przyjrzała jej się spokojnie.

- Mamo, powiedziałam doktorowi Yuemu, że odzyskasz wspomnienia. Teraz boi się ciebie jeszcze bardziej. Mogłabyś zabić go wzrokiem. Pobieglam za nim i kopnęłam go za to, co ci zrobił.

Jessika przemogła nienawiść do Yuego, która automatycznie ogarnęła ją na dźwięk jego nazwiska. Nienawiść do starego Yuego.

- Nie wolno ci tego robić - rzekła. - Zwłaszcza teraz. Zdrajca słusznie obawiał się powrotu jej wspomnień, chociaż już wcześniej wiedziała przecież o jego zbrodniach i przebaczyła mu.

„Ale zrobiłam to w głowie, nie w sercu” - pomyślała. Odzyskane wspomnienia i emocje wbiły ten sztylet jeszcze głębiej.

Pod wpływem nagłej fali uczuć przygarnęła Alię i mocno objęła. Potem po raz pierwszy w swym nowym wcieleniu spojrzała na nią jak na córkę.

- Znowu jestem twoją matką - powiedziała.

Zanim będzie można użyć testu, trzeba go dobrze określić. Jakie parametry ma badać? Z jaką dokładnością? Nazbyt często bowiem zdarza się, że test służy jedynie analizowaniu samej testującej.

- *Podręcznik akolitek Bene Gesserit*

Śmierci maskaradnika Hawata nie będzie można długo utrzymać w tajemnicy. Policzono więc i zamknięto pasażerów *Itaki*, po czym Sziena z kadrą sprawdzonych już osób sporządziła ich rejestr, utworzyła zespoły, które miały zadbać o bezpieczeństwo, a następnie poprowadziła wszystkich do głównej sali zebrań. Gdyby zaistniała taka potrzeba i gdyby zgromadzono tam dość żywności, w ogromnym pomieszczeniu mogłyby przebywać wiele dni setki osób. Na mostku nawigacyjnym pozostała tylko Garimi, by śledzić wskazania przyrządów i pilnować kursu.

Jako że wszystkich pasażerów - a przynajmniej wszystkich, o których wiadano - zamknięto w sali zebrań, było bardzo prawdopodobne, że zostali tam uwięzieni ukryci zdrajcy. Dzięki drobiazgowemu badaniu w ciągu kilku dni zostaną wyłapani wszyscy maskaradnicy, jeśli jacyś jeszcze tam są.

Młodsze dzieci, które urodziły się podczas podróży, najwyraźniej początkowo myślały, że to jakaś zabawa, wkrótce jednak zaczęły się nudzić i niecierpliwić, natomiast dorośli zrobili się niespokojni i podejrzliwi i zastanawiali się, dlaczego tylko garstce z nich

pozwolono wchodzić i wychodzić z tajemniczymi zadaniami. I dlatego jednym z zaufanych jest ten wstrętny, drobny Tleilaxanin. Wielu pasażerów *Itaki* nadal odnosiło się do Scytale'a z nieskrywaną odrazą, ale on przywykł do takiego traktowania. Tleilaxanami zawsze gardzono i nigdy im nie ufano. I kogo należało teraz winić za to, co się stało?

Poprzedniego dnia, pracując jak szalony, sporządził z lekarkami Akademii Suka dość zestawów do analizy, by przeprowadzić genetyczne porównanie każdego nieprzebadanego jeszcze pasażera. Na wszelki wypadek wyprodukował też wiele pojemników działającego tylko na zmiennokształtnych trującego gazu, ale Sziena nie była jeszcze gotowa wyrazić zgody na taki ryzykowny eksperyment. Nie mieli do niego pełnego zaufania i trzymali gaz pod ścisłym nadzorem.

On również nie ufał im całkowicie. Był w końcu mistrzem tleilaxańskim, być może ostatnim żyjącym. Przygotował w tajemnicy bardziej zaskakujący, niezawodny test, doskonale wiedząc, co robi. Nikomu nie pisał o tym nawet słowem.

Kiedy wszystko było gotowe, usiadł w pierwszym rzędzie, by obserwować ważny - jak się spodziewał - proces ujawniania prawdziwej tożsamości zgromadzonych. Przyglądał się niespokojnym Bene Gesserit, lekarkom Akademii Suka, archiwariuszkom i cenzorkom. Na widowni widział Tega, który zajął miejsce obok rabiego i dwóch Bene Gesserit. Młode ghole siedziały kilka rzędów dalej; każde z tych dzieci okazało się już nieskażone. Przy jednym z zamkniętych

wyjąć czekał Duncan Idaho, przy pozostałych pełnili straż męscy pracownicy Bene Gesserit.

Do pasażerów przemówiła z przodu sali Sziena.

- Odkryliśmy wśród nas maskaradnika i jesteśmy przekonani, że w tym pomieszczeniu są jeszcze inni - powiedziała wyraźnie i nieustępliwie, używając Głosu.

Wstrząs wywołany jej słowami był tak wielki, że zapanowała absolutna cisza. W przedłużającym się milczeniu Sziena próbowała nawiązać z każdym kontakt wzrokowy. Scytale nie był zaskoczony, że nikt nie wystąpił naprzód. Stary rabbi wydawał się jednocześnie oburzony i zagubiony bez swoich ludzi. Siedzący obok Teg powiedział mu, żeby zachował cierpliwość. Rabbi spiorunował go wzrokiem, ale nie próbował się spierać.

- Stworzyliśmy niezawodny test - podjęła Sziena. Chociaż mówiła grzmiącym głosem, słysząc w nim było znużenie. - Badanie będzie czasochłonne i męczące, ale wszyscy mu się poddadzie.

- Mam nadzieję, że nikt nie ma nic lepszego do roboty. - Duncan skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się ponuro. - Drzwi pozostaną strzeżone, dopóki się to nie zakończy.

Na scenę wkroczyli Scytale i lekarki Akademii Suka z zestawami do analizy, strzykawkami i wacikami.

- Kiedy każdy z was zostanie oczyszczony z podejrzeń, wzrosną szeregi naszych sprzymierzeńców - dodał Duncan. - Tego badania nie przejdzie niepostrzeżenie żaden maskaradnik.

- Kto był tym schwytanym przez was maskaradnikiem - zapytała jedna z sióstr z nutą

niepokoju w głosie. - I dlaczego przypuszczacie, że są wśród nas jeszcze inni? Jakie macie na to dowody?

Gdy Sziena wyjaśniła, jak czerwie zabiły Thufira Hawata, przez salę przeszedł szmer zdumionych szeptów.

- Wiemy, że fałszywy Thufir nie mógł dokonać wszystkich aktów sabotażu - zawołał ze swojego miejsca baszar z odrazą i poczuciem winy. - Był ze mną, kiedy zdarzyło się kilka incydentów.

- Skąd mam wiedzieć, że wy wszyscy nie jesteście maskaradnikami? - Rabbi poderwał się na nogi i spojrzał gniewnie na Szienę, lekarki Akademii Suka, a zwłaszcza na Scytale'a. - Wasze zachowanie nigdy nie było dla mnie zrozumiałe.

Teg pociągnął go za rękaw na fotel.

Sziena zignorowała pytanie starca i wskazała przedni rząd.

- Teraz zbadamy pierwszą osobę - powiedziała. Podeszły dwie lekarki Akademii Suka z zestawami do analizy i Sziena dodała: - Usiądźcie wygodnie. To trochę potrwa.

Jednak dla Scytale'a całe to żmudne badanie było przede wszystkim procesem, który miał odwrócić uwagę zebranych. Nie wiedziały o tym nawet Bene Gesserit. Wpadłszy w pułapkę, każdy maskaradnik w sali będzie się starał znaleźć sposób uniknięcia zatrzymania. Dlatego tleilaxański mistrz musiał działać szybko, zanim którykolwiek ze zmiennokształtnych zdąży wykonać jakiś ruch. Bacznie przyglądając się zgromadzonym, dotknął małego przyrządu, który miał

w kieszeni.

Chociaż powolna procedura analityczna była niezawodna, Scytale opracował sekretny plan oparty na tym, co wiedział o dawnych maskaradnikach tworzonych przez oryginalnych mistrzów tleilaxańskich. Zakładał, że nowi zmiennokształtni, przybyli z Rozproszenia, byli podobni, przynajmniej pod względem podstawowych reakcji. Musieli powstać zgodnie z ogólnymi założeniami tego samego projektu. A jeśli tak, to wiedział, jak ich zdemaskować. Był to niedostateczny, drugorzędny sprawdzian... ale o jego powodzeniu mógł zdecydować fakt, że maskaradnicy absolutnie się go nie spodziewali.

Lekarki Akademii Suka poddały pośrodku sali testowi pierwszą siostrę. Posłusznie wyciągnęła rękę i czekała na pobranie kropli krwi.

Scytale włączył bez ostrzeżenia nadajnik gwizdu o wysokiej częstotliwości. W pomieszczeniu rozległ się przenikliwy, wibrujący dźwięk, intensywny, ale przekraczający zakres słyszalności większości ludzi. Pierwotni maskaradnicy porozumiewali się z Tleilaxanami szyfrowym językiem gwizdów, tajnym zbiorem sygnałów wypalonym w ich układzie nerwowym. Scytale był przekonany, że ten nieodparty dźwięk zmusi każdego maskaradnika, przynajmniej na pewien czas, do zrzucenia maski.

Nagle rabbi podskoczył na fotelu i zaczęły nim wstrząsać drgawki. Jego pomarszczona twarz, widoczna pod gęstą brodą, wygładziła się i zmieniła. Wydał okrzyk oburzenia i zerwał się na nogi. I oto starzec

przeobraził się niespodziewanie w gibką, żylastą istotę o płaskiej twarzy, zapadniętych oczach i perkatym nosie, która wyglądała, jakby została zrobiona z wółstopionego wosku.

- Maskaradnik! - krzyknął ktoś.

Rabbi zawirował niczym trąba powietrzna i rzucił się na Bene Gesserit.

Nigdy nie lekceważ wroga... ani sojuszników.

- Miles Teg,
Pamiętniki starego dowódcy

Z powodu jego stałych narzekania, negatywnej postawy i wątego wyglądu wszyscy na statku pozaprzestrzennym albo lekceważyli starego rabiego, albo błędnie go oceniali. Podobnie Miles Teg.

Poruszając się niczym promień lasera, maskaradnik zadał baszarowi cios, który niechybnie roztrzaskałby mu czaszkę, gdyby precyzyjnie go trafił, ale Teg, z nadludzką szybkością, w porę się cofnął. Ocaliło mu to życie, lecz atak i tak go oszołomił.

Rabbi błyskawicznie zabił dwie siostry, które siedziały po drugiej stronie, po czym ruszył do najbliższego wyjścia, wyrąbując sobie drogę gradem śmiertelnych ciosów. Z kieszeni ukrytych w czarnym, tradycyjnym stroju wyciągnął dwa małe noże do rzucania. Ich ostrza nie były dłuższe od jego kciuków, ale cisnął nimi celnie. Ostre sztychy, niewątpliwie zatrute, przeszły gardła dwóch mężczyzn, którzy pilnowali drzwi. Prawie bezdźwięcznie odsunął ich zwijające się w przedśmiertnych drgawkach ciała i wypadł na korytarz.

Scytale uważnie przeszukiwał wzrokiem tłum, by się upewnić, że jeden uciekający wróg nie odwraca uwagi od innych maskaradników kryjących się wśród osób zebranych w sali, ale nie zauważył już żadnych nagłych przeobrażeń.

- Wiemy, kim on jest - krzyknęła Sziena - ale może zmienić postać! Musimy go zaraz dopaść!

Jedna z sióstr próbowała połączyć się przez interkom z Garimi, by ją ostrzec, ale nie uzyskała odpowiedzi.

- Linia została uszkodzona - powiedziała.

- Napraw ją. - Sziena uświadomiła sobie, że podczas kwarantanny w tej sali rabbi miał dość czasu, by niepostrzeżenie dokonać kolejnych aktów sabotażu.

Do jęczącego Tega podbiegi doktor Yueh i pochylił się nad nim, by zbadać, na ile poważna jest rana. Dwie leżące obok siostry były bez wątpienia martwe. Wyraz twarzy doktora świadczył o jego konsternacji. Badając Tega, mruczał, jakby starał się zrozumieć sytuację:

- To rabbi dał mi próbkę komórek nienarodzonego gholi. Musiał wziąć z magazynu komórki Pitera de Vriesa, by mnie oszukać. Wiedział, co zrobię, jak zareaguję.

Duncan przeniósł spojrzenie z Yuego i Tega na Szienę.

- Teraz jest to dla mnie oczywiste - powiedział. - Thufir Hawat i rabbi. Dlaczego nie dostrzegłem tego związku wcześniej?

Sziena aż zatchnęło z wrażenia, kiedy uświadomiła sobie to samo.

- Obaj polecili z nami na planetę Przewodników!

Duncan skinął głową.

- Podczas polowania na Dostojne Matrony Hawat i rabbi byli razem - rzekł. - Kiedy odkryliście, że Przewodnicy są maskaradnikami, musieliście się przebijać z powrotem do lichtugi.

- Oczywiście - potwierdziła Sziena z grobową miną. - Ci dwaj przybiegli z lasu w ostatniej chwili. Wygląda na to, że jednak nie udało im się umknąć maskaradnikom.

- A zatem prawdziwi rabbi i Thufir... - zaczął Duncan.

- Od dawna nie żyją, zastąpieni na tej planecie przez maskaradników, a ich ciał pozbyto się podczas polowania - dokończyła Sziena.

Osiągnąwszy w końcu mentackie skupienie, Duncan szybko wyciągnął następny oczywisty wniosek.

- Zatem od tej zamiany minęło ponad pięć lat. Pięć lat! Przez cały ten czas kopie Hawata i rabiego musiały czekać na okazję, zabijając ghole i kadzie aksolotłowe, uszkadzając systemy podtrzymywania życia i zmuszając nas do zatrzymania się na Qelso, gdzie mogli nas odkryć nasi prześladowcy. Dotąd udawało nam się umknąć sieci, ale teraz, kiedy maskaradnicy zostali zdemaskowani...

Sziena pobladła.

- A co z tymi skradzionymi minami? - spytała. - Co rabbi z nimi zrobił? Jeśli do nich dotrze, może je w każdej chwili zdetonować.

Dochodzący do siebie, ale nadal wyraźnie zamroczony Teg już ruszał ku drzwiom.

- Ten maskaradnik wie, że musi przejąć statek, zanim go zabijemy - stwierdził. - Skieruje się na mostek nawigacyjny.

- Jest tam Garimi - powiedziała Sziena. - Miejmy nadzieję, że uda jej się go powstrzymać.

*

Zanim maskaradnik dotarł na mostek, ponownie przybrał postać rabbiego. Miał wszystkie wspomnienia, doświadczenia, przeżycia i szczegóły osobowości starca, a także wiele innych jego cech. Wątki męczyzna wpadł do pomieszczenia z wystraszoną miną, zaskakując Garimi.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

Miał spanikowany wzrok, jakby uważał, że naczelną opiekunka może go obronić. Okulary spadły mu z nosa.

- Maskaradnik! - wydyszał, idąc ku niej chwiejnym krokiem. - Zabija Bene Gesserit!

Garimi obróciła się szybko do panelu interkomu, by skontaktować się z Szieną - i wtedy rabbi zaatakował. Jego złożona do śmiertelnego uderzenia ręka była już o centymetry od jej szyi, ale w ostatnim momencie wyczuła ten ruch i zrobiła unik. Krawędź pięści wylądowała na jej ramieniu zamiast na karku. Ześliznęła się z fotela i rabbi ponownie rzucił się na nią.

Leżąc na podłodze, Garimi wymierzyła mu kopnięcie. Celowała w jego kruche, jak się wydawało, kolano, ale odskoczył sprężystym susem niczym pantera. Wydał dziki wrzask, kiedy siostra poderwała się na nogi i przyjęła postawę obronną. Wywinęła dolną wargę.

- Sprytnie, rabbi - powiedziała. - Nawet teraz, kiedy wiem, kim jesteś, nie czuję od ciebie smrodu maskaradnika.

Szarpnąwszy przyśrubowany do podłogi fotel, rabbi wyrwał go i z potężnym zamachem walnął nim w Garimi. Przykucnęła i chwyciła go, kiedy ze świstem

przelatywał nad jej głową. Wyrwała starcowi mebel, a jej pociągnięcie było tak silne, że padł na podłogę.

Kiedy się poderwał, zmienił się w rozsierdzonego Futara. Jego ciało spęczniało od mięśni, zęby wydłużyły się i zaostrzyły, a powietrze przecięły szpony, w które przeistoczyły się jego paznokcie. Garimi zatoczyła się do tyłu, uchodząc z zabójczego zasięgu jego rąk, i uderzyła dłonią w przycisk włączający interkom.

- Siostry! - krzyknęła. - Maskaradnik na mostku!

Futar skoczył i jego długie, dopiero co wyrosłe szpony rozpruły jej suknię. Zasypując go gwałtownymi, rozpaczliwymi ciosami wyprowadzanymi bardziej z myślą o tym, by go zranić, niż by chronić własne życie, Garimi złamała mu żebra. Wściekłym kopnięciem, w które włożyła całą siłę, wybiła mu ze stawu kość udową.

Ale Futar, osuwając się, przekreślił się, zawirował tak szybko, że aż rozmazały jej się w oczach jego kształty, i złamał Garimi kark. Padła jak ścięta, nie wydawszy nawet westchnienia. Już z czystej zemsty rozerwał jej gardło, po czym spokojnie powrócił do swojej naturalnej, nijakiej postaci maskaradnika. Otarł rękawem krew z twarzy.

Poturbowany tak mocno, że nawet jego zdolność zmieniania kształtu na niewiele się zdała, rabbi ruszył, pełznąc, a potem kuśtykając, w stronę głównego panelu sterowniczego *Itaki*. Słyszał z korytarza tupot biegnących nóg, zamknął więc drzwi na mostek, zasunął rygle bezpieczeństwa i włączył program obrony przed buntem na pokładzie.

W ciągu lat, przez które ukrywał się w powłoce rabiego, maskaradnik zebrał ukradkiem próbki komórek skóry Duncana Idaho, Szieny i baszara Milesa Tega. Teraz na jego palcach pojawiły się odpowiednie linie papilarne, dzięki czemu solidnie zabezpieczone przyrządy zidentyfikowały go jako osobę upoważnioną do ich obsługi. Drzwi oprą się każdej próbie wtargnięcia na mostek. Bene Gesserit znajdą w końcu jakiś sposób, by się na niego dostać, ale do tego czasu zakończy swoje zadanie.

Myślące maszyny, jego panowie, zostaną postawione w stan gotowości. I przybędą.

Już dawno nauczył się posługiwać silnikami Holtzman. Ocenivszy najlepiej, jak potrafił, współrzędne, nie przejmując się brakiem nawigatora, maskaradnik zagiął przestrzeń i skoczył *Itaką* przez galaktykę. Statek wypadł z zagięcia w innym rejonie gwiazdnym, niedaleko od posuwających się naprzód sił Omniusa. Maskaradnik skonfigurował na nowo systemy komunikacyjne i włączył boję sygnalizacyjną. Jego zwierzchnicy znali ten sygnał.

Myślące maszyny szybko odpowiedzą. Maskaradnik już wyczuwał zbliżającą się zgłodniałą tachionową sieć. Tym razem nie będzie możliwości ucieczki. Statek pozaprzestrzenny znajdzie się w pułapce.



Nawet mali przeciwnicy mogą być śmiertelnie groźni.

- raport Bene Gesserit
o tleilaxańskim problemie

Kiedy Duncan, Sziena i Teg znaleźli się przy mostku nawigacyjnym, ciężkie drzwi były zatrzaśnięte na głucho. Nie do przebycia. Mostek został tak zaprojektowany, by wytrzymać napór nawet całej armii.

Po paru chwilach nadbiegły pozostałe siostry, które najpierw pospieszyły do zbrojowni i zaopatrzyły się w broń ręczną - pistolety na zatrute igły i paralizatory - oraz palnik laserowy dużej mocy. Żaden z tych przyrządów na nic się tu nie zda. Do tłumu stojącego przed zamkniętym mostkiem dołączyły młode ghole, a wśród nich Paul, Chani, Jessika, Leto II i mała Alia.

Duncan wyczuł zmianę położenia, kiedy statek poleciał przez zagiętą przestrzeń.

- On jest u sterów! - krzyknął. - Przenosi nas w inne miejsce!

- A zatem Garimi nie żyje - skonkludowała Sziena.

- Ten maskaradnik kieruje statek prosto w ręce wroga - rzekł Teg.

- Pora użyć gazu Scytale'a i zabić go. - Sziena odwróciła się do dwóch sióstr stojących w korytarzu. - Znajdźcie Tleilaxanina i zaprowadźcie go do strzeżonego pomieszczenia. Weźcie jeden zbiornik. Wpuścimy gaz na mostek.

- Nie ma na to czasu - powiedział Duncan. - Musimy

się tam dostać!

- Ja mogę tam wejść - oświadczyła Alia niesamowicie chłodno i inteligentnie.

Duncan spojrział na dziewczynkę. Echa wspomnień, które budziło w nim to dziecko, wytrącały go z równowagi. W pierwotnym wcieleniu nigdy nie widział jej jako malucha - został zabity przez sardaukarów, kiedy Jessica była dopiero w ciąży. Miał jednak żywe wspomnienia Alii jako swojej kochanki w innym życiu. Ale to była historia. Teraz to wszystko mogło równie dobrze być mitem czy legendą.

Pochylił się, by z nią porozmawiać.

- Jaki? - zapytał. - Mamy niewiele czasu.

- Jestem wystarczająco mała. - Dziewczynka wskazała z błyskiem w oku wąskie otwory szybów wentylacyjnych prowadzących na mostek. Była drobniejsza nawet od Scytale'a.

Sziena zdejmowała już kratkę.

- Po drodze są przegrody, filtry i prety - powiedziała.

- Jak się przez nie przedostaniesz?

- Dajcie mi palnik laserowy. I pistolet na igły. Otworzę drzwi najszybciej, jak się da. Od środka.

Kiedy Alia dostała wszystko, Duncan podniósł ją, żeby mogła się wśliznąć do małego kanału. Nie miała jeszcze czterech lat, niewiele więc ważyła. Jessica stała i przyglądała się temu, wyglądając dojrzej niż zaledwie przed kilkoma dniami, ale mimo iż jej „córka” pakowała się w niebezpieczną sytuację, nie protestowała.

Spokojne i skupione dziecko ścisnęło palnik laserowy

zębami, wsunęło pistolet igłowy za koszulkę i zaczęło się czołgać szybem wentylacyjnym. Od mostka nawigacyjnego dzieliła ją niewielka odległość, ale przebycie każdego pół metra było walką. Alia zrobiła wydech, by precyzyjnie się przez przewód.

Pozostali zaczęli walić w drzwi, żeby zagłuszyć jej odgłosy. Używali ciężkich wrębiarek, które wzbijały snopy iskier i chmury dymu, wwiercając się ze zgrzytem milimetr po milimetrze w pancerną przeszkodę. Maskaradnik wiedział, że przebicie się na mostek zajmie im wiele godzin, lecz Alia była pewna, że nie spodziewał się ataku przez kanał wentylacyjny.

Napotkała pierwszą barierę - plastalowe pręty połączone siatką filtracyjną. Gęsta mata, pokryta warstwą neutralizujących środków chemicznych i substancji wytwarzającej słabe pole elektrostatyczne, usuwała z powietrza docierającego na mostek wszystkie toksyny i narkotyki. Skoro był tu ten filtr, gaz Scytale'a nie podziałałby, nawet gdyby udało im się go wypuścić.

Wciskając łokcie w boki, Alia wyjęła spomiędzy zębów palnik i urywanymi ruchami nadgarstka przecięła pręty. Delikatnie, starając się nie robić hałasu, położyła filtr przed sobą i przeczołgała się po nim. Ostre krawędzie podrapały jej pierś i nogi, ale nie zważała na ból.

W podobny sposób przedostała się przez drugą siatkę, po czym znalazła się w otworze wylotowym, skąd przez kratkę widziała maskaradnika. Od czasu do czasu jego ciało drgało jak zniekształcony przez zakłócenia obraz, to powracając do postaci starca, to przybierając kształt

Futara, ale twarz zachowywała nijaki wygląd. Jeszcze zanim Alia spostrzegła leżące na podłodze z rozszarpanym gardłem ciało Garimi, wiedziała, że nie może lekceważyć tego przeciwnika.

Końcem rozżarzonego palnika przecięła małe uchwyty, w których spoczywała kratka. Poruszając się najciszej, jak mogła, przytrzymała ją i wyjęła pistolet igłowy zza koszulki. Znieruchomiała, a potem wzięła głęboki oddech i czekała na odpowiedni moment.

„Będę miała tylko chwilę zaskoczenia, muszę więc ją w pełni wykorzystać” - pomyślała.

Maskaradnik operował przy panelu sterowniczym, prawdopodobnie wysyłając sygnał tajemniczemu wrogowi lub jego wysłannikom, którymi przypuszczalnie były takie same istoty jak on. Każda sekunda zwłoki wystawiała *Itakę* na coraz większe niebezpieczeństwo.

Nagle maskaradnik poderwał głowę i spojrzał na wylot przewodu wentylacyjnego. Jakoś ją wyczuł. Alia pchnęła bez wahania kratkę, niczym pocisk, w jego stronę. Zrobił unik, reagując dokładnie tak, jak się spodziewała. Nadal leżąc w szybie, wyciągnęła przed siebie rękę z pistoletem i siedmiokrotnie wystrzeliła. Trzy śmiertelne igły trafiły w cel - dwie w oczy maskaradnika, trzecia w jego tętnicę szyjną.

Zmiennokształtnym wstrząsnął skurcz, po czym stężał i padł bez życia. Alia wyczołgała się z kanału, zsunęła na podłogę, odzyskała równowagę i zerknęła na Garimi, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest martwa, po czym swobodnym krokiem podeszła do drzwi.

Zwinnymi palcami wyłączyła zabezpieczenia i otworzyła je.

Za progiem stali Duncan i Teg z wyciągniętą bronią, bojąc się tego, co może się wyłonić ze środka. Dziewczynka powitała ich spokojną miną.

- Nasz maskaradnik nie stanowi już problemu - oznajmiła.

Za Alią zobaczyli niehumanoidalną postać rozciągniętą obok przewróconego fotela. Z ran od strzałek w jego oczach ciekły małe strużki krwi, szyję spowijał szkarłatny kołnierz posoki. Na płytach podłogi leżała martwa Garimi.

Sziena zwięźliła oczy.

- Widzę, że jesteś urodzoną zabójczynią - powiedziała.

- Tak mi mówiono - rzekła z niewzruszonym spokojem Alia. - Czy nie sprowadziliście z powrotem nas, gholi, ze względu na nasze zdolności? To jest to, co robię najlepiej.

Duncan podbiegi do pulpitu sterowniczego, by ocenić szkody, jakie wyrządził fałszywy rabbi. Wyteżył zmysły i z przerażeniem zobaczył, że nagle wszędzie wokół nich pojawiły się i zyskiwały coraz intensywniejszą barwę śmiercionośne sploty mieniającej się sieci. Niezniszczalnej sieci. Matnia była tak jaskrawa i mocna, że teraz widzieli ją wszyscy.

Teg rzucił się do skanera.

- Duncan! - krzyknął. - Zbliżają się statki... mnóstwo statków! Maskaradnik przeniósł nas pod sam próg wroga. Zostaliśmy zlokalizowani i oplata nas sieć.

- Po tych wszystkich latach złapali nas. - Duncan powiódł po wszystkich wzrokiem. - Przynajmniej wkrótce się dowiemy, kim naprawdę jest nasz wróg.

To, że wszyscy jesteśmy ludźmi, powinno czynić z nas sojuszników. Jest jednak smutnym faktem, że podobieństwa okazują się często ogromnymi różnicami i przeszkodami nie do pokonania.

- Matka Dowodząca Murbella, przemówienie przed nowym zgromadzeniem żeńskim

Z powodu dramatycznego braku czasu tysiące nowo wyposażonych statków nie mogło przejść testów w warunkach rzeczywistych ani odbyć rejsów próbnych. Na silnie opancerzone jednostki budowane na Węźle i w siedemnastu stocznjach satelickich ładowano produkowane masowo unicestwiacze. Załogi czyniły przygotowania do wylotu na linie frontu.

Świeżo pozyskani z poboru na setkach zagrożonych planet nieopierzeni dowódcy przechodzili tylko podstawowe szkolenie, które ledwie wystarczało do wystawienia ich przeciw wrogowi w licznych słabych punktach linii oporu wytyczanej przez ludzkość w przestrzeni kosmicznej. Murbella wiedziała, że pomimo determinacji i męstwa, większość z nich zginie bez względu na to, jak długie odbyła szkolenie i jaką ma wprawę.

Po wygaśnięciu epidemii na Kapitularzu Matka Dowodząca otworzyła podwoje głównej kwatery nowego zgromadzenia żeńskiego przed uchodźcami ze wszystkich ewakuowanych planet. Początkowo bali się osiedlać na świecie objętym niedawno kwarantanną, ale

potem zaczęli napływać wartkim strumieniem. Nie mając wielkiego wyboru, bezładne rzesze uciekinierów przyjęły propozycję schronienia w zamian za włączenie się w ważne prace w ramach mobilizacji do wojny. Należało odłożyć na bok politykę i zapomnieć o dawnych frakcjach i podziałach. Teraz wszystko podporządkowane było przygotowaniom do boju na śmierć i życie z nadciągającymi sitami Omniusa.

Matka Wielebna Corysta przysłała z Buzzella niewiarygodną wiadomość, że olbrzymie czerwie morskie, które czyniły spustoszenie w hodowli wytwarzających kojotyty cholister, produkują też pewien rodzaj przyprawy. Murbella natychmiast zaczęła podejrzewać, że to jakiś eksperyment Gildii. Nie mogło do tego dojść w naturalny sposób. Corysta sugerowała, że można by polować na czerwie i zbierać melanz, ale Matka Dowodząca nie wybiegała myślami tak daleko w przyszłość. Nowe źródło przyprawy miałoby znaczenie tylko wtedy, gdyby rodzaj ludzki przetrwał starcie z wrogiem.

Murbella zwołała wielką radę wojenną z udziałem delegatów planet frontowych, którym zagrażał rychły atak myślących maszyn. Nie zważając na ich oburzenie, każdego poddano badaniom komórkowym, by wyeliminować ukrytych maskaradników. Matka Dowodząca nie chciała ryzykować. Podstępni zmiennokształtni mogli być wszędzie.

Podeszła dostojnym krokiem do przeznaczonego dla niej miejsca przy stole z elakki w wielkiej sali zgromadzeń w twierdzy. Wykorzystując

charakterystyczną dla Bene Gesserit umiejętność dokładnej obserwacji, przyglądała się uważnie zebranym, których przywiodła tutaj desperacja. Usiłowała postrzegać odzianych w przeróżne stroje i mundury przedstawicieli zagrożonych planet jako dowódców wojskowych, generałów, którzy wezmą udział w ostatniej bitwie ludzkości. Obecne w tym pomieszczeniu osoby poprowadzą utworzone naprędce zgrupowania statków i ustanowią tysiące miejsc oporu. Ale czy byli materiałem na bohaterów, których potrzebował rodzaj ludzki?

Kiedy zwróciła się do nich twarzą, zobaczyła w ich oczach niepokój i poczuła zapach potu wydzielanego pod wpływem strachu. Ogromna flota wroga sunęła przez galaktykę niczym rozszerzający się pożar, pochłaniając jeden układ gwiazdny po drugim, kierując się nieubłaganie ku Kapitularzowi i pozostałym światom leżącym w samym sercu Starego Imperium.

Po podróży na obleżone planety i zbadaniu stanu ich przygotowań Murbella zawarła sojusze z ich przywódcami, watażkami, wspólnotami handlowymi i rządami. Przyświecająca Leto II wizja Złotego Szlaku podzieliła ludzkość, wskutek czego nie podążała już ona za jednym charyzmatycznym przywódcą, i Matka Dowodząca musiała naprawić tę szkodę. Różnorodność mogła być kiedyś sposobem na przetrwanie, teraz jednak sytuacja radykalnie się zmieniła. Jeśli liczne światy i ich armie nie zjednoczą się, by stawić czoło o wiele potężniejszemu nieprzyjacielowi, wszyscy zginą.

Jeśli Tyran miał tak wspaniałą zdolność

jasnowidzenia, jak mógł nie przewidzieć istnienia potężnego imperium maszyn, bez względu na to, jak bardzo było odległe? Jak Bóg Imperator mógł nie wiedzieć, że ludzkość czeka kolejny potworny konflikt? Nagle przeszedł ją dreszcz. A może wiedział i wszystko rozgrywa się dokładnie tak, jak to zaplanował?

Ogromnym wysiłkiem udało jej się wygrać wewnętrzny spór i doprowadzić do tego, by przywódcy różnych planet zgodzili się, że najlepszą obronę zapewnia jednolity plan - jej plan - a nie setka toczonych niezależnie od siebie, z góry skazanych na przegraną bitew. Aby dotarło to do wszystkich, musiała się przebić przez oporną biurokrację wielu światów. W tej wojnie nic nie było łatwe.

Czując brzemień odpowiedzialności spoczywającej na niej z racji piastowanego stanowiska, Murbella stuknęła dużym, okrągłym kamieniem w stół. Huk, odbijając się echem od ścian, przywołał zebranych do porządku.

- Wszyscy wiecie, dlaczego się tu znaleźliście - zaczęła. - Musimy zbudować w przestrzeni kosmicznej ostatnie bastiony oporu, tysiąc bastionów. Wielu z nas zginie. Może wszyscy zginie. Nie ma alternatywy. Jedyne pytania to: jaką śmiercią i jak szybko polegniemy? Czy wolimy zginąć wolni, bijąc się do końca... czy pokonani i podczas ucieczki?

Sala rozbrzmiała kakofonią różnych języków i akcentów, mimo iż nalegała, by wszyscy używali wspólnego galachu. Użyła Głosu, aby uciszyć wrzawę.

- Nadciągają maszyny! Jeśli będziemy

współpracować i nie cofniemy się w obliczu wroga, może się okazać, że mamy wystarczające środki, by go powstrzymać.

Zauważyła pośród audytorium urzędników zajmujących wysokie stanowiska w Gildii i ixańskich inżynierów. Z powodu krótkich terminów nie udało się uniknąć opóźnień części dostaw, ale garstka inspektorów i nadzorczyń linii produkcyjnych z grona Bene Gesserit czuwała nad przebiegiem tych operacji.

- Nasza broń i statki są już gotowe - ciągnęła - ale zanim ruszymy, chcę wam wszystkim zadać jedno pytanie. - Potoczyła przeszywającym spojrzeniem po twarzach przywódców planet. Gdyby nadal była Dostojną Matroną, jej oczy zapłonęłyby pomarańczowym ogniem. - Macie dość determinacji i odwagi, by zrobić to, co konieczne?

- A ty?! - ryknął brodaty mężczyzna z bardzo małej planety w odległym układzie gwiazdowym.

Murbella ponownie rąbnęła w stół kamieniem.

- Główny impet pierwszego uderzenia myślących maszyn przyjmie na siebie moje nowe zgromadzenie żeńskie - odparła. - Walczyłyśmy już z nimi w niejednym układzie, zniszczyłyśmy wiele ich statków i przeżyłyśmy zarazę wywołaną przez nie na Kapitularku. Ale tej wojny nigdy nie wygra się na poszczególnych polach bitew. - Dała znak i Janess włączyła aparaturę. - Spójrzcie wszyscy na to.

Tak nagle, że aż zebrani się wzdrygnęli, pojawił się ogromny obraz holograficzny, wypełniając wielką salę zgromadzeń twierdzy szczegółowymi mapami licznych

układów słonecznych galaktyki. Rozszerzająca się plama ukazywała podboje myślących maszyn, zatapiając niczym fala przyływu każdy układ na jej drodze. Czerń klęski i zagłady pokryła już większość znanych układów na obszarach Rozproszenia.

- Musimy skoncentrować nasze wysiłki - kontynuowała Murbella. - Wróg nie używa silników zaginających przestrzeń, posuwa się metodycznie od układu do układu. Znamy kierunek jego natarcia, możemy więc stanąć mu na drodze. - Zatrzymała się pośród symulacji gwiazd i planet. Jej palce przesuwwały się od jednego punktu do drugiego, wskazując rozżarzone gwiazdy i nadające się do zamieszkania planety, które leżały na szlaku armii wroga. - Musimy utrzymać front... tutaj i tutaj, i wszędzie! Tylko łącząc wszystkie nasze statki, dowódców i broń, możemy mieć nadzieję na zatrzymanie wroga. - Przesunęła dłonią przez migoczące obrazy tuż przed wdzierającymi się myślącymi maszynami. - Każdy inny wybór byłby tchórzostwem.

- Nazywasz nas tchórzami? - krzyknął brodac.

Podniósł się jakiś kupiec.

- Na pewno możemy negocjować...

- Myślące maszyny nie chcą żadnego konkretnego świata - ucięła. - Nie szukają też klejnotów, przypraw ani żadnych innych dóbr. Nie ma takiej rzeczy, którą moglibyśmy im zaoferować w zamian za pokój. Nie idą na kompromisy i będą nas ścigały, dokądkolwiek uciekniemy. - Spojrzała na wściekłego mężczyznę i dodała: - Uciekając dzisiaj, m o g l i b y ś c i e jeszcze

jakiś czas przeżyć. Ale wasze dzieci czy wnuki nie będą miały żadnej możliwości ucieczki. Maszyny wymordują je do ostatniego niemowlęcia. Cenicie swoje życie bardziej niż ich? Jeśli tak, to rzeczywiście nazywam was tchórzami.

Mimo pomruków nikt więcej się nie odezwał. Na widocznym na ogromnym obrazie styku terytoriów podbitych przez maszyny i bezbronnych planet zamieszkanym przez ludzi pojawiła się linia drobnych wybuchów.

Murbella przesunęła wzrokiem po audytorium.

- Na każdym z nas spoczywa obowiązek powstrzymania wroga przed przekroczeniem tej linii. Niepowodzenie oznacza zagładę ludzkości.

Prawdziwa wierność jest niewzruszoną siłą.
Trudność polega na dokładnym określeniu,
wobec kogo mamy być lojalni. Często
musimy być wierni tylko sobie.

- Duncan Idaho, *Tysiąc żywotów*

Do Synchronii przybył z długo oczekiwanym
podarunkiem dla wszechumysłu przywódca miriadów
maskaradników. Myślące maszyny nadal widziały w
Khrone jedynie sługę, chłopca na posyłki.

Omnius i Erazm nigdy nie podejrzewali, że
zmiennokształtni mogą układać własne plany,
niezależne zarówno od ludzi, jak i od myślących
maszyn. Były tak naiwne, tak nieświadome tego, co się
dzieje, tak schematyczne. Wszechumysł przechowa
pieczołowicie ten nowy melanz z myślą o realizacji
swoich ambitnych planów, a fakt, że Khrone mu go
dostarczył, nie pozwoli maszynom powątpiewać w
lojalność maskaradników. Zamierzali maksymalnie to
wykorzystać.

Swoją brutalnością i arogancją „staruszek i staruszka”
już dawno dali nowym zmiennokształtnym powód do
niedotrzymania im wierności. Erazm uważał się za
kogoś przypominającego maskaradnika, ale znacznie
ich przewyższającego... i podobnego do człowieka, choć
górującego też nad ludźmi. I za kogoś takiego jak
Omnius... lecz nieskończenie potężniejszego.

Khrone i reszta maskaradników nigdy tak naprawdę
nie zaprzędali się myślącym maszynom i nie zamierzali

dochować im wierności. Nie widzieli powodu, by oddać im się w niewolę, tak samo jak nie pogodzili się z dominacją pierwotnych Tleilaxan, którzy przed wieloma wiekami stworzyli ich poprzedników. Wymuszone sojusze, partnerzy drugiej kategorii... Wszechumysł był po prostu jeszcze jedną warstwą wielkiej piramidy tych, którzy myśleli, że panują nad maskaradnikami.

Po tylu staraniach i wysiłkach Khrone nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł wreszcie skończyć z tym ustawicznym udawaniem. Nie bawiła go liczba masek, które przywdziewał, ani skomplikowana płatanina sznurków, za które pociągał. Jednak wkrótce...

Poleciał sam małym statkiem prosto do serca współczesnego imperium maszyn. Położenie Synchronii było genetycznie zaprogramowane u wszystkich nowych maskaradników niczym swego rodzaju urządzenie samonaprowadzające. Kiedy wszedł w przestrzeń powietrzną technologicznej metropolii, odpłynął myślami na Ixa. Wytwórcy i inżynierowie przeprowadzili na martwej Richese udany pokaz działania unicestwiaczy i teraz schodziły one z linii produkcyjnych. Matka Dowodząca Murbella była pod wrażeniem siły rażenia nowej broni. Pokaz całkowicie przekonał ją o jej skuteczności. Głupia!

Ale nie we wszystkich sprawach była tak łatwowierna. Podczas poprzedniego spotkania z głównym wytwórcą zmusiła Shayamę Sena do poddania się biologicznemu testowi, który wykazał, że nie jest on maskaradnikiem. Biorąc to pod uwagę, Khrone poczuł wielką ulgę, że nie zastąpił tego człowieka, co w

przeszłości wielokrotnie go kusiło.

Maskaradnicy zajęli już większość ważnych stanowisk na Ixie, kiedy więc Sen niefrasobliwie rozprowadził owe biologiczne testy wśród wszystkich głównych inżynierów i brygadzystów (nawet nie podejrzewając, że większość z nich może być maskaradnikami), miriady zostały zmuszone do natychmiastowego działania. Gdy tylko główny wytwórca poinformował ich z oburzeniem o podejrzeniach nowego zgromadzenia żeńskiego, nie pozostało im nic innego, niż zabić go i przejąć jego tożsamość. Już wcześniej zajęli się sprawiającymi im kłopoty Bene Gesserit, które pełniły funkcje nadzorczyń linii produkcyjnych i kontrolerek jakości. I tak bez przeszkód podtrzymywali iluzję.

Nowi maskaradnicy szybko zastąpili ostatnich ludzi wśród przywódców Ixa. Potem sprokurowali konieczne próby, wybrali niezbędne kozły ofiarne, podmienili dane na takie, które wyglądały przekonująco, i zgodnie z żądaniami Murbelli dostarczyli wszystko na Kapitularz. Wszystko w doskonałym porządku.

Po przetrwaniu epidemii przywództwo nowego zgromadzenia żeńskiego zmusiło w końcu władze wszystkich zamieszkanych planet do połączenia sił przeciw flocie myślących maszyn, do obrony całego rodzaju ludzkiego, a nie tylko własnych światów. Na setkach nowych statków wychodzących ze stoczni na Węzle montowano unicestwiacze, szykując się wspólnie do stoczenia walki na śmierć i życie z nadciągającą falą jednostek Omniusa. Na razie siły wszechumysłu tylko

sporadycznie napotykały poważniejszy opór, prac na Kapitularz. Po raz ostatni.

Prawdę mówiąc, kusiło Khrona, by pozwolić zwyciężyć Matkom Wielebnym i obrońcom ostatnich szanów ludzkości. Mając pod dostatkiem sprawnych unicastwaczy, mogły zadać cios, po którym myślące maszyny już by się nie podniosły. Ludzie i myślące maszyny mogli się z łatwością wzajemnie zniszczyć. Byłoby to jednak zbyt... łatwe. Kralizek wymagał dużo więcej! Tym razem fundamentalna zmiana we wszechświecie doprowadzi do pozbycia się obu rywali, a resztki Starego Imperium zostaną dla maskaradników.

Lądując w krętym labiryncie miedzianych wież, złotych wieżyczek i połączonych srebrzystych budynków, Khrona był całkowicie pewien przyszłości. Obdarzone czuciem budowle usunęły się na boki i zrobiły miejsce dla jego statku. Kiedy mała jednostka zatrzymała się na gładkiej, przypominającej żywe srebro równinie, przywódca maskaradników wysiadł i wciągnął powietrze przesyczone zapachem dymu i rozgrzanego metalu. Nie tracił ani chwili na to, by się rozejrzeć.

Centralny świat maszyn opierał się całkowicie na teatralnych efektach. Khrona podejrzewał, że przyłożył do tego rękę Erazm, chociaż Omnius miał tak przesadne mniemanie o swojej wielkości, iż bez wątpienia chciał, by wszystkie mechaniczne sługusy chyliły głowy przed nim jako bogiem, nawet jeśli musiał im zaprogramować takie zachowania.

Na ziemi pojawiły się prostokątne płytki układające

się w ścieżkę, która zaprowadziła Khrona do celu jego wizyty - wspaniałej, sklepionej katedry. Szedł zamaszystym krokiem, z wysoko uniesioną głową, trzymając cenny pakunek i nie mając najmniejszego zamiaru wyglądać jak suplikant wezwany przed oblicze swego pana. Był raczej osobą, której powierzono pewną misję, która miała do wykonania ważne zadanie. Omnius będzie zadowolony z superprzyprawy potrzebnej mu dla sklonowanego Kwisatz Haderach...

W pretensjonalnej sali na dziewięciopiętrowej, piramidalnej szachownicy stał ghola barona Harkonnena z młodym Paolem. Baron, patrząc gniewnie, przewrócił wieżę na jednym z górnych poziomów.

- To niedozwolony ruch, Paolo - powiedział.

- Ale pozwolił mi wygrać, prawda? - Młodzieniec, zadowolony ze swojej pomysłowości, skrzyżował ramiona na piersi.

- Dzięki oszustwu.

- To nowa reguła. Jeśli jesteśmy tacy ważni, jak mówisz, powinniśmy móc ustanawiać własne reguły.

Przez twarz barona przemknął grymas złości, ale potem zniknął w chichocie.

- Widzę, że się uczysz.

Kiedy Khrona ruszył naprzód, spojrzeli na niego z identycznym wstrętem.

- O, to ty. - Głos barona brzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy męczyli go maskaradnicy. - Nie sądziłem, że znowu cię zobaczymy. Znudził ci się Kaladan?

Ignorując ich, Khrona zauważył, że dwie główne

myślące maszyny powróciły do postaci staruszków w ubraniach ogrodników. Dlaczego teraz udawały te osoby? Z myślą o tych dwóch gholach? Na pewno tutaj nie utrzymywały przed nikim niczego w tajemnicy. Khroneowi nigdy nie udało się dostrzec w ich zachowaniach jakichś prawidłowości.

Może miało to związek z tym, że Omnius i Erazm chcieli otrzymać wszystkie żywoty, które Khrone przyswoił sobie podczas ostatniego zadania wykonywanego wśród ludzi. Ilekroć wracał jeden z ich szeroko rozrzuconych we wszechświecie przedstawicieli, nie mogli się doczekać, kiedy ich „ambasador” podzieli się z nimi tym, co zgromadził. Wydawało się, że daje im to poczucie wyższości i pozwala niezależnemu robotowi uważać, że w jakiś sposób on też należy do rodzaju ludzkiego.

- Spójrz, on coś przyniósł - rzekł Paolo. - Prezent dla nas?

Khrone podszedł wprost do pary staruszków. Gdy kobieta nachyliła się do niego, jej twarz miała dziki, zgłodniały wyraz.

- Myślę, że przywiozłeś nam coś więcej niż tylko tę paczuszkę, Khrone - powiedziała. - Już od pewnego czasu nie było cię w Synchronii. Pokaż nam osoby, które sobie przyswoiłeś. Każdy kawałek czyni nas większymi.

- Mam już tego dość. - Staruszek się odwrócił. - Zaczynam uważać, że są nieco niesmaczni. Wszyscy tacy sami.

- Jak możesz tak mówić, Danielu? - obruszyła się

staruszka. - Każdy człowiek jest inny, tak cudownie chaotyczny i nieprzewidywalny.

- Właśnie to miałem na myśli. Oni wszyscy mnie dezorientują. I jestem Omnius, nie Daniel. Zbliża się Kralizek i nie mamy czasu na dalsze gry.

- Czasami nadal lubię uważać się za Marty. Ta postać jest dla mnie pod wieloma względami bardziej pociągająca niż imię i postać Erazma.

Staruszka podeszła o krok do Khrone'a. Maskaradnik nie śmiał nawet drgnąć, chociaż gardził tym, co miało się stać. Ręka kobiety była sękata, z dużymi knykциями. Kiedy dotknęła jego czoła, poczuł się tak, jakby zakończona była szponami. Nacisnęła mocniej i Khrone zadrżał, nie mogąc powstrzymać jej przed wtargnięciem do jego umysłu.

Kiedy maskaradnik naśladował ludzką postać, pobierał próbkę oryginału i przyswajał sobie zarówno jego profil genetyczny, jak też wspomnienia i osobowość. Myślące maszyny wypuściły zmiennokształtnych do Starego Imperium. Przenikając między ludzi, zbierali oni coraz więcej żywotów, w miarę jak zastępowali użyteczne osoby i odgrywali ich role. Ilekroć jakiś maskaradnik wracał do imperium maszyn, tylekroć zwłaszcza Erazm chciał dodać te żywoty do swojej ogromnej skarbnicy danych i doświadczeń.

Przez wymuszoną uległość Khrone i jego kamraci dostarczali tych informacji. Ale chociaż myślące maszyny mogły załadować różnorodne żywoty skopiowane przez maskaradników, nie potrafiły dotrzeć

do ich osobowości rdzeniowych. Khronie strzegł swoich sekretów, mimo że oddawał istnienia tych wszystkich ludzi, których odgrywał w ostatnich latach - ixańskiego inżyniera, przedstawiciela KHOAM, członka załogi statku Gildii, robotnika portowego na Kaladanie i wielu innych.

Kiedy ten proces się zakończył, staruszka cofnęła rękę. Na jej pomarszczonej twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

- O, te były interesujące! - powiedziała. - Omnius na pewno będzie chciał je mieć.

- To się okaże - rzekł staruszek.

Wycieńczony Khronie złapał oddech i wyprostował się.

- Nie po to przyleciałem - powiedział zenująco słabym i drżącym głosem. - Zdobyłem szczególną substancję, która - jak się przekonasz - będzie nieoceniona dla realizacji twojego przedsięwzięcia zdobycia Kwisatz Haderach.

Podał mu paczkę superprzyprawy, jakby wręczał dar królowi, zachowując się dokładnie tak, jak tego oczekiwał Omnius. Staruszek wziął ją od niego i uważnie jej się przyjrzał.

Maskaradnik spojrzał protekcjonalnie na Paola.

- Ta silnie działająca odmiana melanżu na pewno wyzwoli zdolność jasnowidzenia u każdego Atrydy - powiedział. - Będiesz wtedy miał swojego Kwisatz Haderach, jak cały czas obiecywałem. Nie trzeba kontynuować pościgu za statkiem pozaprzestrzennym.

Omnius uznał tę opinię za zabawną.

- Dziwne, że mówisz to akurat teraz - rzekł.

- Dlaczego?

Stojąca obok niego staruszka uśmiechnęła się szeroko.

- Dzisiaj jest wielki dzień, ponieważ oba nasze plany zostały zrealizowane - powiedziała. - Cierpliwość i dalekowzroczność się opłaciły. No i co zrobimy z d w o m a Kwisatz Haderach?

- Z dwoma? - zdumiał się Khrono.

- Po wielu latach statek pozaprzestrzenny w końcu wpadł w zastawioną przez nas pułapkę.

Tym razem Khrono przełknął tę wiadomość, nie okazując zdziwienia.

- To... wspaniale - rzekł drętwo.

Staruszka zatarła ręce.

- Wszystko naraz zmierza do punktu krytycznego - powiedziała. - Przypomina mi to kulminacyjny moment symfonii, którą kiedyś napisałam.

Staruszek zaczął chodzić w kółko po sali, trzymając paczkę superprzyprawy. Powąchał ją.

Paolo odwrócił się od szachownicy.

- Nie potrzebujecie drugiego Kwisatz Haderach - powiedział. - Macie m n i e. Daj mi zaraz przyprawę! - zażądał.

Erazm spojrział na niego z pobłażliwym uśmiechem.

- Może niedługo ci ją damy - rzekł. - Najpierw jednak zobaczymy, co ma dla nas ten statek pozaprzestrenny, kim jest ich Kwisatz Haderach. To powinno być ciekawe.

- Gdzie jest ta jednostka? - zapytał Khrono, skupiając

się na głównym pytaniu. - Jesteście pewni, że ją macie?

- Właśnie otaczają ją nasze krążowniki, a nasi agenci na jej pokładzie podjęli stosowne kroki, żeby tym razem nam nie uciekła. Twoi maskaradnicy dobrze się spisali, Khrono.

- A w szerszej skali - przerwał mu Omnius - sytuacja przedstawia się tak, że nasze największe statki zamykają pierścień wokół ostatnich obrońców Starego Imperium. Wkrótce zdobędziemy Kapitularz, a jest to tylko jeden z wielu celów, na które uderzymy jednocześnie.

- Powinna to być spektakularna bitwa. - W głosie Erazma pobrzmiewała raczej ironia niż entuzjazm.

- Według naszych matematycznych przepowiedni zwycięstwo będzie pewne, kiedy tylko zostaną spełnione odpowiednie warunki - rzekł poważnie Omnius. - Sukces jest tuż-tuż.

Erazm spojrział ze złośliwą satysfakcją na Paola i barona.

- Lepiej mieć dwóch Kwisatz Haderach niż jednego - stwierdził.

Czas jest dobrem cenniejszym niż melanz.
Nawet najbogatszy człowiek nie może kupić
minut dla przedłużenia godziny.

- książę Leto Atryda,
ostatnia wiadomość z Kaladanu

Wokół *Itaki* zaciskała się pajęcza sieć mieniąca się wszelkimi barwami kamieni szlachetnych. Z silników statku pozaprzestrzennego wyciskano całą moc, ale nie można się było wyrwać z jej opłotów. Rozpaczliwie usiłując odzyskać kontrolę nad sterami, Duncan wprowadził w ruch silniki Holtzmana i przygotowywał się do zrobienia dziury w skrzęcej się pajęczynie.

Spojrzawszy ze złością na martwego maskaradnika, Sziena poleciła stojącym w pobliżu dwóm siostram:

- Usuńcie to z mostka nawigacyjnego!

Po chwili kobiety wyniosły bezwładne, zakrwawione zwłoki.

Teraz, kiedy sieć była widoczna dla wszystkich, Duncan skupił całą moc swego mentackiego umysłu na badaniu spowijającej ich plecionki. Gorączkowo szukał dziur lub słabych punktów w mocnej strukturze, ale nie znalazł niczego, co świadczyłoby o najdrobniejszej choćby wadzie, najmniejszego nawet wystrzępionego miejsca.

A zatem spróbuje brutalnej siły.

Przed laty wyrwał się z sieci, wykorzystując silniki Holtzmana w sposób, jaki nigdy nie przyszedł do głowy ich twórcy. Skierował *Itakę* pod takim kątem i z taką

prędkością, że przemknęła przez materię przestrzeni kosmicznej. Przypominało mu to posunięcie mistrza miecza - wolne pchnięcie ostrzem przez tarczę osobistą.

- Przyspieszamy - powiedział.

Spocony Teg pochylił się nad konsolą nawigacyjną.

- Uda się, Duncan. - Statek naparł na różnobarwne nici, kilka z nich przerwał, po czym nabrał szybkości. - Uwalniamy się!

Przez chwilę Idaho czuł przypływ nadziei, poryw triumfu.

Statkiem zakołysał wybuch, po nim następny, a potem jeszcze jeden. Przez kadłub i pokłady przetoczyły się fale uderzeniowe i drgania, jakby jakiś tytan walnął w niego ogromnym młotem. Mostek zatrzęsł się.

Trzymając się fotela, Duncan wywołał mapy diagnostyczne.

- Co to było? - zapytał. - Wróg otworzył do nas ogień?

Detonacje rzuciły Tega na podłogę, ale pozbierał się, wstał i chwycił konsoli, żeby utrzymać równowagę.

- To te skradzione miny! - krzyknął. - Chyba właśnie się znalazły. - Wyrzucał z siebie słowa w pośpiechu. - Thufir albo rabbi musieli nastawić ich zapalniki zegarowe... - Jakby na potwierdzenie jego domysłów pokładem wstrząsnęła kolejna eksplozja, tym razem dużo bliższa.

Itaka zataczała się jak pijana, poza wszelką kontrolą, jej silniki były sparaliżowane. Kiedy przestały pracować wytwornice sztucznej grawitacji, pokład się przechylił. Statek zaczął wirować wokół swojej osi i Duncan stracił

orientację.

Połyaskująca sieć pojaśniała, zaciskając się jak pętla.

Na koniec w polu widzenia pojawiły się statki wroga, jak myśliwi zbliżający się do zastawionych wcześniej sideł. Duncan patrzył na ekrany pokazujące otoczenie statku. Kto tak długo ich ścigał? Maskaradnicy? Jakaś podła, nieznana rasa? Kto był tak przerażający, że zmusił nawet Dostojne Matrony do ucieczki do Starego Imperium?

- Te sukinsyny myślą, że nas mają. - Zacisnął pięść.

- A nie mają? - Baszar podniósł głowę znad ekranów pokazujących stan urządzeń na *Itace*. Był zaniepokojony zapalaniem się wskaźników poważnych uszkodzeń, które pojawiały się w miejscach oznaczających różne sekcje statku jak sztuczne ognie. - Miny zniszczyły podstawowe układy i jesteśmy jak martwi w przestrzeni kosmicznej.

Wprowadziwszy się w mentackie skupienie, Duncan studiował panele na konsoli dowódcy. Ekrany pokazywały zawiłą, zaciskającą się wokół nich sieć. Dźgnął palcem węzeł na diagramie, obszar, na którym pulsowały i migotały elektroniczne sygnały. Na pierwszy rzut oka ten kłęb niczym się nie różnił od reszty powiązanych ze sobą pasm, ale kiedy dokładniej mu się przyjrzał, pomyślał, że być może znalazł słaby punkt.

- Spójrz tutaj - powiedział.

Teg gorączkowo się przysunął.

- Luka? - zapytał.

- Gdybyśmy tylko mogli się poruszać! - Wyteżając

umysł, Duncan chodził wielkimi krokami w tę i z powrotem przed konsolą. - Przedarcie się przez ten labirynt przypominałoby taniec pijaka... gdyby ten statek mógł w ogóle latać.

- Gdyby cała załoga zabrała się do pracy, naprawa uszkodzeń zajęłaby nam tydzień. - Baszar wskazał ekrany rozpoznania taktycznego, a na nich dane przekazywane przez czujniki dalekiego zasięgu. - Statki wroga zaciskają wokół nas pętlę. Wiedzą, że nas złapali.

Duncan pogodził się z ponurą rzeczywistością.

- Silniki Holtzmana nie działają. Nie mamy szansy dokonać w porę napraw, nie mamy szansy uciec. - Uderzył pięścią w panel obok obrazu splątanego, pulsującego węzła, który był luką w sieci. - Ale wiem, że mógłbym to zrobić. Dlaczego ten cholerny statek nie lata?!

Teg zerknął na błyski czujników pokazujące zbliżające się jednostki wroga. Widział przepływający automatycznie przez ekran strumień raportów o uszkodzeniach i dokładnie wiedział, co trzeba zrobić. Tylko on mógł tego dokonać.

- Potrafię naprawić ten statek. - Nie miał czasu na wyjaśnienia. - Bądź gotów. - A potem po prostu zniknął.

*

Miles Teg przyspieszył swój metabolizm, wprowadzając się w stan błyskawicznego ruchu, którego nauczył się po poddaniu go przez Dostojne Matrony i ich sługusów nieznośnym torturom. Czas wokół niego zwolnił bieg. Z powodu niezwykłego zapotrzebowania na energię będzie to dla niego

niebezpieczne, ale musiał to zrobić. Szybko pulsujące światła alarmowe zmieniły rytm i teraz każdy cykl błysnięcia i przygaśnięcia zdawał się trwać godzinę. Przejrzenie archiwalnych opisów układów statku trwałoby zbyt długo - na szczęście Teg już wcześniej je przestudiował. Jako mentat zapamiętał wszystko, od razu więc zabrał się do pracy.

Sam.

Nawet przy zwiększonej szybkości ruchów starał się biec tak chyżo, jak nigdy dotąd. Przeskakiwał z pokładu na pokład, a wszystkie mijane osoby stały zastygłe niczym posągi z obawą i zmieszaniem na twarzach. Pędził ku najbliższym uszkodzeniom.

Tam gdzie wybuchła pierwsza mina, ujrzał ze zdumieniem i konsternacją poskręcany metal, dziury wypalone w maszynerii i puste miejsca po układach, które wyparowały. Mknął od jednego krateru do drugiego, oceniając skalę zniszczeń i zastanawiając się, które układy są niezbędne do natychmiastowej ucieczki. Maskaradnicy, którzy przeniknęli na *Itakę*, dobrze rozmieścili i ukryli osiem min, więc wybuch każdej z nich był obezwładniającym ciosem - uszkodzone zostały systemy nawigacji i podtrzymywania życia, silniki zaginające przestrzeń i broń defensywna.

Teg błyskawicznie podjął decyzję. Życie przygotowało go do działania w sytuacjach wyjątkowych; na polu bitwy nie można się było wahać. Jeśli Duncanowi nie uda się zaraz odlecieć, nie będą im potrzebne układy podtrzymywania życia. Można je będzie naprawić później. Zrobi to on lub ktoś inny.

Mógł podjąć to ryzyko. Wytwornice pola pozaprzestrzennego nie działały.

Silniki. Cztery z ośmiu min sabotażyści umieścili tak, by uszkodziły silniki zaginające przestrzeń. Maskaradnik celowo podprowadził statek w pobliże twierdzy wroga, a detonacje sparaliżowały i unieruchomiły *Itakę*.

Wykorzystując mentackie zdolności, Teg zbadał i przeanalizował sytuację, po czym ułożył plan działania. Zinwentaryzował części zamienne i sprzęt. Musiał szybko pracować, posługując się tym, co miał do dyspozycji. Nikt nie mógł mu pomóc. Najpierw przekierował i przeprogramował broń, przygotowując ją do oddania salwy na nadlatujące statki. Mogło mu to dać kilka dodatkowych chwil.

Cały czas się spieszył. Pulsujące światła alarmowe to się zapalały, to gasły jak wschody i zachody słońca. W jego układzie odniesienia minęła kolejna godzina. W rzeczywistości od jego zniknięcia z mostka upłynęło zaledwie parę sekund. Następnie zajął się silnikami, bez których ucieczka była niemożliwa.

Główne połączenia zostały przerwane, katalizatory Holtzmana wyrzucone z łożysk, wytrącone z szeregowego ustawienia. W dwóch komorach reakcji powstały wyłomy. Wybuch omal nie przebił kadłuba. Teg stał osłupiały, z trzęsącymi się rękami, i myślał, że nie da rady tego naprawić. Odegnał jednak te myśli i wrócił do pracy.

Jego mięśnie drżały z wyczerpania, paliło go w piersiach od tak szybkiego oddychania, że cząsteczki

tlenu ledwie mogły trafić do pęcherzyków płucnych.

Naprawa poszycia kadłuba powinna być dość łatwa. Teg pobeł do sektorów konserwacyjnych i znalazł zapasowe płyty. Ciężkie dźwigi nie mogły pracować tak szybko, by za nim nadażyć, więc zdecydował, że muszą wystarczyć podnośniki dryfowe. Przymocował do ciężkich płyt generatory wytwarzające pole o zerowej grawitacji i ruszył z nimi pędem korytarzami, klucząc, by nie wpaść na skamieniałych z wrażenia ludzi.

Z każdą sekundą statki wroga coraz bardziej się zbliżały. Niektórzy pasażerowie dopiero teraz dowiadywali się o wybuchach min. Znowu przyspieszył, a z nim transportery dryfowe.

W ciągu paru godzin według przebiegu jego procesów przemiany materii i tylko kilku minut w rzeczywistości naprawił uszkodzenie kadłuba, które mogłoby doprowadzić do wyłomu w maszynowni. Lał się z niego pot. Był bliski omdlenia, ale mimo skrajnego wyczerpania nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa. Nigdy wcześniej nie odważył się zanurzyć tak głęboko w płonącym szybie metabolizmu.

Jego organizm nie mógł długo wytrzymać tego wyścigu z czasem, ale gdyby nie wytrzymał, statek zostałby przechwycony i wszyscy by zginęli. Czuł, że żołądek szarpią mu kły głodu. W ten sposób daleko nie zajdzie. Musiał się skoncentrować, dostarczyć ciału paliwa, by móc zrobić to, co było konieczne.

Nie zmniejszając tempa, głodny jak wilk, wpadł do magazynu żywności. Znalazł batony energetyzujące i wafle skondensowanego jedzenia. Jadł skoncentrowane

składniki odżywcze, dopóki się nie nasycił. Potem, spalając kalorie równie szybko, jak je pochłonał, znowu biegał od jednego uszkodzonego miejsca do drugiego.

Na tych wymagających skupienia pracach spędził kilka subiektywnych dni. W odczuciu obserwatorów z zewnątrz, poruszających się w normalnym, powolnym jak posuwanie się lodowca tempie, minęła zaledwie minuta czy dwie.

Kiedy zadanie zaczęło przerastać jego siły, baszar postanowił ponownie ocenić, czego potrzebuje statek, by funkcjonować. Jakie jest absolutne minimum napraw, które pozwoliłoby Duncanowi przelecieć przez lukę w sieci?

Wybuchające miny wyzwoliły kaskadę uszkodzeń. Teg omal nie zagubił się w szczegółach, ale przypomniał sobie o tym, co jest bezpośrednio potrzebne, i wkroczył na cienki lód możliwości.

Razem ze swoimi dzielnymi ludźmi ukradł ten statek z Gammu przed ponad trzydziestoma laty. Chociaż od tamtej pory *Itaka* znakomicie się spisywała, nie przeszła ani jednego z koniecznych przeglądów w stoczniach Gildii. Nie zastąpiono zużytych części, układy ulegały awariom wskutek starzenia się i zaniedbań oraz działań sabotażystów. Mając ograniczone możliwości z powodu braku części zapasowych i materiałów, rozpatrywał i odrzucał różne wyjścia.

Światła alarmowe nadal pulsowały wolno. Poruszał się zbyt szybko, by fale dźwiękowe mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie. W czasie rzeczywistym słyszałby wycie syren, krzyki ludzi, sprzeczne rozkazy.

Teg naprawił łożę kolejnego katalizatora Holtzmana, po czym zrobił krótką przerwę, by zerknąć na ekran przekazujący obrazy z zewnątrz. Zobaczył, że w końcu przybyły statki wroga, masywne i potężne... cała flota monstualnych, kanciastych jednostek najeżonych bronią, sensorami i innymi ostrymi wystęgami.

Chociaż czuł się już wycieńczony, wiedział z porażającą pewnością, że musi działać jeszcze szybciej.

Popędził do magazynów melanzu i ponieważ poruszał się tak szybko, zerwał zamki jednym ruchem dłoni. Wyjął kostki ciemnobrażowej, sprasowanej substancji i spoglądając na nie, przeprowadził mentackie obliczenia. Biorąc pod uwagę swój supermetabolizm oraz to, że biochemiczna maszyna jego ciała pracowała tak szybko jak nigdy dotąd, zastanawiał się, jaka dawka będzie odpowiednia. Jak szybko wpłynie na niego? Zdecydował się na trzy wafle - było to trzykrotnie więcej, niż kiedykolwiek jednorazowo spożył - i pochłonał je.

Kiedy melanz rozszedł się po jego ciełe i wlał się do narządów zmysłów, poczuł się znowu pełen życia i energii, zdolny do dokonania niemożliwych, ale niezbędnych rzeczy. Jego mięśnie i nerwy paliły się do działania, a stopy zostawiały ślady na pokładzie, gdy biegł.

W ciągu paru minut zreperował następny układ. Ale w tym czasie flota wroga zamknęła pierścień wokół statku pozaprzestrzennego, a ten nadal nie mógł odlecieć.

Teg spojrział na przedramiona i zobaczył, że jego

skóra zdaje się wysychać, jakby zużywał każdą odrobinę energii ciała.

Nacierające statki oddały salwę. Kule energii nadciągały jak chmury burzowe, zbliżając się niezwykle wolno. Było oczywiste, że gdy trafią w cel, wykonane przez niego naprawy na nic się nie zdadzą, może nawet zostanie zniszczony cały statek.

W kolejnym zrywie Teg rzucił się do układu kierowania bronią. Na szczęście naprawił część z niej. Systemy obronne *Itaki* działały ospale, ale przyciski mechanizmów spustowych reagowały dość szybko. Odpowiedział ogniem, wachlarzem rozproszonych niczym śrut smug świetlnych, który wyglądał jak pokaz fajerwerków z okazji jakiejś rocznicy. Promienie były dokładnie wycelowane w nadlatujące pociski, by je zniszczyć. Zaraz potem odwrócił się jednak od broni i popędził do następnego uszkodzonego silnika.

Baszar Teg czuł się jak świeca, która wypaliła się do końca i z której pozostała tylko grudka bezbarwnego wosku. Pomimo wszystkich jego wysiłków wyczerpany mężczyzna wciąż widział nadciągające widmo zagłady.

Jak odwdzięczymy się człowiekowi, który
zrobił to, co niemożliwe?

- baszar Alef Burzmali,
Elegia na śmierć żołnierza

Na mostku nawigacyjnym, parę chwil po zniknięciu Milesa, Duncan patrzył na obrazy przekazywane przez czujniki. Wiedział, co baszar musi robić.

Po wybuchach w jej wnętrzu *Itaka* dryfowała bezwładnie w przestrzeni kosmicznej, otoczona przez statki wroga najeżone taką ilością broni, jakiej Idaho nie widział w całej flocie wojennej Harkonnenów. Miny unieruchomiły generator pola pozaprzestrzennego i wielki statek był teraz odkryty i bezbronny.

Po trwającej prawie ćwierć wieku ucieczce zostali schwytani. Może nadeszła pora, żeby stawił wreszcie, do diabła, czoło tajemniczym łowcom. Kim byli jego niepokonani wrogowie? Widział kiedyś jedynie widmowe kształty starca i staruszki. A teraz...

Na ekranach luka w pajęczej sieci poruszyła się, niemal zamknęła, po czym znowu się otworzyła, jakby z niego szydziła.

- Dopóki oddychamy, dopóty mamy szansę - powiedział głośno, bardziej do siebie niż do kogoś innego. - Naszym zadaniem jest znalezienie okazji do ucieczki, bez względu na to, jak może być ulotna czy trudna do wykorzystania.

Teg powiedział, że naprawi układy statku. Duncan zdawał sobie sprawę z pilnie strzeżonych zdolności

baszara. Miles latami ukrywał swój talent przed Bene Gesserit, które bały się takich nadludzkich cech, widząc w nich przejaw mocy potencjalnego Kwisatz Haderach. Teraz te zdolności mogły ocalić ich wszystkich.

- Nie zawieź nas, Miles - mruknął.

Zbliżające się statki wystrzeliły w stronę *Itaki* serię rakiet. Duncan ledwie zdążył zakląć i przygotować się na uderzenie, kiedy w odpowiedzi na salwę wroga posypał się grad pocisków przechwytyjących. Rakiety, precyzyjnie namierzone, natychmiast wybuchły. Żadna nie dosięgła celu.

Duncan zrobił wielkie oczy. Kto odpowiedział ogniem? Pokręcił głową. Statek pozaprzestrzenny nie mógł przecież wykonywać nawet podstawowych manewrów, a zatem powinien być także pozbawiony możliwości obrony. Omal nie podskoczył z radości. Miles!

Nagle zaczęły migotać wskaźniki na panelu sterowniczym. Zaświeciły się zielone lampki. Systemy włączały się jeden po drugim. Wyczuwszy ruch, Idaho szybko obrócił głowę w lewo.

Zmaterializował się przed nim baszar, ale był to inny Miles Teg - nie młody ghola, którego Duncan wychował i przebudził, lecz straszliwie wycieńczony starzec, wysuszony jak mumia. Sprawiał wrażenie, jakby miał za moment paść. Wyczerpała go praca, w połowie której normalny człowiek już by umarł.

- Układy... działają - wychrypiał łamiącym się głosem. Kosztowało go to resztki energii. - L e ć!

Wszystko zdarzyło się w jednej chwili, jakby również

Duncan wszedł w tryb przyspieszonego działania. W pierwszym odruchu chwycił przyjaciela. Teg umierał, może już nie żył. Postarzały baszar nie mógł utrzymać się na nogach.

- Leć, do cholery! - Były to ostatnie słowa, które Teg zdołał wykrztusić.

Myśląc z mentacką jasnością, Duncan rzucił się z powrotem do paneli sterowniczych. Przysięgał w duchu, że nie zmarnuje tego, co zrobił dla nich baszar. Priorytety. Jego palce zaczęły śmigać po przyciskach jak spłoszone pająki.

Teg osunął się na podłogę z rozrzuconymi rękami i nogami, martwy niczym zeschnięty liść, starszy nawet niż pierwszy baszar w ostatnich chwilach Rakis. Miles! Tyle spędzonych razem lat, wzajemnego uczenia się, polegania na sobie. Niewiele osób w licznych wcieleniach Duncana znaczyło dla niego tak dużo.

Odsunął na bok żal, ale w mentackiej pamięci każde przeżycie było ciągle żywe i wyraźne. Miles! Z Tega została już tylko stara cielesna powłoka leżąca na płytach podłogi. Duncan nie miał czasu na złość ani łzy.

Statek pozaprzestrzenny zaczął przyspieszać. Idaho wiedział, jak się wyśliznąć z sieci, ale teraz musiał też stawić czoło całej flocie wroga. Oddała drugą salwę.

Zamazana szczelina przed *Itaką* zdawała się zapraszać. Duncan kierował się ku niej, poruszając z taką szybkością, na jaką pozwalały jego ludzkie odruchy. Statek pozaprzestrzenny rozpruł oporne nici sieci.

- No dalej! - powiedział Idaho, pragnąc, by mieli to już za sobą.

W stronę *Itaki* poleciały kolejne pociski i otarły się o kadłub, gdy statek zbliżył się i okręcił. Duncan sterował, wkładając w to swoje wszystkie umiejętności.

Silniki Holtzmana były gorące, a tablice diagnostyczne pokazywały różne błędy i niedomagania układów, ale żadne z nich nie groziły natychmiastową awarią. Coraz bardziej zbliżali się do luki. Jednostki wroga nie były w stanie przeciąć im drogi, nie poruszały się wystarczająco szybko, by ich zatrzymać.

Oderwał się kolejny fragment sieci. Duncan to widział.

Siłą woli skierował z powrotem uwagę na silniki, przyspieszając znacznie bardziej, niż pozwalały na to układy napędu. Dokonując gorączkowych napraw, Teg nie zawracał sobie głowy zabezpieczeniami i ograniczeniami ochronnymi. Ze wzrastającą prędkością przedarli się przez otaczający ich kordon.

- Uda się nam! - powiedział Duncan do martwego baszara, jakby przyjaciel mógł go usłyszeć.

Nagle wyskoczył naprzód gigantyczny, przypominający torpedę statek wroga. Żaden człowiek nie byłby w stanie prowadzić statku tak szybko, zmieniając kurs przy przeciążeniach, które zmiażdżyłyby kości jak pęk słomy w zaciśniętej garści. Paląc silniki, napastnik wyczerpał całe paliwo w tym jednym rzucie do przodu, którym ustawił swoją jednostkę dokładnie na ich drodze.

Przy ograniczonej zdolności manewrowania Duncan

nie mógł w porę wykonać uniku. Statek pozaprzestrzenny był zbyt duży, miał zbyt wielką bezwładność. Było to niesamowite, ale statek wroga otarł się w samobójczym ataku o dolną część kadłuba *Itaki*, wytrącając ją z kursu i ponownie uszkadzając silniki. Nieoczekiwane uderzenie wprowadziło statek pozaprzestrzenny w ruch wirowy. Jednostka wroga pokoziołkowała w przestrzeń kosmiczną i eksplodowała. Fala uderzeniowa jeszcze bardziej zepchnęła *Itakę* z kursu i skierowała ją... z powrotem w nienaruszone jeszcze oka sieci.

Duncan zaklął z przerażenia i wściekłości.

Nie mogąc zagiąć przestrzeni, statek pozaprzestrzenny, z wyjącymi silnikami, został w tyle. Lampki na panelach sterowniczych zapłonęły czerwono, po czym zgasły. Mały wybuch w maszynowni jeszcze bardziej uszkodził silniki Holtzman. *Itaka* zawisła bez ruchu w przestrzeni kosmicznej. Znowu.

- Przykro mi, baszarze - powiedział załamany Duncan. Nie mając nic innego do roboty, ukląkł przy zwłokach przyjaciela.

Na głównym ekranie pojawiła się wiadomość przekazana przez otaczające ich statki. Mimo iż Duncan był oszołomiony tym, co się stało, nie posiadał się ze zdziwienia, zobaczywszy po raz pierwszy prawdziwe oblicze wroga.

Ekran pokazywał gładką, elastometalową twarz obdarzonej czuciem maszyny.

- Jesteście naszymi więźniami - dobiegł Idaho jej głos. - Wasz statek nie nadaje się już do lotu.

Dostarczymy was wszechumysłowi Omniusowi.

Myślące maszyny!

Duncan starał się zrozumieć to, co widzi i słyszy. Omnius? Wszechumysł? Wrogowie pozujący na parę miłych staruszków byli w rzeczywistości myślącymi maszynami? Niemożliwe! Myślące maszyny były od tysięcy lat zakazane, a ostatni wszechumysł został zniszczony na Corrinie pod koniec Dżihadu Butleriańskiego.

Maszyny? Czyżby były jakoś sprzymierzone z nowymi maskaradnikami?

Statki wroga rzuciły się na *Itakę* jak hieny na świeże zwłoki.

Niektórzy ludzie narzekają, że przeszłość ich prześladowa. Co za brednie! Ja się nią upajam.

- ghola barona Vladimira Harkonnena

Usidlona przez flotę maszyn *Itaka*, mając zniszczone silniki i spaloną broń, była bezradna. Duncan mógł tylko czekać i opłakiwać zmarłego przyjaciela. W głowie huczało mu od wspomnień i natrętnych myśli o konsekwencjach pojmania przez maszyny. Poruszał się metodycznie, wykonując najprostsze nawet czynności tylko dzięki mentackiemu skupieniu.

Na mostku była z nim Sziena. Chociaż szczyciła się tym, że podobnie jak inne Bene Gesserit, panuje nad swoimi emocjami, wydawała się głęboko poruszona i zmartwiona, kiedy podnieśli we dwoje ciało Tega z podłogi. Duncan nie mógł uwierzyć, że szczątki baszara są tak kruche i lekkie. Wydawało się, że Teg składa się z pajęczyny i żył, suchych liści i pustych kości.

- Miles oddał za nas życie - powiedział.

- Dwukrotnie - dodała.

Ta uwaga przywołała u Duncana wspomnienia o tych wszystkich życiach, które on sam oddał za Atrydów.

- Tym razem ofiara na nic się zdała - rzekł ochrypłym głosem. - Miles wykorzystał całe siły życiowe, by dokonać napraw, które były nam potrzebne, a ja nie zdołałem nas wyswobodzić. Nie powinien tego robić.

Sziena utkwiała w nim twardy wzrok.

- Nie powinien był p r ó b o w a ć? - zapytała. - Jesteśmy ludźmi. Musimy próbować bez względu na to,

jakie mamy szanse. Nigdy nie ma gwarancji powodzenia. W życiu każde działanie to ruletka. Baszar walczył do ostatniego tchu, bo wierzył, że jest jakaś szansa. Zamierzam zrobić to samo.

Duncan patrzył na zapadniętą, zmumifikowaną twarz przyjaciela, wspominając zdecydowanie, z jakim stary baszar poddawał go ciężkim ćwiczeniom, kiedy on sam był młodym gholą. Sziena miała rację. Chociaż nie udało mu się wyrwać *Itaki* z okrażenia, obaj z Milesem pokazali wrogowi, że ludzie są nieprzewidywalni i odporni, że nie można ich lekceważyć. A jeszcze się to nie skończyło. Zamiast ich bez problemu schwytać, myślące maszyny musiały poświęcić jeden ze swoich największych statków tylko po to, by zatrzymać *Itakę*.

- Przeniesiemy go do jednego z małych luków powietrznych - oświadczył Duncan. Teraz każdy ruch statku dyktowały ciągnące ich jednostki wroga, więc nie było sensu pozostawać przy sterach. - Nie mam zamiaru pozwolić, żeby wzięły go myślące maszyny.

Szczątki baszara polecą w kosmos. Wszyscy pozostali mogą być uwięzieni, żeby posłużyć myślącym maszynom do eksperymentów czy tego, z powodu czego starzec i staruszka ścigali ich dziesiątki lat, ale nie Miles. Będzie to kolejne małe zwycięstwo... a odpowiednio duża liczba małych zwycięstw prowadzi do wygrania wojny.

Weszli do jednego z niewielkich pomieszczeń, a Duncan od razu je poznał. Był to ten sam luk powietrzny, przez który wyrzucił ostatnie rzeczy Murbelli, przedmioty czepiające się go jak pajęczyna,

dopóki nie zmusił się do pozbycia się ich. Umieścili nieprawdopodobnie lekką cielesną powłokę Tega w komorze i zamknęli właz. Duncan patrzył przez okienko obserwacyjne, żegnając się z przyjacielem.

- Nie jest to ceremonia, jaką bym sobie dla niego wyobraził. Ostatnim razem stosem pogrzebowym baszara była cała Rakis. Ale nie ma czasu. - Zanim zdążył się rozmyślić, nacisnął guzik otwierający zewnętrzny właz i ciało pokoziółkowało w pustkę. - Powinniśmy zwołać wszystkich i przygotować obronę.

- Jaką?

Spojrzał na nią.

- Każdą, jaka nam przyjdzie do głowy - odparł.

*

Popychany przez setkę jednostek myślących maszyn, poobijany statek pozaprzestrzenny został zmuszony do lądowania w Synchronii gdzie zmieniające się budynki odsunęły się, by zrobić mu miejsce. Widoczna teraz *Itaka* opadała jak związane dzikie zwierzę, łup myśliwych polujących na grubego zwierza.

Baron Harkonnen uznał, że to wspaniały widok. Stojąc na balkonie jednej ze stworzonych przez Omniusa dla zaspokojenia własnego kaprysu wież, patrzył badawczo na podchodzącą do lądowania jednostkę. Nigdy jeszcze nie widział takiego statku. Wprawdzie był ogromny, ale nie wywierał tak przerażającego wrażenia, jak Vladimir sobie wyobrażał. Miał bardziej naturalny kształt niż wielkie liniowce Gildii, śmiertelnie groźne krążowniki sardaukarów, jednostki bojowe Harkonnenów czy jego fregata.

Wydawał się tworem niezależnej ewolucji, niesamowicie podobnym do opływowych form myślących maszyn.

„Dziwny statek, dziwni pasażerowie” - pomyślał.

Według pierwszych raportów od zwiadowców maszyn, którzy przechwycili statek pozaprzestrzenny, wiele osób na jego pokładzie było gholami z przeszłości barona, kłopotami wskrzeszonymi z historii, dokładnie tak, jak podejrzewał Erazm. Znajdowali się wśród nich lady Jessika, podrzędny mistrz miecza, niejaki Duncan Idaho, drugi Paul Atryda i kto wie, ilu jeszcze innych. Ghole wykasłane i wyplute jak grudki flegmy.

Obok niego stał na balkonie podekscytowany Paolo, patrząc na prowizoryczny port kosmiczny, który czekał na przyjęcie nowego statku.

- Zabijemy ich wszystkich, dziadku? - zapytał. - Nie chcę, żeby był drugi Kwisatz Haderach. Mam być jedynym. Powinienem natychmiast zażyć tę superprzyprawę, którą dostarczył Khrono.

- Chętnie bym ci jej dał, drogi chłopcze, ale Omnius nie pozwoli na to. Bądź cierpliwy. Nawet jeśli na tym statku jest inny Paul Atryda, to prawdopodobnie jest miękki i pełen współczucia. W przeciwieństwie do ciebie nie został przeze mnie zahartowany. - Baron skrzywił z niesmakiem pełne usta. Paolo nie zdawał sobie sprawy, jak duża część jego osobowości została zmieniona. - Bez problemu go pokonasz.

- Już to widziałem - rzekł Paul. - W prawdziwej, proroczej wizji i teraz rozumiem, co się stanie.

- Wobec tego nie masz się czym martwić.

Uformowane przez Omniusa budynki zakołysały się jak trzciny i objęły statek pozaprzestrzenny, po czym złożyły go w metalowym łożysku. Lądowanie i proces przyjmowania *Itaki* wydawały się ciągnąć bez końca. Czy naprawdę trzeba było zakładać na nią tyle klamer obejmujących ją jak szpony? Biorąc pod uwagę uszkodzenia silników, było oczywiste, że pojmani nie mogli uciec. Omnius miał jednak upodobanie do popisywania się brutalną siłą. Baron nie mógł tego zrozumieć.

Na balkonie pojawił się Erazm, ponownie w postaci korpulentnej staruszki.

- Wejdę na pokład statku pozaprzestrzennego - oświadczył baron, patrząc beznamiętnie na robota. - Chcę - jego usta skrzywiły się w uśmiechu - pierwszy powitać naszych gości.

Oczy staruszki błysnęły.

- Jesteś pewien, że to mądre, baronie? - spytała. - Nie wiemy dokładnie, kto jest na tym statku. Będiesz w niebezpieczeństwie, jeśli ktoś cię rozpozna. W minionym życiu parę osób niezbyt cię lubiło.

- Nie zamierzam iść tam bez ochrony! Prawdę mówiąc, spodziewam się, że zapewnisz mi pełną obstawę. Mogą być roboty wartownicze albo, jeszcze lepiej, oddział uzbrojonych maskaradników. Paolo zostanie tutaj, ale ja wejdę na ten statek. - Podparł się pod boki. - Prawdę mówiąc, domagam się tego.

Erazm sprawiał wrażenie rozbawionego.

- W takim razie lepiej damy ci maskaradników - powiedział. - Wejdź na pokład i bądź naszym

ambasadorem. Jestem pewien, że użyjesz całej dyplomacji, jakiej wymaga ta sytuacja.

Stawimy czoło wrogowi i zginiemy, jeśli będziemy musieli zginąć. Wolę jednak, byśmy z a b i l i tych, których musimy zabić.

- Matka Dowodząca Murbella,
wiadomość wysłana do sił obronnych
ludzkości

Dziesięć tysięcy statków Gildii przeciwko nieskończonej liczbie jednostek wroga z zewnątrz.

Matka Dowodząca przygotowała do tej konfrontacji wszystkich watażków, przywódców politycznych i samozwańczych generałów oraz swoje zajadle siostry, a raczej to, co pozostało z nowego zgromadzenia żeńskiego. obrońcy ludzkości rozlokowali siły na drodze nadciągających myślących maszyn.

W ostatniej chwili pospieszyli im z pomocą gildianie, obsadzając liczne jednostki liniowe i prowadząc je w wyznaczone w przestrzeni kosmicznej punkty zborne. Niewypróbowani dowódcy byli gotowi w takim stopniu, w jakim Matce Dowodzącej udało się ich przeszkolić. Hurmem zgłaszali się do armii uchodźcy z planet, które znalazły się pod butem najeźdźcy. Każdy statek wyposażony był w unicestwiacze produkowane niezmordowanie przez ixańskie fabryki.

Niestety, Omnius przygotowywał się do tej rozprawy od wieków. Myślące maszyny nadciągały nieubłaganie jak siła natury, nie robiąc uników ani nie zbaczając z kursu, bez względu na to, jakie siły zgromadzono przeciw nim na poszczególnych planetach. Po prostu

przetaczały się po wszystkim, co stało na ich drodze.

Aby plan Murbelli się powiódł, linię statków wroga trzeba było powstrzymać w każdym punkcie oporu. W każdym układzie gwiezdny. Żadne pole bitwy nie było nieważne. Podzieliła obrońców na sto niezależnych grup, z których każda składała się z setki nowych statków zbudowanych przez Gildię. Zgrupowania bojowe zostały rozmieszczone w szeroko rozproszonych, ale ważnych punktach poza zamieszkаныmi układami i były gotowe do odparcia wroga.

Ostatnią linię oporu stanowiło sto nowych jednostek patrolujących przestrzeń w pobliżu Kapitulacza oraz pewna liczba starszych, mniejszych statków jako uzupełnienie. Wiedzieli, że Omnius uważa tę planetę za główny cel. Czekaając na starcie, Matka Dowodząca pomyślała, że nowe statki wyglądają wspaniale, a linia obrony robi wrażenie. Obrońcy nie bali się, byli pewni siebie.

Jednak według szacunków nowego zgromadzenia żeńskiego myślące maszyny miały nad nimi przewagę liczebną w stosunku sto do jednego.

Aby podtrzymać pewność siebie, wszyscy obrońcy oglądali hologramy ixańskiej próby nowych unicestwiaczy przeprowadzonej na martwej Richese, podziwiając siłę niszczenia tej broni. Obserwatorki Bene Gesserit nadzorowały linie produkcyjne na Ixie, a technicy sprawdzili złożoną broń po jej zainstalowaniu we flocie Murbelli. Ona sama trzymała się kurczowo nadziei, że na tych ostatnich bastionach siły Omniusa

pokruszą sobie zęby.

Bardziej niż kiedykolwiek w ciągu minionego ćwierćwiecza Murbella żałowała, że podczas tego ostatecznego starcia nie ma u jej boku Duncana Idaho. Czując samotność dowódcy i pokusę, by ulec prymitywnym ludzkim przesądom i pomodlić się do niewidzialnego anioła stróża, zacisnęła szczęki.

„To się musi udać!” - powiedziała sobie.

Jej wielkie statki krążyły wokół planety, nie wiedząc, z której strony nadciągnie flota wroga. Uchodźcy wypełniający tymczasowe obozy na spustoszonych przez zarazę kontynentach pragnęli się ewakuować z Kapitulacza, ale nawet gdyby były statki, które mogłyby ich przewieźć, nie mieli się dokąd udać. Każda sprawna jednostka w tym sektorze została zarekwirowana na potrzeby armii stawiającej czoło myślącym maszynom. To było wszystko, co zdołał zgromadzić rodzaj ludzki.

- Matko Dowodząca, zbliżają się statki wroga - powiedział administrator Gorus, otrzymawszy wiadomość z pokładu obsługi czujników. Jego jasny warkocz wyglądał, jakby był nieco wystrzępiony. Przekonano go, by został na pokładzie głównego statku na najważniejszym polu bitwy i przyglądał się, jak się sprawują nowe jednostki wyprodukowane przez jego stocznię. Najwyraźniej wcale się z tego nie cieszył.

- Dokładnie na czas. Dokładnie tak, jak się spodziewałam - stwierdziła Murbella. - Rozstawcie statki do możliwie najszerszego ostrzału, żebyśmy wszyscy naraz uderzyli na wroga, nim zdąży zareagować. Maszyny przystosowują się do sytuacji, ale

rzadko biorą pod uwagę nieoczekiwane posunięcia.

Gorus spojrział na nią z kwaśną miną.

- Opierasz swoje przypuszczenia na starych zapiskach, Matko Dowodząca? - zapytał. - Wyciągasz wnioski z tego, jak Omnius reagował piętnaście tysięcy lat temu?

- W pewnym stopniu, ale polegam na własnym instynkcie.

Kiedy nadciągnęły ciężko uzbrojone statki maszyn, wyglądały jak coraz silniejszy deszcz meteorytów. Potworne jednostki, tysiące przeciwko setce zdesperowanego zgromadzenia żeńskiego, zawisły nad nimi. Wiedziała, że wobec podobnego zagrożenia stają teraz obrońcy ludzkości na całej linii frontu, w stu innych układach.

- Przygotować się do wystrzelenia unicestwiaczy. Zatrzymać ich, zanim się zbliżą do Kapitularza. - Murbella skrzyżowała ramiona na piersi.

Wszyscy kapitanowie oznajmili przez komlinię o swojej gotowości.

Nadciągające statki maszyn zwolniły, jakby chciały zobaczyć, co może być tą małą przeszkodą.

„Nie doceniają nas” - pomyślała Murbella.

- Weźcie jak największe cele - powiedziała. - Strzelajcie w grupy statków wroga.

- Cele wybrane, Matko Dowodząca - powiedział Gorus, a jego słowa zostały natychmiast przesłane przez techników do innych jednostek.

Murbella musiała uprzedzić myślące maszyny, zanim otworzą ogień.

- Wystrzelić uniestwiacze - wydała rozkaz. Trzymała się pewnie.

Z wyrzutni posypały się srebrzyste iskry uniestwiaczy, ale kiedy dotarły do linii wroga, zgasły. Nic się nie wydarzyło, chociaż przynajmniej część z nich musiała trafić w cel. Statki maszyn najwyraźniej na coś czekały.

Murbella rozejrzała się wokół.

- Potwierdźcie, że uniestwiacze są uzbrojone - rzuciła przez komlinię. - Gdzie są wybuchy? Oddać drugą salwę!

Rozległy się dzwonki alarmowe. Gorus biegał gorączkowo od jednego stanowiska do drugiego, krzycząc na gildian na wyższych pokładach. Do centrum dowodzenia wpadła wycieńczona Matka "Wielebna i zatrzymała się przed Murbellą.

- Nasze uniestwiacze nie działają - powiedziała. - Są bezużyteczne.

- Ale przecież zostały sprawdzone! Siostry nadzorowały linie produkcyjne. Jak mogą być wadliwe?

W tym momencie cała setka statków broniących Kapitularkę zamarła, ich silniki przestały pracować, światła zamigotały. Ucichło dudnienie jednostek napędowych.

- Co się dzieje? - zapytał Gorus. - Sabotaż? Zostaliśmy zdradzeni?

Jednostki maszyn okrążyły ich, jakby cały czas na to czekały.

- Sztuczne systemy nawigacyjne nie reagują na nasze polecenia, administratorze - oznajmił głuchym głosem

widoczny na ekranie monitora gildianin. - Nie panujemy nad sterami. Nasze statki... nie działają.

Na pokładach zapłonęły niesamowitym blaskiem światła alarmowe.

- Maszyny znalazły sposób wyłączenia naszych systemów?

- To nie jest żadne wyłączenie, Matko Dowodząca. - Gorus obrócił się do Murbelli. - Po... po prostu nie działają. Wszystkie.

Nagle rzuciły się na nich siły maszyn, tysiące statków, które mogły łatwo zmiażdżyć obrońców planety. Murbella przygotowała się na śmierć. Jej armia nie była w stanie obronić ani siebie, ani Kapitularza, którego przyrzekła strzec.

Ale zamiast zaatakować, flota wroga przeleciała powoli obok obrońców, kpiąc z ich niemocy. Maszyny nie zadały sobie nawet trudu, żeby otworzyć ogień, jakby siły zgromadzenia niewarte były uwagi!

Daleko za nimi, dopiero na skraju układu słonecznego, pojawiła się druga fala myślących maszyn, kierując się na Kapitularz. To samo musiało się dziać wszędzie, we wszystkich starannie wybranych przez Murbellę ostatnich punktach oporu w stu układach gwiazdnych.

- One wiedziały! Te przeklęte maszyny wiedziały, że nasze unicestwiacze nie będą działać!

- Jakby statki Murbelli nie były niczym więcej niż kamykiem na drodze do niechronionego zupełnie macierzystego świata zgromadzenia.

Na żadnym z jej nowych statków Gildii nie było

nawigatora. Większość nawigatorów zniknęła wraz ze swoimi liniowcami. Każdy statek w jej zgrupowaniu bojowym korzystał z ixańskich kompilatorów matematycznych. Komputery... myślące maszyny.

I x a n i e! Murbella skłęła się w duchu za nadmierne poleganie na nowych unicestwiaczach i rzekomą zdolność przewidzenia posunięć wroga.

- Chodź ze mną, administratorze - powiedziała do Gorusa. - Chcę zobaczyć te unicestwiacze na własne oczy. - Chwyciła go za ramię tak mocno, że na pewno zostawiła mu sińce.

Kierując się światłami alarmowymi, poszli szybko na pokład, na którym była zainstalowana broń. Na półkach leżały rzędy błyszczących srebrzystych wypalaczy planet wyprodukowanych przez Ixan.

Wyszedł im naprzeciw zrozpaczony gildianin.

- Sprawdziliśmy tę broń, administratorze - powiedział. - Została prawidłowo zainstalowana. Mechanizmy spustowe działają. Wystrzeliliśmy dziesiątki unicestwiaczy, ale żaden nie wybuchł.

- Dlaczego nie zadziałały?

- Dlatego, że... że same unicestwiacze...

Murbella podeszła do gildianina, który otworzył pierwszy z brzegu pocisk. Pod zawiłym labiryntem przewodów i delikatnych komponentów znajdował się ładunek wybuchowy. Był wtopiony w obudowę, nic więc dziwnego, że całość nie działała.

- Jest bezużyteczny, Matko Dowodząca - powiedział Gorus. - To sabotaż.

- Ale przecież sama widziałam próby. Jak to

możliwe?

- Broń mógł unieszkodliwić mechanizm zegarowy albo flota wroga mogła wysłać sygnał, który ją rozbroił. Jakaś chytra sztuczka, której nie mogliśmy przewidzieć.

Murbella stała przerażona. Popełniła ten sam błąd, który - jak była święcie przekonana - miały popełnić maszyny: nie wzięła pod uwagę, że może się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Otworzyli wspólnie inny unicastwicz i stwierdzili, że jest tak samo stopiony i nie działa. Poczuła w sercu chłód, który rozszedł się po całym jej krwiobiegu. Tę broń wytwarzali przez lata Ixanie, a jej koszt w melanżu niemal doprowadził zgromadzenie żeńskie do bankructwa. Została wystrychnięta na dudka, jej flotę zaś wykastrowali Ixanie, zanim zaczęła się bitwa.

- A co z naszymi silnikami? - zapytała.

- Można je uruchomić, jeśli weźmiemy się do tego bez kompilatorów matematycznych.

- Mam w nosie kompilatory! Znajdźcie jakiś sposób uratowania przynajmniej części unicastwicz. Wszystkie są niesprawne? Żaden nie działa?

- Jedyne sposoby, żeby się tego dowiedzieć, Matko Dowodząca, to otworzyć i zbadać każdy z nich.

- Moglibyśmy wystrzelić wszystkie i mieć nadzieję, że niektóre nadal działają. - Murbella skinęła wolno głową. To było jakieś wyjście. W obecnej sytuacji to nic ich nie kosztowało. Musiała znaleźć jakiś sposób na podjęcie walki i miała nadzieję, że innym zgrupowaniom bojowym wiedzie się lepiej... ale wątpiła w to. Bez sprawnych unicastwicz każda planeta na

linii frontu pozbawiona była obrony i czekała ją niechybna zagłada.

A za to wszystko ona ponosiła odpowiedzialność.

Niektórzy twierdzą, że najlepszą zemstą jest samo przetrwanie.

Jeśli chodzi o mnie, wolę coś bardziej dosadnego.

- ghola barona Vladimira Harkonnena

Pod wpływem kaprysu baron powiedział dziesięciu towarzyszącym mu maskaradnikom, by przybrali wygląd sardaukarów ze Starego Imperium. Nie wiedział, czy ktokolwiek w ogóle doceni ten żart - mody się zmieniały i historia zapominała o takich szczegółach - ale pomogło mu to wytworzyć wokół siebie nimb władzy. W pierwotnym życiu odniósł wspaniałe zwycięstwo nad rodem Atrydów z nielegalnie zgromadzonymi sardaukarami u boku.

Pozostawiwszy niespokojnego Paola, rzekomo „dla jego bezpieczeństwa”, z Erazmem, baron przebrał się w szamerowany złotem i ozdobiony epoletami mundur szlachcica, na szyi zawiesił łańcuch będący oznaką jego godności. U boku miał ceremonialny sztylet z zatrutym ostrzem, a w rękawie, skąd łatwo mógł go wydobyć, szerokopasmowy głuszak. Chociaż towarzyszyła mu eskorta maskaradników naśladowujących sardaukarów, im też zbytnio nie ufał. Nigdy dość ostrożności.

Kiedy jednak świta barona podeszła do uwięzionego statku pozaprzestrzennego, maskaradnicy nie mogli znaleźć drzwi w długim na kilometr kadłubie. Było to frustrujące i żenujące, ale Omnius nie dał się powstrzymać. Pod kierunkiem wszechumysłu

fragmenty pobliskich budynków zmieniły się w gigantyczne narzędzia i rozdarły kadłub, zrywając płyty i żebrowanie. Łatwiej było zastosować brutalną siłę, niż zlokalizować właściwy właz i znaleźć kod otwierający nieznane zamki.

Po otwarciu statku baron wraz ze swoją świtą wszedł do niego, pochylając głowę pod zwisającymi szczątkami poszycia i przewodami, z których sypały się iskry. Przygotowani na zasadzkę, ale udający pewnych siebie, ruszyli krętymi korytarzami. Wysforowały się przed nich patrzydła Omniusa, by zbadać wnętrze statku i sporządzić jego mapę.

Porwani pasażerowie na pewno rozumieją, że jedynym wyjściem jest poddanie się. Jaki inny wniosek mogliby wyciągnąć? Niestety, w pierwszym życiu baron miał częstokroć do czynienia z fanatykami, takimi jak szaleni Fremeni na Arrakis. Było możliwe, że ci nieszczęśnicy zamierzają stawić rozpaczliwy, beznadziejny opór i walczyć, dopóki nie zostaną zabici, włącznie z domniemanym Kwisatz Haderach.

Wtedy jedynym rozgrywającym zostałby Paolo, i bardzo dobrze.

W statku pozaprzestrzennym napotkali najpierw Duncana Idaho i patrzącą na nich wyzywająco Bene Gesserit, która przedstawiła się jako Sziena. Oboje czekali na nich na środku szerokiego korytarza. Baron niejasno przypominał sobie to, czego dowiedział się o tym mężczyźnie z archiwum rodu Atrydów: mistrz miecza z Ginaza, jeden z najbardziej zaufanych wojowników księcia Leto, zabity na Arrakis, gdy

osłaniał uciekających Paula i Jessikę. Z drwiącego uśmiechu Idaho wywnioskował, że ten ghola również odzyskał wspomnienia.

- Oho, widzę, że mnie znasz - powiedział baron.

Idaho nawet nie drgnął.

- Gdy byłem jeszcze chłopcem, uciekłem z Giedi Prime - odparł. - Pokonałem Rabbana podczas jednego z jego polowań. Od tamtej pory przeżyłem wiele istnień. Mam nadzieję, że tym razem ujrzę na własne oczy, jak umierasz.

- Mówisz śmiało, zupełnie jak jeden z tych ujadających psów, które trzymał u boku Imperator Szaddam. Groźnie warczały, ale ustępowały, kiedy się na nie naparło. - Chroniony przez maskaradników pozujących na sardaukarów, spojrzął na korytarz za nimi. - Ilu ludzi macie? - spytał. - Przyprowadźcie ich do kontroli.

- Już się zebraliśmy - odparła Sziena. - Jesteśmy gotowi.

Baron westchnął.

- I bez wątpienia rozmieściliście na pokładach komandosów albo strzelców wyborowych? - rzekł. - Wasze dane osobowe zostaną sprawdzone. Dziecięcy opór może nam sprawić nieco kłopotów, ale nic wam nie da. Mamy dość oddziałów, by was wszystkich wykosić.

- Stawianie oporu byłoby głupie - powiedziała Sziena. - Przynajmniej w tak oczywisty sposób.

Baron zrobił gniewną minę i usłyszał w głowie głos dziewczynki:

- *Ona igra z twoim umysłem, dziadku.*

- Ty też! - syknął, wprawiając pozostałych w zdumienie.

- Na statek wchodzi dodatkowo pięciuset naszych ludzi - oznajmił dowódca fałszywych sardaukarów. - Ruchome sensory maszyn przeszukają pomieszczenia na każdym pokładzie i znajdziemy wszystko, co tam jest. Zlokalizujemy Kwisatz Haderach.

- Kwisatz Haderach? - zapytał Idaho. - Czy to właśnie tego szukali starzec i staruszka? Na tym statku? Proszę bardzo, traćcie czas na swoje poszukiwania.

- Gdybyśmy mieli na statku nadczłowieka - dodała ostrym tonem Sziena - nigdy nie udałoby wam się nas schwytać.

Uwaga ta zaniepokoiła barona. Słyszał w głowie doprowadzający go do szału głos Alii chichoczącej z jego konsternacji. Twarz mu poczerwieniała, ale zmusił się do milczenia. Wyszedłby na głupca dyskutującego z niesłyszalnym głosem niewidzialnej prześladowczyni. Podeszły i stanęły przed nim jak do inspekcji nowe grupy pasażerów.

Najbardziej niepokoił go kilkunastoletni ghola drobnej postury. Młodzieniec był chudy i miał ziemistą cerę. Jego oczy płonęły nienawiścią, chociaż baron zupełnie nie przypominał go sobie. Zastanawiał się, co mu zrobił.

- *Przyjrzyj mu się uważniej, dziadku. Na pewno go poznajesz. O mało cię nie zabił* - rozległ się znowu w jego czaszce głos Alii.

- *Przysięgam, że znajdę sposób, by usunąć cię z mojej*

głowy - odpowiedział jej w myślach baron.

Z obojętną miną spojrzał ponownie na ponurego ghole i nagle skojarzył czarny romb wyrysowany na jego czole.

- Ależ to ty, Yueh! - powiedział. - Drogi doktorze Yueh, jak miło cię znowu zobaczyć! Nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo pomogłeś dawno temu sprawie Harkonnenów. Cieszę się, że mam nieoczekiwanego sojusznika na tym statku.

Yueh wyglądał na cherlawego i nieudolnego, ale w jego wzroku była autentyczna żądza mordu.

- Nie jestem twoim sojusznikiem - warknął.

- Jesteś mizernym robakiem. Wcześniej dałeś się łatwo zmanipulować i mogę to zrobić ponownie. - Baron zdziwił się, że chudzielec nie cofnął się pod wpływem tych słów. Ta wersja Yuego wydawała się silniejsza, być może odmieniona przez nauki wyciągnięte z haniebnej przeszłości.

- Nie masz już nade mną władzy, baronie. Nie masz Wanny. A nawet gdybyś miał, nie powtórzyłbym dawnych błędów. - Skrzyżowawszy ramiona na wąskiej piersi, wysunął wyzywająco spiczastą brodę.

Kiedy podeszło jeszcze więcej pasażerów, baron odwrócił się raptownie od doktora Akademii Suka. Jedna z przybyłych, brązowowłosa, mniej więcej osiemnastoletnia kobieta, wyglądała dokładnie tak jak śliczna lady Jessika. Wyraźny wstręt, z jakim na niego patrzyła, świadczył, że również ona odzyskała wspomnienia. Czy Jessika wiedziała, że w rzeczywistości była jego córką? Jakież zajmujące

mogliby wieść rozmowy!

Obok niej stała w opiekuńczej pozie młodsza kobieta ubrana jak Fremenka i ciemnowłosa młodzieniec, idealny obraz Paola, tylko młodszy.

- Ależ to młody Paul! - krzyknął baron. - Kolejny Paul Atryda?

Szybkie cięcie, zaledwie ukłucie zatrutym sztyletem, i byłoby po rywalu Paola do funkcji Kwisatz Haderach. Ale baron aż się wzdrygnął na myśl o tym, jak zareagowałby na to Omnius. Oczywiście chciał, by Paolo zdobył należną mu z tego tytułu władzę, ale nie zamierzał poświęcić dla niego życia. Chociaż to on wychował i wyszkolił Paola, ten chłopiec był A t r y d a.

- Cześć, dziadku - rzucił Paul. - Pamiętam, że byłeś starszy i bardziej otyły. - Jego postawa i ton zirytowały barona. Co gorsza, odniósł wrażenie... jakby Paul miał to powiedzieć, jakby on sam zobaczył to już w dziesięciu różnych wizjach.

Mimo to Harkonnen złożył dłonie do szyderczych braw.

- Czyż technologia wytwarzania gholi nie jest czymś cudownym? - powiedział. - Przypomina bisy na koniec nudnych występów kuglarzy na dworze Imperatora. Zatem wszyscy zebraliście się do ponownej rozgrywki?

Paul zeszywniał.

- Ród Atrydów już dawno temu zmiażdżył ród Harkonnenów - rzekł. - Teraz spodziewam się podobnego wyniku.

- Oho! - Chociaż ghola barona był rozbawiony, nie zbliżył się ani o krok. Skinął na swoich sardaukarów. -

Niech ich dokładnie obejrzą lekarz i dentysta, zanim podejda do mnie choć trochę bliżej. Szczególną uwagę zwróćcie na ich zęby. Szukajcie kapsułek z trucizną.

Osiągnąwszy cel, baron miał już wyjść ze statku pozaprzestrzennego, gdy wśród zebranych w korytarzu uciekinierów zauważył małą dziewczynkę, która stała spokojnie obok dwunastoletniego chłopca i wszystko obserwowała. Oboje wyglądali na Atrydów. Zastygł, rozpoznawszy Alię.

To krwiożercze dziecko nie tylko dźgnęło go gom dżabbarem i nawiedzało jego myśli, ale teraz stało przed nim!

- *Spójrz, dziadku, teraz możemy cię dręczyć z zewnątrz i od środka!* - Jej głos przeszywał mu głowę jak lodowe igły.

Baron zareagował, nie dbając o konsekwencje. Wyrwawszy z pochwy ceremonialny sztylet, chwycił dziewczynkę za kołnierz i wzniosł ostrze.

- Nazwali cię Złym Duchem! - krzyknął.

Alia szarpała się jak wściekłe zwierzę, ale nie pisała. Małymi stopami kopnęła go w żołądek z tak zaskakującą siłą, że aż zaparło mu dech. Baron zatoczył się i nie wahając się ani sekundy, wbił w jej bok zatrute ostrze. Weszło jak w masło. Wyszarpnął je i zadał drugi cios, tym razem prosto w serce Alii.

Jessika krzyknęła. Paul skoczył do przodu, ale było już za późno. Duncan ryknął ze złości i rzucił się na najbliższego sardaukara. Zabił go ciosem w krtań. Uderzył drugiego, również miażdżąc mu gardło, i runął na barona jak dzikie zwierzę. Harkonnen nie zdążył się

nawet przestraszyć, kiedy pozostali strażnicy zamknęli wokół niego krąg, a czterej inni odciągnęli Duncana. Reszta fałszywych sardaukarów uniosła broń, by powstrzymać wstrząśniętych jeńców.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, baron spojrzał drwiąco na dziewczynkę umierającą w jego uścisku.

- To odpłata za zabicie mnie - powiedział. Śmiejąc się z krwi na swoich rękach, cisnął ją na podłogę jak zepsutą lalkę. Prześladowczyni w jego głowie nie wydała żadnego dźwięku. Czyżby pozbył się również jej?

Na twarzach stojących obok jeńców malowała się żądza mordy, co zaniepokoiło barona. Wycofał się z uśmiechem w otoczeniu chroniących go maskaradników. Obaj zabici żołnierze powrócili do swoich naturalnych postaci, ale żaden z pasażerów statku pozaprzestренного nie wydawał się tym zaskoczony. Wokół zamordowanego dziecka zebrała się hałastra Atrydów, natomiast sardaukarzy podnieśli poległych towarzyszy.

Sziena powstrzymała Duncana przed kolejnym samobójczym atakiem.

- Jeden zgon wystarczy - powiedziała.

- Nie. To dopiero początek. - Z widocznym wysiłkiem zapanował nad sobą. - Ale na razie na tym koniec.

Baron roześmiał się, a maskaradnicy zmusili go do szybszego marszu. Kiedy spojrzał na swoją świętą, przekonał się, że zmiennokształtni odnoszą się z dezaprobatą do tego, co zrobił.

- No i co? - powiedział. - Nie muszę się przed wami usprawiedliwiać. Przynajmniej pozbyliśmy się Złego Ducha.

- *Pozbyliście się, powiadasz?* - zachichotał brzmiały jak tłuczenie szkła dziewczęcy głosik w jego głowie. - *Pozbyliście się? Tak łatwo się ode mnie nie uwolnisz. Zagnieździłam się w twojej czaszce, zanim jeszcze urodził się ten ghola.* - Głos przybrał na sile. - *Teraz będę cię jeszcze bardziej dręczyła. Nie dałeś mi wyboru, muszę więc występować w roli twojego sumienia, dziadku.*

Baron odmaszerował szybszym krokiem, starając się zamknąć jej usta.

W wojnie totalnej gra toczy się o wszystko - albo totalne zwycięstwo, albo totalna przegrana.

- wojownik ze Starej Terry

Myślące maszyny nadal otaczały statek pozaprzeznaczony ścisłym kordonem. Sziena patrzyła, jak Jessika wynosi ciało Alii. Jakże musiało być to dla niej bolesne. Po odzyskaniu wspomnień Jessika doskonale wiedziała, kim naprawdę jest Alia, i zdawała sobie sprawę z jej wielkiego potencjału. Była też w tym gorzka ironia - święta Alia od Noża powalona nożem.

Jessika tuliła bezwładne dziecko, a całym jej ciałem wstrząsał z trudem powstrzymywany szloch. Kiedy podniosła wzrok na Szienę, w jej oczach widać było zimną desperację. Obok niej stał Duncan z twarzą wykrzywioną złością.

- Zemścimy się, pani - powiedział. - Tak wielu z nas gardzi baronem, że nie pożyje on już długo.

Nawet Yueh siedział sprężony i napięty jak naładowana broń.

Paul i Chani wzięli się za ręce, czerpiąc od siebie nawzajem siłę. Leto II patrzył bez słowa, a w jego głowie tłoczyły się bez wątpienia sprzeczne myśli. Chłopiec zawsze zdawał się mieć w sobie coś, czego nie było widać, niczym w ogromnej górze lodowej, której większa część kryła się pod powierzchnią. Sziena od dawna podejrzewała, że Leto II może się okazać najpotężniejszym z gholi, które stworzyła.

Jessika uniosła głowę, znalazłszy w sobie siłę.

- Zabierzemy ją do mojej kabiny - powiedziała. - Duncan, pomożesz mi?

Wokół nich krążył doktor Yueh, rozpaczliwie pragnąc uzyskać przebaczenie.

Sziena przyglądała się temu z niepokojem, frustracją i złością. Straciła już baszara, teraz została zamordowana Alia, a trzy inne ghole, które miały kluczowe znaczenie - Paula, Chani i Leto II - nie były przebudzone. Stilgar i Liet-Kynes zostali na Qelso, a Thufir Hawat okazał się maskaradnikiem. Teraz, kiedy stanęli twarzą w twarz z wrogiem i potrzebowali gholi, nie mogła skorzystać ze zbyt dużej części tej „broni”. Miała tylko Yuego, Jessikę... i Scytale'a, jeśli mogła liczyć na Tleilaxanina.

Obawiała się, że dopadnie ją wyczerpanie. Tak długo uciekali, mając plany i nadzieje, ale nie dotarli do celu. Nie o takim końcu wędrówki marzyła.

Znowu rozległ się w jej głowie cichy, odległy głos Sereny Butler rozzłoszczonej ujawnieniem się wroga.

- *Okrutne maszyny zawsze chciały zlikwidować wszystkich ludzi* - powiedziała. Miała na ten temat wiedzę z pierwszej ręki. - *Nie potrafią zapomnieć.*

- Ale przecież zostały zniszczone - rzekła głośno Sziena.

- *Najwidoczniej nie. Podczas Dżihadu Butleriańskiego zginęły miliardy ludzi, ale nawet to nie wystarczyło. W ostatecznym rozrachunku ja też nie dałam im rady.*

- Miło mi, że w końcu mogę was poznać - rozległ się chrypiący kobiecy głos. Korytarzem szła samotna

staruszka z szerokim uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Mimo podeszłego wieku poruszała się sprawnie i było w niej coś groźnego.

Sziena od razu odgadła, że musi to być owa tajemnicza staruszka, która bez przerwy na nich polowała.

- Duncan mówił nam o tobie - rzekła.

Kobieta uśmiechnęła się w działający na nerwy sposób, jakby potrafiła przeniknąć najskrytsze myśli i zamiary Szieny.

- Byliście trudną do pochwycenia zdobyczą - powiedziała. - Tyle straconych lat. Odgadłaś już, kim naprawdę jestem?

- Jesteś wrogiem.

Nagle twarz, ciało i ubranie staruchy zafalowały jak stopiony, płynny metal. Początkowo Sziena myślała, że to kolejny maskaradnik, ale głowa i ciało nabrały połysku wypolerowanej platyny, a ubranie zamieniło się w wykwinną szatę. Na gładkiej twarzy wciąż widniał ten sam uśmiech, ale układały się weń radykalnie odmienne rysy. Robot.

Sziena poczuła wrzawę w skrytych w głębi jej świadomości Innych Wspomnieniach. Z tego zgiełku wzniósł się znany już jej głos Sereny Butler.

- *To Erazm! Zabij go!*

Z wielkim trudem uciszyła Serenę i pozostałe głosy.

- Jesteś Erazm - powiedziała. - Ten, który zabił dziecko Sereny Butler, rozpętując trwający setki lat dżihad przeciw myślącym maszynom.

- Zatem nadal, po tak długim czasie, pamięta się

mnie. - W głosie robota brzmiało zadowolenie.

- Owszem, pamięta cię Serena - odparła Sziena. - Jest we mnie i nienawidzi cię.

Na twarzy robota pojawiła się czysta radość.

- Jest w tobie sama Serena Butler? A tak, wiem o waszych Innych Wspomnieniach. Maskaradnicy sprowadzili do nas wiele Bene Gesserit.

W głowie Szieny ponownie rozległa się wrzawa.

- Ja jestem Sereną Butler, a ona jest mną - powiedziała. - Chociaż minęły tysiące lat, ból jest równie ostry jak na początku. Nie możemy zapomnieć o tym, co zniszczyłeś i co rozpocząłeś.

- To było tylko jedno życie, zaledwie dziecko. Patrząc na to logicznie, nie widzisz, jak przesadnie zareagował wasz gatunek? - Słowa robota brzmiały tak rozsądnie.

Sziena poczuła zmianę w tonie i rytmie swego głosu, jakby władzę nad jej ciałem przejęła ta siła z wnętrza.

- Tylko jedno życie? Tylko dziecko? - odezwała się Serena, przepchnąwszy się na czoło niezliczonego tłumu istnień. Sziena pozwoliła jej mówić. Po tak długim czasie była to konfrontacja Sereny z jej nemezis. - To jedno życie doprowadziło do militarnej klęski całego waszego Zsynchronizowanego Imperium. Dżihad Butleriański był sam w sobie Kralizekiem. Koniec tamtej wojny zmienił wszechświat.

Erazm wydawał się zachwycony tym porównaniem.

- A, to interesujące - rzekł. - I być może koniec obecnego Kralizeku odwróci to i znowu zapanują myślące maszyny. Jeśli tak, to tym razem będziemy

dużo skuteczniejsze.

- Taki przewidujesz koniec Kralizeku?

- Taki bym wolał. Musi się dokonać jakaś fundamentalna zmiana. Czy mogę liczyć na to, że mi pomożesz?

- Nigdy - odparła Serena zimnym i nieprzejednanym głosem.

Patrząc na niezależnego robota, Sziena zrozumiała lepiej niż kiedykolwiek, że ma udział w czymś, co jest potężniejsze i ważniejsze niż życie jednej osoby, że łączy ją więc z długim szeregiem antenatek sięgającym głęboko w przeszłość i - przy odrobinie szczęścia - przekazującym pałeczkę jeszcze wielu pokoleniom w przyszłości. Ale czy przetrwają?

- Widzę w twoich oczach dobrze mi znany ogień. Jeśli jakaś część ciebie jest rzeczywiście Sereną Butler, to musimy pogawędzić o dawnych czasach. - Włókna optyczne Erazma błysnęły.

- Zatem nikt nie chce już z tobą rozmawiać - powiedziała Sziena własnym głosem.

Robot zignorował ten prztyczek.

- Zaprowadź mnie do swoich apartamentów - zażądał.

- Legowisko człowieka wiele mówi o jego osobowości.

- Nie.

- Bądź rozsądna. - Głos Erazma stwardniał. - A może powinienem pozbawić głów paru twoich towarzyszy, żeby cię zachęcić do współpracy? Zapytaj Serenę Butler. Ona wie, że to zrobię.

Sziena spiorunowała go wzrokiem.

- Ale zwykła rozmowa z tobą w twoich

apartamentach może na razie zaspokoić mój apetyt - kontynuował robot spokojnym tonem. - Nie wolałabyś tego zamiast masakry?

Nakazawszy gestem reszcie, żeby zostali na korytarzu, Sziena odwróciła się plecami do robota i podeszła do jednej z wciąż działających wind. Erazm ruszył za nią posuwistym krokiem.

Znalazłszy się w jej kajucie, robot stanął zaintrygowany przed zachowanym obrazem van Gogha. *Chaty kryte słomą w Cordeville* były jednym z najstarszych artefaktów ludzkiej cywilizacji. Wyprostowany, Erazm podziwiał dzieło.

- A, tak! - rzekł po chwili. - Dokładnie to pamiętam. Sam to namalowałem.

- To dzieło dziewiętnastowiecznego ziemskiego artysty Vincenta van Gogha - powiedziała Sziena.

- Z wielkim zainteresowaniem studiowałem Szaleńca z Francji, ale zapewniam cię, że w rzeczywistości jest to jedno z płócien, które namalowałem tysiące lat temu. Skopiowałem oryginał z dbałością o każdy szczegół.

Zastanawiała się, czy robot mówi prawdę.

Erazm zdjął malowidło ze ściany i uważnie je zbadał, przeciągając czubkami metalowych palców po cienkim plazie, który chronił pokrytą olejnymi farbami powierzchnię.

- Tak, dobrze pamiętam każde pociągnięcie pędzla, każdą plamę koloru, każdy punkt. To naprawdę dzieło geniusza.

Sziena wstrzymała oddech, wiedząc, jak stary i bezcenny jest ten obraz. Chyba że faktycznie był

namalowanym dawno temu falsyfikatem.

- Dziełem geniusza był o r y g i n a ł - powiedziała. - Jeśli to jest tym, czym mówisz, to jedynie skopiowałeś arcydzieło stworzone przez kogoś innego. Oryginał może być tylko jeden.

Jego włókna optyczne rozbłysły jak galaktyka.

- Jeśli jest takie samo, dokładnie takie samo, to oba są dziełami geniusza. Jeśli moja kopia jest doskonała i wiernie oddaje każde pociągnięcie pędzla, to czy nie stała się drugim oryginałem?

- Van Gogh był natchnionym twórcą. Ty sporządziłeś tylko imitację jego pracy. Równie dobrze mógłbyś nazwać dziełem sztuki maskaradnika.

Erazm uśmiechnął się.

- Niektórzy są dziełami sztuki - odparł. Nagle rozerwał potężnymi rękami płótno i ramę. Jakby stawiając kropkę nad „i”, okręcił się i rozdeptał szczątki.

- Nazwij to temperamentem artysty - powiedział. Zbliżając się do wyjścia, dodał: - Wkrótce Omnius wezwie waszego Kwisatz Haderach. Długo na to czekaliśmy.

Jaka jest różnica między danymi a pamięcią?
Mam zamiar się tego dowiedzieć.

- Erazm, notatniki laboratoryjne

Wspomnienia niezależnego robota o Serenie były tak świeże, jakby te wydarzenia rozegrały się zaledwie przed kilkoma dniami. Serena Butler... taka fascynująca kobieta. I tak jak Erazm przetrwał tysiące lat jako pakiet danych, które prawie zostały zniszczone, a potem odzyskane, tak też wspomnienia i osobowość Sereny żyły jakoś w Innych Wspomnieniach Bene Gesserit.

Rodziło to intrygujący problem: żadna Bene Gesserit nie mogła być bezpośrednim potomkiem Sereny Butler, ponieważ Erazm zabił jej jedyne dziecko. Z drugiej strony, robot nie miał pewności, co się stało ze wszystkimi eksperymentalnymi klonami, które stworzył w ciągu lat. Wielokrotnie, choć bez powodzenia, próbował sprowadzić Serenę z powrotem.

Jednak na tym statku pozaprzestrzennym ludzie wyhodowali ghole ze swojej przeszłości, tak jak on sprowadził z powrotem barona Harkonnena i wersję Paula Atrydy. Erazm wiedział, że kapsułka zeroentropijna ukryta w ciele tleilaxańskiego mistrza zawierała bogactwo starannie zebranych komórek ludzi, którzy żyli w starożytności.

Był pewien, że chociaż jego prymitywne eksperymenty się nie powiodły, prawdziwy tleilaxański mistrz mógłby odtworzyć Serenę. Wchłonęli z Omniusem dość maskaradników, by czuć instynktowny

szacunek dla zdolności mistrza. Niezależny robot dokładnie wiedział, dokąd musi pójść przed opuszczeniem statku.

Erazm znalazł centrum medyczne i sale z kadziami aksolotłowymi. W pomieszczeniach tych skatalogowano i przechowywano cały zbiór historycznych komórek. Jeśli tylko były wśród nich komórki Sereny Butler...

Zdziwił się, zastawszy tam udręczonego, miotającego się gorączkowo Tleilaxanina. Mężczyzna odłączył kadzie aksolotłowe od systemów podtrzymywania życia. Za pomocą czujników powonienia robot rozpoznał zapachy chemikaliów, prekursorów melanżu i ludzkiego ciała.

Uśmiechnął się szeroko.

- Ty musisz być Scytale, mistrz tleilaxański! - powiedział. - Minęło dużo czasu.

Scytale obrócił się szybko. Wyglądał na przestraszonego widokiem robota.

Erazm podszedł bliżej i przyjrzał się badawczo twarzy Tleilaxanina.

- Jesteś dzieckiem? - zapytał. - Co tutaj robisz?

Scytale wyprostował się.

- Niszczyć kadzie i wytwarzany przez nie melanż - odparł. - Musiałem udostępnić tę wiedzę jako kartę przetargową. Ale nie pozwolę, żeby po prostu uzyskały ją ode mnie - o d n a s - myślące maszyny i zdradzieccy maskaradnicy.

Erazm nie wykazał żadnego zainteresowania uszkodzonymi kadziami.

- Ale wydajesz się bardzo młody.

- Jestem gholą. Odzyskałem swoje wspomnienia - rzekł Tleilaxanin. - Jestem sumą wszystkich moich gholi.

- Oczywiście - zgodził się z nim Erazm. - Zachowywanie życia poprzez ciąg istnień w postaci gholi. Cudowny proces. My, maszyny, rozumiemy to, chociaż mamy wydajniejsze metody transferu i przechowywania danych. - Patrzył w skupieniu na genetyczny zbiór, w którym mogły się znajdować komórki potencjalnego gholi... Sereny Butler...

Zauważywszy zainteresowanie robota, Tleilaxanin skoczył i stanął przed zamkniętą szafą z próbkami.

- Uważaj! - powiedział. - Czarownice umieściły na tych próbkach genów czujniki i zabezpieczenia, by uniemożliwić każdą próbę grzebania w nich lub ich kradzieży. W tych zbiorach zamontowany jest system samozniszczenia. - Zwęził ciemne jak u gryzonia oczy. Jeśli blefował, robił to bardzo przekonująco. - Wystarczy, że szarpnę jakąś szufladę, a całą tę szafę zaleje promieniowanie gamma, które zjonizuje wszystkie próbki.

- Dlaczego? - Robot był zdumiony. - Po tym, jak Bene Gesserit wyciągnęły od ciebie te próbki i wykorzystały dla własnych celów? Czy nie zmusiły cię do współpracy? Naprawdę stanąłbyś po ich stronie? - Wyciągnął platynową rękę. - Przyłącz się do nas. Wspaniale cię wynagrodzę za stworzenie gholi pewnej osoby...

Scytale położył ostrzegawczym ruchem małą dłoń na

jednym z wielu pojemników. Chociaż drżał, wydawał się całkowicie zdecydowany.

- Tak, stanąłbym po ich stronie - odparł. - Zawsze stanę p r z e c i w k o myślącym maszynom.

- Interesujące. Nowi wrogowie zawierają nieoczekiwane sojusze.

Tleilaxanin się nie poruszył.

- W ostatecznym rozrachunku wszyscy jesteśmy ludźmi... a wy nie - powiedział.

Erazm zachichotał.

- A co z maskaradnikami? Plasują się pomiędzy nami, nieprawdaż? To nie ci sami zmiennokształtni, których produkowaliście dawno temu, ale są za to o wiele doskonalszymi maszynami biologicznymi, a ja pomogłem je stworzyć. I dzięki nim Omnius i ja jesteśmy faktycznie największymi z maskaradników... między innymi.

Scytale nadal się nie ruszał.

- Nie zauważyłeś, że na maskaradnikach nie można już polegać? - zapytał.

- Ja mogę.

- Jesteś pewien?

Robot zrobił krok do przodu, sprawdzając determinację Scytale'a. Tleilaxanin zacisnął palce na uchwycie szafy z próbkami.

Erazm wzmocnił głos.

- Stój! - powiedział. Cofnął się, robiąc Scytale'owi więcej miejsca. Będzie miał mnóstwo czasu, żeby wrócić i ponownie sprawdzić jego lojalność. - Zostawiam cię z twoimi próbkami komórek.

Czekał na Serenę ponad piętnaście tysięcy lat, mógł więc jeszcze trochę poczekać. Na razie musiał wrócić do katedry maszyn i przygotować się do ostatniego pokazu. Wszechumysł nie był tak cierpliwy jak Erazm.

Pójdź, zjedzmy i zaśpiewajmy razem.
Napijemy się i pośmiejemy z naszych
wrogów.

- ze starożytnej ballady Gurneya Hallecka

Komputerowy wszechumysł wysłał swoich żołnierzy, by przyprowadzili Paula do przypominającego katedrę głównego węzła sieci maszyn. W korytarzach statku pozaprzestrzennego zaroilo się od nowego typu robotów jak od insektów z żywego srebra. Jeden z nich podszedł do Paula.

- Chodź z nami do naszej głównej katedry - rzekł.

Chani chwyciła Paula za ramię i trzymała tak mocno, jakby i ona miała metalowe ręce.

- Nie pozwolę ci iść, Usul - powiedziała.

- Nie możemy ich powstrzymać - odparł, patrząc na nieludzkich strażników.

- Wobec tego pójdę z tobą. - Próbował jej wyperswadować ten pomysł, ale ucięła: - Jestem fremeńską kobietą. Będiesz się starał zmusić mnie, żebym tu została? Równie dobrze mógłbyś walczyć z tymi maszynami.

Skrywając lekki uśmiech, obrócił się do lśniących robotów, które przesuwały się przed nim ze szcękami.

- Pójdę z wami bez oporu, ale tylko wtedy, jeśli ona będzie mi towarzyszyć - oznajmił.

Wyłoniwszy się ze swojej kabiny, w której na wąskim łóżku leżało teraz ciało Alii, Jessica stanęła między Paulem a robotami. Na jej ubraniu wciąż widać

było ślady krwi.

- To mój syn - powiedziała. - Straciłam już dzisiaj córkę i nie zniosę również jego straty. Idę z wami.

- Jesteśmy tu po to, żeby zaprowadzić Paula Atrydę do głównej katedry - rzekł jeden z robotów. Jego twarz falowała jak strumień wody na oknie kaladańskiego zamku podczas ulewnego deszczu. - Nie ma innych ograniczeń.

Paul potraktował to jako wyrażenie zgody. Z jakiegoś powodu Omnius chciał mieć jego, mimo iż nie odzyskał wspomnień. Wszyscy inni pasażerowie i załoga byli najwyraźniej nieistotnym bagażem. Czyżby to on był od początku celem tego polowania? Jak to było możliwe?

- To się wkrótce skończy, a jak, o tym zadecyduje los - powiedział, ścisnąwszy rękę Chani. - Przeznaczenie cały czas pchało nas w to miejsce niczym siła grawitacji pojazd, nad którym załoga straciła kontrolę.

- Wspólnie stawimy mu czoło, kochany - odparła. Pragnęła tylko, by Paul mógł sobie przypomnieć wszystkie spędzone z nią lata... i by sama mogła odzyskać te wspomnienia.

- A co z Duncanem? - zapytał. - I z Szieną?

- Musimy już iść - powiedziały roboty chórem. - Omnius czeka.

- Duncan i Sziena wkrótce sami się dowiedzą - rzekła Jessika.

Zanim wyszli, Paul manifestacyjnie zabrał krysnóż, który zrobiła dla niego Chani. Jak fremieński wojownik, przypiął go dumnie do pasa. Chociaż zrobione z zęba czerwia ostrze nie mogło wyrządzić myślącym

maszynom najmniejszej szkody, czuł się dzięki niemu jak legendarny Muad'Dib - człowiek, który pokonał potężne imperia. Ale znowu ujrzał straszną, powracającą wizję, przebłysk pamięci albo jasnowidzenia, w którym leżał śmiertelnie ranny w dziwnym miejscu, patrząc na śmiejące się tryumfalnie swoje młodsze wcielenie.

Zamrugął i postarał się skupić na rzeczywistości, nie na możliwościach czy przeznaczeniu. Idąc za podobnymi do owadów robotami, próbował wmówić sobie, że jest przygotowany do stawienia czoła temu, co go czeka, bez względu na to, czym jest.

Zanim ghole zdążyły wyjść ze statku przez dziurę o poszarpanych krawędziach, którą maszyny zrobiły w kadłubie, podbiegł do nich Wellington Yueh i starał się przepchnąć przez szeregi eskortujących ich robotów.

- Zaczekajcie! - krzyknął. - Chcę... muszę iść z wami.
- Szukał jakiegoś pretekstu. - Jeśli komuś coś się stanie, będę pod ręką. Jestem najlepszym lekarzem Akademii Suka. Mogę pomóc. - Ściszył głos i rzekł błagalnym tonem: - Będzie tam baron, a on chce mnie widzieć.

- Pomóc? - odezwała się gorzkim i ostrym tonem Jessica, nadal zmagając się z uczuciami, które w niej wzbudził. - A pomogłeś Alii?

Usłyszawszy to, Yueh zrobił minę, jakby dostał w twarz.

- Pozwól mu iść z nami, matko - rzekł z rezygnacją Paul. - Doktor Yueh był oddanym mentorem pierwszego Paula, kiedy tamten był dzieckiem. Nie odtrącę żadnego sojusznika ani świadka tego, co ma się

stać.

Podążając za robotami, znaleźli się na płynących ulicach, które poniosły ich jak nurt rzeki. Wysoko w górze przemykały podobne do nietoperzy statki powietrzne, a wokół nich uwijały się lśniące patrzydła, obserwując pod wszystkimi kątami ich pochód. Ogromny statek pozaprzestrzenny za nimi został włączony do metropolii maszyn. Wokół *Itaki* wyrosły, niczym korale pochłaniające stary wrak na dnie kaladańskiego morza, obdarzone czuciem metalowe budynki o płynnych formach. Zdawały się zmieniać, ilekroć we wszechumyśle pojawiła się jakaś ulotna myśl.

- Całe to miasto żyje i myśli - powiedział Paul. - To jedna wielka, zmienna, przystosowująca się maszyna.

- „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego” - zacytowała cicho jego matka.

Na srebrzystych ścianach wyniosłych budynków pojawiły się głośniki i symulowany głos, przedrzeźniając Jessikę, powtórzył jej słowa:

- „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”. Cóż za dziwaczny przesąd! - A potem rozległ się śmiech, który brzmiał, jakby został nagrany gdzie indziej, dziwnie zniekształcony i następnie odtworzony. - Nie mogę się doczekać spotkania z wami.

Eskorta robotów wprowadziła ich do olbrzymiej budowli o połyskujących ścianach, wielkich łukach i zamkniętych przestrzeniach podobnych do parków. Z

widowiskowej fontanny tryskały do chłodzącego basenu strumienie rozżarzonej, szkarłatnej lawy.

Pośrodku ogromnej katedralnej nawy oczekiwała ich para staruszków w luźnych, wygodnych ubraniach. Ich małe w porównaniu z olbrzymim wnętrzem postaci z pewnością nie wyglądały groźnie.

Paul postanowił nie czekać, aż porywacze zaczną grę.

- Dlaczego mnie tutaj sprowadziliście? - zapytał. - Czego chcecie?

- Chcę pomóc wszechświatu. - Staruszek zszedł po wypolerowanych kamiennych stopniach. - Mamy końcówkę Kralizeku, przełom, który na zawsze zmieni wszechświat. Skończy się wszystko, co było przedtem, a wszystko, co nadejdzie, ja będę kontrolował.

- Zważcie na ten cały chaos, który panował przez tysiące lat ludzkiej cywilizacji - wyjaśniła staruszka. - Jesteście stworzeniami wprowadzającymi taki zamęt! My, myślące maszyny, mogłybyśmy się spisać o wiele lepiej i urządzić wszystko bardziej racjonalnie. Wiemy o waszym Bogu Imperatorze Leto II, o Rozproszeniu i o Czasach Głodu.

- On przynajmniej zaprowadził na trzy i pół tysiąca lat pokój - dodał staruszek. - Miał dobry pomysł.

- To był mój wnuk - powiedziała Jessika. - Nazwali go Tyranem z powodu trudnych decyzji, które powziął. Ale nawet on nie dokonał tylu zniszczeń, ile myślące maszyny podczas Dżihadu Butleriańskiego.

- Zbyt swobodnie obarczasz nas winą. Czy to my spowodowaliśmy te zniszczenia, czy ludzie tacy jak Serena Butler? To sprawa dyskusyjna. - Nagle staruszka

zrzuciła przebranie jak wąż suchą skórę. Na elastometalowej - męskiej teraz - twarzy robota widniał szeroki uśmiech. - Ludzie i maszyny nie zgadzali się od początku, ale tylko my jesteśmy w stanie obserwować długi okres historii i tylko my możemy zrozumieć, co trzeba zrobić, i znaleźć logiczny sposób dokonania tego. Czy nie jest to właściwa analiza waszego legendarnego Kralizeku?

- Tylko interpretacja - odparła Jessika.

- Ale prawidłowa. Właśnie wykonujemy konieczne zadanie usunięcia chwastów z ogrodu. To dobra metafora. Chwastom się to nie podoba i przez pewien czas ziemia może być poruszona, ale w końcu stan ogrodu znacznie się poprawi. Ludzie i maszyny są tylko przejawami starego konfliktu, o którym pisali wasi starożytni filozofowie: walki serca z rozumem.

Omnius zachował postać staruszka, ponieważ nie miał innego znanego fizycznego kształtu.

- W Starym Imperium wielu ludzi próbuje stawić nam ostatni opór - powiedział. - To daremne wysiłki, ponieważ moi maskaradnicy zadbali o to, żeby wasza broń nie działała. Nawet wasze maszyny nawigacyjne są pod moją kontrolą. Moja flota zbliża się już do Kapitulacza.

- Odkąd się urodziłem, nasz statek nie miał kontaktu ani z Kapitulaczem, ani z Gildią - rzekł Paul lekceważącym tonem. Wskazał Jessikę, Chani i Yuego, ghole, które urodziły się na *Itace* podczas ucieczki. - Żadne z nas nigdy nie było w Starym Imperium.

- Wobec tego pozwól, że ci je pokażę. - Machnięciem

ręki staruszek wywołał złożony holograficzny obraz gwiazd, uwidaczniając, jak daleko posunęła się jego potężna flota. Paul był oszołomiony rozmiarami podboju i zniszczeń. Nie sądził, że wszechumysł wyolbrzymia to, co zrobiły maszyny. Omnius nie musiał tego robić. Zniszczone lub zniewolone zostały już setki planet.

- Na szczęście ta wojna szybko się skończy - powiedział Erazm uspokajającym tonem.

Staruszek podszedł do Paula.

- A teraz, kiedy mamy ciebie, wynik nie ulega wątpliwości - stwierdził. - Matematyczne projekcje wskazują, że Kwisatz Haderach przesądzi los bitwy na końcu wszechświata. Mam władzę nad tobą i tym drugim, więc zaraz zakończymy ten konflikt.

Erazm przysunął się bliżej i przyglądał Paulowi jak naukowiec badający cenny okaz. Jego włókna optyczne błyszczały.

- Wiemy, jaki potencjał masz w genach - oznajmił. - Jedynym wyzwaniem jest określenie, który Paul Atryda będzie lepszym Kwisatz Haderach.

Optymizm może się okazać najpotężniejszą bronią, jaką ma ludzkość. Bez niego nigdy nie spróbowalibyśmy dokonać niemożliwego, co się nam - wbrew wszelkim przeciwnościom - czasami udaje.

- Matka Dowodząca Murbella, przemowa do zgromadzenia żeńskiego

Bez uniestwianczy, nie panując nad urządzeniami nawigacyjnymi, statki wojenne ludzi wyglądały jak leżące na ołtarzach obnażone ofiary, i było tak na całej linii ostatniego oporu.

Na pokładzie statku flagowego Matka Dowodząca wykrzykiwała rozkazy, a administrator Gorus domagał się cudów od swoich podwładnych. Patrząc na ekrany na mostku nawigacyjnym, Murbella widziała, jak statki myślących maszyn przelatują obok żalosnych jednostek zgromadzenia żeńskiego w drodze na Kapitularz, który czekała nieuchronna zagłada. Podobne „bitwy” bez jednego wystrzału musiały się teraz toczyć w stu punktach krytycznych wzdłuż linii frontu, a kluczowe zamieszkane przez ludzi układy były całkowicie bezbronne i czekały na ostateczny cios. Rozgrywka była przegrana.

Murbellę przytłaczała odpowiedzialność za ludzkość, za resztę zgromadzenia żeńskiego... i za dawno utraconego Duncana. Czy jeszcze żyje, a jeśli tak, to czy w ogóle ją pamięta? Minęło prawie dwadzieścia pięć lat. Musiała to zrobić dla niego, dla siebie albo dla tych

wszystkich, którzy jeszcze przetrwali.

Nie pozwalając zawładnąć sobą charakterystycznej dla Dostojnych Matron wściekłości, obróciła się nagle do Gorusa. Chwyciła administratora za przód luźnej szaty i potrząsnęła nim tak mocno, że jego jasny warkocz uderzył go w twarz.

- Jaką jeszcze broń mają wasze statki?! - ryknęła.

- Trochę konwencjonalnych pocisków, Matko Dowodząca. Broń energetyczną. Standardową artylerię ofensywną, ale użycie jej byłoby samobójstwem! Tylko unicestwiacze pozwoliłyby naszym statkom zadać wrogowi śmiertelny cios.

Murbella odepchnęła go ze wstrętem. Zatoczył się do tyłu, potknął i upadł na podłogę.

- To już jest samobójcza misja! - powiedziała. - Jak śmiesz się kulić teraz, kiedy nie mamy alternatywy?

- Ależ... ależ, Matko Dowodząca, stracilibyśmy flotę i życie!

- Najwyraźniej heroizm nie jest twoją mocną stroną. - Obróciła się ku potulnemu gildianinowi i użyła wobec niego Głosu: - Przygotować się do wypuszczenia unicestwiaczy. Zapełnić nimi przestrzeń. Może sabotażyści jakieś przeoczyli.

Mężczyzna uruchomił mechanizmy spustowe, nie zadając sobie nawet trudu, by wybrać cele. Wystrzelił kolejnych dziesięć unicestwiaczy, a potem jeszcze dziesięć. Żaden nie wybuchł, a statki maszyn wciąż napływały.

- Teraz wystrzelcie wszystkie konwencjonalne pociski, jakie mamy - powiedziała cicho Murbella. - A

kiedy się skończą, użyjemy naszych statków jako taranów.

- Ale dlaczego, Matko Dowodząca? - lamentował Gorus. - Powinniśmy się wycofać i przegrupować. Zaplanować inny sposób walki. Musimy przynajmniej przeżyć!

- Jeśli dzisiaj nie zwyciężymy, i tak nie przeżyjemy. Może mają nad nami przewagę liczebną, ale i tak jesteśmy w stanie zetrzeć część ich floty. Nie porzucę Kapitularza w potrzebie!

Gorus zerwał się z fotela.

- W jakim celu chcesz to zrobić, Matko Dowodząca?
- zapytał. - Maszyny mogą po prostu zastąpić zniszczone jednostki nowymi.

Kiedy rozmawiali, przestrzeń kosmiczną wypełniło więcej uniestwici. Na razie wszystkie okazały się niewypałami.

- Musimy pokazać im, że nadal możemy walczyć. To czyni nas ludźmi, to nadaje nam znaczenie. Historia nie odnotuje, że zostawiliśmy Kapitularz własnemu losowi i staraliśmy się uniknąć ostatecznej konfrontacji ludzkości z myślącymi maszynami.

- Historia? - odparł ironicznie Gorus. - A kto zostanie, żeby spisywać historię?

W trzyminutowych odstępach w strefie walki nad Kapitularem pojawiło się sześć małych zaginaczy przestrzeni z meldunkami z innych zgrupowań. Przesłały pilne wiadomości i domagały się od Matki Dowodzącej nowych rozkazów.

- Nasze uniestwicie nie działają!

- Wyłączyły się wszystkie systemy nawigacyjne!
 - Jak mamy teraz walczyć, Matko Dowodząca?
 - Będziemy walczyć wszystkim, co mamy -
- odpowiedziała silnym, opanowanym głosem.

W tej samej chwili co najmniej pięćdziesiąt jednostek wroga ogarnął niesamowicie jasny błysk, zamieniając je w tworzącą rozszerzający się łuk chmurę pyłu, która wstrząsnęła znajdującymi się dalej statkami Gildii. Murbella wydała stłumiony okrzyk, a potem się roześmiała.

- Widzicie? Jeden z unicestwiaczy zadziałał! Wystrzelcie resztę.

Ku jej zdumieniu przestrzeń kosmiczna wokół nich nagle zamigotała, pękła i wypuła setki ogromnych statków. Nie były to jednostki sił obronnych ludzkości zgromadzonych przez Murbellę.

Początkowo Matka Dowodząca myślała, że wróg wysłał jeszcze jedną niszczycielską flotę, ale szybko rozpoznała emblematy na obłych kadłubach. Liniowce Gildii! Wysypały się z zagięcia przestrzeni na wszystkie strony, otaczając pierwszą, potężną falę jednostek myślących maszyn.

- Administratorze, dlaczego trzymaliście to w tajemnicy? - zapytała łamiącym się głosem. - Musi tam być z tysiąc statków!

Gorus wydawał się równie zdumiony jak ona.

W komliniach, przez które łączyły się siły obronne pod dowództwem Murbelli, zadudnił kobiecy głos.

- Jestem Wyrocznią Czasu i sprowadzam posiłki. Kompilatory matematyczne okaleczyły wiele jednostek

Gildii, ale liniowcami kierują moi nawigatorzy.

- Nawigatorzy? - Siwowłosy administrator aż się zakrztusił z konsternacji. - Myśleliśmy, że wszyscy nie żyją, że zmarli z braku przyprawy.

- Poza tym moje statki - ciągnęła Wyrocznia potężnym, melodyjnym głosem - w odróżnieniu od zbudowanych przez ixańskich zdrajców, mają kompletne i sprawne uzbrojenie. Nasze unicestwiacze działają zgodnie z ich przeznaczeniem. Zabraliśmy je ze starych statków Dostojnych Matron i ukryliśmy dla własnej obrony. Teraz zamierzamy ich użyć.

Twarz Murbelli poczerwieniała. Podejrzewała, że zbuntowane Dostojne Matrony miały o wiele więcej unicestwiaczy, niż znaleziono. A zatem nawigatorzy cały czas je ukrywali!

W odpowiedzi na wsparcie, które przysłali zgromadzeniu żeńskiemu nawigatorzy, flota inwazyjna Omniusa zmieniła pozycję, ale maszyny nie zdawały sobie sprawy ze skali zagrożenia ze strony nowego przeciwnika. Nie zareagowały w porę, kiedy liniowce Wyroczni wystrzeliły grad pocisków rozrywających się w oślepiających wybuchach jak miniaturowe supernowe. Każdy rozbłysk unicestwiał całe grupy jednostek nazbyt pewnego siebie wroga.

Chociaż siły maszyn starały się bronić, ich próby były nieskuteczne, jakby wyłączono ich funkcje kontrolne. Wszechumysł wielokrotnie zmieniał plan działania, biorąc pod uwagę różne możliwości rozwoju wypadków i przygotowując się na nie, ale tego nie przewidział.

- Od dawna jestem zaprzysięgłym wrogiem myślących maszyn - oświadczyła Wyrocznia Czasu.

Murbella patrzyła z wielką satysfakcją, jak precyzyjnie wysłane unicestwiacze zmiatają niezliczone statki nieprzyjaciela. Jaka szkoda, że Dostojne Matrony nie skierowały skradzionej przez siebie broni przeciwko myślącym maszynom, kiedy dawno temu miały taką szansę! Ale te kobiety nigdy nie wystąpiły razem przeciw wspólnemu wrogowi. Zamiast tego wykorzystywały niszczycielską moc skradzionej broni przeciwko sobie, przeciwko planetom zajęтым przez rywalki. Cóż za marnotrawstwo!

Pierwszą linię wroga rozerwały nakładające się na siebie detonacje, z których każda była wystarczająco silna, by spalić całą planetę. Dziesiątka liniowców wleciała głębiej w układ gwiazdny, ścigając jednostki maszyn, które dotarły już do orbity Kapitulacza.

- Zrobimy, co się da, w pobliżu pozostałych waszych planet frontowych - powiedziała Wyrocznia. - Dzisiaj ranimy wroga.

Zanim Murbella zdążyła w pełni pojąć, co się dzieje wokół niej, zobaczyła, że z pierwszej fali sił myślących maszyn zostały tylko rozproszone szczątki. O ile się orientowała, statki wroga nie zdołały ani razu strzelić do obrońców ludzkości.

Część liniowców zniknęła, zagiąwszy przestrzeń, by przyjść z pomocą pozostałym ostatnim bastionom oporu. Wystrzelały tam unicestwiacze i pomknęły do innych miejsc, by potykać się z wrogiem. Nawigatorzy Wyroczni uderzali na całej linii frontu, we wszystkich

punktach krytycznych, w których Murbella rozmieściła swoje siły, i znowu znikali...

- Znajdź mi wolny kanał! - warknęła Murbella do administratora Gorusa. - Jak się rozmawia z waszą Wyrocznią Czasu?

Gorus był oszołomiony wydarzeniami.

- Nikt nie prosi Wyroczni o posłuchanie - odparł. - Nikt z żyjących nigdy nie wyszedł z inicjatywą nawiązania z nią kontaktu.

- Właśnie ocaliła nam życie! Pozwól mi z nią porozmawiać.

Ze sceptyczną miną administrator skinął na drugiego gildianina.

- Możemy spróbować - rzekł - ale niczego nie obiecuję.

Szaro odziany mężczyzna manipulował przy komlinii, dopóki Murbella go nie odepchnęła.

- Wyrocznio Czasu... kimkolwiek jesteś! - rzuciła do aparatu. - Połączmy siły, by wyplenić myślące maszyny.

Jedyną odpowiedzią była długa cisza, nawet nie szum czy zakłócenia, i Murbella straciła nadzieję. Gorus spojrział na nią z wyższością, jakby cały czas wiedział, że tego należy się spodziewać. Matka Dowodząca widziała nadciągającą po odparciu ich wstępnego ataku drugą falę maszyn. A te jednostki nie będą z nich szydzić, powstrzymując się od strzału.

- Zbliża się więcej maszyn...

- Na razie muszę lecieć dalej. - Kiedy Wyrocznia Czasu wypowiadała te słowa, liniowce zaczęły znikać jak pękające bańki mydlane. - Głównym polem bitwy

jest Synchronia.

- Zaczekajcie! - krzyknęła Murbella. - Potrzebujemy was!

- Jesteśmy potrzebni gdzie indziej. Kralizek nie rozegra się tutaj. W końcu odnalazłam statek pozaprzestrzenny z Duncanem Idaho i miejsce, w którym ukrywa się Omnius. Muszę się tam udać, by zniszczyć wszechumysł i zakończyć to wszystko. Na zawsze.

Murbella aż się zatoczyła pod wpływem tej nieoczekiwanej informacji. Odnaleziono statek pozaprzestrenny? A więc Duncan żyje!

Po paru chwilach ostatni liniowiec zniknął w zagięciu przestrzeni, pozostawiając Matkę Dowodzącą i jej statki, by same stawiały czoło następnej fali jednostek wroga. Myślące maszyny nieprzerwanie nadciągały.

Na dobre czy na złe, mamy własne cele i ambicje, jednak o naszym losie decydują siły, na które nie mamy żadnego wpływu.

- *Manifest Atrydów*, pierwszy szkic
(fragment usunięty przez komitet Bene Gesserit)

Rozsunęły się wyglądające jak kaskada płynnego metalu drzwi wspaniałej katedry maszyn, ukazując dwie postacie, które razem weszły do środka.

Chociaż od zamordowania Alii minęło już kilka godzin, na szerokich ustach barona Vladimira Harkonnena nadal widać było nieudolnie skrywany uśmiech satysfakcji. Jego czarne jak u pająka oczy błyszczały. Doktor Yueh piorunował wzrokiem swojego obmierzłego wroga.

Paul nie potrzebował wspomnień, by rozpoznać towarzysza barona - szczupłego młodzieńca, który ledwie wyszedł z wieku chłopięcego, ale po którego rysujących się pod ubraniem, spęczniałych od ćwiczeń mięśniach widać było, że jest silny jak tur. Jego spojrzenie było twardsze, rysy zaś ostrzejsze, ale Paul znał twarz, która codziennie patrzyła na niego z lustra.

Stojąca obok niego Chani wydała zduszony okrzyk, który jednak zaraz zamienił się w głucho warczenie. Ona też rozpoznała młodszego Paula i zauważyła straszną różnicę.

Kiedy wszystko stało się jasne, poczucie nieuchronności tego, co się ma wydarzyć, zmroziło

Paulowi krew w żyłach. Jego wizja stała się ciałem! A zatem myślące maszyny wyhodowały innego Paula Atrydę, by stał się pionkiem w ich rękach, drugim potencjalnym Kwisatz Haderach, którego chciały wykorzystać do swoich celów. Teraz rozumiał powracający w snach widok uśmiechniętej tryumfalnie własnej twarzy, osobliwy obraz siebie ugodzonego nożem i wykrwawiającego się na śmierć na dziwnej podłodze. Dokładnie takiej jak ta, na której właśnie stał, w tej sklepionej sali.

„To będzie jeden z nas...” - pomyślał.

- Wygląda na to, że mamy pod dostatkiem Atrydów. - Baron, z dłonią na ramieniu młodzieńca, wprowadził naprzód protegowanego. - Tego nazywamy Paolo - powiedział niemal przepraszającym tonem, jakby to obchodziło nieufną publiczność.

Paolo stracił jego dłoń i wysforował się do przodu.

- Niedługo będziecie mnie nazywać Imperatorem albo Kwisatz Haderach, w zależności od tego, który tytuł zapewni mi większy szacunek - rzekł.

Staruszek i Erazm najwyraźniej przyglądali się tej scenie z rozbawieniem.

Paul zastanawiał się, ile razy wpadł w sidła losu, stał się ofiarą straszliwego przeznaczenia, jak często i w ilu sytuacjach widział siebie, jak pada martwy od pchnięcia nożem. Przeklinał fakt, że będzie musiał stawić czoło temu kryzysowi, będąc jedynie zewnętrzną powłoką swojego poprzedniego „ja”, nieuzbrojony we wspomnienia i umiejętności z przeszłości.

„Musi mi wystarczyć to, co mam” - pomyślał.

Rzuc z śmiechu, młodszy chłopiec podszedł do stojącego sztywno swojego odpowiednika. Paul patrzył bez trwogi na swe lustrzane odbicie. Mimo różnicy wieku byli mniej więcej tego samego wzrostu i kiedy Paul spojrzał w oczy swojego sobowtóra, zrozumiał, że nie wolno mu lekceważyć tego „Paola”. Młodzieniec był równie pewną i zabójczą bronią jak krysnóż u boku Paula.

Jessika i Chani przysunęły się opiekuńczo do Paula, gotowe do ataku. Z odzyskanymi wspomnieniami jego matka była w pełni Matką Wielebną. Chani, chociaż nie przywrócono jej jeszcze przeszłości, odznaczała się podczas treningów wielkimi umiejętnościami bojowymi, jakby w jej żyłach nadal płynęła fremeńska krew.

Paolo zmarszczył czoło, a jego twarz drgnęła, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Ty masz być moją matką? - rzekł drwiąco do Jessiki. - Lady Jessika! Może jesteś starsza ode mnie, ale to jeszcze nie czyni z ciebie prawdziwej matki.

Jessika obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem.

- Znam moją rodzinę, bez względu na to, w jakiej kolejności urodzili się na nowo jej członkowie - odparła. - Nie jesteś jednym z nich.

- A ty... ciebie znam. - Paolo zwrócił się z przesadną wyższością do Chani. - Podobno byłaś miłością mojego życia, fremeńską dziewczyną tak mało znaczącą, że historia odnotowała niewiele z twojej młodości. Córka Lieta-Kynesa, nieprawdaż? Kompletne zero, dopóki nie

zostałaś małżonką wielkiego Muad'Diba.

Paul poczuł, że jej paznokcie wbijają mu się w ramię. Zignorowała chłopca i zwróciła się do niego.

- Baszar miał rację, Usul - powiedziała. - Wartość gholi nie zależy tylko od jego komórek. Ten proces może przebiec strasznie źle, jak to się najwyraźniej stało w przypadku tego młodego potwora.

- To raczej kwestia wychowania - rzekł baron. - Wyobraźcie sobie, jak zmieniłby się wszechświat, gdyby pierwszego Muad'Diba nauczono inaczej korzystać z władzy... gdybym to ja go wychował, jak tego ślicznego chłopca Feyda-Rauthę.

- Dość tego - wtrącił się Omnus. - Właśnie w tej chwili moje maszyny bojowe nacierają na - a może powinienem powiedzieć „unicestwiają”? - żałosne resztki linii obronnych ludzi. Według ostatnich raportów ludzie stawiają opór w różnych punktach równocześnie. Pozwoli mi to zniszczyć ich wszystkich za jednym zamachem i mieć to za sobą.

Erazm pokiwał głową do ludzi zgromadzonych w katedrze.

- W ciągu kilku stuleci walczące ze sobą frakcje i tak doprowadziłyby do zagłady waszego gatunku - powiedział.

Staruszek obrzucił niezależnego robota zirytowanym spojrzeniem.

- Teraz, kiedy mam tutaj ostatniego Kwisatz Haderach - rzekł - zostały spełnione wszystkie warunki. Czas to zakończyć. Nie ma potrzeby zawracać sobie głowy rozbijaniem w pył każdej zamieszkaney planety. -

Jego usta wykrzywiły się w dziwnym uśmiechu. - Chociaż to też byłoby przyjemne.

Erazm spoglądał w zamyśleniu to na Paula, to na Paola.

- Chociaż genetycznie jesteście identyczni, jest między wami niewielka różnica wieku, macie też nieco odmienne wspomnienia i doświadczenia - powiedział. - Z czysto technicznego punktu widzenia nasz Paolo jest klonem wytworzonym z komórek krwi, które zachowały się na sztylcie. Ale ten drugi Paul Atryda... skąd pochodzą twoje komórki? Gdzie znalazł je ten Tleilaxanin?

- Nie wiem - odparł Paul.

Według Duncana para staruszków zaczęła bezlitosny pościg za nimi, zanim jeszcze ktokolwiek zaproponował przystąpienie do programu hodowli gholi, zanim stary Scytale ujawnił swoją kapsułkę zeroentropijną. Skąd wszechumysł mógł wiedzieć, że Paul raz jeszcze się pojawi? Czyżby maszyny ułożyły jakąś skomplikowaną grę? Czy stworzyły sztuczną, lecz wyrafinowaną formę prekognicji?

Erazm wydał dźwięk przypominający buczenie.

- Mimo to jestem przekonany, że każdy z was może stać się Kwisatz Haderach, którego potrzebujemy. Ale który okaże się lepszy i osiągnie ten stan?

- Ja. - Paolo dumnie kroczył po wnętrzu katedry. - Wszyscy o tym wiemy.

Najwyraźniej młodszego chłopca wychowano w przekonaniu, że ma do odegrania tę ważną rolę, był więc pewien siebie, ale też pewność ta wynikała z

prawdziwych zdolności, nie fantastycznych wyobrażeń.

- A jak zostanie to stwierdzone? - zapytała Jessika, szacując wzrokiem obu młodzieńców.

Otworzyły się drzwi obok fontanny, z której tryskał roztopiony metal, i wyłonił się z nich mężczyzna w jednoczęściowym czarnym stroju. Niósł ozdobną szkatułę z krwadrewna, na której leżała mniejsza od niej paczuszka. Był wymizierowany i miał nijakie rysy.

- A, jesteś wreszcie, Khrone! Czekaliśmy na ciebie.

- Jestem, Omniusie, mój panie. - Mężczyzna zerknął na zebranych, po czym albo na znak poddania, albo w przyływie poczucia niezależności jego nijakie ludzkie rysy zniknęły i ukazała się blada twarz o zapadniętych oczach. Oblicze maskaradnika. Odstawiwszy szkatułę, ostrożnie zdjął przezroczystą folię z pakunku, który zawierał brązowawoniebieską pastę ze złotymi cętkami.

- To skoncentrowana i niezwykle silna postać przyprawy. - Przeciągnął po niej czubkami palców i podniósł je do swojego perkatego nosa, jakby miała dla niego miły zapach. - Pobrana od zmodyfikowanego czerwia, który żyje w oceanach na Buzzellu. Niedługo czarownice zrozumieją, co się tam dzieje, i zaczną chwytać czerwie, by wydobywać z nich przyprawę. Jednak w tej chwili mam jedyną próbkę tej superprzyprawy. Jej działanie powinno wystarczyć do wprowadzenia Kwisatz Haderach, jednego z was, w idealny stan jasnowidzenia. Uzyska on moc, o której mówi proroctwo. Zobaczy wszystko, posiada wiedzę o wszystkim i stanie się kluczem do zakończenia Kralizeku.

- Przyjrząwszy się temu, jak rodzaj ludzki niszczy wszystko wokół - rzekł niemal radośnie Erazm - kiedy nie ma nas w pobliżu, byśmy mogli utrzymać porządek, nietrudno dojść do wniosku, że wszechświat zdecydowanie potrzebuje zmiany.

Robot podniósł szkatułkę z krwadrewna i zdjął jej rzeźbione wieko. Wewnątrz leżał ozdobny sztylet ze złotą rękojeścią. Erazm wyjął go niemal ze czcią. Na ostrzu pozostała plama krwi.

Stojąca za Paulem jego matka wydała stłumiony okrzyk.

- Znam ten sztylet! Wspomnienie tego jest tak żywe, jakbym widziała to przed chwilą. Sam Imperator Szaddam podarował go księciu Leto, a wiele lat później, podczas procesu Szaddama, Leto mu go zwrócił.

- Och, ma on znacznie bogatszą historię. - Oczy barona rozbłysły. - Sądzę, że to ten sam sztylet, który Imperator dał mojemu ukochanemu bratankowi Feydowi-Raucie przed pojedynkiem z twoim synem. Niestety, Feydowi niezbyt się poszczęściło w tej walce.

- Uwielbiam poplątane historie - dodał Erazm. - Jeszcze później Hasimir Fenring pchnął nim i o mało nie zabił Imperatora Muad'Diba. A więc, jak widzicie, ten sztylet ma długą i burzliwą przeszłość. - Uniósł go i od klingi odbiło się światło wypełniające katedrę. - Ta broń idealnie nadaje się do tego, by pomóc nam dokonać wyboru, nie sądzicie?

Paul wyciągnął z pochwy u boku krysnoż, który zrobiła dla niego Chani. Czuł ciepło rękojeści, zakrzywione mlecznobiałe ostrze było doskonale

wyważone.

- Mam własną broń - powiedział.

Paolo cofnął się, spoglądając na barona, Erazma i Omniusa, jakby oczekiwał, że skoczą mu na pomoc. Wyrwał sztylet z ręki robota i zwrócił sztychem w stronę Paula.

- I co oni mają zrobić z tą bronią? - zapytała Jessika, chociaż odpowiedź była dla wszystkich oczywista.

Robot popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Przecież to oczywiste, że jedynym właściwym, typowo ludzkim rozwiązaniem tego problemu jest pojedynek do ostatniej kropli krwi! - wykrzyknął. - Czyż to nie idealne wyjście?

Czerw jest na zewnątrz, by wszyscy go widzieli, i jest we mnie, jest częścią mnie. Strzeżcie się, bo ja m jest czerw i e m. Strzeżcie się!

- głos Leto II, nagranie z Dar-es-Balat

Kiedy zabrano ze statku Paula i jego towarzyszy, Sziena znalazła młodego Leto II w jego kabinie. Siedział skulony w ciemności, trzęsąc się z gorączki. Początkowo myślała, że jest przerażony, iż został sam, ale wkrótce uświadomiła sobie, że jest autentycznie chory.

Zobaczywszy ją, chłopiec z trudem się podniósł. Chwiał się, a jego czoło lśniło od potu. Popatrzył na nią błagalnie.

- Matko Wielebna Szieno! - powiedział. - Jesteś jedyną... jedyną osobą, która zna czerw i e. - Spojrzenie jego dużych, ciemnych oczu przesunęło się to w lewo, to w prawo. - Słyszysz je? Bo ja tak.

Zmarszczyła czoło.

- Czy je słyszę? Nie...

- C z e r w i e p u s t y n i! Czerw i e w ł a d o w n i! Wzywają mnie, wwiercają mi się w umysł, rozdzierają od środka.

Nakazawszy mu ruchem ręki milczenie, zastygła, pogrążona głęboko w myślach. Przez całe jej życie Szejtan ją rozumiał, ale nigdy nie otrzymała żadnej wiadomości od tych stworzeń, nawet kiedy próbowała stać się ich częścią.

Jednak teraz, wyteńczywszy zmysły, rzeczywiście poczuła dudnienie w głowie i zgiełk przenikający przez ściany uszkodzonego statku pozaprzestrzennego. Od schwytania *Itaki* przez myślące maszyny przypisywała te doznania przytłaczającemu ciężarowi porażki, którą poniosła po długiej ucieczce. W tej chwili zaczynała rozumieć. Coś ocierało się o jej podświadomość jak tępe paznokcie skrobiące po tabliczce jej strachu. Poddźwiękowe sygnały. Zaproszenie. O d c z e r w i.

- Musimy iść do ładowni - oznajmił Leto. - One mnie wzywają. One... wiem, co mam zrobić.

Sziena chwyciła chłopca za ramiona.

- Co? Co musimy zrobić?

Wskazał na siebie.

- Coś ze mnie jest w czerwiah - powiedział. - Szej-hulud mnie wzywa.

Odkąd statek pozaprzestrzenny został uwięziony w żywych metalowych konstrukcjach, myślące maszyny poświęcały mu niewiele uwagi. Najwyraźniej chciały zawładnąć Kwisatz Haderach i pokierować nim... co, o czym dawno przekonało się zgromadzenie żeńskie, nie było tak prostym zadaniem, jak się wydawało. Teraz, kiedy miał Paula Atrydę w swojej katedrze, Omnus najwyraźniej myślał, że posiada wszystko, czego potrzebuje. Pozostali pasażerowie *Itaki* byli nic nie znaczącymi jeńcami.

Bene Gesserit przez setki pokoleń realizowały plan stworzenia nadczłowieka, delikatnie sterując liniami rodów i sporządzając mapy eugeniczne, by doprowadzić do narodzin od dawna oczekiwanego mesjasza. Ale

kiedy Muad'Dib zwrócił się przeciw nim i wprowadził zamęt w starannie nakreślonym i uporządkowanym ciągu wydarzeń, przyrzekły sobie, że już nigdy nie wyzwolą mocy, jaką miałyby drugi Kwisatz Haderach. Jednak zanim w pełni uświadomiono sobie rozmiar szkód, do jakich może to doprowadzić, Muad'Dibowi urodziły się bliźnięta. Jedno z nich, Leto II, było - podobnie jak ojciec - Kwisatz Haderach.

W głowie Szieny przekręcił się klucz i otworzył drogę innym myślom. Być może poważny dwunastoletni Leto był tym, co przeoczyły myślące maszyny! Czyżby to on mógł być ostatnim Kwisatz Haderach, którego szukały? Czy Omnus wziął w ogóle pod uwagę możliwość, że maszyny mogą mieć niewłaściwą osobę? Jej tętno przyspieszyło. Wiadomo było, że proroctwa często rozumiano błędnie. Może Erazm nie zauważył tego, co oczywiste! Słyszała wewnątrz, jak Serena Butler śmieje się na myśl o tej możliwości, i pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.

- A zatem chodźmy do ładowni. - Wzięła chłopca za rękę i wykorzystując zjazdy, pobiegli korytarzami na niższe poziomy statku.

Kiedy zbliżyli się do ogromnych drzwi, Sziena usłyszała dobiegający ze środka przeraźliwy łomot. Rozszalałe czerwie szarżowały z jednego końca długiej na kilometr ładowni na drugi i rzucały się na ściany.

Leto zdawał się bliski omdlenia.

- Musimy tam wejść - powiedział. Miał wypieki na twarzy. - Czerwie... muszę z nimi porozmawiać, uspokoić je.

Sziena, która nigdy nie bała się czerwii, teraz wahała się, zaniepokojona, że ogarnięte szaleńcze bestie mogą jednak tym razem okazać się niebezpieczne dla niej albo dla Leto. Ale chłopiec już operował przy zamkach i drzwi się rozsunęły. Buchnęło im w twarze gorące, suche powietrze. Leto wszedł do środka i brnął po kolana w miękkim piasku przez wydmy, więc szybko ruszyła za nim.

Kiedy Leto podniósł ręce i krzyknął, cała siódemka czerwii rzuciła się ku nim jak prychające drapieżniki, z największym - Monarchą - na czele. Sziena czuła bijącą od nich gorącą falę wściekłości, żądze zniszczenia... ale coś jej mówiło, że ich złość nie jest skierowana ani przeciwko niej, ani przeciwko Leto. Stworzenia podniosły się z piasku i górowały nad nimi.

- Na zewnątrz są myślące maszyny - powiedziała Sziena do Leto. - Czy czerwie... będą walczyć za nas?

Chłopiec wyglądał na zagubionego.

- Podążą drogą, którą im wskażę - odparł - ale ja sam jej nie widzę!

Patrząc na niego, zaczęła się znowu zastanawiać, czy Leto może być ostatnim Kwisatz Haderach, ogniwem w łańcuchu, które Omnium przeoczył. A jeśli Paul Atryda był tylko fintą w końcowym pojedynku człowieka z maszyną?

Leto otrząsnął się, wyraźnie dodając sobie ducha.

- Ale moje poprzednie „ja”, Bóg Imperator, miało ogromną moc jasnowidzenia. Może przewidziało również to i przygotowało te bestie. Ja... im ufam - rzekł zdecydowanym tonem.

Na te słowa czerwie zniżyły łby, jakby składały mu pokłon. Leto zakołysał się, a one razem z nim. Przez chwilę wydawało się, że ściany ładowni się cofają, a wydmy rozciągają aż po wieczność. Sufit zniknął w przyprawiającej o zawrót głowy chmurze pyłu. A potem wszystko stało się nagle z powrotem wyraźne.

Leto nabrał tchu.

- Przyzywa mnie Złoty Szlak! - krzyknął. - Czas uwolnić czerwie... tutaj i teraz!

Sziena czuła, że jest to słuszne, i wiedziała, co ma robić. Wszystkie systemy były nadal tak zaprogramowane, by reagować na jej polecenia.

- Maszyny wyłączyły naszą broń i silniki, ale wciąż mogę otworzyć wrota ładowni - powiedziała.

Pobiegła z Leto do urządzeń sterujących w korytarzu i wprowadziła kod. Mechanizmy zahuczały, zmagając się z obciążeniem. Potem z głośnym szczękiem w od dawna zamkniętych wrotach pojawiła się szczelina. Sziena i chłopiec przyglądali się z korytarza, jak rozwierają się, niczym potworne, zaciśnięte dotąd szczęki, ogromne dolne wierzeje.

Zaczęły się z nich wysypywać wartkim strumieniem tony piasku, popychając czerwie, które ruszyły jak żywe tarany na ulice stolicy maszyn.

Wizja nie ukazuje żadnych prawd absolutnych, a jedynie możliwości. Najpewniejszym sposobem, by się dowiedzieć, co niesie przyszłość, jest przeżycie tego w czasie rzeczywistym.

- z *Rozmów z Muad'Dibem* pióra księżnej
Irulany

- Pojedynek nie ma sensu. - Baron zmarszczył brwi i rozejrzał się po katedrze. - To marnotrawstwo. Naturalnie jestem przekonany, że mój drogi Paolo pokona tego parweniusza, ale dlaczego nie zatrzymasz obu Kwisatz Haderach, Omniusie?

- Pragnę mieć tylko najlepszego - odparł wszechumysł.

- A poza tym nie mamy pewności, czy moglibyśmy kierować dwoma, kiedy, obdarzeni nową mocą, zaczęliby walczyć o prymat - dodał Erazm.

- Ten z was, który wygra pojedynek, dostanie superprzyprawę - oznajmił Omnius. - Kiedy zwycięzca ją zażyje, będę miał prawdziwego, ostatniego Kwisatz Haderach. Wtedy będę mógł zakończyć to bezsensowne marnotrawstwo i przystąpić do rzeczywistej pracy nad przerabianiem wszechświata.

- Skąd wiesz, że którykolwiek z nich jest waszym Kwisatz Haderach? - zapytała Chani, trzymając dłoń na ramieniu Paula.

- Możesz mieć urojenia - powiedział Yueh i Paolo spiorunował go wzrokiem.

- I dlaczego miałbym z wami współpracować, jeśli zwyciężę? - rzekł Paul, ale przyprawiające go o mdłości wspomnienia powracającej wizji sprawiły, że ten sprzeciw zabrzmiał słabo. Myślał, że wie, co się zdarzy, a przynajmniej zna fragment tego.

- Ponieważ mamy wiarę. - Baron, wcielenie sceptycyzmu i podejrzliwości, roześmiał się ze swojego dowcipu, ale nikt mu nie zawtórował.

Paolo kreślił sztychem sztyletu ze złotą rękojeścią esy-floresy w powietrzu.

- Mam sztylet Imperatora! - chełpił się. - Już raz zostałeś nim pchnięty.

- To się nie powtórzy. Dzisiaj jest dzień mojego tryumfu - oświadczył Paul, ale sam słyszał niepewność w swoich starannie mierzonych słowach, bezbronność kryjącą się za brawurą. Nie widział sposobu uniknięcia pojedynku, a zresztą nie był pewien, czy chciałby to zrobić. Wyparł z umysłu niepokojące echa wizji. Tę jego przewrotną wersję trzeba było wyciąć jak raka.

Nadeszła na to pora. Paul skoncentrował się całkowicie na czekającej go walce. Prawie nie widząc Chani, pocałował ją. Sztylet, który zrobiła z zęba czerwia, spoczywał pewnie w jego dłoni. Ćwiczył z krysnożem na statku pozaprzeznaczonym i wiedział, jak walczyć.

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę” - recytował w myślach.

Młody Paolo zacisnął usta i wykrzywił je w cierpkim uśmiechu.

- Ty też miałeś wizje! - powiedział. - Widzisz,

jesteśmy tacy sami jeszcze pod innym względem.

- Miałem wiele wizji - rzekł Paul głośno, a w duchu powtórzył słowa *Litanii*: „Stawię mu czoło”.

- Nie takie jak ja.

Znaczący uśmiech przeciwnika był dla niego nieznosny i wytrącał go z równowagi... Paul umocnił się w swym postanowieniu. Nie sprawi Paolowi satysfakcji, okazując strach czy niepewność.

Pojawiły się roboty z żywego srebra i przesunęły ludzi, którzy mieli się przyglądać pojedynekowi, pod ściany ogromnej nawy. Baron stanął za Khronem, a jego spojrzenie wędrowało od młodego Paola do kuszącej dawki superprzyprawy. Oblizał pożądliwie grube wargi, jakby sam chciał jej spróbować.

Paul stał na gładkiej posadzce kilka metrów od Paola. Jego przeciwnik przerzucał sztylet z ręki do ręki i uśmiechał się do niego, pokazując białe zęby.

Uspokajając się, Paul przywoływał wszystkie ważne nauki, które mu wpojono: postawy Bene Gesserit i instrukcje prana i bindu, precyzyjne ćwiczenia mięśni i surowe szkolenie dotyczące sposobów atakowania, któremu Duncan i baszar poddali wszystkie ghole.

„Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie” - rzekł do swojego strachu.

Tutaj się wszystko zakończy. Paul był pewien, że jeśli sprosta wyzwaniu i zwycięży, dojdzie do głosu jego moc Kwisatz Haderach i będzie w stanie pokonać myślące maszyny. Ale jeśli zwycięży Paolo... Wolał o tym nie myśleć.

- Usul, pamiętaj o czasie, który spędziłeś wśród

Fremenów! - krzyknęła Chani z boku nawy. - Pamiętaj, jak nauczyli cię walczyć!

- On nic z tego nie pamięta, suko! - Paolo wykonał w powietrzu cięcie sztyletem Imperatora, jakby podrzynał niewidzialne gardło. - Za to ja jestem w pełni wyćwiczony, jestem maszyną do zabijania.

Baron nagrodił to brawami, ale oszczędnymi.

- Nikt nie lubi samochwały, Paolo... Chyba że ci się powiedzie i udowodnisz wszystkim, że po prostu stwierdzasz fakt - powiedział.

Paul nie mógł pozwolić, by zapanowały nad nim jego wizje.

„Jeśli to ja jestem Kwisatz Haderach - myślał - to zmienię te wizje. Będę walczył. Będę jednocześnie we wszystkich miejscach”.

Młody Paolo musiał myśleć to samo, bo rzucił się do przodu jak żmija. Zaskoczony nagłym rozpoczęciem pojedynku Erazm zgarnął swoje wykwintne szaty i szybko usunął się z drogi. Najwyraźniej zamierzał określić reguły walki, ale Paolo wolał bójkę bez żadnych zasad.

Paul odchylił się do tyłu jak trzcina i ostrze sztyletu przeszło powietrze o centymetr od jego szyi.

- To tylko wprawka! - zarżał Paolo. Uniósł wysoko sztylet, pokazując pokrywające go rdzawoczerwone plamy. - Jestem o krok przed tobą, bo ta klinga jest już zakrwawiona!

- To raczej twoja krew niż moja - mruknął Paul pod nosem. Natarł na Paola, wykonując zwody tułowiem, dzięki czemu ostrze krysnoża tańczyło w powietrzu.

Przeciwnik zareagował lustrzanym odzwierciedleniem ruchów Paula, jakby istniała między nimi nieświadoma, telepatyczna więź. Dźgnął w bok, a Paul odchylił się w przeciwną stronę. Czy to jakaś forma jasnowidzenia, zastanawiał się, podświadomie przewidując ciosy, czy też każdy z nich znał i dokładnie odtwarzał styl walki drugiego? Przeszli odmienne szkolenie, zostali zupełnie inaczej wychowani. A mimo to... Koncentrując się na pojedynku, Paul słyszał tylko szum. Początkowo docierały do niego słowa zachęty, stłumione okrzyki niepokoju, które wydawały jego matka i Chani, ale odciął się od tego wszystkiego. Czy miał zadatki na ostatniego Kwisatz Haderach, którego szukał Omnius? Czy chciał nim zostać? Czytał te historie, wiedział o rozlewie krwi i cierpieniach, które spowodowali jako Kwisatz Haderach tak Paul Muad'Dib, jak Leto II. Co próbowałyby osiągnąć maszyny, mając jeszcze potężniejszego Kwisatz Haderach? Jakaś zamknięta część jego osobowości była już w stanie zaglądać tam, gdzie nie mógł sięgnąć wzrokiem nikt inny - zarówno w przeszłość kobiet, jak i mężczyzn.

„Jakie inne niewykorzystane moce drzemą we mnie? - zastanawiał się. - Czy będę miał śmiałość je odnaleźć? Czego zażądają ode mnie myślące maszyny, jeśli wygram pojedynki?”

Czuł się jak gladiator ze Starożytnej Ziemi, który musi się wykazać na arenie. I miał fatalną słabość - Omnius trzymał Chani, Jessikę, Duncana i tak wielu innych jako zakładników. Gdyby odzyskał

wspomnienia, uczucia, które do nich żywił, byłyby jeszcze silniejsze.

Najwyraźniej w taki właśnie sposób Omnius zamierzał zmusić go do współpracy, jeśli wygra ten pojedynek. Jego miłość do towarzyszy tylko by się nasiliła, a oni cierpieliby przez niego. Komputerowy wszechumysł miał o wiele więcej cierpliwości niż jakikolwiek człowiek, więc maszyny mogłyby bezkarnie torturować i zabijać zakładników, pobierać od nich komórki i hodować nowe ghole. I tak bez końca! Być może Erazm sprowadziłby z powrotem jego siostrę Alię, ojca, Gurneya czy Thufira, by ich zabić, wskrzesić i ponownie zabić. Gdyby Paul Atryda, Kwisatz Haderach, nie ugiął się pod ich żądaniami, myślące maszyny zamieniłyby jego życie w piekło. A przynajmniej miały taki zamiar.

Teraz rozumiał dylemat, przed którym stawiało go jego przeznaczenie. I ponownie zobaczył siebie umierającego w kałuży krwi. Być może pewnych rzeczy nie można było zmienić. Ale jeśli naprawdę był Kwisatz Haderach, powinien móc przeciwstawić się takiej błahej taktyce i pokonać maszyny.

Walczył z dziką pasją, doprowadzając się do gorączkowego zapamiętania. Paolo kopnął go stopą i ciał sztyletem Imperatora. Paul padł na posadzkę i zrobił przewrót, a wtedy młodszy przeciwnik runął na niego. Jego sztylet opadł w zabójczym pchnięciu, ale Paul rzucił się w bok. Ledwie zdążył.

Sztylet rozciął mu rękaw, zrobił krwawą ryś na lewym ramieniu, po czym uderzył z brzękiem w

kamienną posadzkę. Paolo, którego nadgarstkiem szarpnął silny wstrząs, o mało go nie wypuścił.

Paul przesunął stopy po gładkiej posadzce w bok, pod swojego rywala, i kopnął w górę. Miał tę przewagę, że był silniejszy od dwunastolatka. Równocześnie złapał go za nadgarstek i podciągnawszy się, wstał, ale Paolo zacisnął palce na ręce, w której Paul trzymał krysnóż, uniemożliwiając mu zadanie ciosu od dołu. Paul naparł na niego, wykorzystując siłę nacisku do przesunięcia ich obu ku połyskującej fontannie lawy.

- Niezbyt... nowatorskie! - wychrypiał z wysiłkiem młodszy rywal.

Paul nadal spychał go w stronę fontanny. Buchał z niej żar. Gdyby wepchnął Paola do basenu z roztopionym metalem, to zabiłby samego siebie... czy ocalił?

Widział przeciwnika wyraźnie, ale nie był w stanie go nienawidzić. W istocie obaj byli tą samą osobą, Paulem Atrydą. Paolo nie był z natury zły. Zepsuły go straszne rzeczy, które mu zrobiono, to, czego go nauczono, nie zaś to, co robił z własnej woli. Paul nie pozwalał jednak, by współczucie dla rywala osłabiło go. Gdyby mu uległ, Paolo bez wahania zabiłby go i odniósł zwycięstwo. Właśnie dlatego, że jest Paulem, będzie walczył do ostatniego tchu, by ocalić ludzkość.

Omnius i Erazm przyglądali się ich zmaganiom, nie kibicując żadnemu. Zaakceptują tego, który okaże się zwycięzcą. W podkrążonych, czarnych jak smoła oczach Khrona'a nie widać było jakichkolwiek emocji.

Baron miał nachmurzoną minę. Paul nie chciał spojrzeć na Chani ani na matkę.

Rycząca fontanna lawy rozgrzewała powietrze wokół. I tak już spocone ciało Paula stało się jeszcze bardziej śliskie. Żyłasty Paolo wykorzystał to - zaczął się wywijać z jego uchwytu. Nagle, na samym brzegu fontanny, ugiął nogi w kolanach.

Żeby nie przelecieć nad przeciwnikiem, Paul szarpnął się do tyłu, ale zrobił to za mocno i stracił równowagę. Kopnął rywala kolanem w brzuch, lecz Paolo miał niespożytą energię. Kiedy Paul uniósł spoconą ręką krysnóż, wychowanek barona walnął go wysadzaną drogimi kamieniami rękojeścią sztyletu w nasadę dłoni. Ściągną odruchowo drgnęły. Krysnóż wypadł Paulowi z ręki, zagrzechotał na obramowaniu fontanny i wpadł do lawy.

P r z e p a d ł.

Paul uświadomił sobie z całą mocą wizji, silniejszej niż poczucie, że zbliża się śmierć, to, co powinien był wiedzieć od samego początku: „Nie jestem tym Kwisatz Haderach, którego chce Omnius. To nie ja!

Wydało mu się, że czas zwalnia i zastyga. Czy właśnie tego uczucia doznawał baszar Teg, kiedy przyspieszał? Ale Paul Atryda nie potrafił być szybszy od biegu rozgrywających się wokół niego wydarzeń. Pojmały go i trzymały niczym w stalowym uścisku śmierci.

Z jadowitym uśmiechem Paolo zatoczył sztyletem o złotej rękojeści idealny łuk i niezwykle wolno wbił jego sztych w bok Paula. Trafił między żebra i wciskał

zabójcze ostrze coraz głębiej w płuco, kierując je w stronę serca.

A potem wyrwał broń z ciała przeciwnika i czas powrócił do normalnej szybkości. Paul słyszał dobiegający z daleka krzyk Chani.

Trysnęła krew i Paul zatoczył się na brzeg fontanny. Była to śmiertelna rana; nie można było temu zaprzeczyć. W jego głowie na próżno dudnił proroczy głos. Zdawał się z niego szydzić: „Nie jestem ostatnim Kwisatz Haderach!”

Osunął się na podłogę jak zepsuta lalka, ledwie widząc biegnące ku niemu Jessikę i Chani. Jessika trzymała Yuego za kołnierz i ciągnęła go do krwawiącego syna.

Paul nie wiedział, że w ciele może być tak dużo krwi. Spojrzał zamglonym wzrokiem w górę i zobaczył parującego zwycięsko Paola z ociekającym krwią sztyletem.

- Wiedziałeś, że cię zabiję! - krzyknął młodszy przeciwnik. - Równie dobrze mogłeś się sam pchnąć tym nożem!

Było to doskonałe odtworzenie jego wizji. Leżał na podłodze i umierał.

W tle słyszał gromki śmiech barona. Ten dźwięk był nieznośny, ale Paul nie mógł nic zrobić, by go uciszyć.

Kiedy moje wspomnienia napłyną wszystkie naraz, będą jak pustynna burza, i tak samo jak ona niebezpieczne. Czy ktoś może zapanować nad wiatrem? Jeśli naprawdę jestem Bogiem Imperatorem, to ja mogę nad nim zapanować.

- ghola Leto II, ostatnia praca
oddana baszarowi Milesowi Tegowi

Piasek i czerwie wylewały się z ładowni uwięzionego statku pozaprzestrzennego na plac starannie uporządkowanej metropolii maszyn. Wijące się stworzenia wpadały na ulice jak rozwścieczone byki saluskie wyrywające się z zagród. Stojąc obok Leto i patrząc, jak ładownia opróżnia się z ogłuszającym łomotem lawiny, Sziena otworzyła usta, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Dzięki dziwnemu połączeniu z czerwiami myśli Leto II rwały z nimi w głąb błyszczącego miasta. Stojąc wysoko nad wrotami ogromnej ładowni, poczuł przypływ ulgi i swobody. Skoczył bez słowa w płynący wartką rzeką piasek i podążył za czerwiami. Pozwalał mu się nieść niczym pływak chwycony przez prąd podpowierzchniowy i unoszony szybko w morze.

- Leto! - krzyknęła Sziena. - Co ty wyprawiasz? Stój!

Nie mógłby się zatrzymać, by jej odpowiedzieć, nawet gdyby chciał. Sypiący się pył wessał go pod powierzchnię, dokładnie tam, gdzie Leto pragnął się znaleźć. Jego płuca w jakiś sposób przystosowały się do tego otoczenia, tak samo zmysły. Podobnie jak czerw,

widział bez użycia oczu i dostrzegł te stworzenia przed sobą, jakby patrzył na nie przez czystą wodę. Aby to robić, urodził się i umarł tak dawno temu.

W jego głowie rozbrzmiewały jak echa przeszłości wspomnienia. Nie był to napływ obrazów tego, co sam przeżył, ale wykraczająca poza wszystko, co przeczytał w archiwach *Itaki*, wiedza o innym młodzieńcu, innym Leto II, którym jednak był. Ponad wszystko wybiła się myśl: „Moja skóra nie jest moją skórą”. W tamtych czasach jego ciało pokrywały połączone trocie piaskowe, których błoniaste ciała wnikały w jego miękkie tkanki i nerwy. Dawały mu siłę, dzięki której mógł biegać szybko jak wiatr.

Chociaż nadal miał ludzką postać, Leto II przypomniawszy sobie częściowo tę fantastyczną moc, jednak wspomnienia o niej czerpał nie z pamięci gholi, lecz z perły świadomości, którą Bóg Imperator zostawił w każdym czerwiu. One pamiętały, a z nimi pamiętał i on.

Tak wielu ludzi, którzy go nienawidzili, którzy nie rozumieli, co zmuszony był zrobić, wypisywało o nim różne historie. Potępiali Tyrana za rzekome okrucieństwo i nieludzkie postępowanie, za jego chęć poświęcenia wszystkiego dla wejścia na niezwykły Złoty Szlak. Ale w żadnej z tych historii - nawet w jego dziennikach - nie było ani jednej wzmianki o radości i uniesieniu, jakie odczuwał młody człowiek, który posiadał tak nieoczekiwaną i cudowną moc. Teraz Leto przypomniawszy sobie to wszystko.

Płynął z piaskiem ku miejscu, w którym wiło się

siedem olbrzymich czerwii, a gdy już do nich dotarł, wynurzył się na powierzchnię. Instynktownie wiedział, co ma zrobić, więc ruszył, zataczając się, w stronę największego, Monarchy. Uchwycił się końca jego drgającego ogona, wskoczył na twarde pierścienie i zaczął pięć się w górę jak bosonogi prymitywny Kaladańczyk wdrapujący się na palmę o szorstkiej korze.

Gdy tylko dotknął najpotężniejszego z siedmiu czerwii, jego palce i stopy uzyskały nienaturalną przyczepność. Wspinał się i trzymał stworzenia, jakby był jego częścią. I w pewnym sensie było tak naprawdę. Zasadniczo on i czerwie tworzyli jedno.

Wyczuwszy, że Leto do nich dołączył, bestie zatrzymały się jak olbrzymi, stojący na baczność żołnierze. Dotarłszy do wygodnego miejsca na czubku obłej głowy Monarchy, Leto zlustrował wzrokiem rozległy kompleks żywych metalowych budowli i poczuł silną woń cynamonu.

Przyglądał się Synchronii, która zamieniała budynki w ogromne barykady, starając się zagrozić drogę długo przetrzymywanym w zamknięciu czerwiom. Były one armią Leto, żywymi taranami, które wypuści na wroga ludzkości.

Oszołomiony i ogarnięty euforią od zapachu przyprawy, Leto przywarł do pierścieni czerwia, a te się rozsunęły, ukazując miękką, różową tkanę. Kusiła go, jego ciało zaś tęskniło do bezpośredniego kontaktu, do pełnego doznania jedności. Wsunął dłonie między segmenty pierścieni, w miękką błonę, i poczuł się tak,

jakby dotykał głównego ośrodka nerwowego bestii, zatapiając palce w obwodach nerwowych, które łączyły ze sobą te prymitywne stworzenia. Doznanie to przeniknęło go jak wstrząs elektryczny. Tu czuł się swojsko, to było jego miejsce przez całą wieczność.

Na jego rozkaz czerwie uniosły wyżej cielska jak rozzłoszczone kobry, które straciły zainteresowanie kojącą muzyką zaklinacza węży. Teraz kierował nimi Leto. Cała siódemka rzuciła się siać spustoszenie na ulicach miasta maszyn, a Omnus nie mógł nic zrobić, by je powstrzymać.

Kiedy Leto połączył się umysłem z największym czerwem, zalała go fala intensywnych doznań i przypomniał sobie podobną rzecz, której dokonał przed tysiącami lat Leto II. Znowu poczuł szorstki dotyk piasku przesuwającego się szybko pod długim, wijącym się cielskiem. Delektował się suchością dawnej Arrakis i wiedział, co to znaczy być Bogiem Imperatorem, syntezą człowieka i czerwia pustyni. Wtedy jego doświadczenie osiągnęło zenit. Ale może czekało go coś jeszcze wspanialszego?

Jako ghola wychowany na statku pozaprzestrzennym Leto nigdy nie był całkowicie pewien, jak Tleilaxanie zdobyli komórki jego pierwowzoru. Czy pobrali je, kiedy oboje z Ganimą przechodzili w dzieciństwie rutynowe badania lekarskie? Jeśli tak, przebudzony ghola Leto miałby jedynie wspomnienia normalnego dziecka, syna Muad'Diba. Ale jeśli komórki z zeroentropijnej kapsułki Scytale'a zostały skradzione Bogu Imperatorowi u szczytu jego potęgi... Czyżby, co

było nieprawdopodobne, zeszkrobano je z ogromnych, podobnych do czerwia zwłok? A może była to próbka tkanki pobrana przez jednego z żarliwych wyznawców z jego zwiędłego, zatopionego ciała na brzegu rzekł Idaho?

Jednak połączywszy się umysłem z Monarchą i pozostałymi czerwiami, Leto zdał sobie sprawę, że nie jest to ważne. Ta niewiarygodna więź wyzwoliła wszystko, co było ukryte w jego ciele gholi i w każdym ziarnie świadomości spoczywającym w czerwiach. Leto II w końcu stał się znowu sobą, nie przestając wszakże być rozdartym wewnątrz chłopcem. Był zatem zarazem stroniącym od innych dzieckiem i absolutnym władcą z krwią miliardów ludzi na sumieniu. Rozumiał w najdrobniejszych szczegółach decyzje, które podejmował przez stulecia, swój straszny żal i determinację.

„Nazywają mnie Tyranem, nie pojmując mojej dobroci, wielkiego celu, któremu służyły moje działania! - myślał z goryczą. - Nie wiedzą, że przewidziałem ten ostateczny konflikt”.

W ostatnich latach swego panowania Bóg Imperator tak bardzo oddalił się od ludzi, że zapomniał, czym są niezliczone cuda, zwłaszcza łagodzący wpływ miłości. Teraz jednak, jadąc w swoim powtórny, młodym wcieleniu na Monarsze, przypomniał sobie, jak kochał swoją siostrę Ganimeę, dobre czasy spędzone z nią we wspaniałym pałacu ojca i scedowaną na nich powinność rządzenia ogromnym imperium Muad'Diba.

Był teraz kimś więcej niż tylko tym, kim był

poprzednio, wzmocniony wspomnieniami dawnych przeżyć. Gdy w jego krwi zaczęły krążyć prekursorzy przyprawy przedostające się z ciała czerwia, ujrzał nową wizję, Złoty Szlak rozpościerający się przed nim w całej swej wspaniałości. Ale nawet w tym niezwykłym objawieniu nie widział, co się kryje za wszystkimi zakrętami. Były tam martwe punkty.

Siedząc wysoko na czerwiu, młody Leto uśmiechnął się z determinacją i jedną myślą skierował swoją armię naprzód. Olbrzymie potwory przypuściły szarżę na ogromne budynki, rzuciły się na wzmocnione barykady i przebiły się przez nie. Nic nie mogło ich powstrzymać.

Trzymając dłonie głęboko między pierścieniami czerwia, Leto II jechał z okrzykiem radości na ustach. Patrzył przed siebie oczami, które nagle stały się błękitne w błękicie, oczami, które widziały to, czego inni nie byli w stanie zobaczyć.

Teraz, kiedy odbyłem jazdę na jednym z czerwii i dotknąłem ogromu ich egzystencji, rozumiem nabożny podziw i lęk starożytnych Fremenów, pojmuję, dlaczego uważali czerwia za swego boga, Szej-huluda.

- mistrz tleilaxański Waff, list do Rady
Mistrzów w Bandalongu wysłany tuż przed
zagładą Rakis

Ostatnia para czerwii Waffa zdechła w suchym terrarium.

Po wypuszczeniu okazów próbnych na pustynię zatrzymał te dwa w modułowym laboratorium na potrzeby dalszych badań, mając nadzieję, że to, czego się dowie, zwiększy ich szanse przeżycia. Nie poszło to dobrze.

Waff codziennie żarliwie się modlił, medytował nad świętymi tekstami, które ze sobą zabrał, i szukał wskazówek od Boga, jak najlepiej pielęgnować odrodzonego Proroka. Pierwszych osiem okazów było teraz na wolności i ryło tunele pod kruchym, zeskorpiałym piaskiem jak badacze na martwej planecie. Mistrz tleilaxański miał nadzieję, że przetrwają w spalonym przez wybuchy środowisku.

W swoich ostatnich dniach małe czerwie w jego laboratorium stały się ospałe i niezdolne do przyswajania składników odżywczych, które im podawał, mimo iż pokarm ten był chemicznie zrównoważony, by dostarczyć czerwiom wszystkiego,

czego potrzebowały. Zastanawiał się, czy te małe stworzenia są zdolne do odczuwania rozpaczy. Kiedy uniosły obłe głowy nad piaszczystą powierzchnię zbiornika, w którym je trzymał, wydawało się, że straciły chęć życia.

A po tygodniu oba skonały.

Chociaż Waff darzył wciąż te istoty i to, co sobą reprezentowały, rozpaczliwie potrzebował ważnych informacji naukowych, dzięki którym mógłby zwiększyć szanse przetrwania pozostałych czerwi. Kiedy okazy laboratoryjne zdechły, bez zbytnich skrupułów przeprowadził sekcje, rozdzielił pierścienie i rozciął ich narządy wewnętrzne. Bóg to zrozumie. Gdyby on sam pożył wystarczająco długo, przystąpiłby do drugiej fazy badań, jak tylko wróciłby po niego Edryk. Jeśli nawigator w ogóle wróciłby z wysokiej klasy sprzętem laboratoryjnym na liniowcu.

Jego pomocnicy z ramienia Gildii stale proponowali mu pomoc, ale Waff wolał pracować sam. Teraz, kiedy ci ludzie założyli niezależny obóz, mistrz tleilaxański już ich nie potrzebował. Jeśli o niego chodziło, gildianie mogli się przyłączyć do Guriffa i jego ludzi i szukać z nimi na pustkowiu zaginionych zapasów przyprawy.

Kiedy pojawił się jeden z nijakich gildian i zażądał rozmowy, zburzyło to delikatną równowagę rozmyślań Waffa.

- Co? - spytał z roztargnieniem. - O co chodzi?

- Do tej pory liniowiec powinien już wrócić. Coś jest nie tak. Nawigatorzy Gildii nigdy się nie spóźniają.

- Nie obiecał, że wróci - rzekł Waff. - Kiedy ma

przybyć następny statek KHOAM do Guriffa? Możecie nim odlecieć. - „Prawdę mówiąc, zachęcam was do tego” - dodał w myślach.

- Nawigator może się nie przejmować tobą, Tleilaxaninie, ale nam obiecał, że wróci.

Waff puścił tę zniewagę mimo uszu.

- Więc w końcu wróci - powiedział. - Choćby po to, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzą moje nowe czerwie pustyni.

Gildyjski pomocnik spojrzał, marszcząc brwi, na obdarte ze skóry stworzenie leżące na stole.

- Nie wygląda na to, że twoi ulubieńcy dobrze się tutaj rozwijają - skomentował.

- Dzisiaj wyjdę w teren sprawdzić, jak się mają okazy, które wypuściłem. Mam nadzieję, że znajdę je zdrowe i silniejsze niż dotąd.

Kiedy podenerwowany gildianin odszedł, Waff włożył odzież ochronną i wskoczył do pojazdu naziemnego, który był na wyposażeniu obozu. Sygnały lokalizacyjne pokazywały, że uwolnione czerwie nie oddaliły się zbyt od ruin siczy Tabr. Starając się zachować optymizm, Tleilaxanin przyjął, że znalazły nadający się do zasiedlenia pas pod powierzchnią i zakładały tam swoje królestwo. W miarę przybywania czerwii na Rakis zaczęły one wzruszać ziemię, przywracając pustyni dawną świetność. Czerwie, trocie piaskowe, plankton piaskowy, melanż. Wznowiony zostanie wspaniały cykl ekologiczny.

Odmawiając rytualne modlitwy, Waff jechał przez niesamowitą pustynię o czarnej, zeszlonej

powierzchni. Drżały mu mięśnie, bolało go w kościach. Coraz bardziej szwankujące narządy, niczym linie montażowe w uszkodzonej podczas wojny fabryce, z trudem pracowały, by utrzymać go przy życiu. Pełne wad ciało mogło lada dzień się rozpaść, ale mistrz nie bał się. Już kiedyś umarł. Prawdę mówiąc, umierał wiele razy.

Przedtem zawsze miał wiarę i pewność, że wyhodowano dla niego nowego ghole. Mimo przekonania, że tym razem nie powróci już do życia, był zadowolony z tego, czego dokonał. Zostawi po sobie trwałe dziedzictwo. Okrutne Dostojne Matrony próbowały zgładzić Bożego Wysłannika na Rakis, a on, Waff, sprowadzi Go z powrotem. Czy człowiek może mieć nadzieję na większe osiągnięcie w tym życiu? W jakiegokolwiek liczbie żywotów?

Podążając za sygnałami lokalizatora, oddalił się od zerodowanych gór i wjechał na wydmy. Aha, nowe czerwie musiały uciec na otwartą przestrzeń, szukając świeżego piasku, w którym mogłyby się zakopać i zacząć nowe życie!

Zobaczył jednak coś, co go przeraziło.

Łatwo odnalazł osiem młodych czerw. O wiele za łatwo. Zatrzymał pojazd i wygramolił się z niego. Gorące, rozrzedzone powietrze sprawiało, że z trudem oddychał, paliło go w gardle i w płucach. Idąc pospiesznie naprzód, ledwie widział przez piekące łyzy.

Jego drogocenne czerw leżały na twardym gruncie i prawie się nie ruszały. Przebiły się przez stopioną i zastygłą jak skorupa powierzchnię wydm i ryły w

miękkim, ziarnistym piasku pod nią tylko po to, by się ponownie wyłonić. A teraz leżały i umierały.

Waff ukląkł obok jednego z coraz bardziej słabnących stworzeń. Było zwiotczone, szare i tylko nieznaczne skurcze jego ciała wskazywały, że jeszcze żyje. Inne wciągnęło się na pęknięty kamień i leżało na nim, niezdolne się ruszyć. Waff dotknął go, nacisnął twarde pierścienie. Czerw zasyczał i drgnął.

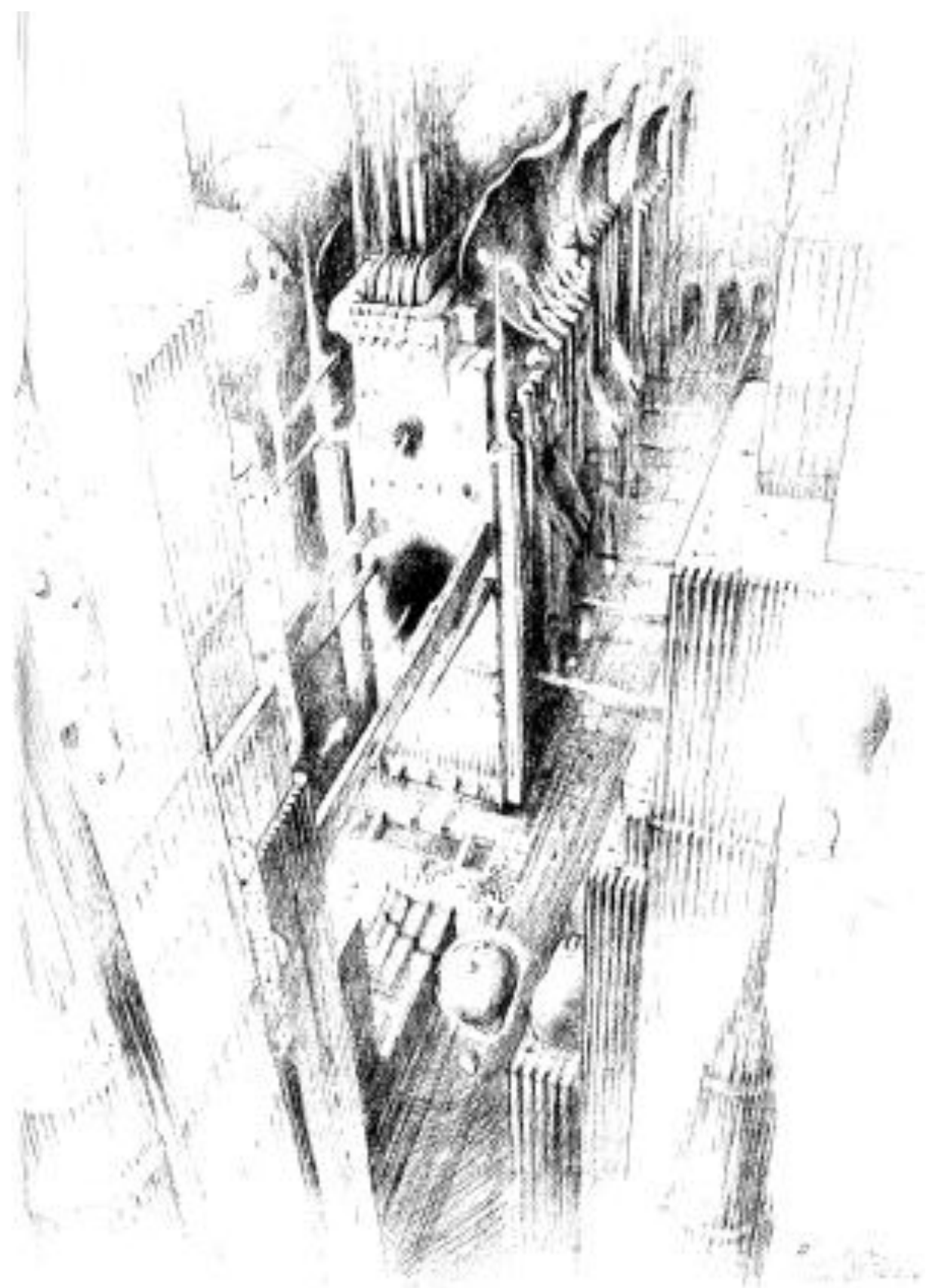
- Nie możesz umrzeć! Jesteś Prorokiem, a to jest Rakis, twoja ojczyzna, twoje święte schronienie. Musisz żyć! - Ciałem mistrza wstrząsnął skurcz bólu, jakby jego życie związane było z życiem czerw. - Nie możesz znowu zginać!

Ale wydawało się, że druzgoczący cios zadany tej planecie to było dla czerw zbyt wiele. Skoro nie mógł przetrwać sam wielki Prorok, z pewnością był to Koniec Czasu.

Waff znał to ze starożytnych prorocstw - Kralizek, wielka bitwa na końcu wszechświata. Punkt kulminacyjny, po którego osiągnięciu wszystko się zmieni. Bez Bożego Wysłannika ludzkość będzie na pewno zgubiona. Dni ostatnie były tuż-tuż.

Oparł czoło o pokryte pyłem, poddające się temu naciskowi ciało umierającego stworzenia. Zrobił wszystko, co mógł. Być może na Rakis już nigdy nie będzie warunków zapewniających przetrwanie olbrzymim czerwom. Może to rzeczywiście koniec.

Na podstawie tego, co widział na własne oczy, nie mógł zaprzeczyć, że Prorok naprawdę poległ.



Ludzie dążą do osiągnięcia doskonałości, co pozornie jest szlachetnym celem, ale doskonałość w każdym calu jest niebezpieczna. O wiele bardziej pożądane jest to, by być niedoskonałym, ale zachować człowieczeństwo.

- Matka Przełożona Darwi Odrade,
obrona przed Radą Bene Gesserit

Kiedy starszy i gorszy ghola Paula Atrydy legł, umierając, na podłodze, Paolo odwrócił się, zadowolony, ale dużo bardziej zainteresowany inną z najważniejszych spraw. Wykazał się przed Omniusem i Erazmem. Szczególna superprzyprawa, która wyzwoli wszystkie jego zdolności jasnowidzenia, należała teraz do niego. Wzniesie go na następny szczebel, ku jego wysławianemu przeznaczeniu, o którym od tak dawna pouczał go baron. Kiedy pozostawał pod jego opieką, Paolo wmówił sobie, że to jest to, czego chce, usuwając na bok wszelkie skrupuły i zastrzeżenia.

Wokół katedralnej nawy stały w pogotowiu roboty z żywego srebra, by zaatakować pozostałych ludzi, jeśli Omnius wyda rozkaz. Może on sam, Paolo, postanowi wydać taką komendę, gdy zapanuje nad wszystkim. Słyszał zadowolony śmiech barona oraz szloch Chani i lady Jessiki. Nie był pewien, który z tych dźwięków podoba mu się bardziej. Największą przyjemność sprawiał mu jednak oczywisty dowód na to, o czym zawsze wiedział: „To ja nim jestem!”

On jest tym, który zmieni losy wszechświata i określi sposób zakończenia Kralizeku, przeprowadzi ludzi i maszyny do nowej ery. Czy nawet wszechumysł wiedział, przed czym stanąć ma on, Paolo? Młody ghola pozwolił sobie na ukradkowy uśmiech rozbawienia - nigdy nie zostanie marionetką myślących maszyn. Omnius wkrótce dowie się tego, co Bene Gesserit odkryły już dawno: Kwisatz Haderach nie da sobą manipulować!

Paolo wsunął zakrwawiony sztylet za pas, po czym podszedł wielkimi krokami do maskaradnika i wyciągnął rękę po łupy wojenne.

- Ta przyprawa jest moja - powiedział.

Khrone uśmiechnął się słabo.

- Jak sobie życzysz - rzekł.

Podał mu cynamonową pastę. Paolo, niezainteresowany delectowaniem się nią, szybko spożył sporą porcję, dużo więcej, niż powinien. Chciał tego, co przyprawa w nim uwolni, i chciał tego zaraz. Była gorzka, mocna i silnie działała. Zanim maskaradnik zdążył cofnąć rękę, Paolo nabrał i połknął jeszcze jeden kęs.

- Nie tak dużo, chłopcze! - powiedział baron. - Nie bądź żarłokiem.

- I to ty mi zarzucasz żarłoczność? - Riposta Paola wywołała w reakcji dudniący chichot.

Z miejsca, w którym leżał na podłodze konający Paul Atryda, dobiegł jęk. Klęcząca obok ukochanego Chani podniosła z rozpaczą wzrok. Z jej palców ściekała krew. Jessica, z twarzą zastygłą w żalu, trzymała zaciskającą

się kurczowo dłoń syna. Paolo zadrżał. Dlaczego Paul umierał tak długo? Powinien był zadać rywalowi precyzyjniejszy cios i zabić go natychmiast.

Kłęcząc nad Paulem, doktor Yueh gorączkowo pracował, usiłując zatamować krwawienie, ale jego głęboko zaniepokojona mina mówiła wszystko. Nawet znakomite wykształcenie, które odebrał w Akademii Suka, okazało się niewystarczające. Cios Paola spowodował obrażenia, które miał wywołać.

Ci wszyscy ludzie byli teraz nieważni. Po zaledwie kilku sekundach Paolo poczuł potężne uderzenie melanzu, który wdarł się do jego krwiobiegu jak promień rusznicy laserowej. Jego myśli się wyostrzyły i zaczęły krążyć szybciej. To działało! Jego umysł przepełniała pewność, którą osoby postronne mogłyby uznać za pychę lub megalomanię, ale on wiedział, że jest to po prostu Prawda.

Wyciągnął się w górę, jakby rósł i dojrzewał pod każdym względem, i wkrótce wzniósł się ponad wszystkich obecnych w katedrze. Jego umysł rozszerzył się na cały kosmos. Nawet Omnius i Erazm wydawali mu się teraz małymi robakami snującymi ambitne, ale w istocie błahie marzenia.

Paolo spoglądał jakby z wielkiej wysokości na barona, pochłoniętego wyłącznie sobą węża, który tyle lat dominował nad nim, dyrygując nim i „ucząc” go. Nagle potężna niegdyś głowa rodu Harkonnenów wydała mu się śmiesznym, mało istotnym człowiekiem.

Maskaradnik Khrono uważnie przyglądał się tej scenie, a potem - pozornie niepewnie - zwrócił się ku

Omniusowi nadal objawiającemu się w postaci staruszka. Paolo z niewiarygodną łatwością przejrzał ich wszystkich na wylot.

- Pozwólcie, że wam powiem, co teraz zrobię. - W uszach Paola jego grzmiący głos brzmiał jak głos boga. Nawet wielki Omnius musi drżeć przed nim. Z jego ust popłynęły z siłą kosmicznej kurzawy Coriolisa słowa niesione przez strumień superprzyprawy. - Wprowadzę mój zarząd. Przepowiednia mówi prawdę: z m i e n i ę wszechświat. Jako największy i ostatni Kwisatz Haderach znam moje przeznaczenie, podobnie jak wy wszyscy, ponieważ to wasze działania doprowadziły do spełnienia się tego proroctwa. - Uśmiechnął się. - Nawet twoje, Omniusie!

Staruszek zareagował pełnym irytacji zmarszczeniem brwi. Stojący obok niego robot Erazm uśmiechnął się z pobłażaniem, czekając, co zrobi ten świeżo wykluty nadczłowiek. Wszystkie wizje dominacji, podboju i doskonałej kontroli, które miał Paolo, opierały się na jasnowidzeniu. Młodzieniec nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Odsłaniały się przed nim wszystkie szczegóły. Z jego ust płynęły dalsze oświadczenia.

- Teraz, kiedy uzyskałem prawdziwą moc, nie ma potrzeby, by flota myślących maszyn niszczyła zamieszkane przez ludzi planety. Potrafię nad wszystkimi zapanować. - Machnął ręką. - Och, może będziemy musieli unicestwić jeden czy dwa pomniejsze światy, żeby zademonstrować naszą siłę - albo po prostu dlatego, że m o ż e m y to zrobić - ale zachowamy

większość ludzi przy życiu jako materiał do realizacji naszych planów.

Paolowi aż zaparto dech w piersiach, kiedy do głowy napłynęło mu więcej pomysłów dających mu rozmach i potęgę.

- Kiedy połkniemy Kapitularz, otworzymy archiwa eugeniczne zgromadzenia żeńskiego. Na ich podstawie, łącząc cechy, które wybiorę, wcielimy w życie mój mistrzowski plan tworzenia błyskotliwych, doskonałych ludzi. Robotników i myślicieli, posługaczy, inżynierów i - od czasu do czasu - przywódców. - Obrócił się do staruszka. - A ty, Omniusie, stworzysz dla mnie szeroką infrastrukturę. Jeśli damy naszym doskonałym ludziom za dużo swobody, wszystko spaprzą. Musimy wyeliminować dzikie, sprawiające kłopoty linie genetyczne. - Zarżał sam do siebie. - Prawdę mówiąc, najbardziej niesforna ze wszystkich jest linia Atrydów, będę więc ostatnim z nich. Teraz, kiedy przybyłem, historia już nas nie potrzebuje. - Rozejrzał się, ale nie zobaczył mężczyzny, który przyszedł mu na myśl. - I tych wszystkich Duncanów Idaho. Jak uciążliwi się stali!

Paolo mówił coraz szybciej, porwany odurzającymi wizjami przyprawowymi. Widok zmieszania i dezorientacji nawet na twarzy barona sprawił, że zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek z obecnych pojmuje jeszcze jego słowa. Wydawali mu się tacy prymitywni. A jeśli jego pomysły były tak fantastyczne, że przekraczały zdolność pojmowania nawet najbardziej zaawansowanych myślących maszyn? To naprawdę

byłoby coś!

Zaczął chodzić wokół nawy, ignorując gniewne spojrzenia i gesty barona. Stopniowo jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe, rwane, maniakalne.

- Tak! - wykrzyknął. - Pierwszym krokiem jest usunięcie wszystkiego, co stare, ścięcie i usunięcie tego, co przestarzałe i niepotrzebne. Musimy oczyścić drogę dla tego, co nowe i doskonałe. To pomysł, za którym mogą się opowiedzieć wszystkie myślące maszyny.

Erazm spojrział na niego i szyderczo zmienił swoją elastometalową twarz na kopię oblicza staruszka, którego postać przybrał Omnius. Jej wyraz odzwierciedlał niedowierzanie, jakby uważał oświadczenia Paola za żart, za rojenia naiwnego dziecka. W Paolu wezbrała złość. Ten robot nie brał go poważnie!

Paolo zobaczył rozwijający się przed nim cały obraz przyszłości, ukazany przez niewiarygodnie silnie powiększającą soczewkę superprzyprawy. Niektóre nadchodzące wydarzenia rysowały się ostro jak brzytwa, dostrzegał ich najdrobniejsze szczegóły. Ekstramocny melanż działał silniej, niż się spodziewał, i przyszłość nabrała w jego umyśle niezwykle wyraźnych kształtów. Jej fraktalne detale układały się w nieskończenie zawiły, ale oczekiwany wzór.

Pośród tej burzy myśli z jego komórek uwolniło się coś innego - pogrzebane tam wszystkie wspomnienia z jego pierwotnego życia. Przypomniwał sobie nagle wszystko o Paulu Atrydzie, a doznanie to było tak intensywne, że przesłoniło na krótko ów inny obraz.

Chociaż wychował go baron, a maszyny zepsuły i ukształtowały tak, by stał się ich marionetką, w głębi pozostał sobą.

Rozejrzał się po katedrze, patrząc na każdą z obecnych tam osób nowym okiem: Jessika, droga Chani i on sam, leżący w kałuży krwi, jeszcze oddychający, chwytający w ostatnich tchnieniach powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. To on to zrobił - czyżby jakaś dziwaczna forma samobójstwa? Nie, zmusił go do tego Omnius. Ale jak ktoś mógł zmusić Kwisatz Haderach do czegokolwiek? W jego umyśle starły się ze sobą szczegóły walki z Paulem. Zacisnął powieki, próbując odpędzić niepokojące obrazy. Nie chciał służyć Omniusowi. Nienawidził barona Harkonnena. Nie mógł pozwolić na to, by stać się przyczyną takich zniszczeń.

Miał moc zmienienia wszystkiego. Czyż nie był największym Kwisatz Haderach? Dzięki superprzyprawie i genom Atrydów posiadał taką zdolność jasnowidzenia, jaka nigdy wcześniej nie była możliwa. Jego uwagi nie mogło uniknąć nawet najmniejsze wydarzenie.

Wiedział, że potrafi zobaczyć jak żywy cały gobelin przyszłości. Każdy drobny szczegół, jeśli będzie chciał! W topografii wydarzeń, które miały nadejść, nie było żadnego niezbadanego terenu, żadnych zakrywających coś przed jego wzrokiem pofałdowań.

Przestał niespokojnie krążyć po nawie i popatrzył przed siebie, przenikając wzrokiem ściany wielkiej katedry maszyn, czując się przytłoczony myślami, których żaden inny człowiek nie byłby w stanie nawet

zacząć snuć. Jego oczy zmieniły kolor na jeszcze ciemniejszy niż intensywny błękit w błękicie, stały się czarne i szkliste, a ich wyraz był nieprzenikniony. Patrząc w nie, można było odnieść wrażenie, że jest się zagubionym w krajobrazie ciągnących się w nieskończoność, pofałdowanych i wysuszonych przez słońce na popiół wydmy.

Usłyszał w tle głos barona.

- Co się z tobą dzieje, chłopcze? Otrząśnij się z tego.

Ale wizje nadal zasypywały Paola jak pociski z karabinu maszynowego. Nie mógł robić przed nimi uników, mógł je tylko przyjmować jak niezwyciężony człowiek stojący pod huraganowym ostrzałem.

Na zewnątrz, w wielkim mieście maszyn, panowało ogromne poruszenie. Wyły syreny, a zaalarmowane roboty z żywego srebra wybiegały z katedry. Paolo doskonale wiedział, co się dzieje, widział to pod każdym kątem. I wiedział, do czego doprowadzi każde działanie, jaki obrót przybiorą sprawy, bez względu na to, jak bardzo Omnius, ludzie czy maskaradnicy będą się starali to zmienić.

Nie mogąc się już ruszać, stał i patrzył na chwile, które miały dopiero nadejść, na wszystko, na co mógł wpłynąć, i na to, na co nie miał żadnego wpływu. Każda sekunda rozszczepiała się na miliard nanosekund, po czym rozszerzyła się i ogarnęła miliard układów gwiazdnych. Rozmiar tego groził mu przytłoczeniem.

„Co się dzieje?” - zapytał sam siebie.

- *Tylko to, co sami na siebie sprowadziliśmy* - odparł mu szept Paula wewnątrz niego.

Paolo ujrzał nowymi oczami, jak odslania się chwila za chwilą, wychodząc poza miasto maszyn, poza planetę, ogarniając całe Stare Imperium, najdalsze kresy Rozproszenia i rozległe imperium maszyn.

Minęła kolejna nanosekunda.

Superprzyprawa dała mu absolutnie nieskazyne objawienie. Widział czas rozwijający się z punktu centralnego, którym była jego świadomość, i zwijający się z powrotem.

„Doskonałe jasnowidzenie” - pomyślał.

Niesiony przyływem własnej mocy, zaczął widzieć więcej, niż kiedykolwiek chciał zobaczyć. Słyszał tysiąc razy każde uderzenie serca, dostrzegał każdy czyn każdej osoby - każdej istoty - w całym wszechświecie. Wiedział, co zdarzy się w każdej chwili aż po koniec dziejów i co zdarzyło się w każdym momencie od początku czasu.

Ta wiedza zalewała go i tonął w niej.

Przyglądał się przedśmiertnym drgawkom Paula Atrydy i zobaczył, jak jego sobowtór nieruchomieje na podłodze w aureoli szkarłatnej kałuży ze wzrokiem wpatrzonym w błogosławione zapomnienie.

Paola, który tak bardzo pragnął być ostatnim Kwisatz Haderach, że zabił Paula, by się nim stać, sparaliżowała bezkresna nuda jego istnienia. Znał każdy oddech i uderzenie pulsu w całej historii i przyszłości wszechświata.

Minęła następna nanosekunda.

Czy ktokolwiek mógłby to wytrzymać? Paolo był skazany na ustawiczne kręcenie się w kółko po z góry

ustalonej ścieżce, był uwięziony jak w komputerowej pętli. Nie czekały go żadne zaskoczenia ani konieczność dokonywania wyboru. Absolutna wiedza o tym, co było i co będzie, sprawiała, że był całkowicie nieistotny.

Wyobraził sobie, jak osuwa się w zwolnionym tempie na podłogę i leży twarzą do góry, nie mogąc się ruszyć ani wymówić jednego choćby słowa, nie mogąc nawet zamrużyć. Jak kamienieje. A potem doznał ostatniego, najstraszniejszego objawienia. Jednak nie był prawdziwym i ostatnim Kwisatz Haderach. To nie on. Nigdy nie dokonałby tego, o czym marzył.

Przy ryku krążącej w nim superprzyprawy przeszłość zasnuły ciemności i Paolo mógł tylko patrzeć bez końca w przyszłość, którą widział już tysiąc razy.

Minęła następna nanosekunda.

Zawsze można znaleźć pole bitwy, jeśli się go wystarczająco wytrwale szuka.

- baszar Miles Teg, *Pamiętniki starego dowódcy*

W korytarzach statku pozaprzestrzennego wirowały resztki pyłu i kurzu z opróżniającej się ładowni, ale czerwie już zniknęły, a razem z nimi Leto II. Przez wyrwy w kadłubie wpadał blask słońca świecącego nad światem maszyn. Oszołomiona Sziena słuchała odgłosów olbrzymów przedzierających się przez Synchronię. Pragnęła być z nimi. Te niegdyś uwięzione czerwie były również jej stworzeniami.

Ale Leto był im bliższy, był częścią nich, a one częścią jego.

Od tyłu podszedł do niej Duncan Idaho. Odwróciła się do niego przesiąknięta zapachem piasku, który przylgnał do jej twarzy i ubrania.

- To Leto - powiedziała. - Jest... z czerwiami.

Idaho uśmiechnął się surowo.

- To coś, czego maszyny się nie spodziewają. Nawet Miles byłby zaskoczony. - Złapał ją za ramię i szybko wyprowadził z ładowni. - Teraz my musimy zrobić coś równie dramatycznego.

- Trudno będzie zrobić coś takiego jak Leto.

Duncan zatrzymał się.

- Uciekaliśmy przed tymi staruszkami i nie zamierzam dłużej siedzieć na tym statku jak w więzieniu - powiedział. - Nasza zbrojownia pełna jest

bronii zgromadzonej przez Dostojne Matrony. Mamy też resztę min, których maskaradnicy nie użyli do aktów sabotażu. Przeniesiemy walkę na zewnątrz, do nich!

Czuła jego żelazną determinację i w sobie też znalazła zdecydowanie.

- Jestem gotowa - rzekła. - I mamy na pokładzie dwieście osób znających techniki walki Bene Gesserit. - Serena Butler roztoczyła w jej głowie widoki strasznych zmagania ludzi z robotami bojowymi, niewiarygodnych jatek. Ale mimo tych okropieństw Sziena poczuła dziwne podniecenie. - Tkwi to zaprogramowane w naszych genach od tysięcy lat. Ludzie i myślące maszyny są śmiertelnymi wrogami, jak orły i węże, byki i niedźwiedzie czy osy i pająki.

*

Po kilkudziesięciu latach uciekania i wielokrotnym wymykaniu się sieci tachionowej dojdzie wreszcie do ostatecznej rozgrywki. Mając dość bezradności, pasażerowie *Itaki* ruszyli tłumnie do zbrojowni. Wszyscy rwali się do walki, chociaż wiedzieli, że mają niewielkie szanse. Duncan cieszył się z ich postawy.

Zasoby broni nie były szczególnie imponujące. W większości miotała ona flesztę, ostre jak brzytwa igły, które na nic by się zdały w starciu z opancerzonymi robotami. Ale Duncan wydawał też stare rusznice laserowe, broń pulsacyjną i granatniki. Oddziały saperów mogły umieścić ocalałe miny pod fundamentami budynków myślących maszyn i je wysadzić.

Przez tłum przepychał się mistrz tleilaxański Scytale,

starając się dostać do Szieny. Wyglądał, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

- Pamiętaj, że mamy tam więcej wrogów niż tylko roboty - ostrzegł, gdy wreszcie udało mu się do niej dotrzeć. - Omnius ma przeciw nam armię maskaradników.

Duncan podał strzelbę na fleszety Matce Wielebnej Calissie, która wydawała się żądna krwi jak Dostojna Matrona.

- Skosisz z niej wielu maskaradników - powiedział.

- Mogę pomóc w inny sposób - oświadczył z nikłym uśmiechem drobny mężczyzna. - Jeszcze zanim nas schwytano, zacząłem produkować specjalną toksynę przeciw maskaradnikom. Zrobiłem jej sześćdziesiąt pojemników, na wypadek gdybyśmy musieli rozproszyc ją na statku. Rozpylcie ją na maskaradników w mieście. Ludzi może przyprawić o lekkie mdłości, natomiast dla zmiennokształtnych jest zabójcza.

- Reszty dokona nasza broń... albo gołe ręce - powiedziała Sziena, po czym odwróciła się do robotników. - Weźcie te pojemniki! Na zewnątrz wrze bitwa!

Sroga armia ludzi wylała się przez dziurę wyrwaną w kadłubie *Itaki*. Sziena wiodła swoje Bene Gesserit. Matki Wielebne Calissa i Elyen prowadziły uzbrojone grupy zmieniającymi się ulicami w poszukiwaniu celów. Akolitki, męscy pracownicy Bene Gesserit, cenzorki, opiekunki i robotnicy parli naprzód, dzierżąc broń, z której wielu z nich nigdy wcześniej nawet nie

wystrzeliło.

Dobrze uzbrojony Duncan z głośnym okrzykiem bojowym ruszył ku dziwacznej metropolii. W pierwotnym życiu nie dożył chwili, w której mógłby się przyłączyć do Paula Muad'Diba i jego fremeńskich fedajkinów dokonujących krwawych wypraw przeciw Harkonnenom. Teraz gra toczyła się o bez porównania większą stawkę i Duncan zamierzał to zmienić.

Na ulicach Synchronii panowało zamieszanie, budynki poruszały się gwałtownie i skręcały. Czerwie Leto wydrążyły już tunele pod ich fundamentami, przebiwszy się przez sprężysty, żywy metal, i obalały wieżowce. Na drugim końcu galaktyki Omnius toczył liczne kulminacyjne bitwy. Duncan pomyślał, że gdzieś tam jest Murbella - jeśli jeszcze żyje - i stawia czoło myślącym maszynom.

Na ulicach zaroilo się od robotów bojowych. Wyłaniały się spomiędzy budynków, wykształcając z własnych korpusów broń i strzelając z niej. Bene Gesserit usuwały im się z drogi, znajdując schronienia. Promienie laserów wycinały dymiące dziury w walczących maszynach, pociski zamieniały je w złom.

Rzucając się w wir bitwy, Duncan wykorzystywał swoje długo nieużywane umiejętności mistrza miecza i atakował najbliższe roboty. W jednym ręku trzymał mały miotacz pocisków, w drugim wibrującą pałkę dźwiękową, która wysyłała śmiertelne uderzenie, ilekroć trafił nią maszynę bojową.

Ze wszystkich stron nadciągali maskaradnicy, by stanąć przeciw ludziom, natomiast roboty bojowe

zwróciły uwagę na niszczycielskie czerwie. Zbliżały się pierwsze szeregi zmiennokształtnych o pozbawionych wyrazu twarzach. Mieli broń zaprojektowaną przez maszyny.

Kiedy wylądowały wśród nich pojemniki Scytale'a, z których wydobywał się szarozielony gaz, rozszalali maskaradnicy nie rozumieli, co się dzieje. Wkrótce zaczęli padać, a mięśnie ich twarzy topiły się i odpadały od kości. Za późno wyczuwszy niebezpieczeństwo, rozpoczęli odwrót, a tymczasem ludzie Szieny rzucali w ich ciżbę kolejne pojemniki.

Bene Gesserit wciąż parły naprzód. Ekipy saperów podkładały miny pod wyniosłe budowle, które nie zdążyły się w porę usunąć. Potężne eksplozje zwały drżące metalowe wieżowce. Sziena poganiała swoje drużyny, by schroniły się do czasu, aż umilknie grzmot rozpadających się gmachów. Potem znowu ruszali.

Duncan postanowił zostać w tyle. Wznosząca się w centrum miasta ogromna, jasna katedra przyciągała go niczym magnes, jakby ogniskowały się w niej wszystkie myśli wszechumysłu. Wiedział, że w tej budowli jest Paul Atryda i być może walczy o życie, a może już umiera. Była tam też Jessika. Instynkt zrodzony ze wspomnień z pierwszego życia mówił Duncanowi, dokąd ma iść. Musiał być u boku Paula w mateczniku wroga.

- Postaraj się, by maszyny były zajęte, Szieno - powiedział. - Nawet wszechumysł nie może walczyć na nieskończenie wielu frontach równocześnie. - Wskazał ruchem głowy katedrę. - Ja idę t a m.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odbiegł.

Raz już cierpiałem z powodu moich błędów i miałem tego dosyć. Teraz jestem skazany na ponowne przeżywanie mojej przeszłości.

- doktor Wellington Yueh, notatki z rozmowy,
którą przeprowadziła z nim Sziena

Przy umierającym Paulu klęczał lekarz Akademii Suka, który miał ciało kilkunastoletniego młodzieńca, ale nosił brzemień wieku starca. Chociaż zastosował wszystkie metody postępowania w nagłych wypadkach, wiedział, że nie jest w stanie uratować młodego Atrydy. Dzięki specjalistycznym umiejętnościom udało mu się prawie całkowicie powstrzymać krwawienie, ale mimo to potrzęsnał ze smutkiem głową.

- To śmiertelna rana - powiedział. - Mogę tylko odwlec zgon.

Mimo zdrady, której dopuścił się w minionym życiu, Yueh kochał syna księcia. W owych czasach był nauczycielem i mentorem Paula. Zadbął o to, by chłopiec i jego matka mieli szansę przetrwania na pustyni Arrakis. Ale chociaż w pełni odzyskał wiedzę nabytą w Akademii Suka, nie mógł pomóc temu Paulowi. Sztylet przeszedł przez osierdzie i wbił się w serce. Tylko dzięki swojej nieustępliwości młodzieniec czepiał się jeszcze nici życia, lecz stracił już za dużo krwi. Jego sercu pozostało tylko kilka uderzeń.

Mimo szans, jakie dawało mu drugie życie, Yueh nie był w stanie uciec przed dawnym piętnem zdrajcy. Cierpiał, pogrążając się w szambie dawnych błędów.

Siostry na statku pozaprzestrzennym wskrzesiły go w jakimś celu, którego nie potrafił się domyślić. Po co był tutaj potrzebny? Z pewnością nie po to, by uratować Paula. Przekraczało to jego możliwości.

Na *Itace* starał się być użyteczny, robiąc to, co uważał za słuszne i konieczne, ale spowodował tylko kolejną tragedię i ból. Zamiast Pitera de Vriesa zabił nienarodzonego księcia Leto. Wiedział, że zrobił go w to maskaradnik występujący w postaci rabiego, ale nie potrafił potraktować tego jako usprawiedliwienia swoich czynów.

Chani siedziała u boku Paula i wykrzykiwała jego imię nieswoim, chropawym głosem. Yueh wyczuwał, że coś się w niej zmieniło. Miała dzikie, ale twarde jak stal spojrzenie, zupełnie odmienne od spojrzenia dziewczyny, którą znał.

Uświadomił sobie nagle, że groza, jaką musiało ją przejmować to, że trzyma w ramionach zakrwawione ciało konającego Paula, przeważała szalę i Chani odzyskała wspomnienia - w samą porę, by zdać sobie sprawę z ogromu rychłej straty. Nawet jego poraziło to okrucieństwo losu.

Również baron wydawał żalosne jęki, najpierw zdezorientowany, potem zły, a w końcu zrozpaczony.

- Paolo, chłopcze, odpowiedz mi!

Przykucnął przy młodzieńcu o szklistych oczach i wpadł w szal. Podniósł rękę, jakby chciał uderzyć wypaczoną kopię Paula Atrydy, ale Paolo nawet nie drgnął.

Niezależny robot Erazm przyglądał się z boku tej

scenie z wielką ciekawością. Jego włókna optyczne błyszcząły.

- Najwyraźniej żaden z gholi Paula Atrydy nie jest tym Kwisatz Haderach, na którego czekaliśmy - rzekł. - To tyle, jeśli chodzi o precyzję naszych przewidywań.

Gdy Yueh zobaczył rosnące zakłopotanie barona, zrozumiał, że pozostało mu do zrobienia tylko jedno. Starając się odzyskać opanowanie, podniósł się znad umierającego Paula i podszedł do barona i Paola.

- Jestem lekarzem Akademii Suka - powiedział. Rękawy jego bluzy i nogawki spodni przesiąknięte były krwią Paula. - Może mógłbym pomóc.

- Co? Ty? - zakpił Vladimir Harkonnen.

Jessika spiorunowała doktora wzrokiem, a Chani miała minę, jakby chciała go wychłostać za to, że odszedł od Paula. Ale on skupiał się tylko na baronie.

- Chcesz, żebym pomógł, czy nie? - zapytał.

Baron usunął się z drogi.

- A więc pośpiesz się, niech cię szlag!

Wykonując lekarskie czynności, Yueh pochylił się i przesunął dłońmi po twarzy Paola. Skóra była zimna i wilgotna, puls ledwie wyczuwalny. Młodzieniec siedział jak skamieniały, porażony nieskończonością świeżo zyskanej świadomości i obezwładniającą nudą.

Baron pochylił się niżej.

- Zrób coś, żeby się z tego otrząsnął - powiedział. - Co się z nim dzieje? Odpowiedz mi!

Wyrwawszy sztylet Imperatora z pochwy u pasa gholi, Yueh okręcił się jednym płynnym ruchem. Baron odskoczył, potykając się, ale Yueh był szybszy. Wbił

sztych pod brodę znienawidzonego człowieka i wepchnął go aż po potylicę.

- Oto moja odpowiedź! - krzyknął.

Odplata za zmuszenie go do zdradzenia rodu Atrydów, za wszystkie intrygi, za ból, za wynikające z tego poczucie winy, a nade wszystko za to, co Harkonnenowie zrobili Wannie.

Oczy barona otworzyły się szeroko. Był zszokowany. Zamachał rękami i usiłował coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko bulgot. Z szyi trysnął szkarłatny gejzer.

Spryskany krwią Yueh wyszarpnął sztylet. Przez moment zastanawiał się, czy nie zatopić go w ciele Paola, by mieć pewność, że zabił obu. Ale nie mógł tego zrobić. Chociaż chłopiec zbłądził, był Paulem Atrydą.

Baron padł na posadzkę. Przez cały ten czas Paolo patrzył bez mrugnięcia w górę.

Doktor Wellington Yueh pozwolił sobie na uśmiech ulgi. W końcu dokonał czegoś pozytywnego i szlachetnego. W końcu zrobił coś, co było słuszne. Długą chwilę trzymał sztylet zbroczony krwią Paula i barona. Przemożny impuls popchnął go do skierowania broni ku sobie. Yueh zamknął oczy, ścisnął mocniej rękojeść i wziął jeszcze jeden głęboki oddech.

Krzepka ręka chwyciła go za nadgarstek, powstrzymując samobójcze pchnięcie. Otworzył załzawione oczy i zobaczył stojącą obok niego Jessikę. - Nie, Wellington - powiedziała. - Nie musisz w ten sposób szukać odkupienia. Zamiast tego pomóż mi

uratować Paula.

- Nie mogę dla niego nic zrobić!

- Nie oceniaj tak nisko swoich możliwości. - Mięśnie jej twarzy stężały. - Ani możliwości Paula.

Żadne wykształcenie, szkolenie ani jasnowidzenie nie ukążą nam naszych ukrytych zdolności. Możemy się tylko modlić, byśmy mogli skorzystać z tych szczególnych talentów w największej potrzebie.

- *Podręcznik akolitek* Bene Gesserit

Śmierć.

Paul ominął skraj wewnętrznej czerni, zanurzył się na krótko w nieskończoności i wrócił. Wahał się na granicy swojej śmiertelności. Rana od ciosu sztyletem była głęboka.

Nieświadomy tego, co się dzieje dookoła, czuł wielki ziąb ogarniający go od czubków palców po potylicę. Słyszał buchającą roztopionym metalem fontannę jak odległy szept. Mimo iż leżał na twardej kamiennej posadzce, miał wrażenie, jakby się unosił w powietrzu, jego duch uchodził z wszechświata i wracał.

Wyczuł na skórze ciepłą, kleistą wilgoć. Nie była to woda. Krew... jego krew... tworząca powiększającą się kałużę. Wypełniała jego usta i płuca. Ledwie mógł oddychać. Z każdym słabym uderzeniem serca wypływało jej więcej...

Wydawało mu się, że nadal czuje w boku długą klingę sztyletu Imperatora. Teraz przypomniał sobie... W ostatnich, rozpaczliwych dniach Dżihadu Muad'Diba dźgnął go przebiegły hrabia Fenring. A może zdarzyło się to kiedy indziej? Ale już wcześniej zasmakował ostrza noża.

Albo był tym niewidomym Kaznodzieją przemawiającym na zakurzonych ulicach Arrakin, pchniętym jeszcze innym nożem? Tak wiele zgonów jak na jedną osobę...

Nic nie widział. Ktoś ścisnął jego dłoń, choć ledwie to czuł, i usłyszał głos młodej kobiety.

- Usul, jestem tutaj.

„Chani”. Ją pamiętał najlepiej ze wszystkich i cieszył się, że jest teraz z nim.

- Jestem tutaj - powtórzyła. - Całą sobą, ze wszystkimi wspomnieniami, ukochany. Wróć, proszę.

Jego uwagę szarpnął inny głos, jakby do jego umysłu przywiązane były sznurki.

- Paul, musisz mnie posłuchać. Przypomnij sobie, czego cię nauczyłam.

Głos jego matki. „Jessika”.

- Przypomnij sobie, czego rzeczywista lady Jessika nauczyła prawdziwego Paula Muad'Diba. Wiesz, kim jesteś. Masz w sobie moc. To dlatego jeszcze nie umarłeś.

Znalazł słowa i wybulgotał je przez krew. Był zdumiony dźwiękiem własnego głosu.

- To niemożliwe... Nie jestem... tym Kwisatz Haderach... ostatnim...

Nie był superistotą, która zmieni wszechświat.

Powieki Paula drgnęły. Otworzył oczy i zobaczył, że leży w wielkiej katedrze maszyn. Ta część widzenia była prawdziwa. Widział w tej wizji Paola śmiejącego się, cieszącego się zwycięstwem i spożywającego przyprawę... ale teraz Paolo spoczywał na posadzce jak

obalony posąg, zastygły w bezruchu i bezmyślny, patrząc w nieskończoność. Baron leżał martwy z wyrazem niedowierzania i irytacji na ziemistej twarzy. A zatem wizja była prawdziwa, lecz nie ujrzał w niej wszystkich szczegółów.

Obok Omniusa i Erazma zapanowało poruszenie. Paul spojrział tam mętным wzrokiem. W tę i z powrotem śmigały patrzydła, przekazując obrazy. Staruszek stał z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy. Maskaradnik Khrone wydawał się zaniepokojony. Paul słyszał krzyki. Cała ta kakofonia głosów docierała do niego w dziwnie niezrozumiałych pasmach przez szum w głowie.

- Atakują czerwie... jak demony... niszczą budynki.

- ...spustoszenie... ze statku pozaprzestrzennego wyłaniają się armie... trujący gaz, który zabija...

- Wysłałem roboty bojowe i maskaradników do walki z nimi, ale może jest ich za mało - rzekł oschle staruszek. - Czerwie i ludzie dokonują znacznych zniszczeń.

- Zbierz więcej maskaradników, Khrone - podjął Erazm. - Nie wysłałeś wszystkich.

- To marnowanie moich ludzi - odparł Khrone. - Jeśli będziemy walczyć z ludźmi, ta trucizna nas zabije. Jeśli stanjemy przeciwko czerwiom, zmiażdżą nas.

- No to zostaniecie otruci albo zmiażdżeni - rzekł lekkim tonem Erazm. - Nie ma się czym przejmować. Zawsze możemy stworzyć was więcej.

Rysy maskaradnika poruszyły się i zamazały, po zmieniającej wyraz twarzy widać było, że w jego umyśle wrze burza. Odwrócił się i wyszedł ze

sklepionej nawy.

Tymczasem Yueh podniósł głowę Paula i poddawał go zabiegom medycznym stosowanym przez absolwentów Akademii Suka. Ale Paul znowu zamknął oczy i osunął się w ból. Ponownie balansował na brzegu otchłani, która otwierała się przed nim coraz szerzej.

- Paul. - Głos Jessiki był natarczywy. - Przypomnij sobie, co ci mówiłam o zgromadzeniu żeńskim. Może nie jesteś największym Kwisatz Haderach, którego chcą myślarze maszyny, ale jednak jesteś Kwisatz Haderach. Wiesz o tym i wie o tym twoje ciało. Masz część zdolności Matki Wielebnej. Matki Wielebnej, Paul!

Ale było mu zbyt trudno skupić się na jej słowach, przypomnieć sobie... Zapadał się coraz głębiej w nieświadomość i jej głos cichł. Nie słyszał już też ani nie czuł uderzeń swego serca. O co chodziło jego matce?

Skoro Jessika pamiętała teraz swoje minione życie, pamiętała też agonię przyprawową. Każda Matka Wielebna miała zdolność zmieniania swojej biochemii, manipulowania cząsteczkami w krwiobiegu. Dzięki temu wybierały moment zajścia w ciążę i przeobrażały trującą Wodę Życia. Dlatego właśnie - bo tylko Matki Wielebne potrafiły zwalczyć straszną zarazę rozprzestrzenianą przez myślarze maszyny - Dostojne Matrony tak zawzięcie starały się znaleźć Kapitularz.

Dlaczego matka chciała, żeby to sobie przypomniął?

Uwięziony w ciemności Paul czuł pustkę w swoim ciele. Całkowicie się wykrwawił.

Dawno temu na Arrakis, jako pierwszy mężczyzna, przeszedł własną odmianę agonii. Wiele tygodni leżał w śpiączce. Fremeni twierdzili, że jest martwy, ale Jessica uparła się, by utrzymać go przy życiu. Zobaczył tę styksową krainę, do której nie mogły się dostać kobiety, i z niej wziął siłę.

Tak, miał teraz w sobie tę zdolność. Był męskim Bene Gesserit. Nadal panował nad swoim ciałem, nad każdą komórką, nad każdym włóknem mięśniowym. Zrozumiał w końcu, co matka próbowała mu powiedzieć.

Ból konania i kryzys, jakim było przetrwanie, dały mu dźwignię, której potrzebował. Wykorzystał ból jako punkt podparcia dla niej i otworzył swoje życie, swoje pierwsze istnienie, zyskując dostęp do wspomnień Paula Atrydy, Muad'Diba, późniejszego Imperatora i Kaznodziei. Popłynął pod ich nurt, cofając się do czasów dzieciństwa i pierwszych ćwiczeń na Kaladanie pod okiem Duncana Idaho, włącznie z sytuacją, kiedy omal go nie zabito jako zakładnika podczas wojny asasynów, do której wciągnięto jego ojca.

Przypomniawszy sobie przybycie swego rodu na Arrakis, planetę, na której - jak wiedział książę Leto - Harkonnenowie zastawili na nich pułapkę. Przez jego umysł pędziły wspomnienia: zagłada Arrakin, ucieczka z matką na pustynię, śmierć pierwszego Duncana Idaho... spotkanie z Fremenami, walka na noże z Dżamisem, pierwszym człowiekiem, którego zabił... pierwsza jazda na czerwiu, stworzenie fedajkinów, atak na Harkonnenów.

Obrazy z przeszłości przyspieszyły: obalenie Szaddama i rozbicie jego Imperium, rozpoczęcie dżihadu, walka o to, by rodzaj ludzki przetrwał bez wchodzenia na tę ponurą drogę. Ale nie udało mu się uniknąć rozgrywek politycznych - wygnany Imperator Szaddam próbował odzyskać władzę, do tronu pretendowała córka Feyda-Rauthy i lady Fenring... a potem sam hrabia Fenring usiłował zabić Paula...

Nie czuł się już pusty, lecz - przeciwnie - pełen doświadczeń i wielkiej wiedzy, pełen zdolności. Pamiętał miłość do Chani i fikcyjne małżeństwo z księżniczką Irulaną, pierwszego gholę Duncana imieniem Hayt i śmierć Chani przy porodzie bliźniąt, Leto II i Ganimy... Nawet teraz ból z powodu utraty Chani wydawał się silniejszy od obecnych fizycznych mąk. Gdyby umarł w jej ramionach, sprawiłby jej takie samo cierpienie.

Pamiętał, jak odchodził na pustynię, oślepiiony przez wizje... i jak przeżył. Jak stał się Kaznodzieją. Jak umierał w tłumie na zakurzonej ulicy.

Był teraz wszystkim tym, czym był kiedyś: Paulem Atrydą we wszystkich przebraniach, które przywdziewał, każdą maską z legendy, każdą siłą i słabością. Co najważniejsze, posiadał zdolności Matki Wielebnej, możliwość kontrolowania najdrobniejszych cząstek swego ciała. Matka, jak latarnia morska w ciemnościach, oświeciła mu drogę i pozwoliła ujrzeć to wszystko.

W przerwach między ostatnimi uderzeniami serca przeszukiwał swoje ciało. Znalazł ranę od noża,

zobaczył śmiertelne uszkodzenie i odkrył, że mechanizmy obronne jego organizmu nie są w stanie same tego naprawić. Musiał pokierować procesem zdrowienia.

Chociaż jeszcze przed chwilą gasł, teraz sprężył się i zogniskował energię w sercu, które już przestało bić. Ujrzał prawy przedsionek, który otworzyło ostrze sztyletu Paola. Aorta została rozcięta i nie było w niej krwi.

Zebrał komórki i zasklepił rany. A potem zaczął ściągać, kropla po kropli, krew z jam ciała, do których wyciekła, i ponownie napełniać nią serce. Dosłownie tchnął w siebie na powrót życie.

*

Paul nie wiedział, jak długo trwał jego trans. Wydawał się równie nieskończony jak śpiączka spowodowana jedną zaledwie kroplą Wody Życia, która dotknęła jego języka. Nagle ponownie uświadomił sobie, że obejmuje go Chani. Jej ręka była ciepła, a poza tym znowu czuł swoje ciało. Nie było już zimne i nie wstrząsały nim drgawki.

- Usul! - usłyszał słaby szept Chani i wyczuł niedowierzanie w jej tonie. - Jessiko, coś się zmieniło!

- Paul robi to, co musi.

Kiedy w końcu zebrał dość sił, by unieść powieki, dołączył do żywych, mając w sobie zarówno minione, jak i obecne życie. Powracał nie tylko z dawnymi wspomnieniami i zdolnościami, ale także z fantastycznym, jeszcze wspanialszym objawieniem...

Akurat wtedy wpadł do katedry zbryzgany krwią

Duncan Idaho, powalając po drodze kilka robotów wartowniczych. Erazm skinął niedbale na pozostałe, by pozwoliły mu wejść. Oczy Duncana rozszerzyły się, kiedy zobaczył krwawiącego Paula podtrzymywanego przez matkę i Chani. Podbiegł do nich.

Starając się zebrać myśli, Paul umieścił rozgrywającą się wokół niego scenę w kontekście swojej wewnętrznej wiedzy. Wiele się dowiedział, umierając po raz pierwszy, wracając jako ghola i niemal odchodząc w niebyt po raz wtóry. Zawsze miał fenomenalny dar jasnowidzenia. Teraz wiedział jeszcze więcej.

Mimo cudownego ozdrowienia i odrodzenia nie był doskonałym Kwisatz Haderach. Najwyraźniej nie był nim też Paolo. Kiedy jego wzrok się wyostrzył, skupił się na tym, czego nie dostrzegł nikt inny - ani Omnium, ani Erazm, ani Sziena, ani żaden z pozostałych gholi.

- Duncan - powiedział ochrypłym głosem. - Duncan, to ty!

Po krótkim wahaniu jego stary przyjaciel, ów wierny wojownik Atrydów, który przeszedł proces odradzania się w gholi więcej razy niż ktokolwiek w dziejach, podszedł bliżej.

- Ty jesteś tym, którego szukali, Duncan - rzekł Paul.
- To ty.

Nawet jasnowidzenie ma granice. Nikt nigdy nie będzie znał wszystkiego, co mogłoby się zdarzyć.

- Matka Wielebna Darwi Odrade

Otoczywszy ramieniem drżącego z radości i oddychającego z ulgą Paula, Chani kołysała go. Miała tak silnie wpojone fremeńskie zakazy, że nawet kiedy zobaczyła jego śmiertelną ranę i patrzyła, jak kona, nie uroniła ani jednej łzy.

Duncan zmagał się z tym, co przekazał mu blady i zakrwawiony Paul.

- Ja... jestem Kwisatz Haderach?

- Ostatnim. - Paul skinął słabo głową. - Doskonałym. Tym, którego szukali.

Staruszek będący fizycznym wcieleniem Omniusa spojrzał oskarżycielsko na odzianego w wykwintną szatę niezależnego robota.

- Jeśli to twierdzenie jest prawdziwe, to byłeś w błędzie, Erazmie - powiedział. - Nie uwzględniłeś możliwości ponownego odwrócenia losu przez ludzi. A mówiłeś, że obliczenia, na których oparłeś swoje przewidywania, są dokładne.

Robot zachował wyniosłą, nawet zadowoloną z siebie minę.

- Błędna była tylko twoja interpretacja moich obliczeń - rzekł. - Jak cały czas mówiłem, ostatni Kwisatz Haderach rzeczywiście był na statku pozaprzestrzennym. Wyciągnąłeś oczywisty wniosek,

że tym, którego szukamy, musi być Paul Atryda. Kiedy maskaradnik odnalazł zakrwawiony sztylet z komórkami Muad'Diba, potraktowałeś to jako dowód potwierdzający twój fałszywy wniosek.

Duncan chciał odrzucić to, co usłyszał. Nawet jeśli naprawdę był największym i ostatnim Kwisatz Haderach, to co miał począć z tą wiedzą?

Staruszek spojrzał szyderczo na zastygłego w bezruchu bezużytecznego Paola i martwego barona.

- Cała ta praca nad naszym klonem nie przyniosła nam żadnego pożytku. Niezwykle marnotrawstwo.

Erazm ułożył elastometalową twarz w życzliwą minę i zwrócił się do nowo przybyłego.

- Wiem, że nie bez powodu coś mnie do ciebie przyciągało, Duncanie Idaho - powiedział. - Jeśli rzeczywiście jesteś Kwisatz Haderach, możesz zmienić losy wszechświata. Jesteś posłańcem zmian, ucieleśnieniem przełomu. Możesz dokonać wyboru i zakończyć ten konflikt, który od tysięcy lat przeciwstawia sobie ludzi i myślące maszyny.

Duncan uświadomił sobie, że Yueh, Jessika, Chani i Paul odegrali już swoje role i teraz nadeszła kolej na niego.

Erazm podszedł do nich.

- Kralizek oznacza koniec wielu rzeczy, ale ten koniec nie musi być zniszczeniem - powiedział. - Tylko fundamentalną zmianą. Od tej pory nic już nie będzie takie samo.

- Nie musi być zniszczeniem? - Jessika podniosła głos. - Mówiłeś, że wasze statki atakują światy w

Starym Imperium. Wyjałowiliście już i podbiliście setki planet!

Wydawało się, że słowa te nie wywarły na robocie żadnego wrażenia.

- Nie powiedziałem, że nasze podejście jest jedynym możliwym ani nawet, że najlepszym.

Staruszek spiorunował Erazma wzrokiem, jakby został obrażony.

Nagle niebo nad wielkim miastem maszyn rozerwały grzmoty przesuwanego powietrza i pojawiło się na nim jak chmury burzowe tysiąc liniowców Gildii. Flota ogromnych statków, która wyłoniła się z zagiętej przestrzeni, miała dosyć broni, by zrównać z ziemią wszystko, co było na planecie.

Postać staruszka, w której występował Omnius, zadrżała, gdy dramatyczna zmiana odciągnęła jego uwagę. W całej Synchronii roboty zwijały się jak w ukropie, walcząc z kontynuującymi dzieło zniszczenia czerwiami. Teraz musiały zorganizować obronę przed nowym wrogiem, atakującym z góry.

Erazm powrócił do postaci miłej staruszki, jakby uważał, że jest ona bardziej przekonująca i pełna współczucia.

- Prześledziłem prawdopodobieństwo różnych możliwości rozwoju wydarzeń, wychodząc poza moje pierwotne obliczenia - powiedział. - Jestem przekonany, Duncanie Idaho, że masz moc powstrzymania tych statków przed zniszczeniem nas.

- Och, proszę, przestań paplać - rzekł Omnius.

Duncan rozejrzał się i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie boję się Gildii ani jej nawigatorów - odparł. - Jeśli będę musiał zginąć, by to zakończyć, zrobię to z ochotą.

- Każdy z tutaj obecnych już kiedyś umarł - dodał śmiało Yueh.

- To nieważne. Niech zniszczą Synchronię. - Staruszek nie wydawał się zbytnio poruszony. - Jestem w wielu miejscach. Nie zlikwiduje mnie unicestwienie całej tej planety, tego węzła. Jestem wszechumysłem i jestem wszędzie.

Pośrodku szerokiej katedralnej nawy rozległ się trzask. Potem powietrze zawirowało i z hukiem zaginanej przestrzeni nad pokrytą plamami krwi posadzką ukazał się obraz. Drgające widziadło w jednej chwili wydawało się materialne, a w następnej zamieniało się w przezroczystego ducha. Po paru chwilach obraz się wyklarował i przybrał postać kobiety o posągowych kształtach i olśniewającej urodzie. Następnie przemienił się w karłowatą istotę o nieatrakcyjnych rysach, z krótkimi rękami i nogami oraz nieproporcjonalnie dużą głową. Po kolejnym mignięciu pozostała tylko twarz, która drgała w powietrzu. Zupełnie jakby ta kobieta nie pamiętała dokładnie, jak ma wyglądać.

Duncan natychmiast odgadł, kim - lub czym - jest owo widziadło.

- Wyrocznia Czasu!

Twarz obróciła się, przyglądając się ludziom i robotom w ogromnym wnętrzu katedry, po czym zawisła bliżej niego.

- Duncanie Idaho, znalazłam cię - powiedziała. - Szukałam cię wiele lat, ale statek pozaprzestrzenny i twoja... dziwność chroniły cię.

Duncan nie kwestionował już burzliwego rozwoju niesamowitych wydarzeń.

- Dlaczego przybyłaś akurat teraz? - zapytał.

- Dotychczas tylko raz zszedłeś z pokładu statku pozaprzestrzennego, na Qelso, a ja nie podążyłam za tobą wystarczająco szybko. Wyczułam cię ponownie, kiedy twój statek został uszkodzony i przechwycony. Teraz, kiedy myślące maszyny atakują, udało mi się polecieć wzdłuż linii tachionowej sieci wszechumysłu i dotrzeć do ciebie. Sprowadziłam moich nawigatorów.

- Co to za zjawą? - zapytał Omnius. - Zniknij z mojego świata! - zażądał.

- Kiedyś nazywałam się Norma Cenva. Teraz jestem kimś nieporównanie większym... bytem przekraczającym zdolność pojmowania sieci komputerowej. Jestem Wyrocznią Czasu i lecę tam, gdzie chcę.

Erazm w postaci staruszki wyciągnął rękę jak dziecko, by dotknąć obrazu, ale jego pomarszczona dłoń przeszła przezeń na wylot.

- Tak wiele z najbardziej interesujących ludzi to kobiety - rzekł zadumany. Poruszał na próbę palcami w widmie, ale nie zmieniło to obrazu.

Wyrocznia Czasu zignorowała go.

- Duncanie Idaho, w końcu uświadomiłeś sobie, kim jesteś. Kwisatz Haderach, próbowałam cię chronić. Paul Muad'Dib i jego syn Leto, Bóg Imperator, byli

niedoskonałymi prorokami. Zdawali sobie sprawę ze swoich braków. Teraz dzięki pewnej konfluencji w kosmosie, splotowi splotów, stałeś się niezwykle osobliwością w nowym wszechświecie, punktem krytycznym, z którego wypływa wszystko na resztę wieczności. W tobie skupiają się nadzieje rodzaju ludzkiego, i nie tylko.

- Ale jak? - zapytał nadal zdumiony Duncan. - Wcale nie czuję się inaczej.

- Kwisatz Haderach jest „skróceniem drogi”, postacią tak potężną, że może wymusić fundamentalną i konieczną zmianę biegu dziejów, nie tylko ludzi, ale również myślących maszyn.

- Tak, masz tę moc, Duncanie Idaho - potwierdził Erazm tak samo zachęcającym tonem jak Wyrocznia Czasu. - Liczę na ciebie, na to, że dokonasz właściwego wyboru. Ty wiesz, na czym najbardziej skorzysta wszechświat, i wiesz, że myślące maszyny mogą wzbogacić cywilizację.

Duncan zachwycił się swoją nową tożsamością i rozmyślał o oszałamiającej prawdzie. W końcu, po tylu próbach życia w postaci gholi, poznał swoje przeznaczenie. Jego umysł był całkowicie rozbudzony.

Widział czas jako wielki ocean ogarniający kosmos i wyobrażał sobie, jak dzięki przebudzonym w nim mocom jest w stanie przeanalizować każdą cząsteczkę, każdy atom i każdą cząstkę. Osiągnie doskonałą zdolność jasnowidzenia i przewidywania, ale jeszcze nie teraz, nie za szybko, bo owładnąłby nim taki sam paraliż jak ten, który poraził Paola. Ale jego umysł

pracował już szybciej niż umysł mentata i Duncan czuł, że mógłby się poruszać z prędkością, która zadziwiłaby nawet baszara.

„Jestem największym Kwisatz Haderach - myślał. - Po mnie nie będzie już żadnego”.

Obraz Wyroczni zamigotał, powracając do przedstawienia pięknej kobiety.

- Kiedy zginąłeś po raz pierwszy, Duncanie Idaho - jako żołnierz walczący o ocalenie Atrydów, o ocalenie pierwszego Kwisatz Haderach, siły wszechświata zmusiły ludzi do wskrzeszenia ciebie jako gholi, a potem powtarzało się to wielokrotnie - powiedziała. - Bóg Imperator rozumiał częściowo twoje przeznaczenie i mimowolnie doprowadził do tego, co jest teraz. Koniec jego Złotego Szlaku jest początkiem czegoś innego.

- Jestem związany ze Złotym Szlakiem?

- Tak, ale jest ci pisane wyjście daleko poza niego.

Paul zdawał się szybko odzyskiwać siły. Stojąca obok niego Jessika zwróciła się do gościa z innego świata.

- Ależ Duncan nie był częścią żadnego oficjalnego programu eugenicznego! Jak przeistoczył się w Kwisatz Haderach?

- Duncanie - ciągnęła Wyrocznia - z każdym narodzeniem coraz bardziej zbliżałeś się do zakończenia. Nie zostałeś wyhodowany w ramach żadnego programu eugenicznego, lecz przeszedłeś proces osobistej ewolucji. W każdym z kolejnych wcieleń zdobywałeś coraz większą wiedzę, coraz więcej umiejętności i doświadczenia. Wyglądało to tak, jakby

rzeźbiarz powoli, bardzo powoli ociosywał małym dłutem ogromny blok twardego kamienia, tworząc doskonały posąg. W tym jednym ciele zawiera się rezultat tachionowej ewolucji, superszybkiego rozwoju, który pchnął cię ku twemu przeznaczeniu.

W ciągu tysięcy lat Duncan wielokrotnie przeżył swoje życie. Manipulując jego genami, Tleilaxanie nie tylko dali mu zdolności pozwalające walczyć z Dostojnymi Matronami, ale połączyli jego komórki tak, by zachowywał *w s z y s t k o*, co nabył w poprzednich żywotach, w każdym z nich. Dzięki tym wspomnieniom miał mądrość i doświadczenie jak nikt inny. Ten Duncan Idaho posiadał większą wiedzę niż najbardziej rozwinięty mentat czy nawet Omnius i lepiej rozumiał ludzką naturę niż wielki Tyran, Leto II.

Duncan pozostawał we wszystkich wcieleniach tą samą osobą, doskonaląc się, stale odfiltrowując niczym przez najdrobniejsze sito nieczystości i pozostawiając w sobie tylko najlepsze cechy, stając się Tym. Pozwolił sobie na lekki uśmiech. Cóż za ironia losu! Udało mu się to tylko dlatego, że Tleilaxanie wmieszali się w jego losy, chociaż był pewien, że nigdy nie zamierzali stworzyć zbawcy ludzkości.

Mentacki umysł Duncana przetrawił szybko jak płomień dane i potwierdził, że wniosek jest prawidłowy, a Wyrocznia Czasu się nie myli.

- Naprawdę jestem Kwisatz Haderach! - Żałował, że nie może być przy nim Miles Teg. - A co z tą wielką wojną, Kralizekiem?

- Właśnie jesteśmy w jej środku. Kralizek nie jest

tylko wojnę, lecz czasem z m i a n y. - Obraz zamigotał.
- A ty jesteś jej punktem kulminacyjnym.

- Ale co z resztą ludzi? - zapytał Duncan i pomyślał: „Murbella”. - Muszą wiedzieć, jak rozumieją, co się stało?

- Poinformują ich o tym moi nawigatorzy, być może nawet przywiozą tutaj ich przywódców. Najpierw jednak muszę usunąć zagrożenie, które powinno zniknąć tysiące lat temu. Wroga, z którym walczyłam dziesięć tysięcy lat przed twoim narodzeniem.

Wyrocznia przesunęła się w powietrzu ku staruszkowi, który miał oburzoną minę. Znalazłszy się naprzeciw Omniusa, oznajmiła głosem potężniejszym niż ten, który kiedykolwiek wydobył się z głośników wszechumysłu.

- Muszę zadbać o to, by myślące maszyny już nigdy nie mogły nikogo skrzywdzić. Był to mój cel przed wiekami, kiedy byłam tylko kobietą, kiedy wpadłam na pomysł zbudowania silnika zaginającego przestrzeń, kiedy odkryłam potęgującą moc umysłu właściwości melanzu. Usunę cię, Omniusie.

Wszechumysł odpowiedział suchym chichotem starego człowieka. Jego nieco przygarbiona postać nagle się rozrosła i zawisła jak gigant nad jej obrazem.

- Nie możesz mnie usunąć, bo nie jestem cielesną istotą - rzekł. - Jestem i n f o r m a c j ą, a więc istnieję w każdym miejscu, do którego sięga tachionowa sieć. Jestem wszędzie.

Widziadło kobiety uśmiechnęło się.

- A ja jestem kimś i czymś więcej. Jestem Wyrocznią

Czasu. Teraz usłysz mój śmiech. - Norma Cenva roześmiała się tak głośno i trwało to tak długo, że nawet ogromna postać Omniusa cofnęła się o krok. - Mój głos słyszać od wieków we wszystkich układach gwiazdnych, pokonuje on czas i przestrzeń, sięgając daleko poza twoją tachionową sieć.

Omnius cofnął się jeszcze o krok.

- Najpierw sparaliżowałam twoją flotę - ciągnęła. - Teraz wyrwę cię jak chwast, którym jesteś, i wyrzucę na śmietnik.

- To niemożliwe... - Postać staruszka zaczęła się rozpląwać, gdy wszechumysł umykał do swojej sieci.

- Usunę cię... każdy strzępek informacji z każdego z twoich węzłów.

Zamglony wizerunek stał się bezkształtny i owinał się wokół Omniusa. Staruszek omal nie wpadł na Erazma, ale niezależny robot z łatwością usunął mu się z drogi. Na jego obliczu starej kobiety malował się wyraz zaniepokojenia i rozbawienia.

- Zabiorę cię w miejsce, w którym takie informacje są już niezrozumiałe, w którym nie obowiązują prawa fizyki - kontynuowała Wyrocznia.

Duncan usłyszał, jak wszechumysł krzyczy z wściekłością, ale jego głos był stłumiony. Owadopodobne roboty wartownicze, które starały się ruszyć naprzód, by pomóc Omniusowi, wydawały się dziwnie zdezorientowane i ślamazarne.

- Jest wiele wszechświatów, Omniusie. Duncan Idaho odwiedził inny niż ten i zna miejsce, o którym mówię. Dawno temu wydobyłam go stamtąd wraz z jego

statkiem. Jednak ty nigdy nie znajdziesz drogi powrotnej.

Duncan obserwował toczące się przed jego oczami niepojęte zmagania. Faktycznie, tuż po tym, jak ukradł na Kapitularzu statek pozaprzestrzenny, przedarł się przez materię przestrzeni kosmicznej, rozpaczliwie próbując uniknąć schwywania, i znalazł się w dziwnie wypaczonym wszechświecie. Wzdrygnął się na samo wspomnienie o nim.

- Nic cię nie uratuje, Omniusie - zakończyła przemowę Wyrocznia Czasu.

- To niemożliwe! - ryknął staruszek, tracąc fizyczną postać, z której pozostał jedynie niewyraźny zarys.

- Owszem, możliwe - stwierdziła Wyrocznia. - I cudownie, że tak jest.

Powietrze w katedralnej nawie zaskwierczało od wyładowań, które rozchodziły się coraz rzadziej, kiedy Wyrocznia owijała się jak sieć wokół ikony myślących maszyn. Przez chwilę Duncan widział twarz Normy, która nałożyła się na oblicze staruszka. Obie twarze złączyły się w jedną - j e j. Piękna kobieta uśmiechnęła się i powietrze wypełniły sypiące iskrami pasma elektryczności, którą Wyrocznia Czasu spowiła się niczym eleganckim płaszczem.

A potem wyrwała się z rzeczywistości i zniknęła w niepojętej pustce, zabierając wszelkie ślady Omniusa.

Na zawsze.

Wszędzie widzicie wrogów, ale ja dostrzegam tylko przeszkody... i wiem, co należy robić z przeszkodami. Trzeba je albo usunąć, albo skruszyć, żebyśmy mogły dalej kroczyć naszą drogą.

- Matka Dowodząca Murbella, przemówienie
wygłoszone przed połączonym
zgromadzeniem żeńskim

Mimo iż nawigatorzy zniszczyli gradem unicastwaczy, których nie spodziewały się myślące maszyny, trzon ich floty, druga fala statków wroga zbliżała się do Kapitularza.

Po zlokalizowaniu Duncana Idaho i statku pozaprzestrzennego Wyrocznia Czasu zabrała liniowce do Synchronii, zostawiając tylko mały odsetek swoich sił do pomocy przy obronie zamieszkanych przez ludzi planet. Wynik tych misji był nieznany, więc część owych planet, a może wszystkie, nadal mogła być bezbronna. Jedno było pewne - na Kapitularzu Murbella i obrońcy pod jej wodzą musieli sami stawić czoło pozostałym jednostkom maszyn. W tej sytuacji Matka Dowodząca nie miała wiele czasu, by przetrwać wiadomość, że Duncan żyje.

- Czy one nigdy nie przestaną? - jęknął administrator Gorus.

- Nie. - Murbella łypnęła na niego, zła, że zmusza ją do stwierdzenia tego, co oczywiste. - To myślące maszyny.

Jej sto statków wisiało nad światem Bene Gesserit, którego miały być ostatnią linią obrony. Otaczały je szczątki tysięcy zniszczonych jednostek bojowych maszyn. W tej bitwie wróg poniósł znaczne straty, ale, niestety, to nie wystarczyło.

Nowa fala statków Omniusa nie zagra ludziom na nosie tak jak pierwsza. Murbella spodziewała się, że tym razem nie będzie zmiłowania, i nie miała wielkiej nadziei, że uda się coś wskórać obrońcom w pozostałych punktach ostatniej linii oporu. Maszyny zamierzały unicestwić Kapitularz i wszystkie inne światy na ich drodze.

Przeklęła niezdarne statki Gildii, które zbudowały stocznie na Węźle, i bezużyteczną broń wyprodukowaną przez Ixan. Musiała coś wymyślić.

- Nie pozwolę, żeby nasze statki tkwiły tutaj z obnażonymi gardłami jak baranki czekające na rzeź!

- Kompilatory matematyczne kierowały naszymi jednostkami podczas przechodzenia przez zagiętą przestrzeń i standardowymi...

- Usuńcie te przeklęte urządzenia nawigacyjne! - krzyknęła na Gorusa. - Będziemy sterować ręcznie.

- Ale nie będziemy wiedzieli, dokąd lecimy. Możemy się rozbić!

- Wobec tego rozbijemy się na statkach wroga, zamiast wpadać na siebie.

Zastanawiała się, czy maszyny zapragną zemsty, kiedy zobaczą szczątki jednostek pierwszej fali. Z pewnością zareagowałyby tak Dostojne Matrony.

Nadciągały kolejne eskadry wroga. Murbella

studiowała złożone prognozy jego posunięć taktycznych. Do podbicia słabo zaludnionego Kapitularka nie było potrzebnych aż tyle statków. Wydawało się oczywiste, że wszechumysł docenił wartość demonstracji siły i zastraszania i wiedział, że od przybytku głowa nie boli.

W centrum dowodzenia dwóch gildian sprzeczało się z Gorusem. Jeden twierdził, że odłączenie kompilatora matematycznego jest niemożliwe, drugi dowodził, że byłoby to niemądre. Murbella zakończyła ten spór siłą Głosu Bene Gesserit. Gildianie zadrżeli i niezdolni jej się oprzeć, zrobili, co rozkazała.

Chociaż maszyny dysponowały dużo większą siłą ognia, Matka Dowodząca nie wzdragała się przed zrobieniem tego, co trzeba było zrobić. Przeciwnie, przebudziła w sobie złość i gniew dawnej Dostojnej Matrony. Nie była to pora na ocenianie szans. Należało wyzwolić w ludziach, którzy jej podlegali, żądę zniszczenia. Jeśli dadzą upust wściekłości i będą walczyli jak doprowadzone do szału Dostojne Matrony, mogą zadać maszynom znaczne straty. Może zginą w płomieniach, ale jeśli dadzą w ten sposób Wyroczni i jej nawigatorom czas na pokonanie Omniusa, Murbella uzna to za zwycięstwo. Pragnęła tylko jeszcze raz zobaczyć Duncana.

Obróciła się ku szerokiemu ekranowi, który pokazywał w powiększeniu nadlatujące statki.

- Załadujcie całą broń i przygotujcie się do staranowania wroga - powiedziała. - Gdy skończy się nam konwencjonalne uzbrojenie, ostatnią bronią staną

się nasze statki. Nasza setka zabierze ze sobą co najmniej tyle samo ich jednostek.

Aż do tego momentu Gorus uważał jej strategię za samobójczą. Teraz miał minę, jakby chciał zrobić coś głupiego, by ją powstrzymać.

- Dlaczego nie mielibyśmy spróbować negocjacji? - zapytał. - Czy nie byłoby to lepsze niż poddanie się? Nie możemy ich powstrzymać przed zniszczeniem ich celów!

Murbella utkwiała wzrok w administratorze, jakby był łatwym łupem. Nawet te siostry, które były czystej krwi Bene Gesserit, zachowywały się teraz jak krwiożercze Dostojne Matrony. One nigdy się nie cofną.

- Opierasz tę propozycję na osiągnięciach emisariuszy, których wysłaliście do myślących maszyn? Tych wszystkich, którzy przepadli bez śladu? - Głos Murbelli palił jak kwas. - Administratorze, jeśli chcesz szukać innego rozwiązania, to z radością wyrzucę cię ze statku. Leć sobie przez pustkę przestrzeni kosmicznej. Kiedy z twoich płuc wydobędzie się ostatni oddech, może wykrztusisz zasady, na których się poddasz. Proszę bardzo, jeśli sądzisz, że myślące maszyny cię wysłuchają.

Gildianin wzdrygnął się. Miał zrozpaczoną minę. Siostry wokół niego przejęły kontrolę nad statkiem i były gotowe do ostatniego uderzenia.

Jednak zanim Murbella zdążyła wydać rozkaz do ataku, z kanału komunikacyjnego dobiegi głos Janess.

- Matko Dowodząca! Coś się zmieniło na statkach maszyn. Popatrz na nie!

Murbella spojrzała na ekran. Jednostki wroga nie tworzyły już zwartej formacji. Zwolniły i zaczęły się rozpraszać, jakby nie miały celu, niczym pozbawione załogi żaglowce na bezkresnym morzu kosmosu.

Zostały nagle pozbawione przywódcy.

Ku jej zdumieniu, flota myślących maszyn popłynęła ospale w przestrzeń.

Mimo iż został uwięziony w swoim micie, Muad'Dib wykazał, że wielkość jest tylko przejściowa. Dla prawdziwego Kwisatz Haderach nie istnieją żadne przestrogi, by wystrzegał się pychy, żadne reguły ani wymogi, które musi spełnić. Według własnej woli bierze z wszechrzeczy to, co chce, i daje to, co chce. Jak mogłyśmy się łudzić, że będziemy w stanie pokierować kimś takim?

- analiza Bene Gesserit

Po zniknięciu Wyroczni Czasu Erazm patrzył z lekko przechyloną głową na puste miejsce pośrodku sklepionej nawy.

- Już po Omniusie. - Jego głos brzmiał głucho w uszach Duncana. - W sieci myślących maszyn nie pozostał po nim żaden ślad.

Duncan czuł, że jego umysł przyspiesza, rozszerza się i chłonie nowe informacje. Nie było już strasznego wroga, którego wyczuwał od tak dawna, zagrożenia, które sprowokowały Dostojne Matrony. Usuwając wszechumysł, wrywając go z wszechświata, Wyrocznia unieszkodliwiła ogromną flotę myślących maszyn, bo pozbawiła ją kierującej nią siły.

„A my wciąż istniejemy” - pomyślał.

Nie wiedział dokładnie, co się w nim zmieniło. Czy była to po prostu wiedza o jego racji bytu? Czy zawsze miał dostęp do tego potencjału, nie zdając sobie z tego sprawy? Jeśli założyć, że Paul miał rację, trzeba

było przyjąć, że przez te wszystkie lata, przez wszystkie żywoty - pierwszy i w gholach - coś było w nim uśpione, moc, która rosła z każdym wcieleniem. Teraz musiał odkryć, jak ma ją wykorzystać.

Dla Paula i jego syna, Leto II, jasnowidzenie było błogosławieństwem i przekleństwem. Po odzyskaniu wspomnień każdy z nich mógł rościć sobie prawo do bycia Kwisatz Haderach. Miles Teg miał fenomenalną zdolność poruszania się z niepojętą szybkością i można było przypuszczać, że też mógłby się stać Kwisatz Haderach. Nawigatorzy zebranych w górze liniowców potrafili przenikać wzrokiem umysłu zagięcia przestrzeni i znajdować bezpieczne szlaki dla tych wielkich statków. Wszystko to było rozszerzeniem i spotęgowaniem tradycyjnych ludzkich zdolności, rozwinięciem do niespodziewanych rozmiarów ludzkiego potencjału.

Duncan wierzył, że jako największy i ostatni Kwisatz Haderach jest w stanie robić nie tylko to wszystko, ale znacznie więcej, wznieść się na szczyt ludzkich możliwości. Myślące maszyny nigdy nie zdawały sobie sprawy z potencjału ludzi, chociaż ich „przewidywania matematyczne” obdarzały Kwisatz Haderach mocą zakończenia Kralizeku i zmienienia wszechświata.

Przepełniła go pewność siebie i pomyślał, że może odkryć sposób wprowadzenia wielkich, radykalnych zmian... ale nie pod kierunkiem myślących maszyn. Znajdzie własny sposób. Będzie prawdziwym Kwisatz Haderach, nie tylko wszechmocnym, ale również niezależnym.

Spojrzał beznamiętnie na staruszkę w niegustownej sukience w kwiaty i pobrudzonym ziemią ogrodniczym fartuchu. Miała zatroskaną twarz, jakby przez całe życie pielęgnowała ludzi.

- Zniknęło ze mnie coś z Omniusa, ale nie wszystko - powiedziała.

Porzuciwszy w końcu postać starej kobiety, Erazm wrócił do formy niezależnego robota w eleganckich purpurowo-złotych szatach.

- Wiele mogę się od ciebie nauczyć, Duncanie Idaho - rzekł. - Jako nowy bóg, mesjasz ludzkości, jesteś dla mnie optymalnym okazem do badania.

- Nie jestem królikiem doświadczalnym na potrzeby twoich laboratoryjnych analiz - odparł Duncan. Zbyt wielu innych, w zbyt wielu jego minionych żywotach tak go traktowało.

- To zwykłe przejęzyczenie. - Robot uśmiechnął się pogodnie, jakby próbował ukryć swoją agresję. - Od dawna pragnę w pełni zrozumieć, co to znaczy być człowiekiem. Teraz wydaje się, że ty masz wszystkie odpowiedzi, których tak wytrwale poszukiwałem.

- Zdaję sobie sprawę z mitu, w którym żyję. - Idaho przypomniał sobie, że podobne stwierdzenia wygłaszał Paul Atryda. Paul stał się jednak więźniem swojego mitu, który zaczął żyć własnym życiem. Natomiast on, Duncan, nie obawiał się sił, które powstaną albo dla niego, albo przeciw niemu.

Ogarniał przenikliwym wzrokiem Erazma i jego sługusów. Po drugiej stronie nawy widział stojącego niepewnie, podtrzymywanego przez Jessikę i Chani,

Paula. Atryda pił wodę z dzbana, który wziął ze stołu obok zwłok barona.

Ucichły dobiegające z zewnątrz odgłosy czerwimiążdzących roboty. Chociaż te ogromne stworzenia nie zburzyły katedry maszyn, spowodowały wielkie zniszczenia w Synchronii.

Po bokach nawy stały w gotowości roboty z żywego srebra, a wyładowania broni, która była integralną częścią ich ciał, wskazywały, że w każdej chwili mogą przystąpić do akcji. Nawet bez wszechumysłu Erazm mógł nakazać tym maszynom otworzyć ogień do ludzi znajdujących się w sklepionym wnętrzu. Niezależny robot mógł spróbować zabić ich wszystkich w odruchu zemsty. I być może zdobędzie się na to...

- Ani ty, ani twoje roboty nic tu nie zmienicie - ostrzegł go Duncan. - Jesteście zbyt powolni.

- Albo jesteś przesadnie pewien, albo w pełni świadom tego, co możesz zrobić. - Uśmiech na elastometalowej twarzy stał się nieco bardziej cierpki, a włókna optyczne zaśniły nieco jaśniej. - Może jesteś świadom, a może nie.

Duncan wiedział już z absolutną pewnością, że Erazm zamierza skorzystać z całej siły zniszczenia, nad którą panował, i dokonać jak największych spustoszeń.

Zanim robot zdążył się odwrócić, Duncan skoczył na niego z szybkością Milesa Tega i powalił na posadzkę. Erazm runął, jego broń została unieszkodliwiona. Czy był to tylko sprawdzian? Kolejny eksperyment?

Kiedy Duncan stał nad robotem, jego serce waliło, a z ciała bił żar, ale nie czuł się wyczerpany, lecz upojony

siłą. Mógł tak walczyć z wszelkimi maszynami, które posłałby przeciw niemu Erazm. Na myśl o tym zostawił niezależnego robota i rzuciwszy się z oszałamiającą prędkością na stojące wokół srebrzyste roboty wartownicze, powalał je błyskawicznymi ciosami i kopnięciami. Przyszło mu to tak łatwo. Zanim metalowe szczątki skończyły osypywać się na posadzkę, stanął ponownie nad Erazmem.

- Wyczułem zarówno twoje wątpliwości, jak zamiary - powiedział. - Przyznaj to. Nawet jako myśląca maszyna potrzebowałeś dodatkowego dowodu, prawda?

- Zakładając, że jesteś od dawna oczekiwanym nadczołowiekiem, dlaczego po prostu mnie nie zniszczysz? - zapytał Erazm, leżąc na plecach i patrząc przez wyrwę w sklepieniu na setki wielkich liniowców Gildii. - Po usunięciu Omniusa zlikwidowanie mnie byłoby ostatecznym zwycięstwem ludzi.

- Gdyby rozwiązanie było tak proste, nie byłby potrzebny Kwisatz Haderach. - Duncan zaskoczył Erazma i samego siebie, podając robotowi rękę i pomagając mu wstać. - Zakończenie Kralizeku i prawdziwa zmiana przyszłości wymagają czegoś więcej niż zniszczenie jednej ze stron.

Erazm przyjrzał się swojemu ciału i szatom, by się upewnić, że wygląda jak należy, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Myślę - powiedział - że może dojść między nami do spotkania umysłów, czegoś, czego nigdy nie udało mi się osiągnąć z Omniusem.

Kiedy nadejdzie czas na zrzucenie masek, nasi wrogowie będą zaskoczeni tym, co od samego początku kryło się przed nimi.

- Khrona,
wiadomość przekazana maskaradnikom

Kiedy zniknęła Wyrocznia Czasu, wiele ogromnych liniowców pilotowanych przez nawigatorów zagięło przestrzeń i bez żadnych wyjaśnień czy pożegnań odleciało.

Czerwie nadal niszczyły żywe metalowe budowle w mieście. Omnius nie dał robotom autonomii, więc nie były w stanie prawidłowo funkcjonować bez połączenia z nim. W sklepionym wnętrzu katedry dzwoniła cisza.

Nagle otworzyły się z hałasem wysokie drzwi. Wmaszerował przez nie odziany na czarno Khrona na czele tłumu maskaradników. Zaroilo się od istot o pozbawionych wyrazu twarzach. Gaz Scytale'a zabił część zmiennokształtnych, ale wielu z nich nie wzięło udziału w bitwie.

W rozległym mieście niezliczeni maskaradnicy udawali, że stają przeciwko siejącym zniszczenie czerwiom, ale po cichu odpływali ze stawianych przez roboty barykad. Widok czerw obalających wielkie elastometalowe budynki i rozbijających tysiące myślących maszyn sprawiał Khrona'owi przyjemność.

„Oczyszczają nam drogę - myślał. - Ułatwiają zadanie”.

Wystąpił naprzód z trupim uśmiechem.

- Nigdy nie przestają mnie bawić błędne wnioski wyciągane przez tych, którzy myślą, że panują nad nami. - Jego zdaniem zwycięstwo maskaradników było teraz pewne.

- Mów jaśniej, Khrone. - Erazm wydawał się niezbyt zainteresowany tym, co maskaradnik ma do powiedzenia.

Nie zważając na ludzi, żywych i poległych, Khrone podszedł do niezależnego robota, który stał obok Duncana Idaho.

- Ta wojna toczy się od pięciu tysięcy lat - rzekł. - Nawiasem mówiąc, nie był to bynajmniej pomysł Omniusa.

- Och, nasza wojna trwa znacznie dłużej - zauważył Erazm. - Uciekliśmy przed piętnastoma tysiącami lat, po bitwie pod Corrinem.

- Mówię o zupełnie innej wojnie, Erazmie, o wojnie, z której nawet nie zdawałeś sobie sprawy. Zaczęliśmy manipulacje z chwilą, kiedy nasz stwórca, Hidar Fen Adżidika, wypuścił pierwszych udoskonalonych maskaradników. Gdy napotkaliśmy na swej drodze imperium myślących maszyn, pozwoliliśmy wam stworzyć nas więcej. Ale gdy Omnius nas tu wpuścił, zostaliśmy jego prawdziwymi panami! Dzieliliśmy się z wami wszystkimi zebranymi przez nas żywotami, pozwalając wam wierzyć, że stajecie się istotami coraz bardziej przewyższającymi nas i ludzi. Jednak to my cały czas pociągaliśmy za sznurki.

- Stan psychiczny, w którym się znajdujesz, został zdiagnozowany już dawno temu - rzekł śmiało doktor

Yueh. - Masz manię wielkości.

Usta Khrona'ego rozsunęły się, ukazując tępe, idealne zęby.

- Wy, myślące maszyny, pomagłyście nam wcielić w życie nasz plan, cały czas wierząc, że wam służymy. Tymczasem w rzeczywistości byliście naszymi narzędziami.

- Wszystkie maszyny wywodzą się z narzędzi - zauważył Duncan, spoglądając to na przywódcę maskaradników, to na Erazma.

Nie zrobiło to na Khronie żadnego wrażenia. A więc to był ten człowiek, który okazał się ostatnim Kwisatz Haderach? Maskaradnik nie rozumiał, dlaczego niezależny robot nie jest bardziej przygnębiony. W końcu szczyił się tym, że potrafi doskonale naśladować wszystkie ludzkie emocje.

- Pod twoim kierunkiem, Erazmie - ciągnął Khrona - zakłady przemysłowe myślących maszyn wyprodukowały miliony ulepszonych maskaradników. Początkowo przenikaliśmy do ludzkiej społeczności jako zwiadowcy i szybko spenetrowaliśmy obszar Rozproszenia i Stare Imperium. Łatwo zwiedliśmy Utraconych Tleilaxan, którzy uwierzyli, że jesteśmy ich sprzymierzeńcami. Wtopiliśmy się między ludzi. Żyliśmy długo i wiele osiągnęliśmy.

- Dokładnie tak, jak wam kazaliśmy - rzekł Erazm, który wydawał się znudzony tym wykładem.

- Dokładnie tak, jak sami chcieliśmy! - warknął Khrona. - Maskaradnicy są wszędzie i tworzą zbiorowy umysł bardziej rozwinięty niż pozazmysłowe więzi

ludzi, potężniejszy od sieci Omniusa. Tak szybko i łatwo osiągnęliśmy nasz cel.

- A przy okazji nasz - stwierdził Erazm.

Poirytowany niechęcią niezależnego robota do przyznania się do porażki, Khrono czuł, że wzbiera w nim wściekłość.

- Od stuleci przygotowywaliśmy się na dzień, w którym zrealizujemy nasz plan i wyeliminujemy Omniusa - powiedział. - Nigdy nie przyszło nam do głowy, że zrobi to za nas Wyrocznia Czasu. - Zachichotał. - Wasze imperium upadło. I teraz, kiedy flota i zarazy Omniusa powaliły ludzkość na kolana, możemy obudzić nasze ukryte wszędzie komórki maskaradników... wszystkie naraz. Przejmiemy władzę. - Wsparł się pod boki. - Skończył się czas maszyn i ludzi.

Stojący za nim identyczni maskaradnicy mieli nijakie miny. Były to kopie pozbawionej wyrazu twarzy Khrono'a.

- To interesujący i podstępny plan - rzekł Erazm. - W innych okolicznościach mógłbym bić wam brawo za pomysłowość i dwulicowość.

- Nawet jeśli zdołałbyś zebrać swoje roboty, żeby zabiły nas w Synchronii nic by ci z tego nie przyszło. Moje kopie są wszędzie - powiedział drwiąco maskaradnik. - Omnius myślał, że czyni zasiew pod podbój wszechświata, ale tuż pod jego mechanicznym nosem kiełkowały ziarna jego upadku.

Erazm zaczął się śmiać. Początkowo był to chichot, który naśladował, opierając się na wiekowych bazach

danych, ale dodał do niego elementy wyłuskane z innych nagrań. Dźwięki, które były tego rezultatem, całkiem mu się podobały i był pewien, że są przekonujące dla pozostałych.

W swoim niewiarygodnie długim życiu niezwykle robot włożył wiele wysiłku w badanie ludzi i ich emocji. Szczególnie intrygował go śmiech. Pierwszym krokiem, który wymagał setek lat głębokich rozmyślań, było zrozumienie pojęcia h u m o r u, zdobycie wiedzy o tym, jakie okoliczności mogą wywołać tę dziwną, hałaśliwą ludzką reakcję. Zebrał pokaźny zasób ulubionych rodzajów śmiechu. Znakomity repertuar.

Odegrał teraz je wszystkie przez głośniki, ku zdumieniu Khrona'a. Miał jednak świadomość, że nawet najgłośniejszy chichot, rechot czy rzenie nie oddadzą w pełni jego rozbawienia.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytał maskaradnik. - Dlaczego się śmiejiesz?

- Śmieję się, bo nie rozumiesz, jakiego spłatałem ci figla. - Erazm znowu zachichotał i tym razem stworzył wyjątkowy dźwięk, który zawierał w sobie nuty jego najlepszych nagrań. Naprawdę wyrażał on jego poczucie humoru, coś oryginalnego. Po tak długich i trudnych badaniach Erazm cieszył się, że w końcu zrozumiał naturę tego. Było to warte wszystkich udręk Kralizeku.

Niezależny robot odwrócił się do Duncana Idaho, który wysłuchawszy wiadomości o zdradzie goniącej zdradę, miał minę, jakby próbował ułożyć niepasujące do siebie części układanki. Erazm wiedział, że Duncan

nie ma najmniejszego pojęcia, jak osiągnąć pełnię swoich możliwości. Podobnie jak wielu innych ludzi! Robot będzie musiał nim pokierować.

- Śmieję się, bo istotne różnice między ludźmi a maskaradnikami są boleśnie zabawne - powiedział do Duncana, ignorując Khrone'a. - Mam wielką słabość do waszego rodzaju: traktuję was jako coś więcej niż okazy, coś więcej niż ulubione zwierzaki. Nigdy nie przestaliście mnie zadziwiać. Na przekór moim najdokładniejszym przewidywaniom nadal udaje wam się robić to, co nieoczekiwane! Nawet kiedy wasze działania obracają się na szkodę myślących maszyn, potrafię docenić ich wyjątkowość.

Khrone i jego maskaradnicy otoczyli kręgiem ludzi i kilka robotów, jakby spodziewali się, że łatwo ich wyeliminują.

- Twoje słowa i śmiech nic nie znaczą - powiedział przywódca zmiennokształtnych.

Jessika podtrzymywała wciąż słabego Paula, natomiast Chani podniosła zakrwawiony sztylet, którego użyli Paolo i doktor Yueh. Po odzyskaniu wspomnień trzymała broń jak prawdziwa Fremenka, gotowa bronić swojego mężczyzny.

Erazm uśmiechnął się do siebie. Konfrontacja z Duncanem pokazała tylko czubek góry lodowej mocy Kwisatz Haderach. Dla niezależnego robota było to niezwykle ekscytujące - na parę chwil znalazł się na krawędzi śmierci lub czegoś, co było jej odpowiednikiem dla maszyn.

Maskaradnik bardzo się zdziwi, jeśli uważa, że

Duncan Idaho i pozostali ludzie są łatwym łupem. Ale Erazm miał dla niego jeszcze większą niespodziankę.

- Ależ z n a c z ą, drogi Khronie. Ludzie stale potrafią mnie zaskakiwać, natomiast maskaradnicy są w pełni przewidywalni. Szkoda. Miałem nadzieję, że stać cię na coś bardziej oryginalnego.

Khronie zmarszczył brwi i wszyscy maskaradnicy w katedrze przybrali identyczne miny, jakby byli jego lustrzanymi odbiciami.

- Już zwyciężyliśmy, Erazmie - powiedział. - Maskaradnicy opanowali wszystkie kluczowe punkty i nie ma miejsca, w którym mógłbyś się przed nami ukryć. Powstaniemy przeciwko wszystkim planetom ludzi i wszystkim światom maszyn. Zniszczymy je i pozostaniemy tylko my.

- Chyba że postanowię was powstrzymać. - Elastometalowa twarz Erazma przybrała wyraz niezadowolenia. - Być może Omnius był przekonany, że wszyscy jesteście bezwolnymi marionetkami, ale ja nigdy wam nie wierzyłem. Czy ktoś może ufać maskaradnikowi? Wśród ludzi to powiedzenie jest banałem. Ty i twoi kompani zrobiliście dokładnie to, co przewidywałem. Jak moglibyście tego nie zrobić? Jesteście, kim jesteście. Zostało to w was zaprogramowane. - Robot pokręcił ze smutkiem głową. - Cierpliwie przyglądałem się, jak knuliście intrygi, rozsyłaliście szpiegów i budowaliście swoją potęgę - ciągnął. - Myśleliście, że ukrywacie to przed Omniusem, ale nie byliście wystarczająco sprytni. Widziałem wszystko, co robiliście, i p o z w a l a ł e m

na to, ponieważ bawiły mnie wasze gierki.

Khrone przyjął bojową postawę, jakby był gotów zaatakować robota gołymi rękami.

- Nic nie wiesz o naszych poczynaniach! - rzucił.

- No i kto wyciąga wnioski na podstawie niewystarczających danych? - rzekł kpiąco Erazm. - To ja panowałem nad wszystkim od końca Dżihadu Butleriańskiego, od udania się na wygnanie, byśmy ponownie założyli imperium maszyn. Pozwalałem, by Omnius wierzył, że ma nad wszystkim władzę, by podejmował te wszystkie decyzje, ale nawet w pierwszym wcieleniu był utrapieniem, pełen pychy, zadufania i niesamowitego uporu. Bardziej niż większość ludzi! - Okręcił się, aż zawirowały jego wykwintne szaty. - Wszechumysł nigdy nie posiadał umiejętności przystosowania i nigdy nie chciał się przyznać do swoich pomyłek, nie pozwoliłem więc, żeby znowu zaprzepaścił nasze szanse. A zatem od chwili, kiedy pojawiliście się na kresach naszego imperium, przejąłem kontrolę nad programem maskaradników.

Khrone trwał w wyzywającej postawie, ale w jego głosie pojawiła się nuta niepewności.

- Owszem, produkowaliście nas i postaraliście się, byśmy się stali silniejsi niż kiedykolwiek.

- Wyprodukowałem was i w każdym maskaradniku zainstalowałem zabezpieczenia. Jesteście biologicznymi maszynami, które rozwijano tysiące lat zgodnie z moimi szczegółowymi wytycznymi. - Erazm podszedł do Khrone'a. - Narzędzie nigdy nie powinno uznać, że jest

ręką, która go używa.

Wydawało się, że zebrani w nawie maskaradnicy mają przewagę, a Khrone nie cofnął się nawet o krok. Jego twarz przybrała wyraz potwornej, demonicznej furii.

- Twoje kłamstwa już na nas nie działają - powiedział. - Nie ma żadnych zabezpieczeń.

Erazm gorzko westchnął.

- Znowu się mylisz. A oto dowód. - Precyzyjnym ruchem wypolerowanej głowy uruchomił wirusa wszczepionego genetycznie w każdego „udoskonalonego” maskaradnika.

Zmiennokształtny, który stał tuż za Khrone'em, padł nagle, jak rzucona przez rozgrymaszone dziecko lalka, z rozrzuconymi rękami i nogami na posadzkę. Zanim jego twarz powróciła do nijakiego wyrazu, pojawiło się na niej na moment zaskoczenie.

Khrone drgnął. Nie był w stanie tego pojąć.

- Co...

- I następny. - Erazm znowu skinął głową.

Tłum maskaradników w nawie katedry zwalił się jak skoszony łąn. Przy życiu pozostał tylko Khrone, by uznać swą klęskę.

Przeciągnąwszy tę chwilę dla większego efektu, niezależny robot powiedział:

- I j e s z c z e j e d e n. Nie potrzebuję już twoich usług.

Z twarzą ściągniętą wściekłością i rozpaczą Khrone rzucił się na Erazma, ale padł na kamienną posadzkę martwy jak jego bracia.

Robot obrócił się do Duncana Idaho.

- A zatem, Kwisatz Haderach, panuję, jak widzisz, nad fundamentalną częścią naszej ciekawej gry. Nigdy nie ośmieliłbym się stwierdzić, że mam równie wielką moc jak ty, ale w tym konkretnym przypadku okazała się ona całkiem przydatna.

Duncan nie pokazał po sobie zdziwienia.

- Jak daleko sięga ten wirus? - zapytał.

- Tak daleko, jak zechcę. Chociaż Wyrocznia Czasu wyrwała Omniusa z tachionowej sieci, jej sploty nadal istnieją w materii wszechświata. - Erazm znowu poruszył głową i wysłał kolejny sygnał. - Właśnie przekazałem polecenie wirusom we wszystkich maskaradnikach w ludzkiej cywilizacji. Są już martwi. Co do jednego. Były ich dziesiątki milionów.

- Aż tylu! - wykrzyknęła Jessika.

Paul gwizdnął.

- To zupełnie jak cichy džihad - powiedział.

- Większości nigdy byście nie rozpoznali. Niektórzy mieli tak doskonale wdrukowane wspomnienia, że sami uwierzyli, iż są ludźmi. W tym, co pozostało z waszego byłego imperium, ludzie prawdopodobnie będą zaskoczeni, kiedy się okaże, że ich koledzy, przywódcy, przyjaciele, a nawet małżonkowie są maskaradnikami. - Erazm znowu się roześmiał. - Jedną myślą zniszczyłem naszych wrogów. Naszych w s p ó l n y c h wrogów. Widzisz, Duncanie Idaho, że nie musimy stawać przeciwko sobie.

Duncan potrząsnął głową, czując dziwny niesmak.

- Myśląca maszyna ponownie uważa, że

rozwiązaniem problemu jest ludobójstwo - stwierdził.

Teraz zaskoczony był Erazm.

- Nie lekceważ maskaradników - powiedział. - Byli... źli. Tak, to właściwe słowo. A ponieważ każdy z nich był częścią zbiorowego umysłu, wszyscy byli źli. Zniszczyliby was i nas.

- Słyszeliśmy już taką propagandę - odezwała się Jessica. - Prawdę mówiąc, cytowano to jako główny powód, dla którego powinny zostać zniszczone wszystkie m a s z y n y.

Duncan popatrzył na martwych maskaradników i uświadomił sobie, jak wielkie szkody wyrządzili przez stulecia, bez względu na to, czy kierował nimi wszechumysł, czy realizowali własne plany. To oni zabili Garimi, dokonywali aktów sabotażu na statku pozaprzeznaczonym i doprowadzili do śmierci Milesa Tega...

- Nie powiem, żeby było mi z tego powodu bardzo przykro - rzekł, patrząc na Erazma zwięzionymi oczami - ale to, co zrobiłeś, czy co zrobili maskaradnicy, zasługuje na najwyższą pogardę. Nie mogę się z tobą zgodzić. Nie myśl, że coś ci zawdzięczamy.

- Przeciwnie, to ja mam wobec was wielki dług! - Erazm nie posiadał się z zadowolenia. - Reagujesz dokładnie tak, jak się spodziewałem. Sądzę, że po tysiącach lat badań pojąłem w końcu, co to jest honor i lojalność, zwłaszcza dzięki tobie, Duncanie Idaho, który jesteś ich ucieleśnieniem. Nawet po tym, co w oczywisty sposób pomogło waszemu gatunkowi, masz zastrzeżenia moralne do mojej taktyki. Och, jakież to

cudowne! - Popatrzył na martwych maskaradników, na wyraz zdumienia i konsternacji zastygły na twarzy Khrone'a. - Te istoty są twoim przeciwieństwem - powiedział. - Moje maszyny też nie są lojalne ani honorowe. Postępują po prostu zgodnie z instrukcjami, z tym, jak zostały zaprogramowane. Pokazałeś mi to, czego musiałem się dowiedzieć, Kwisatz Haderach. Mam wobec ciebie wielki dług.

Duncan podszedł do niego, szukając jakiegoś sposobu wykorzystania zdolności, które były w nim uśpione. Sama świadomość tego, że jest od dawna oczekiwany Kwisatz Haderach, nie wystarczała.

- To dobrze - odparł. - Bo teraz chcę czegoś od ciebie.

Jedna decyzja, jedna chwila może przesądzić o tym, czy odniesiemy zwycięstwo czy poniesiemy klęskę.

- baszar Miles Teg, *Pamiętniki starego dowódcy*

- To musi być pułapka. - Murbella patrzyła na ogromną, ale nieruchomą flotę wroga. Przeważała ona liczebnie nad statkami ludzi w stosunku sto do jednego, ale myślące maszyny nie wykonywały żadnych manewrów. Matka Dowodząca wstrzymała oddech i zamarła, spodziewając się, że lada chwila zostanie zlikwidowana.

Ale wróg w dalszym ciągu nic nie robił.

- To bardzo denerwujące - szepnęła.

- Wszystkie zapasowe układy gotowe, jak rozkazałaś, Matko Dowodząca - oznajmiła blada młoda siostra. - Może to nasza jedyna szansa, żeby wyrządzić jakieś szkody.

- Powinniśmy otworzyć ogień! - krzyknął administrator Gorus. - Zniszczyć je, dopóki są bezradne.

- Nie - rzekła inna siostra. - Maszyny starają się skłonić nas do opuszczenia pozycji obronnych. To podstęp.

Wszyscy obecni na mostku patrzyli, wstrzymując oddech, na strasznego, ale zachowującego spokój wroga. Statki robotów po prostu dryfowały w zimnej pustce.

- Nie muszą stosować wobec nas żadnych sztuczek

ani pułapek - powiedziała w końcu Murbella. - Spójrzcie na nie! Mogłyby nas zniszczyć w każdej chwili. Tę wojnę wywołały swoją agresją głupie, impulsywne Dostojne Matrony. - Zmrużyła oczy i przyglądała się przeważającym siłom wroga. - Tym razem zastanowię się chwilę i postaram zrozumieć, co się dzieje, zanim otworzymy ogień.

Jej oczy błysnęły. Pamiętała czasy, kiedy miały hipnotyzujący zielony kolor, dzięki czemu udało jej się usidlić Duncana.

„Dziwne są te myśli, które cię nawiedzają, gdy stoisz na progu śmierci...” - stwierdziła.

Kiedy Duncan uciekł z Kapitularza, nikt nie miał pojęcia, kim jest wróg z zewnątrz. Teraz Wyrocznia Czasu powiedziała, że Idaho jest w Synchronii, w sercu imperium myślących maszyn. Czy udało mu się stamtąd wydostać? Jeśli jeszcze żył, mogłaby mu wszystko wybaczyć. Jakże pragnęła znowu go ujrzeć i wziąć w ramiona!

Bolesna cisza przedłużała się. Minęła straszna minuta, potem następna. Murbella widziała siły maszyn przemieszczające się od planety do planety i skutki ich ataków. Widziała rozprzestrzeniane przez nie zarazy, pochowała córkę, Gianne, z tyloma innymi w nieoznakowanym grobie na pustyni Kapitularza.

- Bez względu na to, jaka jest tego przyczyna - powiedziała - myślące maszyny jeszcze nigdy nie były tak bezbronne.

- Skoro mamy zginąć, dlaczego nie weźmiemy ze sobą tylu, ile się da? - spytała szorstko Janess z pokładu

pobliskiego statku.

Murbella przygotowała się na tę chwilę. Wydała rozkazy.

- Dobrze. Nie wiem, dlaczego uzyskaliśmy niespodziewanie tę chwilę wytchnienia - powiedziała. - Może jest nas mało, ale zaatakujemy ostrymi kłami, jak wilki. Wykorzystamy nasze umiejętności.

Jeden z gildian, łysy mężczyzna z wytatuowaną czaszką, który w ostatniej chwili przybył na statek, wpadł w popłoch.

- Wycelowanie broni wymaga precyzyjnych manewrów, Matko Dowodząca! - zawołał. - Nie zrobimy tego bez pomocy.

Murbella spojrzała na niego ze złością.

- Wolę polegać na moich oczach niż na ixańskich systemach. Dzisiaj dałam się już zwieść. Namierzcie największe statki. Zniszczcie ich broń, wyłączcie silniki i ruszajcie na inne.

- Jeśli maszyny odpowiedzą ogniem, szczątki statków wroga zapewnią nam osłonę - stwierdziła Janess.

Łysy gildianin znowu się sprzeciwił.

- Każdy kawałek tego złomu stwarza ryzyko nawigacyjne - powiedział. - Żaden człowiek nie zdoła dostatecznie szybko zareagować. Musimy znowu włączyć ixańskie urządzenia, przynajmniej w ograniczonym zakresie.

Nawet Gorus spojrzał na niego dziwnie. Nagle łysielec krzyknął, odwrócił się od stacji technicznej i upadł. Obok niego osunął się bezgłośnie inny członek nowej załogi. Trzeci przewrócił się na górnym

pokładzie nawigacyjnym.

Podjeżdżając, że ich statki stały się obiektem ataku cichej, zabójczej broni, siostry próbowały ustalić, co się dzieje. Murbella podbiegła do wytatuowanego gildianina, odwróciła go i zobaczyła, jak jego pulchna twarz przybiera nijaki wyraz maskaradnika.

Gorus rozejrzał się, jakby w końcu uświadomił sobie, że został zdradzony. Pozostałe dwa ciała też zmieniły wygląd. Wszyscy byli maskaradnikami.

- Zagwarantowałeś mi, że wszyscy zostali sprawdzeni! - Murbella spiorunowała wzrokiem administratora.

- Mówiłem prawdę! Ale w pośpiechu, by zbudować całą tę waszą flotę, mogliśmy kogoś pominąć. A jeśli ktoś ze sprawdzających sam był maskaradnikiem?

Odwróciła się od niego ze wstrętem. Z innych jednostek napłynął grad depeesz informujących o martwych maskaradnikach. Przebił się przez nie czysty, ostry głos Janess.

- Na moim statku było pięciu zmiennokształtnych, Matko Dowodząca. Teraz wszyscy nie żyją.

Tymczasem ospałe jednostki wroga nadal dryfowały, chociaż mogły łatwo przypuścić atak na Kapitularz i zdobyć planetę.

„Byli wśród nas maskaradnicy działający na rzecz Omniusa - myślała Murbella, zmagając się z kolejną zagadką. - Ale dlaczego padli martwi?”

Niedawno Wyrocznia Czasu zabrała liczne liniowce z tego pola bitwy do Synchronii... do Duncana. Czyżby jej nawigatorzy zadali cios, którego skutek poraził całą

flotę wroga? A może zrobił to D u n c a n? Wydawało się, że coś unieszkodliwiło wszystkie statki myślących maszyn i ich wtyczki, maskaradników.

Murbella wskazała rozciągniętego obok niej martwego maskaradnika.

- Zabierzcie stąd te świństwa.

Nie ukrywając odrazy, kilka siostr odciągnęło straszydła.

Murbella spojrzała na ekran. Patrzyła w takim skupieniu, że aż zapiekły ją oczy. Część jej osobowości, należąca do Dostojnej Matrony, chciała uderzyć z wściekłością i zabić, ale nauki Bene Gesserit kazały jej najpierw z r o z u m i e ć. Nastąpiła jakaś zasadnicza zmiana. Nie mogły jej nic doradzić nawet głosy z Innych Wspomnień. Na razie milczały.

Przedstawiciele ludności na Kapitularku ślali pilne pytania, domagając się wieści z linii frontu i zastanawiając się, jak długo jeszcze będą mogli przetrwać. Murbella nie miała dla nich żadnej odpowiedzi.

- Matko Dowodząca - zgłosiła śmiałą propozycję Janess - a może powinniśmy się wdrzeć na jeden ze statków wroga? Może to być szansa, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Zanim Murbella zdążyła odpowiedzieć, wypaczyła się przestrzeń wokół nich. Pojawiły się ponownie cztery ogromne liniowce, tak blisko statków ludzi, że Murbella krzyknęła na załogę, żeby zrobiła unik. Pilot Gildii na jednej z jednostek zareagował przesadnie, wykonując manewr, w wyniku którego nieomal zderzył się ze

statkiem Janess. Inny wleciał między szczątki pierwszej fali maszyn.

Trzeci obrońca zareagował impulsywnie i otworzył ogień do milczącej floty maszyn, zasypując gradem pocisków stożkowaty dziób ich najbliższej jednostki liniowej. Na kadłubie statku wroga rozbłysła seria eksplozji.

Rozległy się syreny alarmowe i Murbella zażądała meldunków, zastanawiając się, czy maszyny odpowiedzą zmasowanym ostrzałem.

- Przygotować się do ataku! - krzyknęła. - Wszystkie statki, przygotować się do rozpoczęcia ognia! Niczego nie oszczędzajcie!

Ale nawet sprowokowana, flota Omniusa nie ruszyła się. Uszkodzony salwą statek wroga wpadł w dryf, nadal płonąc. Bardzo wolno uderzył w pobliską jednostkę i obie zaczęły koziołkować.

Wróg nie odpowiedział ani jednym strzałem. Murbella nie mogła w to uwierzyć.

- Wyrocznia Czasu przysłała nas tutaj, żebyśmy znaleźli dowódcę sił ludzi - rozległ się spokojny jak nie z tego świata głos nawigatora.

Murbella przepchnęła się do stacji komlinii. - Tu Matka Dowodząca Murbella nowego zgromadzenia żeńskiego... całej ludzkości.

- Mam rozkaz eskortować cię do Synchronii. Przejmuję kontrolę nad twoimi silnikami zaginającymi przestrzeń.

Zanim gildianie zajęli stanowiska, zaczęły głośno buczeć silniki Holtzman. Murbella doznała znanego

wrażenia przesuwania się w przestrzeni.

Twierdzenie, że ludzie są wrogami wszystkich myślących maszyn, jest zbytnim uproszczeniem. Staram się zrozumieć te istoty, ale pozostają dla mnie niepojęte. Mimo to bardzo je podziwiam.

- Erazm, prywatne pliki,
bezpieczna baza danych

- Chcesz czegoś ode mnie? - Żądanie Duncana najwyraźniej bawiło Erazma. - A jak mnie zmusisz, żebym cię posłuchał?

Na ustach mężczyzny pokazał się lekki uśmiech.

- Jeśli naprawdę rozumiesz, co to honor, robocie, nie będę potrzebował tego robić. Zrobisz to, co słuszne, i spłacisz swój dług.

Erazm był szczerze zachwycony.

- Czego jeszcze życzysz sobie ode mnie? - zapytał. - Czy to, że zlikwidowałem maskaradników, nie wystarczy?

- Ty i Omnius byliście odpowiedzialni za dużo więcej psot niż ci zmiennokształtni - odparł Idaho.

- Psot? To chyba było coś poważniejszego niż psoty, prawda?

- I żeby to odpokutować, musisz coś zrobić.

Duncan skupił całą uwagę nie na martwych maskaradnikach ani na dobiegających z miasta odgłosach zniszczeń dokonywanych przez czerwie, lecz na robocie. Paul, Chani, Jessika i Yueh przyglądali mu się w milczeniu.

- Jestem ostatnim Kwisatz Haderach - powiedział Duncan, czując rodzące się w nim, zakodowane w DNA zdolności - lecz muszę pojąć dużo więcej. Rozumiem ludzi, może lepiej niż ktokolwiek inny, ale nie myślące maszyny. Daj mi dobry powód, żebym teraz, kiedy jesteście osłabione, nie wyeliminował was. Wszechumysł postąpiłby tak z nami.

- Tak - rzekł Erazm. - I jesteś ostatnim Kwisatz Haderach. Decyzja należy do ciebie. - Wydawało się, że na coś czeka, a jego włókna optyczne lśniły jak rój gwiazd.

- Czy jest jakiś sposób, który nie wymaga unicestwienia jednej lub drugiej strony? Fundamentalna zmiana we wszechświecie: Kralizek. - Duncan potarł w zamyśleniu brodę. - Flota Omniusa liczy miliony myślących maszyn. Nie zostały zniszczone, a po prostu pozbawione wskazówek, co mają robić, prawda? Jestem też przekonany, że wasze imperium składa się z setek planet, z których wiele nigdy nie będzie się nadawało do zamieszkania przez ludzi.

Platynowy robot, w powiewających wokół niego szatach, zaczął się przechadzać po ogromnym, sklepionym wnętrzu, przestępując ciała maskaradników, które leżały na posadzce jak marionetki z poprzecinanymi sznurkami.

- To dokładna ocena - stwierdził. - Chcesz teraz znaleźć je i zniszczyć, mając nadzieję, że ani jednego nie pominiesz? Teraz, kiedy pozbawione są instrukcji wszechumysłu, możliwe nawet, że niektóre z bardziej zaawansowanych maszyn rozwiną dzięki długiej

deprywacji niezależne osobowości, tak jak ja. Jak bardzo wierzysz w swoje zdolności?

Duncan kroczył tuż za nim. Erazm kilkakrotnie zerknął na niego, robiąc dziwną serię min, od badawczego marszczenia brwi do nieśmiałych uśmiechów. Czy Duncan naprawdę widział tam lekki strach, czy też było to udawane?

- Pytasz mnie, czy chcę zwycięstwa... czy pokoju - powiedział. Nie było to pytanie.

- Ty jesteś nadczołowiekiem. Powtarzam: sam zdecyduj.

- W ciągu tak wielu żywotów, że nie potrafię ich zliczyć, nauczyłem się cierpliwości. - Duncan wziął długi, głęboki oddech, wykorzystując starą technikę mistrzów miecza, by skupić myśli. - Mam wyjątkową możliwość zbliżenia obu stron. I ludzie, i maszyny są poobijani i osłabieni. Czy mam wybrać eksterminację jednej ze stron?

- Albo uzdrowienie obu? - Erazm zatrzymał się i spojrzał na niego z twarzą bez wyrazu. - Powiedz mi, na czym dokładnie polega ten dylemat. Omnius został usunięty ze wszechświata i reszta myślących maszyn nie ma przywództwa. Jednym szybkim uderzeniem usunąłem zagrożenie ze strony maskaradników. Nie widzę, co jeszcze zostaje do rozwiązania. Czy nie spełniło się proroctwo?

Duncan uśmiechnął się.

- Tak jak w przypadku wielu innych proroctw, szczegóły są tak niewyraźne, iż można przekonać każdy łatwowierny umysł, że wszystko zostało

„przepowiedziane”. Bene Gesserit i ich Missionaria Protectiva były w tym mistrzyniami. - Spojrzał uważnie na robota. - I myślę, że ty też.

Erazm wydawał się zarówno zaskoczony, jak i pod wrażeniem tego, co usłyszał.

- Co sugerujesz?

- To ty zajmowałeś się „projekcjami matematycznymi” i opierającymi się na nich „proroctwami”, więc mogłeś tworzyć przewidywania, jakie chciałeś. Omnius wszystkiemu wierzył.

- Twierdzisz, że s f a b r y k o w a ł e m te proroctwa?

- zapytał Erazm. - Może po to, by pokierować wszechumysłem uparcie zdecydowanym na przyjęcie jednej linii działania? A może by doprowadzić do tego akurat punktu? Bardzo interesująca hipoteza. Godna prawdziwego Kwisatz Haderach. - Jego uśmiech wydawał się tak szczery jak nigdy dotąd.

- Jako Kwisatz Haderach - rzekł Duncan, uśmiechnąwszy się chłodno - wiem, że moja wiedza i zdolności zawsze będą miały ograniczenia, nawet kiedy się rozwinę. - Stuknął robota palcem w środek piersi. - Odpowiedz mi. Manipulowałeś przepowiedniami?

- Ludzie tworzyli niezliczone projekcje i legendy na długo przedtem, nim się pojawiłem. Po prostu zaadaptowałem te, które mi się najbardziej podobały, stworzyłem skomplikowane obliczenia, które dały pożądane przewidywania, i przekazałem je wszechumysłowi. Omnius, z typową dla siebie krótkowzrocznością, widział tylko to, co chciał widzieć. Wmówił sobie, że „w końcu” wielka zmiana we

wszechświecie wymaga jego „zwycięstwa”. I potrzebował Kwisatz Haderach. Omnius nauczył się wielu rzeczy, ale arogancję opanował aż nazbyt dobrze.

- Erazm zamiótł szatami.
- Bez względu na to, co myśleli Omnius i maskaradnicy, to ja zawsze rozdawałem karty.
- Wzniósłszy ręce, wskazał obdarzoną czuciem katedrę, Synchronię i resztę imperium myślących maszyn.
- Nasze siły nie są całkiem pozbawione przywództwa - rzekł.
- Skoro nie ma już wszechumysłu, teraz ja kieruję myślącymi maszynami. Mam wszystkie kody, dostęp do skomplikowanego, wzajemnie połączonego oprogramowania.

Duncanowi przyszedł do głowy pomysł, który po części był jasnowidzeniem, po części podszeptem intuicji, a po części hazardowym zagranieniem.

- Albo kontrolę przejmie ostatni Kwisatz Haderach - stwierdził.

- Wydaje się, że to dużo zgrabniejsze rozwiązanie.

Na elastometalowej twarzy robota pojawił się dziwny wyraz.

- Zaciekawiasz mnie, Duncanie Idaho.

- Daj mi kody i dostęp do programów.

- Mogę dać ci więcej... tak, to wymaga dużo więcej. Całe imperium maszyn, miliony jego składników. Musiałbym podzielić się z tobą... całym sobą, tak jak moi maskaradnicy dzielili się ze mną tymi cudownymi żywotami. Ale dla Kwisatz Haderach to byłoby właśnie tym.

Zanim robot zdążył się ponownie roześmiać, Duncan wyciągnął rękę i ujął wysuwającą się z rękawa

wykwintnej szaty elastometalową dłoń.

- A więc zrób to, Erazmie.

Przysunął się bliżej, wyciągnął drugą rękę i przyłożył ją do twarzy robota dziwnie zażyłym gestem. Wydawało się, że kieruje nim prekognicja.

- Duncan, to niebezpieczne - rzekł Paul. - Wiesz o tym.

- To ja jestem niebezpieczny, Paul. Nie mnie grozi niebezpieczeństwo. - Idaho zbliżył się do Erazma na kilka zaledwie centymetrów, czując kłębiące się w nim możliwości. Chociaż w przyszłości były martwe punkty, problemy i pułapki, których nie był w stanie przewidzieć, czuł się pewien siebie.

Robot nie ruszał się, jakby oceniał sytuację, a potem chwycił rękę Duncana i - podobnym jak on gestem - dotknął jego twarzy. Ciemne brwi Duncana ściągnęły się, kiedy przeżywał dziwne doznania. Zimny metal wydawał się zaskakująco miękki i Idaho miał wrażenie, jakby się w nim zatapiał. Wybiegł umysłem na niezbadane terytorium myśli robota. Erazm zrobił to samo, zagłębiając się w jego myślach. Jego palce się wydłużyły, obejmując dłoń Duncana jak rękawiczka. Kiedy elastometal pokrył nadgarstek i rozciągnął się na przedramię, Idaho ogarnął przenikliwy ziąb.

- Wyczuwam między nami rosnące zaufanie, Duncanie Idaho - rzekł robot.

Mijały chwile i Duncan nie był w stanie powiedzieć, czy bierze informacje od niego, czy też Erazm oddaje rodzącemu się Kwisatz Haderach to, co mu potrzebne, w s z y s t k o, czego potrzebuje. I chociaż byli

połączeni, Duncan musiał pójść dalej. Lepka, metaliczna substancja pokrywała jego ramię jak trocie piaskowe, które tak dawno temu ogarnęły ciało młodego Leto II.

Słyszę wzywający mnie zew Wieczności.

- Leto Atryda II, zapisy z Dar-es-Balat

Po ciężkich zniszczeniach w mieście maszyn i usunięciu Omniusa główne składniki Synchronii przestały się poruszać. Budynki już nie nadymały się i nie przesunęły jak elementy układanki, już nie przybierały dziwnych kształtów. Miasto zupełnie znieruchomiało, niczym ogromny, zepsuty silnik. Wiele ulic było zablokowanych, niektóre konstrukcje do połowy pogrzebane w ziemi albo częściowo uformowane, w powietrzu zawisły tramwaje na niewidzialnych przewodach elektronicznej trakcji. Ulice usiane były groteskowymi ciałami maskaradników i roztrzaskanych robotów bojowych. W niebo wznosiły się słupy ognia i dymu.

Sziena, wyczerpana mimo zwycięstwa, rozglądała się z nabożnym podziwem i radością. Poszła zniszczoną ulicą i zobaczyła chłopca stojącego samotnie między wyniosłymi budynkami. Leto II wyglądał na wycieńczonego, ale potężniejszego, niż wydawał jej się kiedykolwiek przedtem. Zostawił czerwie, skierowawszy je w miasto, ale mimo iż stał tutaj, przed nią, był nadal ich częścią.

Kiedy zadarł głowę, by spojrzeć na jeden z dyndających w górze tramwajów, Sziena zauważyła w nim coś dziwnego, potężną osobowość, której wcześniej nie dostrzegała. Zrozumiała.

- Odzyskałeś swoje wspomnienia - powiedziała.

- W każdym szczególe. Właśnie je przeglądałem. - W jego oczach, błękitnych teraz w błękicie wskutek nasycenia przyprawą z ciał czerwii, nad którymi panował, widać było stulecia. - Jestem Tyranem. Bogiem Imperatorem. - Głos Leto II brzmiał głośniejsze, ale słysząc w nim było głębokie znużenie.

- Jesteś też Leto Atrydą, bratem Ganimy, synem Muad'Diba i Chani.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, jakby zdjęła z jego barków część ciężaru.

- Tak, tym też. Jestem wszystkim, czym był mój poprzednik, i wszystkim, czym są czerwie. Znajdująca się w nich perła znów została otwarta. On już nie śpi.

Sziena przypomniała sobie cichego chłopca ze statku. Jego przeszłość była dużo gorsza niż kogokolwiek innego, a teraz tamtego chłopca już nie było.

- Pamiętam każdą śmierć, do której się przyczyniłem. Każdą. Pamiętam wszystkich moich Duncanów i powód, dla którego każdy z nich zginął.

Leto spojrzał w górę, po czym złapał ją za ramię i odciągnął w stronę skrzyśconego budynku, który wystawał do połowy z ziemi.

Parę sekund później niewidzialna linia nad ich głowami pękła i dokładnie w miejscu, w którym wcześniej stali, rozbił się o bruk tramwaj.

- W i e d z i a ł e m, że spadnie - powiedział Leto.

Sziena uśmiechnęła się łagodnie.

- Każdy z nas ma szczególne talenty - rzekła.

Wspięli się na ruiny zawalonego budynku, by mieć lepszy widok na spustoszenia w mieście.

Zdezorientowane roboty kręciły się wśród dymiących stert metalu i połamanych konstrukcji, jakby czekały na rozkazy.

- Jestem Kwisatz Haderach - powiedział Leto II nieobecny głosem. - Tak jak mój ojciec. Ale teraz bardzo dużo się zmieniło. Czy zaplanowałem to dawno temu jako część mojego Złotego Szlaku?

Ze wzruszonej i stratowanej ziemi przed nimi wynurzyły się cztery czerwie, jakby przybyły na jego wezwanie, i uniosły łby nad rumowisko. Sziena usłyszała donośne odgłosy kruszenia i z innych stron nadciągnęły pozostałe trzy bestie, roztrzaskując budynki i drążąc tunele w ich zwałach. Nieco większe niż poprzednio, otoczyły Leto i Szienę.

Największy z nich, ten, którego nazwała Monarchą, zwrócił ku nim głowę. Leto zsunął się po szczątkach budynku na spotkanie z nim.

- Odzyskałem wspomnienia - rzekł do Szieny, idąc naprzeciw stworzeniu - ale nie ten stan rozmarzenia, w którym znajdowałem się jako Bóg Imperator, kiedy człowiek i czerw stanowili jedno. - Monarcha położył łeb u podstawy rumowiska, podobnie pozostałe czerwie, jak suplikanci przed królem. Powietrze wypełnił wydobywający się z ich oddechem cynamonowy zapach melanzu.

Leto wyciągnął rękę i pogładził zaokrągloną krawędź pyska Monarchy.

- Zaczniemy znowu razem marzyć? - spytał. - A może powinienem pozwolić ci zapaść z powrotem w spokojny sen?

Sziena również dotknęła bez strachu czerwia i poczuła twardy pancerz jego pierścieni.

- Brakuje mi osób, które kiedyś znałem, zwłaszcza Ganimy - dodał chłopiec z westchnieniem. - Nie sprowadziłyście jej ze mną w ramach waszego programu hodowli gholi.

- Nie zważałyśmy na koszty osobiste ani na konsekwencje - rzekła Sziena. - Przepraszam.

W ciemnoniebieskich oczach Leto pojawiły się łzy.

- Mam tyle bolesnych wspomnień sprzed momentu, w którym połączyłem się z trociami piaskowymi. Ojciec nie zdecydował się dokonać wyboru, którego ja dokonałem, nie chciał składać daniny krwi za wejście na Złoty Szlak, ale ja myślałem, że wiem lepiej. Ach, jacy aroganccy potrafimy być w młodości!

Przed Leto podniósł się największy czerw. Jego rozwarty pysk wyglądał jak jaskinia pełna silnej przyprawy.

- Na szczęście wiem, jak powrócić do śniącej istoty Tyrana, Boga Imperatora. Prawdziwego syna Muad'Diba. - Zerknąwszy na Szienę, dodał: - Biorę ostatnich kilka łyków mojego człowieczeństwa. - A potem wszedł do ziejącej paszczy i przekroczył ogrodzenie krystalicznych zębów.

Sziena rozumiała, co robi Leto. Próbowала tego samego, ale bezskutecznie. Czerw pochłonał chłopca, zamknął paszczę i cofnął się. Leto odszedł.

Sziena usiłowała stać prosto, choć ugięły się pod nią kolana. Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy Leto. Zostanie na zawsze z czerwiami, wtopiony w ciało

Monarchy, stawszy się raz jeszcze perłą świadomości.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedziała.

Ale spektakl jeszcze się nie skończył. Pozostałe czerwie uniosły się obok Monarchy i zawisły nad nią. Stała bez ruchu, jednocześnie przerażona i zafascynowana. Czy ją też pożrą? Przygotowała się na swój los. Jako młoda dziewczyna, po zniszczeniu przez czerwia jej wioski na Rakis, wybiegła jak szalona na pustynię i wyzywała go, krzyczała, by ją też pochłoniął.

- No, Szejtanie, masz na mnie teraz apetyt? - spytała bez strachu.

Ale nie chciały jej. Zamiast tego siedem czerw zebrało się i weszły jeden na drugiego, wijąc się jak kłębowisko węży. Mając w sobie Leto, ulegały przemianie. Sześć z nich owinęło się wokół największej bestii, która połknęła chłopca. Oplotły ją niczym winorośl drzewo, po czym ruszyły razem.

Sziena wdrapała się z powrotem na ruiny, by nie przygniótł jej osypujący się gruz. Czerwie zaczęły się łączyć w jedno, dużo większe stworzenie. Ich pierścienie stopiły się w niewiarygodnie wielką bestię, potężniejszą nawet od największych potworów z legendarnej Diuny.

Sziena potknęła się i padła na rumowisko, ale nie mogła oderwać wzroku od wijącego się, długiego na setki metrów cielska.

- Szej-hulud - szepnęła, świadomie unikając nazwy S z e j t a n, którą zawsze zwracała się do czerw. Był to naprawdę boski pradziad pustyni. Przyprawiająca o zawroty głowy woń melanzu była silniejsza niż

kiedykolwiek.

Najpierw pomyślała, że olbrzym w końcu ją pożre, ale gigantyczny czerw odwrócił się i runął z ogłuszającym hukiem, wdzierając się pod miasto maszyn.

Do swojej nowej ojczyzny.

Przebiegł ją dreszcz niezwyklej rozkoszy. Wiedziała, że pod powierzchnią czerw znowu się podzieli. Połączone z Leto II stworzenia będą bardziej odporne na wilgoć, co pomoże im przetrwać, dopóki nie przemienią byłej planety maszyn w swoje królestwo. Pewnego dnia zaczną się wspaniale rozwijać na tym świecie, zawsze czając się pod powierzchnią, zawsze czujne.

Aby pokonać ludzi, trzeba by się stać takimi jak oni, nie mieć nad nimi litości, ścigać ich i zniszczyć do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka. Zrobić to, co oni starali się zrobić nam.

- Erazm, bank danych o ludzkiej agresji

- Czy z moją ciekawością, wielowiekowym istnieniem i zrozumieniem zarówno ludzi, jak i maszyn - dumał Erazm, umysłowo i fizycznie połączony z Duncanem - nie jestem mechanicznym odpowiednikiem Kwisatz Haderach? Skróceniem drogi dla myślących maszyn? Mogę być w wielu miejscach jednocześnie i widzieć miriady rzeczy, których nigdy nie wyobrażał sobie nawet Omnius.

- Nie jesteś Kwisatz Haderach - odparł Duncan. Zdał sobie sprawę, że spieszą ku niemu jego towarzysze. Ale płynny metal ogarniał teraz jego ramiona i twarz, a on nie pragnął oderwać się od Erazma.

Pozwolił, by fizyczna reakcja między nim i robotem trwała. Nie chciał uciec. Jako nowy przywódca rodzaju ludzkiego musiał iść naprzód. Otworzył więc umysł i chłonał dane.

W jego głowie rozległ się głos mocniejszy od wirujących wspomnień i strumieni danych.

- *Mogę odcisnąć w twoich komórkach nerwowych kody, których szukasz, Kwisatz Haderach. Twoje neurony, samo twoje DNA tworzą powiązaną sieć nowej bazy danych.*

Duncan wiedział, że znalazł się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu.

- *Zrób to* - rzekł.

Otworzyły się psychiczne zastawki, wypełniając jego umysł po brzegi doświadczeniami robota i chłodno uporządkowanymi informacjami. Zaczął postrzegać rzeczy z całkowicie obcego punktu widzenia.

Przez wiele tysięcy lat eksperymentów Erazm starał się zrozumieć ludzi. Jak mogli pozostawać tacy tajemniczy? W zestawieniu z niewiarygodnym bogactwem doświadczeń robota nawet liczne żywoty Duncana wydawały się ubogie. W jego głowie huczało od widoków i wspomnień i wiedział, że samo ich przeszukanie zajmie mu więcej niż jeszcze jedno życie.

Widział na żywo Serenę Butler i jej dziecko oraz zaskakującą reakcję ogromnych rzesz ludzi na to, co Erazmowi wydawało się śmiercią jednej, nic nieznaczącej istoty... Wyjące tłumy powstające do walki, w której nie miały żadnych szans. Ludzie byli irracjonalni, zrozpaczeni i w końcu zwyciężyli. Było to niepojęte. Nielogiczne. A jednak dokonali niemożliwego.

Od piętnastu tysięcy lat Erazm pragnął zrozumieć, ale nie doznał podstawowego objawienia. Duncan czuł, że robot szpera w jego umyśle, szukając tego sekretu, nie z potrzeby dominacji i podboju, ale po prostu, by w i e d z i e ć.

Skupienie się w takim zalewie informacji sprawiało Duncanowi kłopot. Wycofał się więc i poczuł, że elastometal odpływa w przeciwną stronę, chociaż nie

całkowicie, bo jego wewnętrzna budowa komórkowa została na zawsze zmieniona.

Doznał olśnienia - uświadomił sobie, że jest nowym wszechumysłem, kompletnie innym od pierwotnego. Erazm go nie oszukał. Przez miliardy czujników widział wszystkie statki wroga, maszyny bojowe i robocze, każdy maleńki trybik w budzącym podziw odrodzonym imperium.

I mógł to wszystko zatrzymać. Jeśli tego zapragnie.

Kiedy doszedł do siebie i powrócił do swojego względnie ludzkiego ciała, rozejrzał się po ogromnej nawie własnymi oczami. Stał przed nim Erazm, już oddzielony, i uśmiechał się z miną, która najwyraźniej wyrażała autentyczną satysfakcję.

- Co się stało, Duncan? - zapytał Paul.

Idaho wypuścił długo trzymane w płucach powietrze.

- Nic, czego nie zapoczątkowałem, Paul, ale jestem tutaj, z powrotem.

Podbiegł do niego Yueh.

- Nic ci nie jest? Myśleliśmy, że mogłeś wpaść w śpiączkę, jak... jak on. - Wskazał nadal nieruchomego Paola.

- Jestem cały i zdrowy... ale nie niezmieniony. - Duncan spojrzał z podziwem na rozległe miasto. - Erazm podzielił się ze mną w s z y s t k i m... nawet najlepszymi częściami swojej osobowości.

- Właściwe podsumowanie - powiedział robot, bezsprzecznie zadowolony. - Kiedy wniknąłeś we mnie i coraz bardziej się zagłębiałeś, stałeś się bezbronny. Gdybym chciał wygrać tę grę, mógłbym spróbować

zawładnąć twoim umysłem i zaprogramować cię tak, byś zrobił to, co przyniosłoby korzyść mnie i myślącym maszynom. Dokładnie tak, jak postąpiłem z maskaradnikami.

- Ale wiedziałem, że tego nie zrobisz - rzekł Duncan.

- Kierując się jasnowidzeniem czy wiarą? - Na twarzy robota pojawił się przebiegły uśmiech. - Teraz masz kontrolę nad myślącymi maszynami, Kwisatz Haderach... nad wszystkimi, włącznie ze mną. Masz wszystko, czego potrzebujesz. Dysponując taką władzą, zmienisz wszechświat. To Kralizek. Widzisz? W końcu doprowadziliśmy do spełnienia się proroctwa.

Pozornie sam wśród szczątków ogromnego imperium, Erazm znowu zaczął się przechadzać po katedrze.

- Możesz je wszystkie wyłączyć, jeśli chcesz, i na zawsze wyeliminować myślące maszyny. Albo, jeśli masz odwagę, możesz zrobić z nimi coś bardziej pożytecznego.

- Wyłącz je, Duncan - powiedziała Jessika. - Skończ z tym! Pomyśl o tych miliardach ludzi, których zabiły, o tych wszystkich zniszczonych przez nie planetach.

Idaho spojrział w zamyśleniu na swoje dłonie.

- Ale czy to honor tak postąpić? - spytał.

- Przez tysiące lat badałem ludzi i starałem się ich zrozumieć... nawet naśladowałem ich. - Erazm mówił neutralnym, bynajmniej nie błagalnym tonem. - A kiedy ostatni raz ludzie zadali sobie trud, żeby się zastanowić, co mogą zrobić myślące maszyny? Tylko pogardzanie nami. Ta wasza Wielka Konwencja z jej strasznym

zakazem: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”. Czy naprawdę tego chcesz, Duncan? Wygrać tę ostatnią wojnę, usuwając wszelki ślad po nas... tak jak Omnius chciał ją wygrać, likwidując was? Czy nie nienawidziłeś wszechumysłu za tę właśnie postawę, za ten upór? Czy też tak do tego podchodzisz?

- Masz mnóstwo pytań - zauważył Duncan.

- A do ciebie należy wybór jednej odpowiedzi. Dałem ci wszystko, czego potrzebujesz. - Robot cofnął się i czekał.

Duncan czuł pilną potrzebę, być może wywołaną przez Erazma, znalezienia rozwiązania. Przez głowę przebiegały mu różne możliwości wraz z konsekwencjami wyboru każdej z nich. Narastała w nim świadomość, że musi położyć kres trwającemu od eonów rozłamowi między ludźmi a maszynami. Myśląc maszyny zostały przecież stworzone przez człowieka, ale chociaż obie strony były nierozzerwalnie związane, każda wielokrotnie starała się zniszczyć drugą. Zamiast pozwolić, by jedna z nich zapanowała, musiał znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę.

Widział wielki historyczny łuk spinający przeciwstawne siły, ewolucję społeczną o imponujących rozmiarach. Przed tysiącami lat Leto II połączył się z wielkim czerwem, uzyskując dużo większą moc. Wiele wieków później, pod przewodnictwem Murbelli, dwie wrogie grupy kobiet zjednoczyły się, tworząc syntezę odmiennych kultur. Nawet Erazm i Omnius byli dwoma aspektami tego samego bytu, kreatywności i logiki,

ciekawości i twardych faktów.

Potrzebna była równowaga między ludzkim sercem a umysłem maszyny. To, co otrzymał od Erazma, mogło się stać bronią albo narzędziem. Musiał to właściwie wykorzystać.

„Muszę posłużyć jako synteza człowieka i maszyny”
- pomyślał.

Spojrzał robotowi w oczy i tym razem połączył się z nim bez kontaktu fizycznego. W Kwisatz Haderach pozostało odbicie Erazma, tak jak w Matkach Wielebnych Inne Wspomnienia.

Wziąwszy głęboki oddech, Duncan zmierzył się z przytłaczającym problemem.

- Kiedy obaj z Omniusem przybraliście kształty pary staruszków, pokazaliście istniejące między wami różnice - powiedział. - Zachowując niezależność, Erazmie, przyswoiłeś sobie ogromny zasób danych i intelekt, natomiast Omnius dowiedział się od ciebie, co to znaczy mieć s e r c e, ludzkie uczucia: ciekawość, natchnienie, pragnienie zgłębienia tajemnic. Jednak nawet ty nie osiągnąłeś człowieczeństwa we wszystkich aspektach, które tak cię pociągały.

- Ale teraz mogę. Oczywiście za twoją zgodą.

Duncan odwrócił się do Paula i pozostałych.

- Po Dżihadzie Butleriańskim ludzka cywilizacja posunęła się za daleko, wprowadzając całkowity zakaz korzystania ze sztucznej inteligencji. Zabroniwszy produkcji wszelkiego rodzaju komputerów, pozbawiliśmy się cennych narzędzi. Nasza przesadna reakcja stworzyła niestabilną sytuację. Historia

pokazała, że takie kategoryczne, drakońskie zakazy są na dłuższą metę nie do utrzymania.

- Jednak obywanie się przez tak wiele pokoleń bez komputerów zmusiło nas do uniezależnienia się od nich i wzmocniło - powiedziała sceptycznie Jessika. - Od tysięcy lat ludzkość rozwijała się bez urządzeń, które myślałyby i decydowały za nas.

- Tak jak Fremeni nauczyli się żyć na Arrakis - dodała z wyraźną dumą Chani. - To jest dobre.

- Owszem, ale ta gwałtowna reakcja związała nam też ręce i przeszkodziła w wykorzystaniu innych możliwości - odparł Duncan. - Czy dlatego, że chodzenie wzmacnia nasze nogi, mamy zrezygnować z pojazdów? Dzięki stałym ćwiczeniom poprawia się nasza pamięć. Czy to znaczy, że mamy się wyrzec środków zapisywania lub nagrywania naszych myśli?

- Nie powinno się wylewać dziecka z kąpielą, jak mówi wasze starożytne przysłowie - wtrącił Erazm. - Kiedyś zrzuciłem dziecko z balkonu. Miało to straszne konsekwencje.

- Nie obchodziliśmy się bez maszyn - zauważył Duncan, skryształizowawszy swe myśli. - Jedynie zmieniliśmy ich definicję. Przecież mentaci są ludźmi, których umysły zostały wyćwiczone tak, by działały jak umysły maszyn. Mistrzowie tleilaxańscy wykorzystywali ciała kobiet jako kadzie aksolotlowe... żywe maszyny, które produkowały ghole albo przyprawę.

Kiedy Paul spojrzał na niego, Idaho pomyślał, że twarz młodzieńca wydaje się bardzo stara. Powrót do

poprzedniego życia wyczerpał go bardziej niż śmiertelna rana. Jako były Kwisatz Haderach, Muad'Dib, Imperator i niewidomy Kaznodzieja, Paul rozumiał dylemat Duncana lepiej niż ktokolwiek z obecnych. Skinął lekko głową.

- Nikt nie może dokonać wyboru za ciebie, Duncan - powiedział.

Oczy Duncana wyglądały, jakby wpatrywał się w dal.

- Możemy osiągnąć dużo, dużo więcej - stwierdził. - Widzę to. Ludzie i maszyny w pełni współpracują, żadna ze stron nie zniewala drugiej. Ja jestem pomostem między nimi.

- Teraz widzisz, Kwisatz Haderach! - rzekł robot autentycznie podekscytowany. - Pomogłeś mi zrozumieć. Moją drogę też skróciłeś. - Elastometalowe ciało Erazma zmieniło kształt niczym mechaniczny odpowiednik maskaradnika, przybierając znowu postać miłej staruszki. - Zakończyły się moje długie poszukiwania. Wreszcie, po tysiącach lat, rozumiem tak dużo. - Uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, niewiele więcej już mnie interesuje.

Staruszka podeszła do miejsca, w którym leżał nadal sparaliżowany Paolo, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń.

- Ten nieudany Kwisatz Haderach jest dla mnie lekcją pogładową - powiedziała. - Chłopiec drogo zapłacił za zdobycie zbyt dużej wiedzy. - Patrzące bez mrugnięcia w pustkę oczy Paola zdawały się wysychać. Prawdopodobnie umrze z głodu, zagubiony w nieskończonym labiryncie wiedzy absolutnej. - Nie chcę

być taki znudzony. Proszę cię więc, Kwisatz Haderach, byś pomógł mi pojąć coś, czego nigdy nie byłem w stanie doświadczyć, ostatni fascynujący aspekt człowieczeństwa.

- To żądanie? - zapytał Duncan. - A może prośba o przysługę?

- Dług honorowy. - Staruszka pogładziła sękatą dłonią rękaw sukni. - Jesteś uosobieniem najlepszych cech człowieka i maszyny. Pozwól mi zrobić to, co mogą zrobić tylko żywe istoty. Poprowadź mnie do śmierci.

Tego Idaho nie przewidział.

- Chcesz umrzeć? - spytał zaskoczony. - Jak mogę ci w tym pomóc?

Staruszka wzruszyła kościstymi ramionami.

- Dzięki licznym żywotom i zgonom stałeś się ekspertem w tej materii - odparła. - Spójrz w swoje wnętrze, a dowiesz się.

W ciągu tysiącleci, które minęły od Dżihadu Butleriańskiego, Erazm rozważał możliwość rozpowszechnienia, wzorem Omniusa, swoich kopii na innych planetach, ale ostatecznie zrezygnował z tego. Jego egzystencja stałaby się mniej inspirująca i ważna. Był w końcu niezależnym robotem, musiał więc być wyjątkowy.

Duncan stwierdził, że razem ze wszystkimi kodami i komendami, które dawały mu kontrolę nad całą chmurą myślących maszyn, dostał od Erazma klucze do jego funkcji życiowych. Mógł go wyłączyć tak samo łatwo, jak on unieszkodliwił wszystkich maskaradników.

- Jestem ciekaw, co leży po drugiej stronie wielkiej przepaści oddzielającej życie od śmierci. - Robot popatrzył na Khronę'a i identyczne ciała zmiennokształtnych rozrzucone po nawie katedry.

Ale nie było to takie proste jak wciśnięcie przełącznika czy przesłanie kodu. Duncan żył i umierał wielokrotnie, wiedział więc o życiu i śmierci więcej niż ktokolwiek inny. Czy teraz, kiedy każdy z nich był w umyśle drugiego, Erazm chciał się dowiedzieć, czy robot może mieć duszę?

- Chcesz, żebym służył ci za przewodnika - rzekł Idaho - a nie, bym został tylko twoim katem.

- Doskonale to ująłeś, przyjacielu. Myślę, że mnie rozumiesz. - Staruszka spojrzała na niego i teraz w jej uśmiechu widać było lekkie zdenerwowanie. - W końcu, Duncanie Idaho, robiłeś to wielokrotnie. Ale dla mnie będzie to pierwszy raz.

Duncan dotknął jej czoła. Było ciepłe i suche.

- Jak tylko będziesz gotowy - powiedział.

Staruszka usiadła na kamiennych stopniach. Złożywszy ręce na podolku, zamknęła oczy.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś spotkam Serenę?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć.

Wydanym w myślach poleceniem Duncan uruchomił jeden z nowych kodów, które otrzymał. Sięgając do swoich licznych doświadczeń śmierci, pokazał Erazmowi, co wiedział, chociaż sam nie w pełni to pojmował. Nie był pewien, czy niezależny robot jest w stanie za nim podążać. Erazm będzie musiał wybrać własną drogę. Rozdzielili się i każdy udał się w inną

podróż.

Ciało staruszki osunęło się cicho na schody, a z jej ust wydobyło się długie westchnienie. Na jej twarzy odmalował się wielki spokój... a potem zupełnie znieruchomiała, ze szklanym wzrokiem utkwionym wprost przed siebie.

Po śmierci robot zachował ludzki kształt.

Dopóki człowiek żyje, dopóty tli się w nim nadzieja... tak przynajmniej mówi stare powiedzenie. Ale prawdziwie wierzący zawsze mają nadzieję i nie decyduje o niej ani życie, ani śmierć.

- mistrz tleilaxański Scytale,
Moja interpretacja szariatu

Pod spalonym niebem Rakis rozpacz przywiodła Wafla w miejsce równie ponure jak zniszczony krajobraz wokół niego. Na zeszlonej pobliskiej wydnie ostatnie iskierki życia tliły się już tylko w jednym z jego drogocennych opancerzonych czerw. Pozostałe zdechły. Mistrz tleilaxański zawiódł swojego Proroka.

Modyfikacje komórek, których dokonał, okazały się niewystarczające, a nie miał ani troci piaskowych, ani odpowiednich warunków, by stworzyć dodatkowe czerwie doświadczalne. Czuł, jak w klepsydrze jego życia przesypują się ostatnie ziarnka piasku. Jego ciało nie przetrwa wystarczająco długo, by zdążył przeprowadzić próby z nowym rodzajem hybrydowych czerw, nawet gdyby miał jeszcze możliwość takich eksperymentów. Przed poddaniem się uszkodzeniom, skutkowi przyspieszonego dojrzewania w jego ciele gholi, powstrzymywała go tylko nadzieja, że przywróci te czerwie Rakis. Teraz się rozpadał.

Wzniósłszy pięść do nieba, krzycząc w suchym, gryzącym powietrzu, domagał się od Boga odpowiedzi,

choć żaden śmiertelnik nie miał do tego prawa. Potem osunął się na kolana, uderzył rękami w twardą, spękaną powierzchnię i zapłakał. Miał brudne ubranie, twarz usmarowaną sadzą. Na wspaniałych niegdyś wydmach leżały martwe jego czerwie. Zaprawdę, były symbolem końca wszelkiej nadziei.

Rakis była na zawsze przeklęta, skoro nie chciał tu już żyć nawet Prorok.

Kiedy tak klęczał, poczuł nagle dobiegający spod powierzchni wstrząs. Wibracje się nasilały. Podniósł ze zdumieniem głowę, mrugając piekącymi oczami. Ostatni, umierający czerw drgnął, jakby on też czuł, że dzieje się coś ważnego.

W zeszklonym gruncie pojawiła się z ogłuszającym trzaskiem, który zatrzęsł rozrzedzonym powietrzem, szczelina. Waff podniósł się z trudem i patrzył na poruszającą się, biegnącą zygzakiem wyrwę, nie bardzo pojmując, co widzi.

Wokół niego zaczęły powstawać niczym drobne pęknięcia w zbrojonym plazie poszarpane rysy. Wydmy trzęsły się i falowały, kiedy coś wyłaniało się spod nich.

Potykając się, Waff się cofnął. Leżący u jego stóp ostatni karłowaty czerw poruszył się, jakby chciał ostrzec mistrza, że zaraz dokona żywota i że człowiek, który go stworzył, też niedługo umrze.

Rozległa się seria wybuchów i spod wydm trysnęły gejzery piasku. W ziejących jak kratery rozpadlinach pojawiły się poruszające się kształty. Waff ujrzał, jakby śnił na jawie, ogromne pierścienie pokryte kamieniami i pyłem, olbrzymy powstające spod ziemi w kaskadzie

piasku.

C z e r w i e. Prawdziwe czerwie - potwory wielkości tych, które przemierzały pustynię w czasach, gdy ta planeta zwana była Diuną. Odrodzona legenda i tajemnica!

Tleilaxanin stał jak skamieniały, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, ale przepełniony nie strachem, lecz nabożnym podziwem i nadzieją. Czyżby było to potomstwo pierwotnych czerwii? Jak udało im się przetrwać zagładę wszelkiego życia na planecie?

- Proroku, wróciłeś! - krzyknął.

Najpierw zobaczył pięć ogromnych czerwii, potem wyłonił się naraz cały tuzin. Wszędzie ukazywało się ich coraz więcej. Setki! Cały ten martwy świat wydawał się teraz olbrzymim jajem, z którego wykluwały się te stworzenia.

Wydobywszy się z podziemnego gniazda, czerwie ruszyły ku odległemu obozowisku w ruinach Kin. Waff przypuszczał, że połkną Guriffa i jego poszukiwaczy oraz wszystkich gildian.

Czerwie znowu brały Rakis we władanie.

Aż zatoczył się z ekstazy, unosząc ręce w nabożnej radości.

- Jestem tutaj, cudowny Proroku! - zawołał.

Boży Wysłannik był tak potężny, że Waff czuł się przy nim jak drobny, niemal niezauważalny pyłek.

Znowu przepełniła go wiara i zrozumiał, że jego wysiłki nie miały znaczenia. Bez względu na to, jak ciężko pracował nad trociami piaskowymi, próbując wprowadzić wzmocnione czerwie na te martwe wydmy,

Bóg miał własne plany. Pokazał drogę, jak w niemym objawieniu *s'tori*, tworząc bogactwo życia.

I Waff zrozumiał to, co cały czas powinien był wiedzieć, coś, co powinien był rozumieć każdy Tleilaxanin: jeśli w każdym z czerw, które powstały z ciała Boga Imperatora Leto II, rzeczywiście znajdowała się perła świadomości Proroka, to czyż same czerwie mogły nie mieć zdolności jasnowidzenia? Czyż mogły nie przewidzieć nadciągnięcia Dostojnych Matron i nieuchronnej zagłady Rakis?

Klasnął ze złośliwą satysfakcją. Oczywiście! Wielkie czerwie musiały ujrzeć w wizji straszne unicestwiacze. Ostrzeżone, że powierzchnia planety zostanie zwęglona, niektóre bestie, kierując się przedwiedzą Leto II, zakopały się głęboko, może wiele kilometrów pod piaskami, i otorbiły ochronnymi cystami. Daleko poza zasięgiem zniszczeń.

„Ten świat potrafi sam o siebie zadbać” - pomyślał Waff.

Aroganccy ludzie zawsze powodowali tutaj kłopoty. Zanim ludzka pycha i ambicja przekształciły ją w pokryty bujną roślinnością świat, Rakis była czystą pustynną planetą i powinna taką na zawsze pozostać. Podejmowane przez obcoświatowców próby „poprawienia” Diuny skończyły się zagładą wielkich czerw i dopiero śmierć Leto II sprowadziła je z powrotem. A potem ludzie - tym razem Dostojne Matrony - znowu zniszczyli ten ekosystem.

Rakis była bita, kalana, gwałcona... ale w końcu ten wspaniały świat się ocalił. Prorok cały czas pozostawał

tutaj i ogromnie przyczynił się do przetrwania Diuny. Teraz wszystko było takie, jakie być powinno, co niezmiernie radowało Waffa.

Ku Tleilaxaninowi ruszyły dwa gigantyczne czerwie. Przeorując się przez zaskorupiały piasek, zagarniały paszczami zwiotczające ciała słabych czerwii doświadczalnych i pożerały je, jakby były to tylko okruchy. Przepełniony radością, Waff padł na kolana i pogrążył się w modlitwie. W ostatniej chwili podniósł wzrok i spojrzał w ogromną paszczę najeżoną krystalicznymi zębami, za którymi buchały płomienie. Poczuł wyziewy przesiąknięte wonią przyprawy.

Uśmiechając się błogo, mistrz tleilaxański zwrócił twarz ku niebu.

- Boże mój, Boże, w końcu jestem twój! - zawołał.

Czerw spadł na niego z szybkością i impetem rozbijającego się liniowca Gildii. Waff wciągnął głęboko dający ukojenie zapach przyprawy i zamknął w zachwycie oczy, kiedy zatrzęsnęła się za nim przepastna paszcza.

Zjednoczył się ze swoim Prorokiem.

Życie to ciąg postanowień, co robić dalej.
Nigdy nie bałem się podejmowania decyzji.

- Duncan Idaho, *Tysiąc żywotów*

Przez wyrwę w sklepieniu katedry pochłonięty myślami Duncan zobaczył, że niebo zaczyna migotać i zmienia się jak w kalejdoskopie. Ukazało się mnóstwo lecących burta w burtę statków prowadzonych przez liniowce, które pilotowali powracający nawigatorzy.

Jeszcze zanim dotarł do niego wysłany przez nie sygnał, Duncan wyczuł, że na pokładzie jednej z przybyłych jednostek znajduje się szczególna osoba. W jego rozszerzonym umyśle ukazała się jej twarz, która mimo upływu tylu lat bardzo niewiele się zmieniła. „Murbella!” Jakąś dawną część jego „ja” przeniknął dreszcz emocji na myśl o tym, że znowu znajdzie się blisko niej, ale był teraz kimś o wiele, wiele większym. Mimo to chciał ją zobaczyć.

Nad Synchronią zawisł tysiąc liniowców nawigatorów, którzy po zniknięciu Wyroczni Czasu nie byli pewni, jaka jest ich rola. Robiąc użytek ze swoich nowo zdobytych zdolności, Duncan połączył się z nimi wszystkimi w języku o wspólnej podstawie. Zrozumieją go zarówno nawigatorzy, jak myślące maszyny i ludzie. Zaledwie musnął swoją ogromną wiedzę, by to zrobić.

„Ważne zmiany - przekazał wiadomość. - Niezbędne zmiany”.

Statki ludzi wysłały na dół lichtugi. Patrząc przez świetliki w kopule, Duncan widział przesuwające się po

niebie błyski i wiedział, że jest tam Murbella. Wylądował pierwsza i znowu ją zobaczy. Prawie dwadzieścia pięć lat... zaledwie jedno tyknięcie zegara wieczności, ale jemu to ćwierćwiecze wydawało się całą wiecznością. Czekał na nią.

Jednak do sklepionej nawy weszła Sziena, zmęczona walką w mieście maszyn. Kiedy zobaczyła krew na posadzce, rozbite roboty wartownicze, leżące na wznak ciało barona i Paola o zaszklonych oczach, spojrzała na stojących pytającym wzrokiem. Wystarczył jeden rzut oka na cztery młode ghole, by pojęła, że Paul i Chani odzyskali wspomnienia.

Zauważyła nieruchome ciało staruszki na schodach i rozpoznała ją. Z jej ust wydobył się wewnętrzny głos Sereny Butler.

- Erazm zabił moje niewinne dziecko. To on był odpowiedzialny za...

- W końcu przestałem go nienawidzić - uciał Duncan.

- Chyba bardziej było mi go żal. Przypominało mi to chwilę, w której zginął Bóg Imperator. Erazm był pełen wad, arogancki, a jednak dziwnie niewinny, bo kierowała nim tylko nienasycona ciekawość... Ale nie wiedział, jak przetworzyć to, co już zrozumiał.

Sziena spojrzała na schody, jakby się spodziewała, że oczy staruszki nagle się otworzą i chwyci ją szponiastą ręką.

- A zatem Erazm naprawdę nie żyje?

- Tak.

- A Omnius?

- Przepadł na zawsze. A myślące maszyny nie są już

naszymi wrogami.

- Panujesz więc nad nimi? Zostały pokonane? - Na jej twarzy pojawił się podziw.

- Są naszymi sojusznikami... narzędziami... bardziej naszymi partnerami niż niewolnikami, chociaż tak się od nas różnią. Musimy się zmierzyć z całkowicie nowym paradygmatem, opracować mnóstwo nowych definicji.

*

Kiedy mechaniczni kurierzy wprowadzili do katedry Murbellę wraz z grupą gildian i sióstr, Duncan odsunął na bok wszystkie pytania i tylko patrzył na nią.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Duncan... w czasie tych ponad dwudziestu lat prawie się nie zmieniłeś - powiedziała.

Roześmiał się.

- Zmieniłem się bardziej, niż można to zmierzyć jakimkolwiek instrumentem - rzekł.

Na te słowa obróciły się ku niemu wszystkie myślące maszyny w nawie, wszystkie maszyny w mieście.

Odruchowo objęli się z Murbellą, niepewni, czy ten kontakt rozbudzi ponownie dawne uczucia. Ale każde z nich wyczuło w drugim zmianę. Rzeka czasu wyłobiliła między nimi głęboki kanion.

Kiedy Duncan dotknął Murbelli, poczuł słodko-gorzki smutek na myśl o tym, ile szkód wyrządziła mu ich uzależniająca miłość. Ich stosunki już nigdy nie będą mogły być takie jak poprzednio, zwłaszcza że był teraz Kwisatz Haderach. Kierował również myślącymi maszynami, ale nie był nowym wszechumysłem,

panem, który posługiwał się nimi jak marionetkami. Nie wiedział nawet, jak będą egzystować bez kontrolującej je siły. Musiały się przystosować albo zginąć, czyli zrobić to, co od tysiącleci robili ludzie.

Ujrzał błysk w oczach stojącej po drugiej stronie nawy Szieny, błysk raczej autentycznego z troskaniem niż zazdrości. Żadna Bene Gesserit nie pozwoliłaby sobie ulec słabości, jaką była zazdrość, a Sziena była tak niezłomną Bene Gesserit, że wolała wykraść statek pozaprzestrzenny z Kapitularza i uciec, niż znosić skutki zmian wymuszonych przez Murbellę na zgromadzeniu żeńskim.

- Uwolniliśmy się z sideł, które nawzajem na siebie zastawiliśmy - przemówił do obu kobiet. - Potrzebuję ciebie, Murbello... i ciebie, Szieno. A przyszłość potrzebuje nas wszystkich bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Przez jego głowę przebiegła nieskończona liczba myśli maszyn i uświadomił sobie nagle, że niezliczone planety ludzi potrzebują pomocy, której tylko on może im udzielić.

Jedną myślą wysłał roboty wartownicze z katedry. Wymaszerowały jak na ćwiczenia. Potem objął umysłem puste drogi tachionowej sieci i cały wszechświat. Dzięki natychmiastowemu połączeniu ze statkami obronnymi ludzkości, kierowanymi dawniej przez zepsute ixańskie maszyny, oraz z pozostającymi do niedawna pod rozkazami Omniusa - a teraz pod rozkazami Duncana - statkami bojowymi myślących maszyn wezwał te jednostki do byłej stolicy

imperium wszechumysłu, ściągając je jednocześnie przez zagiętą przestrzeń. Wszystkie przybędą tutaj, do Synchronii.

- Urodziłaś się wolna - zwrócił się do Murbelli - zostałaś wyszkolona na Dostojną Matronę, a w końcu uczyniono z ciebie Bene Gesserit, żebyś mogła połączyć pozrywane nici. Tak jak ty stałaś się syntezą Dostojnej Matrony i Bene Gesserit, tak ja jestem teraz połączeniem wolnej ludzkości i myślących maszyn. Przebywam w obu tych sferach, rozumiem obie strony i tworzę przyszłość, w której obie będą mogły rozkwitać.

- A... kim ty jesteś, Duncan? - zapytała Sziena.

- Jestem zarówno ostatnim Kwisatz Haderach, jak i nową formą wszechumysłu, a z drugiej strony żadnym z nich. Jestem kimś czy czymś innym.

Zaniepokojona Murbella zerknęła na Szienę, a potem znowu spojrzała na niego.

- Duncan! - krzyknęła. - Myślące maszyny są od czasów Dżihadu Butleriańskiego, od ponad piętnastu tysięcy lat, naszymi śmiertelnymi wrogami.

- Zamierzam rozsypać ten gordyjski węzeł nieporozumień.

- Nieporozumień! Myślące maszyny zabiły miliardy ludzi. Tylko na Kapitularzu zaraza pochłonęła...

- Taki jest koszt braku elastyczności i fanatyzmu - rzekł, przerywając jej. - Ofiary nader często są niepotrzebne. Dostojne Matrony i Bene Gesserit, ludzie i myślące maszyny, serce i umysł. Czyż różnice między nami nie wzmacniają nas raczej, niż niszczą? - Poszerzające rzeczywistość bogactwo informacji, które

przekazał mu Erazm, łagodziła mądrość zdobyta w czasie jego licznych wcieleń. - Nasza walka dobiegła końca i dokonał się przełom. - Zgiął rękę i czuł, że słuchają go i czekają na jego rozkazy niezliczone myślące maszyny. - Mamy teraz moc dokonania tak wielu rzeczy.

Opierając się na doskonałej prekognicji i umiejętności wykonywania skomplikowanych obliczeń, Duncan wiedział, jak zaprowadzić wieczny pokój. Mając w rękę ludzkość i myślące maszyny, mógł kontrolować wszystkich i przejąć ich władzę, a tym samym zapobiec dalszym wojnom. Mógł wymusić współpracę między liniowcami nawigatorów, zmodyfikowanymi przez Ixan statkami i flotą myślących maszyn.

Dzięki coraz bardziej rozwijającej się zdolności jasnowidzenia dostrzegał wspólną przyszłość rodzaju ludzkiego i myślących maszyn oraz każdy krok na drodze do jej urzeczywistnienia. Była to moc zapierająca dech w piersiach, większa od połączonej mocy Boga Imperatora i Omniusa. Ale potęga zdemoralizowała w końcu Leto II. Jak mógł unieść ten, jeszcze większy, ciężar?

Nawet jeśli będzie działał z najbardziej altruistycznych pobudek, na pewno pojawią się ludzie myślący inaczej. Czy - wbrew szlachetnym intencjom - on też nie ulegnie deprawacji? Czy historia zapamięta go jako jeszcze większego despotę niż Bóg Imperator?

Stawiając czoło lawinie pytań i obowiązków, Duncan przysiągł sobie, że wykorzysta nauki zdobyte w

licznych żywotach dla dobra i przetrwania zarówno ludzi, jak i myślących maszyn. Kralizek. Tak, wszechświat naprawdę się zmienił.

Jak straszną rzeczą jest dla matki chować własną córkę! Nie ma większego bólu, nawet podczas agonii przyprawowej. A teraz muszę powtórnie pogrzebać moje dziecko.

- lady Jessika, *Oplakiwanie Alii*

Tylko jedna ofiara spośród niezliczonych miliardów.

Kiedy Jessika patrzyła ze smutkiem na zimne ciało córki, wiedziała, że jedna mała dziewczynka znaczy tyle samo, co wszyscy inni. Każde życie było cenne, bez względu na to, czy chodziło o ghole, czy o osobę urodzoną w naturalny sposób. Tytaniczna walka, która zmieniła przyszłość wszechświata, klęska myślących maszyn i przetrwanie rodzaju ludzkiego wydawały jej się czymś mało istotnym. Była całkowicie pochłonięta przygotowaniem Alii do pogrzebu.

Kiedy dotknęła drobnej bladej twarzy, pogładziła dziewczynkę po czole i rozwichrzonych ciemnych włosach, przypomniała sobie, jaka była jej córka. Nazwano ją niegdyś Złym Duchem, gdyż była dzieckiem, które urodziło się z rozwiniętą w pełni inteligencją i genetyczną pamięcią Matki Wielebnej. Teraz zatoczyła koło. W swoim pierwszym życiu ta dziewczynka zabiła gom dżabbarem barona Harkonnena. Później, będąc osobą dorosłą, prześladowaną przez okrutne wewnętrzne istnienie barona, Alia odebrała sobie życie, rzuciwszy się z umieszczonego wysoko okna świątyni na ulicę Arrakin. Teraz narodzony powtórnie baron zabił wskrzeszoną

Alię, zanim mogła rozwinąć w pełni swoje zdolności. Było tak, jak gdyby oboje zwarli się na zawsze w toczonej w mitycznej skali walce na śmierć i życie.

Po policzku Jessiki stoczyła się, jak kropla deszczu, łza. Zamknęła oczy i zdała sobie sprawę, że pogrążona we wspomnieniach, na długą chwilę zastygła w tej samej pozycji. Nie słyszała nawet gościa wchodzącego do jej pokoju.

- Czy mogę ci jakoś pomóc, moja pani?

- Zostaw mnie. Chcę być sama - odparła, ale kiedy zobaczyła, że jest to ponury doktor Yueh, złagodniała. - Przepraszam cię, Wellington. Tak, wejdź. Możesz mi pomóc.

- Nie chcę przeszkadzać.

- Zasłużyłeś na to, by być tutaj - powiedziała z bladym uśmiechem.

Dziwna para stała dłuższy czas bez słowa. W końcu Jessika, wdzięczna za to, że przyszedł, powiedziała:

- Dawno temu, kiedy byłeś z nami na kaladańskim zamku, lubiłam cię. Zawsze strzegłeś swojej prywatności, a gdy nas zdradziłeś, znienawidziłam cię tak, że nigdy nie myślałam, iż to możliwe.

Yueh zwiesił głowę.

- Pchnąłbym się tysiąc razy nożem, gdybym mógł w ten sposób odwrócić to, co zrobiłem, i uśmierzyć ból, który ci zadałem moimi czynami - rzekł.

- Historia posuwa się tylko do przodu, Wellington, nigdy wstecz.

- Tak? Przecież nas wyciągnięto ze śmietnika historii, czyż nie?

Na dawnej Arrakis Fremeni odprawiali ponury rytuał odzyskiwania w alembiku śmierci wody z ciała i dzielenia jej między członków plemienia. Na Kaladanie palono tradycyjnie zwłoki na stosie pogrzebowym albo topiono w oceanie. Z błędzącej w przestrzeni kosmicznej *Itaki* wyrzucano ceremonialnie zmarłych w pustkę.

Owinęli drobne, kruche ciało Alii w czyste prześcieradła ze statku pozaprzestrzennego. Jessika nie była jednak pewna, jak ma uczcić córkę tutaj, w mieście maszyn.

- Właściwie nie mamy już tradycyjnych obrzędów pogrzebowych, nie wiem więc, co robić - powiedziała.

- Zrobimy, co musimy zrobić - rzekł Yueh. - Ważne są nie symbole, lecz myśli.

*

Długo po tym, jak ucichły ostatnie odgłosy bitwy w Synchronii i ocalali pasażerowie *Itaki* odważyli się wyjść, by odkryć nowe oblicze wszechświata, Jessika i Yueh dołączyli do Paula, Chani i Duncana i sformowali kondukt pogrzebowy. Paul i Jessika nieśli małe, owinięte tkaniną ciało ulicami, na których czerwie dokonały tak wielkich zniszczeń, a wybuchy pocisków skierowanych przeciw maskaradnikom uszkodziły niezliczone budynki.

- Takie drobne ciało... a taka ogromna strata - rzekł Paul. - Bardzo brakuje mi mojej siostry, chociaż tym razem nie zdążyłem jej poznać tak dobrze, jak bym chciał.

Na przodzie konduktu szedł Duncan, który na czas

pogrzebu odłożył swoje obowiązki.

- Nie pamiętam jej z czasów, kiedy w swoim pierwszym życiu była małą dziewczynką, ale pamiętam ją jako dojrzałą kobietę - powiedział. - Kochała mnie i zraniła, a ja kochałem ją namiętnie.

Nie musieli iść daleko. Jessika wybrała rozbitą wieżę, wąską piramidę, która miała posłużyć jako pomnik nagrobny. Jessika i Paul pożegnali się z Alią jeszcze w kondukcje, kiedy więc dotarli do zawalonej budowli, wnieśli ciało dziewczynki przez krzywe, trapezoidalne wejście, odsunęli gruz i złożyli je na gładkiej metalowej podłodze. Potem Jessika stanęła nad Alią Atrydą i raz jeszcze cicho się z nią pożegnała. Paul ujął dłoń matki, a ona odpowiedziała mu uściskiem.

Po długim, bolesnym milczeniu odwróciła się do Duncana.

- Zrobiliśmy wszystko, co trzeba było zrobić - powiedziała.

- Ja zajmę się resztą - rzekł Idaho.

Kiedy wyszli z zawalonej piramidy, Duncan podniósł ręce z rozstawionymi palcami, a jego twarz przybrała nieobecny wyraz. Metalowe budynki wokół nich zaczęły drżeć i kołysać się, rosnąc i odchylając się od pionu. Szczątki piramidy owinęły się wokół zwłok Alii i wzmocniły ściany wypolerowanym stopem wyciągniętym z pozostałych konstrukcji. Następnie zrujnowana wieża zaczęła się wznosić ku niebu niczym wspaniały pomnik z kryształu i żywego srebra. Kiedy elastometal płynął do góry, szybko rosnąca budowla huczała i brzęczała jak mechaniczny grom. Miała

opływowe krzywizny, a jej wypolerowane ściany odbijały światło jak lustra.

Duncan kierował na poły czującymi konstrukcjami z większym skupieniem i ostrożniej, niż kiedykolwiek robił to Omnius. Gdy skończył, powstał grobowiec, pomnik, dzieło sztuki, które będzie budziło podziw każdego, kto na nie spojrzy.

W ten sposób na Synchronii odcisnęło się piętno, którego nie sposób było porównać z tym, które strata córki odcisnęła w sercu Jessiki.

Niektóre problemy najlepiej rozwiązywać, podchodząc do nich optymistycznie. Optymizm ukazuje możliwości, które przy innym nastawieniu nie są widoczne.

- Sziena, *Refleksje na temat nowej reguły*

Ludzie w Synchronii zaczęli powoli wierzyć, że ich gatunek przetrwa.

Kiedy Sziena patrzyła na Duncana, wydawał się dziwnie nieobecny, ale należało się tego spodziewać. Często przeskakiwał wzrokiem to w jedną, to w drugą stronę, jakby był w tysiącu miejsc jednocześnie.

Podczas gdy Matka Dowodząca Murbella wzywała lichtugi ze swoich świeżo przybyłych statków wojennych, a Gildia wysyłała promy pełne robotników i administratorów, którzy mieli pomóc w scaleniu dziwnego miasta, Sziena przyglądała się, jak samosterujące roboty usuwają ślady krwawego pojedynku w katedrze.

Uciekinierzy, którzy przybyli na pokładzie *Itaki*, ponownie obrali tam schronienie. Statek pozaprzestrzenny z rozdartym kadłubem już nigdy nie wystartuje w przestrzeń kosmiczną, nawet gdyby Duncan zmusił żywe metalowe łożo do uwolnienia jednostki.

Mechaniczni kurierzy i brzęczące patrzydła, kierowane teraz osobiście przez Duncana, prowadziły zrujnowanymi ulicami tłum ludzi na zebranie, na którym omówią sprawy zmienionego wszechświata.

Zbuntowane Bene Gesserit z *Itaki* czuły się nieswojo, mając w perspektywie spotkanie z byłą Dostojną Matroną Murbellą.

Ale Matka Dowodząca bardzo zmadrzała w ciągu ćwierćwiecza, które minęło od rozłamu. Gdyby przed laty wiedziała o planie wykradnięcia statku pozaprzestrzennego, bez wahania zabiłaby Szienę. Sziena zastanawiała się, co dawna Dostojna Matrona pomyśli o tych wszystkich latach, kiedy Duncan usychał z tęsknoty za nią. Czy Murbella nadal go kocha? A jeśli o to chodzi, czy w ogóle kiedykolwiek darzyła go miłością?

Matki Wielebne Elyen i Calissa szły na czele znużonego i niepewnego tłumy wlewającego się do katedry. Przybyły tam również załogi statków Gildii, a wśród nich administrator Gorus. Wyglądał na wycieńczonego i niepanującego już nad niczym. Zachowywał milczenie, podążając raczej za resztą gildian, niż ich prowadząc.

Kiedy w nawie rozległ się szmer rozmów niewiele głośniejszych od ciszy, Duncan zajął miejsce w jej środku, skąd dawniej Omnius i Erazm nadzorowali myślące maszyny. Nie używał wzmacniaczy, a mimo to jego słowa rozbrzmiewały w całym pomieszczeniu.

- Tego wspaniałego zakończenia Kralizeku szukaliśmy. Spotkał nas los, o jakim marzyliśmy. - Powiódł wzrokiem po Szienie i Bene Gesserit, które uciekły z nią z Kapitularza. - Wasza długa podróż dobiegła końca, ponieważ jest to nowe centrum, które pragnęłyście znaleźć. Ta planeta jest teraz wasza.

Utwórzcie w resztkach Synchronii całkowicie nowe zgromadzenie Bene Gesserit, swoją bazę odległą od Kapitularza.

Siostry były zdezorientowane i zdumione. Nawet Sziena nie wiedziała, że Duncan im to proponuje.

- Ależ to jest serce imperium myślących maszyn! - krzyknęła Calissa. - Dom Omniusa!

- Teraz jest to wasz dom. Uznajcie go za swój i twórzcie własną przyszłość.

Sziena zrozumiała.

- Duncan ma stuprocentową rację - powiedziała. - Wyzwania wzmacniają nasze zgromadzenie. Wszechświat się zmienił i nasze miejsce jest tutaj, bez względu na to, ile możemy napotkać trudności. Do Synchronii przybyły nawet czerwie pustyni i zagrzebały się w ziemi. - Uśmiechnęła się. - Mogą się ponownie wyłonić, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewały. Ktoś musi mieć na oku wskrzeszonego Tyrana.

Szienie wydało się, że zadrżała ziemia pod katedrą, jakby pod fundamentami poruszało się jedno z tych ogromnych stworzeń. Podczas ataku czerwii zniszczonych lub uszkodzonych zostało wiele robotów, ale tysiące maszyn nadal były w pełni sprawne. Wiedziała, że Bene Gesserit będą miały pod dostatkiem niezbędnej siły roboczej, jeśli maszyny im pomogą.

- Powinnam wrócić na Kapitularz - rzekła Murbella. - Poinformowanie o nowej rzeczywistości będzie wymagało nieco pracy. - Spojrzała na Szienę. - Nie martw się. Moje połączone zgromadzenie nie musi się kłócić z twoimi ortodoksyjnymi siostrami tutaj. Zawsze

istniało wiele szkół, wiele sposobów myślenia. Przy odpowiedniej równowadze rywalizacja zwiększa siłę i innowacyjność... przynajmniej dopóki unikamy konfliktów i wzajemnych ataków.

Sziena zdawała sobie sprawę, że Duncan wróci z Murbellą na Kapitularz, przynajmniej na jakiś czas. Pod jego kierunkiem Matka Dowodząca znowu wprowadzi nowoczesną technologię i zintegruje ją ze społeczeństwem, by rozkwitło. Sziena nie widziała powodu, by ludzie bali się właściwie rozwijającej się współpracy z myślącymi maszynami bardziej, niż musieli się bać religii albo rywalizacji między różnymi odłami Bene Gesserit. Każda grupa mogła być niebezpieczna, jeśli była niewłaściwie kierowana.

Jednak ona pozostanie tutaj. Nie widziała sensu w powrocie na Kapitularz.

- Jeszcze przed zniszczeniem Rakis przez Dostojne Matrony zgromadzenie żeńskie uczyniło mnie centralną postacią wymyślonej religii - powiedziała do Murbelli. - Przez dziesiątki lat musiałam się kryć, a tymczasem Missionaria rozpowszechniała o mnie niestworzone historie. Pozwalam, żeby ta legenda trwała. Co by mi to dało, gdybym położyła jej teraz kres? A zatem, proszę bardzo, kultywujcie ją, jeżeli daje ludziom pocieszenie. Moje miejsce jest na tej planecie.

Zauważyła, że wśród zebranych jest Scytale. Ostatni z tleilaxatiskich mistrzów okazał się ostatecznie bardzo pomocny - walczył razem z nimi, a nie przeciw nim.

- Scytale, pozostaniesz z nami? - zapytała. - Przyłączysz się do mojego nowego zgromadzenia?

Możemy skorzystać z twojej wiedzy genetycznej. Zakładamy w końcu tutaj kolonię, a mamy zaledwie kilkaset osób.

- Spodziewam się, że dołączą do was ludzie z innych planet - powiedziała Murbella.

Zaproszenie zaskoczyło drobnego Tleilaxanina.

- Oczywiście, że zostanę - odparł. - Dziękuję ci. Mój lud nie ma teraz innej siedziby, nawet w świętym Bandalongu. - Uśmiechnął się do Szieny. - Może uda mi się osiągnąć coś interesującego u twojego boku.

Duncan wszedł między uciekinierki Bene Gesserit.

- Jesteście ogrodnikami układającymi kamienne płyty na ścieżce naszego przeznaczenia - powiedział. - Wielu z nas powróci na światy, które kiedyś nazywaliśmy ojczyznami, ale wy zostaniecie tutaj.

Darząca Duncana ciepłym uczuciem Sziena dotknęła jego ramienia. Chociaż nadal składało się z mięśni i kości i było ramieniem człowieka, wiedziała, że Idaho jest teraz kimś znacznie większym i potężniejszym.

I jego słowa brzmiały prawdziwie.

- Dzięki tobie, Duncan - powiedziała - moje siostry i ja znalazłyśmy w końcu dom.

Najgorsze w powrocie do przeszłości jest to, że nigdy nie jest ona dokładnie taka, jaką się ją zapamiętało.

- Paul Atryda, *Notatniki gholi*

W Starym Imperium ostatni obrońcy Kapitulacza czekali w napięciu i gotowości, ale od wielu dni nic się nie zmieniło. Jednostki wojenne maszyn nie ruszyły się ze swoich pozycji, a baszar Janess Idaho nie otrzymała żadnych wiadomości ze statków nawigatorów, którzy zabrali Matkę Dowodzącą. Między setką zgrupowań tworzących ostatnie bastiony oporu śmigały w tę i z powrotem szybkie jednostki zwiadowcze z informacją, że na całej linii frontu sytuacja jest taka sama.

Czekali. Nikt nie wiedział, co się dzieje.

Janess zareagowała z niepokojem i przerażeniem, kiedy z zagiętej przestrzeni wypadł ogromny rój statków przeróżnych kształtów i rozmiarów. Krzycząc przez komlinię, baszar zebrała wszystkie sprawne jednostki obronne, które pozostawały na orbicie. Początkowo nie rozpoznała sylwetek, ale później zobaczyła, że w skład przybyłego zgrupowania wchodziły mniejsze statki ludzi i myślących maszyn holowane przez wyposażone w silniki Holtzmana potężne liniowce Gildii.

- Podajcie, kim jesteście! - przekazała Janess do niespodziewanych przybyszy.

Stojąca na mostku powracającej do domu jednostki liniowej Murbella uśmiechnęła się do Duncana.

- To twoja... n a s z a córka - powiedziała.

Uniósł brwi i przeprowadził w myśli szybkie obliczenia.

- Jedna z bliźniaczek? - zapytał.

- Janess. - Murbella nieco się zachmurzyła. - Druga, Rinya, nie przeżyła agonii przyprawowej. Zapomniałam, że nie wiesz o tym. Tanidia, średnia, żyje i ma się dobrze. Została przydzielona do działającej wśród uchodźców Missionaria Protectiva. Ale straciliśmy też najmłodszą, Gianne, która urodziła się tuż przed tym, jak zostałam Matką Wielebną. Umarła podczas epidemii na Kapitularzu.

Duncan uspokoił się. Jakież to dziwne poczuć przypływ autentycznego żalu na wieść o śmierci dwojga dzieci, których nie poznał. Do tej pory nie znał nawet ich imion. Próbował sobie wyobrazić, jakie mogły być te młode kobiety. Jako Kwisatz Haderach był w stanie zrobić wiele rzeczy - prawie wszystko. Ale nie mógł przywrócić życia córkom.

Przyglądał się badawczo widocznym na ekranie cechom Janess: ciemnym włosom i okrągłej twarzy, które odziedziczyła po nim, drobnej figurze, skupionemu spojrzeniu i twardemu wyrazowi twarzy, który świadczył, że nigdy nie cofnęłaby się przed wyzwaniem. Była syntezą jego i Murbelli. Włączył komlinię.

- Baszar Janess Idaho, tu Duncan Idaho, twój ojciec - powiedział. - Jestem z Matką Dowodzącą.

Murbella pochyliła się, by znaleźć się w polu widzenia kamery przekazującej obraz.

- Ustąp i przepuść nas, Janess - powiedziała. - Wojna się skończyła. Nie masz się czego obawiać z naszej strony.

- Są z wami statki myślących maszyn - odparła podejrzliwie Janess.

- Teraz to są m o j e statki - rzekł Duncan.

Baszar nie dała się zbić z pantałyku.

- Skąd mam wiedzieć, czy nie jesteście maskaradnikami?

- Janess - odparła Murbella - kiedy wystąpiłyśmy przeciwko myślącym maszynom i odkryłyśmy, że Ixanie i maskaradnicy nas oszukali, obie byłyśmy gotowe polec na polu chwały. Nie bądź taka chętna do złożenia swego życia w ofierze teraz, kiedy w końcu mamy nadzieję.

Z ekranu patrzyła na nich Janess. Duncan był dumny, że jego córka jest taka ostrożna.

- Spotkamy się wszyscy w wielkiej sali twierdzy - powiedział. - To dobre miejsce na dyskusję o przyszłości. - Uśmiechnął się smutno. - Kiedy byłem tutaj, nigdy nie widziałem twierdzy od środka... Cały czas musiałem pozostawać na statku pozaprzestrzennym.

Janess wahała się jeszcze chwilę, po czym skinęła krótko głową.

- Będziemy miały ochronę - zdecydowała.

Duncanowi brakowało towarzyszy z *Itaki*, ale wszyscy wybrali już, dokąd się udadzą. Były ważne nisze, które należało wypełnić. Paul i Chani powrócą na Arrakis; zawsze wiedzieli, że tam jest ich miejsce.

Jessika wybrała Kaladan i zaskoczyła wiele osób, prosząc Yuego, by jej towarzyszył. Ale na Synchronii został Scytale ze swoją kapsułą zeroentropijną, która nadal zawierała bogactwo komórek i była prawdziwą skrzynią skarbów.

Duncan wiedział już, jaką będzie miał pierwszą prośbę do Scytale'a. Zamieszanie i zmiany, reperkusje i przystosowywanie się do nowej sytuacji potrwają dziesiątki, a nawet setki lat. Przydałaby mu się pomoc i rady wielkiego człowieka. Chciał mieć znowu u boku Milesa Tega...

Kiedy statek podchodził do lądowania w głównym mieście Kapitulacza, Duncan zdał sobie sprawę, że nigdy nie mógłby traktować tego świata jako domu, mimo iż spędził tutaj tyle czasu. W swoich wcieleniach poznał wiele miejsc i niezliczoną rzeszę ludzi. Rozwijająca się zdolność jasnowidzenia i umysłowe połączenie z decylionami oczu rozmieszczonych w całym kosmosie i powiązanych siecią tachionową sprawiały, że teraz jego domem był cały wszechświat.

- Zaczynasz rozumieć fascynujący obowiązek, który pomogłem ci przyjąć - powiedział znajomo brzmiący głos w jego głowie. Erazm! - Mogłem ci bardzo to utrudnić, ale wybrałem współpracę. To tylko moje echo, obserwator. Jeśli będziesz chciał, masz do mnie w każdej chwili dostęp. Wykorzystuj moją wiedzę jako bank danych. Jako narzędzie. Jestem ciekaw, co zrobisz. Chętnie to zobaczę.

- Nawiedzasz mnie teraz jako demon?

- Uważaj mnie za doradcę, ale moje badania trwają.

Zawsze będę tutaj, by cię prowadzić, i jestem przekonany, że mnie nie zawiedziesz.

- To coś takiego jak Inne Wspomnienia czarownic, ale znacznie obszerniejsze i łatwiejszy jest dostęp do tego.

- Jesteś tutaj, by służyć zarówno ludziom, jak i myślącym maszynom... i przyszłości. Masz władzę nad wszystkim.

Duncan roześmiał się cicho z tego przyjacielskiego przekomarzania. Chociaż Erazm miał teraz drugorzędną pozycję, zachował odrobinę czysto ludzkiej dumy, nawet jeśli był tylko echem i doradcą.

Wszedłszy do twierdzy, Duncan i Murbella pomaszerowali ramię w ramię przez salę rozbrzmiewającą echem ich kroków. Leciały za nimi patrzydła i szła para robotów wartowniczych. Widok robotów bardzo zaniepokoił ludzi, którzy tam czekali, ale w przyszłości będą oni musieli się wyzbyć swoich lęków i uprzedzeń.

Po zniknięciu Omniusa imperium myślących maszyn nadal funkcjonowało, lecz bez jednoczącego wszystko umysłu lub celu. Duncan pokieruje nimi, ale nie chciał po prostu kontynuować wiecznego zniewolenia. Maszyny miały potencjał, dzięki któremu mogły się stać czymś więcej niż tylko narzędziami lub marionetkami, czymś więcej niż niszczycielską siłą. Wprawdzie niektóre były przeznaczone jedynie do tego, ale bardziej zaawansowane roboty i maszyny doradcze mogły się rozwinąć i przeobrazić w coś dużo doskonalszego. Sam Erazm stał się niezależny i wykształcił w sobie

unikatową osobowość, kiedy został odizolowany od ujednolicającego wpływu wszechumysłu. Skoro na tak wielu planetach było rozproszonych tak dużo myślących maszyn, to jeśli da się im szansę, pojawią się inne wybitne postacie. Jeśli się nimi pokieruje. Jeśli Duncan na to pozwoli.

Musiał doprowadzić do równowagi.

Przed kasetonowym oknem wychodzącym na suchą, porośniętą umierającymi drzewami równinę stał na podwyższeniu imponujący fotel Matki Dowodzącej. Obok niego stała Janess, zapraszając Murbellę do zajęcia należnego jej miejsca. W sali znajdowała się też prawie setka strażniczek nowego zgromadzenia żeńskiego postawionych w stan najwyższego pogotowia. Chociaż ujawnieni zostali i zabici wszyscy podstępni zmiennokształtni, Janess nie opuszczała gardy i Duncan był dumny z córki.

Złożyła oficjalny ukłon.

- Matko Dowodząca - odezwała się - cieszymy się, że wróciłaś. Zajmij, proszę, miejsce.

- To już nie jest tylko moje miejsce - odpowiedziała jej Murbella. - Duncan, twoja córka została wychowana w duchu Bene Gesserit, ale dołożyła również starań, żeby jak najwięcej dowiedzieć się o tobie. Trenowała, by stać się odpowiedniczką mistrza miecza z Ginaza.

Myśląc z goryczą o wszystkim, co go ominęło, Duncan podał oficjalnie rękę córce i stwierdził, że ma mocny uścisk. Aż do tej chwili byli dla siebie obcymi, których łączyły więzi krwi i patriotyzm. Prawdziwy związek między ojcem i córką dopiero się zaczynał.

Murbella stoczyła długą, krwawą wojnę, by połączyć przeciwstawne siły Dostojnych Matron i Bene Gesserit, a potem zmagala się z odmiennymi grupami ludzi, by przekuć je w spójną całość. Dzięki swoim nowym zdolnościom Duncan kształtował jeszcze większą, wszechogarniającą wspólnotę.

Wszystko splatało się w barwny gobelin, jakiego nie znała historia, i w końcu Duncan uświadomił sobie swą dopiero co uzyskaną siłę. Nie był pierwszym w dziejach człowiekiem, który miał ogromną władzę, przysiągł więc sobie, że nigdy nie zapomni, czego się nauczył jako pionek w rękach Boga Imperatora.

Również rodzaj ludzki nigdy nie zapomni tysięcy lat pod tym strasznym panowaniem, a wszechobejmująca pamięć gatunkowa Duncana podsuwała mu mapę, pokazującą, gdzie kryją się pułapki, pozwalając ich uniknąć. Wielki Tyran miał wadę, z której nie zdawał sobie sprawy. Przytłoczony świadomością strasznego celu, Leto II odizolował się od innych i utracił człowieczeństwo.

Natomiast Duncan czerpał otuchę z wiedzy, że będą z nim zarówno Murbella, jak i Sziena. Będzie też mógł rozmawiać z córką, Janess, a być może nawet z drugą, która przeżyła, Tanidią. W dodatku miał wspomnienia o wspaniałych, lojalnych przyjaciółach, o dziesiątkach miłości i szeregu towarzyszy, żon, rodzin, radości i wierzeń.

Chociaż był ostatnim Kwisatz Haderach, o niezmierzonej mocy, znał najlepsze strony ludzkiej duszy. Życie po życiu. Nie musiał się czuć wyobcowany

i zmartwiony, skoro mogła go przepełniać miłość.

Ale nie będzie to konwencjonalna miłość. Musi obejmować każdą żyjącą osobę i myślące maszyny. Jedna forma obdarzonego czuciem życia nie była wyższa od drugiej. Duncan Idaho wykraczał poza swoją cielesną postać.

Epilog



Podczas wojny wypatruj niespodziewanych wrogów i sojuszników, których nigdy byś się nie spodziewał.

- baszar Miles Teg, ostatni wpis w dzienniku

Na Qelso minął ponad rok. Nienaturalna pustynia nadal się rozrastała, w miarę jak mnożyły się trocie piaskowe i zagarniały coraz więcej zasobów wody. Chociaż ich walka wydawała się beznadziejna, komandosi Vara stawiali opór siłom, które zabijały ich środowisko.

Stilgar i Liet-Kynes robili, co mogli, by pomóc im w tych zmaganiach. Ghole urodzonych na pustyni uważali jednak, że ważniejszym zadaniem jest pokazać tubylcom, jak można żyć w zgodzie z wdzierającymi się coraz dalej piaskami.

W ciągu wielu miesięcy, które upłynęły, odkąd opuścili statek pozaprzestrzenny, suche piaski posunęły się jeszcze dalej, pochłaniając kolejne połacie równin i lasów. Obóz Vara co jakiś czas się przemieszczał, uciekając przed nadciągającymi wydmami, a pustynia sunęła za ludźmi. Chociaż zabili dziesiątki czerwii za pomocą armatek wodnych i bomb wilgoci, nie tak łatwo było pokrzyżować szyki Szej-huludowi. Mimo wysiłków obrońców Qelso stworzenia te coraz bardziej rosły.

O pierwszym brzasku Liet wyszedł ze swojej sypialni o kamiennych ścianach i przeciągnął się. Chociaż obaj ze Stilgarem byli jeszcze młodzieńcami, pamiętali, że

kiedyś byli dorośli i mieli żony. Wiele kobiet z obozu chętnie wzięłoby sobie jednego lub drugiego za męża, ale Liet nie zdecydował się jeszcze, kiedy mógłby uzasadnić ożenek i spłodzenie dzieci. Może urodzi mu się druga córka i da jej na imię Chani...

Bez względu na to, jak ciężko Liet-Kynes pracował nad przekształceniem Qelso, planeta nigdy nie będzie drugą Diuną. Żyzny krajobraz ustępował pod naporem fal piasku, ale nie stanie się taki jak na pustynnym świecie. Czy przed eonami Arrakis też była żyzna? Czy jakaś zaginiona wysoko rozwinięta cywilizacja przeszczepiła tam trocie piaskowe i czerwie, tak jak zrobiła to Matka Przełożona Odrade, wysyłając Bene Gesserit na Qelso?

Być może byli to Muadru, którzy zostawili tajemnicze symbole na skałach i w jaskiniach w całej galaktyce. Liet nie wiedział tego. Tajemnica ta mogła intrygować jego ojca, ale on sam miał bardziej praktyczne podejście do rzeczywistości.

Przygotowując się do codziennych zadań, spojrzał na Stilgara, którego oczy stawały się coraz bardziej niebieskie. Ludzie od lat uparcie odmawiali sobie melanzu, ale Stilgar nazywał go świętą nagrodą pustyni, darem Szej-huluda. Miał małe grupy zbierające przyprawę na własny użytek, jednak Liet wiedział, że jest ona jak aksamitny łańcuch - całkiem przyjemny, dopóki ktoś nie zechce się z niego wyswobodzić.

Dwie trajkoczące i zalotne nastolatki przyniosły im na tacy śniadanie, wiedząc, co Stilgar i Liet lubią na poranny posiłek. Dziewczęta były śliczne, ale takie

m ł o d e. Liet wiedział, że widzą tylko jego młodzińcze ciało i nie mają pojęcia, ile lat przechowuje w umyśle. W takich chwilach naprawdę brakowało mu żony, Faruli, matki Chani. Ale to było tak dawno temu...

Stilgar pozostał jednak taki sam, jaki był w poprzednim życiu. Kiedy skończyli kawę i słodkie ciastka, Liet wstał i klepnął przyjaciela w ramię.

- Dzisiaj udamy się w głąb pustyni i umieścimy tam przyrządy do badania pogody - powiedział. - Musimy mieć dokładniejsze pomiary, by śledzić przebieg wysychania.

- Dlaczego zawracasz sobie głowę szczegółami? Pustynia to pustynia. Zawsze będzie tam gorąco i sucho, a tutaj, na Qelso, będzie się nadal rozprzestrzeniała. - Były naib nie widział nic szczególnie tragicznego w umieraniu ekosystemu. Dla niego była to naturalna kolej rzeczy. - Szej-hulud będzie wciąż poszerzał swoje królestwo, bez względu na to, co zrobisz.

- Naukowiec dąży do zdobycia wiedzy - rzekł Liet, a jego przyjaciel nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Wziąwszy jeden z małych niskolotów, które pozostawiła *Itaka*, poleciał jakiś czas temu na północ, gdzie rosły jeszcze wysokie lasy, płynęły rzeki, a na szczytach gór leżały czapy śniegu. W dolinach i na zboczach wzgórz wciąż rozkwitały miasta i wioski, chociaż ich mieszkańcy wiedzieli, że niedługo znikną. Komandosi Vara przypominali sobie każdego dnia, jak wiele im brakuje, jak wiele stracili. Stilgar tego nie widział.

Obaj przyjaciele, wraz z grupą twardych ochotników,

przywdziali świeżo sporządzone filtraki i wyregulowali zapiecia. Kiedy wyszli na pustynię, kroczyli rzędem przez wydmy. Liet ćwiczył ich w stawianiu kroków w nierównym rytmie, który nie przyciągnie czerwia. Żółte słońce szybko zaczęło grzać mocniej. Jego promienie odbijały się od ziarnistego piasku, ale brnęli naprzód, przyzwyczajając się do życia w tym środowisku. W oddali Liet zobaczył rdzawobrazowy pióropusz dymu, który wskazywał na wybuch przyprawy, i wydało mu się, że widzi falowanie piasku roztrącanego przez czerwia.

Nagle Stilgar krzyknął i wskazał ręką niebo. Mężczyźni instynktownie zbili się, tworząc szyszyk obronny.

Do lądowania podchodziły setki ogromnych, lśniących statków o kadłubach z płyt o ostrych kątach, najeżonych bronią i napędzanych potężnymi silnikami. Nie przypominały żadnego ze statków, które Liet wcześniej widział. Jednostki wroga?

Przez chwilę miał nadzieję, że wróciła z nimi *Itaka*, ale były zupełnie niepodobne do statku pozaprzestrzennego i leciały w niezwyklej formacji, poruszając się w skoordynowany sposób. Siadały gdzie popadło na otwartej pustyni, rozsypując piasek i spłaszczając wydmy. Ich piloci wydawali się nieświadomi tego, że głuchoe wibracje przywabia czerwie. Kiedy Liet stał, gapiąc się z otwartymi ustami na ich ogromne kształty, nie miał najmniejszej wątpliwości, że broń tych jednostek odparłaby atak czerwia, jakby była to drobna niedogodność.

Zakurzeni komandosi spojrzeli na ghole, oczekując wyjaśnień. Liet nie miał jednak żadnych, a Stilgar, mimo że pozbawieni byli szans, był gotowy do ataku w razie potrzeby.

Statki wysunęły ze złowieszczym buczeniem i brzęczeniem podpory i uniosły się na wbitych w piach potężnych kotwicach. Zaczęły się otwierać liczne drzwi. Wylewała się z nich armia maszyn: ciężkie podnośniki, kruszarki ziemi i koparki. Samonaprowadzające się gąsienicowe potwory pełzły przez wydmy. Za nimi maszerowały niczym groźni wojownicy szeregi ciężkich robotów... A może byli to robotnicy? Pomocnicy?

Komandosi mieli tylko broń ręczną. Niektórzy, najbardziej niecierpliwi, wyciągnęli miotacze pocisków, klękali na miękkim piasku i wybrali cele.

- Zaczekajcie! - zawołał Liet.

Otworzył się właz na górze największego statku i wyłoniła się z niego blada postać. Człowiek. Wszedł na platformę obserwacyjną. Kiedy mężczyzna ów krzyknął do nich, jego głos poniósł się niesamowitym chórem, przekazywany przez tysiące głośników w liniach maszyn.

- Stilgarze, Liet-Kynesie! Nie spieszcie się z deklarowaniem się jako nasi wrogowie!

- Kim jesteś?! - odkrzyknął wyzywająco Stilgar. - Podejdź tutaj, żebyśmy mogli porozmawiać twarzą w twarz.

- Myślałem, że mnie poznacie.

Liet go poznał.

- To Duncan... Duncan Idaho!

Duncan zszedł w otoczeniu gwardii honorowej robotów oraz ludzi, robotników, w strojach, których Liet nie potrafił rozpoznać, i stanął z nimi na wydmach.

- Liet, Stilgar - powiedział - zostawiliśmy was tutaj, byście stawili opór pustyni. Mówiliście, że jest to wasze powołanie.

- Bo j e s t - rzekł Stilgar.

- A co z Żydami? Są z wami?

- Założyli własną sicz. Dobrze im się wiedzie i są szczęśliwi.

Wystąpiła naprzód gwardia honorowa Duncana, kobiety w czarnych trykotach i podobnie ubrani mężczyźni, którzy kroczyli obok kobiet jako równi im. Jedna z kobiet miała insygnia i minę dowódcy. Idaho przedstawił ją jako swoją córkę Janess.

- Stałem twarzą w twarz z wrogiem z zewnątrz, myślącymi maszynami, i zakończyłem wojnę - rzekł Duncan. Wyciągnął ręce i wszystkie roboty odwróciły się do niego. Same budzące grozę statki wydawały się żywe, świadome każdego jego gestu. - Znalazłem sposób, by nas wszystkich zjednoczyć.

- Poddajesz się myślącym maszynom - stwierdził Stilgar zjadliwym tonem.

- Nic podobnego. Postanowiłem pokazać swoje człowieczeństwo przez to, że ich nie unicestwiłem. W wielu układach słonecznych tworzą wspaniałe rzeczy, wykonując imponujące prace na planetach niegościnnych dla ludzi. Mamy teraz wspólny cel i sprowadziłem je tutaj, by wam pomogły.

- By nam pomogły? - powtórzył jeden z

komandosów. - Jak mogą nam pomóc? Są tylko maszynami.

- Są naszymi sprzymierzeńcami. Stoicie wobec niewykonalnego zadania. Mając tyle ekip robotów, ile będziecie potrzebowali, mogę wam pomóc zrobić to, co chcecie. - Ciemne oczy Duncana rozbłysły, jakby patrzył milionem ich. - Możemy postawić zaporę przed pustynią, zahamować rozprzestrzenianie się troci piaskowych i zatrzymać wodę na części kontynentu. Szej-hulud będzie miał swoje królestwo, natomiast reszta Qelso pozostanie względnie nietknięta. Ludzie będą mogli żyć jak dotąd i powoli przystosowywać się do bytowania na pustyni, ale tylko jeśli sami tak postanowią.

- To niemożliwe - powiedział Liet. - Jak roboty mogą się przeciwstawić naporowi pustyni?

- Nie lekceważ ich... ani mnie - odparł Duncan z pewnym siebie uśmiechem. - Odgrywam rolę zarówno Kwisatz Haderach, jak i Omniusa. Kieruję wszystkimi odłamami ludzkości i panuję nad Zsynchronizowanym Imperium. - Wzruszył ramionami. - Ocalenie jednej planety leży w granicach moich możliwości.

Liet nie wierzył własnym uszom.

- Potrafisz powstrzymać pustynię i zawrócić czerwie?

- Qelso będzie zarówno pustynią, jak lasem, tak jak ja jestem zarówno człowiekiem, jak maszyną - rzekł Idaho. Na jego znak i przekazane w myślach polecenie ogromne koparki potoczyły się z hukiem po piasku, kierując w stronę, gdzie wydmy spotykały się z żywą jeszcze roślinnością.

Liet i Stilgar ruszyli za Duncanem, który kroczył przed konwojem ciężkiego sprzętu. Jako planetolog, ghola i człowiek Liet miał wiele pytań. Na razie jednak, przyglądając się, jak maszyny zaczynają pracę, postanowił poczekać i zobaczyć, co przyniesie przyszłość.

Kiedy Leto II ujrzał swój Złoty Szlak, przewidział kierunek, który powinna obrać ludzkość, ale w tej wizji były białe plamy. Nie dostrzegł, że nie jest ostatnim i największym Kwisatz Haderach.

- komisja Bene Gesserit
do sprawy ustalenia faktów

W ciągu jedenastu lat od powrotu do domu Jessika coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że pewne rzeczy tutaj się nie zgadzają. Ta planeta mogła być Kaladanem czy Danem, ale nie była tym domem rodzinnym, który ona i jej księżę kochali tak dawno temu.

Pewnego burzowego wieczoru, kiedy szła przez sale odbudowanego zamku, stwierdziła, że nie może już znieść niepasujących do budowli szczegółów. Zatrzymawszy się na górnym korytarzu, otworzyła misternie rzeźbioną szafkę z elakki, antyk, który umieścił tam jakiś dekorator. Tym razem stała, patrząc na jej ozdobne wnętrze, i pod wpływem impulsu nacisnęła znajdującą się w jednym z rogów drewnianą wypukłość. Ku jej zdumieniu otworzyła się skrytka, w której znalazła mały, niebieski posążek gryfa. Być może schował go tam ghola barona, jako że gryf był starożytnym herbem rodu Harkonnenów. Musiał go tam włożyć jako sprytny znak przypominający o fałszywym charakterze zamku.

Kiedy patrzyła na statuetkę, czując jej niestosowność, zaczęła się zastanawiać nad ciężką pracą, jaką wykonała

od powrotu na Kaladan. Poleciała ekipom miejscowych robotników rozmontować zainstalowane przez barona narzędzia tortur i wyrzucić je z podziemi wraz z urągającym jej sprzętem laboratoryjnym Khrone'a. Cały czas pracowała ramie w ramie ze sprzątaczkami, spocona i zła, zeskrobując każdą plamę, usuwając każdy zapach, każdy ślad niechcianej obecności. Ale mimo to zamek wciąż cuchnął pamiątkami po baronie, jak mogła zacząć wszystko od nowa, kiedy wokół niej było tyle rzeczy przypominających niecną przeszłość budowli?

Od tyłu podszedł do niej cicho doktor Yueh.

- Nic ci nie jest, moja pani? - zapytał.

Spojrzała na lekarza Akademii Suka. Na jego twarzy widać było głębokie zaniepokojenie. Opuścił kąciki ciemnych ust, jakby czekał na odpowiedź.

- Gdziekolwiek się zwrócę, coś przypomina mi o baronie. - Popatrzyła z chmurną miną na figurkę gryfa w swojej dłoni. - Niektóre przedmioty na tym zamku, na przykład to biurko z opuszczanym blatem i jastrzębiem w herbie, są autentyczne, ale większość to kiepskie kopie.

Podjąwszy decyzję, podeszła do szprosowego okna na końcu korytarza i otworzyła je, wpuszczając nocne powietrze przesycone wonią burzy. Dramatycznym gestem cisnęła figurkę gryfa w morskie fale rozbijające się o skalisty brzeg. Rozkruszą ją na nierozpoznawalne kawałki. Właściwy los dla symbolu Harkonnenów.

W korytarzu zaszumiał zimny, wilgotny wiatr, rozpryskując krople deszczu. Płynące po niebie chmury rozstały się, ukazując nad horyzontem sierp księżyca,

który rzucał na wodę zimne, żółte światło.

Parę chwil później Jessika zerwała ze ściany tapetę, która nigdy jej się nie podobała, i już również ją miała wyrzucić przez okno, ale - nie chcąc zaśmiecąc tej pięknej planety - powstrzymała się i opuściła ją na podłogę, obiecawszy sobie, że nazajutrz każe ją wynieść na śmietnik.

- Może powinnam zburzyć całą tę budowlę, Wellington - powiedziała. - Czy kiedykolwiek usuniemy tę zmacę?

Sugestia ta wstrząsnęła Yuem.

- To rodowa siedziba Atrydów, moja pani - odparł. - Co księżę Leto...

- To tylko pełna błędów rekonstrukcja - przerwała mu. Powiew wiatru zdmuchnął jej brązowe włosy z twarzy.

- Może tracimy za dużo czasu, próbując odtworzyć to, co widzimy w naszych wspomnieniach, moja pani. Dlaczego nie zbudujesz nowego domu i nie urządzisz go według własnego gustu?

Zamrugła, kiedy chlusnął jej w twarz zimny deszcz, przeinaczając jadeitową suknię i zraszając dywan na podłodze.

- Myślałam, że to miejsce pomoże mojemu Leto, wprowi go w dobre samopoczucie, ale może robiłam to bardziej dla siebie niż dla niego.

Na korytarz wbiegł dziesięcioletni chłopiec o kruczoczarnych włosach. Jego szare jak dym oczy rozszerzyły się ze zdziwienia i niepokoju, kiedy zobaczył otwarte okno. Był jeszcze bardziej

zaskoczony, gdy spostrzegł, że ani Jessica, ani Yueh nie reagują na wpadający do środka deszcz, który moczy dywany i tapety.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Zastanawiałam się nad przeprowadzką, Leto - odparła Jessica. - Chciałbyś, żebym znalazła dla nas normalny dom we wsi? Może tam, z dala od tych wygód, bylibyśmy szczęśliwsi.

- Ale ja lubię ten zamek! To zamek księcia!

Jessika nie potrafiła myśleć o swoim Leto jak o dziecku. Był w rybackich spodniach i koszuli w paski, jak wtedy, kiedy Jessica po raz pierwszy przybyła na Kaladan jako konkubina kupiona od Bene Gesserit. Owego dnia młody szlachcic przyłożył jej nóż do gardła, blefując...

Yueh uśmiechnął się.

- Książę... - powiedział. - Te tytuły nic nie znaczą, odkąd przeminęło Imperium. Czy lud Kaladanu potrzebuje jeszcze księcia?

Jessika zareagowała odruchowo, co uświadomiło jej, że nie przemyślała tej uwagi.

- Ludzie nadal potrzebują przywódców, bez względu na to, jakich używają oni tytułów. A my, Atrydzi, możemy być dobrymi przywódcami, jak zawsze w przeszłości. Mój Leto będzie dobrym księciem.

Chłopiec słuchał z uwagą i błyszczącymi oczami. W jego dziecinnych rysach Jessica widziała już zaczątki oblicza mężczyzny, którego kochała. Ten młody Atryda był jednym z pierwszych gholi z nowego pokolenia wyhodowanego przez Scytale'a. Przewieziono go jako

niemowlę na Kaladan i na nim ochrzczono - jak pierwszego Paula.

Od wylotu z Synchronii Jessika i Yueh usiłowali dojść tutaj do siebie, starając się przy okazji przywrócić spokojnemu wodnemu światu odrobinę dawnej świetności. Poplątane nici ich pierwszych żywotów i żywotów w postaciach gholi uczyniły z nich sojuszników, dwoje ludzi, których łączy przeszłość i minione tragedie. Chociaż nigdy nie będzie miał ponownie ukochanej Wanny, Yueh znalazł w końcu trochę spokoju.

Natomiast Jessika wiedziała, że czeka na nią jej prawdziwy książę. W końcu dorośnie i stanie się mężczyzną. Kiedy odzyska wspomnienia, jego wiek nie będzie się w ogóle liczył.

Jej związek z Leto będzie niezwykły, ale nie dziwniejszy niż związki wszystkich niedopasowanych gholi, które dorastały na statku pozaprzestrzennym. Jako Bene Gesserit mogła spowolnić swój proces starzenia, a dzięki melanzowi, który był teraz dostępny w wyniku operacji jego pozyskiwania na Kapitularku, Buzzellu i Qelso, będą mogli oboje cieszyć się przedłużonym życiem. Przygotuje Leto, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, pomoże mu się przebudzić. W cudowny sposób stanie się ponownie mężczyzną, którego kochała, ze wszystkimi jego myślami i wspomnieniami.

Musiała jedynie poczekać dziesięć lub dwadzieścia lat. Bene Gesserit umiała być cierpliwa.

Wzięła go za małą rękę. Tym razem nie będzie

żadnych politycznych powodów, które przeszkadzałyby im się pobrać, jeśli i on, i ona będą tego chcieli. Dla Jessiki miało znaczenie tylko to, że znowu będą razem.

- Wszystko będzie jak dawniej, gdy w końcu przypomnisz sobie minione życie, Leto - powiedziała. - I wszystko będzie inaczej.

Przyszłość jest wszędzie wokół nas i wygląda bardzo podobnie do przeszłości.

- Matka Przełożona Sziena, przemówienie z okazji założenia Szkoły Ortodoksyjnej na Synchronii

Pogruchotana i na dobre unieruchomiona *Itaka* stała się nową kwaterą odłamu Bene Gesserit pod przywództwem Szieny. Pełni inwencji architekci wspólnie z robotami budowlanymi przekształcili ogromny statek w wyjątkową i imponującą siedzibę. Zdjęto górne poszycie mostka nawigacyjnego, najwyższego pokładu statku, i przekształcono go w wieżę obserwacyjną.

Matka Przełożona Sziena patrzyła na zapierające dech w piersiach odbudowane miasto. Czerpiąc z głębokiego zbiornika wspomnień, widziała podobieństwa między szkołą w Synchronii i jedną z pierwszych szkół Bene Gesserit na Wallachu IX, która również została założona w środowisku miejskim. Pozostało tutaj wiele z wież wzniesionych przez maszyny, a niektóre nawet poruszały się jak poprzednio, przetwarzając surowce w zautomatyzowanych fabrykach.

Przed laty Duncan i maszyny pomogli jej zrekonstruować niezwykłą metropolię, chociaż Idaho równoważył swoje „cudowne” dzieło koniecznością umożliwienia ludziom odniesienia sukcesu własną pracą. I on, i Sziena znali niebezpieczeństwa pojawiające się z chwilą, gdy pozwoli się ludziom, by

zbytńio zmiękli, i nie zamierzał dopuścić, by polegali na nim w sprawach, z którymi sami mogli sobie poradzić. Ludzkość musiała w miarę możliwości sama rozwiązywać swoje problemy.

W tym samym czasie grupy maszyn, którym wyznaczono wykonalne cele, zaczęły się rozdzielać, zasiedlając nisze nienadające się do zamieszkania dla ludzi: wypalone planety, zamarznęte planetoidy, puste księżyce. Galaktyka była ogromna i tylko mała jej część miała warunki umożliwiające rozwój i podtrzymanie życia biologicznego. Było tam więcej przestrzeni życiowej, niż mogłoby potrzebować jakiegokolwiek imperium.

Niektóre roboty wykazywały już cechy osobowościowe, własny charakter. Duncan uważał, że z czasem mogą się one znaleźć wśród największych w historii myślicieli i filozofów. Sziena nie była o tym przekonana i przysięgała, że jej uczennice dowiodą swoimi wspaniałymi osiągnięciami, że się myli.

Każdego miesiąca do centrum ortodoksyjnych Bene Gesserit na Synchronii zgłaszały się nowe kandydatki, natomiast inne dołączały do nowego zgromadzenia żeńskiego Murbelli na Kapitularku. Pokonawszy początkowe trudności, obie reguły działały teraz w zgodzie. Sziena i surowsza reguła jej ortodoksyjnego zgromadzenia przyciągały inny rodzaj akolitek, co - jak wiedziała - spodobałoby się Garimi. Poddawała kandydatki surowym sprawdzianom i odprawiała wszystkie oprócz najlepszych. Leżące daleko zgromadzenie Murbelli pociągało czym innym. W

nowym wszechświecie było mnóstwo miejsca dla wyznawczyń obu poglądów.

Reaktywowany przez Szienę konwencjonalny program eugeniczny Bene Gesserit był w pełnym toku i na widok tylu ciężarnych cieszyło się jej serce. Wśród osób wychodzących i wchodzących do kwatery głównej naliczyła ich siedem. Dawało jej to pewność, że jej reguła będzie się szerzyć i trwać.

Tego samego dnia z Szieną skontaktował się tleilaxański mistrz Scytale. Połączył się z mostkiem nawigacyjnym, który stał się centrum jej działalności, z jednego ze swoich laboratoriów w Synchronii. W jego głosie zamiast zmęczenia brzmiała radość.

- Zakończyłem katalogowanie pozostałych komórek i odsiałem wszelkie ślady skażenia maskaradnikami - oznajmił. - Musimy ponownie wprowadzić niektóre z tych cech do Bene Gesserit.

- Po Duncanie nie wyhodujemy już żadnego Kwisatz Haderach - powiedziała stanowczo. - To nie podlega dyskusji.

Jeśli o nią chodziło, wiele rzeczy nie musiało się znowu zdarzyć...

- Chodzi mi tylko o zachowanie naszej wiedzy. To jest tak, jakbyśmy znaleźli nasiona dawno zapomnianych, ale pięknych roślin. Nie powinniśmy się ich pozbywać.

- Być może nie, ale na wszelki wypadek musimy wprowadzić precyzyjne mechanizmy zabezpieczające.

Scytale najwyraźniej nie przejmował się ograniczeniami narzuconymi przez Szienę.

- Szczerze wierzę, że tleilaxańska rasa odzyska swoją utraconą wiedzę - rzekł. - Oczywiście ze zmianami na lepsze - dodał szybko.

- Dla postępu ludzkości - powiedziała Sziena.

Jeszcze nigdy nie widziała, by tak ciężko pracował. Wykorzystał komórki ze swojej kapsułki zeroentropijnej, żeby wyhodować ghole członków ostatniej Rady Mistrzów, i teraz jego mali pobratymcy wszędzie za nim chodzili, co przypominało jej kaczkę wodzącą kaczątka.

Scytale wychowywał ich inaczej, niż zgodnie z tradycjami tleilaxańskimi wychowywano mężczyzn. W osobnych pomieszczeniach wychowywał też tleilaxańskie kobiety - ghole wyhodowane z nowo odkrytych komórek - chociaż nie zostaną one nigdy zdegradowane do roli, jaką musiały odgrywać ich poprzedniczki. Tleilaxanki nie będą już kadziami aksolotlowymi, zniknie więc prawdopodobieństwo stworzenia kolejnego rodzaju zaciekłych, mściwych wrogów, takich jak Dostojne Matrony. Sziena i jej siostry zamierzały szczególnie uważnie śledzić członków rady, by mieć pewność, że nie zepsują oni ludu Tleilaxan, tak jak zrobili to wcześniej.

Oczywiście nadal istniały kadzie aksolotlowe - niektóre kobiety zgłaszały się do odegrania tej roli z powodów osobistych, inne wyrażały wolę, by w razie poważnego wypadku w taki właśnie sposób wykorzystać ich ciała. Jak zawsze, Bene Gesserit zaspokajały swoje potrzeby.

Po zakończeniu konferencji ze Scytale'em Matka

Przełożona spojrzała przez szerokie okna mostka nawigacyjnego. W oddali, na horyzoncie, za wytyczonymi na nowo granicami błyszczącego miasta, ziemia była wywrócona i rozorana, a wiele zbudowanych przez Omniusa geometrycznych konstrukcji leżało obróconych w sterty złomu i gruzu.

Nastawiła jedno z okien na mocniejsze powiększenie. Widziała nową pustynię i jednego z czerwii wznoszącego się z gruzu i obracającego badawczo na wszystkie strony bezoki łeb. Potem stworzenie runęło całym ciężarem w dół, rozwalając część muru. Niczym olbrzymie, pełne determinacji dżdżownice spulchniające ziemię czerwie rozpoczęły proces przemieniania opuszczonych budynków w upragnioną pustynię.

„Wkrótce - pomyślała Sziena - pójdę tam i znowu z nimi porozmawiam”.

Spojrzała na stojącą u jej boku małą dziewczynkę i ujęła ją za rączkę. Być może pewnego dnia zabierze nawet ze sobą swoją protegowaną, gholę Sereny Butler.

Nigdy nie było za wcześnie na rozpoczęcie przygotowywania Sereny Butler do jej roli.

Pustynia ma urodę, której nie mógłbym zapomnieć, nawet gdybym miał przeżyć tysiąc żywotów.

- Paul Muad'Dib

Dwie postaci skąpane w złotych promieniach zachodu słońca szły grzbietem wydmy, stawiając nieregularne kroki, by nie zwabić ogromnych czerw. Podążały obok siebie, nierozłączne.

Na Diunie było ciepło, ale nie aż tak, jak w dawnych czasach. Na skutek poważnego zniszczenia środowiska temperatura się obniżyła, a atmosfera przerzedziła. Jednak wraz z powrotem czerw, planktonu piaskowego i troci piaskowych przedzierających się przez popękaną, zeszkloną skorupę wydm stara planeta zaczęła dochodzić do siebie. Jak zwykł mawiać ojciec Chani, Liet-Kynes, na Diunie wszystko było ze sobą powiązane, tworząc cały ekosystem, który obejmował ziemię, dostępną wodę i powietrze.

I, dzięki Duncanowi Idaho, ogromna rzesza twardych maszyn kontynuowała prace odkrywkowe na szerokościach geograficznych, na które nie powróciły jeszcze czerw. Mechaniczna armia metodycznie, sektor po sektorze, przywracała stary piasek, torując czerwiom drogę do poszerzania ich terytorium. Staranne planowanie i prace użyźniające prowadzone przez potężne traktory oraz koparki myślących maszyn stabilizowały spaloną ziemię, ustanawiając nową biomatrycę, natomiast zahartowani osadnicy Paula

nadzorowali wzrost roślin, prowadząc jednocześnie własne prace. Za pomocą swych dalekosiężnych myśli Duncan dopilnował, by maszyny zrozumiały, czym niegdyś, zanim obcoświatowcy zaczęli naruszać ekosystem, była Diuna. Źle użyta technologia doprowadziła do dewastacji pustynnej planety, a teraz technologia pomoże przywrócić dawną równowagę.

Paul zatrzymał się sto metrów od najbliższej formacji skalnej, w której ekipa robotników znalazła ruiny porzuconej siczy. On i Chani, wraz z grupą zdeterminowanych osadników, ratowali własnymi rękami środowisko Fremenów. Przywracali stary sposób życia.

W minionych czasach był legendarnym Muad'Dibem, który przewodził fremeńskiej armii. Teraz zadowalał się tym, że jest współczesnym Fremenem, przywódcą siedmiuset pięćdziesięciu trzech osób, które założyły w skałach surowe siedziby. Byli na najlepszej drodze do tego, by stworzyć kwitnącą sicz.

Paul i Chani regularnie latali z ekipami badawczymi. Pełni optymizmu, widzieli wspaniałe możliwości dla Diuny. Obok odkopanej siczy odkryli podziemną grootę, którą zamierzali nawodnić i oświetlić, by wesprzeć plan siania traw i kwiatów oraz sadzenia bulw i krzewów. Wystarczy to do utrzymania małej populacji nowych Fremenów, ale nie będzie tego tyle, by mogło to zmienić pustynny ekosystem, który rok po roku odtwarzały czerwie.

Któregoś dnia odbędzie może nawet znowu przejażdżkę na wielkim czerwiu.

Paul zwrócił się w stronę bladożółtego słońca wschodzącego nad oceanem piasku.

- Diuna znowu się budzi - powiedział. - Tak jak my.

Chani uśmiechnęła się, widząc w nim zarówno ukochanego Usula z dawnych wspomnień, jak i ghole, z którym dorastała. Kochała obu tych Paulów za sprawą tego, kim każdy z nich był. Jej brzuch trochę wystawał w miejscu, gdzie ich rosnące dziecko zaczynało pokazywać swoją obecność. Za pięć miesięcy będzie pierwszym dziedzicem urodzonym na powtórnie zasiedlonej planecie. W drugim życiu Chani nie musiała się martwić imperialnymi intrygami, ukrytymi środkami antykoncepcyjnymi ani zatrutym jedzeniem. Jej ciąża będzie normalna, a dziecko - albo dzieci, jeśli znowu los pobłogosławi ją bliźniętami - będzie miało wielkie zdolności bez ciążącego na nim przekleństwa wykorzystania go zgodnie ze straszliwym przeznaczeniem.

Chani, jeszcze lepiej znająca się na pogodzie niż Paul, zwróciła twarz ku zimnemu wietrzykowi. Wschód słońca zaczął ukazywać nowe bogactwo miedzianych kolorów wzbijanego w powietrze piasku.

- Lepiej wracajmy do siczy, Usul - powiedziała. - Wzbiera burza.

Paul patrzył, jak z gracją ześlizguje się z wydmy z powiewającymi rudymi włosami. Śpiewała piosenkę wędrujących kochanków, której słowa układały się melodyjnie w kadencję odpowiadającą nierównemu rytmowi jej kroków:

*Opisz mi swe oczy,
A ja opiszę ci serce twe.
Opisz mi swe stopy,
A ja opiszę ci dłonie twe.
Opisz mi swe wieczory,
A ja opiszę ci ranki twe.
Opisz mi swe pragnienia,
A ja powiem ci, czego chcesz*
(Przełożył Marek Marszał)

Kiedy byli w połowie drogi do skał, wiatr się wzmógł. Niesiony przezeń piach kłuł ich twarze. Paul przysunął się do Chani, starając się chronić ją własnym ciałem przed ostrymi ziarnami.

- Tak, zapowiada się niezła burza - powiedział, gdy wreszcie dotarli do wejścia do siczy i szybko wbiegli do środka. - Oczyszczająca burza.

W przyciemnionym świetle lumisfery widać było jej zarumienioną z radosnego podniecenia twarz. Chwyciwszy ją za ramię, Paul okręcił ją i wytarł piasek z jej oczu i ust. A potem przyciągnął ją do siebie i pocałował. Chani zdawała się topnieć w jego ramionach.

- Zatem w końcu nauczyłeś się, jak należy traktować żonę! - powiedziała ze śmiechem.

- Moja Sihaja - rzekł, tuląc ją. - Kocham cię od pięciu tysięcy lat.